

PRZEGŁĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM
BÓG JEGO”

Ps. 143.

ROK LIV

Tom 215

LIPIEC — SIERPIEŃ — WRZESIEŃ

1 9 3 7

WARSZAWA
DRUKARNIA „WYDAWNICTWA KSIĘŻY JEZUITÓW”

S P I S R Z E C Z Y
N A K O Ń C U T O M U

Renesans katolicyzmu młodego pokolenia polskiego.

Renesans katolicyzmu młodego pokolenia w Polsce jest już dziś faktem niewątpliwym. Dokonał się on w ostatnich kilku latach, aczkolwiek praca w tym kierunku datuje się na wiele lat przed wojną. Jakież są objawy tego renesansu religijnego młodzieży? Wyliczmy najbardziej charakterystyczne i zewnętrznie dla oka najłatwiej uchwytnie: rozrost akademickich organizacyj, stojących wyraźnie i zdecydowanie na gruncie katolickim; ewolucja ideowa niektórych organizacji w kierunku katolicyzmu, wspólne Msze św., rekolekcje, pogłębianie wykształcenia religijnego m. in. przez dokładne zapoznanie się z liturgią; walka o katolicki charakter wyższych uczelni itp. Jednym z przejawów zewnętrznych odrodzenia religijnego młodzieży akademickiej była zeszłoroczna pielgrzymka na Jasną Górę, będąca niewątpliwie niespotykaną dotąd w Polsce potężną manifestacją religijną młodego pokolenia, płodną w daleko idące skutki.

Katolik-akademik przestaje już być synonimem heretyka i tchórza w zakresie wyznawania wiary, a reprezentuje już w swojej masie typ odważnego i świadomego wyznawcy nauki Chrystusa.

To odrodzenie religijno-moralne młodego pokolenia czujemy już w życiu Polski. Wystarczy rzucić okiem na współczesną publicystykę. Widać już w niej duszę młodego pokolenia myślącego odważnie po katolicku. Podobne przejawy konstatuje się zresztą i w innych zawodach, organizujących się nawet w zawodowych związkach katolickich.

Można więc śmiało powiedzieć, że w dziedzinie odrodzenia religijnego Polska przeżyła pierwszy etap: na odcinku młodego pokolenia. Dlatego zrobienie rachunku sumienia, poddanie analizie tego co się w zakresie odrodzenia religijnego zrobiło i wyciągnięcie wniosków na przyszłość, należy uznać za rzecz ze wszech miar pożyteczną. Pozwoli to bowiem nabrać świeżych sił do marszu ku pełnemu odrodzeniu religijnemu już nie tylko młodego pokolenia, ale całego narodu.

Już dawno wyczuwałem potrzebę dyskusji na ten temat. Nie tylko dlatego, ażeby się z otoczeniem podzielić wrażeniem, wrażeniem uczestnika tego wielkiego wydarzenia, ale ze względu na konieczność przedyskutowania dalszego rozwoju sytuacji.

I oto padł głos w tej kwestii: jest nim artykuł dra W. Wasiutyńskiego pt. „Dynamizm katolicki młodego pokolenia“, zamieszczony w majowym numerze *Przeglądu Powszechnego*.

Jakież stanowisko zajmuje p. Wasiutyński? Streścimy go w kilku zdaniach: katolickość młodego pokolenia polskiego — zdaniem p. Wasiutyńskiego — jest rzeczą już dziś bezsporną. Przejawy: szczerze i zdrowe podejście do spraw religijnych. W tych warunkach trzeba podjąć próbę oświecenia źródeł renesansu katolicyzmu.

Co jest źródłem odrodzenia religijnego? — zapytuje się p. Wasiutyński. Czy nacjonalizm? Nie może powiedzieć: tak. Bo przecież nacjonalizm starszych był nie chrześcijański i w takiej formie przedostał się on do deklaracji ideowych tzw. młodzieży narodowej (O.W.P., Młodzież Wszechpolska, Korporacje tzw. związkowe), która właśnie dziś znajduje się zdecydowanie w orbicie wpływów katolicyzmu. Więc co? P. Wasiutyński nie daje odpowiedzi. Jest bezradny. Stwierdza tylko że wytworzyła się atmosfera sprzyjająca odrodzeniu religijnemu młodego pokolenia.

I nie można się dziwić, że p. Wasiutyński na postawione przez siebie pytanie — jaki czynnik to odrodzenie spowodował — odpowiedzi znaleźć nie może. Należał bowiem sam do obozu tzw. młodzieży narodowej, reprezentowanej na terenie akademickim (przed rozszczepieniem się na Związek Młodych Narodowców, ONR i Młodych Stronnictwa Naro-

dowego) przez Młodzież Wszechpolską i korporacje związkowe a przez pewien czas, aż do rozwiązania tej organizacji, przez OWP. Młodzież ta w ciągu kilku ostatnich lat przeszła właśnie gwałtowną ewolucję w kierunku katolicyzmu. Tak gwałtowną i tak, powiedzmy nagle, że przyczyny, które ją spowodowały, mogły stać się dla tej właśnie młodzieży nieuchwytnie.

Należałem do nieco innego typu organizacji akademickiej, do organizacji, od chwili swego istnienia *par excellence* katolickiej, do Stowarzyszenia Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie”. Biorąc czynny udział w życiu „Odrodzenia”, aczkolwiek w latach kiedy jej siły, chociaż tylko w niektórych środowiskach akademickich — osłabły (lata 1929—1934), miałem możność obserwować to dokonywane się odrodzenie religijne młodego pokolenia. Bo właśnie w tych latach głównie się ono dokonało.

Jakież są tego przyczyny?

Moim zdaniem są one następujące:

- 1) wpływ ideowy „Odrodzenia” i innych organizacji katolickich zwłaszcza Sodalicyj Mariańskich,
- 2) nacjonalistyczne nastawienie młodego pokolenia,
- 3) szczególny wpływ na młodzież ks. Szwejnica w Warszawie.

Zanim swoje twierdzenia poprę dowodami pragnę zrobić jedno zastrzeżenie: moje wywody podyktowane będą nie jakąś fałszywą ambicją organizacyjną. Broń Boże! Kieruję się wiarą, że odsłonięcie prawdy, że analiza źródeł odrodzenia religijnego młodzieży może mieć niezmiernie doniosłe znaczenie dla dalszego rozwoju wydarzeń związanych z głębokim i powszechnym opanowywaniem naszego narodu przez katolicyzm, przez naukę Chrystusa.

Pragnąc odkryć właściwe źródła katolickiego dynamizmu młodego pokolenia trzeba się cofnąć w lata przedwojenne. Ich cechą charakterystyczną były tendencje znane wiekowi XVIII i XIX, dążenie do oderwania życia publicznego od Boga i Kościoła. Życie opanował bezreligijny naturalizm. Były to czasy, kiedy przyznawanie się wyraźne

do katolicyzmu oznaczało zacofanie. Za przejaw postępu i „nowego” ducha czasu uważano zaś wszelkie prądy wolno-myślicielskie. Nie znaczy to, aby i w tym okresie nie było katolików żyjących życiem religijnym. Owszem byli i tacy. Zamykali się oni jednak w sobie i czekali, jak ktoś słusznie zauważa, „na zmiłowanie Boże”.

Byli jednak także katolicy, którzy buntowali się przeciwko podobnym poglądom na katolicyzm. Do nich należeli przede wszystkim tzw. „Prądownicy” biorący nazwę od wydawanego przez nich pisma pt. *Prąd*.¹⁾ Otóż „Prądownicy” wierzyli, że katolicyzm jest prawdą przez Boga objawioną i dlatego stanowi jedyny fundament, na którym można bez obawy budować życie jednostkowe, narodowe i państwowe. Postawili oni sobie wyraźny cel zawarty w hasle: *instaurare omnia in Christo*.

Były to lata 1909.

Wojna światowa rozprószyła tych ludzi. Nadszedł rok 1918 — koniec wojny światowej i odzyskanie niepodległości Polski. Uniwersytety zapełniają się młodzieżą. Jakież prądy nurtują wśród tej młodzieży? Antykatolickie, albo akatolickie. Większość przyznaje się do socjalizmu i różnych kierunków „postępowo-demokratycznych”. Młodzież akademicka jest przeważnie religijnie obojętna, jeśli nie nastawiona do katolicyzmu wrogo. Szczególnie dużą aktywność rozwijały wówczas organizacje, które w r. 1927 połączą się i stworzą Związek Polskiej Młodzieży Demokratycznej, znany ze swego antykatolickiego nastawienia i ciągnący dziś bardzo silnie ku PPS. — Działo wówczas również Narodowe Zjednoczenie Młodzieży Akademickiej związane z Narodową Demokracją.

A cóż robią „Prądownicy”?

Wojna nie przecięła ich prac. Część zbiera się po wojnie w Warszawie i w październiku 1919 r. zakłada Stowarzyszenie Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie”. Nazwali się, jak piszą, dlatego „Odrodzeniem”, gdyż zamiarem i zadaniem tego Stowarzyszenia jest:

¹⁾ Pismo to jest obecnie wydawane przez Związek Polskiej Inteligencji Katolickiej, a redagowane przez ks. rektora Szymańskiego.

z całą szczerością i świadomością podjąć akcję odrodzenia młodego pokolenia Polski w duchu ideałów katolickich i narodowych.¹⁾

Zjawia się więc na terenie akademickim nowy ruch przyjmujący bez zastrzeżeń katolicyzm integralny, rzucający hasło rehabilitacji katolicyzmu przez powrót do zasad Chrystusa. Ruch ten duży nacisk kładzie na problemy religijne. W tym celu tworzone są sekcje filozoficzno-religijne. Organizuje się publiczne odczyty na uniwersytetach i oświecla się różne aktualne zagadnienia przez pryzmat katolicyzmu.

W maju r. 1923 „Odrodzenie” formułuje swoją deklarację. O podejściu tej organizacji do zagadnień religijnych charakteryzuje następujący ustęp deklaracji:

Naród Polski, czytamy, odzyskał byt niepodległy. Światna przyszłość stoi przed nami otworem. Wysiłek nasz musi ją zrealizować.

Pokolenie młodych Polaków-katolików podejmuje z gotowością i energią ciężące na nim obowiązki, a mocny przeświadczeniem posiadania Prawdy i wiarą w twórcze siły Narodu jasno patrzy w przyszłość.

1. Życie w Polsce pragniemy oprzeć na organicznym prawie rozwojowym — na prawie Bożym. Ono tylko daje nieomyślne, bo na autorytecie Stwórcy świata oparte, kryteria pojmowania dobra istotnego tak jednostek, jak i zbiorowości. Ono jedynie jest podstawą wszelkiej twórczości. Ono wnosi w życie tężyźnę, ład i harmonię.

2. Stajemy przy Kościele katolickim, tym żywym depozytariuszu prawa Bożego. Hasłem naszym: oddać naród Chrystusowi, a metodą działania: chrześcijaninem jestem i nic mi nie obce.

3. Zrywamy z fałszywą pokorą i ckliwie pojętą miłością chrześcijańską, wypieniamy lęk i zwalczamy bezradność wobec idących olbrzymich a nieraz bolesnych przewrotów współczesnych. Katolik Polak iść musi na przedzie i władać życiem, bo z ducha Chrystusowego płynie wiara w życie oraz siły i zapał do jego budowy.²⁾

A więc integralny katolicyzm! Ujęcie pozbawione jakichkolwiek nieściśłości lub niekonsekwencji. Przede wszystkim, Chrystus, Katolicyzm, Prawda a później naród.

¹⁾ *Prąd* z r. 1922, nr 10, str. 264.

²⁾ Podkreślenia nasze.

„Odrodzenie“ to — początek nowoczesnego ruchu katolicko-społecznego — a deklaracja jego — pierwszym krokiem odrodzenia religijnego. Ale na uwagę zasługuje nie tylko właściwe ujęcie tez ideologicznych. Działalność organizacyjna jest odbiciem ideologii. Rozwija się więc bujnie życie religijne: wspólne nabożeństwa, Msze św. recytowane, wspólne przystępowanie do Komunii św., rekolekcje zamknięte, manifestacje religijne itp. — oto jego przejawy. Słowem dążenie do wychowania świadomego i wykształconego religijnie katolika. Równorzędnie idą wysiłki intelektualne. Na lubelskich Tygodniach Społecznych przepracowuje się wszelkie aktualne problemy z zakresu życia polityczno-ustrojowego, społecznego, gospodarczego, kulturalnego. A wpływ tych myśli i wysiłków musiał być poważny, skoro w pierwszych latach swego istnienia „Odrodzenie“ należy na terenie akademickim do najsilniejszych organizacji, a kierownicy jego piastują najbardziej odpowiedzialne w społeczności akademickiej stanowiska.

W r. 1929 na kongresie uchwalono nowy tekst deklaracji. Nastawienie pozostało to samo z tym, że szereg punktów programowych rozbudowano wyzyskując dorobek ideowy ostatnich lat, szczególnie w zakresie kwestii społecznej, przy czym na szczególną uwagę zasługuje nadzwyczaj wnikliwe i nowoczesne ujęcie pewnych zagadnień. Jeśli chodzi o stosunek do Kościoła „Odrodzenie“ zrobiło o tyle krok naprzód, iż stwierdziwszy, że Kościół jest nauczycielem nieomylnym prawa Bożego, „łączy się z nim miłością, czcią i posłuszeństwem największym“.

Ruch „odrodzeniowy“ jest już sam w sobie przejawem odradzającego się w Polsce katolicyzmu.

Ale teraz narzuca się pytanie, jaką rolę ruch ten odegrał w odrodzeniu religijnym w Polsce.

Aby odpowiedzieć na to pytanie cofnijmy się znowu nieco wstecz. Dnia 25 i 26 marca 1922 r. odbył się w Warszawie Zjazd przedstawicieli kół Narodowego Zjednoczenia Młodzieży Akademickiej, na którym utworzono „Młodzież Wszechpolską“, oraz uchwalono tymczasową deklarację. Na czele organizacji stanęli: Rembiliński - prezes, Stahl - sekretarz. Obydwa nazwiska znane.

Deklaracja była źle w kołach katolickich przyjęta. Pewne punkty były sprzeczne nawet z katolicyzmem. I wówczas lwowskie środowisko „Odrodzenia“ organizuje publiczne odczyty. Pierwszą prelekcję wygłasza ks. pos. Lutosławski na temat „Moralne granice nacjonalizmu“. Podobne zgromadzenie organizuje w odpowiedzi „Młodzież Wszechpolska“ z referatem p. Derynga, obecnego profesora K. U. L., który przeszedł taką samą ewolucję w kierunku katolicyzmu jak wielu jego kolegów.

W związku z tym w nr 9 *Prądu* z r. 1922 czytamy w korespondencji ze Lwowa m. in. następujące uwagi:

Punktem wyjścia dyskusji była naczelna zasada deklaracji Młodzieży Wszechpolskiej: „Naród jest najwyższym dobrem, jakie mamy. Wszelkie fakty i zagadnienia z dziedziny etyki i polityki muszą być rozpatrywane i sądzone wyłącznie z punktu widzenia narodowego“. Otóż ks. Lutosławski, pisze *Prąd*, pragnął związać organicznie ideę nacjonalistyczną z Bogiem, wesprzeć ją na podstawach filozoficznych chrystianizmu, katolickiej nauki. Inaczej myśli kol. Deryng, który tego związku nie uznaje.

W innym miejscu tego sprawozdania czytamy następujący bardzo charakterystyczny ustęp:

Ks. Lutosławski powiedział, że naród jest dobrym, o ile prowadzi do celu ostatecznego. Referent odpowiada: „Tego rodzaju warunkowe stawianie kwestii, rzecz prosta, z naszym stanowiskiem jest zupełnie sprzeczne“.

I tego rodzaju dyskusje na temat stosunku nacjonalizmu do katolicyzmu będą się ciągnąć nieprzerwanie przez szereg lat na zgromadzeniach i w prasie. Toczą się one między „Odrodzeniem“ a „Młodzieżą Wszechpolską“. I dyskusje te robią swoje. W r. 1924 następuje rozłam wśród korporacji akademickich. Część korporacji występuje ze Związku Polskich Korporacji Akademickich i tworzy Zjednoczenie Polskich Akademickich Korporacji Chrześcijańskich. Jako motyw podają, że Związek w swoim „statucie organicznym“ nie docenia etyki chrześcijańskiej. Zjednoczenie staje bez zastrzeżeń na stanowisku katolickim podobnie jak „Odrodzenie“.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że walka ideowa między „Odrodzeniem“ a „Młodzieżą Wszechpolską“ wpły-

nęła na rewizję deklaracji tej ostatniej. W r. 1925 Młodzież Wszechpolska uchwala nowy tekst deklaracji ideowej. Jest on już nieco inny. O ile w deklaracji z r. 1922 stosunek ruchu do religii pominięto milczeniem, a pojęcie nacjonalizmu ujęto w sposób sprzeczny z katolicyzmem, to obecnie w nowym tekście deklaracji konstatujemy poważną ewolucję ku katolicyzmowi. I tak nowa deklaracja nie wspomina już zupełnie o podporządkowaniu „zagadnień z dziedziny etyki” interesowi narodowemu, a rolę religii w państwie określa następująco:

„Wierzenia i uczucia religijne są ważnym źródłem siły moralnej społeczeństwa oraz rękojmnią jego wysokiego poziomu etycznego. Kościół katolicki, jako religia ogromnej większości narodu Polskiego, winien zajmować w jego życiu religijnym stanowisko przodujące”.

Na marginesie tego sformułowania pisał *Prąd* co następuje:

W porównaniu z pierwszą deklaracją jest to dużo, nawet bardzo dużo. Widać, że w poglądach Młodzieży Wszechpolskiej, z tych czy innych przyczyn nastąpiła ewolucja, której szczerze przyklaskujemy.¹⁾

Rubikon nie został jednak przekroczony. W związku z dyskusją na ten temat tak pisał p. Jan Mosdorf ówczesny prezes Mł. Wszechpolskiej koła Uniwersytetu Warszawskiego:

Uznajemy za rzecz zupełnie naturalną, że deklarację podpisać może każdy dobrze czujący i dobrze myślący Polak, zarówno wierzący jak i niewierzący. Nie jesteśmy ruchem religijnowo-wyznaniowym. Jesteśmy organizacją, która skupia wszystkich bez względu na poglądy religijne, wszystkich, którzy swój stosunek do narodu ujmują w sposób wskazany w naszej deklaracji.²⁾

Dyskusja toczy się dalej. „Odrodzenie” nie przestaje wytykać Mł. Wszechpolskiej błędnego stanowiska. Dochodzi z tego powodu do bardzo napiętych stosunków między tymi organizacjami. Mł. Wszechpolska rzuca nawet hasło likwidacji „Odrodzenia”, uważając siebie za jedyną reprezen-

¹⁾ *Prąd* nr 2, z 1926 r.

²⁾ *Warszawianka* z dnia 3 XII 1925 r.

tantkę bojowego katolicyzmu na wyższych uczelniach w Polsce. A p. Jan Mosdorf nie zawaha się w majowym numerze *Awangardy* z r. 1929 napisać, że „ta organizacja („Odrodzenie”) młodzieży katolickiej balansuje między obozem antymasońskim a masońskim“ (!)

Czymże się kończy ta walka? Olbrzymią ewolucją ideową Mł. Wszechpolskiej. Deklaracja z dnia 16 maja 1932 r. to nowy krok naprzód. Stosunek do religii wyrażony jest następująco:

Wiara narodu polskiego, religia rzymsko-katolicka musi zajmować stanowisko religii panującej, ściśle związanej z państwem i jego życiem, oraz stanowić podstawę wychowania. Przy zapewnionej ustawami państwowymi wolności sumienia — zorganizowany naród nie może tolerować, ażeby jego wiara była przedmiotem ataków lub doznawała obrazy z czyjejkolwiek strony lub by prowadzono zorganizowaną akcję w celu rozkładu życia religijnego narodu.

W latach następnych dokonywuje się już gwałtowna ewolucja. Nie znalazła ona wprawdzie jeszcze swego wyrazu w deklaracji. Rewizja jej, o ile nam wiadomo, ma być jeszcze w tym roku dokonana. Nie wątpimy ani na chwilę, że ujęcie religii będzie pozbawione już wszelkich cech pozytywistycznego podejścia. Do takiego twierdzenia upoważnia nas fakt żywiołowego rozwoju życia religijnego wśród tzw. młodzieży narodowej, pielgrzymka Jasnogórska, odwrócenie się od błędnych czy niejasnych przekonań całego szeregu młodych przedstawicieli tej młodzieży z p. Mosdorfem na czele, który niedawno wyrzekł się w *Prosto z Mostu* swych fałszywych poglądów na katolicyzm.

Nie można oczywiście pominąć milczeniem wpływu jaki na zmianę poglądów ideowych wśród akademickiej młodzieży wywarły inne organizacje poza „Odrodzeniem“, jak zwłaszcza Sodalicje Mariańskie, „Juventus Christiana“ itp. Członkami ich byli w znacznym procencie członkowie Młodzieży Wszechpolskiej. Między „Odrodzeniem“ a Mł. Wszechpolską toczyła się nawet rywalizacja o wpływy w tak zwanych organizacjach katolickich. Okazuje się, że rezultat był dodatni, bo wielu działaczy młodego pokolenia narodowego przeszedłszy np. szkołę sodalicyjną wyzbyło się swoich aka-

tolickich czy nie dość katolickich poglądów. Starcia na ten temat były i liczne i mocne zwłaszcza w Sodalijach krakowskich.

Ale ewolucja ku katolicyzmowi dokonała się również dzięki nacjonalistycznemu nastawieniu młodzieży. Nacjonalizm starszych, pisze p. Wasiutyński, był antychrześcijański. Taki sam również był nacjonalizm młodego pokolenia pozostającego pod wpływami Narodowej Demokracji, która dziś występuje pod nazwą Stronnictwa Narodowego. Ale mimo antychrześcijańskiego ujęcia nacjonalizm polski przykładął zawsze dużą wagę do roli katolicyzmu w Polsce. Cała historia Polski wykazywała jak wielką rolę katolicyzm odegrał w życiu narodu. Zbyt świeże również były lata niewoli. Polak był niejako synonimem katolika; były to pojęcia nierozdzielne. Nacjonalizm widział w katolicyzmie dla Polski „interes”. I dlatego rozwój wypadków nie potoczył się tak, jak we Francji z *Action Française* jak w Niemczech z hitleryzmem, czy nawet jak we Włoszech z faszyzmem. Dzięki dopatrywaniu się przez polskich nacjonalistów w katolicyzmie „interesu” dla narodu polskiego, stosunki układały się raczej przyjaźnie. Zrozumienie tego „interesu” było tak wielkie, że z chwilą wykazywania niekonsekwencji w filozoficznym ujęciu stosunku nacjonalizmu do katolicyzmu, obóz narodowy korygował swoje poglądy usuwając z nich sprzeczności czy rozdziewiki z katolicyzmem.

A ewolucji tej dokonała przede wszystkim młodzież. Jest ona zawsze bardziej konsekwentna i nie znosi sprzeczności. Zerwała więc z antychrześcijańskim ujęciem nacjonalizmu i całkowicie zbliżyła się do katolicyzmu, który się dla niej stał już nie „interesem”, ale prawdą, prawdą objawioną przez Boga, której wszystko inne musi być podporządkowane, która jest celem samym w sobie.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zupełnie inaczej potoczyłyby się wypadki, gdyby młodzież w swojej masie nie miała nastawienia nacjonalistycznego, ale np. nastawienie odpowiadające tendencjom ideowym Z. P. M. D. Wówczas bowiem dyskusja na temat niekonsekwencji ideowej mogłaby wywołać wręcz przeciwne skutki, mianowicie mogła

pchnąć młodzież w szeregi antykatolickie jak to się stało z Z. P. M. D.

Tak więc nacjonalistyczne nastawienie młodzieży w tym wypadku przyprowadziło tzw. młodzież narodową do katolicyzmu i przyczyniło się do jej odrodzenia religijnego.

I jeszcze jeden czynnik: atmosfera. P. dr Wasiu-tyński sam pisze, że wytworzyła się jakaś atmosfera sprzyjająca religijnemu odrodzeniu młodego pokolenia. Otóż wytworzyła się ona przede wszystkim w Warszawie, a wielką rolę odegrał tu śp. ks. Szwejnica. Dokoła niego zgrupowała się młodzież narodowa. Z nim dyskutowali przywódcy tej młodzieży. On prostował ich ścieżki. Piszę to nie tylko na podstawie własnych obserwacji. Doskonałym dowodem jest także książka p. Niebudka o ks. Szwejnicy. Ta zaś atmosfera udzielała się młodzieży narodowej także w innych środowiskach akademickich.

Tak więc zasada, że Bóg a nie naród jest najwyższym celem człowieka i miarą wartości moralnych, naród zaś jest tylko potężnym środkiem do osiągnięcia tego celu najwyższego, jedną z dróg prowadzących człowieka do Boga — zwyciężyła i stała się, jak słusznie pisze p. Wasiu-tyński, własnością całego pokolenia narodowego.

Dziś młode pokolenie ma ścieżkę wyprostowaną. Praca jednak nad odrodzeniem religijnym młodego pokolenia nie jest zakończona. Wręcz przeciwnie, jest ona dopiero zaczęta. Trzeba wyłobić łożysko, którym by płynęły pokolenia po pokoleniach, owładnięte całkowicie katolicyzmem. A będzie to możliwe wówczas, gdy w duszach młodego pokolenia zapanuje integralny katolicyzm.

Dziś to jeszcze niestety nie nastąpiło. Wprawdzie wyrównane są sprzeczności ideologiczne, jest pełne zrozumienie dla praktyk religijnych, ale jakże daleko jest ta młodzież od przyjęcia w całej pełni np. społecznej nauki Kościoła! W deklaracjach o tym punkcie głucho! Wprawdzie tu i ówdzie pewne poglądy społeczno-gospodarcze idą po linii encyklik, tu i ówdzie w dyskusji padnie głos o tych encyklikach społecznych, wymieni się je nawet, ale jakże daleko jeszcze do przyjęcia zasad w nich zawartych i odważnego ich głoszenia!

Okazuje się, że o ile młode pokolenie narodowe zdołało zerwać z pogańskim poglądem starszych na nacjonalizm, o ile zdobyło się na odważne stawianie spraw religijnych, o tyle nie przełamało jeszcze obojętności do społecznej nauki Kościoła, do encyklik *Rerum Novarum* i *Quadragesimo Anno*. Tu jeszcze zaznacza się przemożny wpływ starszych, którzy np. organizując kongres związków zawodowych „Praca Polska“, pozostających pod wpływami Stronnictwa Narodowego, w dniu 16 i 17 maja br. a więc w czasie kiedy katolicy robotnicy obchodzą w całym świecie uroczyste rocznice — nie wspomną nawet słowem o tym wielkim wydarzeniu, przejdą nad tymi aktami do porządku dziennego.

A katolicyzm społeczny to bynajmniej nie jakiś dodatek tylko do katolicyzmu, ale prosta, logiczna i konieczna jego konsekwencja!

Wtedy dopiero będziemy mogli mówić o pełnym odrodzeniu religijnym, o wyźłobieniu trwałego łożyska, kiedy cała nauka Kościoła stanie się własnością narodu; kiedy młode pokolenie wszystkie problemy oceniać będzie poprzez pryzmat nauki Chrystusa i Kościoła; kiedy tą nauką będzie żyć i w myśl jej zasad działać; kiedy życie i działanie w myśl tych zasad nie będzie wynikać z żadnych ubocznych celów taktyczno-politycznych, ale głębokiego, szczerzego umiłowania Chrystusa.

Znaczna część młodego pokolenia nawskroś katolickiego weszła już w życie, objęła różne stanowiska, pracuje zawodowo. Nie utonęła jednak w tym środowisku. Przygotowuje się do odegrania w Polsce roli jaka jej przypadnie. Słabą stroną tego pokolenia jest niestety rozbitcie. Część tkwi w Stronnictwie Narodowym, część tworzy tzw. ruch narodowo-radykalny, Związek Młodych Narodowców wstąpił do O. Z. N., młoda grupa katolicko-społeczna, tkwiąca korzeniami w „Odrodzeniu“ nie skryształizowała się jeszcze, choć prace w tym kierunku są już podjęte.

Tymczasem przeżywamy w Polsce czasy bardzo doniosłe, może nawet przełomowe. W polityce zastój i marazm, stosunki społeczno-gospodarcze nabrzmiały ostrymi konflik-

tami, które minują nasze całe życie. Wielka zatem praca stoi przed dojrzewającym pokoleniem. Będzie ona jednak wykonana pod jednym warunkiem: jeśli to młode pokolenie dziś rozbite i poróżnione, zmobilizuje swoje siły, jeśli złączy swoje wysiłki. Sprawa ta jest dziś szczególnie aktualna, gdy wróg się jednoczy do walki z Bogiem, religią, gdy rozsadza nasze państwo.

Kościół stale przez swoich przedstawicieli przypomina o konieczności konsolidacji żywiołów katolickich. Mam przed sobą encyklikę *Quadragesimo Anno* Piusa XI. Na końcu tego orędzia jakaż gorąca zachęta do ścisłej jedności i współpracy! Pius XI pisze, iż często wysiłki katolików nie odnoszą zamierzonych rezultatów, a to na skutek nadmiernego rozproszenia sił. „Niech więc zjednoczą się wszyscy ludzie dobrej woli” — pisze Pius XI; „nie należy przy tym mieć na celu siebie lub swoich korzyści, ale sprawę Jezusa Chrystusa...”, „...nie wolno dążyć do zwycięstwa osobistych poglądów za wszelką cenę, natomiast trzeba być gotowym odstąpić od nich, choćby się najlepszymi wydawały, jeśli tego zażąda wyższe dobro ogółu”. A ostatni apel arcybiskupa Paryża, kardynała Verdier, który w myśl ostrzeżeń Ojca św. potępia warcholstwo rozbijaczy jedności katolickiej we Francji i nawołuje do jedności. A apel ks. biskupa Teodorowicza do młodzieży akademickiej, wzywający do jedności, do zaprzestania wzajemnych walk!..

Istnieje na Tygodniach Społecznych „Odrodzenia” zwyczaj czytania następującego wyjątku z „Konia na wzgórzu” przedwcześnie zmarłego poety E. Korwin-Małaczewskiego:

...kto umie leżeć duchowo krzyżem na świętej ziemi polskiej i obejmując ją miłością, słucha co się w niej dzieje, ten usłyszy, jakoby niezliczone mnóstwo odmiennie tętniących serc. To my: w nadziei zakonspirowani, legitymujący się wiarą, zbrojni miłością. W zgiełku sejmikującego życia jeszcze nas nie słyszać. Ale wkrótce wzmoże się w rzeszach dotkliwy wielki głód tego, co jest niezbędniejsze, niż chleb powszedni. A wtedy przyjdziem my, duchem dzielni, czyli się nim dzielący. Jesteśmy w drzwiach.

W Polsce powstaje, plemię nowych ludzi, jakich jeszcze nie widziano!...

Miejmy ambicję należeć do tego plemienia! Złammy szpady, podajmy sobie ręce. Niech renesans religijny okaże się brzemienny w skutkach nie tylko dla naszych dusz, ale i dla naszej Ojczyzny!

Konstanty Turowski.

Demokracja autorytatywna.

Rozkwit demokracji angielskiej.

Z radością spoglądają na nią narody dotąd nie stotalizowane, a przez totalizm zagrożone od wewnątrz czy od zewnątrz.

Koronacja ukazała majestat brytyjskiej potęgi w prze-
pychu świetnej apoteozy. Postawa jaką Kościół Rzymski
zmuszony został ostatnio zająć wobec totalizmów hitlerow-
skiego i bolszewickiego uwydatniła ich przeciwstawność
ustrojową wobec demokracji, stawiając demokrację w świetle
korzystniejszym niż dyktatury. Tak przynajmniej wytłuma-
czyła sobie encykliki papieskie opinia Zachodu. Nie omieszkał
tego podjąć stary premier Baldwin w mowie, którą wygłosił
do młodzieży angielskiej, ustępując, z zajmowanego przez
długie lata urzędu. Baldwin starał się przedstawić demo-
krację angielską jako ustrój idealnie harmonijny, kojarzący
tradycjonalizm z postępem, wolność z karnością, poszano-
wanie praw jednostki z rozwiniętym poczuciem społecznego
obowiązku i organizacją społeczną. Starał się też wyraźnie
związać te zalety z zasadami chrześcijaństwa. Mówił niewąt-
pliwie w dobrej wierze i częściowo słusznie, ale mówił
także i dyplomatycznie. Miał wszak do wyzyskania okazję
jaką mu dają Niemcy, atakujące tak brutalnie chrystianizm.
Trudno wręcz było nie zużytkować tej okazji dla pociągnię-
cia światowej opinii chrześcijańskiej ku Zachodowi, na ko-
rzyść tamtejszych mocarstw liberalnych.

Mowa Baldwina nie przebrzmiała bez echa, także
i w Polsce. Borykając się rozpaczliwie z naszą „dekompo-

zycją" wewnętrzną, zagrożeni przez sąsiedzkie totalizmy, z większą niż ktokolwiek zazdrością spoglądamy na świetne mocarstwo tak szczerze wolnościowe, a zarazem tak rządne i tak potężne. Odzywają się więc u nas głosy nadziei i pragnienia czy nie dałoby się ustroju Polski skonsolidować według wzoru Wielkiej Brytanii. Czy to możliwe?

Za wzór ustroju liberalnego uważana była Anglia nie od dziś i nie tylko w Polsce. Według tego wzoru układał już w XVIII wieku Monteskiusz swoją teorię państwa konstytucyjnego opartego na podziale trzech władz: prawodawczej, wykonawczej i sądowej. Według monteskiuszowskiej teorii ułożyły Stany Zjednoczone swą konstytucję, która wszakże okazała się od ustroju Anglii różną nie tylko z powodu swej formy republikańskiej. Według obu wreszcie wzorów anglosaskich układano następnie konstytucje wszystkich państw kontynentalnych europejskich w połowie ub. wieku, w okresie upowszechnienia się liberalizmu politycznego. Pomimo jednak wspólnoty pewnych ogólnie liberalnych zasad, nowe organizacje państwowe różniły się wszędzie głęboko od ustroju Anglii; podległy też odmiennej niżli angielska ewolucji i osiągnęły w dobie dzisiejszej zupełnie różne wyniki polityczne.

Tak się stało po części dlatego, że ustrój Anglii kopowano z „poprawkami“, starając się go prześcignąć demokratycznością. Pomijając Amerykę, której „poprawki“, dokonane jeszcze przed wielką rewolucją francuską, zaakcentowały tylko i usztywniły podział władz, poprawki zachodnio-europejskie przeciwnie dążyły do jak największego uzależnienia rządu od parlamentu, parlamentu zaś od wyborców. Klasycznie przeprowadziła te zmiany republika francuska zatwierdzając formalnie w konstytucji polityczną odpowiedzialność ministrów przed izbami, ograniczając rozwiązalność tych izb oraz przede wszystkim zmieniając prawo wyborcze.

Ta ostatnia „poprawka“ rozpowszechniła się nagminnie na całym kontynencie i stanowi najważniejszą przyczynę dla której ustroje liberalne państw europejskich okazały się tak odrębnymi od parlamentaryzmu angielskiego. Prawo wyborcze stanowi wręcz jego istotę. Decyduje ono o tym,

że aczkolwiek wolnościowy, ustrój ten wcale nie jest tak stuprocentowo demokratycznym, jakby się to na pozór zdawało, i jak to chcieli w swych państwach osiągnąć europejscy naśladowcy Anglii i rzeczywiście też osiągnęli. Ustrój Anglii wyrósł organicznie z jej rozwoju społecznego i korzeniami swymi sięga stanowego państwa średniowiecznego, państwa o charakterze zarazem wolnościowym i autorytatywnym. Z tych właśnie czasów, obok pięknych form symbolizujących tradycję i hierarchizm, obok monarchii i dziedzicznej izby lordów przetrwał po dziś dzień nietknięty obyczaj wyborów większością względną. Kryje on w sobie element wyraźnie władczy, składa decyzję kierunku rządu w ręce nieznaczej, ale najzdolniejszej do inicjatywy — mniejszości wyborców. Na czym ten obyczaj polega?

Okręgi są jednomandatowe, głosuje się tylko raz jeden, bez żadnych „wyborów uzupełniających“. Posłem do izby gmin zostaje kandydat, który otrzymał największą ilość głosów, chociażby jego współzawodnicy łącznie zgromadzili głosów więcej. Reprezentować zatem okręg może przedstawiciel mniejszości nie zaś większości wyborców, jeżeli ma przeciwko sobie więcej niż jednego przeciwnika. Gdyby w większości okręgów występowało do walki wyborczej choćby tylko po trzech kandydatów, to łatwo mogłoby się zdarzyć, że w izbie gmin większość osiągnęłoby stronnictwo, które ma za sobą mniejszość ogółu głosujących. Nie bywa tak tylko dlatego, że opierając się na swoim prawie wyborczym, jak na odwiecznym kamieniu węgielnym ustroju, stara Anglia od wieków również stosuje „system dwupartyjny“ a więc z reguły nie wystawia w poszczególnych okręgach więcej niż dwu kandydatów do parlamentu. Ale i tak jeszcze doświadczenie uczy, że przy jednorazowych głosowaniach, stosunkowo łatwo, niewielką liczbą głosów osiągnąć może przewagę jedna lub druga strona. To też stałym zjawiskiem w Anglii są druzgocące zwycięstwa wyborcze i przygniatające większości parlamentarne tego lub owego stronnictwa.

Pokonani nie biorą zresztą swej „klęski“ zbyt tragicznie, zwycięzcy nie uważają się za dyktatorów, bo jedni i drudzy dobrze wiedzą, iż przygniatająca większość parla-

mentarna odpowiada przeważnie dość skromnej przewadze liczebnej jednego obozu nad drugim pośród ogółu wyborców. Wiedzą również, że ten jakiś, powiedzmy, milion wyborców na 9 czy 10 milionów głosującego gremium, który w danych wyborach oddał $\frac{2}{3}$ lub $\frac{3}{4}$ krzeseł w izbie gmin danemu stronnictwu, w poprzednich wyborach popierał i w przyszłych wyborach znów poprzeć może stronnictwo przeciwne. Ten milion wyborców, stanowiący jęczyczek u wagi między dwu wielkimi odłami społeczeństwa jest rzeczywistym dyktatorem Anglii. Rząd zaś Jego Królewskiej Mości, oparty z reguły na bardzo silnej większości parlamentarnej, dyktatury wprawdzie nie sprawuje, posiada jednak charakter wybitnie autorytatywny. Rząd ten *de facto* nie jest politycznie odpowiedzialny przed parlamentem jako takim, lecz tylko przed jego większością, czyli przed własnym stronnictwem oraz przed jego wyborcami. Ma pełną polityczną swobodę ruchów i zapewnioną trwałość na całą kadencję parlamentarną, a często i na następną. Gabinety parlamentarne angielskie rządzą przeto z reguły 5 do 10 lat, w przeciwstawieniu do francuskich, które rządzą 5 do 10 miesięcy, rzadko dłużej.

Spółczeństwo, czy gremium wyborców dzieli się zasadniczo na dwa tylko wielkie obozy polityczne, zachowawczy i postępowy. Alternują one między sobą u władzy zależnie od tego, jak zadecyduje w danych wyborach ów „dyktatorski” jedno, czy dwumilionowy „języczek u wagi”, który w przeciwstawieniu do stałych grup partyjnych jest zmienny zarówno w swym składzie, jak w „przekonaniach”. Werdykty tej zmiennej grupy wyborców ferowane są zawsze pod kątem polityki czysto praktycznej, nie zaś „ideowej”. Zachowawcy angielscy wyspecjalizowali się tradycyjnie w polityce zagranicznej oraz gospodarczej, postępowcy zaś w społecznej i wewnętrznej. Jedni lub drudzy dochodzą tedy do rządów zależnie od tego w jakim kierunku, zewnętrznym i gospodarczym, lub wewnętrznym i społecznym nasuwają się pilniejsze zadania do realizacji. Po wielkiej wojnie nastąpiła w tym względzie taka tylko zmiana, że dawnych liberałów zastąpiła bardziej radykalna społecznie „partia pracy”. Ale też wyjątkowo tylko dwukrotnie dopuszczana

ona była do władzy i to w dwu wypadkach raczej pod kątem demagogii zewnętrzno-politycznej. W niespokojnych i niebezpiecznych powojennych czasach, ostrożny „języczek u wagi” wśród wyborców angielskich nastawiał się prawie stale zachowawczo. I kraj, jak dotąd nie wyszedł na tym źle.

Ta swoista angielska „demokracja autorytatywna”, to państwo wprowadzie nie monopartyjne, ale też i nie wielopartyjne, lecz jedynie dwupartyjne, mogło dotąd funkcjonować tak świetnie, nie tylko jednak dzięki niedemokratycznym właściwościom swego prawa wyborczego, oraz wynikającym stąd następstwom ustrojowym. Dwupartyjność angielska wyrosła organicznie z rozwoju społecznego i państwowego Anglii. Swoją historyczną początek bierze ona z odrębności interesów i dążeń miasta i wsi, handlu i przemysłu z jednej, rolnictwa z drugiej strony. Gdy w ciągu XIX stulecia gospodarstwo narodowe Anglii, w związku z ekspansją kolonialną i handlową, uległo tak daleko posuniętemu uprzemysłowieniu i urbanizacji, że rolnictwo niemal zanikło, wieś stała się głównie terenem wilegiatury i polowań z chartami, a w miastach osiadło 80% ludności — wtedy i dwupartyjność zmieniła swą dotychczasową społeczną treść. Ponieważ dawniej wieś była konserwatywna a miasta liberalne i postępowe, przeto i nadal jedno ze stronnictw pozostało konserwatywnym, drugie zaś postępowym. Ponieważ jednak oba rekrutowały się teraz już głównie tylko z miast więc żywiołów zachowawczych dostarczała przeważnie góra społeczna, warstwy lub okolice kraju zamożniejsze, postępowym zaś — dół społeczny, warstwy lub okolice kraju mniej zamożne. Na tym tle w okresie stopniowej demokratyzacji dawnego angielskiego państwa stanowego w wieku XIX odbywały się wielokrotnie przesunięcia poszczególnych grup społecznych i politycznych z jednego stronnictwa do drugiego. Najświeższy przejaw pokrewnego rodzaju stanowi zastąpienie liberałów przez *labour-party*.

Pomimo tak licznych społecznych przeobrażeń ostała się w Anglii niefkniętą starodawna, ongi stanowa, zachowawczo-postępowa dwupartyjność. Ostała się po części dlatego, że ułatwiła to większa niż gdzie indziej prostota budowy społecznej, jednostronnie mieszczańskiej. Ostała się

jeszcze bardziej dlatego, że owa uproszczona struktura społeczna sięgała zarazem szczytów rozwoju gospodarczego, zapewniając wszystkim warstwom narodu wyższy niż w innych krajach stopień dobrobytu, państwu zaś — stanowisko pierwszej w świecie potęgi. Dzięki oceanicznemu położeniu, dzięki wcześniejszej niż na kontynencie industrializacji, urbanizacji, oraz liberalizacji, Anglia wkroczyła w epokę wielkomieszczańską i wielkokapitalistyczną w warunkach wyjątkowo uprzywilejowanych. Osiągnęła też w międzynarodowej i społecznej walce o byt wyjątkowo świetne wyniki, stanęła na czele tej epoki i tego, dziś ginącego, świata. Nie dziw, że wobec tak niebywałego powodzenia, takiego „złotego wieku“ w historycznym rozwoju państwa i społeczeństwa angielskiego, to społeczeństwo nie tylko z zapałem realizowało zasady ustrojowe liberalizmu, lecz adorowało je i wyznawało nabożnie, aż zapanował w tym narodzie pewnego rodzaju monoideizm libero-kapitalistyczny.

Całą swoją wewnętrzną i zewnętrzną walkę o byt wygrała Anglia stuprocentowo li tylko za cenę liberalizacji państwa i gospodarstwa. Jej wewnętrzna teoria, jej lokalna „walka klas“, jej osławiony *sweating system* („system średniego potu“ wyciskanego z robotników fabrycznych w pierwszej połowie XIX stulecia) dały jak wiadomo impuls Karolowi Marxowi do opracowania doktryny społeczno-rewolucyjnej, która tragicznie zaciężyła na losach Europy. Ale sama *old England* uporała się z tymi trudnościami daleko szybciej, prościej i taniej, za pomocą umiarkowanych reform, oraz materialnego rozkwitu kraju. Uporała się tak doskonale, że aż po wiek XX była całkowicie niedostępną dla kontynentalnego socjalizmu, że o walce klas, po marksowsku pojętej, słyszeć nie chciały angielskie *trade-unions*, duchowo bliższe średniowiecznym cechom niżli klasowym związkom zawodowym innych krajów. Arystokracją pośród robotników Europy stali się robotnicy angielscy, podobnie jak arystokratyczne miejsce pośród świeżo upieczonych parlamentów europejskich przypadło w udziale angielskiej izbie gmin, choć zdemokratyzowanej w swym składzie. Masy objęły w Anglii suwerenną władzę nad państwem, podobnie jak i w innych ustrojach liberalnych, ale zdobywszy władzę

posłusznie wdrożyły się do służby Anglii, ponieważ nie mogły wątpić, że jej potęga i świetność są identyczne z ich własną ludową pomyślnością. Oddając się w służbę Anglii masy umiały uznać kolej jej historycznego rozwoju, wejść w nią, przystosować się i nagiąć do niej, uznać zatem i podporządkować się pewnej hierarchii, choćby same ją powoływały do sprawowania rządów. Stąd nie zamarło, owszem przetrwało w demokracji angielskiej poczucie społecznego obowiązku i karności, wraz z przywiązaniem do tradycyjnych form życia państwowego.

Stąd wreszcie, co najważniejsza, pochodzi stosunkowo słabe natężenie antagonizmu politycznego między angielskimi stronnictwami. Oba one wyrażając się kontynentalnie, prawica i lewica, weszły nieomal w sam skład ustroju państwowego, jako jego podstawowe instytucje. Wielkie odłamy społeczeństwa, przez nie reprezentowane, mają nieraz interesy i dążenia rozbieżne, scierają się też między sobą ostro, ale nigdy waga tych partykularnych interesów i dążeń nie wzmacnia się tak dalece by mogła stać się przedmiotem jakiejś zawziętej i przewlekłej walki na życie i śmierć, by mogła swą doniosłością odsunąć na drugi plan lub nawet zniweczyć narodowo-państwową rację stanu. Przeciwnie Anglia jako taka dzięki swemu rozkwitowi i potędze stała się dobrem bezwzględnie najwyższym i najrealniejszym dla obu współzawodniczących o władzę obozów politycznych. Rozmaite pojmowanie zagadnień poszczególnych, nie sięga nigdy tak głęboko, by od niego mógł wprost zależeć np. ustrój państwa, lub zakres jego zewnętrznej potęgi. Te rzeczy są poza nawiasem walk partyjnych. Oba stronnictwa zarówno oddane są Anglii takiej jaką ona właśnie jest dziś, oba są z niej dumne, oba pragną ją utrzymać jak najdłużej na obecnym poziomie świetności, oba ufają sobie w tym względzie nawzajem jak najzupełniej, mogą więc z całkowitym *fair play* ustępować sobie wzajemnie rządy państwem.

Jest to idylla możliwa jedynie na takich szczytach gospodarczego i politycznego powodzenia na jakie wspierała się Wielka Brytania w epoce wielkomieszczańskiej. Harmonia i równowaga jej ustroju są przede wszystkim odbiciem długiego szeregu sukcesów historycznych. Dwakroć szybciej

niżli państwa kontynentalne przekroczywszy okres renesansowego absolutyzmu, Wielka Brytania weszła w epokę libero-kapitalistyczną nie utraciwszy kontaktu ze stanową i autorytatywną spuścizną średniowiecza. Umiała ją przechować i zastosować do nowych zadań, chroniąc się dzięki niej i dzięki materialnemu rozkwitowi od zwyrodnień demoliberalizmu kontynentalnego.

Czołowe, przodownicze państwo wielkomieszczańskiego świata i najwspanialszy wyraz jego dziejowych osiągnięć — pozostaje stara Anglia u szczytu pomyślności aż po dzisiejszy dzień. Sama jedna, obok Ameryki, okazała się dotąd zdolną zwycięsko stawić czoło wielkiemu kryzysowi, który rozsądza kontynent Europy. Kryzys to jednak złowrogi również dla Anglii, gdyż ogarnął najistotniejsze podstawy kapitalizmu oraz zmusza do nowego podziału terytoriów na globie. „Dumny Albion“ ogromem swych imperialnych i światowohandlowych przewag staje w wielkiej mierze w poprzek racjonalnym rozwiązaniom tego kryzysu. Karmiąc swój lud kosztem światowego gospodarstwa, zgarniając zeń góry złota, przekształca je Wielka Brytania w coraz to liczniejsze eskadry morskie i powietrzne. Z bronią u nogi strzeże swego „pustego“ imperium przed wybuchem energii zduszonych w przetłoczonej życiu ludzkim Europie. Zaciąga się więc chmurami widnokrąg ponad słońcem Wielkiej Brytanii. Ale choć pochyliło się już ono wyraźnie ku zachodowi, dotąd jeszcze jaśnieje w nieprzyćmionym blasku.

Rozkład demokracji kontynentalnej.

Za to na kontynencie jest coraz mroczniej. Zdawna było tam o wiele mroczniej niżli na szczęśliwych wyspach pośród Oceanu. Dlatego właśnie, choć od początku epoki wielkomieszczańskiej z zazdrością spoglądano na ustrój Wielkiej Brytanii, nie śmiano go naśladować w pełni. Naśladowano tylko fragmenty najbardziej odpowiadające zasadom liberalizmu, omijano zaś jak zarazę, autorytatywne podstawy. Wydawały się one i były rzeczywiście dla kontynentu za mało demokracyjne. Ażeby mogły funkcjonować poprawnie w jakimś innym niżli Anglia kraju, musiałby ten

kraj upodobnić się do Anglii również w swej budowie społecznej, jej historycznym rozwoju oraz położeniu geopolitycznym. Ponieważ zaś te właściwości Anglii są niepowtarzalne przeto i ustrój jej w swym harmonijnym całokształcie nie da się przenieść gdzie indziej.

Na kontynencie, np. we Francji, budowa społeczeństw choćby ilościowo mniej potężnie rozwinięta, jest jednak jakościowo bardziej złożona i różnorodna. Położenie gospodarcze i polityczne przedstawia więcej niebezpieczeństw i trudności. Walka z nimi kształtowała się o wiele dramatyczniej, osiągnięte wyniki pomyślności społecznej i państwowej są dużo skromniejsze; przez długi czas bywały niewystarczające, a dziś szczególnie nie dorównują potrzebom. To też na kontynencie wrzała od początku epoki liberalnej tak wytężona, wewnętrzna i międzynarodowa walka o byt, jakiej nie zaznała Wielka Brytania, a przynajmniej szybko i szczęśliwie zdołała ją opanować.

Na kontynencie, w odróżnieniu od Anglii, powstało w budowie społecznej miasto i wieś z jego przyrodzoną choć względną tylko rozbieżnością dążeń. Równolegle wzmoógł się w epoce liberalizmu antagonizm społecznej góry i dołu, tak na wsi między rolnictwem drobnym a wielkim, jak w miastach między robotnikami i fabrykantami. Dostarczyło to znacznie liczniejszych punktów wyjścia dla tworzenia obozów politycznych niżli w Anglii. Nie dość na tym. Natężenie sprzeczności interesów było tak silne, że z niego wyrosła światowa doktryna marksistowska rewolucji społecznej oraz żywiołowe antagonizmy nacjonalistyczne na tle międzynarodowym. Jeśli do tego dołączyć żywe zainteresowania łączące te lub owe klasy ludności z tymi lub innymi ustrojami państwowymi, które zmieniały się w ogniu rewolucyj i wojen, to okaże się zrozumiałem, iż na kontynencie demokracje musiały się stać wielopartyjne, walka zaś o władzę między partiami musiała przybrać znacznie ostrzejsze formy niżli w Anglii. Mowy tutaj być nie mogło o takiej idyllicznej alternacie u steru rządów między prawicą i lewicą jaka miała miejsce za Kanałem. Czyż mogli sobie wzajemnie co parę lat ustępować władzę republikanie i monarchiści, w pierwszych czasach trzeciej rzplifej francuskiej? Czy obecnie

może podobnie postąpić prawica i komuniści? Czy w sejmowładnej Polsce powojennej mogły spokojnie wymieniać się w kierownictwie nawą państwową endecy i pepesowcy? Wszak każde z tych stronnictw ma tak biegunowo odwrotne dążenia i tak wielką do nich przywiązuje wagę, że wywróciłoby na nice wszelką robotę państwową swych poprzedników w rządzie; państwem zaś miotanoby co parę lat pomiędzy najsprzeczniejszymi kierunkami reform i polityki wewnętrznej i zewnętrznej. To nie byłoby tak jak w Anglii gdzie obyczaj konstytucyjny zabrania danemu rządowi cofać prawa uchwalone przez poprzednią, odmiennego kierunku legislaturę. To też na kontynencie nigdzie nie wprowadzono angielskiego prawa wyborczego, lecz stworzono inne formy bardziej demokratyczne. Skutkiem tego parlamenty stały się wielopartyjne, a rządy w państwach liberalnych słabe, nietrwałe i chwiejne.

Tym ostrzejsza zato stawała się przewlekła walka między partiami o władzę, aż przeszła w stan chroniczny wtrącający państwa liberalne w daleko posunięty bezwład. W szczególności antagonizm wielkich, najsilniej rozbieżnych prądów i obozów społecznych prawicy i lewicy, przeobrażony w czasach powojennych w nacjonalizm i komunizm, rozwinął się do tragicznych napięć, w przeciwieństwie do stanu rzeczy w Wielkiej Brytanii. Gdy tam olbrzymia wartość „wspólnego dobra wszystkich obywateli“, jakim jest państwo, okazała się tak ogromną i tak realną, że zdolną była okiełznać antagonizm prawicowo-lewicowy i zaprząć do służby państwowej, to na kontynencie wręcz odwrotnie pod naciskiem wielkiego kryzysu, antagonizm prawicowo-lewicowy spotęgował się do stopnia wybuchowego. Wybuch, o ile już nastąpił i szybko doprowadził do rozstrzygnięcia, zniszczył wielopartyjną demokrację, zastępując ją monopartyjną dyktaturą, prawą lub lewą. Tak się stało we Włoszech i w Niemczech, a dawniej jeszcze i z odmiennych założeń w Rosji.

Ta droga wszakże, droga totalizmu, okazała się dla ewolucji ustrojowej państw europejskich dostępną jedynie tam gdzie istniały wyraźnie określone warunki, koncentrujące narodową walkę o byt na zewnątrz lub na wewnątrz

państw. Instynkt samozachowawczy narodów pchnął więc rozstrzygnięcia ustrojowe w przeludnionych Włoszech i Niemczech na prawo ku dyktaturom nacjonalistycznym, gdy w Rosji przeciwnie utrwalił dyktaturę społecznie rewolucyjną.

Gdzie indziej powikłania są bardziej złożone i nie dają się przeciąć jednym ciosem miecza w zamachu stanu. Hiszpania nie ma żadnych zagrożeń, ani żadnych dążeń zewnętrznych, jest zaś zacofana społecznie, dlatego Lenin uważał ją za pierwszą kandydatkę do przewrotu komunistycznego. Jednak doświadczenie rosyjskie tak silnie kwestionuje zdolność komuny do racjonalnej przebudowy społecznej, tradycje zaś kulturalne Hiszpanii tak bardzo są z materializmem komunistycznym sprzeczne, że przewrót antydemokratyczny wprowadzie tam wybuchnął ale siły walczące okazały się równe i unieruchomiły się wzajemnie. Przed oczyma świata Hiszpania zademonstrowała przykład jak bezpłodnym, a groźnym stać się może natężenie antagonizmów społeczno-politycznych jeśli przeważą nad powściągającą siłą uczucia narodowego oraz poszanowaniem władzę i powagę państwa. Grozi wówczas zniszczeniem jedności państwowej narodu, o ile nie wręcz jego niepodległości.

Ten ostrzegający przykład jest szczególnie wymowny dla dwóch innych jeszcze państw Europy, dla Francji i dla Polski. W jednej i drugiej natężenia zagrożeń wewnętrznych i zewnętrznych prawie się równoważą nie dając wyraźnego wskazania kierunków ewentualnej totalizacji. W jednej i drugiej przeto, zwłaszcza zaś we Francji, wre zacięta wewnętrzna walka społeczno-polityczna, pomimo coraz wzrastających niebezpieczeństw międzynarodowych. Jedna i druga przeto ze zdwojoną zazdrością spoglądają na harmonijny spokój, wewnętrzną równowagę i zewnętrzną potęgę — Wielkiej Brytanii.

Niestety wzór jej nie da się przenieść gdzie indziej, gdyż stanowi wyraz ustrojowy triumfującego libero-kapitalizmu. Tenże sam libero-kapitalizm wytworzył gdzie indziej tak złośliwe komplikacje, zazębiania interesów oraz gospodarcze, społeczne i polityczne zaułki bez wyjścia, że wyjście

to znaleźć można i osiągnąć harmonię ustrojową analogiczną do angielskiej, jedynie poza obrębem gospodarczego i politycznego liberalizmu. Przełom w tym kierunku wskazują też jako nieuniknione i narzucają go coraz natęczywiej wzmagające się trudności.

Ani Francja ani Polska nie chcą i nie mogą „totalizować się” w duchu faszyzmu, tym mniej zaś komuny. Ani Francja jednak ani Polska nie zdołają już długo wytrzymać nacisku bezładu i niebezpieczeństw gospodarczych, potęgujących również chaos polityczny. Tak Francja przeło jak Polska naturą swego położenia w pierwszym rzędzie zmuszone są poszukiwać harmonii ustroju politycznego w najściślejszym związku z budową nowego harmonijnego ustroju gospodarczego i społecznego. Jedynie bowiem na tej drodze opanować się dadzą niebezpieczeństwa gospodarcze. Jedynie zaś po opanowaniu tych niebezpieczeństw można dopiero złagodzić antagonizmy prądów i grup społecznych, poskromić je wysiłkiem i powodzeniem współdziałania; a w ślad za tym wytworzyć nowy prąd ideowy, syntetyczny w stosunku do prądów działających obecnie, jednoczący nie zaś rozsadzający. Jedynie na tej drodze da się we Francji i w Polsce uporządkować psychikę i dynamikę społeczną, doprowadzić ją do stanu harmonii zdolnej zrównoważyć w ustroju wolność i moc.

Zarówno jednak we Francji jak w Polsce świadomość tej konieczności nie dość jest jednak rozpowszechniona, tym mniej nie ustaliła się świadomość konkretnych nowych dróg jakie do tego celu prowadzą. Szczęściem w nieszczęściu nazwać by więc można fakt, że wywiązujące się a niepokonalne trudności gospodarcze wysadzać będą wprost przemocą i coraz gwałtowniej oba gospodarstwa narodowe z kolein liberalizmu i wprowadzać je na nowe tory. Inna rzecz, że o ile będzie się to działo tak jak dotąd wyłącznie w postaci krótkowzrocznych odruchów obronnych wobec nacierających zagrożeń, (sięgać zaś te odruchy będą musiały coraz głębiej) to nie uniknie się przy tym eksperymentów fałszywych, zdobywających doświadczenie kosztem niebezpiecznych powikłań i strat.

Problematyka demokracji polskiej.

Trzeba podkreślić fakt, iż mało gdzie przedstawia się budowa społeczna tak dysharmonijnie jak w Polsce i to tak po jej państwowym wskrzeszeniu jak i obecnie. Pochodzi to przede wszystkim z tego, że kraj rozwijał się i ludność jego rozrastała się w okresie niewoli w obrębie wielkich obcych gospodarstw narodowych. Poszczególne zabory zajmowały w nich miejsce upośledzone; nie mogły się więc rozwijać lub rozwijały się tylko jednostronnie. Dzięki temu na obszarze Polski wskrzeszonej mogła zaistnieć ludność tak liczna jak w normalnych państwach kapitalistycznych, natomiast kraj w swej całości był nader zacofany w zakresie industrializacji, urbanizacji i kapitalizacji.

Należyte montowanie jednolitego i wszechstronnie rozwiniętego narodowego gospodarstwa było w tych warunkach, przy braku kapitałów i urządzeń technicznych, pracą zaiste syzyfową. Nie można było wyrównać, nie wyrównał też dotychczas i nie uda się wyrównać w drodze normalnego rozwoju kapitalizmu tych przepastnych dysproporcji jakie w Polsce dzielą najistotniejsze konieczności życiowe społeczeństwa w stosunku do środków ich zaspokojenia.

Na tle tej nędzy wyjątkowej a powszechnej rozgorzała w Polsce, natychmiast po jej państwowym wskrzeszeniu, niesłychanie zacięta społeczno-polityczna walka o byt, a więc antagonizm interesów i dążeń poszczególnych grup społecznych. Skutecznie wtórowały tym starciom, objęły nawet wództwo nad nimi doktryny i prądy ogólnie europejskie: prawy i lewy, narodowy i klasowy. W skład tej atmosfery bojowej wszedł wreszcie także czynnik najbardziej swoisty i rodzimy, wywodzący się z tradycji zbrojnych walk w okresie niewoli — obóz niepodległościowy.

Napięcie walk wewnętrznych doszło do krytycznego dla państwa punktu w przełomie majowym 1926 roku. Gdzie indziej przełomy takie wychodziły z łona jednego z dwu wielkich prądów społecznych, prawego lub lewego, i totalizowały ustrój państwowy na korzyść obozu zwycięskiego. W Polsce zdobył orężem władzę państwową prąd trzeci, któryby można nazwać państwowo-obiektywnym, ale który właśnie dlatego pozostawał poza obrębem „prawicy i lewicy”,

a państwa totalizować na korzyść żadnego z nich nie chciał i nie mógł. Nie chciał go jednak również i nie mógł totalizować na korzyść własną, ponieważ waga mas w dynamice społecznej musi być uwzględniona w ustroju nawet wtedy, gdy zostaje odsunięta z pierwszego planu na rzecz autorytetu. Stąd wyłoniła się połowiczność wyników przełomu majowego w ustrojowej ewolucji państwa polskiego. Nie nastąpiła totalizacja, ale nie nastąpiła również i pacyfikacja... przeciwnie pole walki wewnętrznej skomplikowało się w przewlekłym starciu nie dwóch, jak to bywa gdzie indziej, ale trzech sił walczących.

Stroną dodatnią okazało się tylko ujawnienie w życiu państwowym, poprzednio zależnym wyłącznie od demokratycznego pierwiastka siły liczebnej, zasady autorytetu władzy idącej z góry, opartej o jakościową przewagę rządzącej mniejszości tzw. — „elity”. Było to doświadczenie ustrojowe cenne, przed tym bowiem w świadomości ogółu polskiego wcale nie istniała myśl o możliwości jakiegokolwiek innego systemu rządów, jak tylko skrajnej, parlamentarnej demokracji.

W takim stanie dotrwała Polska aż do zgonu ś. p. Marszałka Piłsudskiego, oraz do wejścia w życie nowej Konstytucji. Konstytucja ta została ogłoszona w stosunkowo niewielkim, dwuletnim odstępie czasu po totalizacji Niemiec przez Hitlera, od totalizmu wszakże dość jest odległą. Za pewien jego odblask można uważać tak w samej Konstytucji, jak zwłaszcza w forsowanej przez pewien czas propagandzie — gloryfikację państwa jako takiego, podnoszenie go powyżej narodowości i dążność do podporządkowania jednostki państwu. Poza tym Konstytucja kwietniowa usiłuje syntetyzować ustrojowo autorytet władzy państwowej, wyniesionej ponad społeczeństwo i mało od niego zależnej, z pewną dozą liberalnej swobody ruchu pozostawioną temuż społeczeństwu, a nawet pewnym jego wpływom na rządy. Wyraziła się ta dążność z jednej strony w ograniczeniu prawa budżetowego i prawa rekrutacji wojskowej na niekorzyść izb parlamentarnych, z drugiej zaś strony — w pozostawionej zasadniczej przewadze w dziedzinie ustawodawczej. W tym zakresie prezydent rozporządza jedynie prerogatywą veto zawieszającego, izbom natomiast przysługuje

ostatnie i rozstrzygające słowo, przy większości wprawdzie kwalifikowanej, ale niższej niżli np. w Ameryce.

Myślą przewodnią zarówno tej konstytucji, jak w ogóle rządów pomajowych jest pewnego rodzaju symbioza autorytetu z liberalizmem politycznym, oraz liberalną również gospodarką narodową. Ta myśl zdaje się nie być pozbawiona styczności z wzorami anglosaskimi, zwłaszcza amerykańskimi, gdzie moment autorytatywny skupia się u góry państwa, w osobie prezydenta, nie zaś jak w Anglii, u dołu, w prawie wyborczym.

Mimo to w Polsce, jak w ogóle poza obrębem krajów anglosaskich, taki mieszan, liberalno-autorytatywny ustrój przeszczepić się nie da. Nie da się przeszczepić dlatego, że wymaga szczytowego rozkwitu liberalnego gospodarstwa. Tam gdzie pod tym względem było trudniej zapanowały swego czasu ustroje polityczne stuprocentowo i jednostronnie liberalne. Tam gdzie gospodarka liberalna znajduje się jak obecnie w stanie kryzysowego przełomu, ustrój polityczny chwieje się również przełomowo i przechyla albo ku dyktaturze monopartyjnej, albo też pozostając liberalnym grzęźnie w bezwładzie i grozi anarchią.

Dlatego tak trudne, cierniste zadanie przedstawia w Polsce zjednoczenie narodu z państwem. Jego konieczność uznawana jest powszechnie, a mimo to dotąd okazała się nieosiągalnym mitem. Przed majowym przełomem stawiała temu zjednoczeniu w poprzek zajadła waśń prawicy z lewicą, po majowym przełomie niemniej zajadła waśń obojga opozycji z obozem rządzącym. Obecnie myśl zjednoczeniowa poczyniła wprawdzie postępy, wydaje się jakoby poczyniała przeważać nad siłami odśrodkowymi, a to pod naciskiem coraz cięższych zagrożeń społeczno-gospodarczych, szczególnie zaś zewnątrzno-politycznych. I tym razem jednak zjednoczenie napotyka na bardzo poważne przeszkody. Tkwią one po części nadal w tym, że obóz rządzący pragnąłby zachować autorytet władzy nadrzędnej i usiłuje nakłonić społeczeństwo dotąd opozycyjne lub bierne do podporządkowania się jej. Społeczeństwo zaś ze swej strony ciąży jeszcze nadal raczej ku likwidacji nadrzędności władzy i przejęcia jej tytułem nieograniczonej demokracji.

Obok tych przeszkód poniekąd stereotypowych, choć nieco złagodzonych, napotyka jednak obecnie idea zjednoczenia narodu z państwem coraz wyraźniej inne jeszcze, poprzednio mniej doszczegalne. Największą tragedią Polski stanowi fakt, że ani obóz rządzący ani społeczeństwo nie zdaje sobie należycie sprawy z natury nowych zadań jakie się narzucają państwu, oraz nowych dróg wiodących do ich rozwiązania. Rozwiązanie to nie jest do osiągnięcia w ramach kapitalizmu i liberalizmu gospodarczego, ani w Polsce, ani gdzie indziej, choć dla przyczyn częściowo odmiennych. Rozwiązanie to wymaga środków heroicznych oraz głębokiej przebudowy ustroju gospodarczego, społecznego i politycznego. Rozwiązanie to nie może być przeprowadzone w demokracji parlamentarnej z taką atmosferą psychiczną, jaka jej dotąd była właściwa, gdyż wymaga głęboko przemyślanego, śmiałego i twórczego planu, oraz jednolitej woli, silnej ręki, wielkiej odwagi i wytrwałej konsekwencji w działaniu.

W Polsce mnożą się coraz bardziej objawy naglącej konieczności takiego działania, ale planu i wództwa, które by stanęły na odpowiednim poziomie i mogły zapewnić sukces, dotąd nie ma. Zarówno obóz rządowy jak stronnictwa opozycyjne i społeczeństwo gospodarujące nie są dotąd zdolne przekroczyć zakłętego widnokręgu doktryn, pojęć, dążeń oraz interesów grupowych wytworzonych w państwie i gospodarstwie liberalnym. Dlatego rzeczywistość kształtuje się coraz bardziej pod wpływem sił żywiołowych, raz wraz wybuchających w postaci zagrożeń, lub odruchów samoobrony. Obóz rządzący i partie usiłują je wprowadzić opanować i skanalizować doraźnie, ale ponoszone są raczej przez nie niżli nimi kierują. Do takich spraw należy w pierwszym rzędzie kwestia żydowska na tle przeludnienia wsi i niedostatecznej urbanizacji kraju, taż sama kwestia żydowska na uniwersytetach i w zawodach wolnych, sprawa drożyzny i walki z nią, sprawa bezrobocia miejskiego, budżetów miejskich, podatków samorządowych itp. Są widoki, że te sprawy będą się stopniowo raczej zaostrzały niżli łagodniały, a obok nich mogą wystąpić również inne.

To też inteligencja polska nie od dziś zaczęła już wątpić w swoje siły i oglądać się na ocalenie jakie by miało krajowi przynieść wódzstwo z dołu, wódzstwo żywiołowego pędu od strony przypartych do muru i wprawionych w rozpęd mocą zagrożonego instynktu samozachowawczego mas. „Chłopi idą! Młodzie idą!” itp. okrzyki świadczą wymownie co wart jest intelekt polski wyhodowany w liberalizmie i materializmie, a postawiony w obliczu niebywałego dziejowego przełomu. Przełomu rozwiniętego konsekwentnie z tych samych przyczyn, które wywołały swego czasu wielką wojnę i tak niespodziewany dla wielu Polaków „wybuch Polski”.

Dziś chodzi o to, ażeby tę Polskę, która już „wybuchła” a dotąd uspokoić się nie może, zorganizować tak, by się okazała istotnie zdolną do trwałego życia państwowego, a także do wypełnienia historycznych zadań od niego nieodłącznych i życie to warunkujących. Kto tego w Polsce dokona? Ambicje w tym kierunku ujawnia i czyni wysiłki, najbardziej do tego z tytułu swej pozycji w państwie powołany, obóz rządzący. Ale jego poczynania dotąd poruszają się w płaszczyźnie, na której pozytywnych rozstrzygnięć dziejowych osiągnąć nie podobna.

Ze strony znów społeczeństwa z niemieckim uporem wciąż odgrzewana jest myśl, że jednak „demokracja lepiej odpowiada naturze Polaków niżli totalizm” zatem powrócić do niej należy, oczywiście do tej stuprocentowej „prawdziwej” demokracji, jaka była przed majem. Wysuwa się przy tym argument, że właśnie taka demokracja jak francuska, lub przedmajowa polska, okazały się zdolne do oporu w obliczu wojennych natarć na niepodległość narodową. Tak jest istotnie. Tylko że „prawdziwe” demokracje zdobywają się na zwarty i heroiczny wysiłek jedynie dla bezpośredniego oporu najazdów. Gdy odpór się powiedzie, natychmiast po tym popadają w zajadłą waśń wewnętrzną, która prowadzi z kolei do wojny domowej i znakomicie poprawia widoki dla następnego najazdu. Ponad to, jak powiedziano, Polsce zagraża nie tylko niebezpieczeństwo zewnętrzne, lecz także niczym mu nie ustępujące niebezpieczeństwo wewnętrzne społeczno-gospodarczego rozkładu. Jedno i drugie, ze-

wewnętrzne i zewnętrzne pole zagrożenia wymagają nie tylko bezpośrednich odruchów odporu do jakich zdolna jest demokracja, lecz jeszcze bardziej celowego, wytężonego, planowego czynu w szerokiej perspektywie.

Jeśliby się okazać miało, że takiego czynu o wielkiej skali dziejowej Polska w obecnej swej przejściowej postaci rozwinać nie jest zdolna, wówczas może istotnie być zmuszona odeprzeć ewentualny nowy najazd systemem z r. 1920. Potem zaś wypadłoby ponownie rozwinać demoliberalne harce wewnętrzne w kierunku wojny domowej celem wyłonięcia w nowym doborze społecznym takiego wództwa, które by zdolne było przeprowadzić kraj przez zakręt dziejowy ku odrodzeniu w nowej epoce.

Czy jednak Polska wytrzymałaby tak straszliwe próby?

St. Szczutowski.

Roczny bilans rządów Frontu Ludowego.

Pierwszy rok doświadczeń politycznych p. Bluma należy obecnie już do historii. Przez ten czas ewolucja we Francji rozwijała się w przyspieszonym tempie, grożąc co chwilę krwawą przemianą w rewolucję. Dojście Frontu Ludowego do władzy obudziło tak we Francji, jak zagranicą, spreczne uczucia obaw oraz nadziei. W ciągu jednak ubiegłych 12 miesięcy, ani jedno, ani drugie nie doczekały się urzeczywistnienia. Program koalicji między radykałami a socjalistami z pod znaku Marksa został utrzymany w ramach republikańskiej praworządności. Mówiąc inaczej: wilk był syty i koza cała. Uszanowano zarówno dążenia wolnościowo-indywidualistyczne kozy: pana Seguin'a, jak marzenia o kolektywie i czerwonym totalizmie wilków ze skrajnej lewicy: Marceau — Pivert'a oraz Thorez'a.

Owocem wielu kompromisów, a kilku kompromitacyj, równocześnie bilansem burzliwego wykonywania władzy są wszakże liczne zdobycze, osiągnięte w dziedzinach społecznej oraz duchowej. Przeczyć tym osiągnięciom mogłaby jedynie zła wola, czy zaślepienie partyjne. Do zdobyczy na terenie społecznym zaliczymy: nową ustawę o pracy, nie wyłączając z niej czterdziestogodzinnego tygodnia roboczego; płatne urlopy oraz większość punktów tzw. ugody Matignon. Do zdobyczy w dziedzinie duchowej zaliczamy dowody niewątpliwej tolerancji oraz pojednawczego ducha, składane wielokrotnie przez premiera Bluma i jego sztabowców. Rząd Frontu Ludowego unikał starannie wszelkich pozorów agresywnego antyklerykalizmu; niejednokrotnie też potrafił uszanować tradycje narodowe. Wreszcie nie dał się

wciągnąć w żadne ryzykowne przedsięwzięcia zbrojne, ani w wojnę domową, ani też w europejską, mimo że szaleni doktrynerzy stronnictw socjalistycznych pchali ze wszystkich sił bądź do interwencji w Hiszpanii, bądź do prześladowania stronników „lig buntowniczych“, bądź do prowokacyjnych wystąpień względem Italii albo rządu w Burgos.

Zachowanie takiego umiaru i to na tylu różnorodnych odcinkach, mogło z łatwością narazić szefów rządu francuskiego na mnóstwo najrozmaitszych przykrości. Narazić się mogli nie tylko na utratę popularności, ale i na zarzut zdrady dotychczasowych swych ideałów, w niejednym zaś wypadku nawet na zabójczą śmieszność fałszywego położenia. Można też było łatwo sformułować zarzut, iż swymi rządami zadają kłam dawniejszym swym pismom i czynom. Rząd p. Bluma nie ułękł się tego wszystkiego. Sam premier, z cylindrem w ręku, bywał obecny na rewiach wojskowych; salutował sztandary i przechodził przed frontem kompanii honorowych, nie mających nic wspólnego z ideałami frontu ludowego. Towarzysze Jouhaux i Duclos brali udział w wystawnych bankietach i przyjęciach reprezentacyjnych. Żydzi, Zay i Lewy, wzięli udział w obchodach religijnych ku czci św. Joanny d'Arc. Jeden z nich przewodniczył religijno-narodowej uroczystości obok ks. kardynała Suhard; drugi w tej samej okazji wręczał biskupowi Orleanu sztandar bohaterkiej Dziewicy. Te różnorodne a znamienne fakty mają swą wymowę. Mówią nam one najpierw o przemożnym znaczeniu Żydów w Rządzie Frontu Ludowego. (To ostatnie zjawisko znajdzie prawdopodobnie kiedyś swój epilog w gwałtownym wybuchu nieprzebierającego w środkach antysemityzmu). Oprócz tego owe ukłony przed Kościołem, wojskiem i salonem wskazują wprawdzie na złagodzenie metod walki politycznej, ale bynajmniej nie na jakiś istotny zwrot w celach, do których dąży zjednoczona lewica. Wielu katolików dało się niestety uwieść zgubnym złudzeniom. Oczarowani wystęпами p. Bluma, jego wykwinnością, uprzejmością, nawet wykształceniem literackim, uwierzyli w możliwość współpracy z jego rządem. Co więcej — dali się nawet wziąć na lep obłudnej dobroduszości przywódców komunistycznych! Ale i to nietrudno zrozumieć; wszak ludzie

wierzący przeżyli we Francji ciężki okres podczas hegemonii radykalizmu. Dlatego opanowała ich silna pokusa, aby teraz oddać przyjazny uścisk dłoniom, które do nich wyciągnięto. Nie bez wzruszenia usłyszeli wezwanie, skierowane do „braci katolików”... i, również, z przyjemnym zdziwieniem ujrzeni napisy powitalne, zredagowane przez młodocianych bolszewików na cześć jocisteów (katol. stow. młodz. robot.) A nie były to wypadki wyjątkowe, gdyż treść tych haseł powtarzano wielokrotnie i w różnych odmianach w prywatnych rozmowach. U olbrzymiej większości Francuzów góruje nad wszystkim innym wstręt do rozwiązań bezwzględnych i totalnych. Jeżeli pod pewnym względem jest to niezmiernie cenną zaletą, to równocześnie kryje w sobie podwójne niebezpieczeństwo. Przy tym bowiem nastroju ducha łatwo pogodzić się ze wszystkim, co nie razi gwałtownie uczuć czy rozumu; łatwo też jednak zapomnieć o ostatecznym celu, który zgrabnie manewrująca polityka maskuje szeregiem posunięć oraz ostrożnych a stopniowo dozowanych przemian.

Rozsądny umiar p. Bluma; pauzy, które umiejętnie wstawia między poszczególne punkty swojego programu; okres rozejmu, który potrafił narzucić za pomocą magicznego słowa: „wystawa” — wszystko to służy triumfom socjalizmu lepiej i skuteczniej, niż by to mogły osiągnąć niezgrabne i brutalne reformy narzucone przez zespół czysto maksistowski, zdecydowanie antyklerykalny a prowadzony przez mniej zręcznego szefa.

Główny rezultat rocznego funkcjonowania nowego reżimu streszcza się w uderzającym-fakcie, iż wysoce rozumna taktyka premiera utrzymała w szachu antymarksistowską większość, zwartą w sobie i liczebnie mocną. Większość ta nie zdołała przeciwstawić własnej koalicji eksperymentowi socjalistów. Co więcej, została nawet zmuszona do częściowego poparcia socjalistycznej akcji, zsolidaryzowania się z nią a przynajmniej biernego poddania się jej prądowi, bez poważniejszych prób czy możliwości energicznego oporu. Przyczyna zaś tego znamiennego faktu, jedyna i prawdziwa leżała w braku poparcia ze strony szerokich mas. Masy te bowiem, tolerując wyrozumiałe nieszkodliwe słowa czy gesty opozycji, nie byłyby zatwierdziły żadnych innych wystąpień,

ani przeciwko zarządzeniom, zgodnym z nietykalną dla tłumów praworządnością republikańską, ani przeciwko ludziom, głoszącym umiarkowanie i stosującym je w praktyce.

Na nic się nie zda opisywać bohaterskie czyny Lig, rozwiązanych, a po tym wskrzeszanych pod nowymi nazwami, brzmiącymi tym razem już legalnie i po republikańsku. Nie warto także przytaczać słownych interwencji niezadowolonych senatorów i oburzonych — przynajmniej w ogólnym mniemaniu — posłów. Świetni ci mówcy, w rodzaju „książąt lotaryńskich“, czy pocziwych przedstawicieli ludu paryskiego, Chouan'ów albo gorącego Numy Roumestan'a, nie znaleźli wszakże słuchaczy, skłonnych do wyciągnięcia wniosków ostatecznych i zdecydowanych na kontr-rewolucję. A przecież tylko ten gwałtowny środek mógłby powstrzymać skutecznie nieodparty poza tym, bieg ewolucji rewolucyjnej, albo — jeśli kto woli — rewolucji ewolucyjnej, przybranej w sławne wizytowe rękawiczki p. Leona Bluma.

Członkowie byłej organizacji Krzyża Ognistego wraz ze swym przywódcą, hr. de la Rocque, urządzali manifestacje i masówki a potem ucharakteryzowali się na legalną partię polityczną i niby drugi św. Genezjusz, przejęli się na serio rolą, którą zamierzali jedynie udawać. Tym samym wyrzekli się innej, ale rozstrzygającej roli, którą mogli byli odegrać na arenie politycznej. Ten, którego wrogowie nazywają „colonel de la Loque“, (płk. „Strachy na Lachy“) rościł sobie prawo do obdarzenia Francji nową mistyką. To samo uczynił Hitler w Niemczech. Jednakże Hitler stworzył doskonale skompletowaną armię, która ma zapewnić zwycięstwo jego mistyce socjalistyczno-narodowej. Umiał też, w legalnych ramach praw republiki weimarskiej, zdobyć dla siebie przewagę głosów. Natomiast pierwszy występ społecznego stronnictwa płk. de la Rocque na scenie wyborczej zaznaczył się sromotną klęską. W jednym z „najlepiej myślących“ okręgów zwyciężył kandydat z grupy Flandin'a. Ostatecznie, wojownicy z pod znaku Krzyża Ognistego mniej przerażają niż grożące najazdem bataliony swastyki i pełnią głównie funkcję straszaków, z których marksieści od czasu do czasu robią użytek, aby tym sposobem podniecać przeciw dyktaturze słabnącą wolę suwerennego ludu.

Front Ludowy nie obawia się żadnej z tych Lig, które rozwiązał i przeciwko którym uruchamia dzisiaj swoje trybunały. Tak samo nie obawia się dawnych stronnictw prawicowych. Świetna plejada Henriotów i Dommange'ów, Ibar-negaray'ów i Taittinger'ów nie zdołała nigdy sprowadzić wyborców, oddanych dwom międzynarodówkom, z drogi cnoty proletariackiej, marksistowskiej i antyfaszystowskiej. Panowie ci są mistrzami parlamentarnego gadulstwa. Zarówno oni, jak i bardziej od nich umiarkowani Ludwik Marin, Le Cour Grandmaison lub Soulier, są zbyt wytworni, aby zniżyć się do poziomu ludzi z ulicy. Jest tylko jeden przeciwnik naprawdę straszny, którego czerwoni w takim samym stopniu boją się, jak go nienawidzą, to p. Doriot, b. burmistrz St. Denis i założyciel Partii Ludowej. Wyszedł on bowiem z ich własnego środowiska, więc zna do głębi ten lud, z którego pochodzi. Ostatnio p. Doriot powziął inicjatywę stworzenia Frontu Wolności. Pomysł takiego ugrupowania nie jest wcale nowy i przedstawia w zakresie organizacji po prostu nieudolną, z grubsza robioną kopię Frontu Ludowego. Jednakże ten koncept równie prosty i ciężki, jak umysłowość ex-towarzysza Doriot, która go zrodziła, posiadał wszelkie szanse po temu, by skupić pod swoim znakiem malkontentów i tych, których socjalizm rozczarował. Ma on szanse przewagi nie tylko nad tradycyjną elegancją różnych księży, pułkowników, uczonych i adwokatów z prawicy, ale nawet może łatwo zatriumfować nad rewolucyjną dystynkcją wicehrabiów, profesorów i prawników spośród rządzącej lewicy.

Tylko że Front Wolności nie jest jeszcze bynajmniej w pełni ukonstytuowany tak np. Partia Demokratów Chrześcijańskich odmawia mu współpracy. Naturalni sprzymierzeńcy p. Doriot ze wszystkich swych antymarksistowskich sił uchylają się od skoordynowanego działania, zwłaszcza zaś od jednowładztwa, którego burmistrz z St. Denis nie bez poważnych przyczyn żąda dla siebie. W obecnym stanie rzeczy wszelka parlamentarna lub poza-parlamentarna ofensywa prawicy zdaje się być z góry skazana na jaskrawe niepowodzenie. Rząd Frontu Ludowego nie ulegnie żadnym atakom opozycji, a może

upaść jedynie na skutek rozłamu w łonie swej własnej większości.

Na ten właśnie koniec „experymentów Bluma“ liczą wszyscy malkontenci. Nikt wszakże nie myśli o tym, aby go przyspieszyć. Tymczasem, zamiast przyspieszenia, ulega on zwłoce, spowodowanej trzema ważnymi czynnikami: wystawą; niepewnością, jaką budzą widoki możliwego przesilenia parlamentarnego; wreszcie współzawodnictwem przypuszczalnych następców i spadkobierców reżimu. Zawieszenie broni, narzucone przez chęć goszczenia u siebie, w Paryżu, wszystkich zwiedzających tereny olbrzymiego „jarmarku“, potrwa aż do jesieni. Być może, że przetrwa ono nawet wystawę, albowiem umiarkowani oraz bojaźliwi członkowie wszystkich partyj oczekują rozpętania gniewu tłumów w momencie, gdy rząd Frontu Ludowego usunie się nie pozostawiając po sobie oficjalnego następcy z ramienia „ministerstwa tłumów“. Wszak ministerstwo to wpływami swymi dzieli obecnie władzę z gabinetem p. Bluma. Prócz tego pp. Daladier, Chautemps, Herriot, Sarraut i Paweł Faure, nie licząc innych, mniej głośnych, czują się wszyscy na siłach do zlikwidowania spadku, nie tylko po obecnym rządzie, ale po całym Froncie Ludowym, stając bądź to na czele szerokiej koncentracji sił republikańskich, bądź też przewodnicząc zespołowi mniejszości, opartemu o większość w rezerwie. Nim jednak współzawodnicy ulegną, wszyscy ci spadkobiercy przyszłości życzą i dają gwarancję jak najdłuższego życia p. Blumowi, któremu władza przysporzyła mądrości, mądrość zaś — potęgi.

Niemniej istnienie rządu jest nadal niepewne i zdane na łaskę tysiąca możliwych wydarzeń, mimo, że nie posiada on przeciwników zdecydowanych, należycie zorganizowanych i pewnych własnych sił; mimo poparcia ze strony rzesz robotniczych i znacznej części drobnego mieszczaństwa; mimo doskonałej strategii premiera i odpowiednio niezgrabnej taktyce jego głównych wrogów politycznych; mimo cichej łączności z pewnymi czynnikami życia publicznego, wcale nie podzielającymi zapału dla reklamowych haseł Frontu Ludowego. Wyliczenie wszystkich niebezpieczeństw, które zagrażają obecnym przywódcom władzy we Francji

równa się zrobieniu rachunku z błędów i win nowego reżimu, zarazem równa się to wskazaniu zadań, jakie czekają przyszły rząd, wolny od przesądów doktrynalnych i demagogicznych chwytów.

Przede wszystkim budzi niepokój położenie finansowe. Równowagi budżetu niepodobna osiągnąć inaczej, jak za cenę znacznych ograniczeń. Jakże to zrealizować, nie narażając się na niezadowolenie wyborców? Niema mowy o obcinaniu płac i uposażeń; jedynie możnaby obłożyć jeszcze podatkiem kilka tysięcy wyższych urzędników, pobierających 50—150 tys. franków. Ten gest, zgoła niepotrzebny, nie wywołałby wprawdzie gniewu suwerennego ludu, ale też nie zmniejszyłby wydatnie ciężarów państwowych. Oszczędności na armii, lotnictwie, marynarce są nie do pomyślenia; obecne warunki wskazują raczej na potrzebę powiększenia zbrojeń. Jeżeli chodziłoby o skonwertowanie rent albo obniżenie procentowej stopy pożyczek, to żadna pora nie była mniej wygodna dla podobnej operacji finansowej, niż moment obecny. Wielki skarbnik Francji zmuszony jest więc liczyć na jakąś niebywałą poprawę interesów, która dostarczyłaby państwu obfitych dochodów i na nowe podatki.

Jednakże poprawa gospodarcza nie nadchodzi. Reformy społeczne wstrząsnęły głęboko handlem i przemysłem. 40-to godzinny tydzień pracy, podwyżka pensyj, oprócz innych zarządzeń na rzecz urzędników i robotników, zagrażają istnieniu przedsiębiorstw średnich, skazują na zagładę drobny handel, przemysł i rzemiosło, podczas gdy jedynie magnaci pieniądza i przemysłu, hutnicy i wielkie banki przetrzymują najdotkliwsze ciężary, ponieważ mogą je narzucić własnej klienteli. Prawda, że siła nabywcza u lepiej obecnie płatnych pracowników wzrosła za czasów Frontu Ludowego, tylko że klasy pracujące we Francji nie wydają pieniędzy tak lekkomyślnie, jak to czynią te same sfery w innych krajach. Toteż wspomniany obrót wystarcza zaledwie, aby zasilić niektóre gałęzie handlu i pewne uprzywilejowane dziedziny przemysłu. Poza tym rynek wewnętrzny jest zbyt ciasny, aby pochłoniąć całkowitą produkcję krajową, zaś korzyści z wywozu towarów francuskich niwelują wzrastające

świadczenia społeczne, które obciążają kosztą produkcji. Do wymienionych trudności, dotyczących się budżetu oraz interesów własności prywatnej, należy jeszcze dodać kłopoty, związane z sytuacją monetarną we Francji.

Kłopoty te zostały spowodowane stanowiskiem, jakie Front Ludowy zajął w stosunku do szerokich mas. Musi teraz cierpliwie znosić ich ignorancję w sprawach politycznych oraz finansowych. Syndykaty żądają pożyczek, nie troszcząc się zgół o źródło, które mogłoby dostarczyć niezbędnych na to fundusów. P. Blum zdołał wprawdzie odrzucić program przedstawiony mu przez C. G. T., której przewodzi towarzysz Jouhaux. Program został odrzucony z powodu wygórowanych pozycji w nim zawartych. Była tam mowa o schroniskach dla starców — robotników, dalej o „produkcyjnych inwestycjach“, w gruncie rzeczy pozorujących tylko zajęcie i wyżywienie na koszt państwa znacznej części wyborców socjalistycznych i komunistycznych. Te dwa dezyderaty klasy robotniczej byłyby się wyraziły cyfrą 14 miliardów franków rocznie. Rząd się przeraził i oparł się naciskowi „ministerstwa ludu“. Nie wolno wszakże robić sobie iluzji ani co do mocy takiego stanowiska, ani co do jego trwania. Kilka tygodni upłynie, a C. G. T. zacznie wywierać coraz większy nacisk, aż nadejdzie dzień, że mandatariusze socjalistyczni, z teką czy bez niej, będą musieli ulec lub podać się do dymisji. Łatwo teraz zrozumieć obawy giełdy oraz sceptycyzm obcych, śledzących bacznie finansowe położenie Francji.

Frank został zdewaluowany pomimo formalnych obietnic, w kilka dni po deklaracji ministerialnej, zalecającej energiczną obronę narodowego pieniądza. Czy za parę miesięcy nie będziemy świadkami powtórzenia się podobnych faktów więc drugiej dewaluacji? Jest to nie tylko możliwe, ale i prawdopodobne. Dolar trzyma się w pobliżu maksymalnego kursu, dopuszczalnego (22,30—22,50); jeśli nie idzie dalej w górę, to tylko dzięki oficjalnej interwencji funduszu wyrównawczego. Jak długo równowaga budżetowa będzie podporządkowana kaprysom tłumów i jak długo utrzyma się przewaga polityki nad ekonomią, nawet w dziedzinie ściśle finansowej, tak też długo będzie trwała niepewność sytuacji

monetarnej ze szkodą dla odbudowy gospodarczej kraju. Gdy czynniki radykalne zdecydowały się przywrócić pierwszeństwo ekonomii nad polityką, a to z tej racji, że groźba katastrofy finansowej przemoże obawy przed obrazą tłumów, z tą chwilą rząd p. Bluma dokona swego żywota.

Takie odstępstwo radykałów od obecnego reżimu jest również możliwym na skutek nagłego rozbudzenia się uczuć burżuazyjnych. Uczucia te podobnie jak i ideały są bardzo przyziemne. Burżuazja francuska boi się przede wszystkim wszelkich zamachów oraz głośniejszych wystąpień. Kocha nade wszystko spokój i wygodę życia. Heroiczne praktyki ustrojów totalnych wcale jej nie odpowiadają. Istnieje jednak i u niej pewne sanktuarium, którego bojownicy marksizmu nie zdołaliby tknąć bezkarnie, bez spowodowania wybuchu i przeistoczenia łagodnych jagniąt republikańskich... w tygrysy. Tym sanktuarium jest świątynia „złotego cielca“ a w niej kult własności oraz religijna cześć dla zysku.

„Jesteś pan drugim Attylą“, wołał pewien niezależny radykał do Bluma, „gdziekolwiek pan przyjdiesz, tam zysk już nie odrasta“. Ci ludzie patrzyliby z radością na zniszczenie kościołów i zakaz wszelkich zabobonów; posuwają się nawet do zarzucania niektórym socjalistom zbytnej uprzejmości względem duchowieństwa. Jeden z najzacieśszych spośród tych prowodyrów wolnej myśli, p. Leon Meyer, mer Havru i deputowany tegoż miasta, jest zarazem jednym z najbardziej zdecydowanych przeciwników Frontu Ludowego. A inni działacze, filary mieszczaństwa radykalnego, którzy wpadają w ekstazę na każdą wzmiankę o czerwonej Hiszpanii, którzy szydzą z przesądów moralnych, poczynają natychmiast stygnąć w swych zapałach, skoro tylko robotnicy porywają się na święte prawa chlebobawców; gdy niezliczone strajki psują normalny bieg powszedniego życia; gdy fryzjer nie chce golić brody klientowi a służące piłują swoje panie nadzwyczajnymi wymaganiami; gdy metro i taksówki grożą przerwaniem komunikacji; słowem, gdy pewność i bezpieczeństwo przestają królować; a Front Ludowy... puszcza się na „awantury społeczne“.

Wyborcy radykalni podkreślają z oburzeniem ogromny spadek papierów wartościowych, najsolidniejszych i opar-

tych na najpewniejszych podstawach. Jednocześnie orientują się nagle, że majątek rentierów, w rezultacie rocznej koalicji burżuazyjno-socjalistycznej, poniósł stratę wahającą się w granicach 40—70%. Ludzie prywatni, którzy niewiele troszczą się o finanse publiczne, stwierdzają teraz z przerażeniem, że katastrofa skarbu państwa pociągnęłaby i ich także nad brzeg przepaści. I oto rozlega się głuchy pomruk niezadowolonia, a tu i ówdzie, potulne baranki poczynają wydawać głosy, przypominające ryk tygrysicy, której odbierają małe. Takie objawy żywo niepokoją p. Bluma, który gotuje się do ponownego zarządzenia słynnej swojej „przerwy“.

Wtenczas radykali uspakajają się znowu i poczynają oddychać swobodnie. Wołają oni najmniej pewne zawieszenie broni niż otwartą walkę. Otwarcie światowej wystawy, pochłonęło uwagę tłumów i dostarczyło środków do zadowolenia ich, niby kosztem cudzoziemców. Ale ileż w ramach przygotowania wystawy kryło się niepokojących objawów!

„Przerwę“, na którą tak liczył p. Blum, zakłócono całym szeregiem symptomatycznych manifestacji robotniczych; przestała ona już zależeć od woli premiera. Wszędzie jawią się charakterystyczne wywieszki, po warsztatach, w hotelach i restauracjach, w fabrykach i instytucjach publicznych; pracownicy płatni zamierzają wyzyskać pomyślne okoliczności, aby narzucić swoje żądania i zaspokoić nienasycone apetyty. Żądania ich wykraczają poza ramy nie tylko ustroju kapitalistycznego, ale zwracają się wprost przeciwko własności prywatnej oraz przeciw prawu przedsiębiorców do wolnego rozporządzania swoim mieniem. P. Blum może używać swojej wymowy i pomysłowości, celem uzyskania zwłoki i przedłużenia koegzystencji dwóch porządków społecznych nie dających się z sobą pogodzić. W każdym razie bezład rośnie a „przerwa“ p. Bluma, wcześniej czy później, musi się zakończyć. Będzie to drugi z kolei czynnik imperatywny, który w przyszłości zmusi radykałów do oddzielenia się od socjalistów.

Sądźmy wszakże, że najpoważniejsze niebezpieczeństwo, zagrażające Frontowi Ludowemu leży nie w rozbieżnościach, dotyczących się wewnętrznej polityki kraju, ale w głębokiej różnicy poglądów na sprawę międzynarodowe. Radykali,

oraz podobni p. Blumowi, socjaliści umiarkowani głoszą ścisły sojusz z Anglią. Widzą bowiem w solidarności dwóch wielkich demokracji zachodnich najpewniejszy środek dla ocalenia pokoju i zabezpieczenia granic Francji na wypadek pożogi europejskiej. W każdym razie współpraca z Imperium Brytyjskim wymaga pewnych klauzul, pisanych albo milcząco uzgodnionych, które niepodobają się ogromnie rewolucjonistom socjalistycznej lewicy i ortodoksyjnym sowietofilom. Anglia pragnie szczerego pojednania między Francją a Niemcami i pracuje już nad nim od lat, nie zważając na niepowodzenia równie częste jak jaskrawe. Rzecz ma się wprost przeciwnie, jeżeli chodzi o współpracę z ZSSR. Rząd Chamberlaina odczuwa w tym kierunku entuzjazm bardzo umiarkowany. Tak samo odsuwa on od siebie myśl o krucjacie antyfaszystowskiej, pozostając wiernym odwiecznemu imperializmowi brytyjskiemu, który nie uznaje rojeń mesjaniistycznych. Francja może liczyć na angielską pomoc jedynie dlatego, że wtargnięcie Niemiec do Europy zachodniej zagrażałoby bezpieczeństwu Wysp Brytyjskich. Natomiast wystąpienia Rzeszy na wschodzie czy na południowym wschodzie nie zagrażają bezpośrednio interesom brytyjskim i dlatego rząd Jerzego VI odmawia głębszego angażowania się w sprawy środkowo-europejskie i nie chce również wchodzić w związek z Sowietami.

Z drugiej strony, socjalistyczna lewica oraz komuniści uważają ugodę franko-rosyjską oraz przymierze franko-czeskie za dwa fundamentalne słupy polityki zagranicznej, a to w imię ideologicznej solidarności antyfaszystowskiej. To samo doktrynerstwo socjalistyczne przy silnych wpływach rosyjsko-czechosłowackich, popycha Francję do angażowania się w sprawy hiszpańskie. Radykali i socjaliści umiarkowani znaleźli się w ciężkim kłopotcie. Nienawidzą oni szczerze tak Niemiec jak Italii i obawiają się z ich strony czynnej interwencji na półwyspie iberyjskim, oraz oddźwięku takiego wydarzenia w polityce wewnętrznej Francji. Niepokoi ich również współpraca włosko-niemiecka ze względu na strategiczne i militarne położenie własnego kraju. Chcieliby więc pójść śladem gorących zwolenników sojuszu sowieckiego, ale umieją przewidzieć skutki nieroztropnej gorliwości

i dlatego usiłują panować nad swymi uczuciami sympatii i nienawiści.

A niewiele brakowało, aby Francja odpokutowała za doktrynerskie zachcianki swoich ideologów. Wszak francuska ugoda z Sowietami zachwiała przyjaźnią belgijską, polską, i rumuńską; miraż rosyjsko-czechosłowacki uniemożliwił wszelkie układy z Niemcami oraz obronę pozycji francuskich w Austrii i na Węgrzech. Na szczęście ofiara na ołtarzu sowietofilstwa nie została dopełniona. W obliczu dylematu: Londyn czy Moskwa, odpowiedzialni wodzowie Frontu Ludowego wyparli się Kominternu. Wybierając przyjaźń Anglii i oddając jej swój głos, Francja poszła jedynie za swoim pierwotnym instynktem samozachowawczym. Poświęcenie bowiem brytyjskiego aliansu dla przyjaźni z Moskwą równałoby się samobójstwu. Rząd angielski zbliżyłby się niezwłocznie do Rzeszy; współdziałanie obu narodów, tak gorąco upragnione przez Niemcy, dokonywałoby się na koszt Francji i Italii, przynosząc Hitlerowi niezaprzeczoną hegemonię w dorzeczu naddunajskim; równocześnie dałoby Wielkiej Brytanii całkowitą swobodę zerodkowania wszystkich sił dla utrzymania przewagi na morzu.

Odnowienie zatem sojuszu z Anglią oraz zacieśnienie węzłów przyjaźni z Polską pozostanie niezaprzeczoną zasługą p. Bluma, który wraz z p. min. Delbos'em postąpili w sprawach polityki zagranicznej nie jak zwolennicy partii, ale jak wierni słudzy ojczyzny. Porozumienie z Londynem sparaliżowało przynajmniej częściowo powodzenie zręcznej dyplomacji włoskiej w Jugosławii i Rumunii. Także w Austrii i na Węgrzech zostało odzyskane dawne stanowisko. Położenie polepszyło się wszędzie tam, gdzie dla powodów łatwo zrozumiałych, wpływy Francji nie mogą w chwili obecnej równać się z powagą Anglii. Poza tym przyjaźń dwóch wielkich demokracji, francuskiej i angielskiej pozwala mieć nadzieję na wznowienie układów z Rzeszą. *Modus vivendi* francusko-niemiecki stanowi ośrodkowe zagadnienie pokoju europejskiego. Każde współdziałanie Francji z Anglią będzie przyczyniać się do jego rozwiązania; wszelka zaś zażyłość *Quai d'Orsay* z Kominternem będzie je opóźniać, jeśli nie wręcz uniemożliwiać.

W ten sposób, w związku z zacieśnieniem porozumienia anglo-francuskiego, myśl o sojuszu franko-rosyjskim została faktycznie porzucona. Towarzysz Litwinow otrzymał potwierdzenie tego faktu już w czasie swego pobytu w Londynie, ten sam wniosek musiał się nasunąć, gdy Francja, pod wrażeniem sprawy Tuchaczewskiego, nie zgodziła się na ożywienie współpracy z głównym sztabem czerwonej armii. Wobec takiego stanu rzeczy Trzecia Międzynarodówka gotuje się do podjęcia ponownej walki z Trzecią Republiką. Aby obudzić drzemiący konflikt wystarczy jakiegoś incydentu w Hiszpanii lub zwrotu w Czechosłowacji; wydatniejszego posunięcia się naprzód układów z Niemcami, czy też nawet mocniejszej represji przeciwko komunistom na terenie samej Francji albo jej kolonij. Należałoby wtedy oczekiwać, że odłam towarzyszków Thorez i Duclos oraz dysydenci SFIO, pod wodzą Marceau Diverť, powstaną przeciwko radykałom i przeciwko p. Blumowi; ten zaś, nie chcąc, ani mogąc, przewodniczyć innemu ugrupowaniu jak Front Ludowy, byłby zmuszony ustąpić miejsca następcy z łona burżuazyjnej lewicy.

Do korzyści płynących z porozumienia franko-brytyjskiego doliczyć należy odprężenie stosunków między Paryżem a Brukselą, zlokalizowanie dramatu hiszpańskiego, oraz dość skuteczne pośrednictwo w sporze między W. Brytanią a Italią. Krótko mówiąc, polityka zagraniczna Frontu Ludowego zasługuje na pochwałę ze strony każdego człowieka sprawiedliwego, tym więcej, że wyzwoliła się ona z namiętności partyjnych, które byłyby ją zwróciły w kierunku Sowietów. Niestety, na świecie trzeba płacić za wszystko, nawet za czyny dobre lub złe, przy czym za dobre płaci się drożej. Kto jak kto, ale p. Blum musi wiedzieć o tym doskonale, iż głos oddany na rzecz Anglii, neutralność zachowana względem Hiszpanii, wreszcie nawiązanie ponownej przyjaźni z Polską, ściągnęły na niego zemstę Sowietów oraz wyrobiły mu opinię zdrajcy socjalizmu. Obok p. Bluma stoi p. Iwo Delbos, ten sam, którego *L'Action Française* określiła jako „syntetycznego idiotę” za to, że chwilowo dał się uwieść złudzeniom pacyfistycznym; jednocześnie zaś komuniści zarzucają mu machiawelski re-

alizm. Ci dwaj przywódcy francuskiej polityki zagranicznej stanowią dla bolszewików i dla rewolucyjnej lewicy najważniejszą przeszkodę, która będzie musiała być usunięta przy pierwszej pomyślniejszej sposobności.

Na koniec przesilenie, spowodowane zatargiem w łonie większości rządowej, jest jeszcze możliwe na skutek jednego z tych nierzadkich wypadków, których przewidzieć się nie da, a które realizują się nagle w podnieconej atmosferze namiętności politycznych. Są to przeróżne fakty, które jaskrawo oświetlają kulisy napiętych stosunków i na chwilę wstrząsają opinią publiczną jako groźne, niekiedy tragiczne memento. Dość wspomnieć o potwornym zabójstwie małego Gignoux, ośmioletniego chłopca; lyońscy współkolledzy zamordowali go okrutnie jedynie za to, że jego ojciec uchodził za faszystę. P. Herriot, burmistrz Lyonu potrafił znaleźć słowa mocne i wzruszające do głębi, aby potępić tę zdziczałą atmosferę, w której mogła dojrzeć potworna zbrodnia, popełniona na dziecku przez dzieci. Najświeższy a identyczny w swej tragicznej treści wypadek w Tuluzie potęguje grozę moralnego zdziczenia komunistycznych bojówek. Niemniej niskie uczucia wchodziły w grę w wypadku p. Formisyn i niemniej podłą była pułapka, w którą go zwabiono. Napadnięty przez robotników, zaskarżony przed trybunałem rewolucyjnym, utracił prawie całkowicie zdolność do pracy na skutek wycierpianych prześladowań. Przy tym znamy wszyscy wstrętą komedię sądową, która rozegrała się w Soissons. Pokrzywdzony okrutnie Formisyn stał się w dodatku celem cynicznych ataków ze strony prokuratora Republiki, podczas gdy winowajcy otrzymali humorystyczny wymiar kary. Przestępstwa podziemnych władz komunistycznych liczą się na setki. Zaledwie niektóre dochodzą do publicznej wiadomości i są bardzo prędko puszczane w niepamięć, jak np. historia owego ochotnika hiszpańskiego, któremu udało się zbiec z czerwonego piekła i wrócić do Francji, po czym został zawleczony przed tajemny trybunał komunistyczny.

Francja ma krótką pamięć. Nawet krwawe rozruchy w Clichy nie miały żadnych głębszych następstw. Wszystko szybko tonie w zapomnieniu: napady z bronią w rękę; bol-

szewickie komedie sądowe; syndykalizm zdziczały; gwałty dokonywane na osobach przedsiębiorców i właścicieli; ciosy i rany zadawane „żółtym” łamistrajkom; liczne akty sabotażu.

Stare przysłowie łacińskie mówi: *gutta cavat lapidem...* kropla żłobi kamień. To powiedzenie dotychczas nie straciło swej aktualności. Niekiedy jedna kropla wystarcza, aby spowodować wylew powszechnego oburzenia zwłaszcza jeżeli chodzi o kroplę ludzkiej krwi... Złagodzenie namiętności politycznych, które mogliśmy zauważyć u poszczególnych przywódców partij, nie przeniknęło do tych warstw, z których rekrutują się szturmowe zastępy ugrupowań politycznych.

Przeciwnie! W humanitarnej Francji, pod jej łagodnym niebem działają strajkowcy — intelektualisci, proletariat rolny i miejski; przy tym znalazły w niej przytułek rzesze moralnych rozbitków i wykolejenców, które ze wszystkich stron świata tu właśnie ściągnęły. One to przede wszystkim, pod zakonspirowanym dowództwem, szerzą w tym kraju żądzę krwi, i przygotowują konsekwentnie przewrót.

Błąd i historyczna wina Frontu Ludowego, nawet w jego najłagodniejszym wydaniu, polegać będzie na optymizmie, bardzo zbliżonym do poglądów Rousseau'a. Optymizm ten wierzył w przyrodzoną dobroć ludzi dzikich, tych dzikich, którzy — wedle słów pewnego świętego — żyją w naszych czasach i nie w odległych krainach, lecz na przedmieściach wielkich miast. Błąd ale i zbrodnia Frontu Ludowego polegać będą na tym, że chciano rozpętać chciwość i złość wspomnianych „dobrych” dzikusów przeciwko „złym bogaczom”, przeciwko owym dwustu rodzinom, z których większość nigdy i nikomu nie uczyniła nic złego, przeciwnie, zrobiła wiele dobrego dla całego narodu i dla poszczególnych jednostek. Błąd i zbrodnia Frontu Ludowego polegać będą na chęci zaprowadzenia komunizującej anarchii w ramach praworządności republikańskiej, pod złudnym pozorem, iż na tej drodze uda się uniknąć triumfu komunizmu w ramach totalnej rewolucji.

Pozory mogą mylić: fasada budowli społecznej pozostała nienaruszona. Woźni kłaniają się dalej uniżenie pp. mi-

nistrom, a pomimo demokratycznej swobody, znoszą jeszcze więzy zależności. Po Champs Élysées krąży elegancki tłum, który napęlnia także restauracje i teatry i gawędzi w salinach. Pieniądz cieszy się pełnym poszanowaniem dzisiaj może więcej niż dawniej. Jednakże ten nieludzki porządek społeczny, na który wskazała wspaniała mowa p. Le Cour Grandmaison, a raczej ten nieład, który sprawia, że człowiek jest na usługach produkcji, produkcja zaś na usługach pieniądza, skazany jest na zagładę. Wystarczy jeden mocny cios, wymierzony z zewnątrz albo ze strony najniższych warstw miejscowego społeczeństwa.

Francji nie potrzeba długiego szeregu teoretycznych formułek po to, aby pogodzić rosnące wciąż żądania pracowników z ustawiczną odmową kapitalistów, kurczowo trzymających się za własną kieszeń. P. Le Cour Grandmaison w swoim świetnym przemówieniu parlamentarnym, stwierdził, że, podług danych statystycznych — gatunek *homo dives* znajduje się na terytorium Francji w stadium wymierania i można dokładnie obliczyć, że, po upływie bardzo ograniczonej liczby lat, bogaci wyginą zupełnie, choć biedni nie zdołają wynieść stąd żadnej korzyści. Etytyzm, potwór kolektywu pochłania wszystkich, zarówno Krezusów, jak i Łazarzy. Można jednak mieć nadzieję, iż jednak w przededniu katastrofy nastąpi duchowy zwrot, który przywróci jednostce jej prawa, budząc w niej jednocześnie sumienie społeczne.

Francji brak czynnej i aktywnej mistyki, opartej nie o mit, dowolnie skomponowany, ale o Wiarę. Francji brak wodza, brak jej raczej wodzów, którzy byliby pokornymi sługami tejże Wiary. Zostawmy dziennikarzom politycznym trud wysławiania postępów Lig lub też powodzeń Frontu Ludowego. Takie sprzeczki nie mają większego znaczenia. W zetknięciu z Francją, a raczej w zetknięciu z dwiema Francjami, które się wzajem nienawidzą ale równocześnie z rozpaczliwą zaciętością wzajemnie się poszukują, w zetknięciu wreszcie z kwiatem francuskiego społeczeństwa, uderza nas tragiczny głód wielkości, skomplikowany wysiłek, aby wskrzesić tradycję przeszłości a równocześnie stworzyć przeciwieństwo coś nowego.

P. Bourdet, dyrektor Teatru Francuskiego, z ramienia Frontu Ludowego, polecił rozdać na widowni kwestionariusz informacyjny. Chodziło o najulubieńsze sztuki publiczności. 75% głosowało za tragedią klasyczną i Molière'em. Działo się to w Paryżu, roku Pańskiego 1937, za rządów premiera Leona Bluma. Złoty Wiek literatury francuskiej wychodzi z walki zwycięsko; za nim podążają w przyzwoitej odległości wielcy romantycy, Hugo oraz Musset. W tymże samym roku młodzież szkół wyższych gorliwie odprawiła spowiedź i przyjęła Komunię św. wielkanocną; Ecole Normale i Politechnika współzawodniczyły ze sobą co do liczby przystępujących do Stołu Pańskiego. Kwiat społeczeństwa francuskiego czeka na swą godzinę i oczekuje wodza, podczas gdy bestia apokaliptyczna podnosi swą potworną głowę. Tancerze wielkiego świata i półświatka tańczą na wulkanie, którego krater kipi pod przykrywą uciech i rozrywek. Wystawa otworzyła swe podwoje; rozejm chwilowo przerwany przez strajki i inne przyjemności suwerennego ludu, usiłuje się ratować „świętą unią” stronnictw parlamentarnych.

Paryż 17 VI 1937.

Cały przebieg ostatniego kryzysu finansowo-politycznego zdawał się dowodzić, że ani prawica ani komuniści nie życzą sobie na serio, by obecny premier ustąpił przed zamknięciem wystawy. Można więc było przypuszczać, że p. Leon Blum pozostanie przy władzy aż do jesieni. Tymczasem wbrew ogólnym przewidywaniom, nastąpiło dramatyczne starcie. Francuski senat postawił kwestię pełnomocnictw finansowych na ostrzu miecza; premier Blum ustąpił.

W ciągu rocznego okresu doświadczeń inteligentnych, ale wyłącznie materialnych i materialistycznych, urzeczywistnił kilka reform, godnych uznania, zasłużył się też w ratowaniu europejskiego pokoju. Mimo to jego rządy będą w perspektywie historii jednym tylko z epizodów powolnej agonii. Czy to epizod ostatni? czy może przedostatni? który? trudno w tej chwili określić.

Francja powojenna, Francja XX w. szuka i poszukuje pracowicie samej siebie, nim odnajdzie drogę ku Francji wiekuistej, której świetlane szlaki wytyczyły na zawsze... własna jej historia i Wiara.

Prof. Dr Otto Forst Battaglia.

Paryż 21 VI 1937.

Problem władcy we współczesnej powieści historycznej i biograficznej.

(Na marginesie książki H. Malewskiej „Żelazna korona“).

I

Wystarczy tylko okiem rzucić na dzisiejszy międzynarodowy rynek wydawniczy i czytelniczy, ażeby w lot się zorientować, iż na terenie współczesnej powieści historycznej, szczególnie historyczno-biograficznej, z roku na rok, z dnia na dzień coraz to modniejszej, żadna kategoria wielkości nie fascynuje twórców, równie jak odbiorców w tym stopniu, co wielkość, jaką daje posiadanie władzy, względnie choćby cień prawa do władzy. Przyjrzyjmy się katalogom i wystawom księgarskim, wsłuchajmy się w ton życzeń, wyrażanych przez abonentów w tak dziś licznych i popularnych wypożyczalniach: życiorysy wielkich myślicieli, artystów, reformatorów religijnych i społecznych, równie jak żywoty słynnych awanturników, a nawet i *grandes amoureuses* — jak drobna kropelka, toną w oceanie monumentalnych tomów, poświęconych dzierżącym władzę, w pierwszej mierze: głowom ukoronowanym, od na wpół mitycznej egipskiej królowej Nikotris zaczynając, a na wczorajszych i dzisiejszych monarchach — mistrzach mody i tenisa kończąc...

Mamy więc dobrych kilka biografij upowieściowanych Napoleona i napewno nie mniejszą ilość — Piotra Wielkiego, Marii Stuart, Juliusza Cezara... W oczach naszych zmarłych wstają pod piórem Lyttona Strachey'a kobiety na tronie angielskim: Elżbieta i Wiktoria; pod piórem Alfreda

Neumanna — Krystyna szwedzka i Napoleon III; pod piórem Andrzeja Maurois Edward VII i niekoronowany, ale tym niemniej potężny dzierżyciel władzy w Imperium Brytyjskim, Biconsfield — d'Israeli... Z cesarzy rzymskich nie tylko Oktawian August czy Neron, ale nawet Klaudiusz doczekał się potężnej biografii upowieściowanej; korowód Tudorów, Burbonów, Habsburgów, Hohenzollernów, Romanowów snuje się poprzez wszystkie katalogi księgarskie, a cóż dopiero mówić o niezliczonych Mariach: Mariach Antoninach, Ludwikach, Teresach!... Ale to jeszcze nie wszystko: obok królów, ich żon i metres, zmartwychwstaje w powieściopisarstwie dzisiejszym mniej efektowna może, mniej kolorowa, mniej lśniąca, ale nie mniej potężna galeria władców bez korony: „Cromwell“ Jellusich'a, „Robespierre“ Thompsona, „Lincoln“ E. Ludwiga, że wymienimy tylko parę książek najpopularniejszych...

Czemu przypisać tak nagły i z przedwczorajszą a jeszcze i wczorajszą obojętnością dla postaci historycznych — całkowicie niewspółmierny, wzrost zainteresowań dla tematu, zaczerpniętego z przeszłości i to przeszłości nieraz bardzo, bardzo odległej?... I czym wytłumaczyć, że nie Sokrates, nie Erazm z Rotterdamu, nie Kolumb ani nie Rafael, nie don Juan i nie pani de Maintenone — ale właśnie przede wszystkim i tylko ci, których udziałem władza lub prawo do niej, największe budzą zaciekawienie pisarzy i czytelników?! Pomijając rzadkie wyjątki, przeciętny klient wypożyczalni książek lub bywalec publicznej biblioteki śmiertelnie się będzie nudził nad 250-stronicową najpopularniejszą biografią Rembrandta czy Pascala, jednym tchem natomiast połknie dwa 500-stronicowe tomy, poświęcone dziejom imperatora Klaudiusza, o którym dotąd jeśli coś i wiedział, to niewiele ponad to, iż cesarz ów był ojczymem Nerona czy mężem Messaliny... Również i prawie każdy dbający o swą poczytność, dzisiejszy europejski pisarz średniej miary z reguły sięgnie raczej po temat z życia Alcybiadesa, niż Platona — Alaryka, niż św. Augustyna — Colberta, niż Pascala, choćby opracowanie pierwszego tematu miało się okazać znacznie żmudniejsze i dłużej trwające, niż praca nad drugim.

Jakież mogłyby być przyczyny takiego układu rzeczy? Niewątpliwie tkwią one m. in. w wielkim kulcie, jaki żywi epoka dzisiejsza dla wszelkiej siły, wszelkiej energii; nadto tempo życia współczesnego sprawia, iż dla większości ludzi naszych czasów bliższe i zrozumialsze — zaryzykujemy powiedzieć: dla wielu jedynie bliskie, zrozumiałe i ciekawe — będzie tylko to oblicze przeszłości, które w sobie zawiera maximum dynamiki. A cóż zawiera w sobie tej dynamiki więcej, niż walka o władzę? o zdobycie władzy lub o utrzymanie już zdobytej czy odziedziczonej?! Walka, która też wymaga maksymalnego rozwinięcia i wyładowania siły i energii witalnej w przeciwieństwie do statycznego raczej i kontemplacyjnego, poza rzadkimi wyjątkami, życia artystów i myślicieli — życia, przebogatego w swym nurcie wewnętrznym, ale zazwyczaj ubożego w jakiekolwiek dynamiczne konflikty zewnętrzne: stąd „desintéressement” epoki w stosunku do takich adynamicznych zewnętrznie żywotów...

Ale jak wytłumaczyć, że nie tylko kontemplacyjne i raczej ubogie w zewnętrzne szczegóły życie myślicieli i artystów, lecz także i pełne dynamiki nieporównanej — pełna walk i niebezpieczeństw — żywoty słynnych poszukiwaczy przygód, odkrywców nowych lądów, zdobywców zamorskich światów — nie cieszą się w zasadzie względami dzisiejszych pisarzy i czytelników, choćby tych najbardziej rozmiłowanych we wszelkiej mocy, wszelkiej energii, wszelkiej odwadze?! Marco Polo, Kolumb, Cortez, Cook, odkrywcy biegunów, zdobywcy niebotycznych szczytów — ci wszyscy których przygodami do nieprzytomności upajał się wiek XIX-ty, równie zresztą, jak i przygodami fikcyjnymi pana d'Artagnan — znacznie mniej interesują literaturę dzisiejszą i jej konsumentów, niż np. Fouché czy Maria Luiza pruska, choć przecież życie niejednego z nich to także zupełnie nowa karta w dziejach naszego globu i ludzkości. Czemuz więc tak się dzieje?

Otóż niektórzy socjologowie oraz krytycy współczesnej literatury historyczno-powieściowej mają na powyższe pytanie odpowiedź wcale dosadną, a pełną sceptycyzmu i pesymizmu w stosunku do epoki, w której żyją, oraz do jej piśmiennictwa. Oto — według ich opinii — renesans zain-

teresowań dla tematu historycznego, w szczególności dla biografii tych, co w wiekach minionych dzierżyli w swym ręku władzę — nie jest niczym innym jak tylko typowym wytworem kultury „dorobkiewiczowskiej“. Tak jak ćwierć-inteligenci upajają się romansami brukowymi z życia „sfer wyższych“, tak samo też szerokie rzesze inteligencji czytającej szukają w biografizmie historycznym wyłącznie wrażeń zupełnie identycznych, upajając się możliwością obcowania z „najmożliwszymi tego świata i to wszystkich epok“ chociażby za pomocą lektury! To też zagłębianie się pisarzy i czytelników w najdrobniejsze szczegóły życia królów, królowych, książąt, ministrów etc. — to nic innego, jak dające snobistyczną uciechę podglądanie przez dziurkę od klucza do królewskiej sypialni, względnie nieproszone branie udziału w dworskich uroczystościach, balach, radach gabinetowych itd... Stanowisko, jak widzimy, bardzo efektowne i co więcej nie pozbawione w zasadzie wielkiej wnikliwości psychologicznej! w odniesieniu zaś do całego szeregu sporadycznych wypadków naprawdę jedynie słuszne... Ale w żaden sposób nie nadaje się do przyjęcia jako jedynie a niezawodne, nieomyłne rozwiązanie tajemnicy powodzenia biografizmu historycznego w powieściopisarstwie dzisiejszym... Po pierwsze bowiem nie da się całkowicie zgeneralizować, po drugie niewątpliwie upraszcza niestęchanie i spłyca cały problem... ba, zdaje się sugerować, że problemu w ogóle nie ma, jest tylko źródło snobistycznych upojeń dla czytającego, a dużych dochodów — dla pisarza!..

Istnieje natomiast jeszcze jedno wyjaśnienie takiego, a nie innego układu rzeczy... wyjaśnienie, nawiązujące silnie do ducha całej epoki i jej kultury, a choć nie wykluczające dwu poprzednich, uzupełniające je przecież znacznie głębszym ujęciem problemu. Mamy tu na myśli zależność zainteresowań w literaturze od zasadniczej postawy historiozoficznej, cechującej całą epokę. A postawa ta zasadza się na niewątpliwym odrodzeniu pojmowania dziejów, jako dzieła wielkich jednostek twórczych, narzucających mocą swego geniuszu czy swego posłannictwa takie, a nie inne wytyczne drogom, jakimi ma iść historia... Do historiozofii tej można ustosunkować się entuzjastycznie,

sceptycznie lub wręcz wrogo, ale nie można faktu jej odrodzenia negować, tym bardziej, że namacalne przykłady bez trudu dadzą się zauważyć w bieżącej europejskiej polityce realnej, coraz mocniej i bez względu na różnice ideologiczne, afirmującej hasła i praktykę kultu herosa-wodza... kultu, przybierającego już tu i ówdzie charakter niemal wprost mistyczny... Nic więc dziwnego, że tę zasadę wodzostwa, zasadę tworzenia dziejów przez twórczy element jednostkowy, transponuje literatura dzisiejsza i na czasy minione, okazując zainteresowanie, w pierwszym rzędzie dla dynamicznych indywidualności historiotwórczych — dla królów, polityków, wodzów — dla wszystkich, dzierżących główne narzędzie tworzenia faktów dziejowych: władzę! Stąd zrozumiały renesans, wzrost a nawet przerost biografizmu i to takiego właśnie biografizmu, jaki dziś panuje — biografiizmu Strachey'a, Ludwiga, Maurois, Zweiga, Neumanna, Jellusicka, A. Tołstoja i... Hanny Malewskiej.

II.

Nasza literatura nie posiadała właściwie dotąd utworów, które by w całej pełni dały się zaliczyć do żywotopisarstwa powieściowego na modłę królującą dziś na Zachodzie. Mimo całej niewątpliwej atrakcyjności i popłatności tematu, żaden z polskich królów czy mężów stanów z czasów minionych nie doczekał się dotąd swej *la vie romancée* na wzór Jellusicha, Ludwiga czy Zweiga; nie sięgano też do niedawna po tematy obce z tejże dziedziny. Kto chce, może to sobie tłumaczyć albo silnie zakorzenionymi w polskiej postawie wobec przeszłości tradycjami i instynktami republikańskimi, albo też wprost wielkim opóźnieniem w przyswajaniu sobie mody literackiej, oddawna już atrakcyjnej gdzie indziej... W każdym razie najświetniejsza, jak dotąd, polska biografia upowieściowana — *Król życia* Parandowskiego zajmuje się nie władcą, nie królem, nie politykiem, ale artystą — Oskarem Wilde'm, którego zasady o prymacie sztuki nad życiem jak najmniej pasują do świata pojęć, wyznawanych przez współczesność. Inna nasza *la vie ro-*

mancée — *Słowacki* Wołoszynowskiego również zajmuje się artystą, i to artystą, stanowiącym klasyczny przykład przewagi bogactwa życia wewnętrznego nad zewnętrznym. Temat obu książek jak najchlubniej świadczy o niezależności i głębi ambicji twórczych pisarzy polskich, ale z drugiej strony zdaje się tłumaczyć, dlaczego przeciętna masa inteligencji czytającej przekłada nieraz, niestety, ponad świetną prozę Parandowskiego jakże lichy często tłumaczony książki biograficzno-powieściowe autorów cudzoziemskich, a nawet rodzimego wyrobu, ale o jakże nikłym poziomie artystycznym! — „powieści biograficzne“ *Leo Belmonta* o *Messalinie* lub *Czekalskiego* o *Barbarze Radziwiłłównie*...

Z drugiej strony najwybitniejsza i najpoczytniejsza współczesna polska powieść historyczna *Krzyżowcy* jest całkowicie zaprzeczeniem biografizmu nie tylko w kompozycji, ale też w historiozofii i ideologii. W rezultacie — jeśli nie liczyć *Marysienki Sobieskiej* *Boya-Żeleńskiego*, która w wydaniu książkowym jeszcze nie wyszła — jedyną powieścią polską, ujmującą zagadnienia historyczne i biograficzne według panującej mody na władcę — były w pewnym sensie *Czerwone tarcze* *Jarosława Iwaszkiewicza*.

Aż oto ostatnio przybyła wreszcie polska powieść, pod każdym względem typowa dla biografizmu współczesnego — świadomie, konsekwentnie a wielostronnie ujmująca problem władcy. Przybyła, jako najcenniejszy plon konkursu powieściowego, rozpisanego przez Polską Akademię Literatury i Wydaw. „Książnica-Atlas“. Powieścią tą jest *Żelazna Korona* *Hanny Malewskiej*: jej treścią życie a ściślej mówiąc — władanie cesarza *Karola V*.

Trzy zasadnicze podejścia dadzą się wyróżnić w stosunku dzisiejszej powieści historyczno-biograficznej do wielkich indywidualności dziejotwórczych przeszłości:

1) Pewną kategorię pisarzy, a znaczną część publiczności czytającej frapuje w życiu władcy czy władczyni przede wszystkim moment sensacji — sensacji, mającej posmak pikanterii, a jeszcze lepiej... skandalu!.. Ta kategoria najsilniej afirmuje całym swym podejściem do tematu omówioną wyżej opinię niektórych krytyków, iż powodzenie biografizmu opiera się na dostarczaniu duchowym dorobkiewiczom czy

snobom wrażeń, identycznych z tymi, jakie czerpią z brukowych romansów z życia „wyższych sfer“ — ćwierć inteligencji... Podejście to przecież, nie będące w gruncie rzeczy niczym innym, jak pełną, choć często przejawskrawioną i zbrutalizowaną realizacją zasady przedstawienia „wielkiego człowieka w krzywym zwierciadle“ czy „wielkiego człowieka w pantoflach“ nie wyczerpuje się na hołdowaniu najtańszemu efektom sensacji i pikanterii — twierdzić tak to znaczyłoby: krzywdzić wielu wybitniejszych pisarzy. „Odbronzowanie“ bowiem ma swoją także wyższą formę: ukazując wielką jedność historyczną w świetle jej przeżyć najbardziej intymnych czy też w świetle jej ułomności i śmieszności, pisarz bynajmniej nie ma zamiaru poniżać tej wielkości czy bezcześcić ją; nie, intencją jego jest pokazać całą pełnię życia i psychiki wielkiego człowieka historiotwórczego... pokazać pełnię jego człowieczeństwa albo i więcej jeszcze — jeśli pozwolą na to głębia ujęcia i talent — pokazać, iż życiowe słabości czy śmieszności w niczym nie pomniejszają prawdziwej wielkości.

Tego rodzaju podejście do tematu historycznego zarówno w swej formie popularnej, prymitywnej, ujemnej, jak i w formie wyższej, głębszej, pozytywnej — całkowicie obce jest dziełu Hanny Malewskiej.

2) Istnieje nadto podejście ideologiczno-propagandowe, względnie przynajmniej aktualizujące przeszłość pod kątem modnych obecnie prądów ideowych. Podejście to jak najściślej wiąże się z ideą wodzostwa i służy jej — najczęściej całkowicie świadomie i konsekwentnie — apoteozując postacię władców, wodzów, dyktatorów w czasach minionych. Klasycznym przykładem tej kategorii jest Mirko Jel-lusich ze swym *Juliuszem Cezarem*, a szczególnie *Cromwellem*. Kult herosa-wodza przybiera u niego formę mistycyzmu i mesjanizmu: przy tym za cenę wzięcia na się i wypełnienia ważnego posłannictwa dziejowego taki wódz-dyktator rozgrzeszany jest przez entuzjastycznego wyznawcę-wielbi-ciela autora ze wszystkich swych błędów, grzechów, nawet zbrodni...

Otóż na pierwszy rzut oka wydawać się może, że *Żelazna korona* reprezentuje powyższe podejście: w jednym

z końcowych rozdziałów znajdujemy takie oto motto, robiące wrażenie, jakby miało być lejtmotywem całej książki: *Qui plurima agit, plurima peccat.*

Przy bliższym jednak wniknięciu w ducha książki dochodzimy do przekonania, że motto powyższe nie jest wcale programowym rozgrzeszaniem władcy z wszystkich jego, z tytułu władzy i misji dziejowej popełnionych błędów; nie jest jednak także — jak mógłby ktoś sądzić — odwrotnością poprzedniego stanowiska tj. propagandą negacji wszelkiego czynu dziejotwórczego w imię dobra moralnego... Nie, autorka z beznamiętnym i bezstronnym, klasycznie epickim spokojem stwierdza fakt, jako fakt: kto wiele czyni, wiele grzeszy, albo raczej — jeśli dobrze zrozumiałem intencje autorki — wiele błądzi... Bo Karol w sensie wymagań religii i moralności grzeszy bardzo, bardzo mało — przynajmniej ten Karol, którego widzimy w powieści Malewskiej. To zaś, co by podpadało pod określone pojęcie grzechu, wypływa raczej z ducha epoki, niż z jego indywidualnych skłonności... Czyżby więc wartość moralna cesarza Karola, jako człowieka, była tak bardzo wysoka? Na pytanie to w pierwszej chwili śpieszymy odpowiedzieć: „Tak. Tak się przynajmniej Malewskiej zdaje“. Ale po chwili zastanowienia dochodzimy do zupełnie innego wniosku: oto wbrew wszystkim pozorom, autorkę w istocie zupełnie nie obchodzi wartość Karola, jako człowieka; w powieści jej cesarz prawie zupełnie nie ma prywatnego życia: wszystkie zaś momenty intymniejsze, które nam Malewska odsłania, znowuż nic nam nowego nie mówią o Karolu-człowieku, tak jakby i one po to były pomyślane, by wzbogacić naszą wiedzę o Karolu-władcy...

Rezultat: *Żelazna korona*, wbrew pozorom, nie jest powieścią psychologiczną, a w każdym razie nie psychologiczną w pojęciu ufatym.

Bo oto — prócz dwu wyżej wymienionych — istnieje jeszcze trzecie podejście współczesnej literatury do wielkiej postaci historiotwórczej pod psychologicznym kątem widzenia. Autor stara się wgłębić we wszystkie tajniki duszy króla, polityka czy wodza: chce wyłowić w tej reprezentacyjnej postaci... w tym człowieku-legendzie całą prawdę o jego

psychice... chce dociec, jakie to predyspozycje psychiczne, odziedziczone lub nabyte, zadecydowały, iż ten, który mógł być jednym z nas, stał się kamieniem milowym na drodze historii ludzkości... W tym celu sięgają pisarze po pomoc całego aparatu psychologii nowoczesnej, m. in. do panseksualizmu i teorii nerwic oraz przeniesień Freuda czy teorii kompleksu niższości i reakcji nań Adлера... Starają się też dociec istoty wzajemnego stosunku pomiędzy rolą historiotwórczą danej wielkiej jednostki, a jego wartością, jako człowieka w obliczu kryteriów moralnych.

Otóż Hanna Malewska, choć wyszła niewątpliwie z takiego psychologicznego podejścia, skierowała się przeciw na swoją własną, nową, zupełnie oryginalną drogę. Jak powiedzieliśmy wyżej, nic ją zdaje się nie obchodzić Karolczłowiek, ani jego psychika; frapuje ją natomiast psychologia władcy tj. reakcje psychiczne, te wyłącznie, jakie wywołuje w Karolu jego rola życiowo-historyczna, jego władanie... Niepełne jeszcze wyrobienie na stanowisku pisarza-psychologa sprawia, iż autorka czasem popełnia niekonsekwencje, wyłamując się ze swej oryginalnej linii w kierunku psychologizmu klasycznego, ale istnienie tej świadomości pomyślanej linii nie ulega wątpliwości: *qui plurima agit, plurima peccat* z całą pewnością nie dotyczy grzechów, obciążających moralną odpowiedzialnością sumienie Karola, jako człowieka, ale jest rozgrzeszeniem władcy z błędów, jakie popełnił w swej karierze politycznej... rozgrzeszeniem, uzasadnionym ogromem dzieła, jakie wziął na siebie i jakiego przez tyle, tyle lat dokonywał... W rezultacie mamy klasyczną niemal powieść o władcy i władzy: klasyczną ze względu na szczęśliwe a logiczne wyciągnięcie wszystkich konsekwencji, wynikających z historiozoficznej postawy naszej epoki wobec problemu władcy i władzy. A nadto ze względu na formę, w której problem ten został ujęty.

III.

O przyznaniu *Żelaznej koronie* czołowej nagrody w konkursie P. A. L.-u i „Książnicy - Atlas” zapewne nie zadecydowała problematyka powieści, tylko jej forma. Bo

powiedzmy odrazu: pod względem formy tj. pod względem jakości słowa i plastyki obrazowania książka autorki, nie mającej jeszcze dziś 30 lat, należy do najlepszych powieści historycznych polskiego piśmiennictwa posienkiewiczowskiego. Jej wizja epoki, szczególnie elementów wizualno-dekoracyjnych — to rzeczy zaprawdę zdumiewające! I to nie tylko takie szeroko rozplanowane obrazy, jak bitwa pod Pawią, dwór Medyceuszów, pożegnanie Karola z Gandawą czy rozdział „Krzyż niewolników“, ale każdy gest signora Narajero czy Maurycego Saskiego, każda barwna plama czyjejsz szaty na tle zieleni łąki czy błękitu nieba — to prześliczne arcydzieło zakłętej w realny kształt malarski wizji przeszłości... Właśnie te wizje to rzecz może najcenniejsza w całym utworze. Doprawdy, mało jest dziś europejskich powieściopisarzy historycznych, którzy potrafili miewać tak niesłychanie plastyczne a tak wolne od cienia choćby anachronizmu — wizje odtwarzanych przez siebie epok... Bo też trzeba zaznaczyć: większość biografistów dzisiejszych wśród powieściopisarzy to intelektualiści, nie plastycy... To też oni przeszłość inteligentnie, wnikliwie i sugestywnie opisują, nie malują jej — dają reportaż, nie wizję... Rozumie się, w takim reportażu, szczególnie gdy wychodzi spod pióra pisarza wyższej klasy, więcej może być materiału, aby porwać czytelnika i wzbudzić w nim zainteresowanie dla omawianej epoki... więcej też pola do tak ulubionej przez dzisiejszego czytelnika aktualizacji bezpośredniej... Mówimy: bezpośredniej, bo subtelnie zamaskowanej aktualizacji nie brak i w książce Malewskiej — nie każdy przecież ją wy-czuje, odnajdzie i odcyfruje... Może dlatego *Żelazna korona*, jak najsłuszniej odznaczona na konkursie i jak najcieplej powitana przez krytykę, czytana i popularyzowana jest znacznie mniej, niż na to zasługuje już choćby przez swe tak aktualne i nowoczesne podejście do zagadnienia władzy, nie mówiąc już o wspomnianych wyżej pierwszorzędnych zaletach artystycznych.

Ale obok zalet są też i wady. Czyż zresztą nie ma ich w pierwszorzędnych arcydziełach światowej literatury? Tubyśmy zwrócili uwagę na pewne niedociągnięcia kompozycyjne, oraz na wspomniane już wyżej nie zawsze

konsekwentne, a przez to nie zupełnie zjednoczone przeprowadzenie analizy psychologii władania na przykładzie Karola. Dalej zanadto już malarskie, zanadto dwuwymiarowe, a więc słabo pogłębione przedstawienie — poza paru wyjątkami — innych postaci historycznych. Wreszcie ogromnie konwencjonalna erotyka. I może za mało zrozumienia dla spraw duchowych, nurtujących epokę — trochę za mało... Ale cóż to wszystko znaczy wobec zalet książki i wobec faktu, że — jak się powiedziało — autorka ma za sobą zaledwie dwadzieścia kilka lat życia, a przed sobą — wszystkie perspektywy najświetniejszego rozwoju.

Teodor Parnicki.

Czy szlachcic polski gardził handlem?

(Na marginesie rachunków Rostworowskich z XVIII wieku).

Polskie ustawodawstwo sejmowe nie uznawało kompromisów w stosunku do szlachty, zajmującej się handlem. Postanowienia i uchwały w tej mierze są jasne i zgoła niedwuznaczne, nie dopuszczające jakiejkolwiek wykrętnej interpretacji. Konstytucje sejmu z 1550 roku stwierdzają, że „szlachectwem się bronić nie mogą, którzy list na szlachectwo otrzymawszy biorą na się sprawy stanu rycerskiemu nieprzystojne“¹⁾ — co to zaś były za sprawy określa zupełnie wyraźnie konstytucja sejmu z roku 1633, przypominająca, że: „jeśliby który szlachcic osiadłszy w mieście, handlami się bawił y szynkami miejskimi y Magistratus miejskie odprawował ten ma tracić *praerogativam nobilitatis*“ — utrata szlachectwa sięga dalej, gdyż ta sama ustawa podkreśla, że potomstwo takiego szlachcica, chociażby miasto i zajęcie miejskie opuściło, a syn jego kiedyby „*iura nobilitatis* sobie chciał przywłaszczyć y ziemskich dóbr nabywać; taki każdy za szlachcica miany być nie ma y dobra iego *terrestria iure caduco* każdy szlachcic uprosić sobie po nim może“.²⁾ Było to więc groźne memento dla tych spośród szlachty, którzy zachęteni przysłowiowym bogactwem mieszczaństwa chcieli sami z zyskownych obrotów handlowych czerpać korzyści. Tak głosiło prawo, interesującym jednak byłoby stwierdzić, czy życie szło w tej mierze zgodnie z literą prawa, czy szlachcic polski rzeczywiście handlem

¹⁾ Volumina legum (wyd. Ohryzki) tom II, str. 7, ust. 28.

²⁾ Volumina legum (wyd. Ohryzki) tom III, str. 382, ust. 45.

gardził, za zajęcie zgoła upadlające je poczytując, czy też może inny przedstawi się obraz, gdy do tego problemu ze strony codziennego, szarego życia zbliżyć się nam wypadnie. Że u podstaw tego rodzaju ustawodawstwa leżało poczucie zazdrości i zawiści ku bogatemu mieszczaństwu (zwłaszcza, jeżeli chodzi o szereg cudzoziemskich jednostek wśród mieszczaństwa polskich miast XV i XVI wieku) — to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Mieszczaństwo polskie — zwłaszcza krakowskie — XV i XVI wieku było naprawdę zamężne i bogate, a pochłonięte szeregiem handlowych interesów — o, w całym tego słowa znaczeniu, międzynarodowym zasięgu, mało zajmowało się sprawami polskiej racji stanu i pod tym względem słusznie wywoływało w szlachcie polskiej wybuch oburzenia. Lecz może ważniejszym i realniejszym powodem wzbierającej nienawiści ku miastom, nienawiści, która znalazła swój wyraz nawet w takim określeniu, że „miasta są gniazdem niecnoty i kłamstw“ było wygórowane poczucie wyższości szlacheckiej, wyhodowane w epoce humanizmu na mylnej interpretacji kultury klasycznej a opierające się na fałszywym zgoła utożsamianiu pojęcia *nobilitas* z pojęciem *patricius*, sejmu polskiego szlacheckiego z *senatus Populi Romani*, a mieszczaństwa i wieśniactwa z pogardzanym rzymskim *plebs*. Nic więc dziwnego, że patrząc tak na stosunki społeczne ogrom oburzenia wybuchał w szeregach szlacheckich, kiedy widziano dostatki mieszczan, gdy — jak to często bywało w miastach, „dziewki ich w złotogłowach z kamieniami drogimi, w sobolach czarnych — postrzygaczki, kuśnierki, faktorskie dziewczki chodzą i co ojciec jej z opalką dopiero przyszedł, kosztowniej się ubrać musi, niż zacna wojewodzianka: tak iż bóbr drugą za sto złotych przed zacną panią do czapki pokupiła“. ¹⁾ Stąd i narzekania na to — zdaniem opinii szlacheckiej — wywrócenie sprawiedliwości społecznej coraz częściej się mnożyły i aż drogą

¹⁾ W sprawach celnych Odpis Jego M. Pana Stanisława Cikowskiego z Woysławic, podkomorzego generalnego Województwa Krakowskiego — Czorszyńskiego, Babimostckiego etc. Starosty, Administratora Cel Koronnych. Z strony Fortelów Kupieckich szkodliwych Skarbowi K. J. M. y Koronie. W Krakowie w Drukarni Lazarzowej Roku Pańskiego 1602, str. 20.

ustawodawstwa chciano temu zaradzić i zaznaczyć niższość warstwy mieszczańskiej, a również jak to później miało miejsce pozbawić ją, czy przynajmniej ograniczyć źródła jej bogacenia się. Żeby to osiągnąć uderzono przede wszystkim, a z ekonomicznego punktu widzenia najfałszywiej w świecie, w najczulszą strunę człowieka stanu rycerskiego — w jego ambicję stanową, jego szlachecki honor i godność — twierdząc, że łokieć i waga niegodne są rycerza. Tymczasem życie wykazało nierealność tych zamierzeń — życie pchnęło wbrew wszystkiemu, co by można przypuszczać, wbrew nawet samemu ustawodawstwu — szlachtę polską właśnie w kierunku handlu, życie kazało temu szlachcicowi, którego handel miał zniesławić, zamienić oręż rycerski nie tylko na lemiesz, jak to się często mówi, lecz i na barkę wiślaną i z niej ciągnąć wielorakie zyski. A że tak już było w XVI w. dowodem niech będą znane słowa Kochanowskiego, który oburzając się na współczesne mu stosunki pisze „nie masz dziś w Polsce jedno kupcy a rataje. To największe misterstwo, kto do Brzeżu z woły, a do Gdańska wie drogę z żytem a z popioły”. Szlachcic bowiem już wówczas, jak zresztą i później nie gardził wywozem i handlem, a tym mniej już zyskiem z handlu płynącym — ale eksportu własnych wołów, czy zboża do Gdańska handlem nie nazywał i za handel tego nie uważał, zadowolony, że to źródło dochodu nie do kieszeni mieszczan płynęło. Szlachcic zazdrościł bowiem kupcowi zysku i majątku i często nienawidził go nawet, uważając czasem słusznie, w większości jednak wypadków niesłusznie, kupców-mieszczan za przyczynę nierównego rozłożenia pieniądza brzęczącego w Polsce w wieku XVI, i za przyczynę małej, pozornie i początkowo, rentowności szlacheckich majątków. A że ten kupiec miast polskich XV i XVI wieku jeżeli już cudzoziemcem nie był, to nosił jednak jeszcze w przygniatającej liczbie wypadków cudzoziemskie nazwiska, zdradzając tym pochodzenie swych przodków, tym silniej występowano przeciw niemu, nie bacząc, że przez to niszczy się właśnie polski stan średni, uniemożliwia jego rozwój i sprowadza nieuchronny w konsekwencji upadek i miasta i mieszczaństwa polskiego. To przeto wrogie dla kupiectwa, psychologiczne nastawienie

szlachty polskiej stało się źródłem nie tylko upadku miast polskich, ale i źródłem szeregu paradoksalnych i nawet sprzecznych ze sobą ustaw, których celowości nie zrozumie nikt, kto nie wgłębi się dostatecznie w historię naszej przeszłości ekonomicznej, oscylującej pomiędzy naturalnym biegiem życia i warunków przyrodzonych, a ambicją warstwy rządzącej, szlacheckiej; ambicją decydowania o wszystkim w Polsce z największą dla siebie finansową korzyścią. Trzeba bowiem zdać sobie sprawę i z naturalnych warunków rozwoju polskiego handlu w obrębie handlu ogólnoeuropejskiego, czy ogólno nawet światowego i z roli, jaką w nim odgrywali kupcy miast polskich, i jakaby odegrać byli mogli.

Niewątpliwie już samo położenie geograficzne wysunęło pewne kraje i tereny na naczelne w rozwoju stosunków handlowych stanowiska. Położenie Polski pod tym właśnie względem było (w obrębie przynajmniej wieków średnich) specjalnie niemal uprzywilejowane. Polskie ziemie, rozciągając się na przejściu od Morza Bałtyckiego do Morza Czarnego stanowią tak zwane trzecie zwięzienie Europy, tworząc najkrótszą drogę między obu wspomnianymi morzami, drogę ułatwioną korzystnym systemem rzecznym, rzek należących do dwu odrębnych systemów zlewiskowych. Z drugiej strony równoleżnikowe ukształtowanie pionowe Polski pozwala na ułatwioną komunikację między Wschodem a Zachodem i to co było, a i jest, niebezpieczeństwem Polski pod względem politycznym i militarno-strategicznym, to dla stosunków, handlowych zwłaszcza średniowiecza, miało nader dodatnie znaczenie. Średniowieczne bowiem drogi handlowe, uzależnione bez porównania w wyższym stopniu niż później od warunków terenowych, biegnące przede wszystkim z południa na północ i z zachodu na wschód w ważnych odcinkach swych szlaków wiodły przez ziemie Polski, łącząc w ten sposób centra przemysłu zachodniego z tajemniczymi, a bogatymi w poszukiwany i ceniony towar krainami Wschodu. Handel orientalny miał od wieków swe znaczenie, wzmagające się z rozwojem potrzeb i kultury ludzkości w obrębie XIV i XV wieku. Koncentrował się on głównie w rękę dwu potężnych włoskich republik miejskich Wenecji i Genui.

Jeżeli jednak wenecjańskie kupiectwo zawładnęło niepodzielnie portami Morza Śródziemnego i panowało na tym podstawowym średniowiecznym szlaku handlowym — to Genua, zajmwszy pobrzeża Morza Czarnego uczyniła z portów czarnomorskich: Kaffy, Kilii, Akermanu i Chadżybeja ośrodki wymiany towaru wschodniego, wysyłanego już dalej szlakiem lądowym na północny zachód Europy. A szlaki te, bez względu na to czy prowadziły prosto na zachód, czy na północ biegły przez ziemie Polski, by dotrzeć do wybrzeża Morza Bałtyckiego, gdzie władza już niepodzielnie inna potęga handlowa wieków średnich — Hanza północna, czyli niemiecka, obejmująca wówczas swymi wpływami prawie 80 miast bałtyckich i niemieckich. W ten sposób szlak handlowy Kamieniec Podolski—Lwów—Lublin—Toruń—Gdańsk ze swoimi drobnymi wariantami i odchyleniami, oraz szlak handlowy Kamieniec Podolski—Lwów—Kraków—Wrocław miał dla średniowiecznego handlu znaczenie niemal równorzędne ze szlakiem Morza Śródziemnego.¹⁾

Przez Polskę również biegł i prastary, przedhistoryczny jeszcze szlak handlowy etruski i rzymski, dążący z nad Adriatyku na Bałtyk, by przywieźć słonecznej Italii — złoty dar chmurnej północy, czarodziejski kamień morza — grecki „elektron“ — bursztyn. Szlak ten nie zatrzymywał się na łuku Karpat, lecz korzystając z nadających się do przejścia przełęczy dążył ku północy, wyznaczając kierunek późniejszej drodze handlowej węgiersko-bałtyckiej przez Sącz—Kraków—Piotrków—Toruń do Gdańska.

W ten sposób streszczając powyższe dane, otrzymamy biegnący przez Polskę nie licząc dróg drugorzędnych i odgałęzień drobnych, trójkąt centralnych linii komunikacyjnych, których punkty węzłowe — jeżeli można tego określenia nowoczesnej komunikacji użyć — leżały w Krakowie, Lwowie i Toruniu. Tędy też ciągnęły różnojęzyczne a bogate kupieckie karawany, wiozące skarby ówczesnego świata — tu zatrzymywał się kupiec, czy to dobrowolnie, odpoczywając

¹⁾ Szelągowski: *Pieniądz i przewrót cen w XVI i XVII wieku w Polsce*. Lwów 1902.

w uciążliwej i długiej podróży, czy też przyniewolony do zatrzymania się i wystawienia wiezionego towaru na sprzedaż, skutkiem rozpowszechnionego wówczas prawa składu, jakie zresztą w tych trzech miastach obowiązywało w szerokim zakresie. Nic więc dziwnego, że kupiec tych miast rósł w dostatek, że jego stosunki handlowe obejmowały cały ówczesny świat, że coraz więcej jednostek w tych miastach osiadało, i że podejmowano nieraz dalekie i ryzykowne wyprawy. Dla przykładu wspomnieć należy choćby o tym, że kupcy krakowscy bywali do XV wieku wcale częstymi gośćmi w centrum zachodnio europejskiego handlu we flandryjskiej Brugii. Siłą więc rzeczy ziemie polskie znalazły się, jeżeli nie w głównym centrum, to w każdym razie w orbicie głównych szlaków handlowych i zainteresowań ekonomicznych ówczesnego świata, a handel biegnący przez polskie drogi był wyłącznie niemal handlem tranzytowym.

Taki stan rzeczy trwał bez znaczniejszych zmian do drugiej połowy XV wieku. Wiek bowiem XV tak decydujący i przełomowy dla dziejów całego świata przynosi i dla handlu polskiego zasadniczą zmianę. Lata 1466—1453—1492 są dla niego granicznymi słupami. Pokój toruński oddaje w ręce króla polskiego Gdańsk z jego portem. Upadek Konstantynopola decyduje o rychłym, bo za nie całe 30 lat następującym zajęciu przez wyznawców półksiężycu genueńskich portów Morza Czarnego — Kaffy w r. 1475, Kilii i Akermanu w r. 1482. Odkrycie wreszcie Ameryki i związany w tym przewrót ekonomiczny przesuwają powoli punkt ciężkości handlu świata z wybrzeży Morza Śródziemnego na brzegi Atlantyku. To też w okresie kilkudziesięciu, by nie rzec już przesadnie kilkunastu lat — zamiera ormiański handel orientalny — drogi karawan kupieckich zarastają trawą zapomnienia, a Lwów — tracąc po upadku portów czarnomorskich swe tranzytowe znaczenie emporium handlu wschodniego — gości jeszcze w swych murach chyba wyjątkowo odważnych kupców, udających się bardzo już rzadko w wieku XVI, czy XVII do krajów Porty Otomańskiej. Dla większego paradoksu sam Lwów, bogacący się handlem korzeniami wschodnimi jeszcze sto lat temu — bierze w owym okresie ten towar drogą okrężną z północy, przywożony

morzem do Gdańska.¹⁾ Jeszcze wcześniej niż Lwów upada Toruń, którego handel już od roku 1424 cofa się zasadniczo na korzyść Gdańska, skutkiem uwolnienia kupców polskich od płacenia ceł krzyżackich.²⁾ Toruniowi dawnej królowej Wisły pozostaje od końca XV wieku jedynie, jak się trafnie wyraził jeden z historyków życie z pierników³⁾ — handel wiślany bowiem zagarnął już bezpowrotnie portowy Gdańsk. Trzeci punkt węzłowy średniowiecznego handlu — Kraków zachowuje pozornie nadal swe stanowisko — jednak tylko pozornie, gdyż tak, jak tranzyt wschodnio-zachodni zamiera i zanika, tak i tranzyt południowo-północny ulega obecnie daleko idącemu cyfrowemu i rzeczywistemu zmniejszeniu. — Wówczas to najważniejsze miejsce w stosunkach handlowych Polski obejmuje Gdańsk, który dopiero teraz może odegrać rolę portu Rzeczypospolitej. Do połowy bowiem XV wieku, Gdańsk, będąc odciętym od swego naturalnego zaplecza i granicą państwową i zazdrośnym o swe prawa i wyłączność handlową na Wiśle, Toruniem, nie wpływał prawie zupełnie na bieg stosunków handlowych Państwa Polskiego.

Skutkiem podanych wyżej przemian geograficzno-politycznych XV wieku zmienia się i to zasadniczo charakter polskiego handlu. Uniemożliwiony w dawnych rozmiarach tranzyt upada wkrótce niemal zupełnie, na jego miejsce wchodzi coraz to bardziej wzrastający import i eksport. Eksport polskiego surowca — zboża i drzewa przede wszystkim — import najrozmaitszych produktów dalekiego zachodu i południa, wschodu i północy, import następnie szeregu wyrobów przemysłowych zachodnich coraz bardziej potrzebnych i niezbędnych wzrastającemu w dostatki dworowi polskiego szlachcica-ziemianina.

Te zmiany tak bardzo zasadnicze nie mogły nie wywrzeć decydującego wpływu na charakter polskiego kupiectwa. Musiały one wprowadzić wywołać częściowy kryzys,

¹⁾ *Gdańsk. Przeszłość i terażniejszość* (pod redakcją St. Kutrzeby) Lwów 1928, Str. 151.

²⁾ Szelaǳowski: *Pieniądz i przewrót cen w XVI i XVII wieku w Polsce*. Lwów 1902.

³⁾ Prof. St. Kutrzeba w książce: *Gdańsk. Przeszłość i terażniejszość*. Lwów 1928, str. 130.

zrozumiały łatwo — a wywołany utratą dotychczasowych warunków i możliwości handlowych i koniecznością przystosowania się do nowych. Kryzys ten jednak powinien być zaledwie przejściowy i po przystosowaniu się do nowych warunków kupiec polski, dawny uczestnik handlu tranzytowego winien był przejąć w swe ręce obecny handel wywozowo-przywózowy i nadal nim się bogacić, a bogacić tym więcej, że sumy obrotów handlowych wzrastały, a ryzyko i trudności dawniej tak liczne i częste zupełnie zmalały. Krótko mówiąc, mieszczaństwo miast polskich winno było na tych przemianach kolosalnie zarobić, powinno ono było pozostać nie tylko nadal bogatą warstwą, ważnym ekonomicznie czynnikiem, lecz przede wszystkim winno było swój kapitał związać trwale z własnym polskim rynkiem, oprzeć się na krajowej produkcji surowca rolno-hodowlanego i na krajowym konsumencie szlachcie-ziemiaństwie. Tym bardziej, że przecież import towaru zagranicznego wciąż wzrastał, zapotrzebowanie magnaterii polskiej i zwykłej szlachty stawało się coraz większe, a możliwości eksportu polskiego zboża i drzewa, żeby tylko o tych dwu gałęziach wywozu wspomnieć były olbrzymie. Wystarczy przytoczyć, że w 1608 roku wywozi się z Gdańska 87.348 łasztów zboża, w 10 lat później w 1618 roku przywóz zboża do Gdańska osiąga rekordową cyfrę 115.221 łasztów. Dawało to mniej więcej przeszło 6 milionów korcy zboża, wartości 5—6 milionów ówczesnych złotych polskich.¹⁾ A zboże to głównie z polskich pochodziło łanów.

Tymczasem jednak od tego całego zyskowego obrotu handlowego zostało mieszczaństwo polskie od razu, zanim się jeszcze ten handel zaczął, z góry już niejako wykluczone i to — drogą ustawodawczą. Te same sejmy szlacheckie, które zabraniały *sub infamia* parać się szlachcicowi handlem, te same usuwały możliwość zarobku handlowego i odbierały go mieszczanom miast polskich. Sytuacja stawała się naprawdę paradoksalną. Handel, a raczej wywóz, bo tak go nazywano — Wisłą do Gdańska zboża i wołów,

¹⁾ *Gdańsk. Przeszłość i teraźniejszość* (pod redakcją St. Kutrzeby) Lwów 1928, str. 149.

zagwarantowano wyłącznie ziemianinowi szlachecowi i on tylko mógł drogą wodną „zboża, mąki i leśne roboty, a ktemu rzeczy wszystkie ku żywności gospodarstwa własnego szlacheckiego“¹⁾ Wisłą czy jej dopływami do Gdańska spławiać. Mieszczanin mógł korzystać jedynie z drogi lądowej, co w praktyce było bezwartościowe, transport bowiem był i o wiele droższy i narażony na konieczność opłacania rozlicznych ceł, od których szlacheckie statki wiślane były wolne. Nie mógł więc mieszczanin-kupiec żadną miarą wytrzymać konkurencji szlachcica exportera. Lecz na tym nie poprzestało ustawodawstwo anty-mieszczańskie. Zupełnie zaślepione w niechęci do miast polskich, masy tłumy szlacheckiego uchwalają jeszcze na sejmie piotrkowskim w roku 1565 ustawę, której ostrze poznać łatwo, bez zbytejnej nawet analizy. Ogłoszono wtedy, że: „Żadnych towarów małych i wielkich nie ma być wolno kupcom naszym koronnym stanu wszelkiego z granic koronnych wywozić za granicę, jedno cudzoziemcom samym będzie wolno ze wszelakimi kupcami, małemi i wielkimi, na miejsca składowe przyjeżdżać i tam zasię towary wszelakie brać, nakładać i wozić tam, gdzie im będzie potrzeba, cła i myta wszystkie powinny i zwykle zapłaciwszy“.²⁾ Było to formalne utracenie kupca polskiego na rzecz cudzoziemskiego. Cóż więc pozostawało kupcowi polskich miast, teraz już nawet dla najbardziej nieufnego obserwatora bezwzględnie i w stu procentach polskiego. Trudno na to pytanie odpowiedzieć, bo właściwie i nie ma co odpowiedzieć. A wszystko to wynikało z fałszywego mniemania szlachty o nadmiernych bogactwach mieszczan i płynącej stąd ekonomicznej zazdrości. To mylne przekonanie, przypisujące zyski krezusowe, płynące z handlu stało się podstawą jeszcze jednego ciosu ustawodawczego wymierzonego w kierunku miast. Były nim znane taksy wojewodzińskie, dające prawo wojewodom i starostom ustanawiać cenniki na towary po miastach sprzedawane, a których kupiec miejski musiał się bezwzględnie trzymać. Taksy te wyznaczały jednak ceny nie wedle rzeczywistych kosztów sprowadzenia

¹⁾ *Volumina legum* (wyd. Ohryzki) II, str. 49, ust. 50.

²⁾ *Tamże*, str. 48, ust. 43.

towaru, których szlachta nie opłacająca ceł nawet nie znała, lecz wedle uznania przedstawiciela władzy i warstwy szlacheckiej. Dawało to pole nie tylko do nadużyć, lecz i możliwość wyznaczania cen poniżej kosztów transportu. W ten sposób ustawodawstwo, które zasadniczo zabroniło szlachcie trudnić się handlem, równocześnie utraciło możliwość egzystencji kupca polskiego. Któż więc w Polsce handlował, czy może kupiec cudzoziemski, który protegowane przecież zajmował wobec kupca polskiego stanowisko? Cześciowo i chwilowo tak, ale naprawdę tylko chwilowo. Niebawem bowiem i przeciw kupcom cudzoziemskim, którzyby mogli przecież też nadmiernie się wzbogacić wyszukuje się różne zarzuty, a choć nie cofa się im ich przywileju, to jednak wprowadza się w stosunku do nich ograniczenia podobne do dzisiejszych ograniczeń dewizowych. Kupiec obcy wyjeżdżając z Polski musi dziesięć procent swego majątku w Polsce pozostawić.¹⁾ A i ten obcy kupiec choć uprzywilejowany opłacał cła i jego obowiązywały też taryfy wojewodzińskie. On więc też mógł być na straty narażony. Powraca więc postawione pytanie: kto prowadzi handel? Żeby nie odpowiedzieć na to znowu paradoksem, że handel prowadziła szlachta, możnaby sąd ten tak oględnie ująć. Nie handlował nikt, bo każdy szlachcic wywoził sam to, co miał do sprzedania, a przywoził z Gdańska też sam to, co jemu było potrzebne. Że przy tym po drodze załatwiono szereg interesów pod pojęcie handlu wyraźnie już podpadających, to mniejsza o to, choć skarży się na to już Starowski w bardzo dosadny sposób malując tak zwane „niezajmowanie się handlem” przez szlachtę. Mówi on bowiem o szlachcie:

Kupczą wołami, końmi, winem, miodem, gorzałkami, pieprzem, śledziami, rybami, wieprzami, słodami, zbożem wszelakiem, roz-

¹⁾ Iż się kupcy takowi nayduią którzy w Krakowie miejskie prawo przyiąwszy y za wolnością miejską na majątność się zdobywszy potym z oną majątnością extra Regnum się wynoszą... tedy *authoritate Conventus praesentis* stanowimy iżę takowych majątności wszystkich, któreby modo *praemisso* extra Regnum wywiezione być miały dziesiąta część miastu Krakowskiemu sprawiedliwie oddawana być ma tegoż miastom Poznaniowi, Lwowowi i Wilnu pozwalamy. *Volumina legum* (wyd. Ohryzki) II, str. 318, ust. 16. — Konstytucja z 1590 roku.

dając je w miasteczkach i na wsiach poddanym swoim i piwa ze dworu i gorzałki na szynk dawając tak, iż się ubogi człowiek w Mieściech y po Wsiach nie może przed nimi pożywić. Bo cokolwiek jeno poddany ma w domu na sprzedaż, to sobie do dworu przynosić każą, i za lada co na poły darmo kupują, potem w mieściech, gdzie jarmarczki ludniejsze, drożej sprzedają, albo też extra regnum wysyłają przez sługi.¹⁾

Jeżeli obraz ten znany pisarz nieco przejawskawił, to i tak to co zostanie wystarczająco maluje stosunki handlu polskiego czasów nowożytnych.

Dowodów zresztą na prawdziwość tego sądu dostarczają nam dla wieku XVIII — a zapewne wcześniej nie było lepiej — materiały archiwalne rodzin szlacheckich częściowo dopiero opublikowane drukiem. Materiał to bardzo ciekawy i instruktywny. W *Roczniku Gdańskim* to-

¹⁾ Reformacya Obyczaiów Polskich. Po trzecie wydana y przydatkami od Autora rozszerzona Wszystkim stanom Oyczyzny naszey terazniejszych czasów zepsowanych bardzo potrzebna. Przez S. S. str. 248—249.

A dalej tenże sam autor wyraźnie stwierdza jakich to metod używa współczesna szlachta, dając do wzbogacenia się, kiedy otwarcie mówi że: „szlachta kupiectwem się bawiąc wielkimi kłamstw y zdradą stan swój hańbią y skarb Rzptej szkodzą, gdy naskupowawszy zboża wołów koń i abo towarów jakich za wolnością cła na Komorach Królewskich nie płacą, udaiąc y przysięgaiąc, iż te rzeczy w domu się zrodziły y są z własnych ich folwarków. Drudzy pod tymże płaszczykiem wielu kupieckich ludzi y swoich y Cudzoziemskich Włochów Niemców Ormian Szołtów Żydów, za podarunkiem z towary wolno od ceł wyprowadzają. Drudzy zaś zwłaszcza Panowie wielcy, kupcom tak Koronnym jako i cudzoziemskim złą kondycją woły przedaią, że ie zagranicę powinni przez służbę swego wystawić y przez komory celne wolno nic nie płacąc przeprowadzić. Na co im gołe membrany z podpisem rąk swoich daią. ...Takimże sposobem staie się oszukanie w Cłach wodnych przez przysięgi, gdzie Szypprowie przynoszą fałszywe iuramenta z grodów którymi kupieckie zboża y inne towary pokrywaią, nie pomnąc, że iustitia simplicis dirigit viam eius, et impietate sua corruet impius. Nakupi drugi 30, 50 etc. łasztów śledzi w Gdańsku, albo Królewcu prowadzi na górę przysięże, że na własną potrzebę swą: a ten co przysięgę odbiera taler albo dwa wzięwszy nie może tego zrozumieć, że to y sam Król na swoy Dwór śledzi tak wiele nie potrzebowałby chociażby wszystkim swoim domownikom stoł dawał: a szlachcic jednego albo dwu Pachołków mając ma 50 łasztów śledzi przez post w domu swoim zjeść? skąd niezmierna szkoda Rzptej y J. K. M. dzieie się.“

Reformacya Obyczaiów l. c. str. 251—253.

mie VII i VIII,¹⁾ oraz w wydany ostatnim tomie IX i X²⁾ ogłoszone zostały drukiem przez p. Stefana Rostworowskiego interesujące materiały archiwalne, zaczerpnięte z nieznanego jeszcze ogółowi historyków „Archiwum Związku Rodziny Hr. Rostworowskich“, zdeponowanego w Bibliotece Ordynacji Krasińskich w Warszawie. Materiały te, obejmując szereg rejestrów i rachunków z działalności gospodarczej Jacka Rostworowskiego, kasztelana wiskiego i podczaszego województwa podlaskiego są wyborną ilustracją stosunków handlowych szlachty polskiej w wieku XVIII, a zarazem doskonałym wytłumaczeniem powodów zbędności kupiectwa polskiego w Polsce XVIII wieku, przy równoczesnym zawrotnym i coraz wzrastającym obrocie handlowym Gdańska i wreszcie zamożności gdańskiego kupiectwa. Pan Jacek Rostworowski posiada znaczne majątki w Drohiczyńskim nad Bugiem. Majątki te dobrze uprawne dostarczają „zbóż rozmaitych“, które opodal płynący Bug, a później Wisła chętnie i tanio na falach swych do Gdańska zaniesie. Nic więc dziwnego, że pan Jacek, korzystając z tak pomyślnej koniunktury wysyłać będzie rok rocznie swego wiernego szypra imię pana Stępkowskiego z flisami do Gdańska. A że jest człowiekiem zapobiegliwym i dokładnym nie tylko notuje to wszystko, co wysyła, ale skrupulatnie wymienia jakie to ekspensa ma p. Stępkowski w Gdańsku poczynić, by za powrotem, przywieźć wszystko to, co przez rok w gospodarstwie szlacheckim może być potrzebne. Chowa też pan Jacek skrupulatnie i wyrachowania się swego szypra i oryginalne rachunki kupców gdańskich, a tej jego skrupulatności zawdzięczamy, że możemy dziś wniknąć w szczegóły bardzo ciekawe, i bardzo instruktywne stosunków handlowych szlachty polskiej z gdańskim kupiectwem. I choć drukiem ogłoszonych jest zaledwie kilka

¹⁾ Co szlachcic polski w XVIII wieku kupował w Gdańsku. Materiały historyczne z lat 1747—1757 z archiwum rodzinnego podał Stefan Marian Rostworowski. *Rocznik Gdański*. Tom VII i VIII. Gdańsk, 1935, str. 348—384.

²⁾ Rachunki kupców gdańskich z lat 1732—1768. Materiały historyczne z archiwum rodzinnego ogłosił Stefan Marian Rostworowski. *Rocznik Gdański*. Tom IX i X. Gdańsk, 1937. Str. 461—485.

rejestrów i kilkanaście rachunków z lat 1732 do 1768, wystarczą i one dla wysnucia szeregu ciekawych wniosków, którym sędzę dalszy i obszerniejszy materiał archiwalny nie tylko nie zaprzeczyłby, lecz raczej uwypuklił, niejako wyrefuszował.

A więc przede wszystkim bardzo znamienity fakt. W roku 1760 wiezie pan Stępkowski i sprzedaje w Gdańsku 685 beczek rozmaitego zboża. Otrzymuje za to w sumie (dodawszy do tego pewne wyrachowania z kupcami z roku poprzedniego i drobne sumy za sprzedaną kaszę oraz 60.— zł wzięte z kasy pańskiej na drogę) 5947 zł i 3 grosze. Ale ile z tych pieniędzy przywozi z powrotem do Nowej Wsi i oddaje swemu panu. Otóż prawie że nic, bo rachunek dokładny i szczegółowy załatwionej w Gdańsku ekspensy wynosi 5934 złote i 25 groszy, pozostało więc po sprzedanym zbożu z chwilą wyjazdu z Gdańska gotówki niecałe 13 złotych.¹⁾ Może ten rok był wyjątkowy, może obok pana Stępkowskiego jeździł i kto inny jeszcze do Gdańska, z innym zbożem pana Jacka. Pozostanie jednak fakt, że cała suma uzyskana ze sprzedaży zboża, suma nie mała, bo niemal 6 tysięcy złotych zostaje w tymże Gdańsku wydana i u tamtejszych kupców pozostawiona. Jakim zaś był przy tym zarobek kupców gdańskich tego nie dowiemy się, sędzę jednak, że znaczny. A tak bywało i częściej, ogłoszone bowiem drukiem inne rejestry sprawunków z innych lat wcale nie są szczuplejsze od tego omówionego, który obok spisu towarów i ceny zakupów podaje. Bo też czego rzeczywiście nie kupowano wówczas w Gdańsku. Trudno wprost wymieniać tu wszystkie pozycje i rodzaje, za długoby to trwało. Wspomnę tylko o ważniejszych i charakterystyczniejszych, więc przede wszystkim korzenie: pieprz, imbir, kminek, gałka muskatowa, kwiat muskatowy, cynamon, szafran, kapary, goździki i inne — a to wszystko w poważnych ilościach, bo sięgających nawet pół kamienia dla poszczególnych rodzajów, czyli mniej więcej po 6 kg dzisiejszej wagi.²⁾ Dalej zaliczane wówczas również do korzeni, czyli

¹⁾ *Rocznik Gdański*. IX i X, str. 467—472.

²⁾ *Tamże*, VII i VIII, str. 353, 358, 364 itd. — IX i X, str. 462.

w sklepie korzennym kupowane: cukier rozmaitych rodzajów, kawa, herbata, oliwa, migdały, rodzyнки, ryż, ser, miodownik, oraz lak, mydło, indykt, lazur, siarka, żywica, saletra, tabaczka, proch itd.¹⁾ W sumie rachunek kupca korzennego wynosi np. w roku 1756 tynfów 451 i 14 groszy.²⁾ Będziemy więc może niedalecy prawdy stwierdzając, że rocznie kupowano w Gdańsku dla jednego dworu szlacheckiego za kilkaset złotych samych tylko artykułów dzisiejszego handlu kolonialnego. Lecz jest to zaledwie drobna część „ekspensy”. Osobny dział stanowią np. wina i wódki. O ich ilościach świadczy już sama różnorodność nazw — i tak np. w roku 1760 ma przywieźć p. Stępkowski wina francuskiego, piołunkowego, hiszpańskiego, reńskiego starego, szampańskiego, burgundzkiego, a każdego rodzaju po kilka przynajmniej butelek, poza tym piwa angielskiego butelek 50.³⁾ W r. 1749 rejestr wódek obejmuje⁴⁾: wódkę cynamonową, ze złotem, persyko, i alkiermasową — kiedy indziej znówu mowa o wódce jałowcowej i goździkowej.⁵⁾ Dalej idą osobno sprawunki żelazne i miedziane: naczynia, kociołki, trójnogi, jabłka mosiężne do grzania rąk i samo żelazo w blachach i sztabach, a w końcu gwoździe, kółka metalowe i różne rodzaje śrutu myśliwskiego, przeciętnie po jednym worku z każdego rodzaju. Uzupełniają te rejestry zakupów owoce południowe: pomarańcze, cytryny, oliwki — te jednak już w skromniejszych ilościach, kilkudziesięciu zaledwie sztuk. Najwięcej jednak miejsca w omawianych rejestrach zakupów zajmuje opis materii. Tu bowiem nie tylko podano jakość, rodzaj, kolor i deseń, ale jeszcze zaznaczono skrupulatnie dla kogo z rodziny i na co ma być wymieniona materia. Wchodzą tu więc w rachubę materiały na suknie i ubrania, a więc różne kolorowe sukna, kitajki, atłasy, dymy, kamloty itp. — w rozmaitych rodzajach tak, że zajmują one po kilkanaście po-

¹⁾ *Rocznik Gdański* VII i VIII, str. 353, 358, 364 itd. — IX i X str. 462, 463.

²⁾ *Tamże*, VII i VIII, str. 383-384. W tych latach kurs tynfa wynosił 100 tynfów za 60 złotych.

³⁾ *Tamże*, IX i X, str. 464.

⁴⁾ *Tamże*, VII i XIII, str. 361.

⁵⁾ *Tamże*, VII i VIII, str. 370.

zycyj.¹⁾ Dalej idą pończochy dla całego domu, jak i szereg dodatków krawieckich: skórki, sznurki, tasiemki, potrzeby, pasamony, galony i inne.²⁾ A przy tym ciekawe wskazówki jak np. z r. 1770, by kupić:

Materyiki Bawełnianey albo Kaffowey z błękitnym jedwabiem, lub białej z Błękitnym, alboliteż y w inszym byle cale gustownym kolorze y dobrym gatunku na dwa Robronty kupić także do szamerowania, rozumiałbym łokci 50, że wystarczy, aleby się poradzić lepiej albo Damy jakiey lub Białogłowskiego krawca, żeby nie tak skąpo wywieść tych obydwu materyi, jak pierwey³⁾

Nie brak więc dokładności w tych wskazówkach gospodarskich zakupów. Niekiedy wreszcie miał wierny szyperski sprowadzić z Gdańska nawet i żywe zwierzęta, jak to miało miejsce w rejestrze w r. 1755, kiedy polecono mu przywieźć: „prosiąt holenderskich, żeby tylko jako najprzedniejszych świń kupić, świnek trzy i wieprzków dwa, tylko się o nie proszę jako najlepiej starać”.⁴⁾ Dalej i kotów trzy, dwie kotki i jednego kocura byle pięknej sierści, a wreszcie i koguta włoskiego jednego.⁵⁾ Naturalnie te zakupy zwierząt są raczej wyjątkowe, jak wyjątkowym jest też następujący sprawunek z r. 1757 mianowicie by zakupić:

Barometrum, tylko jako najlepiej wyprobowane, żeby względem pogody lub niepogody niefałszowało do obrania którego, oraz do wypróbowania będziesz upraszał imć pana Kunisa żeby lipskiego nie kupować, tylko weneckie, a ponieważ najdrożej się płaci tylko po tynfów siedem jedne, więc można kupić dla lepszego wypróbowania dwa barometra.⁶⁾

Takie więc sprawunki załatwiał p. Stępkowski co roku, a załatwiał je według powtarzających się w rejestrach upomnień: „z należytą pilnością oraz i przezornością”.

Już to pobieżne zestawienie sprawunków wystarczy, ażeby stwierdzić jak olbrzymi był obrót handlowy kupca

1) *Rocznik Gdański*, VII i VIII, str. 359, 360, 366, 367 itd.

2) *Tamże*, VII i VIII, str. 367, 373 itd.

3) *Tamże*, IX i X, str. 465.

4) *Tamże*, VII i VIII, str. 376.

5) *Tamże*.

6) *Tamże*, VII i VIII, str. 381.

gdańskiego, posiadającego tak wygodnych, hurtownych niemal klientów. Lecz przeglądając te rejestry napotykamy na coś bardziej jeszcze może ciekawego, a co dla naszych rozważań o handlu szlachty polskiej jest bardzo interesujące. Otóż p. Stępkowski, obok szeregu sprawunków dla swojego pana za każdym niemal razem załatwia ot po drodze, jakieś sprawunczki dla bliższych lub dalszych krewnych — sąsiadów z okolicy — księży reformatów itd. Raz będą to w pokażnej ilości korzenie dla p. Godlewskiej, starościny rawskiej, to znowu wino dla p. Kossowskiego w Drohiczyń, pas czerwony dla p. Kaczyńskiego, sukna na konusz dla p. Tołwińskiego, czy wreszcie bliżej nie wymienione sprawunki dla księży reformatów, panów Meysnera, Drażewskiego itp.¹⁾ Były to same tzw. sprawunki grzecznościowe, lecz ekonomicznie rzecz biorąc było to dalsze podcięcie rodzimego handlu. Nie tylko bowiem p. Jacek Rostworowski nie kupował nic u kupca w pobliskim mieście, ale nie kupował tam i pan Tołwiński i p. Drażewski i Meysner i inni, których w potrzebne im rzeczy zaopatrzył szyper Stępkowski, czy jego następca Krasuski. Jakiż więc był gospodarczy rezultat tych spławów wiślanych do Gdańska i zakupów potrzebnej co roku ekspensy. Uprzytomnijmy sobie jedno. Rostworowski nie był wyjątkiem wśród szlachty polskiej XVII i XVIII wieku — ze swego majątku wysyła powiedzmy (na podstawie znanych spisów) 600 beczek zboża rocznie, jest to 50 łasztów zboża ówczesnej miary — cena ich jak wiemy przekracza 5000 złotych. Z pieniędzy tych do polskiego dworu nie wraca nic — zamienione są one na towar gdański, obrót ich nie bogaci więc kupca wewnętrznych miast polskich. Lecz idźmy dalej; rocznie wywożono z Polski w XVII wieku do 100 tysięcy łasztów zboża, w wieku XVIII znacznie mniej, w każdym jednak razie ponad 30 tysięcy łasztów — czy wobec tego wartość ich przeliczona na złote i zamieniona w Gdańsku na gdański towar nie da astronomicznych niemal cyfr milionów złotych obrotu. Kupiec gdański zarabiał na tym obrocie podwójnie: kupując

¹⁾ *Rocznik Gdański*, VII i VIII, str. 360, 366, 371, 372, 374 — IX i X, str. 467.

u polskiego szlachcica zboże sprzedaje na okręt z zyskiem, sprzedając polskiemu szlachcicowi różnorodzący towar też zysk z tej sprzedaży do własnej chował kieszeni. Jeżeli więc nawet nie wierzylibyśmy czarnym barwom opinii Starowolskiego o handlu szlachty polskiej, jeżelibyśmy lekceważyli znaczenie taryf wojewodzińskich — to samo rozważanie oparte na przytoczonym archiwalnym materiale wykaże nam jasno, że handel wszystkich miast polskich musiał upaść na korzyść handlu gdańskiego, który jedynie mógł i umiał wykorzystać dla siebie to właśnie ciekawe nastawienie szlachty polskiej, które nakazywało jej pogardzać handlem kramarskim a prowadzić eksport hurtowny, które kazało jej odnosić się do sąsiada mieszczanina z nieuzasadnioną pogardą, a honorować kupca portowego Gdańska. Ale trzeba przyznać, że ten kupiec gdański XVIII wieku, rozumiał należycie swój interes i umiał ocenić wartość kupującego u niego szlachcica. Świadczą o tym liczne rachunki kupców gdańskich, dla pana Rostworowskiego wystawiane, jakie troskliwie przechowywane w jego sekretarzyku pozostały do dnia dzisiejszego. Rachunki te wystawiane przez naprawdę różnorodnych właścicieli firm: Polaków, Niemców, Francuzów, a bodaj że i Anglików — są pisane wszystkie wyłącznie w języku polskim. Dziwna nieraz jest ta polszczyzna, wpadająca wyrażnie w niemiecką czy francuską pisownię¹⁾ — ale faktem jest, że wszyscy kupcy gdańscy, czy to będzie Chodowiecki, Szperliński, Fryszyński, Salomon, Szuman, Möller, czy Charles Valentin, Meyerhoff, czy wreszcie Klingbert, Selbinger i Pawlis piszą po polsku.²⁾ Wystawiając zaś te rachunki prześcigają się w uprzejmości i grzeczności. Rachunek opiewa zawsze dla Jaśnie Wielmożnego Jegomości Pana Rostworowskiego, podczaszego województwa podlaskiego, który kupić „raczył“ — kupiec podpisuje się własnoręcznie, jako Pana i najłaskawszego Dobrodzieja sługa najniższy,³⁾ a nawet znajdują się ciekawe klauzule gotowości przyjęcia z powrotem tego towaru, któryby się p. Rostworowskiemu

¹⁾ Np. w rachunku z 1760 r. „4 Paare filżanky popilate Zaskie“ „30 Pomerantże Złodkie“ itp. *Rocznik Gdański*, IX i X, str. 477, 478.

²⁾ *Rocznik Gdański*, IX i X, str. 476—485.

³⁾ *Tamże*, IX i X, str. 477, 484.

nie podobał. Na rachunku z 1768 r. firma Szuman i Pawlis zamieszcza dopisek;

Inquantum się sztych szwysz wyrażonich Matetyow co nie spodobało deklarujemy nazad odebrać y Pieniąsze oddać.¹⁾

Tak więc kupiec gdański rozumiał swój interes i cenił polskiego odbiorcę, a choć pisał w rachunku nie gramatycznie i z błędami pisał jednak po polsku.

Ale i polski szlachcic, jak wspomniałem, inaczej odnosi się do kupca w Gdańsku niż do kupca w Krakowie, Lwowie, Lublinie, czy Poznaniu. Ten sam Jacek Rostkowski, każąc p. Stępkowskiemu załatwić interes u kupca gdańskiego Grodka — nie tylko nazywa go Ichmość Panem, zupełnie tak samo jak określa poniżej wojewodę Bełskiego, ale poleca kłaniać mu się uniżenie.²⁾ To też nie dziwi nas zupełnie po rozważeniu tych handlowych relacji polsko-gdańskich scena obrazu na suficie sali czerwonej gdańskiego ratusza. Obraz ten, malowany przez znanego malarza XVII wieku Izaaka van dem Blocke — prawdopodobnie, jak świadczy podana na nim data 1608 r. — symbolizuje łączność Gdańska z Polską — łącznikiem jest tu bieg Wisły, wypływający z odległych (po lewej stronie obrazu wyobrażonych) Gór Karpackich, a uchodzącej poniżej Gdańska do morza. Wisłą płyną statki ładowne zbożem, bieg zaś wiślany spięty jest od góry symboliczną niejako tęczą, łączącą Gdańsk z resztą Polski — co jeszcze dokładniej tłumaczy łaciński napis: *Coelesti iungimur arcu*. — Była to prawda, z tym jeszcze dodatkiem, że łuk ten, łączący Gdańsk z resztą Polski, bywał bardzo często również i ściśle *terrestris*, wyrażający się w formie talarów i dukatów.

Na środku zaś tego obrazu — przed gdańskim Dworem Artusa zamieszczono charakterystyczną, a w ówczesnym Gdańsku częstą chyba scenę: wśród grupki kupców, jeden z nich bliżej widza stojący wita się z pełnym szacunkiem, lecz serdecznie z polskim szlachcicem, który widocznie idąc od Zielonej Bramy, dopiero co po długiej podróży wiślanej na gdańskim stanął rynku. Ta scena to symbol, ale i prawda

¹⁾ *Rocznik Gdański*, IX i X, str. 484.

²⁾ *Tamże*, IX i X, str. 466.

odwrotnego — niż często przytaczany — stosunku szlachty polskiej do mieszczaństwa i kupiectwa, w niej widzimy to samo zagadnienie, ale w zwierciadle wypukłym, jak poprzednio widzieliśmy je w wklęsłym i to silnie wklęsłym.

Zdaje mi się, że te uwagi, wypowiedziane na nakreślonym już poprzednio tle historii rozwoju naszych stosunków ekonomicznych w dziedzinie handlu dostatecznie dają odpowiedź na postawione na początku pytanie — stosunku szlachty polskiej do handlu. Odpowiedź na nie wypadła może nie tak prosto i prostolinijnie, jakby tego można było pragnąć, ale należy pamiętać, że historia jest tylko odbiciem i to nieraz nieudolnym rzeczywistego życia, a życie nie zawsze jest proste i prostolinijne. — Stwierdzić przeto należy, że pojęcie handlu u szlachty polskiej wieków nowożytnych to pojęcie kramarskiego kupczenia przez ludzi osiadłych w mieście i posiadających prawo miejskie; tylko taki handel nazywał się handlem — tym handlem brzydził się szlachcic polski, tym gardził i taka właśnie czynność zniesławiała go, i według jego mniemania i stosownie do litery prawa. Lecz obok tego istniało inne zajęcie: spław Wisłą do Gdańska i zakupy w Gdańsku czynione, to zaś nazywało się zajęciem ziemiańskim: sprzedażą produkcji rolnej i zakupem potrzebnych dla domu (a dodajmy często i dla folwarku, okolicy i dla znajomych) rzeczy. Tym, według naszych dzisiejszych pojęć, również handlem lecz o odmiennej technice — szlachcic całkiem nie gardził, ten rodzaj zajęcia bogacił go — a jak widzieliśmy bogacił równocześnie i kupca odległego Gdańska, w którym polski szlachcic nie mógł dopatrzeć się jednak żadnego pokrewieństwa z kupcem Warszawy, Piotrkowa, czy Radomia. Czy można za takie ujmowanie rzeczy szlachtę polską winić? Czy działała ona wtedy z pełną świadomością ekonomicznych konsekwencji takiego postępowania? Prawdopodobnie nie. Pełną natomiast świadomość konsekwencji ekonomicznej tych warunków życiowych posiadał jednak napewno kupiec gdański i dlatego wierzył on głęboko w prawdziwość symbolicznej dewizy, umieszczonej w gdańskim ratuszu, że Gdańsk z ziemią Polski *Coelesti iunctus est arcu*.

Dr Marian Pelczar.

Czy totalizm jest koniecznością historyczną?

(Próba morfologii ideologii społecznych)

Encyklika o hitleryzmie uprzytomniła nam fakt, że katolicyzmowi przybył nowy przeciwnik. Nowy o tyle, że do ostatniej chwili zdawało się niejednemu, że narodowy socjalizm, ze względu na swój bojowy stosunek do komunizmu, jest dla nas sprzymierzeńcem, z którym mimo istniejących różnic będzie można w tej lub innej formie współpracować. Zawarcie konkordatu zdawało się zapowiadać możliwość takiej współpracy, a optymiści uważali narastające konflikty, które się ostatnio przerodziły w jawną już wojnę, za jakies zdraśnięcia, które się jeszcze mogą dać usunąć.

Dziś złudzenia te prysły. Zrozumieliśmy, że czeka nas walka na dwa fronty i nawet powiedzieć nie można z góry, który z tych odcisków będzie ważniejszy (choćby ze względu na rolę i pozycję Niemiec) i trudniejszy.

W takim momencie nie będzie od rzeczy zastanowić się zupełnie zasadniczo nad istotą totalizmu. Może głębsza analiza da nam prawo do postawienia pewnych ostrożnych oczywiście horoskopów na temat niepokojącego pytania, czy jest to jakaś nowa wielka próba, przez którą z konieczności historycznej ludzkość przejść musi, czy też jedynie wytwór szczególnej i chwilowej koniunktury politycznej, jakby wnioskować można z dotychczasowych niepowodzeń partyj faszystowskich w innych krajach jak Belgia, Anglia, Holandia, Francja. Istnienie i w Polsce dążeń totalnych,

a nawet próby godzenia ich z katolicyzmem, jak to pragnie czynić *Kurier Wileński*, nadają temu pytaniu wielki ciężar gatunkowy.

Totalizm jest zjawiskiem o wiele głębiej ufundowanym, niż to się zdawać może przeciętnemu czytelnikowi gazet czy nawet reportaży książkowych.

Próba nasza głębszego naświetlenia i wyjaśnienia tego dziejowego zjawiska oprze się na wynikach kilkoletnich badań socjologicznych nad istotą i genezą ideologii społecznych. Ażeby umożliwić zrozumienie przesłanek myślowych, na których się oparą nasze rozumowania, będziemy musieli zapoznać Czytelnika z najogólniejszymi wynikami tych badań. Uczynimy to w kilku rzutach myślowych.

I. Istota i struktura wewnętrzna ideologii społecznej.

Pojęcie ideologii ma swoją wcale bogatą przeszłość. Pierwotnie używali go sensualiści francuscy i włoscy, Destutt de Tracy, Picareť, Galuppi i inni, dla oznaczenia „nauki o ideach”, co było jedynie zgodne z etymologią słowa. U eklektyków francuskich XIX wieku nabrała ideologia znaczenia surogatu metafizyki. Nowe zupełnie znaczenie nadał jej Napoleon I. Nazywał on pogardliwie ideologami filozofów, zwalczających ze względów zasadniczych jego zapędy cezarystyczne. Był to wyraz pogardy i irytacji człowieka czynu dla „niepraktycznych doktrynerów”. Znaczenie to w pewnej mierze utrzymało się jako pewien posmak uboczny. To trzecie, napoleońskie pojęcie ideologii zawierało już implicite składniki tego nowoczesnego pojęcia, które się miało ostatecznie ustalić — na przekór etymologii — mianowicie pojmowanie ideologii jako pewnego systemu idei czy innych wartości, odnoszącego się z tendencją normatywną do jakiegoś wy-cinka rzeczywistości.

Pierwsze teorie, próbujące ująć przy pomocy pojęć naukowych czy pseudo naukowych istotę i rolę ideologii jako systemu idei i norm, zawdzięczamy marksyzmowi. Materializm dziejowy próbował wszystkie zjawiska kulturalne i polityczne, jeśli nie bezpośrednio to przynajmniej w ostat-

niej instancji, sprowadzić do przyczyn gospodarczych. Marks uważa ideologię za „materię przetworzoną w głowie ludzkiej”. Materialiści nie zauważyli jednak rzeczy zasadniczej: że ich koncepcja stanowiąca dialektyczną antytezę do Heglowskiego idealizmu, sama jest czystej wody metafizyką, i to jedną z najbardziej naiwnych, jakie się przez dzieje myśli ludzkiej przewinięły. Nie mniej kierunek ten, którego najwybitniejszym przedstawicielem na terenie polskim jest prof. Krzywicki, ma tę zasługę, że zwrócił uwagę na problem ideologii i jego związek z podłożem faktycznym, na którym dany ruch wyrasta. Z drugiej jednak strony to zwrócenie uwagi na jeden tylko punkt spowodowało wytworzenie się pewnej jednostronnej i fałszywej sugestii, z pod której i nowsi badacze, którzy już jawnie przeciwstawili się jednostronności materializmu dziejowego, (jak szczególnie Pareto i Mannheim), do dziś dnia nie potrafili się wyzwolić.

W wyniku badań naszych ideologia ukazuje się w innym zupełnie świetle.

Badacze dotychczasowi popełniali wszyscy jeden błąd zasadniczy: próbowali oni określić rolę ideologii, przy czym założeniem było, że chodzi tu o jakąś rolę podejrzaną „maski” („derywacja” Pareta), a wysiłek badacza winien iść w kierunku jej zdarcia,¹⁾ a nie zdobyli się na głębiej sięgającą analizę struktury wewnętrznej samej ideologii. Jest to zresztą o tyle zrozumiałe, że analiza taka jest rzeczą więcej niż trudną, gdyż musi ona się oprzeć na szerokim materiale porównawczym, choć w myśl zasad analizy jakościowej szkoły socjologicznej Znanieckiego,²⁾ nie wymaga to bynajmniej uwzględnienia wszystkich ideologii. Chodzi jednak o to, by znaleźć kryteria i pojęcia, potrzebne do ujęcia rzeczy bardzo płynnych i nieuchwytnych. W miarę postępu badań okazało się, że zjawisko ideologii nie ogranicza się do czasów nowszych, lecz że nawet starożytność już wytworzyła pewne typy ideologii. Zupełnie niespodzianie wyłonił

¹⁾ Mannheim stawia w swej rozprawie o socjologii wiedzy, postulat stworzenia nauki o ideologiach, której zadaniem byłoby demaskować „kłamstwa w nich zawarte”. (*Handwörterbuch der Soziologie*).

²⁾ *The method of sociology* New York 1935 *passim*.

się fakt, że każda epoka kulturalna, przynajmniej w obrębie znanego nam bliżej kręgu kultury antycznej i łacińskiej, wytworzyła swoją własną formę ideologii. Wszystkie te formy mają cechy wspólne, których całokształt daje nam zarys pewnej konstrukcji, która przy bliższej analizie ukazuje nam swe logicznie zwarte wązania „zamkniętego układu” kulturalnego. Ideologia, to system logiczny, żyjący własnym życiem i poddany całemu szeregowi praw wewnętrznych rozwoju. Poznanie historycznych form, jakie te systemy przybierały w różnych epokach, uwypukli nam całą ciasnotę i jednostronność tych wszystkich pod wpływem marksizmu poczętych prób „demaskowania”. Rola ideologii jako derywacji czy maski, osłaniającej inne zupełnie dążenia, schodzi tu do kwestii stosunkowo podrzędnej, która nabiera aktualności w pewnych jedynie epokach i warunkach.

Czymże jest więc ideologia?

Ideologia społeczna¹⁾ to pewien względnie jednolity, z refleksji lub odruchów uczuciowych zrodzony, przez jakąś grupę akceptowany kompleks przekonań i wartości dynamicznych o charakterze normatywno-programowym, odnoszący się do pewnego zakresu zagadnień.

Każda ideologia da się rozłożyć na cztery rodzaje składników: na założenia, dążenia, powiązania i realizację. Założenia zawierają zawsze w formie mniej lub więcej ujawnionej pewne przekonania na temat rzeczywistości, poglądy na sprawy doczesne i wieczne, pozaempiryczne, oraz wartościowania tej widzianej przez siebie rzeczywistości.

Z rozpoznania i oceny wyrastają koncepcje rozwiązań danych przez życie problemów danego kręgu społecznego czy epoki. Wyrastają więc idee oraz pewne wzory najwyższe typów ludzkich czy form ustrojowych i kulturalnych czyli ideały. Ten oparty na pewnych założeniach kompleks idei i ideałów musi mieć swoje powiązanie wewnętrzne. Będzie nim konkretne sformułowanie, które nabiera

¹⁾ W pewnych warunkach można mówić i o ideologii osobistej lecz złożonego tego zagadnienia tu już poruszać nie możemy.

wartości dokumentu historycznego jak np. encyklika *Rerum novarum*. Dokument taki nabiera nieraz takiego znaczenia, że staje się on symbolem, skrótem myślowym, zastępującym treść całej ideologii a nieraz kanonem prawd uznanych i przyjętych. Mogą to być niekoniecznie deklaracje ideowe. Nieraz i pieśń może nabyć znaczenia programu i symbolu.

Poza słownymi symbolami istnieją i inne, np. sztandary, oznaki itp. Te znaki zastępcze stają się wartościami, które wywołują silne nieraz reakcje uczuciowe, nie tylko dodatnie ale i ujemne (ze strony przeciwników) jak np. czerwony sztandar. Stosunek do tych symbolów jest wyrazem i kryterium stosunku do samej treści ideologicznej. Kto uważa czerwony sztandar za swoje godło, ten już przyłączył się duchowo do marksistów, chociażby nawet nie wiele rozumiał z treści tej ideologii.

W miarę jak ideologia wchodzi w życie, znalazłszy grupę społeczną, która ją przyjęła i za swoją uznała, w miarę tego narasta dokoła niej pewna ilość przeżyć, które stają się tym większą wartością, im więcej w nich było cierpień wspólnych i sukcesów. Przeszłość zawsze staje się przedmiotem idealizacji, lecz temperatura uczuć, które się tu wytwarzają, zależy od emocjonalnej wartości danych przeżyć, przede wszystkim od tego, ile tu się włożyło ofiar i trudów i jakie sukcesy były choćby późnym wynikiem dokonanych wysiłków. Te wspomnienia stają się składnikiem ideologii i silnym jej powiązaniem wewnętrznym. Nieraz ludzie trzymają się ideologii, która już dla nich straciła rumieńce życia, dlatego jedynie, że nie potrafią wyzwolić się z tych więzów uczuciowych, których zerwanie wymaga wielkiego wysiłku.

Ośrodkiem krystalizowania się uczuciowego ideologii jest zawsze jakiś przywódca, lub zwykle grono przywódców, hierarchicznie uszeregowanych. Tym przywódcom przypisuje się zawsze pewne cechy charyzmatyczne, czyli posiadanie pewnych darów ducha, kwalifikujących ich na ludzi niezwykłych, ponadprzeciętnych, szczególnie do danej misji powołanych. Są pewne ruchy, gdzie osoba przywódcy zastępuje program. Wodzowi daje się *carte blanche*, co on

zarządzi musi być dobre, bo „geniusz“ zawsze wie co będzie najlepsze i zawsze pragnie tylko dobra ogółu. Posądzanie charyzmatycznego przywódcy o osobiste pobudki w działaniu jest niedopuszczalne. Charyzmatyczność wodza stanowi legitymację nie tylko jego władzy, ale i jego poczynań. W ruchach ideologicznych (są bowiem i ruchy, które pełnej, wyraźnej ideologii nie posiadają) wódz jest wyrazicielem ideologii, jej symbolem i prawodawcą równocześnie.

Czwarty rodzaj składników ideologii, to jej elementy realizacyjne, jakoby pomost powrotny do rzeczywistości, z której wyrosła. Rozróżniamy tu najważniejsze dwa rodzaje tych elementów realizacyjnych: normy, określające pożądane postępowanie, a więc urabiające typ człowieka, i programy, określające pożądane zmiany ustroju czy treści kulturalnych.

Wszystkie te elementy logiczne ideologii razem dopiero stanowią pewną całość strukturalną. Żaden z nich nie jest przypadkowy. Każdy ma pewną funkcję określoną i dlatego możemy tu mówić o systemach, rządzących się własną wewnętrzną prawidłowością.

II. Morfologia historyczna ideologii społecznych.

Pojęcie morfologii zostało w naukach humanistycznych spopularyzowane w głośnej filozofii kultury (bo tak trzeba tę książkę określić) osławionego Spenglera.¹⁾ Dalecy jesteśmy od wzorowania się na tej, mimo gatunkowego ciężaru myśli i bogactwa materiałów, we wiązaniach logicznych zbyt słabej konstrukcji. Nasza próba ma zakres bez porównania skromniejszy, może jednak dzięki temu jej wyniki nie będą musiały się opierać na... tupecie, jakiego nie brakło autorowi „Upadku cywilizacji zachodniej“, który uważał, że jego dzieło, które jako równorzędny wyczyn narodu niemieckiego postawił obok tego, co na frontach w czasie wielkiej wojny dokonali żołnierze niemieccy, może być jedynie nie zrozumiane, ale nigdy nie może być zhjęte.

¹⁾ *Der Untergang des Abendlandes*. 37 wydanie Monachium 1925, 2 tomy.

Badania nasze ujawniły nam istnienie pięciu zasadniczych form ideologii społecznych, wytworzonych przez historię. Każda z nich odpowiada pewnej fazie rozwoju ludzkości. Kryterium naszego podziału stanowią będą fazy racjonalizacji działalności ludzkiej. Założeniem będzie tu teza dosyć oczywista, że w miarę postępu kulturalnego ludzkość coraz bardziej wprowadza do działań swoich świadomą refleksję, która zastępuje ślepe odruchy i instynktowe dążenia, oraz nawyknieniowe, tradycyjne czy naśladowcze działania.

Pod tym kątem widzenia rozróżniamy pięć wyraźnych zasadniczych form ideologii: starożytne szkoły filozoficzne, zakony, średniowieczne ideologie stanowe, ideologie organizacyjne i wreszcie totalne.

Ideologie szkół filozoficznych starożytności to pierwsze próby racjonalizacji życia, dokonane przez wybitne jednostki, które sobie zyskiwały wyznawców i kontynuatorów. Chodzi tu najczęściej o zagadnienia, dotyczące życia ludzkiego, o etykę, ale nieraz i o zagadnienia ustrojowe. Ponieważ jednak myśliciele teoretyczni, jak pokazały chociażby losy Pitagorejczyków i samego Platona, normalnie nie dysponowali potęgą dostateczną czy to organizacyjną czy choćby moralną, by państwu swą wolę narzucić, więc z natury rzeczy ich zainteresowania ograniczały się głównie do zagadnień etycznych. Nie wszystkie szkoły można uważać za grupy ideologiczne. Tam, gdzie nie chodziło o normy, mające kształtować rzeczywistość, lecz jedynie o zagadnienia czysto poznawcze, tam nie możemy mówić o ideologii. Większość szkół starożytnych dążyła jednak do celów praktycznych i tworzyła w ten sposób pierwsze systemy ideologiczne, które żyły własnym życiem, stając się przedmiotem wiary i drogowskazem w działaniu licznych rzesz zorganizowanych wyznawców. Trzeba tu rozróżniać wyznawców, komentatorów i kontynuatorów. Wiedzą grupy jest autorytet mistrza. Kto chciał zwyciężyć w dyskusji musiał wykazać, że „On sam tak powiedział” (*autos efe*). Ideologie te ograniczały się na ogół do kształtowania czynów swych wyznawców. Ich uwaga była zwrócona na wewnątrz.

Nową formę ideologii przyniosło chrześcijaństwo. Założenia są teraz dane w formie nienaruszalnych zasad wiary. Z nich wyrastają idee i ideały zasadnicze. Racjonalizacja dotyczy tu jedynie ich szczególnego ujęcia i przede wszystkim realizacji. Realizacja ta jest zawsze odpowiedzią na problematykę przez daną epokę narzuconą, czy będzie to jakaś bolączka społeczna czy moralna, czy też jakaś błędna nauka czy ideologia. To też mimo wspólnoty najistotniejszej treści ideologicznej zakonne wykazują zdumiewające bogactwo sformułowań i treści duchowych. By zrozumieć, jaka tu istnieje rozpiętość, wystarczy sobie uprzytomnić takie przykłady, jak pierwszą na zachodzie ideologię zakonną benedyktynów, których problematem było ujęcie w karby dyscypliny wyrodniejącego bez niej zbyt szybko anachoretyzmu, dalej zakony rycerskie, które starały się pogodzić służbę wojenną podporządkowaną celom religijnym z ideałami moralnymi stanu zakonnego, dalej wzmacniający religię heroizmem ubóstwa ruch franciszkański, a następnie tę potężną armię intelektualną Kościoła — zrodzony z potrzeb okresu wielkiej rewolucji religijnej zakon jezuitów i wreszcie zrodzone z potrzeb społecznych epoki już w wieku XIX, nie bez reakcji przeciw ponurej pedagogice jansenizmu, zgromadzenie wychowawcze salezjanów. Każdy z tych zakonów, podobnie jak inne, ma swoje oblicze duchowe i swoje wartości specjalne, przede wszystkim personalne, uosobione w świętych zakonu i jego założycielu. Każdy z nich ma swoje specjalne idee i ideały, cele, zadania, reguły i każdy stanowi rodzinę duchową ściśle wyodrębnioną. Jak nas poucza przykład zakonów wojskowych, mogło tu chodzić i o cele bojowe czy polityczne (jak np. założenie swego państwa, jak to uczynili krzyżacy i templariusze). Nieraz przedmiotem zainteresowania zakonu były i stosunki polityczne, najczęściej z natury rzeczy chodziło jednak o człowieka i jego duszę nieśmiertelną.

Trzecią formę wytworzyło również chrześcijaństwo, dzięki temu, że stworzyło ono pojęcie służby społecznej i nadało życiu gospodarczemu a nawet wojennemu głębszy sens, który musiał się skryształizować w ideologii stanowej. Takie ideologie miały stany średniowieczne, szcze-

gólnie rycerski i mieszczański. Każdy z tych stanów chciał wychować na potrzeby swoje pewien typ człowieka. Jedynie to ideologie, które rodzą się bezimiennie i utrzymują mimo braku ogarniającej wszystkich wyznawców jednolitej, zorganizowanej grupy. Założenia są tu jednolite, oparte na uznanej wtedy jeszcze powszechnie religii. Gdy ta podstawa wspólna upadnie, stany przestaną być grupami ideologicznymi, a raczej ideologiczność ich nabierze charakteru rudymentów. Racjonalizacja dotyczy tu pewnych zasad postępowania i określa pożądany typ, jaki wychować należy oraz reguluje pewne formy stosunków międzyludzkich. Nowością jest oderwanie zasad zrationalizowanych od tej podstawy, jaką im dawała zwarta i karna grupa zakonna.

Czwartą, dotąd jedynie uznawaną formą ideologii jest to, co nazwaliśmy ideologią organizacyjną, tj. opartą o jakąś grupę celową (organizację). Rozwija się ona na dobre dopiero w epoce nowożytnej, szczególnie w XIX i XX wieku. Jej istota leży w tym, że tu łączą się wolne, świadome zasad i celu jednostki na podstawie wspólnoty przekonań i dążeń. Tutaj nabiera większego znaczenia podział według głównego zakresu i celu zainteresowania i działalności na ideologie wychowawcze, którym chodzi przede wszystkim o przemianę samego człowieka, oraz ustrojowe, których najważniejsze dążenia odnoszą się do zmiany ustroju. Ideologie ustrojowe można jeszcze podzielić, ze stanowiska ich metody realizacyjnej, na konstruktywne i bojowe, które znowu mogą cele swe realizować głównie w płaszczyźnie politycznej (partie) lub zawodowo-gospodarczej (związki zawodowe).

Piątą wreszcie grupą ideologii, która wyłania się z mroków przyszłości i nabiera od lat kilkunastu coraz więcej realnych kształtów o twardo zarysowanych konturach, to ideologie totalne, oparte o monopartie. To, co dotąd jawiło się jako błąd zarys idei w powiewnych szatach idealizmu, za którymi jedynie brutalni materialści dopatrywali się jakiegoś twardego kośćca interesu, teraz nagle nabierać poczyna wyrazu straszliwej siły, niematerialnej wprawdzie, ale niszczylielskiej, niepowstrzymanej w swym pochodzie, traktującym wszystkie wartości duchowe. Ideologia staje się siłą historyczną, organizującą wolę zbiorową narodów. Stwarza

ona jakieś straszliwe mechanizmy koordynujące całą rzeczywistość narodową w dziedzinie życia politycznego, gospodarczego, kulturalnego i duchowego. Może ona zatrzymać się u granic sumienia religijnego i zostawić wolność wiary transcendentnej, jeśli to będzie leżało w jej interesie (jak to uczynił faszyzm), ale normalnie musi ona dojść do konfliktu z religią, bo ideologia totalna ma nastawienie doczesne, podporządkowuje wszystko państwu i uważa jego dobro za jedyny sprawdzian nie tylko dobra, ale nawet i prawdy, jak to czyni ów naiwny neopragmatyzm Schwarza, filozofa Niemiec hitlerowskich. Totalizm nie uznaje obok siebie żadnej innej siły, mającej pretensje do rządu dusz. Pragnie on przede wszystkim oprzeć się na młodzieży, rozumiejąc, że starsi, którzy nie należą do obozu, nie dadzą się już przefasonować.

Ideologia totalna wyróżnia się od innych ideologii tym, że wszystkie zasadnicze składniki pojawiają się w formie jakby bardziej pełnej, wykończonej, o większym znacznie napięciu dynamicznym.

Jednolitość założeń jest tu bezwzględna i świadoma. Ideologia totalna nie znosi w tej dziedzinie najmniejszych odchyśleń. Zasady, przyjęte jako podwalina ideologii, mają charakter dogmatów, uporządkowanych mniej lub więcej hierarchicznie i nie podlegających żadnej dyskusji.

Zakres zagadnień stał się wszechobejmującym. To jest właśnie cecha istotna, która dała nam nazwę totalizmu. Ideologia totalna zniosła to, co socjologia nazywa „sferą prywatności”. Wkracza ona w najsubtelniejsze kwestie sumienia, choć sprawy wychowawcze będą u niej raczej podporządkowane ustrojowym. Mają one tu jednak tak zasadnicze znaczenie, że podział na ideologie wychowawcze i ustrojowe, ważny dla ideologii organizacyjnych, traci w tym wypadku zupełnie na znaczeniu. Ideologia totalna chce człowieka włączyć bez reszty w grupę, chce go „rozpuścić” jako indywidualność w kolektywie, i musi się dla tego nim zainteresować. Jednostka nie ma w totalizmie wartości samoistnej. Znaczy ona tyle, ile jest warta dla państwa. „Wielcy” ludzie są dla tego wielkimi, że wielką była ich rola dla państwa. Kto nie ma wartości dla państwa, kto nie realizuje jego celów, wyrażonych w ideologii, ten jest niczym. Lenin z tego punktu

widzenia miał prawo nie liczyć się z kilku milionami istnień ludzkich, a instytucja liszeńców jest zupełnie logiczna. Kto ratuje liszeńca, tj. obywatela, którego państwo uznało za balast niepotrzebny czy nawet szkodliwy, ten spełnia czyn społeczny. Łunaczarskij miał rację. Dla totalizmu miłość bliźniego jest ideałem błędnym i szkodliwym, bo „hamuje ona energię rewolucyjną proletariatu”. Wartość moralną ma jedynie solidaryzm, stanowiący więź grupy kolektywistycznej. Sama jednostka jest niczym. „Pamiętaj, że jesteś niczym, a naród jest wszystkim”. Takie maksymy wpaja się za pomocą napisów ściennych wychowankom niemieckich obozów pracy.

Totalizmy wyrosły niewątpliwie w jakiś sposób z indywidualistycznej walki o szczęście jednostki, lecz szczęście to zgubiły gdzieś na swej drodze dziejowego rozwoju. Ze szczęścia największej liczby, głoszonego przez Benthama, zrobiło się szczęście całości. Grupa została uosobiona, stała się realnością samoistną. Było to nieuniknioną konsekwencją materializmu. Jednostka tylko wtedy może zachować swą wartość absolutną, jeśli się uzna nieśmiertelność duszy, na podobieństwo Boże stworzonej.

Rolę decydującą odegrały tu niewątpliwie idee egalitaryzmu, które tak głęboko scharakteryzował Emil Bouglé w swym znanym studium.¹⁾ Nierówności socjalne epoki kapitalistycznej dodały tym ideom, w dziedzinie politycznej równości już częściowo zrealizowanym przez rewolucję francuską, nowej siły. Po egalitaryzmie politycznym przyszedł egalitaryzm hedonistyczno-gospodarczy. Marksizm głosił prawo wydziedziczonych do równego użycia i chciał to osiągnąć przez zniesienie własności prywatnej. Totalizmy kapitalistyczne, zrodzone z reakcji przeciwko marksizmowi (reakcja ta dotyczyła przede wszystkim internacjonalizmu) ten sam ideał chciały zrealizować w inny sposób, przez organizację masową wywczasów (*Dopolavoro* i *Kraft durch Freude*) oraz przez politykę socjalną. Zawsze jednak chodzić tu będzie o niwelację przy użyciu przymusu państwowego.

Istotna różnica między ideologią totalną a inną ideologią polityczną typu organizacyjnego, leży przede wszystkim

¹⁾ *Les idées égalitaires*. Paryż 1908.

w tym, że totalizm nie toleruje obok siebie żadnej innej, równouprawnionej ideologii, której by przyznawał prawo dojścia do władzy na drodze legalnej. Pociąga to za sobą konieczność oparcia się na bezwzględny użyciu siły opartego przez daną partię państwa.

Państwo nowoczesne długo nie rozumiało jeszcze w pełni własnej siły. Idee liberalizmu i demokracji stworzyły w swej realizacji obraz pewnej płynności stosunków, uzależniły rząd od „woli narodu” i uczyniły go bojaźliwym. Wolność prasy, nieoceniona zdobycz epoki nowożytnej, wywalczona przez ruchy rewolucyjne, stanowiła istotnie asekurację wolności obywatela. Dopiero okres powojenny nauczył nas tego, że kto ma w swym ręku armię, policję i kasę państwową, ten może sobie na bardzo dużo pozwolić; tak zwaną wolę narodu nauczono się najpierw „preparować” a potem i fabrykować na miarę i według potrzeby. Totalizm rozwinął do mistrzostwa sztukę robienia nastrojów, „plebiscytów”, montowania systemów wyborczych, dających możliwość regulowania planowego „woli narodu” — ściśle według potrzeb chwili. Wiąże się z tym sztuka wytwarzania entuzjazmu, może niezawsze szczerego i powszechnego, ale niewątpliwie ogarniającego rzeczywiście pewne kręgi.

Chcąc ten entuzjazm utrzymać czy wywołać, musi monopartia dawać społeczeństwu zaspokojenie niektórych przynajmniej jego dążeń.

Najistotniejszym z nich jest potrzeba ładu i koordynacji. Jest to nowy etap w odwiecznej walce tych dwóch ideałów, ładu i wolności, wypełniającej od samego początku dzieje polityczne świata. Człowiek zawsze dążył do samostanowienia i wolności osobistej i zawsze prędkiej czy później tej wolności nadużywał dla swych egoistycznych celów, co w rezultacie stwarzało nieład, niesprawiedliwość i dezorganizację społeczną. Jej naturalnym wynikiem była zawsze tęsknota do ładu, którą można było zaspokoić jedynie przez silną władzę. Zmęczenie wolnością wyzyskiwali we wszystkich stuleciach Napoleonowie mniejszego czy większego stylu. Zawsze musieli oni dawać ludowi sukcesy, wygrywać wojny, wznosić budowle monumentalne, zapewnić dobrobyt przynajmniej warstwie najbardziej wpływowej. Ład

stwarzał siłę, której widok odbierał nadzieję na skuteczność przewrotu. Jedynie rozpolitykowanie armii prowadziło do osłabienia państwa i umożliwiało przewroty częste i łatwe. Nadużycia reżimu autokratycznego zawsze wywoływały ruch wolnościowy, który zwyciężał, gdy się nadażyła możliwość, czasem szybko i łatwo, czasem późno i trudno, — co zresztą potęgowało siłę odruchu, zwłaszcza, jeśli poprzedziły go nieudane, krwawo stłumione próby. Bywały jednak ludy, które nigdy nie zaznały wolności, przeżywały ją za to tym silniej w tęsknotach swej budzącej się do życia indywidualnego warstwy intelektualnej. Ciekawą jest rzeczą, że te właśnie narody, gdy wolność osiągnęły, nie potrafiły w niej zasmakować. Rosja przeżyła krótki okres kiereńszczyzny w pijanym szale anarchii i rozkładu. Niemcy swą kilkonastoletnią epokę tak zresztą umiarkowanej w posunięciach, liberalnej aż do tolerowania akcji rozkładowej, ale nie anarchicznej republiki wspominają już ze wstrętem, jako czas hańby i upadku. Te właśnie narody były predestynowane do tego, by wytworzyć ideologię totalizmu. Wprawdzie trzeci z tej trójcy, naród włoski, przeciwnie zupełnie, miał za sobą raczej tradycję dezorganizacji chronicznej i wiekowego rozbicia partykularnego, ale i on mógł wspominać chwałę okresu jedności i potęgi, nieco dawnej wprawdzie, ale żywej i sugestywnej dla wyobraźni śniącego dumne sny o dawnej potędze rzymskiej stale przez innych i przez swoich poniżanego narodu.

Jest pewna dalsza cecha totalizmu, która kształtuje jego oblicze. Chodzi tu o tzw. charyzmatyczność przywódców. Totalizm nie jest możliwy bez „wodza“, który uchodzi za genialnego, nadludzkiego. Totalizm jako ideologia, wymagająca absolutnej subordynacji, musi dla swych pretensyj znaleźć jakieś dostateczne tytuły. Sama ideologia nie może siebie samej poręczać. Jedynie sankcja religijna może nadać ten autorytet prawdy absolutnej, dogmatycznej. W jej braku trzeba więc innych poręczeń. Może jej dać tylko urok wodza, jego autorytet osobisty, wywalczony sukcesami. W braku sukcesów może się mif wytworzyć i dzięki temu, że dana osobistość staje się symbolem, uznanym twórcą jakiegoś już potężnego ruchu. Marks właściwie miał życie pełne niepowodzeń. Jego robota organizacyjna rozpadła się.

Sukces zyskały jedynie jego idee i to wystarczyło, żeby zapewnić mu pozycję najwyższego autorytetu, „proroka“, którego mętne teorie, dawno już obalone przez teoretyków, zyskały dla wyznawców jego ideologii znaczenie ostatniej instancji, wyrokującej o prawdzie i fałszu.

Ruchy ideologiczne potrzebują wodzów i bohaterów a także męczenników. Jeśli ich brak, trzeba ich sztucznie tworzyć. Nowoczesna technika nauczyła się też „montować“ legendy. Pouczającym przykładem może tu być historia hitlerowskiego „bohatera narodowego“ Horst Wessel’a. Był to wykolejeniec i grafoman a zabity został bynajmniej nie „dla idei“ lecz w rozprawie nożowej o jakąś dziewczynę. Starczyło jednak, że był to „swój“ i że został zabity. Legendę można dorobić, mając sprawną organizację i maszyny drukarskie do dyspozycji. Było potrzeba bohatera, więc trzeba było wziąć takiego, który się właśnie nawinał. Przed zarzutami można się zawsze obronić, spychając je na konto „nikczemnych oszczerstw, rozsiewanych celowo“ przez wrogów. Historyk po pewnym czasie może być nawet w kłopotie wobec sprzeczności relacji.

Najistotniejszą rzeczą będzie oczywiście kult samego wodza. Jest on obowiązkowy i przybiera formy bardzo zbliżone do kultu cesarów w imperium rzymskim. Udział w tym kulcie stanowi kryterium lojalności wobec totalnego państwa. Kult ten tym łatwiej nabierze cech religijnych, im bardziej areligijną jest dana ideologia. Kult Lenina w Bolszewii, przybierający wyraźne cechy kultu religijnego, do pewnego stopnia dla „wierzących“ w marksizm i leninizm jest surogatem religii, zaspakajającym potrzebę korzenia się przed mocami wyższymi. Ubóstwo i trywialność tego „kultu“ nie zmienia tu w niczym istoty rzeczy.

Totalizm może być albo tylko faktem, jak w Rosji, albo też prawnie uznaną, do konstytucji włączoną zasadą, jak we Włoszech i w Niemczech. Jest rzeczą charakterystyczną, że wyrosło na rzymskich i zachodnich pojęciach prawnych narody zachodnie będą zawsze dążyć do legalizacji choćby największego i jawnego gwałtu, gdy rosyjski barbarzyńca wschodni, wychowany na despotyzmie, tej potrzeby nie odczuje.

Dr Andrzej Niesiołowski.

O należytej postawę wobec komunizmu.

Rozważając nową taktykę stosowaną przez komunizm¹⁾ doszliśmy do wniosku, że komunizm będzie można u nas zwalczyć skutecznie tylko wtedy, o ile powstanie wzajemne porozumienie i współdziałanie czynników walczących z komunizmem i o ile porozumienie to oprze się o wspólną ideologię, przynajmniej w najbardziej podstawowych sprawach. Próbowaliśmy również sformułować najistotniejsze zasady takiej właśnie ideologii.

Przyznać należy, że w ostatnim półroczu dokonał się w narodowo uświadomionym społeczeństwie polskim poważny przełom w kierunku wykrystalizowania się i uzgodnienia właśnie tych podstawowych zasad ideologicznych.

Trzeba również zaznaczyć, że proces uświadomienia o aktualnym niebezpieczeństwie komunistycznym i poznania taktyki oraz metod działania komunizmu posunął się w naszym społeczeństwie poważnie naprzód.

Mimo to jednak daleko nam jeszcze do osiągnięcia zgodnego współdziałania wszystkich tych, którym naprawdę i poważnie zależy na gruntownej a skutecznej walce z zarazą komunistycznego rozkładu.

W rozprawie niniejszej pragnę zająć się szeregiem zasadniczo błędnych, moim zdaniem, poglądów, które między innymi utrudniają osiągnięcie zgodnego współdziałania na antykomunistycznym froncie. Pozostawiam na boku sprawy natury organizacyjnej, zajmę się tylko zagadnieniami

¹⁾ Cfr. *Przegląd Powszechny*, luty 1937.

ideologicznymi i politycznymi. Tą krytyczną rozprawą chcę się przyczynić do wytworzenia należytej postawy ideologicznej wobec komunizmu, której nam jak dotąd brakuje.

I. Unaradawianie się bolszewizmu?

Mimo dobiegającego już dwudziestolecia rządów bolszewickich i mimo występujących od czasu do czasu pozorów stabilizacji — rewolucja komunistyczna w Rosji trwa. Rewolucja nie tylko w znaczeniu społecznej przebudowy, co komuniści sami przyznają, ale również rewolucja polityczna wyrażająca się na zewnątrz w gwałtownych zmianach personalnych. Szczególnie od roku jesteśmy świadkami istnego przewrotu na wierzchołkach kierowniczych bolszewizmu. Padają głowy nie tylko „lewicowych” i „prawicowych” wodzów (Zinowiew, Kamieniew, Piatakow, itd.) ale i przewodców zdawałoby się jaknajbardziej stalinowsko-prawomyślnych (Postyszew, Gamarnik, Tuchaczewski, Jagoda i inni).

Wielu widzi w tym zmierzchu rewolucji, „termidor” bolszewizmu. Inni znowu traktują gwałtowne te zmiany jako proces oczyszczania się bolszewizmu od wewnętrznych elementów opozycyjnych i zdegenerowanych, przed nowym, na wielką zakrojoną skalę, atakiem rewolucyjnym czy wojenno-rewolucyjnym skierowanym przeciw tzw. burżuazyjnemu światu.

Dla dokładniejszego poznania istoty sprawy musimy wyeliminować z naszych rozważań momenty acz ważne to przecież drugorzędnego znaczenia jak sprawy trudności gospodarczych ZSSR i odpowiedzialności za nie lub intrygi osobiste o podłożu walki o władzę wewnątrz panującej klikii.

Wśród zwolenników poglądu, że bolszewizm przeżywa swój „termidor” przeważa mniemanie, iż bolszewizm przeobraża się z ruchu międzynarodowo-rewolucyjnego w system narodowo-mocarstwowy. Inteligentniejsi zwolennicy tego poglądu wysuwają go jako hipotezę, gdy natomiast mniej inteligentni publicyści mówią o tym jakby o pewniku, o zjawisku, które już się dokonało.

Warto więc przyrzeć się bliżej tej tezie o unaradawianiu się bolszewizmu, bo z niej konsekwentnie wypływają

różne praktyczne wnioski w odniesieniu do współczesnego komunizmu.

W Polsce teza o unaradawianiu się rosyjskiego bolszewizmu przyjęła się ostatnio dość powszechnie w naszej publicystyce. Najkonsekwentniej reprezentują ten pogląd p. Stanisław Kozicki na łamach *Warsz. Dziennika Narodowego* i p. Włodzimierz Bączkowski w dwutygodniku *Myśl Polska*.

Pan Kozicki w swoich częstych rozważaniach na temat przeobrażeń bolszewizmu i w ogóle Rosji doszedł do wniosku, że cała prawie historia Rosji aż do bolszewickiego okresu była tworzona przez obcych i że dopiero bolszewicy są czymś swoście narodowo rosyjskim. Pisze on:

Wszak Iwan Groźny rządził przy pomocy opriczników, rekrutowanych z różnych narodowości, Piotr Wielki wprowadził do życia politycznego Rosji Niemców, a Katarzyna Wielka była Niemką. Nie mówimy już o Wariagach, którzy zorganizowali państwo kijowskie i o Tatarach, którzy odegrali tak wybitną rolę w dziejach Moskwy...

...Organizacja państwowa narodu rosyjskiego dokonywała się dotychczas w ciągu stuleci całych przy pomocy czynników obcych...

...Okres bolszewicki nie jest w jego (narodu rosyjskiego) życiu okresem czystej negacji... Nie jest to li tylko panowanie marksistowskiej myśli i obcych jej wyznawców. Jest to także ruch, wynikający z wyzwolenia mas rosyjskich z pod jarzma tradycji nie zawsze narodowo-rosyjskiej, ruch, który ujawnił wielkie możliwości narodu rosyjskiego i stał się twórcą wielu rzeczy, które pozostaną. Bolszewizm to nie komunizm międzynarodowy, to coraz bardziej czysto rosyjski ruch społeczny, który musi doprowadzić do zjawienia się na terenie międzynarodowym nowej Rosji, bardziej narodowej i samodzielnej, niż Rosja przedrewolucyjna.¹⁾

Pogląd swój rozwija p. Kozicki bardzo radykalnie, dochodząc aż do tak skrajnego wniosku, że

...narod polski nie zdobył się jeszcze na zorganizowanie własnego państwa nie tylko formalnie lecz rzeczywiście państwa narodowego.

Można się dziwić, iż inteligentny pisarz nie waha się występować z tak skrajnie demagogicznym poglądem w arty-

¹⁾ Artykuł „Tragedia moskiewska” — *Warsz. Dziennik Narodowy* z dn. 29. I. 1937 r.

kule, w którym udowadnia się, że bolszewicy w Rosji osiągać coraz bardziej własne państwo narodowe!... Jakież wobec takiego twierdzenia nasunąć się może wnioszek? I to w chwili, gdy Komunistyczna Partia Polski robi wszelkie wysiłki, by wmówić w ludzi, że tylko komuniści bronią naprawdę niepodległości Polski i że rząd polski jak i „faszyści” polscy (tak „narodowcy” jak i „piłsudczycy”) są zdrajcami Polski, bo nie chcą iść na politykę dyktowaną przez (unarodowioną?) Moskwę!

W innym zasadniczym artykule pisze p. Kozicki:¹⁾

Kto się chce choć trochę orientować w rozwoju spraw w Rosji, ten powinien raczej szukać tej myśli przewodniej u kierowników polityki sowieckiej, niż dawać wiarę chaotycznym a sprzecznym ze sobą informacjom.

A więc jednym słowem wierzymy przede wszystkim w prawdomówność wodzów bolszewickich. A oto jakie przemiany zauważył autor w ZSSR:

...treść nowej konstytucji, która zmierza bądź co bądź do wciągnięcia szerszych warstw nawet stojących poza partią bolszewicką w orbitę życia państwowego, dalej różne zarządzenia dotyczące wzmocnienia małżeństwa i rodziny, różne zmiany w organizacji i życiu wojska, mające na celu usunięcie z armii polityki i wzmocnienie dyscypliny, konsekwentne nawiązywanie do tradycji historycznej Rosji, rehabilitacja pewnych stron życia Rosji dawnej, zajmowanie się pisarzami rosyjskimi (stulecie Puszkina), podnoszenie w czasopiśmie roli Rosjan rdzennych w rozwoju państwa sowieckiego...

Krótko mówiąc p. Kozicki widzi w bolszewizmie zwycięstwo prądu nacjonalistycznego i cieszy się z realizującego się tam rzekomo „odsuwania żydów”. Po stwierdzeniu tego wyraża nawet poważne obawy:

* Jest już dziś łatwe do przewidzenia, że na terenie polskim, będzie (żydowskiej polityce) chodziło o ustalenie poglądu, że ewolucja od bolszewizmu do nacjonalizmu musi zagrażać interesom polskim. Tymczasem z naszego punktu widzenia rzecz nie jest tak całkiem jasna i prosta i wymaga poważnego przestudiowania i zastanowienia się.

¹⁾ „Przemiany rosyjskie” — Warsz. Dziennik Narodowy z dn. 20. IV. 1937 r.

Od siebie zaznaczyć możemy, że dla nas jest rzeczą całkowicie jasną, iż w płaszczyźnie interesów polskich i ogólnoludzkich leży upadek bolszewizmu i powstanie rosyjskiego państwa narodowego. Jak się żydowska polityka zapatruje na ten postulat, nie wiemy, ale wiemy, że naprz. francuscy radykali a także masoni typu angielskiego głęboko wierzą zapewnieniom Stalina i jego propagandystów, że bolszewizm to taki sobie nieszkodliwy narodowy, pokojowy i demokratyczny produkt czysto rosyjski. Nie można wątpić ani na chwilę, iż p. Kozicki ma jak najlepsze zamiary, ale czyż do jego argumentacji nie da się zastosować słów jego własnego dziennika:¹⁾

Jeżeli zaś ktoś zachwala ustrój komunistyczny w dziedzinie gospodarczo-społecznej, ten nieświadomie lub świadomie przygotowuje grunt dla działalności politycznej agenta Kominternu.

To samo można powiedzieć o tzw. kultur-bolszewizmie i o podnoszeniu rzekomych osiągnięć Sowietów na różnych polach pracy państwowej. Jest to mimowolna propaganda za bolszewizmem i stwarzanie dlań klimatu w Polsce.

Zdaje mi się, że kolega redakcyjny miał między innymi na myśli „świadomie lub nieświadomie” także p. Kozickiego...

Mniemanie jednak o unaradawianiu się bolszewizmu reprezentuje w Polsce nie tylko p. Kozicki, ma ono wielu innych zwolenników. Nie ma prawie jednego numeru *Myśli Polskiej*, organu neofederalistów polskich, nawiązujących do ideologii marsz. Piłsudskiego w którym by nie głoszono tezy, że bolszewizm to twór rdzennie rosyjsko-mongolski. Ten sam w gruncie rzeczy pogląd, choć w inne ubrany formy, podziela biuletyn *Agencja Prasowa Antykomunistyczna*, wydawany przez rządowo-komisarską Samoobronę Społeczną w Warszawie. Oto klasyczne sformułowania, zdaje się pióra p. Bączkowskiego, charakterystyczne dla tego poglądu:

Słowiańscy agenci Petersburga, Pogodinowie i Bobińscy, zastąpieni zostali przez liczniejszych jeno agentów Kominternu, dawnych Repninów i Stackelbergów zastąpili Rosenberg w Madrycie, Bogomołow i Karachan w Chinach, wszechwładny Ostrowskij w Bukareszcie za czasów Titulescu...

¹⁾ „Nie pomagać pośrednio komunizmowi — *Warsz. Dziennik Nar.* z 17. II. 1937 r.

W akcji partyj komunistycznych każdy badacz Rosji dostrzeże wszystkie dawne elementy metody podbojowej Rosji...

...Ani jednego naprawdę nowego elementu, ani jednego nowego składnika.¹⁾

A w innym numerze tenże autor pisze:

GPU, które jest niczym innym jak naśladowaniem opriczniny Iwana Groźnego...

Plany pięcioletnie realizowane już lat 200 temu przez Piotra Wielkiego, gwałtem przerabiającego i uprzemysławiającego Rosję...

Powierzchni obserwatorzy Rosji nie wiedzą wcale, że sprawa walki z religią w Rosji ma swe głębokie historyczne precedensy w postaci walki z duchowieństwem wymienionego prabolszewika Iwana Groźnego...

...jeno prototypem kolektywów rolnych w ZSSR były wojenne osady generała Arakczajewa, tworzone ze zdemobilizowanych żołnierzy, żenionych gwałtem i obdarzanych ziemią, podlegających surowemu rygorowi zbiorowej, komunistycznej uprawy roli...

...możemy z całą swobodą uzasadnić tezę, iż Rosja zawsze była mniej lub więcej... bolszewicką. To zaś co dziś w Rosji obserwujemy, a co jest istotnie obce stylowi narodu rosyjskiego i dziejom rosyjskim, jest jeno zewnętrzną, frazeologiczną skorupą narzuconą przez teoretyków orientalnego i żydowskiego marksizmu, bliskiego jednak w swej treści wewnętrznej orientalnym pierwiastkom zmongolizowanej duszy moskiewskiej...

...I dlatego rzućmy zastanawianie się na tematy ewolucyjne w Rosji i pamiętajmy o jednym, że wszelka, zarówno na „narodowy”, jak i na „internacjonalistyczny” ład interpretowana Rosja, zawsze będzie moskiewska i dla nas będzie organizmem państwowym, z którym trzeba być gotowym do walki i przed którego wieczystą i niezmienną agresją i zaborczością należy się strzec.²⁾

Można się nieco dziwić dlaczego takie wywody drukuje właśnie biuletyn antykomunistyczny, a nie jakiś po prostu antyrosyjski. W tej niezbyt naukowej, mimo powoływania się na znajomość historii Rosji, konstrukcji, punkt wyjścia jest zasadniczo ten sam co u p. Kozickiego, mianowicie bolszewizm — traktowany jest jako zjawisko rosyjskie. Do światopoglądowego rozpatrywania bolszewizmu zwolennicy

¹⁾ APA z 5. III. 1937 r., artykuł: „Komunizm jako nowa forma imperializmu czerwonej Rosji”.

²⁾ Agencja Prasowa Antykomunistyczna z dn. 4. V. 1937 r. artykuł „Rosja komunistyczna czy nacjonalistyczna”.

tezy o unaradawianiu się rosyjskiego komunizmu przedrzeć się jakoś nie mogą. Modne dziś teorie rasowo-nacjonalistyczne i geopolityczno-historyczne zasłaniają im istotę rzeczy. Gorzej, nie chcą czy nie mogą zauważyć rzeczywistości. A zarówno poznanie istoty komunizmu, jak i współczesna rzeczywistość wskazują nam, że teza o unaradawianiu się bolszewizmu jest mylna, że wypływa ona z powierzchownego traktowania zjawiska. Co zaś najgorsze to fakt, że w swej konsekwencji, teza ta prowadzi do ujemnych skutków, bo do osłabienia skutecznej walki z niebezpieczeństwem komunistycznego zalewu.

Można bowiem komunizm rozpatrywać jako zjawisko ruchu społecznego, jawiące się na tle biedy i niesprawiedliwości społecznej; można go też rozważać jako ruch zorganizowany przez międzynarodowe żydostwo, które chce zapomocą komunizmu opanować świat; można też w komunizmie widzieć narzędzie zaborczej (imperialistycznej) polityki czerwonej Moskwy. W tych wszystkich i w innych jeszcze punktach widzenia tkwi bez wątpienia część prawdy, ale nie zawierają one całej prawdy.

...Istotą bowiem każdego ruchu społecznego jest światopogląd tego ruchu. Czyli innymi słowy: myślowy, duchowy stosunek ludzi do świata, człowieka do Boga... Istotą więc komunizmu jest jego światopogląd, nazywany przez komunistów światopoglądem materialistycznym albo marksistowskim.

Nie zaprzeczamy, że w rozwoju bolszewizmu, który jest skrajną i do pewnego stopnia swoiście rosyjską odmianą komunizmu międzynarodowego, są elementy i starego imperializmu moskiewskiego, jak również momenty narodowo-rosyjskie, chociaż te ostatnie uwzględnia się dla propagandy raczej tylko w formie a nie w treści. Ale z jakiegokolwiek bądź punktu widzenia rozpatrywać będziemy bolszewizm nie wolno zapominać że:

1^o jest to czołowy oddział międzynarodowego ruchu politycznego, opartego na materialistyczno-marksistowskim światopoglądzie;

2^o jego zasadniczym i do dziś dnia najważniejszym celem i zadaniem jest światowa rewolucja i zaprowadzenie komunistycznego władztwa i ustroju;

3^o zdarzające się krzywizny w jego rozwoju, różne załamania i przemiany jak dotąd nie wykroczyły poza ramy powyższych dwóch założeń i również zapowiadająca się przyszłość nie wskazuje by miało nastąpić zerwanie z przeszłością i faktyczną i z zasadniczą ideologią;

4^o traktowanie więc bolszewizmu jako reżimu, który zaczyna zrywać z międzynarodowym ruchem rewolucyjnym i unaradawia się, albo stanowi tylko dalszy okres starej carskiej Moskwy, odpowiadający mongolskiej duszy Moskali, jest dla walki z komunizmem szkodliwe, bo usypia czujność, wypacza rzeczywistość i ułatwia bolszewikom jak i „naszym” komunistom ich pseudo-patriotyczną agitację.

II. Czy legalizować partię komunistyczną?

Zagadnienie to, które, jakby się mogło wydawać, jest raz na zawsze w Polsce przesądzone, wypłynęło znowu na łamach prasy i w dyskusjach politycznych.

Podniósł je na nowo p. Zygmunt Żuławski, prezes Rady Naczelnej PPS i wódz Klasowych Związków Zawodowych w Polsce w artykule 1-o majowego numeru *Robotnika*.¹⁾

P. Żuławski, określany w sferach lewicowych jako polski Jouhaux²⁾ wypowiada się za legalizacją KPP, motywując to żądanie — walką z komunizmem. Otoż w tej motywacji, a nie w samym żądaniu legalizacji, jest nowość i materiał do poważnego zastanawiania się nad problemem.

Ruch komunistyczny w Polsce jest nielegalny od samych początków istnienia Polski odrodzonej. Pierwsze represje przeciw partii komunistycznej zastosował nie kto inny jak rząd socjalisty Moraczewskiego z powodu zdrady stanu uprawianej przez komunistów i siania zamętu wewnątrz klasy robotniczej. Najbliżsi koledzy p. Żuławskiego, gdy byli ministrami Rzeczypospolitej (Daszyński, Barlicki, Ziemięcki) represje te stosowali nieraz w o wiele większych rozmiarach aniżeli ministrowie należący do tzw. burżuazji.

1) „Walka z komunizmem”, *Robotnik* z dn. 1. V. 1937 r.

2) Dyktator ruchu zawodowego robotników we Francji i inspirator rządu Bluma.

Faktem historycznym jest, że twórcami i inspiratorami dziś nie istniejącej już policji politycznej, której głównym zadaniem była walka z komunizmem byli w pierwszej linii członkowie PPS.

O ile więc PPS dziś inne zajęła w tej sprawie stanowisko mamy chyba do czynienia z jakąś radykalną zmianą poglądów, która nastąpiła u socjalistów w ocenie ich stosunku do państwa polskiego i do komunizmu. Przecież — chyba nie komuniści zmienili się na dobro Polski! Że tak jest przyznaje to sam p. Żuławski nawołując do walki z komunizmem.

Uważa p. Żuławski, że cała dotychczasowa walka z komunizmem żadnych dobrych rezultatów dla państwa nie dała i stara się znaleźć źródła tego zjawiska:

Albo komunizm rośnie dlatego, że jest potężną ideą wolności i sprawiedliwości społecznej i wtedy będzie rósł i zwycięży mimo wszystkich lig antykomunistycznych i Berezy, albo rośnie mimo swej małej ideologicznej wartości dlatego jedynie, że dotychczasowe metody zwalczania go były złe, fałszywe i bezcelowe.

Autor nie sądzi, żeby komunizm rósł dlatego, że jest potężną ideą, gdyż uważa „komunizm jedynie za zespolenie wielkiej socjalistycznej idei sprawiedliwości społecznej z ohydą i sprzeczną z naturą ludzką zasadą niewolnictwa“. Nie domyśla się przy tym p. Żuławski, że naprawdę wielka idea sprawiedliwości społecznej i wolności człowieka jest w chrześcijaństwie i że właśnie marksowski socjalizm, któremu i socjaliści wraz z komunistami hołdują, jest w gruncie rzeczy głoszeniem zasady niewolnictwa, sprzecznego z naturą ludzką.

Gdzie więc widzi p. Żuławski przyczyny wzrostu komunizmu w Polsce?

Komunizm rośnie na skutek prześladowań politycznych jego zwolenników, uznania go nielegalnym i wreszcie na skutek agitacji za zasadą dyktatorskiego rządzenia, za faszyzmem i totalizmem.

Taka płytkość sądu w kwestii przyczyn rozwoju całego ruchu politycznego musi razić u bądź co bądź wyszkolonego marksisty, który w dodatku chce uchodzić zawsze za sięgającego najgłębiej w rozpatrywaniu zjawisk społecznych. Ale mniejsza o solidność naukową. Przyczyna wzrostu ko-

munizmu, podana przez p. Żuławskiego nie jest żadną głębszą przyczyną jest tylko raczej wyminięciem właściwego zagadnienia. Weźmy przykład, który wyjaśni od razu fałszywą diagnozę p. Żuławskiego. Istnieje w Polsce od dawien dawna słaby, mizerny ruch anarchistyczny. Jego zwolennicy polityczni są niemniej prześladowani niż komuniści. Obóz anarchistów uznany jest jako nielegalny. A przecież cały ten ruch jest zupełnie rachityczny, chociaż działają te same „przyczyny”, które przytacza p. Żuławski jako wyjaśnienie rozwoju komunizmu. Zresztą jeśli p. Żuławski jest istotnie przekonany o słuszności swego spostrzeżenia, to powinien dołożyć wszelkich starań, by i PPS została jak najrychlej uznana za nielegalną, by skonfiskowano socjalistyczne pisma i rozbito socjalistyczne organizacje, by socjalistami zapełniono więzienia — bo wtedy dopiero nastąpi rozkwit socjalizmu!

O tym że wielkie masy proletariatu i biedoty zwłaszcza żydowskiej postawiły na komunizm — p. Żuławski zdaje się absolutnie nic nie wiedział, gdyż o tym fakcie nawet nie wspomina. Rola żydów w komunizmie jest dla niego tylko antysemickim chwytem agitacji endeków — a nie smutną rzeczywistością współczesnej Polski.

Agenturowa działalność Sowietów w naszym kraju jest dla p. Żuławskiego jedynie straszakiem wymyślonym przez „faszystów” czy „klerykałów”. Prostowanie ścieżek dla komunizmu przez socjalistyczny ruch i hodowanie komunizmu szczególnie w kierowanych przez p. Żuławskiego klasowych związkach zawodowych — traktuje on jako oszczerstwo i denuncjację — chociaż wie doskonale jak naprawdę rzeczy się mają i chociaż nieraz już sam usiłował wyrwać chwały komunistyczne ze swoich szeregów.

Nie można zaprzeczyć, że w pewnych określonych warunkach polityczno-społecznych prześladowania mogą przyczynić się do wzrostu jakiegoś ruchu. Ale to tylko powód poboczny. Wiemy na przykład, że chrześcijaństwo rosło i potęgniało nie tylko wbrew prześladowaniom, ale po części dzięki tym prześladowaniom, z powodu heroicznego przykładu męczeństwa. Ale przyczyną właściwą prozelityzmu była jedynie i wyłącznie: Święta wielka wiara i objawiona Boska prawda.

Otóż komunizm rośnie przede wszystkim dlatego, że reprezentuje swego rodzaju wielkość; wielkość i skrajność bezbożniczego materializmu, że najkonsekwentniej ze wszystkich innych ruchów politycznych apeluje do najniższych instynktów mas ludzkich. A instynkty te są wielkie, w życiu współczesnym niestety aż przerażająco wielkie, ma więc komunizm dobrą pożywkę. Kto tego nie widzi i nie rozumie, ten nie może podjąć skutecznej walki z komunizmem, choćby nie wiedzieć ile razy i jak głośno deklarował się za walką z komunizmem.

Jakich dziwnych argumentów używa p. Żuławski niechaj świadczy następujący wyjątek z jego artykułu:

Twierdzenie, że ta bezcelowa taktyka prześladowań podsytkowana jest koniecznością ze względu na sąsiedztwo z Rosją i łatwość przenikania jej idei — to tylko wybieg, bo Szwecja i Finlandia nie są przecież dalsze od Sowietów, a nie boją się ich przenikania — i nie stosują wobec swych obywateli o przekonaniach komunistycznych metod Berezy i kar kilkuletniego więzienia.

Określając rzecz delikatnie trzeba stwierdzić, iż autor mija się z prawdą, gdyż nie ma takiego kraju, który by graniczył bezpośrednio z ZSSR i w którym by nie tępiono komunizm jako zdradę stanu. I to niezależnie od formy tamtejszych rządów. Czyniły to i czynią rządy zarówno socjalistyczne jak i konserwatywne, liberalne jak i dyktatorskie. Wie o tym doskonale p. Żuławski choćby od swoich partyjnych kolegów, którzy byli lub są w tych krajach ministrami. Szwecja nie graniczy z Rosją Sowiecką, ruch komunistyczny jest tam mikroskopijnie mały, nie było więc dotąd potrzeby ostrego reagowania przeciw komunizmowi, chociaż i tam coraz częstsze są głosy za odwołaniem legalizacji partii komunistycznej. We Finlandii, od krwawej próby przewrotu komunistycznego w 1919 roku, partia komunistyczna jest nielegalna a prasa kominternu jest przepełniona wiadomościami o panującym tam „białym terrorze“, stosowanym przeciw kumunistom.

Po cóż więc ucieka się p. Żuławski do takiego rodzaju argumentów w obronie złej sprawy?

A czy p. Żuławski nic nie słyszał o tym, że nawet w Szwajcarii, tym istotnie najbardziej demokratycznym pań-

stwie, rozpoczął się ruch, żądający proskrypcji tamtejszej partii komunistycznej, oraz że nawet co mędrsi socjaliści występują tam właśnie za rozwiązaniem partii komunistycznej? ¹⁾ Czyżby p. Żuławski nie słyszał, że już dwa kantony, m. in. do niedawna socjalistyczna Genewa, uchwały rozwiązanie partii komunistycznej?

Twierdzi autor:

Ale niech ktoś odejmie komunizmowi ten jego urok tajemniczości i niech postawi go na płaczącyźnie równej walki argumentów, a od razu komunizm staje się mały i nie może wytrzymać w walce ideowej o zasady.

Pozornie tak się może wydawać i gdyby nie fakt, że współczesny komunizm jest przede wszystkim agenturą państwa bolszewickiego, może i byłoby tak w rzeczywistości. Tymczasem przykład Niemiec do 1933 roku, przykład współczesnej Francji i Hiszpanii świadczą o czymś zupełnie innym.

P. Żuławski, a zanim całe PPS, oświadcza, iż

„walcząc szczerze z komunizmem — nie dla samej walki, lecz dla osiągnięcia odpowiednich pozytywnych rezultatów i wytepienia idei komunizmu — musimy żądać zaprzestania bezcelowych prześladowań, więzień, wyroków i Berezy Kartuskiej, musimy żądać zalegalizowania partii komunistycznej.

A więc dla „szczerzej walki“, i to celem wytepienia idei komunizmu (!), który przecież broni czystego i konsekwentnego marksizmu, wzywa p. Żuławski do tego, by spełnić... jeden z najgłówniejszych postulatów wysuniętych właśnie przez samą Komunistyczną Partię Polską! Bo doprawdy dziwnem się wydaje zachowanie się komunistów w świetle argumentów p. Żuławskiego. Wszak w każdej swojej odezwie czy na wspólnych z PPSowcami wiecach i demonstracjach żądają oni zalegalizowania swej partii widocznie chyba tylko po to, by okazać swoją... szczerłość czy żeby ulec co prędzej likwidacji?! Zapomina również PPS, że gdyby nawet partia komunistyczna uzyskała prawo legalnego działania w Polsce, to nadal ją obowiązywać będzie i to pod groźbą wykluczenia z Kominternu statut Kominternu nakazujący dzia-

¹⁾ Cfr. bazylejski tygodnik *Rundschau* z 5 V 1937 r. artykuł Hansa Bickla „Zur gegenwärtigen Lage in der Schweiz“.

łałność konspiracyjno-nielegalną nawet wówczas, gdy istnieją największe swobody demokratyczne.

Istotną cechą działalności komunistycznej jest przygotowywanie i przeprowadzenie zbrojnego przewrotu politycznego i zagarnięcie władzy dla swej partii. Państwo, które na taką działalność pozwala, dokonywuje samobójstwa. Legalizowanie partii komunistycznej, szczególnie w obecnych warunkach Polski, byłby to akt szkodliwszy dla państwa niż legalizowanie indywidualnego złodziejstwa czy bandytyzmu!

Doskonała zaś ilustracja jak PPS „szczerze walczy” z komunizmem, to fakt rozgłoszony przez prasę kominternowską, iż towarzysze Antoni Zdanowski z PPS, Wiktor Alter z „Bundu” i Gustaw Rwał-Reicher z KPP odwiedzili batalion im. Dąbrowskiego w Międzynarodowej Brygadzie hiszpańskiej czerwonej milicji, gdzie wręczyli komisarzowi tego batalionu towarzyszowi Matuszczakowi, komuniście, pozdrowienia z ramienia „polskiego proletariatu” i zapewne te składki pieniężne, które na rzecz bolszewików hiszpańskich zbiera Komisja Centralna Związków Zawodowych pp. Żuławskiego i Zdanowskiego!

III. O należyłą postawę.

W artykule niniejszym, starałem się zwrócić uwagę na błędne poglądy istniejące tak na prawicy jak i na lewicy naszego społeczeństwa w stosunku do komunizmu. Brak nam jeszcze w Polsce należytej postawy wobec komunizmu. Brak ten wypływa przede wszystkim stąd, że nie zgłębiamy dostatecznie istoty i treści komunizmu. Nie wystarczy poznanie taktyki i metod działania komunizmu, chociaż w tym kierunku, mimo niewątpliwego postępu, jest jeszcze dużo do zrobienia.

Jak źle jest pod tym względem, niechaj świadczą dwa małe wyjątki z artykułu autora, zdawałoby się jak najbardziej kompetentnego:

Wśród działających na szkodę państwa polskiego było (w 1920 r.) 99 proc. żydów, obecnie wśród komunistycznych

wywrotowców, działających na zgubę narodu polskiego jest ich od 89 do 100 proc.¹⁾

A dalej:

A zatem komunizm, to nie choroba dusz, ale wielkie oszustwo żydowskie.²⁾

Obok więc mijającego się z prawdą twierdzenia, że właściwie komunistów - Polaków wcale nie ma, jawi się nieprawdopodobne twierdzenie, przeciwstawiające się wyraźnie prawdzie głoszonej przez Ojca Świętego i przez nasz Episkopat, że „komunizm jest przede wszystkim chorobą dusz”.³⁾

Tego rodzaju występy można chyba jedynie wytłumaczyć brakiem gruntownej znajomości ideologii komunizmu, brakiem przemyślenia tego zagadnienia w całości. Zbyt to uproszczona metoda, która widzi tylko żyda tam gdzie nie tylko żyd siedzi!...

Nie wdając się w zasadniczą polemikę z powyższymi poglądami, pragniemy jedynie stwierdzić, że przekonywują nas one jeszcze bardziej o braku a zarazem o naglącej potrzebie wyrobienia w Polsce należytej postawy wobec komunizmu oraz głębszego zrozumienia komunizmu.

Wielkim krokiem naprzód w tym kierunku stanowi świeżo zakończony międzynarodowy Kongres ku czci Chrystusa Króla w Poznaniu, który wyjaśnił najistotniejsze, bo duchowe i moralne przyczyny bezbożniczego komunizmu.

Postawę naszą wobec komunizmu cechować musi bezkompromisowość ideowa i wynikające stąd konsekwencje.

W walce naszej z komunizmem trzeba uderzać i rozgromić jego podstawy ideologiczne, światopoglądowe. To jest najważniejsze i najsukuteczniejsze. Z tej walki ideologicznej wyrósć muszą wszelkie inne formy walki natury czy to politycznej czy kulturalno-społecznej, organizacyjnej czy państwowo-administracyjnej.

¹⁾ *Mały Dziennik* z dn. 1 IV 1937 r. Ankieta o komunizmie.

²⁾ *Mały Dziennik* z dn. 11 IV 1937 r. Ankieta o komunizmie.

³⁾ List pasterski Biskupów Rzplitej Polskiej z Jasnogórskiego Synodu Plenarnego.

Tak zrozumiana walka daje nam możliwość skierowania jej na tory pozytywne, na rozbudowę w przeciwwadze do bezbożniczego komunizmu wielkich wartości duchowo-moralnych w nas samych i w narodzie całym. Tak postawiona walka uchronić nas może od czysto negatywnej gadaniny i bezpłodności zastosowanych środków, jak to widzimy w innych krajach, a często i u nas w Polsce.

Polska, w której znajomość komunizmu jest bodaj że najlepsza, może tu odegrać bardzo ważną i decydującą rolę. Ambicją naszą powinno być skuteczne zwalczanie komunizmu nie tylko mieczem, gdyby tego zaszła potrzeba, ale przede wszystkim „mieczem krytyki“. Krytyki nie negatywnej jeno ale pozytywnej, budującej nowe, wielkie wartości na niezniszczalnej epoce katolicyzmu oparte.

Warto by nad tym zastanowili się głębiej ci, od których dużo w tej sprawie zależy, by zastanowili się, a potem nieustraszenie i konsekwentnie działali.

J. Skaliński.

Ideowe źródła współczesnego bezbożnictwa.

Nie chodzi nam w niniejszej rozprawie o czysto historyczny przegląd ruchów bezbożniczych; tym mniej o żonglowanie nazwami bezbożniczych systemów jak liberalizm 12 i 13 stulecia, jak naturalizm francuski Voltaire'a, La Mettrie czy Maréchal'a, jak materializm Vogt'a, Büchner'a, Moleschott'a czy Haeckel'a, jak pozytywizm Conte'a, czy pesymizm Schopenhauer'a i Nietzsche'go, jak różne odmiany panteizmu itd. — chodzi nam wyłącznie o analizę jednego tylko, ale w swej niszczyielskiej sile najpotężniejszego zjawiska, któremu na imię: współczesny ateizm, walka z Bogiem i wszelką religią.

Stąd w rozważaniach naszych pominiemy karmiący się zwątpieniem sceptycyzm, pominiemy współczesny laicyzm, tego pogrobowca pozytywizmu, który bagatelizuje wszystko, co nadprzyrodzone i usiłuje je usunąć poza nawias trosk współczesnego człowieka; pominiemy nawet pogański nacjonalizm, który odrzuca wszelką religię objawioną, kulminuje w micie krwi i rasy, ale nie zrywa doszczętnie z pojęciem Boga — a uwzględnimy jedynie ateizm pozytywny, który nie tylko w praktyce, ale i w teorii obalić usiłuje nie tylko wiarę i złączony z nią kult religijny, ale przekreśla samo pojęcie Boga i pojęciu temu oraz jego treści wytacza pełną pasji i satanicznego dynamizmu walkę.

A taki właśnie ateizm stanowi jedną z głównych i istotnych cech bolszewickiego komunizmu. Bolszewizm rosyjski jest najpotężniejszym, równocześnie

najskrajniejszym ruchem i systemem bezbożniczym, jaki dotychczas zna historia ludzkości.

Współczesny komunizm jest, jak wiadomo, systemem totalnym, atakuje zatem całokształt dotychczasowego ustroju, usiłuje przebudować wszystko i nowy od podstaw zbudować ustrój — jest więc rzeczą jasną, iż tak wszechstronny, tak przy tym żywiołowy prąd z licznych płynie źródeł i liczne wypełnia łożyska. Przy analizie zatem bolszewickiego ateizmu trzeba uwzględnić rozliczne jego przesłanki. Nie można bowiem zbagatelizować naturalnych trudności samego aktu wiary, trudności płynących z istoty religijnych dogmatów, opartych na objawieniu, których uznanie wymaga kapitulacji rozumu przed autorytetem Boga. Kapitulacja nie łatwa, a tragiczne jej echa sięgają samych początków nie tylko ludzkości ale i świata aniołów. — Jeszcze donioślejszą rolę, przynajmniej w życiowej praktyce, odgrywają przesłanki etyczne, bo, jak doświadczenie wykazuje, kryzys moralności prowadzi bardzo często do kryzysu wiary. Zalew brudnej fali rozpusty, rozstrój spójni rodzinnej, egoizm wuzdanych instynktów — wszystko to odgrywa niewątpliwie doniosłą rolę w genezie współczesnego bezbożnictwa. — Cóż dopiero mówić o przyczynach społecznych, o nienawiści klas, wyrosłej na pożywie niesprawiedliwości społecznej! Nędza i bezrobocie milionów, zepchniętych w warunki bytowania niegodne człowieka — budzą żądę odwetu, każą zaciskać się pięściom, wybuchają skowytami pożądania, które nie zna granic ni hamulców. Jakżeż łatwo agitatorom przewrotu skierować te pięści nie tylko przeciw bogaczom, ale i przeciw... samemu Bogu.

Doceniając doniosłość tych wszystkich źródeł współczesnego bezbożnictwa pominiemy je jednak świadomie, nie chcąc w omawianiu ich ograniczać się do ogólników a zjawisko komunistycznego ateizmu naświetlimy wyłącznie z punktu widzenia filozoficznej ideologii.

Źródło to naszym zdaniem najważniejsze i najgłębsze, bo jak słusznie podkreśla w swym ostatnim dziele belgijski socjolog Lamberty¹⁾ nie jakiegokolwiek siły potajemne, ani

¹⁾ „Le rôle social des idées“.

też żadne uwarunkowania materialne decydują o przebiegu historycznych zjawisk, ale głównie i przede wszystkim idee. Idee i ideologie są motorem, poruszającym i przewalającym fale historii. Najwybitniejsi filozofowie współczesnych prądów politycznych, którzy swą totalność wyprowadzają niby to z czynników ślepo poza nami działających, jak A. Rosenberg lub Trocki, przyznają jednak otwarcie, z niemалą zresztą dozą cynizmu, iż wszystkie ruchy płyną z idei, a nawet gdyby te idee same w sobie były nieprawdziwe, to robi się je prawdziwymi, przez ciągle wbijanie ich w mózgi, tak iż powoli rodzi się w tłumach wiara w te idee.

Otóż istotnie nawet powierzchowny obserwator współczesnych zjawisk czy naiwny optymista przyznać musi, iż w komunizmie współczesnym tkwi żywiołowa, demoniczna siła idei, która podminowuje i rozsadza powoli a konsekwentnie dotychczasowy ustrój i porządek. Ostoją tej siły nie są osoby. Lenin umarł, Trocki żyje na wygnaniu, setki najbliższych współpracowników Lenina, Trockiego czy Stalina, współtwórców komunizmu pożarły się w bratobójczej walce — a komunizm trwa i działa. Można sztydzić z krwawej farsy moskiewskich procesów, można ze wzdgarą i oburzeniem wyrażać się o okrucieństwie czerwonego tyrana, o ostatecznym spodleniu drżących przed egzekucją podsądnych Zinowiewów czy Tuchaczewskich..., ale bagno moralne, w którym zatoneły resztki godności ludzkiej tych czy innych jednostek, nie wchłonięło samego komunizmu oraz jego bezbożnictwa; komunizm przetrwał dotychczasowe masakry, przetrwa niewątpliwie i dalsze, choćby ofiarą ich padł nawet i sam Stalin. Komunizm bowiem nie stoi jednostką, nie stoi nawet zorganizowaną partią, stoi i działa idea.

Idea to nawskroś przewrotna, w wielkiej mierze utopijna ale, w dzisiejszej atmosferze przełomu, potężna, zaraźliwa i porywająca masy.

Przyznać jednak trzeba, iż idea komunistyczna nie apełuje wyłącznie do intelektu, zwraca się bowiem z niemniejszą siłą do zmysłów i do instynktów i dlatego komunizm jest nie tylko doktryną, ale zjawiskiem skłębionych pasyj i rozżarzonych do białości uczuć i pożądań. Ten przejaw sprężonych w dynamicznym rozpędzie namiętności nadaje też

komunizmowi zabarwienie swoistej mistyki, mistyki wyzutej z wszelkiej religii, mistyki nienawiści i odwetu, ale równocześnie twórczej mistyki rewolucyjnego przewrotu, który ma zapoczątkować nowy okres raju dla proletariatu-suwerena.

Dzięki tej tak złożonej treści, dzięki swemu totalizmowi, który ogarnia całego człowieka, dzięki swoistemu pragmatyzmowi, który obejmuje spłot najsprzecznějších interesów — komunizm budzi żywiołowe namietności i pasje nie tylko wśród swych zwolenników, ale też pośród swych wrogów. I te namietności utrudniają i mącą obiektywną ocenę komunizmu jako doktryny.

A doktryna to zwarta i ujęta w wypracowany, ideologiczny system. Obejmuje ona zagadnienia ekonomiczne, społeczne i polityczne, ale przede wszystkim narzuca swą filozofię. Komunizm bowiem usiłuje wyświecić zagadkę wszechrzeczy, rozwiązać definitywnie wielkie problemy natury, bytu, życia, początków i przeznaczenia człowieka. Jeden z wybitnych komunistów francuskich, Jan Ryszard Bloch, rzucił w świat pełne tragicznych i wzruszających akcentów wyznanie: „Gdziekolwiek — pisze on — spotykamy człowieka, to dziwne i osobliwe zwierzę, jakkolwiek będzie barwa jego skóry, w jakiejkolwiek żyć będzie szerokości geograficznej i w jakimkolwiek klimacie, zauważymy iż, pomimo przeciwnych pozorów, zajmuje go właściwie jedna tylko myśl, pochłania jedna troska i jedno pożądanie. W mnóstwie zmiennych przypadłości życia stawia sobie to jedno zasadnicze i podstawowe pytanie: jakim że ja jestem bytem? Cóż porabiam na tej ziemi? Jaki jest sens mojego istnienia? Jak wytłumaczyć mam tę nieustanną działalność, która mnie porywa? Jak uzasadnić te pragnienia, które mnie ponoszą, te niepokoje, które mnie dręczą? Któż mi da nareszcie takie określenie mej istoty, które by mnie oświeciło, uspokoiło i zadowoliło“?

Taką właśnie odpowiedź wyczerpującą i rzekomo uspakajającą usiłuje dać swym adeptom komunizm. Niesie więc ekonomię polityczną, ale przepaja ją filozofią i z filozofią jak najgłębiej wiąże.

Cóż to zatem za filozofia, jakie jej przesłanki i jak się przedstawia zbudowany na nich światopogląd?

Otóż filozofią komunizmu jest marksizm, a zasadnicze dzieło Karola Marksa: „Kapitał” jest dla prawdziwego komunisty tym, czym dla katolika jest „Summa” św. Tomasza z Akwinu. Lenin, twórca bolszewizmu, był tylko fanatycznym egzegetą Marksa, bo w twórcy ideologii socjalizmu widział geniusza, który rozwiązał wszystkie problemy. I dlatego to Lenin tak bezwzględnie i tak namiętnie zwalczał wszelkie herezje i modernizmy socjalistyczne, wszelki oportunizm i eklektycyzm doktrynalny, nawołując do powrotu do czystego praźródła komunizmu, jakim jest niczym nieskażony marksizm. W doktrynie Marksa, w jego filozofii widział Lenin całą podstawę zwycięskiej kampanii i dlatego wszelkie odstępstwo w dziedzinie teorii musiałyby się, jego zdaniem, zemścić na rewolucyjnym czynie.

Otóż komunizm, stając na straży pierwotnej ideologii marksizmu, przyjmuje tym samym za światopoglądowy dogmat materializm Feuerbacha, stonowany w dziwnej syntezie z heglowskim idealizmem. Wiadomo, iż żyd Marks, podobnie jak jego serdeczny przyjaciel i współpracownik Engels, byli w swej młodości zapalonymi wyznawcami idealizmu Hegla. Ale już wówczas stanęli na lewym skrzydle heglizmu, widząc w systemie niemieckiego filozofa nie tylko ubóstwienie państwa, jako suwerennej wartości, lecz przeczuwając nadto w jego idealistycznej dialektyce potężny instrument rewolucyjnego przewrotu.

Tymczasem w r 1841 pojawiło się głośnie dzieło Feuerbacha: *Istota chrystianizmu*, które wstrząsnęło do głębi umysłem 23-letniego Marksa i młodszego od niego o dwa lata Engelsa.¹⁾ Otóż Feuerbach w przeciwieństwie do Hegla jest wyznawcą skrajnego materializmu, w ten więc sposób przygotowała się w umyśle twórcy socjalizmu filozoficzna synteza tych dwóch tak na pozór ze sobą sprzecznych systemów.

Ideologia Marksa przy ścisłej współpracy Engelsa tworzyła się i doskonaliła powoli. Z czystego teoretyka-filozofa

¹⁾ Karol Marks urodził się 5 maja 1818 r. w Trewirze. Jego ojciec, adwokat — porzucił dla politycznego oportunistu judaizm, przyjmując protestantyzm. Engels urodził się 28 listopada 1820 r., z ojca fabrykanta.

przekształcał się Marks stopniowo w twórcę ekonomiczno-politycznego systemu a jego marzenia proletariacko-rewolucyjne przeszły z biegiem lat ze sfery idealistyczno-sentymentalnej w dziedzinę życia, znajdując swój wyraz w konstrukcji ścisłej i naukowej. Wyrazem końcowym tych przeobrażeń, kresem ideowej ewolucji jest zasadnicze dzieło Marksa: *Kapitał*.¹⁾ Stanowi ono filozoficzną podstawę komunizmu a równocześnie jest jakby ewangelią komunistycznego bezbożnictwa, której egzegezę podają w swych pismach Lenin i jego następcy.

Tak więc ideową, filozoficzną podstawą komunizmu jest materializm. Nie przeczą temu bynajmniej pionierzy bolszewizmu, owszem przeciwnie z entuzjastyczną emfazą podkreślają fakt, iż materializm jest dla nich najpełniejszym i definitywnym wyrazem prawdy.

Otóż materializm, jako system pojmowania świata nie jest bynajmniej wynalazkiem XIX stulecia. Propagowali go bowiem już w starożytnej Grecji Demokryt i Epikur a w Rzymie znany poeta Lukrecjusz. Według tego systemu nic nie istnieje poza materią, odwieczną i niestworzoną przez nikogo. Częstki tej materii, znajdując się same z siebie w nieustannym ruchu, zderzając się i odpychając wzajemnie, to znowu łącząc się jedne z drugimi tworzą to wszystko, co nazywamy światem. Z tych materialnych cząsteczek, poruszających się bez żadnej kierowniczej myśli, powstają minerały, rośliny, zwierzęta i ludzie. Materia i jej ruch są źródłem nie tylko życia, ale i poznania i myśli, bo materialne cząstki mózgu, tworzące specjalne subtelne połączenia, są jedynym i wyłącznym źródłem tych objawów, które nazywamy myślą. Nie ma więc mowy o istnieniu jakiejś duszy, tym mniej o jej wolnej woli, gdyż wszystkie chcenia, wszystkie czyny człowieka są tylko skomplikowanymi ruchami odwiecznych cząstek materii, ruchami koniecznymi, bo kierowanymi przez ślepe siły materii. W systemie takiego materializmu nie może być więc mowy ani o Bogu, ani o duchu, ani o sumieniu ani o jakiegokolwiek odpowiedzialności moralnej czy poczu-

¹⁾ Marks wydał w r. 1867 tylko pierwszy tom swego dzieła. Tom drugi i trzeci wydał już po śmierci Marksa (1883) Engels; wydaniem tomu czwartego zajął się Kautsky.

ciu obowiązku, gdyż wszystko trzeba sprowadzić do ślepych, z góry przez materię zdeteminowanych odruchów. W konsekwencji praktycznej filozoficzny system materializmu musiał prowadzić w życiu człowieka do suwerennej zasady użycia, która rugowała wszelkie pojęcia i praktyki religijne. Materializm musiał być z swej istoty równocześnie bezbożnictwem.

Ten grecko-rzymski materializm, zwany też skrajnym epikureizmem został zlikwidowany przez chrystianizm i przez długie wieki ery chrześcijańskiej był jako doktryna zjawiskiem sporadycznym oraz wyjątkowym.

Odżył dopiero w całej pełni w drugiej połowie XVIII stulecia, w pismach francuskich encyklopedystów, znajdując następnie silnego sprzymierzeńca w naukach przyrodniczych, których żywiołowy rozkwit przypada na wiek XIX, wiek Darwina i Haeckel'a.

Otóż trzeba podkreślić z naciskiem, iż komunizm odżęgnuje się od tak pojętego materializmu. Oszczercami nazywa tych, którzy dla ułatwienia sobie polemiki, usiłują zamknąć komunizm w ramach płaskiego i wulgarnego epikureizmu.

Dla komunizmu — jak to już podkreślał namiętnie Engels — materializm nie jest bynajmniej żądzą użycia, chciwością i wyuzdaniem najniższych instynktów.

Nie ulega wprowadzie żadnej wątpliwości, iż agitatorzy komunizmu apelują w swej propagandowej robocie do niskich żądz tłumów, tak jak zresztą i w obozie kapitalistów, najzawziętszych wrogów komunizmu, znajdziemy skrajnych materialistów i pełnych cynizmu epikurejczyków. Ale za to nie brak w komunistycznych szeregach prawdziwych idealistów sprawy, którzy spartańskim życiem ofiary i poświęcenia w służbie idei mogą budzić podziw. Fakt ten podkreśla obiektywnie papież Pius XI w swej encyklice o komunizmie, mówiąc, iż: „ludzie ci mają swój ideał i kochają go. Umieją dlań cierpieć, a nawet życie narazić“. Materializm komunistyczny nie zamierza więc zniszczyć wielkości człowieka, owszem przeciwnie usiłuje odnowić ją, wzmocnić i oprzeć na niewzruszalnych rzekomo podstawach. Sięga więc i do sumienia człowieka, by go postawić w obliczu wielkich rzeczywistości świata, życia i zadań ludzkości.

Komunizm ma swoją metafizykę i nie cofa się przed rozwiązaniem problemu stosunku z jednej strony ducha do materii, z drugiej zaś stosunku myśli do bytu i rzeczywistości świata. I w tej dziedzinie materializm Marksa, w przeciwieństwie do starożytnego epikureizmu a pod niewątpliwym wpływem idealizmu Hegla, nie przeczy istnieniu ducha; twierdzi jednak, iż duch nie jest elementem samoistnym i pierwotnym. Przyznając prymat materii, marksizm zrywa tym samym z istotą heglizmu.

Idealizm bowiem Hegla, zwalczając materializm, postawił, jak wiadomo, na miejsce odwiecznej materii, jako zasadę i źródło wszystkiego Ideę, to jest odwieczną myśl, która w pogoni za osiągnięciem świadomości samej siebie, w nieustannej i koniecznej ewolucji rozwija się, stwarzając kolejno wszystkie formy bytu, objawiające się już to jako materia martwa, dalej jako życie na różnych jego stopniach, wreszcie jako myślenie ludzi, w których owa twórcza a dotąd nieświadoma samej siebie Idea dochodzi do świadomości czyli do poznania samej siebie.

Otóż Marks, pod wpływem filozofii Feuerbacha, odrzucił ową odwieczną Ideę heglizmu a za element pierwotny, zasadniczy i twórczy uznał materię; materia, jego zdaniem jest podstawą i istotą wszelkiej rzeczywistości, jest praprzyczyną i samej siebie i wyłaniającego się z niej ducha. Duch bowiem jest tylko najsubtelniejszym tworem materii, jest wyższą formą materialnej energii, która pracuje w wszechświecie. Duch ten jednak, jakkolwiek nie posiada samoistnego bytu i jakkolwiek nie różni się istotnie od materii, wznosi się jednak w pewien sposób nad nią i ze swej strony na nią oddziaływa. W ten sposób myśl staje się potęgą idealną i twórczą. Dzięki tej właśnie zdolności myślenia wznosi się człowiek ponad świat zwierzęcy, poznaje cel, do którego świadomie dąży i któremu poddaje swą wolę.

Marks zatem również jak Engels i Lenin potępiają zgodnie i odrzucają materializm skrajny, mechaniczny, który zaprzecza wszelkiemu istnieniu ducha, jego woli i myśli. Odrzucają też ślepy determinizm ludzkiej woli a przyznają jej pewną wolność decyzji i działania. „Doktryna materialistyczna — mówi wyraźnie Marks —

według której ludzie są jedynie produktami warunków i wychowania, zapomina, że właśnie ludzie wpływają na zmianę warunków i że wychowawca sam musi być uprzednio wychowany". „Nie ma — pisze z kolei Engels — automatycznego działania warunków ekonomicznych; ludzie sami tworzą swą historię, ale w danym środowisku, które na nich oddziałują".

Jest zatem rzeczą oczywistą, iż marksizm nie jest zwolennikiem czy wyznawcą jakiegoś fatalizmu. Owszem przeciwnie, głosząc konieczność rewolucji, uznaje istnienie świadomego wysiłku, przyjmuje możliwość zmiany warunków historycznych pod wpływem działania ludzkiej wolnej woli.

Pomimo jednak tych wszystkich zastrzeżeń, które stanowią oczywiste niekonsekwencje w systemie filozoficznym Marksa, sam system pozostaje w ramach materializmu. Nie uznaje bowiem ducha bez materii, gdyż duch jest właśnie tworem materii, jej zawdzięcza swe istnienie i od niej jego byt zależy. I w tym zasadniczym twierdzeniu materializmu tkwi najgłębsze źródło ideowe jego bezbożnictwa. Materializm, stanowiący podstawę ideową komunizmu, odrzuca istnienie duszy nieśmiertelnej, substancjalnej; odrzuca więc życie pozagrobowe, odrzuca konsekwentnie istnienie Boga, jako najwyższego ducha, stwórcy i sędziego.

Marks przesiąknięty do głębi ateizmem, wychowany w filozofii Hegla, która zresztą nie uznaje osobowego Boga a swą pseudo-religijność zamyka w panteizmie — zerwawszy z heglizmem i stawszy się wyznawcą materializmu, spoił na zawsze ateizm z całym systemem socjalizmu oraz komunizmu. Boga i religię uznał za fikcję pierwotnych umysłów, które najpierw stworzyły sobie rozmaite bóstwa, uosabiając materialne siły natury oraz przyznając im samoistne i niezależne od materii istnienie. Z tego zaś wielobóstwa wyłonił się następnie drogą dalszej ewolucji monoteizm. W kwestii zatem genezy religii przyjął Marks schemat Haeckel'a czy Lubbock'a, których skrajnie materialistyczny ewolucjonizm zwalczał.

Tak się przedstawia filozofia komunizmu w kwestii stosunku ducha do materii. Zrywa ona z zasadniczym po-

stulatem idealizmu, którym jest prymat Idei, ale przyznając prymat odwiecznej materii nad duchem, usiłuje równocześnie ocalić istnienie pozorów ducha, zrywając w ten sposób z mechanicyzmem skrajnego materializmu.

Tę samą próbę syntezy widzimy i w drugim zasadniczym problemie filozofii komunizmu, mianowicie w teorii poznania.

W tej dziedzinie materializm komunistyczny przyjmuje postawę umiarkowanego realizmu. Przyznaje mianowicie, że poznanie nasze jest obiektywne, że nasze pojęcia są jakby odbiciem świata materialnego w ludzkim umyśle. Stąd też marksizm odrzuca zdecydowanie z jednej strony wszelki agnostycyzm, z drugiej zaś zrywa z idealizmem i subiektywizmem, dla którego tożsamość myśli i przedmiotu poznanego jest zasadniczym kanonem. Według Marksa nie myśl tworzy przedmioty, jak chce idealizm, ale przedmioty wpływają na myśl, która jest ich idealnym odbiciem. Ale i w takim postawieniu zagadnienia stosunku myśli do bytu Marks pozostaje konsekwentny w swym materializmie. Przyjmując bowiem obiektywność poznania ludzkiego w dziedzinie świata materialnego, przeczy równocześnie poznawalności jakichkolwiek rzeczy nadzmysłowych, niematerialnych. Te bowiem rzeczy dla materializmu w ogóle nie istnieją, stąd też oczywiście nie mogą być poznawalne. Dla marksizmu nie istnieje zatem żadne inne kryterium poznania poza doświadczeniem. Wszelkie więc poznanie rzeczy nadzmysłowych uważane jest za iluzję i umysłowe zboczenie.

I tutaj tkwi drugie źródło bezbożnictwa komunizmu. Komunizm Marksa w gruncie rzeczy zwalcza, jak widzimy, nie tyle idealizm, ile raczej spirytualizm. Marks — tak oświadczył Lenin — odrzucił kategorycznie idealizm, związany zawsze w ten czy inny sposób z religią.

Odrzucając jednak całą zasadniczą treść idealizmu Hegla zachował Marks jego dialektykę. Dialektyka ta była dla Hegla specjalną metodą oraz schematem myślenia, wspartym o zasadę sprzeczności. Dotychczasowa logika tra-

dycyjna opierała się o zasadę tożsamości, w myśl której wszelka sprzeczność sprzeciwia się zdrowemu myśleniu i istocie samego bytu. Być jest tym czym jest, nie może równocześnie nie być lub być czymś innym.

Tymczasem dla Hegla sprzeczność nie tylko nie uniemożliwia myślenie, ale jest jego istotną podstawą. Umysł ludzki nie może niczego pojąć, niczego stwierdzić bez równoczesnej sprzeczności, która tkwi w jego twierdzeniu. Np. pojęcie bytu, zdaniem Hegla, zawiera w sobie równocześnie pojęcie niebytu. Ta przeciwstawność i ta sprzeczność jest więc istotną podstawą myślenia. A ponieważ myślenie jest tylko przejawem życia i działania odwiecznej Idee przeto zasada sprzeczności jest równocześnie podstawą rozwoju i postępu Idee, która jest źródłem i twórcą wszystkiego. Tak więc ruch, stawanie się, zmiana są tylko specyficznym rezultatem wspomnianego przeciwieństwa.

Rozwój więc Idee dokonywa się przez przechodzenie z przeciwieństwa w przeciwieństwo i przez łączenie się tych przeciwieństw. Owa twórcza i odwieczna Idea przechodzi z tego czym jest i co stanowi tezę, w coś przeciwnego, czego dotychczas nie było czyli w antytezę, a z połączenia jednego i drugiego czyli tezy i antytezy powstaje coś trzeciego, nowego czyli synteza. Ten porządek i schemat myślenia oraz rozwoju Idee nazwał Hegel dialektyką i stąd cały jego system filozoficzny nazwano idealizmem dialektycznym.

Marks, jako były heglista, znał doskonale dialektykę swego mistrza. Zdawał sobie dobrze sprawę z faktu, iż tradycyjna logika, wsparta na zasadzie tożsamości, prowadzi nieuchronnie do pewników stałych, niezmiennych i definitywnych. Natomiast dialektyka Hegla, uznająca jedynie pewnik ruchu, zmiany, stawania się i rozwoju, porywała go swym dynamizmem.

Dialektyka Hegla zdawała się kłaść kres wszelkim dogmatom a istotę prawdy zasadzała w samym rozwoju, stawaniu się nauki, historii i życia bez sięgania do jakiejś absolutnej, nieodmiennej prawdy. W dialektyce tej wyczuł Marks rewolucyjny dynamizm i dlatego przeniósł ją z idealizmu Hegla i wstawił w swój materializm. Dla Marksa dia-

lektyka myślenia stała się więc jedynie wiernym odbiciem tego, co się dzieje w świecie realnym czyli materialnym.

Tak więc Marks stał się twórcą materializmu dialektycznego a konsekwencje tego faktu są olbrzymie.

Dla Marksa bowiem, konsekwentnie do przyjętej dialektyki, nic nie istnieje bez wewnętrznej sprzeczności. Przeciwnieństwo leży u podstaw wszelkiego bytu. I dlatego rzeczywistość jest tak pełną dynamiki, walki, zmian, stawania się, jest nieustanną ewolucją a często pełną tragizmu i zniszczenia rewolucją. Rewolucja jest więc jakby organicznym prawem świata i życia. W tej rewolucji ciągłego stawania się i walki ginie wszelka absolutna prawda, wszelka nietykalna świętość w ciągłym wznoszeniu się ku górze, ku bliżej nieokreślonej doskonałości.

Idealizm Hegla przyjmował rewolucję w dziedzinie idei — materializm dialektyczny Marksa przeniósł zasadę rewolucji w świat rzeczywistości.

Materializm mechaniczny, wsparty o logikę tożsamości, wyradzał się w bezduszny determinizm i fatalizm — materializm dialektyczny Marksa dyszał aktywnością i dynamiką rewolucji, która obala, zmienia i tworzy.

Filozofia zatem komunizmu, oparta na materializmie dialektycznym, głosi konieczność najpierw rewolucji faktycznej w świecie realnym, by mogła nastąpić rewolucja w świecie idei, idee bowiem są tylko odbiciem i jakby echem rzeczywistości.

I tutaj stajemy przy trzecim ideowym źródle komunistycznego ateizmu.

Jako materializm odrzuca komunistyczna doktryna świat ducha, wolnego od materii, odrzuca więc istnienie duszy nieśmiertelnej oraz Boga; — jako materialistyczny system poznania — odrzuca komunizm poznawalność jakiegokolwiek rzeczywistości nadzmysłowej, w pierwszym rzędzie religijnej; — jako wreszcie materializm oparty na dialektyce Hegla przeczy komunizm istnieniu prawdy, niezmiennej i absolutnej, głosi konieczność rewolucji i walki, aktywizuje więc i zaprawia dynamiką także walkę z religią, ateizm, który tylko przeczy istnieniu Boga — przetwarza w ateizm, który walczy z Bogiem.

Tak się przedstawia w najogólniejszym zarysie filozoficzna ideologia marksizmu. Tę właśnie filozofię zastosowali Marks i Engels z doktrynerskim rygoryzmem i w ekonomii społecznej, tworząc w miejsce starszego od nich socjalizmu utopijnego, socjalizm tzw. „naukowy”, oparty o światopogląd materialistyczny i bezbożniczy. Socjalizm marksowski zerwał więc wszelkie możliwości porozumienia z religią czy jakiegokolwiek z nią współpracy. Religia została nie tylko napiętnowana przez Marksa nazwą: „opium ludu”, ale nadto została uznana za wielką przeszkodę w rewindykacjach klas pracujących. Narzucenie masom światopoglądu materialistycznego miało w nich wyrugować wszelką religię a tym samym ułatwić zapanowanie w świecie komunizmu wraz z jego istotnym hasłem rewolucji. Ateizm więc i walka z religią to nie jakaś sztuczna przyczepka do ideologii marksizmu, ale to jedno z istotnych założeń czy, jeśli ktoś woli, jedna z istotnych konsekwencji ideologii, wspartej na dialektycznym materializmie. Gdyby więc komunizm przestał być bezbożnym, przestałby tym samym istnieć, bo musiałby przekreślić całkowicie swą filozoficzną podbudowę.

Lenin, twórca rosyjskiego bolszewizmu, przyjął bez najmniejszych zmian całą doktrynę marksizmu i na niej oparł swoją rewolucyjną działalność. Do tegoż marksizmu przyznaje się i Stalin i w tym duchu przeprowadzał już od r. 1931 swe słynne czystki wśród bolszewickich filozofów. Po kolei znalazła się na indeksie i grupa Deborina, za skłanianie się do heglizmu i przyznawanie pierszeństwa rozwojowi myśli przed rozwojem faktów i historii, co jest kardynalnym wykroczeniem przeciw kanonom materializmu historycznego. Wszak według Marksa taki czy inny stan rozwoju stosunków i faktów wpływa właśnie na idee, będące głównie refleksem materialnego stanu ludzkości.

Ale na indeks poszli też i przyrodnicy, jak Timiriaziew i filozofowie, jak Bucharin, głoszący materializm wulgarny, mechaniczyczny, nie uznający żadnej wolności woli i żadnej inicjatywy, zależnej od ducha ludzkiego. Prowadziło to bowiem do determinizmu i fatalizmu w odniesieniu do histo-

rycznych problemów i nie było zdolne do usprawiedliwienia entuzjazmu, jakiego domagano się od twórców i pionierów komunizmu.

Czystka filozoficzna osiągnęła swój szczyt w roku 1934, kiedy powstała nowa grupa filozofów bolszewickich pod wodzą M. Mitina, która miała zlikwidować w Rosji resztki heglowskiego idealizmu i materializmu mechanicystycznego.

W marcu jednak br. znowu wystąpił krwawy Stalin przeciw filozofom, oskarżając ich w dwóch kolejnych przemówieniach o niedostateczne czuwanie nad czystością ideologii marksizmu. Naczelny organ komunistycznej filozofii: „Pod sztandarem marksizmu” wydrukował miażdżącą krytykę własnej działalności za cały ubiegły, piętnastoletni okres, oskarżając nawet grupę Mitina o różne przeoczenia i niedociągnięcia.

W chwili obecnej filozofia komunizmu usiłuje więc trzymać się znowu w całej pełni ewangelii Marksa oraz jej egzegezy, zostawionej przez Lenina. Nadszedł znowu kurs na zwalczanie mechanicyzmu, z jego determinizmem, na podkreślanie faktu wolności ludzkiej woli, wyższości poznania umysłowego nad czysto zmysłowym. Podkreśla się wyraźnie, iż myśli ludzkiej nie da się sprowadzić do samych odruchów na bodźce zewnętrzne, ani do procesów fizyko-chemicznych. Mimo to, mimo przyjmowania tajemniczego „skoku”, jaki istnieje między poznaniem czysto zmysłowym a umysłowym, filozofowie bolszewizmu przyjmują za dogmat, iż wszystko co jest, jest tylko materią a samo poznanie i myśl ludzka jest jedynie funkcją najwyżej zorganizowanej materii, mianowicie mózgu. Źródła zatem, z których bije wojujący ateizm, zostały w całej pełni zabezpieczone.

Walcząc z mechanicyzmem, walczy równocześnie oficjalna filozofia bolszewizmu z idealizmem, stając w obronie realizmu i obiektywizmu naszego poznania. Odrzucając zaś idealizm z jego prymatem czy wyłącznością Idei, broni zdecydowanie dialektyki heglowskiej, wstawionej w materializm. Konsekwentnie więc komuniści bronią materializmu dziejowego, podkreślając jednak pewien wpływ ideologii na kierunek ekonomicznego, kulturalnego i społecznego rozwoju. Stosunek bowiem człowieka do otaczającej go przyrody

nie jest bierny, jak chce mechanicyzm, ale czynny, dynamiczny i rewolucyjny. Człowiek nie może zadawać się jedynie poznawaniem świata i uleganiem jego przyrodniczym prawom, ale może i powinien wpływać na jego zmianę na lepsze. I to właśnie jest zadaniem rewolucji proletariatu.

Reasumując te nasze uwagi, podkreślamy raz jeszcze, iż dynamika komunizmu opiera się w ostatecznej analizie na doktrynie i ideologii materializmu dialektycznego. W doktrynie tej są wprawdzie pewne styczne z filozofią chrześcijaństwa, jej zasadniczy jednak kierunek, jej istotne założenia są przepojone ateizmem wojującym i dlatego zasadnicze i prawdziwe porozumienie między komunizmem a chrześcijaństwem jest absolutnie niemożliwe; zwycięstwo jednego oznacza bowiem przegraną drugiego. Walka ta trwa i rozgrywa się nie tylko na terenie społecznym, ale także może przede wszystkim, w dziedzinie ideologii.

Rozbudzić zaś i obalić ideologię komunizmu może skutecznie tylko chrześcijaństwo nie tylko swoją nauką społeczną, ale też swoją jedynie prawdziwą filozofią. I to jest jego niesłychanie doniosła rola i misja w obecnym okresie historii ludzkiej.

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

B I B L I O G R A F I A

Nikolai Berdiajew: „Wahrheit und Lüge des Kommunismus”. Tłum. J. Schor. Vita-Nuova Verlag, Luzern 1934.

„Le communisme et les chrétiens”. — (Praca zbiorowa: Mauriac, Ducatillon, Berdiaeff, Marc, de Rougemont, Rops). — Plon; Paris,

J. Urban w „Wiara i Życie” — czerwiec, lipiec — sierpień, 1937.

Ks. dr J. Pastuszka: „Filozofia współczesna”, Gebethner-Wolff. Warszawa.

Marcel Moré w „Esprit”, VI, 1934; IV, VI, VIII—IX, X, 1935; I 1936.

Waldemar Gurian: „Der Bolschewismus”. Herder. Freiburg im Breisgau. 1931.

Znajomość języków wschodnich w Polsce w drugiej połowie XVIII w.

Przez okres wielu lat granicząca na dużym swym obszarze z państwami Wschodu, Turcją, Tatarami Krymskimi nie mogła dawna Rzeczpospolita ignorować języka tych ludów, z którymi miała ona takie czy inne stosunki. Zagadnienie znajomości języków wschodnich w Polsce interesowało już historyków kultury polskiej. Wspominali o niej m. in. Brückner i Bystroń,¹⁾ ale ich sąd nie oparty na własnych badaniach jest ogólny i powierzchowny.

Szkic niniejszy nie pretendujący bynajmniej do wyczerpania tematu w całej rozciągłości, na całej przestrzeni dziejów Polski, zajmie się tylko przedstawieniem tej znajomości w jednym tylko okresie: w drugiej połowie XVIII wieku. W tak ścieśnionym zakresie możliwym będzie dopiero szczegółowe. przeprowadzenie analizy interesującego nas przedmiotu.

Na tle znajomości języków orientalnych w wiekach XVI i XVII, wiek następny nosi znamię upadku tej znajomości. Z poprzednich wieków zachowała się tradycja poliglotyzmu orientального wielu hetmanów czy dygnitarzy, Proskiego czy Sobieskich, owego dyplomaty, co ofuknął dragomana źle tłumaczącego jakieś przemówienie, została pamięć o rozmowach tureckich — jeszcze na początku XVIII wieku — takiego Stanisława Poniatowskiego (ojca króla), został cały kapitał orientalistyczny Otwinowskich czy Menińskich, ek-

¹⁾ Brückner Al.: *Dzieje Kultury Polskiej*, Bystroń: *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce*, 1932, 129 i nast.

plaatowany potem przez wiedzę orientalistyczną Europy.¹⁾ Ale oprócz tych dość ułamkowych danych nic w rzeczywistości nie wiemy o ówczesnym rozpowszechnieniu znajomości języków wschodnich w Polsce, nie wiemy przede wszystkim jak gruntowną była ta znajomość. Dopóki więc analiza rzeczywistej tej znajomości i jej rozpowszechnienia nie będzie starannie przeprowadzona dopóty wszelkie zestawienie bilansu znajomości z poszczególnych okresów będzie przedwczesne, a wnioski stąd wyciągane pozbawione podstaw naukowych.

Analiza znajomości języków wschodnich w Polsce musi uwzględniać cały szereg momentów. Przede wszystkim znajomość jakiegoś języka nie może polegać na wyłącznej znajomości bądź języka mówionego, wulgarnego, bądź języka urzędowego, a jak wiadomo w takim np. języku tureckim różnice między jednym a drugim są dość znaczne. Tak samo istnieje różnica między umiejętnością posługiwania się jakimś językiem w mowie a może i w piśmie a wyłącznie rozumieniem tego języka, między jego rozumieniem i umiejętnością przetłumaczenia tekstu a władaniem. Przy uwzględnianiu rozpowszechnienia jakiegoś języka uwzględnić należy warstwę społeczną, wśród której szerzy się jego znajomość. Ważna też jest sprawa kanału, którym dotarła znajomość danego języka: czy został on jakby nabyty mimowolnie, czy też drogą specjalnych wysiłków, (nauczania); zwykle język wulgarny raczej przyswaja się mimochodem, a język urzędowy zdobywa się nauką. Jeżeli chodzi o warstwy społeczne to zwykle warstwy niższe posiadają raczej język wulgarny, podczas gdy warstwy wyższe operują językiem urzędowym, literackim.

Niewątpliwie warunki do przyswajania znajomości języka tureckiego czy innych wschodnich posiadała Polska wyjątkowo korzystne, korzystniejsze od wszystkich prawie państw europejskich. Różnorodne i odrębne były też te drogi, którymi w rozmaitych fazach płynęła czy przesiąkała do Polski znajomość turecczyzny.

¹⁾ Stasiak S.: *Z dziejów orientalistyki polskiej*, Collectanea Orientalia, Wilno 1934, 22–25.

A więc po pierwsze, już w samej Polsce zamieszkiwały mniejszości narodowe mówiące między sobą językami wschodnimi. Co prawda liczni Tatarzy Polscy przestali już używać języka tureckiego jako mowy potocznej w XVII w. ale zachowali ścisłą łączność ze światem Islamu tak przez zachowanie znajomości języka liturgicznego arabskiego i alfabetu arabskiego, używanego przez nich nawet do tekstów białoruskich czy polskich, jak i przez sprowadzanie z Turcji duchownych muzułmańskich znających wschodnie języki.¹⁾ Sporo Tatarów polskich czy Lipków służyło w roli pośredników czy tłumaczy. Tatar polski Korycki werbował w Turcji Tatarów do jazdy króla pruskiego,²⁾ Lipka Olejewski był sekretarzem do spraw polskich przy baszy chocimskim,³⁾ inny Lipka Tarasow był dragomanem przy wysłanym do Turcji marszałku dworu ks. Adama Czartoryskiego, Borzęckim. Baranowski był kurierem podczas pobytu Radziwiłła w Turcji, Azulewicz posłował na Krym od Konfederacji Barskiej. Językiem tureckim władał i znany Tatar polski Jakób Buczacki podróżnik a późniejszy poseł na sejm Królestwa Kongresowego.⁴⁾

Druga mniejszość, Karaimi posługiwali się również narzeczem języka tureckiego, z tego względu i oni służyli za pośredników ze Wschodem.⁵⁾ Wreszcie i Ormianie używali obok narzecza ormiańskiego i języka tureckiego.⁶⁾ Główna ich jednak rola przy ocenianiu wpływów wschodnich w Pol-

¹⁾ Łoś.: *Język tatarski* (w Polsce), Encyklop. Pols., t. III, cz. III (1915), Hadży Seraja Szapszał: „O zatraceniu języka ojczystego przez Tatarów Polskich“, *Rocznik Tatarski*, I, 1932., Stankiewicz: *Belaruskija Musulmanie i bełaruskaja literatura arabskym pismom*, Hadanik Biełarus. Nawuk. Tawar. Wilno, 1933, I, 115—116.

²⁾ Może ten sam Korycki, którego Branicki wysyłał do baszy chocimskiego por. Kryczyński L.: „Tatarzy Polscy a Wschód Muzułmański“, *Rocznik Tatarski*, II, 46—47.

³⁾ O Olejewskim Ogrodzki w liście do Everhardta, 4. III. 1777, Rkps. Czart. 631.

⁴⁾ Bartoszewicz.: *Pogląd na stos. Polski z Turcją i Tatarami* (1860), 125—126.

⁵⁾ Zajączkowski An.: „Elementy tureckie na ziemiach polskich“, *Rocz. Tatarski*, II, (1935) 225 i nast.

⁶⁾ Hanusz J.: *O języku Ormian Pols.* Rozp. Wydz. Filolog. Ak. Um. XI, XIII.

sce nie stąd pochodziła, ale z ich ciągłych kontaktów pogranicznych z Turcją. Dzięki temu Ormianie już w XVII w. wyróżnili się szeregiem doskonałych tłumaczy i znawców języków wschodnich jak Bajdułowicz, Ałabiowicz, Abramowicz, Donabiedowicz, Ejwas, Seferowicz.¹⁾

Niewątpliwie pogranicze polsko-tureckie było jedną z najważniejszych baz wypadowych języków wschodnich do Polski. Aczkolwiek Polska nie przytykała do terytorium rdzennie tureckiego to jednak na pograniczu tureckim, wołoskim czy tatarskim sporo było napływowej ludności tureckiej; język turecki, potrzebny też był do kontaktów z pogranicznymi władzami tureckimi. Nic więc dziwnego, że wśród naszej ludności, głównie niższej mieszczańskiej i kupieckiej wielu władało coś nie coś językiem tureckim a o ludności Żwańca, pisał Mikosza, że „mieszkańcy jego z Żydów, Ormian i Ruśnaków złożeni..., nie masz prawie żadnego z tych, który by tureckiego nie znał języka”.²⁾

Prym wiedli oczywiście Ormianie.³⁾ Ze znajomości języków wschodnich słynął proboszcz żwaniecki Ankiewicz, wysyłany przez konfederatów barskich do Stambułu.⁴⁾ Ks. Adam Czartoryski miał służącego, Ormianina, który mówił wieloma wschodnimi językami. Ormianinem był pewnie ów Bogdanowicz tłumacz wschodni przy niedoszłych Legionach wołoskich Ksawerego Dąbrowskiego.⁵⁾ Sporo Ormian władało językiem tureckim w Kamieńcu, tu też ustanowiono posterunek tłumacza języków wschodnich. Byli tu m. in. tłumacze Ormianie Z. Krzysztofowicz a za Stanisława Augusta Mikołaj Czerkies, ongiś agent Nikorowiczów w Stambule. Czerkies, być może dobry do spraw potocznych, nie mógł jednak służyć jako pośrednik przy zawiłych układach Branickiego z baszą chocimskim, co dawało Bra-

¹⁾ Sadok Barącz: *Żywoty sławnych Ormian* (1856), 3—4, 57—58, 124—125, 285.

²⁾ Mikosza: *Obserwacje polif. państwa turec.*, 1787, I, 7.

³⁾ Łoziński: *Patrycjaf i mieszczaństwo lwowskie w XVI i XVII w.* Lwów, 1890; Antoni J.: *Pod krzyżem*, Nowe opowiadania Hist. Lwów, 1878.

⁴⁾ Pułaski: *Szkice i poszukiwania historyczne*, Petersburg, 1898, I, 15—16.

⁵⁾ Kosmowski St.: *Pamiętniki z końca XVIII w.* Poznań, 1860, 58, 61.

nickiemu wiele powodów do skarg.¹⁾ Ale poza Ormianami i w szeregach polskich nie brakło znawców turecczyny. Gdy ze śmiercią Czerkiesa zawakowało w 1776 r. stanowisko dragomana pogranicznego w Kamieńcu, komendant twierdzy gen. Witte znalazł w lot jakiegoś mieszczanina Gawrońskiego, który prowizorycznie spełniał obowiązki tłumacza. Podróżującemu do Turcji Walerianowi Dzieduszyckiemu towarzyszył jakiś szlachcic z pogranicza, Skupieński, który dawał sobie radę z językiem tureckim ale nie znał rumuńskiego i musiał wyręczać się jakimś żydem, gdy przyszło do rozmów po mołdawsku.²⁾

Obok bezpośredniego kontaktu pogranicznego następną drogą, którą przenikały języki wschodnie do Polski był handel polsko-turecki. Tu stan znajomości turecczyny był dość nikły, co było nawet uważane za jedną z przyczyn małego rozwoju tego handlu. Głównie jeździli do Turcji Żydzi i Ormianie (Szmul Jakubowicz, Jerzy Amira, Malchas, Owanes, Serpos znany bankier, Mardiros, Bogdanowicz, Arystobarowicz agent Jakubowicza, Gaspar Leski, Owicz). Wiemy, że znajomością tureckiego wyróżniali się tacy np. Nikorowicze, Grzegorz, handlarz pasów ze Lwowa i syn jego Szymon, utrzymujący kantor w Stambule.³⁾ Boskamp podczas swego pobytu na pograniczu używał znającego język turecki Żyda Salomona, który później był tłumaczem przy eskorcie posła tureckiego w Polsce Numan-beja.

O ile handel przyczyniał się nieco do wzrostu znajomości wschodnich języków w Polsce, nie można tego powiedzieć o podróżach o charakterze dyplomatycznym czy turystycznym. Dyplomaci korzystali z usług swych dragomanów i rzadko kiedy tak opanowali język jak inter-

¹⁾ Gumplowicz: *Korespondencja między Stanisławem Augustem a Ksawerym Branickim*, Kraków, 1872, 122. Skarżono się też w Warszawie na zaangażowanego podczas bezkrólewia dragomana Saadeta, że nie umie nic tłumaczyć, por. Ogrodzki do Boskampa 13. XII. 1764 (Arch. Czart. 625). O Czerkiesie Antoni J.: *Zameczki Podolskie*, Warszawa, 1880, I, 247—254.

²⁾ Może ten sam Skupieński co był w Konfederacji Barskiej i emigrował do Turcji.

³⁾ Sadok Barącz: *Żywoty sławnych Ormian*, 254, Mańkowski T.: *Sztuka Islamu w Polsce*, 1935, 62—63, 66.

nucjusz Benoe wygłaszający przemowę turecką do samego sułtana (1742)¹⁾. Boskamp chwalił się, że zna język turecki, ale znał on głównie „valaque” i grecki.²⁾ Everhardt, długoletni agent Stanisława Augusta uczył się nieco tureckiego, ale do końca swego 10-letniego pobytu wyręczał się tłumaczami, sam poprzestając na włoskim i francuskim. Za to umieli nieco tureckiego różni cudzoziemcy kręcący się po naszych kresach jak Francuz Hugon, kurier Barnasso (Rumun), lewantyniec de Luz, syn lekarza z Międzyrzecza Koreckiego. Tak samo i konfederaci barscy, przymusowi emigranci w Turcji nie skorzystali nic z tego pobytu,³⁾ nie chcieli zniżyć się do plebsu; z góry patrząc na wszystko dookoła, nie nauczyli się ani języka ani rzeczywistej znajomości stosunków tureckich, posługując się tłumaczami tureckimi, z których jeden, jakiś Kadir Aga długo po tym wywodzić będzie swoje pretensje do podczaszego Potockiego i jego spadkobierców za trudy poniesione w pracy tłumacza.

A zatem podróże, misje dyplomatyczne i emigracje nie wiele się przyczyniały do wzrostu znajomości języków wschodnich w Polsce. Istniał natomiast jeszcze jeden sposób pobytu w Turcji, uchodzący często uwagi, ale zasilający wybitnie umiejętność władania językami wschodnimi. Była nim niewola „bisurmańska”. I tu w tej znajomości istniały różnice stanowe. O ile dygnitarze czy wyżsi wojskowi przebywający w niewoli otoczeni byli opieką i korzystali z usług przydzielonej im eskorty czy tłumaczy, o tyle chłopci czy mieszcianie, którzy dostawali się w niewolę, spędziwszy wiele lat wśród tłumy tureckiego, często pracując wśród Turków, wracali do domu ze znajomością języka. Z rejestru jeńców wykupionych przez zakon Trynitarzy⁴⁾ wiadomo, że w latach 1743—1776 wykupili oni 144 jeńców, z których 67 przebywało w niewoli dłużej jak 10 lat, a z tych niejeden przeżył tam i lat 23 czy 24. A wszak to jest lista niekom-

¹⁾ Konopczyński Wł. *Polska a Turcja*, 1936, 133.

²⁾ Boskamp do króla 13 VIII 1764, Arch. Czart. 623.

³⁾ O nieznanym tureckiego przez Joachima Potockiego, Konopczyński: *Polska a Turcja*, 239.

⁴⁾ Ks. Adam od Najświętszej Trójcy (Orłowski): *Zebranie wszystkich redempcyi...*, Warszawa, 1783.

pletna; cały szereg jeńców wróciło do Polski na skutek odpowiednich fermanów sułtańskich, czy przez interwencję poselstwa polskiego. O ile ci co przebywali tam krócej nie nabyli prawdopodobnie znajomości języka o tyle nie może być żadnej wątpliwości, że ci, którzy przebywali w niewoli lat kilkanaście czy nawet lat kilkadziesiąt musieli nabyć gruntowną jego znajomość. Dowodem tego jest fakt, że jeden z jeńców wykupionych staraniem trynitarzy, niejaki Antoni Owsński, syn ekonoma z dóbr Humieckich, przebywszy w niewoli lat 12, złożył po swoim powrocie podanie, aby go ustanowiono tłumaczem języka tureckiego w Bałcie. Prośba znalazła przyjęcie przychylne, polecono mu tylko „aplikować się w piśmie”.¹⁾ Tak samo przy baszy chocimskim był eks-rotmistrz polski Januszewicz, który w niewoli nauczył się po turecku i teraz był tłumaczem.²⁾

Wreszcie jedna jeszcze lecz niemniej ważna droga, którą płynęły języki wschodnie do Polski — to pośrednictwo misji. Polska zawsze dość obficie zasilala misje wschodnie, misjonarze polscy mieli opinię znawców stosunków wschodnich, a niejeden z nich podczas długiego swego pobytu na Wschodzie wyuczył się i języka nieraz b. potrzebnego do misyjnej działalności. Tradycję pod tym względem mieli jezuita, którzy już na pocz. XVIII wieku wydali słynnego Krusińskiego, autora pierwszych druków tureckich i jednego z najlepszych w tym okresie znawców języków i stosunków orientalnych.³⁾ Jezuita mieli swoją placówkę w Stambule, gdzie zawsze przebywało nieco jezuitów polskich; językiem tureckim władali ks. Zapolski i ks. Borowski, który starał się założyć placówkę misyjną na Krymie.⁴⁾ Dobrze opanował język turecki ks. Wiczorek, misjonarz w ówczesnym

¹⁾ Witte do kancelarii królewskiej z Kamieńca 26. IX. 1782, Arch. Król. Pol. (Arch. Gł.) 123; podanie Owsńskiego z 1783 r. tamże 124.

²⁾ Relacja legata Podolskiego, Panaitescu: *Calatori poloni in fara romana*, 177.

³⁾ Babinger Fr.: *Stambuler Buchwesen in 18. Jahrhundert*, Lipsk, 1919, 13.

⁴⁾ Brzeziński: *Misjonarze i dyplomaci polscy w Persji w XVII i XVIII w.* (Potulice 1935), str. 40 i nast., Sas ks. J: „Z historii misji polskiej na Krymie”, *Przegląd Powsz.*, 1909, II.

perskim Azerbajdżanie w pierwszej połowie XVIII w., autor katechizmów i wykładu wiary po turecku, praktycznych, niezmiernie ciekawych druków, pisanych w transkrypcji na alfabet łaciński, drukowanych w Poznaniu i we Lwowie.¹⁾

Z kolei znajomością języków orientalnych wyróżniali się trynitarze, którzy poświęcając się wykupywaniu jeńców mieli sobie przykazaną naukę języków wschodnich. Wiemy, że jeden z trynitarzy, z pochodzenia Ormianin, Jan Tawukczy wykupiony w dzieciństwie z niewoli (1743) władał językami: ormiańskim, greckim i tureckim; działał on przez lat kilkadziesiąt na Wschodzie i zmarł w b. późnym wieku (1830).²⁾ O innych zakonach wiemy już mniej. Reformata ks. Burzyński późniejszy biskup sandomierski towarzyszył w końcu XVIII wieku Zajączkowi do Egiptu i miewał tam kazania po arabsku.³⁾

Obok tej znajomości nabywanej drogą wprawy, biernie, często nawet i mimowolnie, przez sam kontakt, pobyt, zetknięcie — płynęła do Polski znajomość tych języków także drogą nauki, teoretycznego przyswajania sobie dyscypliny tego języka. Orientalistyka, która powstała w odległym średniowieczu, pierwotnie uwzględniała tylko języki wiążące się z naukami biblijnymi jak chaldejski, hebrajski, arabski.⁴⁾ Rozwinęła się ona najpierw w Paryżu, po tym we Włoszech, a w XVI wieku reprezentowana już była na uniwersytecie krakowskim, gdzie obok hebraistów byli i znawcy języków innych orientalnych.⁵⁾

Oprócz uniwersytetów teoretyczne przygotowanie do języków dawały i zakony, nauka języków wschodnich zalecana była przede wszystkim dominikanom i trynitarzom.⁶⁾

¹⁾ Załęski: *Jezuici w Polsce*, III, 1905. Kowalski T.: „Ks. Michał Ign. Wieczorkowski i jego prace tureckie“, *Misje Katolickie*, 1935, n. 3.

²⁾ Muchliński: *Mał. do historii kośc. polsk. z języków wschodnich*, Pam. Relig. Mor., 1858, II.

³⁾ Askenazy: *Napoleon a Polska*, III, 65, 404.

⁴⁾ Bartold: *Istoria izuczenja Wostoka w Ewropie*, 1925, 77, Opol-ski Ks.: „Prace naukowe zakonu kaznodziejs“, *Przeg. Katol.*, 1894.

⁵⁾ Barycz: *Historia Uniwersytetu Jagiellońs. w epoce humanizmu*, Kraków, 1935, 95.

⁶⁾ Chodykiewicz: *De rebus gestis ordinis praedicator.*, XI, 1780; Pam. Warsz., 1810, t. XVIII; Muchliński: *Materiały j. w.* 1858, II.

Obok tego zupełnie indywidualnie szerzyła się znajomość orientalistyki; taki np. pastor toruński Rüttich cytował w wydanej przez siebie książce cytaty arabskie z Koranu w oryginalnej pisowni.¹⁾ A równolegle w ślad za zachodnią Europą zjawiają się u nas pierwsze próby celowego kształcenia pracowników w służbie dyplomatycznej na Wschodzie, tłumaczy pogranicznych itd. Dotychczas bądź kształcono ich pod kierownictwem tłumacza języków wschodnich przy kancelarii królewskiej,²⁾ bądź posyłano razem z poselstwami na Wschód; tak wyuczyli się nieco początków tureckiego języka późniejsi uczniowie szkoły orientalnej Pilsztyn i Nikorowicz. W zachodniej Europie uczyniła się z tego instytucja *Jeunes des Langues*, czyli stałych stypendystów, studiujących w Turcji a po tym pogłębiających swe studia w kraju. U nas wobec nie istnienia stałej placówki dyplomatycznej w Konstantynopolu, nie zdołała się wyrobić odpowiednia tradycja; dopiero Stanisław August ustanowił w Konstantynopolu Szkołę Orientalną (1766) mającą kształcić przyszłych agentów na Wschodzie, dragomanów, konsulów. Była ona pomyślana jako zakład z internatem dla stypendystów, którzy mieli się kształcić w języku tureckim potocznym i urzędowym, w arabskim, w piśmie i stylu dworskim. Niedostateczna kontrola wpływająca po części z trudnych warunków politycznych Polski, brak sił wykwalifikowanych, któreby mogły kierować skutecznie zakładem i nauczać języków tak trudnych jak wschodnie, niedostateczne obmyślenie systemu wychowawczego przyczyniły się do nikłych rezultatów tej szkoły.³⁾ Dostarczyła ona nieco dragomanów do naszych miejscowości pogranicznych, i do naszych placówek na Wschodzie. Jeden z jej wychowanków, Kirkor, służył jeszcze po rozbiorach agentowi emigracji

¹⁾ O nim Mocarski, *Książka w Toruniu do 1793* (Toruń, 1934) 101.

²⁾ Np. Rada Senatu poleciła w 1744 r. tłumaczowi Mariniemu uczyć młodzież języków orientalnych, por. Skibiński: *Europa i Polska*, II, 202. W archiwum Czartoryskich w Krakowie w vol. 615 z tego czasu alfabet turecki, „pour ceux qui apprennent à écrire”.

³⁾ Jeden z pierwszych uczniów szkoły, Komarzewski, skarżył się, że dla niego nauka tureckiego jest „morzem do wypicia”, Boskamp do Ogrodzkiego ze Stambułu 24. VII. 1766, Rkps. Czart. 625.

polskiej Ogińskiemu w Stambule. Nie wiele pomogły próby reformy zakładu przedsięwzięte w r. 1784 (misja Mikoszy) i 1790 (za poselstwa Piotra Potockiego).¹⁾

W międzyczasie, wobec potrzeb naszego pogranicza pojawiły się projekty nauczania języka tureckiego w szkole wydziałowej w Kamieńcu Podolskim,²⁾ myślano też o Warszawie, jako o miejscu kształcenia przyszłych dragomanów.

Obok szkoły orientalnej nauczanie języków wschodnich odbywa się i prywatnie: uczą się języka tureckiego dla służby dyplomatycznej Antoni Dzieduszycki i Kłicki,³⁾ dla celów handlowych wyuczył się nieco tureckiego i Walerian Dzieduszycki brat Antoniego, pionier polskiego handlu na Morzu Czarnym.⁴⁾ Tym sposobem znajomość języków wschodnich szerzyła się i wśród szlachty.

Wiek XVIII niesie ze sobą osobne zainteresowanie się Wschodem w postaci ówczesnej mody w literaturze tzw. „orientalizmu”. Moda ta przyniosła do nas wiele opowieści wschodnich, zwykle za pośrednictwem tłumaczeń z zachodniej Europy; wywołały one wiele naśladownictw. Moda orientalna wpłynęła na nas, sąsiadujących bezpośrednio z tym Orientem, tak dla zachodniej Europy dalekim i egzotycznym i wywołała u nas większe zainteresowanie się Wschodem.⁵⁾ Powstają więc w tym okresie zbiory książek i rękopisów orientalnych oraz książek dotyczących Wschodu, a w na-

¹⁾ Smoleński: „Polska Szkoła Orientalna w Stambule 1766—1795” *Kwart. Histof.* 1887.

²⁾ Reychman J.: „Niedoszły projekt z czasów Komisji Edukacyjnej — Nauczanie jęz. tureckiego w Kamieńcu Podolskim”, *Przegląd Powszechny*, IV, 1936.

³⁾ O uczeniu się tureckiego języka donosi Antoni Dzieduszycki w liście do króla z r. 1777 (Czart. 631), por. też król do Boskamp 26. II. 1778, (Pop. 235); o Kłickim i jego postępach Boskamp do króla 17. XI. 1777 (Pop. 235).

⁴⁾ O nabyciu początków języka tureckiego donosi Walerian Dzieduszycki w swym opisie żeglugi Dniestrem, ogłosz. w *Przyjacielu Ludu*, 1843, IX.

⁵⁾ Dębicki L.: *Pierwsi orientaliści i archeologowie polscy*, Bibl. Warsz. I, 1884; Turowska-Barowa Ir.: *Echa orientalne w literaturze stanisławowskiej*, *Prace Histor. Liter.*, Księga zbior. ku czci Ignacego Chrzanowskiego, Kraków, 1936, 205—215; Krzyżanowski J.: *O powiastkach orientalnych Krasickiego*, tamże 216—228.

szych bibliotekach nie brak wówczas i gramatyk, słowników języków wschodnich, dowodzących zainteresowania się językami wschodnimi. Sporo orientaliów posiada w Warszawie ks. August Czartoryski. W bibliotece Stanisława Augusta jest cały zbiór gramatyk i słowników wschodnich. Zbiera je i Everhardt, były agent w Stambule i urzędnik poselstwa rosyjskiego Lewanda.¹⁾ Poseł turecki w Warszawie w r. 1755 rozdawał wiersze tureckie, które zachowane są w Bibliotece Czartoryskich.²⁾ W ogóle Czartoryscy przejawiali wybitne zainteresowanie się Wschodem; zna języki wschodnie i generał ziem podolskich.³⁾ Przykładem samouka samodzielnie studiującego trudne języki wschodnie (turecki i arabski) pozostanie na schyłku tego stulecia nieodżałowany Józef Sułkowski.⁴⁾

Tak więc rozmaitymi drogami, nieujęta jeszcze w regularne koryto, płynęła znajomość języków wschodnich do Polski. Obok wpływów mimowolnych jawi się już i celowy, choć nie zawsze jeszcze skoordynowany wysiłek. Znajomość języków wschodnich narasta i w rozmaitej postaci i szerzy

¹⁾ O zbiorach orientalnych w bibliotece Augusta Czartoryskiego doniósł poseł francuski Des Alleurs w relacji z 20. IX. 1747 r., por. Omont H.: *Missions archeologiques françaises en Orient aux XVII et XVIII siècles*, Paryż, 1908, 748—750. Wykaz gramatyk i podręczników do języków wschodnich nabytych do biblioteki Stanisława Augusta na rachunku z 27. X. 1784, (Pop. 430); o dziale językoznawstwa orientального wspomina Olszewicz W.: „Biblioteka króla Stanisława Augusta”, *Przegl. Bibliot.* 1931. O zbiorach Lewandy, *Bulletin National*, 1794, nr. 17.

²⁾ Arch. Czart., vol. 605. Por. Matuszewicz M.: *Pamiętniki*, II, 10.

³⁾ O znajomości języków wschodnich przez ks. Adama Czartoryskiego wspomina Bernoulli, por. Liske: *Cudzoziemcy w Polsce*, Lwów, 1876, 221, por. też Dębicki: *Pierwsi orientaliści i archeologowie polscy*, Bibl. Warsz. 1884, I: odgłosem tych zamiłowań było jego zainteresowanie się losami katedr filologii orientalnej na Uniwersytecie Wileńskim na początku XIX w. por. Miterzanka M.: *Działalność pedagogiczna Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich*, Warszawa, 1931, 294—296, 300, Baliński M.: *Pamiętniki o Janie Śniadeckim*, Wilno, 1865, I, 638, 642, 652. Owocem zainteresowań Adama K. Czartoryskiego do języków wschodnich był ułożony przez niego, pierwszy tego rodzaju *Słowniczek wyrazów przyjętych do mowy polskiej z języków wschodnich*, ogłoszony już po jego śmierci w Czasopiśmie Naukowym (Biblioteki Ossolińskich) w r. 1828.

⁴⁾ Sułkowski: *Pamiętnik*, (wydał Saint-Albin), Poznań, 1864, 47, 166.

się wśród rozmaitych warstw, od małych kupców i drobnych mieszczan poczynając, aż do dyplomatów i arystokracji. Brak tylko jeszcze skoordynowania i ujęcia w ramy naukowe tych zaczątków naszej orientalistyki. Przerwał je upadek Rzeczypospolitej, a zorganizowanie podstaw naszej orientalistyki przypadło dopiero w udziale epoce porozbiorowej.

Jan Reychman.

Przegląd piśmiennictwa.

Ks. dr Michał Klepacz: *Kierunki organizacyjne oraz ideały wychowawcze we współczesnym szkolnictwie polskim*. Katowice 1937, str. 371. 8^o.

Autor nie zamierza dać ani pracy naukowej ani jakichś nowych światła na poruszane zagadnienia. W pierwszej części, po podaniu statystyki szkolnictwa, mówi o organizacji szkoły od powstania państwa do r. 1932, porusza kwestię monopolu szkolnego i jego stosunku do uprawnień rodziców i Kościoła, rozpatruje ustroje różne, mianowicie szkoły wyznaniowej, międzywyznaniowej, bezwyznaniowej i antyreligijnej, wreszcie mówi o koedukacji i związkach nauczycielskich w ich stosunku do religii i Kościoła. W drugiej części przechodzi ideały, jakie wychowaniu przyświecać powinny, a więc mówi o ideale wyrobienia osobowości, ideale narodowo-państwowym, ideale międzynarodowym, i religijnym.

Opiera się przy tym na bogatej literaturze, którą załącza w przypisach, a w poszczególnych rozdziałach nieraz streszcza wywody myślicieli, lub je dosłownie przytacza. Wskutek tego dziełko ks. Klepacza stanowi nieoceniony podręcznik informacyjny, mogący służyć nie tylko jako wyborna orientacja w danych zagadnieniach dla osób mniej w nie wżytych, ale jako podręcznik do referatów czy odczytów, uświadamiających szersze warstwy w aktualnej sprawie szkolnictwa.

Niektóre rozdziały są nawet wprost świetnie napisane. Tak np. w rozdziale o szkole wyznaniowej, mieszanej i bezwyznaniowej, zbiera autor argumenty za i przeciw z niesłychanym obiektywizmem, zaznacza stanowisko ministerstwa Oświaty, skłonne do uwzględniania żądań wychowania religijnego, zestawia rozporządzenia i oświadczenia pp. ministrów o potrzebie religijnego wychowania i koordynacji z religią innych przedmiotów, mogące służyć kapłanom i rodzicom, jako wytyczna żądań, do których są uprawnieni wobec szkoły w Polsce, choć przy tym nie tai pewnych niedomagań w wykonaniu ustaw. Podobnie rozdział o koe-

dukacji napisany jest z wielkim umiarem i zrozumieniem lokalnych trudności. A już największym, w dzisiejszym zaognieniu stosunków rzadkim, obiektywizmem nacechowany jest rozdział o Z. N. P. W tonie spokojnym tym wyraziście odsłaniają się prądy wrogie Kościołowi i religii. Jednakże autor nie obarcza odpowiedzialnością ani wszystkich nauczycieli związkowych ani nawet całego związku jako takiego i umie wydobyć jego dodatnie strony oraz położone zasługi w szkolnictwie. Takim także prze-wybornym rozdziałem jest ostatni, traktujący o ideale wychowania religijnego.

Mniej dociągnięte, acz dobre są rozdziały o wychowaniu narodowym i państwowym. Autor, jak sam zresztą zaznacza, miał do pokonania trudność, płynącą z nieustalonych jeszcze pojęć narodu i państwa. Wszelako przy głębszym przemyśleniu dałoby się konkretniej ująć zakres obu ideałów. Nawet, opierając się na 6 kazaniu sejmowym Skargi oraz 2 o miłości ojczyzny i na dziełku Modrzewskiego, pismach Dmowskiego i Szczepanowskiego, można było uwypuklić lepiej niejeden moment. Poza metafizycznymi, czy prawnymi definicjami państwa, pozostanie ono zawsze szczytem i najwyższym skarbem rozwoju narodowego i dla tego obowiązek wychowania państwowego pokrywa się z obowiązkiem obrony niepodległości i dostarczania państwu materialnych i moralnych środków, potrzebnych do spełnienia zadań państwowych w zakresie polityki zewnętrznej i obowiązków, wchodzących w całokształt polityki wewnętrznej.

Autor słusznie odróżnia państwo od rządu. Wszak obowiązkiem wobec państwa może być nieraz zwalczanie jego ustroju czy chwilowego rządu. Wychowanie Konarskiego i Komisji Edukacyjnej było właśnie takim obowiązkiem kształcenia młodego pokolenia do reformy konstytucji 3 maja.

Sama też definicja, jaką podaje autor, państwa na str. 57 jest niewystarczająca. „Stały związek ludzi osiadłych na pewnym terytorium i kierowanych przez najwyższą władzę”. Przypomina ona określenie Iheringa, że państwo jest społecznością, pojętą jako podmiot uregulowanej i zorganizowanej władzy. Wedle tej definicji możnaby za państwo uznać żydów i masonów, którzy też są osiadli na „pewnych terytoriach” i podlegają swym najwyższym władzom. Kościół też podlega najwyższej władzy, wiąże ludzi, osiadłych na pewnych terytoriach a jednak, poza państwem kościelnym, nie jest w znaczeniu prawnym państwem. Tak samo trudno się zgodzić na powiedzenie na str. 104, że „państwo jest wykonawcą woli ludów”. Rząd i jego administracyjne organa — tak, ale nie państwo, które jest właśnie narodem czy zespołem obywateli o różnej narodowości, jak np. Belgia, Szwajcaria, Stany, zorganizowanym do samodzielnego, niezależnego bytu.

Pojęcie charakteru od str. 206—208 gubi się w ogólnikach. Właściwie brak jego definicji, choćby opisowej.

Autor lubi poprzedzać właściwe rozdziały uwagami wstępnymi, mającymi niby wprowadzić czytelnika w zagadnienie. Ale przy chęci zwięzłego ujęcia, wypowiada nieraz zdania, na które zgodzić się trudno. Tak nie można monopolu szkolnego (str. 48) wiązać z reformacją. Przecież cała szkoła Franka w Halli temu przeczy. Monopol jest raczej wynikiem wieku Oświecenia, a właściwie wszechwładzy państwa, która się wytworzyła z heglizmu. Nie da się też utrzymać historycznie tezy (str. 235), że państwa klasyczne, zwłaszcza greckie przeniknięte były „omnipotencją państwową, górującą nad całością życia obywateli”. Wyjąwszy Sparty państwa greckie, przede wszystkim Ateny, były bardzo demokratyczne i wpływ agory na bieg spraw państwowych był może nawet za wielki.

Nieściśle również wiąże autor fanatyzm z umysłowością (str. 86.), jest on raczej uwarunkowany stroną emocjonalną i to często jakąś anormalnością psychiczną. Po głębszym wniknięciu można też było usunąć (str. 63.) polemikę, czy szkołą publiczną można tylko nazwać szkołą utrzymywaną przez państwo, czy raczej ta nazwa powinna przysługiwać szkołom prywatnym, nad którymi społeczeństwo bardziej czuwa i większy ma na nie wpływ niż na państwowe. Nie chodzi tu bowiem o wpływ społeczeństwa, ale o to, że do szkoły państwowej ma każdy dostęp, podczas gdy szkoły prywatne są siłą rzeczy dostępne jedynie dla pewnych klas uczniów. Możeby wtedy autor nie odsądzał tak od „publiczności” dawniejszej szkoły w Galicji jako zależnej od urzędników, tj. pewnej tylko kasty ludzi a niepodlegającej wpływowi publicznego głosu. Przecież nas z b. kongresówki rodzice posyłali do szkół galicyjskich nie dla biurokratyzmu, ale dlatego że te szkoły kształciły w duchu narodowym. I jako długoletni profesor w b. Galicji, a potem w odrodzonej Polsce, mogę sumiennie ks. dra zapewnić, że biurokratyzm i zależność tak dyrektorów jak grona nauczycielskiego od urzędników i zalew bumagi w współczesnej Polsce dużo przerasta ową zależność i ów zalew galicyjski. Nie godzi się w jakimś chyba dzielnicowym usposobieniu rzucać cień na te wysiłki szkoły polskiej i na walki jej najwyższej magistratury z zakusami wiedeńskimi, skoro właśnie to grono solidarnie ze swymi władzami krajowymi walczyło o wyrobienie ducha narodowego, nieraz z narażeniem własnej kariery, a przynajmniej z obawą o nią.

Na nieporozumieniu też jakimś polega zdanie (str. 54.), że „szkoła jako czynnik pomocniczy nie może w niczym naruszyć zasadniczej linii wychowawczej, co najwyżej ma prawo poprawiać błędy wychowania domu rodzinnego”. Szkoła musi mieć własną linię wychowawczą. Nie może naruszyć tylko praw rodziców, ale nie ich linii wychowawczej i to właśnie przemawia za wyznaczeniem szkoły, by obie linie pokrywały się w zasadach wiary i moralności. Ograniczenie szkoły jedynie do poprawiania błędów

i zobowiązanie jej tym samym do zachowywania zasadniczych a tak różnych linii wychowawczych rodziców — samą swą rozbieżnością rozbiłoby szkołę.

Należałoby też przeprowadzić inaczej rozdział o wychowaniu w ideałach międzynarodowych. Rozumiemy o co autorowi chodzi. Wszelako zdanie (str. 265), że jeżeli chcemy ludzkość pojąć jako ogół wspólnych dążeń, to takiej ludzkości nie ma i nigdy nie istniała i że „na długi jeszcze okres czasu ideały ogólnie ludzkie w praktycznym zastosowaniu będą sprawą zupełnie nierealną” — może budzić liczne zastrzeżenia. Jeden z największych patriotów naszych Sienkiewicz, walcząc o możliwość rozwijania ideałów narodowych, w odpowiedzi na ankietę *Le Courrier Européen* przyswoił sobie i podpisał zdanie Montesquieu: *Si je savais quelque chose utile à ma patrie et qui fût préjudiciale... au genre humaine, je la regarderais comme un crime*. Oprócz ideałów narodowych są ogólnie-ludzkie, niezależne od narodowych. Na nich opiera się np. wielka idea misyjna, na nich przeświadczenie o specjalnej misji narodów itd.

Jeżeli jednak te usterki mogłyby może podlegać dyskusji, to razi bezwarunkowo i może bałamucić katolicką świadomość powiedzenie (str. 576), że „w katolickiej teologii sama zasada nadprzyrodzoneści bywała zbyt powierzchownie traktowana w szczególności w polemice z naturalizmem”. Oczywiście istota współuczestniczenia stworzenia w Bożej naturze pozostanie zawsze misterium. Ale czy naprawdę zbyt była powierzchownie traktowana, jeśli tylko zwrócimy uwagę na 4 tomowy foliał Ripaldy: *De ente supernaturali*, czy piękne studium Scheebena: *Natur und Gnade*, lub Bainvela: *Nature et surnaturel*, na szereg artykułów w czasopismach między 1901 a 1903? Jakto, więc to, co stanowi podstawę i punkt wyjścia teologii, różnica między naturalizmem a supernaturalizmem miałoby być tylko pobieżnie traktowane?

Tak samo razi i może bałamucić katolików uznanie Foerстера „pomimo jego formalnej przynależności do protestantyzmu” za „na wskrós katolika z ducha”. A przecież nawet w ostatnich dziełach Foerster w sprawie łaski i grzechu pierwotnego zachowuje zupełnie niekatolickie pojęcia, trącające pelagianizmem, protestantyzmem, a obce katolickiej nauce; pozostał więc z ducha właśnie protestantem, mimo zbliżenia się do katolicyzmu.

Wytknęliśmy szerzej to co uważamy za niedociągnięcia w dziele ks. dra Klepacza, bo jednak zasadnicza część jest tak dobrze napisana, że książka powinna się doczekać niedługo nowych wydań. Powinna też znaleźć się w rękach każdego kapłana i katolików świeckich, dla których Akcja Katolicka nie jest tylko frazesem.

W następnych jednak wydaniach należałoby usunąć także i nieliczne zresztą błędy językowe. Na str. 63, przeciwstawienie

szkołę państwową zamiast *szkoły państwowej*, oraz *germanizmy* na str. 164 *odnośnie krytyk* zamiast *do krytyk*, na str. 207 *człowiek charakteru* (Charaktermensch), zamiast o charakterze z odpowiednim przymiotnikiem, na str. 224 *pojedynczy naród* (d. einzelne Nation). Nasz język nie zna podwójnych ani ludzi ani narodów. Pewnie ks. dr bujając duchem po galicyjskim „biurokratycznym” szkolnictwie zachłysnął się tymi germanizmami. Czasem i to się może zdarzyć.

Ks. Władysław Rejowicz T. J.

Księga pamiątkowa ku czci Leopolda Caro. Redaktor Kornel Paygert. Biblioteka Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego we Lwowie. Skład główny: Książnica-Atlas. Lwów—Warszawa.

Okazały, około 500 stron liczący tom wydany został dla uświetnienia 45-lecia pracy naukowej prof. dra Leopolda Caro, wybitnego chrześcijańskiego ekonomisty, prezesa Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego we Lwowie i przewodniczącego Rady Społecznej przy Prymasie Polski. Życiorys i charakterystykę naukową Jubilata referuje w artykule wstępnym redaktor wydawnictwa dr Kornel Paygert, podnosząc zakres wiedzy, płodność naukowo-pisarską prof. Caro, oraz wytrwałą propagandę na rzecz przebudowy ustroju kapitalistycznego w duchu chrześcijańskiej sprawiedliwości społecznej.

Do tej ideologii skłania się mniej lub więcej także niejeden z autorów prac zamieszczonych w tej księdze. Ogółem stanęło w niej do pisarskiego apelu 27 nazwisk, przeważnie bardzo znanych. Treść rozpraw dotyczy wyłącznie spraw społeczno-ekonomicznych, ale jest nader urozmaicona i tak dobrana, że poszczególne zagadnienia w pewnej mierze wzajemnie się uzupełniają. Spotykamy więc na wstępie teorię nauki u prof. Biegeleisena pt. „Socjologiczne i teleologiczne czynniki w ekonomice”. Myśl przewodnia tej pracy, wyjętej z większej całości, jest sztandarową dla całej księgi pamiątkowej, zwraca się bowiem przeciwko liberalnej doktrynie, automatycznej przewadze pobudek egoistycznych w życiu gospodarczym, dowodzi zaś możliwości jego rozwoju w drodze działań społecznie-celowych. Prof. Korowicz, naodwrot, broni „atakowanej ekonomii” liberalnej. Prof. Feliks Koneczny dotyka historii ekonomiki, zajmując się pytaniem: „Co wskrzesić z ekonomii średniowiecznej?” Spośród spraw praktycznych i naglących ks. dr biskup Teodor Kubina omawia „Nasze wychodźstwo w Ameryce Południowej”; dyrektor departamentu w Ministerstwie Rolnictwa p. dr Adam Rose „Pięć lat kryzysu rolnego”; b. wiceprezes Banku Polskiego dr Feliks Młynarski „Kryzys i zagadnienie złotego”; Tytus Filipowicz b. ambasador R. P. w Waszyngtonie porusza „Zagadnienie robót publicznych w Polsce”; St. Gliwic, b. minister przemysłu i handlu zanalizował pro-

blem „Polska a międzynarodowa ekonomika regionalna”. Najogólniej ujęte rozprawy zamieścili pp.: inż. Czesław Klarnier, b. minister przemysłu i b. minister skarbu „Rozwój form życia gospodarczego”, oraz obecny wicepremier, minister skarbu, inż. Eugeniusz Kwiatkowski „Nowe zjawiska i prądy u podstaw życia gospodarczego”.

Zespół tych i innych w tomie zawartych prac, nie we wszystkich artykułach może być jednakowo dostępny i użyteczny dla laików. Przy pewnej jednak ze strony czytelnika kulturze ekonomicznej zapewnia lekturę zajmującą i pouczającą. Ciekawy jest przede wszystkim jako kompendium poglądów najtęższych głów ekonomicznych w Polsce na palące zagadnienia praktyczne, oraz na samą istotę tego groźnego przełomu, jaki przeżywa Polska i świat. Księga świadczy dodatnio o wysiłku w tym kierunku polskiej myśli ekonomiczno-politycznej. Zarzuca się jej niejednokrotnie, że nie stoi na wysokości tragicznych zadań, chwili dziejowej. Tak jest nie tylko w Polsce lecz i na zachodzie. Z „Księgi Pamiątkowej” otrzymuje się wrażenie, że choć ani diagnozy nie sięgają dość głęboko, ani terapia na nich oparta nie jest dość radykalna i nie ma dostatecznego zasięgu, jednak myśl naukowa zмага się z sobą, usiłuje nagiąć do nowej rzeczywistości, usiłuje ją zrozumieć i opanować; co tym jest trudniejsze, że się ta rzeczywistość dopiero kształtuje i że właśnie w tym kształtowaniu wymagałaby bardziej świadomego niż dotąd kierownictwa. Myśl naukowa przeważnie zdaje sobie sprawę z tego, że potrzebom nowego życia dotąd sprostać nie może, broni się wszakże przed zarzutami wskazując, iż właściwe przyczyny kryzysu powstają poza obrębem zjawisk dotąd przez ekonomikę rozpatrywanych, że należą do dziedziny polityki, psychologii i socjologii. Poza tym stwierdzają przedstawiciele wiedzy ekonomicznej, że ich nauka potrzebuje dalszego rozwoju i że nie odrzuca zmiany jego podstaw, która nastąpić musi przy nieuniknionej przebudowie ustroju gospodarczego i społecznego,

Pośród rozpraw tej książki szczególnie są ciekawe prace dwóch czołowych praktyków naszego publicznego życia gospodarczego pp. inżynierów Klarniera i Kwiatkowskiego. Obaj stwierdzają zmierzach liberalizmu i zapowiadają konieczność nowych form ustrojowych. Zwłaszcza obecny wicepremier w mocnych słowach charakteryzuje rozkład i chaos współczesnej gospodarki światowej, pomimo że istnieją w pełni wszystkie materialne podstawy wszechludzkiego dobrobytu. Skarży się na przejściowość tego stanu, gdy formy stare się rozpadają a nowe jeszcze nie powstały. Zarazem domaga się gospodarki nie tylko planowej lecz i organizacyjnej, oraz przestrzega przed chaotyczną bezplanowością dążeń do gospodarczego planowania. Aczkolwiek rozprawa ta powstała jeszcze przed objęciem przez jej autora kie-

rownictwa polityką gospodarczą polską, jednak do pewnego stopnia wyjaśnia dlaczego przyjął on w tej polityce kurs raczej zachowawczy. Obawia się zapewne wkraczać na drogi silnie nowatorskie (np. uwalniające społeczeństwo od tyranii pieniądza, o czym w rozprawce wspomina), wobec niedostatecznie w tym kierunku przygotowanych stanów świadomości zbiorowej. Silny nacisk na przebudowę psychiki i mentalności, jako nieodzowny wstęp przebudowy materialnej kładzie też Tytus Filipowicz. Wszystko to prawda, ale w niczym nie osłabia tragizmu sytuacji, której środki „strawne” dla opinii w jej obecnym stanie, bezwzględnie opanować nie są zdolne. Należałoby więc tę wstępną kampanię na gruncie psychiki tak gospodarczej, jak społecznej i politycznej rozwinąć jak najprędzej i najpotężniej.

St. Szczutowski.

Ks. Dr W. Padacz, prof. Seminarium Metropolitarne: Podstawy prawne istnienia i działalności Zrzeszeń Katolików Świeckich. Warszawa 1936.

Jest to odbitka z *Miscellanea Theologica*. Rozprawa bardzo pożyteczna i bardzo na czasie. Omawia podstawy, na jakich się opiera w prawie kościelnym byt Stowarzyszeń świeckich przede wszystkim, wchodzących w skład Akcji Katolickiej, oraz ustawodawstwo państwowe, regulujące działalność i istnienie zrzeszeń.

Drobne jednak przeoczenia pragnęłoby się widzieć usunięte z następnych wydań. Autor uwzględnią wprawdzie nieliczną literaturę przedmiotu, wszelako opuścił w niej klasyczne, podstawowe dzieło ks. Beringera Steinena *D. Ablässe*, którego pierwszy tom poświęcony jest wyłącznie stowarzyszeniom, rozwijającym się w Kościele i podstawom ich prawnym. Odbiło się to na pewnych nieścisłościach pracy. Do takich zaliczyłbym określenie *corporis organici* na str. 8. Między prawnikami istnieje wielka pod tym względem rozbieżność, czy do tego *corpus* zaliczyć tylko organizację istotną w stowarzyszeniu, czy także faktyczną, choć ona nie jest konieczną do jego istnienia, jak np. w Sodalicjach Mariańskich. Rozróżnienie rzymskich Kongregacji między *organisatio essentialis* a istniejącą, statutowo wprawdzie, ale tylko *ad bonum regimen* daje podstawę do pewnej ostrożności. Zresztą kodeks tego wyrażenia też nie w jednym znaczeniu używa jak zaznaczają Vromant i Matheo à Coronata. Trudno by też zgodzić się z autorem na przeprowadzenie dowodu, że kodeks w kan. 700 nie wyklucza powstawania innych stowarzyszeń. Oczywiście samej tezie nie przeczymy. Godzą się na nią kanoniści. Jednakże dowód za daleko idzie, kiedy jako przykład możliwych innych stowarzyszeń powołuje się na kanony 100, 469, 1489, 1544. Kan. 100 mówi o źródle, z którego wypływa prawna osobowość, nie o podmio-

tach tej osobowości. Stąd czy treść kanonu 100 należy zacieśnić późniejszymi, czy pozwala on rozszerzyć ramy k. 700 nie da się nie orzec argumentacją ściśle prawniczą. Kanon 469 mówi o obo-
wiązkach proboszcza popierania i tworzenia, nie zakładania, jak
sam autor zaznacza, dzieł, ale nie mówi o zakładaniu stowa-
rzyszeń, co znowu autor przyznaje. Mogą to być instytucje
o których kan. 1489, albo fundacje, o których kanon 1544, które
same przez się mogą mieć osobowość prawną, niezależną od
osobowości stowarzyszenia a nawet niezależną od jego istnienia.
Z tezy, że w Kościele mogą powstawać inne zrzeszenia niż
trzy wymienione w kanonie 700, autor we wniosku pisze, „że
biskup może tworzyć wszelkie organizacje”. Jest to przeo-
czenie w dowodzie wyniku chyba z pewnego pośpiechu pisarza.
To samo pomieszczenie zrzeszeń i instytucji o osobowości prawnej
powtarza się na str. 12. Zresztą po tym, co autor określa słusznie
jako cel religijny na str. 10 i jako cel charytatywny na 10—12
nie wydaje się zbyt doniosłą kwestią, czy podział stowarzyszeń
na 5 rodzajów w kan. 700 jest zupełny czy nie, skoro wszystkie,
o które autorowi chodzi, mieszczą się w wymienionych gatunkach.
Ważniejszym byłoby rozstrzygnięcie a przynajmniej jego próba,
czy te stowarzyszenia nie założone, *non erectae*, ale tylko
zatwierdzone mogą mieć osobowość prawną na mocy kan. 100.
Trudność leży w wyrażeniu kan. 687 *fantum* i 708 *licet morales
personae n. sint*. Od tego zależy twierdzenie autora na str. 12,
że „zrzeszenia wiernych nie mogą być w gorszym położeniu niż
instytuty”.

Nie wiem też, na czym autor opiera twierdzenie, że zrze-
szenie może formalnie przestać istnieć „jeżeli kompetentny pra-
wodawca wyda dekret odbierający osobowość prawną”. Kodeks
zna tylko formalny dekret znoszący samo stowarzyszenie. Nie
nazwałbym też przywilejem w kan. 100 (a nie jak przez omyłkę
druku 103), że *minoribus aequiparanfur* na str. 15. Jest to raczej
postanowienie prawa jak przywilej. Zbyt łatwo też na str. 19 za-
łatwia się autor z bardzo zawiłą kwestią, do jakiej kategorii
stowarzyszeń zaliczyć Sodalicje Mariańskie. Gdyby autor oparł
się na prawnikach sodalityjnych, a nie ogólnych, a więc np. na
Mullanie, Beringerze, Bandze, z pewnością nie wydałaby mu się
sprawa tak jasną, tym bardziej, jeżeli się zważy rozbieżność wśród
prawników na temat: co stanowi notę różniącą sodalicje i bractwa od
pobożnych związków, właśnie w myśl kodeksu z uwzględnieniem
faktycznego stanu, w którym nawet bractwa obecnie utraciły
swoją charakter organizacyjny, utrzymujący się jedynie na połud-
niu w Hiszpanii i we Włoszech. Wreszcie niedociągnięciem pew-
nym jest ograniczenie zastrzeżenia praw ordynariusza zakonnego
wyłącznie do swoich trzecich zakonów. Kanon 686, § 3 i ka-
non 690, § 2 idą dalej do stowarzyszeń „właściwych zakonom
a nieorganizowanych kanonicznie”.

Dobre pojęcie o organizacji prawnej Akcji Katolickiej dał nam autor po omówieniu podstaw ogólnie wiążących instytucje i stowarzyszenia w Kościele. Tylko znowu pewne niedopatrzenie w pośpiechu na str. 22. Kanon bowiem 292 odnosi się wyłącznie do konferencji jednej metropolii, nawet nie do synodów prowincjonalnych, regulowanych kan. 283 i następnymi, a tym mniej do synodów plenarnych z kan. 281, do których jedynie odnosi się konieczność zezwolenia papieskiego. Te sprawy nie są dosyć dokładnie rozróżnione w omawianym ustępie. Za to pożyteczne jest zebranie praw państwowych, odnoszących się do Akcji Katolickiej. Uzupełniłby je należało Rozporządzeniem Prezydenta R. P. o nadzorze i kontroli nad działalnością instytucji opiekuńczych z 22/4. 1927. DURP. 40 p. 354. Rozporządzeniem Ministra S. W. O rejestracji stowarzyszeń. DURP. 94. p. 808 z 10/12 1032. Okólnikiem M. S. Wewn. z 28/12 1932. o nadzorze nad stowarzyszeniami.

Byłoby też do życzenia przejrzyste zebranie zapatrywań prawników świeckich na różne kwestie, w których mogą zajść nieporozumienia zarządów stowarzyszeń z władzami świeckimi. W wielu bowiem razach nie można się opierać na samym prawie kanonicznym i rozumieniu konkordatu przez kanonistów. Bądź co bądź te sprawy w dużej mierze zależą od rozumienia prawników świeckich i trzeba się z nimi liczyć, by nie wywołać tarć w drobiazgach.

Ks. Władysław Rejowicz T. J.

Ks. Bensch Teodor: Wpływ chorób umysłowych na ważność umowy małżeńskiej w prawie kanonicznym. Lublin 1936, str. X-310 8^o. — Ks. Bober Piotr: Pojęcie tajnej przeszkody małżeńskiej. Lublin 1936, str. XI-138 8^o. — Ks. Olszewski Franciszek: Głoszenie zapowiedzi małżeńskich. Lublin 1936, str. XI-136 8^o. — Ks. Myrcha Marian: Dowód ze świadków w procesie kanonicznym. Lublin 1936, str. VIII-163 8^o. — Ks. Pałka Paweł: Uzupełnienie jurysdykcji w prawie kanonicznym. Lublin 1936, str. IX-171 8^o. — Ks. Pawlina Leon: Dymisorie w rozwoju historycznym. Lublin 1936, str. VII-147 8^o.

Są to rozprawy doktorskie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, wszystkie pisane przez księży licencjatów Prawa Kanonicznego i przyjęte przez referentów, znanych uczonych i profesorów kościelnego prawa. Poruszają zagadnienia, niektóre prawie zupełnie dotychczas nie opracowane a inne wobec postępu prawa i wydania Kodeksu wymagające nowego przerobienia. Przyнося one zaszczyt Uniwersytetowi, zapełniają lukę w literaturze prawniczej i zwłaszcza rozprawy z zakresu prawa małżeńskiego oraz rozprawa o uzupełnieniu jurysdykcji dają wartościową pomoc

duchowieństwu, nie tylko pracującemu po konsystorzach, ale i parafialnemu. Powinny się znaleźć w rękach świeckich i prawników.

Na czoło rozpraw wysuwa się i ze względu na szersze zainteresowanie nie tylko wśród kół prawniczych i na temat niepodjęty dotychczas w kościelnej literaturze prawa, rozprawa k. s. Bensch'a o wpływie chorób umysłowych na ważność umowy małżeńskiej. Rzecz wchodzi w zakres psychiatrii i ma tam bogatą literaturę, wchodzi również w zakres teologii pastoralnej, w której studia Bergmana, Arnaud d'Agnel, dra d'Espiney oraz Schultego O. Cap. wiele światła rzuciły na to zagadnienie. Nie było jednak pracy, która by wyniki psychiatrii zastosowała w prawie małżeńskim. A jednak właśnie ten stan chorobliwy należy uwzględnić przy ocenianiu ważności umowy małżeńskiej. Autor ogranicza się do wpływu chorób umysłowych na samą umowę, pomijając kwestię wpływu na węzeł małżeński i wspólność pożycia. Rozprawa bardzo gruntowna i pożyteczna dla każdego duszpasterza.

Rozprawa k. s. Bobera: „Pojęcie tajnej przeszkody małżeńskiej” przynosi rzecz nową. Dotychczas trzeba było tworzyć sobie pojęcie z opinii przygodnych kanonistów i moralistów. Specjalnie nie zajmowano się tą sprawą. Autor rozbiera ją na obszernie traktowanym tle historycznym, wreszcie w drugiej części dochodzi do pojęcia w obecnym prawie. Niemożliwość stwierdzenia przeszkody przyjmuje nie absolutną, ale praktyczną, by można ją uznać za tajną. Rozpatruje dalej stosunek przeszkody tajnej do przeszkody forum wewnętrznego. Wreszcie wyjaśnia stosunek przeszkody tajnej do tzw. wypadku tajnego z kan. 1045 i przyjmuje za tajną taką przeszkodę, której udowodnić nie można a nie tylko taką, o której się nie wie.

K. s. Olszewski opracował kwestię głoszenia zapowiedzi. Omawia przepisy obowiązujące w prawie kościelnym. Jest to właściwie nie tyle praca naukowa, źródłowa, przynosząca coś nowego albo przynajmniej rzucająca nowe światło, ile raczej podręcznik z różnych autorów zebrany. Największą wartość ma część historyczna, choć i tu widać, że autor posługiwał się często cytataми z opracowanych już źródeł. Na str. 120 należałoby jasniej sformułować zdanie: „Jeżeli wątpliwość dotyczy przeszkody... zawarcie małżeństwa należy zabronić, chyba że mowa o przeszkodzie, która bezwzględnie wyklucza każde małżeństwo”. Zdaje się nam, że w tym ostatnim wypadku chyba tym bardziej trzeba zabronić nie „zawarcie”, jak pisze autor, ale zawarcia małżeństwa. — Kanon 1076 § 3 nie mówi o wątpliwości, czy osoba jest zamężną, jak to błędnie twierdzi autor. Wreszcie dobrze by było na str. 122 (w 11 od góry) dodać słowa: „winien stronę napomnieć w czasie spowiedzi”. Wszelkie inne bowiem napomnienie kolidowało by z sekretem sakramentalnym.

Nader cenną i o doniosłym znaczeniu dla duszpasterzy i spowiedników jest rozprawa ks. Pałki o uzupełnieniu jurysdykcji. Napisana z ogromną erudycją, mówi rozkładem i jasnością ujęcia o prawdziwie naukowym nerwie pisarza-badacza a nie kompilatora. Sumiennie przedstawia przebieg historyczny zagadnienia, wszystkie sporne kwestie, jakie się wyłaniały. Przy tym kanonów interpretacja świadczy o umyśle prawniczym wyrobionym, i o zdolności stawiania własnych rozstrzygnięć. Autor słusznie wbrew Miesięcznikowi plockiemu odrzuca potrzebę tytułu pozornego przy błędzie powszechnym. Te same racje powinny go były skłonić do wyrozumialszego traktowania tzw. *ignorantia crassa iuris in errore communi*, tym bardziej, że praktycznie trudno granicę poprowadzić między *ignorantia gravior culpabilis*, ale jeszcze nie *crassa* a *crassa*. Rodziło by to skrupuły, jakie właśnie prawodawca chciał usunąć. Podobnie nie pisałbym się na twierdzenie, by spowiedź wiedzącego o braku jurysdykcji a liczącego na błąd ogólny, była nieważna z braku usposobienia. Prawo nie obejmuje wyjątkowych wypadków i właśnie taki penitent może uważać, że skoro Kościół uzupełnia brak władzy, to i jemu z tego dobrodziejstwa wolno skorzystać, przy czym racja rozumna wystarczy, nie potrzeba aż ważnej przyczyny.

Ks. Myrcha zajmuje się dowodem ze świadków i to z ograniczeniem do wartości dowolnej. Przy tym wciąga wyniki badań psychologii doświadczalnej w zakresie zeznań świadków. Jest to pole mało przeorane w literaturze kanonistycznej. O ile świecka literatura prawnicza dużo obecnie uwzględnia zdobycze psychologii, osobiwie sądowej i stanów patologicznych, o tyle w literaturze nauk kościelnych mało są one spożytkowane. Autor też ma dużo nieraz nieufności np. do badań Sterna, Clappareda. Naszym zdaniem mniej słusznie. Nie chce np. uznać kłamstwa za objaw właściwy pewnemu wiekowi przemian. W pedagogii nie podzielamy tych wątpliwości. Owszem zetknięcie się z młodzieżą potwierdza wyniki badań. Podobnie zetknięcie się z życiem mówi o bezwinnej omyłności świadków.

W każdym razie praca ta wielu nie tylko kapłanom, ale nauczycielom i przełożonym może oddać wielkie usługi w ocenie różnych zeznań i donosów. Ks. Myrcha, choć sam nie zawsze się godzi na zdobycze eksperymentalnej wiedzy i ma dużo optymizmu co do realnej wartości zeznań, referuje jednak sumiennie zdania, które myślącemu czytelnikowi mogą zwrócić uwagę na potrzebę pewnego w tym względzie sceptycyzmu.

Ks. Pawlina daje rozprawę o dymisoriach głównie w ich historycznym rozwoju, uwzględnia jednak i obecny stan tego zagadnienia w Kodeksie. Rzecz ciekawa głównie dla historyka prawa.

Ks. Władysław Rejowicz T. J.

A. G. Michel: Państwo w okowach masonerii. Tłumaczył z francuskiego Dr K. M. Morawski. Nakładem i drukiem Księgarni i Drukarni Katolickiej, S. A. Katowice 1937, str. 427.

Pośród licznych wydawnictw o masonerii, tworzących obecnie jakby osobną dziedzinę „masonologii”, niniejsza publikacja wyróżnia się szczególnie dodatnio. Dobrze się stało, że nie jest to oryginalna praca polska, ale tłumaczenie francuskiej książki pt. *La France sous l'étreinte maçonnique*, napisanej przez Francuza. Francja bowiem jest w tym szczęśliwym czy nieszczęśliwym położeniu, że może już wystawić masonerii dość dokładny, oparty na faktach, rachunek. Czteryście stron suchych dokumentów mają swą wymowę. Właśnie dlatego, że są to dokumenty, stronicie te nabierają szczególniejszej siły dowodowej. Pisząc o masonerii, można łatwo przekroczyć granicę przedmiotowości. Można wyolbrzymić masońskie wpływy do rozmiarów apokaliptycznych, tworząc z masonerii straszak na wszystko i na wszystkich, szerząc niezdrową masonofobię, węższącą wszędzie rękę masonów. Albo też przeciwnie można nie docenić tych wpływów lub nawet zbagatelizować je nieopacznie. Dokument unika jednej i drugiej ostateczności.

I jeszcze jedną zaletę posiada ta publikacja. Oto — posługując się dokumentem, a więc urzędowym językiem masonerii, uczy masońskiego słownictwa i masońskiego sposobu myślenia. Z pożytkiem dla ogólnego wykształcenia zapoznajemy się z ulubionymi wyrażeniami „Braci”. A więc w kółko jedno i to samo: demokracja, wolność, prawa człowieka, faszyzm (straszak na wszystko), front ludowy (środek na wszystko), klerykalna, faszystowska reakcja, średniowiecze, postęp itd. itd. Przyglądamy się z bliska robocie „Braci” w terenie, ich metodom pracy. Nie bez pewnego jakiegoś zadowolenia stwierdzamy, że przecież nie jesteśmy takimi ignorantami w zakresie znajomości „masonologii”. I słownictwo masońskie i metody są wcale nam znane, jakieś nawet swojskie... I to w Polsce, we współczesnej Polsce! Skądże to pochodzi?

Otóż we wstępie od tłumacza dr Morawski wyjaśnia nam, że są to skutki transfuzji skażonej masońskiej krwi, niszczącej organizm starej, szlachetnej Francji, transfuzji, dokonanej na młodszym organizmie państwowym Polski.

„Liga Praw Człowieka”, „Rotary” — nie mówiąc o oficjalnych obrzędach masońskich — objaśnia p. Morawski — „zapuszczają i na nasz teren swoje sieci, łowiąc narybek, nieświadom często, na jaką wędkę łapie się frazesów”. W codziennej prasie tych frazesów jest zawsze sporo. W świetle tych uwag dość przekonywująco wypada zestawienie, wykazujące wielką analogię słownictwa i metod Związku Nauczycielstwa Polskiego w porównaniu z bratnimi organizacjami we Francji...

„Państwo w okowach masonerii” Michela jest „francuską gazetą”. Ciekawe, czy też i teraz uwierzy jej Polak, czy i teraz zechce skorzystać z tej bardzo zresztą pouczającej lekcji. Na Zachodzie, we Francji, dni masonerii zdają się być policzone — sami Bracia dzwonią na trwogę. Obyśmy się nie spóźnili — jak zwykle — w historycznym pochodzie znowu o jakieś lat sto.

Ks. A. Kisiel T. J.

Dr R. W. Hynek S. M.: *Święty Całun. Męka Pańska w odświeżeniu nauki*. Spolszczył i opracował dr St Karwowski. Księgarnia św. Wojciecha.

Serdeczny nasz przyjaciel opuszczając nas zostawia nam zwykle swoją fotografię z wyrazami swojej ku nam miłości. Jakby pewnego rodzaju żal może nieraz serce nasze napełniał, że Jezus najbardziej kochający nas przyjaciel, odchodząc od nas do Ojca swego, nie zostawił nam żadnej podobizny. Lecz oto — jak się okazuje — żal był niestuszny. Chrystus bowiem na wiele wieków przed wynalezieniem sztuki fotografowania, przed opuszczeniem na stałe tej ziemi, postarał się oto, by pozostała po nim klisza — negatyw — Święty Całun, który dotąd zachowuje się w Turynie. Ale nie tylko sama postać znajduje się na świętym prześcieradle, lecz również dowód największej Jego ku nam miłości, mianowicie ślady okrutnej męki za nas poniesionej i świadectwo śmierci. Dr Hynek z wielkim pietyzmem, erudycją i znajomością gruntowną wiedzy lekarskiej zabrał się do „odczytywania” straszliwej historii męki i śmierci Zbawiciela, opisaną na Świętym Całunie. Do najbardziej zajmujących należy zaliczyć rozdziały od 6 — 8, gdzie Autor udowadnia, że ostateczną przyczyną śmierci było uduszenie, co potwierdza wygląd klatki piersiowej na Całunie, a następnie wykazuje jak z punktu wiedzy lekarskiej należy tłumaczyć słowa św. Jana, że z boku Pana Jezusa wypłynęła krew i woda, na co z takim naciskiem zwraca uwagę Ewangelista. Mniej pożądane (zwłaszcza po wypowiedzeniu się w tej sprawie dr Deutscha z Lipska), choć z punktu widzenia autora zrozumiałe są częste wzmianki o Teresie z Konnersreuth. Panu dr St Karwowskiemu należy się wdzięczność za przyswojenie językowi polskiemu tak wartościowego dzieła i zaopatrzenie go cennymi uwagami.

Ks. Ignacy Turek T. J.

Świat i Życie. Zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury. T. V. z. 1. 2. K. Atlas. Lwów-Warszawa. 1937.

Przegląd zamieszczał już sprawozdania z pierwszych czterech tomów tego pożytecznego wydawnictwa, które miało przede wszystkim młodzieży dać w rękę przystępną encyklopedię. Cztery

te tomy ułożone były jako zbiór artykułów, pisanych przez specjalistów. W roku obecnym przystępuje Firma do druku piątego tomu, który stanowi uzupełnienie poprzednich i ich nadbudowę. Ma zawrzeć informacje pominięte rozmyślnie w części artykułowej a zarazem indeks czterech tomów. Leżą przed nami dwa pierwsze zeszyty. W krótkich rysach autorowie ujmują syntezę wiedzy współczesnej z jaką dane hasło się łączy. Zwrócimy uwagę na nieliczne niedokładności. Arcybiskup wedle kanonu 272 jest tym samym pojęciem co metropolita. W encyklopedii jest to traktowane jakby metropolita był wyższą jakąś godnością. Bolesław Śmiały nie skazał na śmierć biskupa ale go zamordował. Bohomolec nie działał w duchu Konarskiego, ale zbieżną w wielu razach działalność zawdzięczają obaj prądom idącym z Zachodu. Owszem Konarski sam bardziej tkwił w dawnej kulturze aniżeli Bohomolec bardziej przejęty Molierem. O Bace można było wspomnieć bez dodatku wierszokleta. Epitet ten, w świetle ostatnich odkryć, nie bardzo jest sprawiedliwy. Uwagi o śmierci, jak teraz łatwiej zrozumieć, nie były utworem z pretensją do poezji i artyzmu, ale rymowaną zabawką, w której jednak przebijają i dużo poważnej myśli i jowialnego humoru. Nie obciążałoby też Wydawnictwa, gdyby dodało symbol „ks.” przy nazwiskach kapłanów a inicjały zakonne przy nazwiskach zakonników. Bielański Józef nie był pseudonimem Trębeckiego, ale wyśmiewanym rymopisem. Trębecki tylko niektóre paszkwile przeciw Węgierskiemu podpisywał jego imieniem. Za pseudonim jednak we właściwym znaczeniu nie można uważać takiego ukrywania się pod nazwiskiem żyjącego współcześnie pisarza.

Ks. Wł. Rejowicz T. J.

Ks. dr Z. Baranowski: *Zagadki życia* — Rozmowy etyczne. 12 × 19 str. 314 Poznań, Księg. św. Wojciecha 1937.

Jak *Światła tajemnic* wprowadzają czytelnika w tajniki dogmatów, tak *Zagadki życia* poruszają również we formie rozmowy towarzyskiej cały szereg zagadnień z dziedziny moralności. O treści niech mówią nagłówki rozdziałów: Wolna myśl i wolne obyczaje — Synowie ziemi — Forma a treść w życiu religijnym — Radosna asceza — Estetyka cnoty i grzechu — W biurze parafialnym — Między Warszawą a Rzymem — Kult ciała a kultura ciała — Pieśń nad pieśniami — Złoty cielec. — Szczególnie świetnie przedstawiono prawdy odnoszące się do małżeństwa. Dziełku temu należy się również całkowite uznanie, choć w znaczenie mniejszych rozmiarach niż poprzedniemu. Może miejscami za dużo jest apologetyki, chcącej wszystko obronić, co by raczej należało po prostu przyznać w pokornym katolickim *Confiteor*.

Jak *Światła tajemnic* nie obejmują całokształtu prawd wiary, tylko pewne zasadnicze tajemnice, podobnie i *Zagadki* 29-

cia nie omawiają wszystkich zasad moralności, tylko te właśnie, które są jakby „na porządku dnia” i najbardziej zajmują dzisiaj człowieka. I w tym właśnie tkwi szczególna wartość książki. Jest naprawdę aktualna. Można i trzeba ją polecać, bo ktokolwiek ją przeczyta, nie zrobi nam zarzutu, żeśmy mu dali do ręki coś przeciętnego.

Ks. Bronisław Bojulka T. J.

André Gide: Powrót z Z. S. S. R. Tłum. J. E. Skiwski. Instytut Wydawniczy Biblioteka Polska. Warszawa 1937.

Dookoła ostatniej książki Gide'a powstał cały splot nieporozumień, przedwczesnych wniosków i sądów krzywdzących Autora. Tymczasem sprawa przedstawia się dość jasno — trzeba tylko cofnąć się do chwili, gdy społeczeństwo francuskie zostało zaskoczone nagłym przyznaniem się piewcy indywidualizmu do ideologii komunistycznej. Już wtedy stawiano pytanie, czy Gide nie popełnił błędu, czy z Ewangelii Marksa nie wziął dwóch tylko prawd mniej istotnych: nienawiść do ustroju kapitalistycznego i negację nadprzyrodzoności, pozostawiając na uboczu najważniejsze dlań zagadnienie człowieka. W ten sposób więc można tłumaczyć naprężone stosunki między nim a komunizmem obecnej Rosji. Nie powstały one wskutek ewolucji duchowej Gide'a już po jego przejściu na komunizm, są jedynie wynikiem przyznania się do błędu, popełnionego parę lat temu. Oczywiście Gide nie zerwał całkowicie z komunizmem, nie przestał oczekiwać od Rosji nawet wielkich rzeczy a zwłaszcza zmiany stosunku wobec jednostki. Jeżeli Stalin zupełnie go zawiedzie, zwróci się wtedy do Trockiego z tą samą nadzieją i z tym samym żądaniem zaprowadzenia na całym świecie takiego komunizmu, w którym jego bohaterom byłby zapewniony najwyższy rozwój duchowy. Pojmuje on bowiem komunizm bardzo prosto, jako zrzeszenie indywidualistów, pracujących nad uszczęśliwieniem ludzkości. Ale to nie jest komunizm Trockiego a tym mniej Stalina, tego w ogóle komunizmem nazwać nie można.

Książkę tę trzeba więc uważać za publiczną spowiedź Gide'a ze swych wątpliwości, za narzekanie na trudność urzeczywistnienia własnego ideału. Nie jest to jednak żadne nawrócenie. *Retour de l'U. R. S. S., Paludes, Les Nourritures terrestres* mają ten sam podkład ideologiczny, widzimy w nich tę samą zatroskaną twarz Gide'a, szukającego dla swych bohaterów nowej formy życia społecznego poza dziedziną zła i dobra. Pisać o nadzwyczajnej zmianie ideologii autora *Powrotu* jest nieco za wcześnie, tym mniej można wierzyć zbyt optymistycznym zdaniom o rzekomym skłanianiu się autora do chrystianizmu. Wystarczy przeczytać umieszczony w dodatku specjalny rozdział o walce

antyreligijnej w Rosji, by się przekonać, że Gide przyjmując wszystko, co chrystianizm dał ludzkości, sam jest bardzo daleko od Chrystusa.

Ks. Br. Wójcik T. J.

M. H. Lelong O. P.: *Dookoła zła* — przeł. z franc. M. Sosnkowska, Lwów, 1936, 16 cm × 10 cm str. 128.

Ks. dr Wiktor Niemczyk: *Zagadnienie cierpienia w religii i filozofii*. Tom I. *Zagadnienie cierpienia w świetle historii religii*. Część I. *Religie bez szczególnego zabarwienia soterycznego*. — Warszawa 1936. Nakł. Związku Ewangelików Polaków w Krakowie. 24 cm × 16 cm str. 186.

Dwie książki na temat zawsze aktualny. Pierwsza ma zadanie więcej praktyczne i przyniesie pociechę niejednej zbolącej duszy. To szereg przemówień przez radio w Strassburgu, wydanych następnie w książce pt. *Poprzez zło*. Jej część pierwsza omawia myśli zasadnicze, i ta została przetłumaczona. Druga część przedstawia codzienny stosunek religii chrześcijańskiej do zła, wskazując jak ona stara się temu zaradzić w zakładach dla głuchoniemych, ślepych, umysłowo upośledzonych itp.

Praca dra Niemczyka zakrojona na wielką skalę. Poświęcona rozpatrzeniu w tomie I-ym zagadnienia cierpienia w świetle historii religii, w tomie II-im zaś w historii filozofii. Na razie mamy pierwszą część pierwszego tomu. Wnikliwe i dokładne omówienie tej pracy będzie możliwe po jej zakończeniu, gdy autor poda syntezę swych badań. Praca podjęta jest z wielką erudycją. Czytelnicy woleliby jednak, aby odnośniki były umieszczone nie dopiero na końcu książki, ale u dołu strony. Wprawdzie nie każdy będzie sprawdzał przytoczone teksty, ale każdy chce wiedzieć, skąd one są wzięte. Wygodnie jest rzucić okiem na margines tej samej strony, ale niesłychanie denerwujące jest szukanie tych odnośników w osobnym wykazie. Spodziewamy się też, że autor uwzględni w następnych częściach także katolickie dzieła w większym zakresie niż w obecnej części.

Ks. Stanisław Bojułka T. J.

Ks. dr Fr. Seppelt i dr Klemens Löffler: *Dzieje papieży od początków Kościoła do czasów niniejszych*. Uzupełnił do rzeczy polskich dr. Tadeusz Silnicki, prof. Uniw. Pozn. Poznań, Wydawnictwo Polskie R. Wegnera.

Znana zaszczytnie z wydawnictw pięknych poznańska firma Wegnera przysłużyła się katolickiemu społeczeństwu wydaniem w polskim przekładzie dzieła dwóch niemieckich uczonych o papieżach. Książka to duża o 700 zgórą stronicach formatu in 4^o, ozdobiona blisko 1000 ilustracjami na planszach poza tekstem, może więc ona być zarówno albumem pięknych reprodukcji, jak

encyklopedią wiadomości z historii papieństwa. W sam raz dla biblioteki domowej inteligentnego domu katolickiego, którego nie stać na wielkie naukowe dzieła w rodzaju *Historii papieży* L. Pastora. Ponieważ autorzy niemieccy mało albo prawie nie uwzględniali stosunku Stolicy św. do Polski, przeto polski wydawca postarał się o uzupełnienie, dokonane piórem kompetentnym profesora uniwersytetu. Uzupełnienia te odróżniają się od reszty tekstu odmiennym drukiem. Książka ta jest bardzo na czasie, kiedy papieństwo bywa celem pocisków różnych nieprzyjaciół Kościoła, powtarzających niekiedy wprost niemożliwe opowieści o różnych papieżach. Autorzy, oparci na badaniach sumiennej nauki, nie ukrywając ciemnych stron i smutnych faktów, odrzucają to, co jest złośliwą tylko legendą lub przesadą, a przy tym uwypatniają i wielkie zasługi papieży dla kultury duchowej ludzkości. Książka zatem ma pewne apologetyczne znaczenie. Polski wydawca wzbogacił także ilustracyjną stronę książki, dając wiele obrazów i widoków z Polski. Zakwestionowałbym tylko niektóre ich zestawienie z tekstem, np. nowych facjat katedr wileńskiej i warszawskiej w rozdziałach, omawiających dzieje 14 czy 15 wieku.

Ks. Jan. Urban T. J.

Walenty Majdański: *Giganci*. Warszawa, 1937, str. 235. Nakł. autora.

Niepowszednia książka. Dla jednych będzie kamieniem obrażenia, dla innych przedmiotem płaskiej uciechy, ale znajdują się i tacy, dla których będzie ona zarzewiem głębokich myśli, refleksyj i dumań. Autor ma duszę biczownika i reformatora. Należy do rodzaju tych, co niegdyś obchodzili ziemię i wzywali ludzi do nawrócenia i pokuty. Chciałby na ziemi zbudować królestwo ideału wedle wzoru Chrystusa i niecierpliwi się, że go jeszcze nie ma i ciska gromy na tych, co do dzieła tego nie dość energicznie przykładają ręki. Nikogo nie oszczędza, ani świeckich, ani duchowieństwa, ani zakonów. Wszędzie widzi braki, nawet w wielu... świętych. Zarzuca im dezercję z pola walki, zbytnią troskę o własną tylko duszę, brak apostołskiego w całej pełni ducha, niedopasowanie do potrzeb i wymagań chwili. Czy słusznie?... W niejednym punkcie trzeba by powiedzieć: tak! Ale nie mało jest w książce zarzutów i pretensji, a obok tego... proroctw, które w głowie autora zrodziła myśl do czerwoności rozpalona, w której iluzje miesza się z rzeczywistością. Człowiek wierzący, a mądry i prawdziwie miłujący Chrystusa — a w zamiarach autora dla tych właśnie książka ta jest przeznaczona — znajdzie w niej, obok wielu przesadnych czy nawet nieuzasadnionych twierdzeń, wiele także ziarn posilnych dla swojego ducha, dla innych będzie ona tylko zachętą do narzekań i krytyki tego nawet, co święte.

Ks. E. Elter T. J.

Mgr Lucius: *Gospodarka eugeniczna człowiekiem w Polsce*. Warszawa 1937, Polskie T-stwo Eugeniczne; str. 16.

Niewielka ta rozprawa wyjaśnia styczny punkt, w którym schodzą się z sobą: cele eugeniki oraz żywotne interesy narodu i państwa. Punktem tym jest troska o człowieka, jego stan liczbowy i zdrowotny. Podnieść należy, że autor uniknął szczęśliwie jednostronności tych eugenistów, którzy zbyt radykalnie stawiają tezę: nie ilość lecz jakość i poszedł drogą pośrednią, owszem wobec spadającej w Polsce liczby przyrostu naturalnego, położył silny nacisk na troskę o ilość, jako czynnik, od którego zawisa mocarstwowa i gospodarcza potęga kraju. W tym znaczeniu, jako zwięzłe streszczenie zagadnienia ludnościowego, rozprawa powyższa jest dobrze ujęta i zawiera sporo trafnych uwag i ostrzeżeń, analogicznych do tych, jakie pod adresem narodu niemieckiego ciągle powtarza Fr. Burgdörfer, a u nas wysuwa prof. Stefan Szulc (Warszawa). Wątpliwości mogą się budzić dopiero, gdy chodzi o konkretny program „gospodarki eugenicznej człowiekiem”, do której autor pod koniec nawołuje. Od tego, jak właśnie pojmuje ten program, zależeć będzie dalsza nasza zgoda.

Ks. S. Podoleński T. J.

Gonzaque de Reynold: Portugal. Editions Spes, Paris 1936.

Jesteśmy w Portugalii. Autor oprowadza nas po niej tak jak kiedyś po Europie tragicznej. Przedzierać się za nim musimy przez las faktów historycznych w poszukiwaniu dróg wielkiej myśli twórczej narodu, zatrzymujemy się na każdym skrzyżowaniu szlaków, którymi szły prądy urabiające duszę mieszkańca szczęśliwej ojczyzny Camoens'a. Wędrowki po przeszłości zajmują dwie trzecie książki. Ostatnia część, poświęcona Salazarowi i jego ideologii, traktowana jest jako logiczny wniosek poprzednich historyzoficznych rozważań. Rzeczywiście, na pierwszych kartach dzieła zaczyna się już zarysowywać sylwetka wielkiego dyktatora. Czytelnicy *L'Europe tragique* znają tę metodę wstecznego wnioskowania — w ten sam sposób przekonywał ich p. de Reynold o koniecznym bankructwie liberalizmu, demokracji i marksizmu przy równoczesnym powrocie do idei połączenia dwóch pierwiastków: doczesnego i duchowego w jedną władzę. Połączenie to nie dokonało się jeszcze w Portugalii, ale do tego dojść musi, inaczej bowiem plan Salazara pozostanie znowu jednym z półśrodków, będących teraz w powszechnym użyciu. Jest to może najciekawsza część książki, gdzie autor teoretyczne rozważania i wnioski poprzednich swoich dzieł przykłada do ideologii, która zaczyna żyć i działać.

Jak przyjmą tę książkę historycy i politycy, a zwłaszcza szeroki ogół czytelników, nie wiadomo. Dotychczas o niej dość

cicho. Mimowoli zaczyna się więc myśleć o rozgłosie, jaki towarzyszy wszystkim poczynaniom bolszewików. Czyżby społeczeństwa więcej wagi przykładały do idei destruktywnej niż do idei, która buduje i uszczęśliwia? Tak każe sądzić sprzysiężenie milczenia dookoła Salazara i jego roli w odbudowie gospodarczej i moralnej Portugalii. A szkoda, że o tym mało się pisze i mówi — tam na kresach zachodniej Europy dokonują się bowiem wielkie rzeczy!

Ks. Br. Wójcik T. J.

Dr Alois Nikolussi: *Das Leuchten Christi*. Wiesbaden. Matthias-Grünewald-Verl. str. 87.

Nieduża książeczka, a jednak treść jej bardzo pouczająca. Wielu współczesnych, nawet katolików, przywykłych wszędzie widzieć postęp i rozwój, nie może się pogodzić z „zacofaniem” Kościoła w niektórych punktach — stąd krytyki, sarkania. Krótko, i przystępnie naświetla autor istotę Kościoła: Chrystus i Kościół — Kościół i Chrystus, kler i Kościół, stanowisko mężczyzny w Kościele. Na szczególniejsze podkreślenie zasługuje odpowiedź, jaką daje dr Nikolussi na pytanie: Chrystus daje Kościołowi wszystko — ale co daje Kościół Chrystusowi? — Dzięki Kościołowi Chrystus widocznie przebywa wśród ludzi. „Nie wystarcza, że Chrystus jest na świecie. Istnienie Jego musi być widoczne, podpadające pod zmysły, jak plakat uliczny. Jego istnienie musi dzień w dzień wbijać się we wszystkie zmysły ludzkie, musi być tak natarczywe, by go nawet najhałaśliwszy gwar ulicy nie zagłuszył i nie uczynił niewidocznym.” Zadanie to spełnia Kościół nie tylko przez kapłanów i biskupów, którzy są konarami drzewa-Kościola, ale przez wszystkich wiernych, którzy są liśćmi i kwiatami — koroną drzewa — Kościoła. To pole do działania dla wszystkich, szczególnie jednak dla mężczyzn! — Bardzo trafnie i psychologicznie wykazuje autor, jak nieuzasadnionym jest twierdzenie, jakoby pobożność i życie Kościoła odpowiadało jedynie rodzajowi niewieścemu. Miejscem przeznaczonym dla mężczyzn — to pierwsze szeregi w pochodzie Kościoła! Praca ta szczególniejszy oddźwięk winna znaleźć wśród osób, pracujących na polu Akcji Katolickiej.

Ks. J. Mokrzycki T. J.

Dr Georg Feuerer: *Ordnung zum Ewigen*. Der Mensch in der religiösen Wirklichkeit seines Lebens. 2 unveränderte Aufl. Regensburg. Pustet Verl.

„Najgorszą rzeczą jest nie mieć ojczyzny: pies bez pana, ptak bez skrzydeł, drzewo bez korzeni, człowiek bez czasu i wieczności; wszystko bezpożytecznie roztrwonione: miłość i kara, pieniądze i ubóstwo, współczucie i nienawiść... Taką nędzę życia

usunąć można tylko przez rozbudowę chrześcijańskiego istnienia. To zaś spoczywa na dwu filarach: skończonym i nieskończonym, stworzeniu i łasce. Dopiero w ten sposób stworzyć można sobie ojczyznę" (str. 226). Te myśli stanowią niejako fundament pracy dr Feuerer'a. Oparty na współczesnej filozofii istnienia (Existential-philosophie), jasno i spokojnie analizuje całe życie człowieka — chrześcijanina. Istnienie — życie łaski — spotkanie człowieka z Bogiem, to treść pierwszej części pracy. Następnie A. rozważa zasadnicze cnoty chrześcijańskie. Na szczególniejszą uwagę zasługuje rozdział o wdzięczności. „Życ to dziękować" (str. 151). „Wdzięczność jest obiektywną formą naszego bytowania. To nie coś przypadkowego, coś dodatkowego i w człowieku... Owo ustawiczne dziękczynienie jest znakomitą drogą, by z Bogiem zadzierzgnąć żywy stosunek... (str. 153) Przez takie dziękczynienie życie otrzymuje o wiele większą wewnętrzną piękność i głębię a przy tym wszystko, nawet najmniejsze rzeczy, inaczej są oceniane. W ten sposób rozumiemy też, dlaczego przez dziękczynienie życie otrzymuje właściwą siłę przemianą, przysposabiając w nas nowe duchowe istnienie dla rzeczy i wydarzeń. Wszystko bowiem styka się z nami tak, jak my doń przystępujemy: jeżeli nieprzyjacielsko — to wszystko jest kolczaste, odporne; jeżeli przyjaźnie, z wdzięcznością — wtedy wszystko przeobraża się w dziękczynienie" (str. 156).

W trzeciej części zajmuje się autor niektórymi szczegółowymi, rzekłbym *par excellence* współczesnymi problemami: troska, praca i zawód — chrześcijańskie ukształtowanie życia — los i śmierć.

W książce tej spotykamy się z żywotnymi, jakkolwiek starymi, problemami bez żadnych osłonek, jasno, treściwie. Myśli te przetrawione rzuca dużo światła na drogę życia niejednej duszy uznanej trudami dnia. Przyczynią się one również do zrealizowania wielkiej idei Akcji Katolickiej w życiu współczesnym.

Ks. J. Mokrzycki T. J.

Ks. prałat dr Jan Bączek: Podstawy wiary. Kat. Tow. Wydawnicze „Kronika Rodzinna" Warszawa.

Autor opracował cztery główne zagadnienia odnoszące się do podstaw wiary, a mianowicie: Poznanie Boga, ewangelie, cuda i nauka Jezusa, Chrystusa, Kościół katolicki. — Jak z samego podziału widać, książka ta o charakterze filozoficzno-teologicznym będzie mogła oddać wielkie usługi nie tylko księżom, ale i świeckim. Skorzystają z niej wszyscy, przygotowujący konferencje apologetyczne dla inteligencji lub pogadanki na tematy religijne dla młodzieży szkolnej. Nadają się do tego zwłaszcza część pierwsza i druga (poznanie Boga, ewangelie) — oparte na tekstach klasycznych i ożywione naukowymi zagadnieniami stojącymi

w ścisłym związku z problemem wiary. To nawiązywanie do wszystkich dziedzin nauki jest główną zaletą dziełka. Trzeba tylko pamiętać przy korzystaniu z tej książki o uzupełnianiu jej nowymi źródłami i nowymi zdobyczami wiedzy z zakresu filozofii i teologii.

Br. W.

Notatki bibliograficzne.

J. Donat S. I.: *Summa philosophiae christianae*. Druk i nakład Felicjana Raucha, Innsbruck. — Tom II. *Critica*. Wyd. 8-me 1937, str. 278. — Tom IV. *Cosmologia*. Wyd. 9-te i 10-te 1936, str. 413. — Tom V. *Psychologia*. Wyd. 8-me poprawione i rozszerzone 1936, str. 520. — Tom IX. *Vocabularium philosophicum* 1937, str. 50.

Sama ilość nakładów tych filozoficznych podręczników, puszczonech w świat jeszcze za życia autora, świadczy o ich wziętości. Dzieła ks. Donata cechuje logiczne przedstawienie rzeczy, jasność i przystępność wykładu, potoczność języka oraz szerokie uwzględnienie współczesnych prądów umysłowych zwłaszcza z dziedziny nauk doświadczalnych. Pod tym względem podręczniki ks. Donata są jedyne w swoim rodzaju. Liczne ilustracje i wykresy znakomicie ułatwiają orientację w materiale doświadczalnym. Zalety te odbiły się jednak mniej dodatnio na metafizycznym pogłębieniu zagadnień. *Index rerum*, wydany jako osobny zeszyt, może zastąpić — łącznie z podręcznikami — zwięzły słownik filozoficzny.

O prawdziwym obliczu bolszewizmu. List pasterski J. E. ks. Kazimierza Bukraby, biskupa, ordynariusza diecezji pińskiej. Pińsk, 27 stycznia 1937 r. Drukarnia diecezjalna, str. 23.

Cenny, bo autorytatywny przyczynek bibliograficzny anty-bezbożniczy. Dostojny Autor wyjaśnia w nim, czym jest z religijnego stanowiska bolszewicki komunizm, jakie są jego źródła i podstawy, oraz jego życiowe następstwa. List kończą znamienne przestrogi, zwrócone do poszczególnych klas diecezjan.

Jeden dzień skupienia miesięcznego. Wydał O. Bernard od Matki Boskiej, karmelita bosi. Nakładem „Głosu Karmelu”. Kraków 1937, str. 72.

Skupienie miesięczne, rodzaj jednodniowych rekolekcji ujmujące ta książeczka w trzy rozmyślenia o prawdach wiecznych. Uzupełnia je wiązanka pobożnych praktyk i modlitw. W wyborze ich i układzie wydawca kierował się duchem karmelitańskiej ascezy, wydobywając z tego skarbcza szereg cennych a mniej znanych modlitw i praktyk.

O. Leon Pyżalski, redemptorysta: *Matka dzieci Bożych. Czytania majowe z przykładami spośród uzdrowień lourdskich*. Nakładem OO. Redemptorystów, Kraków 1937, str. 263.

W 31 czytaniach autor omawia wszechstronnie lecz przystępnie stosunki wiążące Najśw. Maryę Pannę z ludźmi, Jej rolę w dziele odkupienia, podaje istotne składniki prawdziwego i doskonałego nabożeństwa do Matki Najśw. Wobec szerokiego rozpowszechnienia majowego nabożeństwa w Polsce i miłości, jaką się ją otacza, wydawnictwa takie będą zawsze mile witane.

S. Jeleński: *Woda żywa. Opowieść ewangeliczna*. Wydanie II-gie. Księgarnia św. Wojciecha. Poznań, str. 104.

Jest to opowieść z czasów Chrystusa Pana. Obejmuje fragment dziejów pobożnej rodziny żydowskiej. Myśl przewodnią, zaczerpniętą z nieśmiertelnej przypowieści Chrystusowej o miłosiernym samarytaninie, snuje się dyskretnie przez całe opowiadanie. Rzecz szczególnie dobra dla młodzieży.

Ks. dr Michał Sopoćko:

Mamy przed sobą kilka popularnych rozprawek wymienionego autora, drukowanych w różnym czasie i na różny temat. I tak:

Szkice kazań o abstynencji i pijaństwie. (Wilno 1936, Księgarnia św. Wojciecha) zawierają szkice dwóch kazań z zarysem historii alkoholizmu. Dwie broszury, jedna pt. *Miłosierdzie Boże* (Wilno 1936) oraz druga pt. *Idea miłosierdzia Bożego w liturgii* poruszają zagadnienie miłosierdzia Bożego jako osobnego przedmiotu szczególniejszej czci wiernych. Autor projektuje wprowadzenie osobnego święta Miłosierdzia Bożego w Niedzielę Przewodnią. Wybór dnia uzasadnia treścią i liturgią tego święta. Projekt godny poparcia. Zaznaczamy tylko, że miłosierdzia Bożego nie da się już dziś odłączyć od Jego najwymowniejszego symbolu — od Serca Jezusowego, o czym zresztą pamięta sam autor.

Również zostały opublikowane dwa referaty, wygłoszone przez tegoż autora na IV i V kursie duszpasterskim archidiecezji wileńskiej: *Organizacja kursów religijnych, dni i zjazdów katechetycznych* — Wilno 1936. Księgarnia św. Wojciecha oraz *Duszpasterz jako katecheta młodzieży wiejskiej* — tamże 1937.

Polska i świat współczesny. Biblioteka młodzieży 43. Juliusz Kaden-Bandrowski: *Droga wolności*. 1936, str. 67. Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa, Warszawa.

„Droga wolności” — proste i wzruszające obrazki pierwszej wigilii na froncie, wręczenia odznaki „za wierną służbę” starym legunom po dwuletniej pionierce wojennej, ze szczerą, żołnierską miłością wskrzeszone sylwetki poległych, obrońcy walk roku 1919,

zdobycie Wilna — zostaną na zawsze w pamięci młodego czytelnika — nie przez jaskrawość czy wyjątkowość opisywanych wypadków, ale przez wierne, po żołniersku a z artystycznym odczuciem oddany uczuciowy klimat ludzi i zdarzeń.

Bolesław Prus: *Sieroca dola*. 1937, str. 134. — Ferdynand Goetel: *Pątnik Karapeta*. Cyprian Czyż. 1937, str. 101. Biblioteka Uniwersytektów Ludowych, Gebethner i Wolff, Warszawa nr 258, 259.

Zasłużone wydawnictwo Gebethnera i Wolffa wznowiło wydawanie znanej ongiś dobrze społeczeństwu polskiemu Biblioteki Uniwersytektów Ludowych i Młodzieży Szkolnej. Skrócono tylko nazwę, zmieniono szatę zewnętrzną na całkowicie współczesną (poszczególne tomiki zdobi prawdziwie europejska okładka projektu T. Piotrowskiego), i tak w zmienionej postaci odrodzona Biblioteczka zaczyna prezentować najbardziej współczesnych pisarzy i najbardziej współczesne tematy. Aby jednak podkreślić zamiar uwzględniania także i autorów klasycznych, wydano na początek świetną tragikomiczną nowelę B. Prusa „*Sieroca dola*” obok tomiku, zawierającego dwa najlepsze opowiadania F. Goetla „*Pątnik Karapeta*” i „*Cyprian Czyż*”.

W wydawnictwie B. U. L. zyskaliśmy bardzo tanią, dobrze redagowaną i gustownie wydawaną biblioteczkę typu europejskiego, przeznaczoną nie tylko dla młodzieży, ale i dla dorosłych, którzy za złotówkę znajdując w niej lekturę wybredną a zawsze interesującą. W dalszym ciągu wydawnictwo zapowiada tomiki Zarembiny, Orzeszkowej, Makuszyńskiego, Konopnickiej, cykl historyczny oraz przyrodniczy. Na początku każdego tomiku załącza się krótki życiorys autora.

Dr J. Świtalska-Fularska: *Wspomnienia lekarki Legionowej*. Książnica Atlas. Lwów-Warszawa, str. 109. Zł 2'50.

Książka dr J. Świtalskiej-Fularskiej jest żywym dokumentem z okresu pracy pierwszego w Polsce zawiązku Sanitariatu Wojskowego. Autorka nie opisuje, ale przeżywa po raz wtóry owe chwile, tak ściśle związane z dziejami naszych walk o niepodległość, przedstawiając w nowym świetle nieznane szerszemu ogółowi momenty z okresu tworzenia się naszej własnej armii.

Stanisław Piołun-Noyszewski: *Zarys myśli polityczno-społecznej Stefana Żeromskiego*. Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska”. Warszawa 1937, str. 94.

Zarys ten, oparty na dokładnej znajomości źródeł, prostuje i obala wiele błędnych choć utartych pojęć o polityczno-społecznej ideologii pisarza, wnosząc do studiów nad Żeromskim momenty wręcz rewelacyjne. Noyszewski w przejrzystym ujęciu tematu okazuje nam wyraźnie zarysowaną sylwetkę duchową autora „*Wiatru od morza*”, podkreślając dominujący w jego poglądzie

na świat wzornik ideowy niezależnego wprowadzie, ale tym nie mniej świadomego swych celów nacjonalizmu.

Jan Kilarski: Z cyklu „Cuda Polski”. Gdańsk. Wydawnictwo Polskie (R. Wegner). Poznań, str. 252.

Nowy, pięknie i luksusowo wydany tom „Cudów Polski”, z wielobarwną okładką i heliografowymi ilustracjami, opowiada o „mieście ongiś naszym”, „złożonym złotem polskiego zboża”, dziś zaś buntującym się i wierzgającym przeciw tej, której mlekiem się wykarmiło i wyrosło na samodzielne miasto portowe — opowiada o Gdańsku, o jego przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Ten „Cud Polski” jako książka stanowi pozycję, wzbogacającą naprawdę polską bibliografię i polską kulturę książki, tak pod względem graficznym, jak i językowym. Przytem posiada wysokie wartości narodowo-propagandowe. Szczerze chciałoby się wierzyć końcowemu wersetowi tej monografii: „Wola Polski względem Gdańska nie inną dziś jest jak za Złotych Czasów Jej wiślanego portowego miasta”.

Olga Tarnawska: Wielkanoc nad Adriatykiem. Nakładem Seminarium Zagranicznego, Potulice 1937, str. 151.

Bogate wrażenia z podróży nad Adriatykiem opowiedziane są z wielką bezpośredniością i prostotą. Cechuje je — według słów Zofii Kossak zamieszczonych we wstępie — żarliwa wiara, rzeczywista kultura oraz wyjątkowa znajomość liturgii rzymskiej.

Wacław Karczewski: Lisków. Dzieje jednej wsi polskiej. Wydawnictwo Wystawy: „Praca i kultura wsi” w Liskowie 1937, str. 147. Zł 1.50.
Ks. Henryk Weryński: Dzieło twórczego katolicyzmu. Skład Główny: Spółdzielnia Roln.-Handlowa w Liskowie 1937. Odbitka z „Dzwonu Niedzielnego”, str. 16.

Lisków jest już dziś sławny w całej Polsce. Zainteresowani jego dziejami, genezą i rozwojem, znajdują w pracy Karczewskiego wyczerpujące, gruntowne informacje. Prócz tego może ona służyć za środek propagandy katolickiej pracy społecznej oraz jako rzeczowy materiał do dyskusyj na podobne tematy. Broszurka ks. Weryńskiego jest żywym, bezpośrednim reportażem z pobytu w Liskowie.

Państwowe Wydawnictwo Książek szkolnych we Lwowie:

Ewa Śliwińska: Historia naszych zbóż. 1937, str. 89.

Niejednen nawet z dorosłych nie zna historii najcodzienniejszej rzeczy — chleba. Jak zaczęto uprawiać zboża, gdzie ich przypuszczalna ojczyzna, historia uprawy — oto tematy, które rozwija niniejszy podręcznikowy zarys. Liczne ryciny urozmaicają i ułatwiają jego czytanie.

Adam Schmuck: Z Pińska do Augustowa kajakiem. 1937, str. 87.

Wycieczka kajakiem przez egzotyczne Polesie jest źródłem mnóstwa niezapomnianych, wartościowych wrażeń. Dlatego wielu amatorów podróżowania, pozbawionych tej przyjemności, z zadowoleniem weźmie do ręki i przeczyta te żywo i barwnie pisane kartki. Książka wydana starannie, ozdobiona dobrymi ilustracjami.

F. Śliwiński: Jaką wybrać szkołę? Praktyczne informacje dla rodziców i młodzieży. 1937, str. 79.

Nielatwo jest w ogóle uzyskać dobre, dokładne i pewne informacje w sprawie wyboru szkoły, szczególnie obecnie, gdy szkoły ulegają przekształceniu według zasad nowego ustroju szkolnego. Zadanie takiego poradnika ma spełnić w pewnej mierze niniejsza broszura, zawierająca, obok najkonieczniejszych objaśnień, zestawienie szkół na obszarze całego Państwa, do których można zapisać dziecko po ukończeniu przez nie szkoły, dającej wymagane przygotowanie do wyższego stopnia naszego szkolnictwa.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Wydawnictwa Instytutu śląskiego w Katowicach:

Stanisław Wasylewski: Na Śląsku Opolskim. Z 354 ilustracjami. 1937. Skład główny: Nasza Księgarnia, Warszawa, str. 269.

Augustyn Musioł i Feliks Sachse (opracowali): Tańce śląskie. Z rysunkami Pawła Stellera. 1937, str. 69.

Karol Buczek: Ślązacy w kartografii polskiej XVI wieku. Z 2 mapami. 1937, str. 31.

Kazimierz Popiołek: Śląsk i Polska w okresie wojen husyckich. 1937, str. 47.

Paweł Musioł: Ochotnicze drużyny robocze. Z 15 rycinami. 1937, str. 59.

Karol Stojanowski: Z badań nad antropologią Śląska. Skład rasowej katowickiej młodzieży poborowej. 1937, str. 29.

Andrzej Jałowiecki: Rozwój zbytu węgla z kopalń zagłębia polskiego w dziesięcioleciu 1925—1935. 1937, str. 34.

Komunikaty Instytutu śląskiego od Nr. 36 do 44.

Wykaz literatury bieżącej o Śląsku 1936. Rocznik II, pod redakcją Jacka Koraszewskiego. 1937.

Nakładem Herdera, Fryburg 1937.

Josephus Gredt O. S. B.: Elementa philosophiae aristotelico-thomisticae. I. Logica — Philosophia naturalis, str. 501. II. Metaphysica — Ethica str. 443. Editio septima recognita.

D. Dr Josef Holzner: Paulus. Ein Heldenleben im Dienste Christi. 47 Abbildungen auf 16 Tafeln, str. 452.

Nakładem S. Hirzela, Lipsk 1937.

Heildegard Schaeder: Geschichte der Pläne zur Teilung des alten polnischen Staates seit 1386. I. Der Teilungs-

plan von 1392. Tom 5 ogólnego wydawnictwa „Deutschland und Osten“.

Nakładem różnych:

- Ks. Dr Wincenty Kwiatkowski: Apologetyka totalna. T. I. Nakładem Polskiego Towarzystwa Teologicznego w Warszawie. 1937, str. 161. 14 tom „Warszawskich studiów teologicznych“.
- Ks. Dr Jan Bochenek: Pójdź za Mną. Życie w seminarium duchownym. Nakładem autora. Kraków 1937, str. 233.
- Joseph Müller S. J.: Der heilige Joseph. Die dogmatischen Grundlagen seiner besonderen Verehrung. Verlag Felizian Rauch, Innsbruck — Leipzig. 1937, str. 223.
- Ks. A. Syski: O powołaniu do kapłaństwa. Na tle encykliki Ojca św. Piusa XI o kapłaństwie katolickim. Warszawa, Księgarnia św. Wojciecha. 1936, str. 430.
- Elina Peplowska: Metody i dynamika akcji komunistycznej we Francji. Centralne Biuro Porozumienia Antykomunistycznego. Warszawa 1937, str. 21.
- Dr Jan Lutosławski: Ogólno-polska pielgrzymka ziemianstwa na Jasnej Górze. (1 i 2 VI 1937 r.) Warszawa. 1937, str. 30.
- H. Wildecki: W niewoli żydowskiej. Nakład i skład główny: „Gryf“. Poznań 1937, str. 74.
- Ignacy Załęski: O polskość uczelni. Nakładem Wydawnictwa „Młodzieży katolickiej“, Warszawa, 1937, str. 14,
- Ks. J. Rogiński: Encyklika Rerum Novarum o sprawierobotniczej. (Opracowana w formie pytań i odpowiedzi). Nakładem Diecezjalnego Instytutu Akcji Katol. w Łomży. 1937, str. 42.
- Wanda Karczewska: Ludzie spod żagli. Powieść. Wydawnictwo Ligi Morskiej i Kolonialnej i Instytutu Wydawniczego „Biblioteka Polska“. Warszawa 1937, str. 219.
- Marian Pilariski: Katolicka reforma ustroju społecznego. Streszczenie encykliki „Czterdzieści lat“. Nakładem Dwumiesięcznika „Homo Dei“. Tuchów. 1937, str. 48.
- Tenże: Najważniejsza pomoc w chorobie. Nakładem oo. Redemptorystów. Tuchów. 1937, str. 32.
- Ks. Paweł Schütz: Dokładne wskazówki dla osób przygotowujących dzieci do wczesnej Komunii św. Przekład z niemieckiego. Skład główny w Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu. 1937. Nakładem Ks. Wł. Szymańskiego w Sopotach, str. 77.
- Władysław Wolert: Od snobizmu do postępu. O przyszłość kultury narodowej. Warszawa. F. Hoesick. 1937, str. 20.
- Klaudiusz Hrabek: Ideologia „Przeglądu Wszechpolskiego“. Nakładem Wydawnictwa „Awangardy Państwa Narodowego“. Poznań. 1937, str. 182.
- Ruch prawniczy, ekonomiczny i socjologiczny. Poświęcony nauce i życiu prawnemu i gospodarczemu Rzeczypospolitej Polskiej. Kwartał trzeci 1937. Poznań. Rok siedemnasty. Zeszyt III. Redaktor naczelny i kierownik działu prawniczego prof. dr. Antoni Peretiatkowicz.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Dalszy rozwój kulturkampfu w Niemczech. — Oszczerza kampania procesów o niemoralność. — Manifestacje religijne w Polsce: częstochowskie pielgrzymki, międzynarodowy kongres w Poznaniu. — Próby antykatolickiej kampanii.

Omawiając położenie Kościoła katolickiego w Niemczech, pisaliśmy przed trzema miesiącami, iż terror totalizmu Trzeciej Rzeszy dosięga swego zenitu, otwierając przed wyznawcami Chrystusa perspektywę drogi krzyżowej, katakumb a może i krwawego męczeństwa. Do krwawej masakry nie doszło; dyktatura rasizmu nie śpieszy się z uwieńczeniem skroni wyznawców aureolą męczeństwa; natomiast sięgnęła do wypróbowanego od czasów Voltaire'a arsenału oszczerstw, by w ohydzie moralnego błota zatopić i zdyskredytować wychowawczą misję Kościoła.¹⁾

Ta ofensywa najpotworniejszych kalumnij, którą udrapowano w serię rozgłosnych procesów o niemoralność niemieckiego kleru, wywołała w całym cywilizowanym świecie odruch oburzenia i pogardy dla cynicznych komedianów hitlerowskiej sprawiedliwości. Publiczny wyraz temu oburzeniu dał kardynał Mundelein, arcybiskup Chicago, piętnując nie sądowe dochodzenia przeciw jednostkom, ale tę potworną w swej treści a bezprzykładną we formie nagonkę na Kościół i całe duchowieństwo, zaprawioną jadem nienawiści, który wybuchł stękiem najohydniejszych kłamstw i oszczerstw. Wodzowie Trzeciej Rzeszy, organizując ten skandal i używając cuchnącego bagna za odskocznię do politycznej rozgrywki czy raczej ordynarnej zemsty, okryli

¹⁾ Cfr. R. d'Harcowit: *L'offensive hitlérienne contre l'Eglise. Etudes* 20. VI. 1937.

na zawsze hańbą ten reżim, któremu patronują i którym się szczycą.

Już od samego początku tej sądowej hecy widocznym było dla wszystkich postronnych widzów, iż słynne dziś procesy o niemoralność duchowieństwa są tylko źle zamaskowanym odwetem za papieską encyklikę, godzącą w bezbożnicze zapędy rasistowskiej dyktatury. Wszak pamiętamy doskonale pierwszą, koblencką serię tych samych procesów, którą nagle przerwano w r. 1936 w przededniu berlińskiej olimpiady. Mieliliśmy wówczas wrażenie, iż wzgląd na wyższe interesy międzynarodowej propagandy podyktował zawieszenie tej maskarady, zorganizowanej z rozgłosem. Tymczasem przerwa zamieniła się na dłuższe zawieszenie broni. Olimpiada bowiem minęła a sprawa skandalicznych procesów ucichła. Owszem zanosilo się nawet na pewną współpracę niemieckiego katolicyzmu w walce z niebezpieczeństwem komunistycznego zalewu. Niemcy hitlerowskie miały się stać tamą przeciw czerwonym falom bolszewizmu a Hitler w swych patetycznych odezwach zaczął mobilizować krucją całego świata przeciw stalinowskiej Moskwie. Biskupi niemieccy wyciągnęli rękę, oświadczając gotowość współpracy, ale pod warunkiem, iż narodowy socjalizm uszanuje wolność Kościoła, zagwarantowaną konkordatem, i przywróci swobodę katolickiej prasie, katolickim szkołom i organizacjom młodzieży. Katolicyzm gotów był stanąć do ideowej walki z komunizmem, ale jako partner wolny, na którym nie ciąży podejrzenie o potajemną współpracę z marksizmem, tylokrotnie rzucone episkopatowi w twarz przez hitlerowski reżim.

Pamiętamy, iż owe układy zawierane na tle krwawej łuny hiszpańskiej pożogi rozprzęgły się i upadły. Wyciągnięta lojalnie prawica episkopatu zawisała w próżni. Narodowy socjalizm odrzucił ofertę współpracy Kościoła, nie chcąc przyjąć żadnych warunków, które godziły rzekomo w spoistość reżimu. Na ofertę odpowiedziano po prostu obelgą, podtrzymując zarzut, iż międzynarodówka katolicka jest cichym sprzymierzeńcem międzynarodówki żydowskiej i socjalistycznej. Rozpoczęły się na nowo szykany a potem otwarta walka o szkoły i młodzież.

I wówczas Rzym, który cierpliwie od kilku lat śledził zmienne koleje tej walki reżimu z Kościołem, który po ojcowsku napominał i groził — przemówił wreszcie, po wyczerpaniu wszystkich innych środków, gromem encykliki, uderzającej z mocą w system rasizmu, piętnującej jego przewrotną ideologię. Czternasty marca 1937 r. stanowi doniosłą datę w dziejach katolickiego Kościoła.

I oto Trzecia Rzesza odpowiedziała na to potępienie, w którym dopatrzyła się prowokacji — podjęciem nowej

serii procesów o niemoralność duchowieństwa. Ofo historyczne tło tej nierównej rozgrywki bezbronnego Kościoła z potężnym reżimem. Katolicyzm ma za sobą prawdę i odwagę prawdy — hitlerowski reżim zmobilizował rezerwy błota i oszczerstwa.

W połowie kwietnia otwarto więc nową serię procesów, które miały zastraszyć katolików i skłonić do zdania się na łaskę czy nieszczęście dyktatury. Półoficjalny organ narodowego socjalizmu *Schwarze Korps* rozpoczął atak czołową karykaturą oraz artykułem wstępnym, którego tytuł miał zaelektryzować całe społeczeństwo. „Zaduch bije pod niebiosami...”, Kościół jest siedliskiem moralnego zepsucia..., kler świecki i zakonny tonie w gangrenie straszliwego wyuzdania... a najwyższe czynniki kościelne nie tylko zamykają oczy na te zbrodnie, ale nawet świadomie tuszują występki przeciwne ludzkiej naturze!

Po doświadczeniach tych ostatnich lat nie mamy już zaufania do waszej etyki! Drżymy o los młodzieży, powierzonej waszej pieczy, o los istot, którymi się opiekujecie, o całość narodowego majątku, którym administrujecie. Tam gdzie zawiodła organizacja Kościoła, tam musi wystąpić interwencja państwa!

W pełnych cynizmu słowach szydzi organ hitleryzmu z Ojca św., iż zamiast pilnować ładu w swoim własnym domu, pisze encykliki potępiające inne państwa, demaskuje rzekome niebezpieczeństwa duchowe i polityczne, stawiając światu za wzór swój społeczny ustrój i swoją etykę... a tymczasem pokrywa milczeniem moralne brudy, które plenią się w szeregach jego najbliższych współpracowników.

Wśród steku najpotworniejszych szczegółów, które na komendę zaczęła w obszernych sprawozdaniach opisywać cała „zgleichszaltowana” prasa, kryje się perfidnie lansowany zarzut, iż nie chodzi bynajmniej o jednostki, ale o ogół katolickiego kleru, co gorsza o systematyczną bezkarność tych zbrodni, pokrywanych skrzętnie i tuszowanych przez kościelną władzę.

Cała ta kampania hitlerowskiej prasy, bryzgająca błotem ubranych w pornografię oszczerstw, miała przygotować zasadniczy wniosek, iż palącą jest koniecznością odebrać młodzież z pod kurateli publicznych gorszycieli, wyzwolić chorych z opieki pielęgniarzy i pielęgniarek niegodnych swego powołania i zabezpieczyć narodowe mienie, nadużywane do niecznych i występnych celów. A zatem zniesienie szkół wyznaniowych, laicyzacja szpitali oraz ochronek, konfiskata kościelnych dóbr — oto właściwy sens pełnego faryzajskiej emfazy okrzyku: „Nie mamy już zaufania do waszej etyki“!

Tak więc umiejętnie zaatakowano i poruszono w szerokich warstwach niemieckiego społeczeństwa najgłębsze uczucia. Troska o pieniądz, o dzieci i o chorych miała rozpętać gniew ludu. Ten gniew trzeba było podniecić do temperatury wrzenia, więc na łamach nie tylko zaprzysiężonego wroga Kościoła, jakim jest *Schwarze Korps*, ale i w długich kolumnach *Angriffu*, *Völkischer Beobachter*, *Deutsche allgemeine Zeitung* itd. pojawiły się przerażające statystyki. Całe Niemcy i zagranica dowiedziały się nagle, iż w czterystu procesach, wytoczonych za niemoralne występkę, stało się przed sądownymi kratkami ponad tysiąc zakonników, oskarżonych o potworne wyuzdanie. Ta zaokrągłona cyfra miała wstrząsnąć wyobraźnią nawet najbardziej zagorzałych obrońców niemieckiego kleru.

Skneblowana terrorem prasa katolicka musiała milczeć; nie pozostawał więc inny środek obrony jak tylko ambona. I oto, po przeprowadzeniu szczegółowych badań i dochodzeń we wszystkich diecezjach Niemiec, ogłoszono niespodziewanie w niedzielę 6 czerwca we wszystkich kościołach Rzeszy protestacyjny manifest przeciw złowrogiej kampanii oszczerstw. W świetle szczegółowej statystyki pokazało się, iż pomimo całej naгонki i rozpętanej orgii denuncjacji na 21.461 kapłanów świeckich — 49 zostało pozwanych sądowo do odpowiedzialności, w tym 21 uznano za winnych, a sprawa 28 nie jest rozstrzygnięta. Na 4.174 zakonników oskarżono sądowo 9, w tym jednego tylko skazano a przeciw 8 prowadzi się dalej śledztwo.

Nie ulega żadnej wątpliwości, iż i te odosobnione wypadki ludzkiej nędzy mają swój bolesny wyraz, ale czyż usprawiedliwiają one zarzut, iż cały kler uległ gangrenie niemoralności, iż Kościół zamienił się w „stajnię Augiasza“, z której dopiero państwo musi „wymiać“ brud i zgniliznę? Czyż te niezliczone karykatury, od których się roi w hitlerowskiej prasie, te pełne napastliwej nienawiści inwektywy o „sadystycznych orgiach klasztornych“, o „profanacjach kościołów“ o „nadużywaniu konfesjonałów dla niskiej rozpusty“... czyż ta cała kampania ohydy i błota ma naprawdę na celu obronę moralności i duchowe dobro ludu?

Tak wygląda zemsta rasistowskiego reżimu za odważne słowa papieskiej encykliki. W odezwie hitleryzmu nie gardzą w swej demonicznej wściekłości żadnym środkiem, byle tylko zbeczczyć Kościół i odebrać mu wszelki wpływ na rzesze wiernych.

Ktokolwiek zechce przeglądać niemieckie dzienniki z okresu ostatnich miesięcy, przekona się, jak od 21 marca br., daty odczytania papieskiej encykliki, rozpętała się zaciekle walka przeciw Kościołowi, przybierając z każdym dniem na

sile, przechodząc całą gamę natężenia, aż do prawdziwych wybuchów wściekłości, która się nie liczy z żadną obelgą ni najpotworniejszym kłamstwem.

A obok tej nienawistnej kampanii służalczej prasy rozwijały się znamienne fakty, ujawniając nieudolnie maskowane zamiary wodzów Trzeciej Rzeszy. Zgrana nagonka dzienników miała przygotować patetyczne występy najwyższych wodzów Hitlera, Goebbelsa i Fricka. „Katolik” *Führer* zapowiedział w swej politycznej przemowie 1 maja, że przemocą zamknie Kościół w zakrystii i bezwzględnie złamie wszelkie zapędy encyklik do mieszanja się w sprawy państwa. Z kolei drugi „katolik” Goebbels wylał cały jad nienawiści w swej osławionej mowie w berlińskiej Deutschlandhalle, dn. 28 maja br. Sfanatyzowany 20 tysięczny tłum przerywał okrzykami nienawiści: „Zabić ich”... „powiesić!” — potworne oszczerstwa tego ministra propagandy bezbożnictwa. Radiowe fale rozniosły na cały świat oszczercze zarzuty o zbrodniach „niezliczonych kapłanów i zakonników”, którzy zamienili się na „bestialskich gwałcicieli młodzieży”, zaspakajających swe „najbardziej zwyrodniałe instynkty” pod płaszczykiem kapłańskich funkcji.

A cały świat, słuchając tych potwornych oszczerstw, napiętnowanych i zdementowanych orędziem berlińskiego arcypasterza Preysinga, odwrócił się z pogardą od tego prokuratora hitlerowskiej sprawiedliwości, przypominającego aż do złudzenia patetyczne występy czerwonych katów Wyszynskich.

Nie chodzi nam bynajmniej o niedocenianie a tym mniej o obronę smutnych i bolesnych choćby odosabnianych upadków tych czy innych sług ołtarza; ukaranie faktycznych występków według wszelkich rygorów prawa jest bezwzględnym obowiązkiem, którego domaga się równie dobro Kościoła jak i państwa a wszyscy katolicy świata pochwałą surowość sędziów. Ale wstręt i obrzydzenie w całym cywilizowanym świecie musi wywołać nadawanie sztucznego rozgłosu procesom, opartym w przyniatającej większości na nienawistnym oszczerstwie. Każdy uczciwy człowiek musi z oburzeniem potępić tę niecną nagonkę skierowaną przeciw całemu klerowi, dotkniętemu do żywego w najświętszych uczuciach. A czy można osłonić troską o moralność publiczną wyciąganie najbrudniejszych szczegółów przed forum publiczne, z narażeniem tysięcy młodzieży i dzieci na niepowetowane urazy psychiczne, na zatrucie młodych dusz nie dającym się już naprawić zgorzeniem?

I to pozostanie straszliwą zbrodnią wodzów Trzeciej Rzeszy.

Ciężkie, upiorne chmury zbierają się nad głowami katolików Trzeciej Rzeszy. Zaostrzająca się gwałtownie ewolucja wypadków od chwili ogłoszenia encykliki wyklucza wszelkie horoskopy optymizmu. Narodowy socjalizm wyradza się z dnia na dzień w coraz to bardziej zacieklego wroga katolicyzmu, który nie waha się przed użyciem wszelkich środków i który sięga po broń nawet na dno bagna, byleby tylko zgniebić ostatniego obrońcę wolności i godności ludzkiej, jakim jest dziś na terenie Trzeciej Rzeszy jedynie katolicki Kościół.

Tym bardziej wzrusza, buduje i zagrzewa postawa katolików niemieckich, którzy w swej olbrzymiej większości, pomimo oszczerstw, terroru i prześladowania, stoją zdecydowanie przy boku swoich pasterzy, gotowi na największe ofiary, nawet i męczeńskiej krwi — w obronie swej wiary i honoru swojej ojczyzny.

Na tym ponurym tle występuje tym jaśniej wzmożony ruch religijnego odrodzenia w Polsce. Polska, wciśnięta między dwa bastiony wojującego bezbożnictwa, wystawiona na gwałtowne zapędy ateistycznej komuny i pogańskiego rasizmu, skupia dziś na sobie spojrzenia całego katolickiego świata. Jak przed wiekami tak i dzisiaj na Polsce spoczywa szczytna misja obrony chrześcijańskich zasad i chrześcijańskiego poglądu na świat. Świadomość tej misji rośnie w polskim społeczeństwie, i wraz z poczuciem narodowej siły łączy się harmonijnie wzrost przywiązania do wiary praojców. Zwłaszcza ubiegły miesiąc był jednym, prawie nieprzerwanym pasmem wielkich, imponujących manifestacji religijnych w Polsce.

Centrum duchowego odrodzenia staje się coraz wyraźniej stolica Jasnogórskiej Pani, która u stóp swojego tronu zbiera kwiat narodu, wzmacnia go łaską sakramentów św. i śle na zagrożone szańce dziejowej walki o światopoglądy. Czołową kolumnę stanowi bezwątpienia polska katolicka młodzież; jej zeszłoroczne śluby wierności stały się potężnym hasłem, które mobilizuje najszerze warstwy społeczeństwa dokoła ideałów miłości wiary i ojczyzny.

Do duchowej stolicy odrodzonej Polski pielgrzymowały w tym miesiącu wielotysięczne rzesze akademickiej młodzieży, polskiego ziemiaństwa i polskiego ludu, polskich robotników a wreszcie polskiego nauczycielstwa. Kto na miejscu przeżywał wruszające do głębi momenty tych kolejnych katolickich manifestacji, kulminujących w uroczystym ślubowaniu wierności, ten zrozumie, iż nie chodzi tu o chwilowe uniesienia religijnej ekstazy, ale o krystalizowanie się, krzepnięcie katolickiego poglądu na świat, o wy-

kuwanie katolickiej myśli i przygotowywanie konsenkwentnego katolickiego czynu. Tam u stóp Jasnogórskiej Pani cichną bratnie spory, tworzy się potężna platforma ideowa do trwałego zjednoczenia narodu, rozbijanego przez lata warcholstwem czy samolubstwem jednostek i klik.

Na czoło tegorocznych manifestacji wiary w Częstochowie wybiła się pielgrzymka polskiego ziemiaństwa oraz polskiego nauczycielstwa. Katolicki sejm ziemian, który skupił prawie 50% polskich dworów, był i rachunkiem sumienia, i gorącą spowiedzią, i Komunią wielkich postanowień, w których musi się odrodzić arystokracja polskiego ducha, ducha wiary i wielkiej społecznej misji. Zmieniły się dziś warunki, nie wystarczą już herbowe klejnoty, o ile przy nich nie zjawi się klejnot wysokiej cnoty, poświęcenia w wielkiej krucjacie sprawiedliwości społecznej oraz miłości. Polski dwór, pomimo wszelkich agitacji i namiętnych napaści, ma jeszcze przed sobą wspaniałą misję do spełnienia, tylko musi ją pojąć szerzej, idealniej i radykalniej w myśl totalizmu katolickich zasad, wyłożonych w encyklikach o chrześcijańskiej reformie ustroju. Kto patrzył na przebieg częstochowskich narad polskiego ziemiaństwa, kto widział te dowody gorącej wiary i prawdziwej pobożności, ten nie zwątpi, że ta właśnie misja zostanie podjęta i konsekwentnie spełniona.

Obok polskiego ziemiaństwa stanęło i polskie nauczycielstwo. Jego posłannictwo jest jeszcze głębsze i donioślejsze, bo rozstrzyga o całej przyszłości narodu. Posłannictwo tym trudniejsze, iż iśćci się musi we wrogiej atmosferze walki, jaką od szeregu lat stacza podminowany bezbożniczą ideologią zarząd ZNP o monopol szkoły i rządu nad duszą młodzieży. Pomimo jednak zaciętej agitacji kierowniczych czynników związku pielgrzymka nauczycielstwa doszła do skutku a przebieg jej był imponujący.

Z ust i dusz 20 tysięcy rzeszy polskich nauczycieli popłynęła do stóp jasnogórskich Pani potężna rota wiary i miłości, która odbiła się głośnym echem w sercach wszystkich wiernych synów Kościoła i polskiej Ojczyzny:

Przenajświętsza Boga Rodzicielko, Bogiem wslawiona Maryjo. My nauczyciele Polacy, narodu polskiego członkowie, Kościoła Świętego prawierne syny, Twemu szczególnemu orędownictwu i opiece oddajemy siebie samych i rodziny nasze, i pieczy naszej w szkole powierzoną dźwiatwę.

Matko nauczyciela naszego Chrystusa, u stóp Twych kornie składamy nasze troski i boleści, nasze radości i zamierzenia, cały nasz nauczycielski trud, i oświadczamy:

Że ze wszystkich sił naszych dążyć będziemy ku temu, iżby szkołę polską przepoić duchem Chrystusowym, a wszelkie nasze działania oprzeć na zasadach polskich i katolickich, że wszelkich dolożymy starań, aby młodzież nasza w szkołach miała warunki gruntownego poznania, pogłębienia i pokochania zasad wiary świętej oraz przywiązania do naszego Kościoła, aby szkoła i Kościół stanowiły dwa zgodne ośrodki wychowania narodowego i religijnego.

Przy polskim, katolickim nauczycielstwie stanie solidarnie całe katolickie społeczeństwo, by mu dopomóc do zrealizowania tych ślubów, od których zależy przyszłość naszej Ojczyzny i jej dziejowej misji na zagrożonych rubieżach chrześcijańskiej cywilizacji.

Ale prawdziwie szczytowym przeglądem katolickich sił stał się dopiero wspaniały międzynarodowy Kongres ku czci Chrystusa-Króla w Poznaniu. Kongres ten został zwołany orędnem Najwyższego Pasterza, skierowanym do polskiego narodu. W ręce katolickiej Polski złożył Papież losy tego kongresu, związany z nim trud w służbie wielkiej sprawy, „od której w zupełności zależą przyszłe losy świata”.

A niemałych wyników spodziewa się sędziwy Sternik Kościoła po tym katolickim międzynarodowym sejmie.

...Starajcie się — pisał w swym orędnym — wybać dobrze siły wrogów Chrystusowych i przeniknąć zarówno ich sposoby działania, jak ich podstępne plany. Biorąc pod uwagę to, co katolicy dotychczas działali, ustalcie jasno powody, dla których tak chwalebnym porywom nie zawsze odpowiadają oczekiwane wyniki. — Obmyślcie i wskażcie najskuteczniejsze metody pracy, które żarliwi działacze Akcji katolickiej będą mogli następnie z powodzeniem stosować w codziennym potykaniu się z bezbożnictwem. Przede wszystkim zaś to sobie zawsze uprzymiajcie i do tego zmierzajcie całą gorącością swych tęsknot i ślubowań, mianowicie, że potrzeba, aby On panował i to panował w takim zakresie, by łaską swą nie tylko kształtował dusze jednostek, lecz by za pośrednictwem oddanych sobie apostołów, którzy by zupełnie zgłębili Zakon doskonałej wolności, przepoił swoim duchem sprawy publiczne, władał nimi w prawdzie i sprawiedliwości...

Na straży, tych wielkich prac i jeszcze większych zamierzeń postawił Papież swego legata, którego wybrał właśnie wśród synów naszej Ojczyzny. Nowy to dowód życzliwości i zaufania, jakim nie od dzisiaj „polski papież” darzy katolicką Polskę.

A już uczucia szlachetnej dumy związanej z poczuciem wysokiej odpowiedzialności muszą w sercu każdego Polaka wzbudzić końcowe słowa Ojca chrześcijaństwa:

...Nie możemy — pisze Pius XI — pominąć milczeniem szczególnej okoliczności, która stanowi pomyślną zapowiedź na przyszłość. Oto pierwszy międzynarodowy Kongres Chrystusa-Króla odbędzie się w kraju, który słusznie nazwano i który był rzeczywiście przedmurzem chrześcijaństwa.

Na tej ziemi, która od świętych Biskupów Wojciecha, Stanisława i Józefa aż do męczenników podlaskich za Unię katolicką tak często bywała zraszana krwią męczeńską;

na tej ziemi, która była matką tylu świętych czczonych w całym Kościele, jakimi są Jan Kanty, Jacek, Kazimierz, Jadwiga i anielski Stanisław Kostka;

na tej ziemi, która w ciągu wieków aż po nasze czasy tylekroć rozgromiła nieprzyjaciół Chrystusa, ufających zuchwale w własnych siłach, a mimo najazdów herezji i schizmy zachowała nieskalaną wiarę katolicką, i to wiarę gorącą, jakiej naocznym świadkiem byliśmy tylekroć i my, gdy u Was spełnialiśmy misję Nuncjusza Apostolskiego;

na tej polskiej ziemi kłaść będziemy podwaliny pod nowe opatrnościowe dzieła ku czci Chrystusa Króla.

Można ufać, iż wyniki poznańskiego kongresu odpowiedziały w całej pełni nadziejom Ojca św. Pracowała tam intensywnie katolicka myśl, ujmując w szeregu głębokich referatów podwaliny chrześcijańskiego światopoglądu z uwzględnieniem współczesnych niebezpieczeństw i trudności, jakie stwarza nowożytny ruch bezbożniczy. Przeanalizowano do głębi jego filozoficzne, społeczne i moralne źródła i obmyślono cały szereg zasadniczych a skutecznych środków. Konkretne wnioski i plany powierzono suwerennej decyzji Papieskiego Legata a Prymasa Polski.

Ale obok pracy umysłowej nie brakło żarliwej modlitwy, nie brakło także zewnętrznych manifestacji katolickiej wiary. W manifestacjach tych zsolidaryzowały się wszystkie narody oraz wszystkie stany. Zsolidaryzował się też polski rząd, który w osobie swego delegata p. min. prof. Świętosławskiego wziął czynny udział w Kongresie. Podkreślmy to słowo „czynny“, gdyż oświadczenie p. Ministra odbiło się głośnym echem na ziemiach całej Rzeczypospolitej. W tym bowiem oświadczeniu stanął polski Rząd na stanowisku w całej pełni katolickim i przemówił tak, jak Rząd katolickiego kraju przemawiać powinien.

Podkreślenie przez p. Ministra doniosłości pracy nad „pogłębieniem zasad religijnych“ oraz „wskazaniem ludzko-

ści istotnych środków przeciwstawienia się wszelkim niebezpieczeństwom, na które, niestety, ludzkość coraz to częściej jest narażona" — przyznanie, iż „podstawą, na której budować można organizację życia zbiorowego powinien być człowiek o poczuciu wysokiej etyki i głębokiej moralności” — stwierdzenie faktu, iż „wieki rozwoju ludzkości wykazały, że wszczepienie tych zasad jest do osiągnięcia jedynie przez wychowanie religijne młodych pokoleń”, — wszystkie te hasła szczerze katolickie, rzucone z kongresowej trybuny przez sternika polskiej oświaty — wywołały entuzjastyczny aplauz. Pokazało się raz jeszcze, jak najszersze warstwy prawdziwie polskiego społeczeństwa reagują żywo na wszelką manifestację wiary, występującą u decydujących w naszym kraju czynników.

...Pokoleniu naszemu — mówił p. Minister — danym było poznać, do jakich wyników się dochodzi, gdy zamiast wychowania religijnego, opartego na zasadach etyki chrześcijańskiej, wszczepia się pojęcia materialistyczne...

Otóż zdanie to nawiązuje ideowo do częstochowskich ślubów polskiego nauczycielstwa i pozwala oczekiwać, iż p. min. Świątosławski wyciągnie w całej pełni ze swego oświadczenia praktyczne kosekwencje w swej dalszej polityce szkolnej. Nie wątpimy ani na chwilę, że nie areligijne czy nawet antyreligijne zasady kierowniczych władz ZNP., ale hasła rzucone przez p. Ministra osiągną pełną realizację w polskim szkolnictwie. Moralny opiekun nauczycielskiej pielgrzymki do Częstochowy musi skutecznie poprzeć postulaty tego właśnie katolickiego nauczycielstwa na terenie polskiej szkoły. A już prawdziwą burzę oklasków wywołały następujące słowa p. min. Świątosławskiego.

Rząd Rzeczypospolitej zdaje sobie sprawę z doniosłości zagadnień, którymi będzie się zajmować Kongres, upatruje wspólność celów w dążeniu do usunięcia z umysłów ludzkich tego wszystkiego, co nie godzi się z Nauką Chrystusa i jest przekonany, że praca Międzynarodowego Kongresu Chrystusa Króla przyniesie wszystkim ludziom dobrej woli a przez to i Państwom istotny pożytek...

To zsolidaryzowanie się polskiego rządu i polskiego społeczeństwa z delegacjami katolickich narodów, w ramach kongresu, odbywającego się w kresowej strażnicy, Poznaniu — urasta na miarę symbolu. Jest bowiem rzeczą oczywistą, iż Polska, leżąc między Niemcami nawracającymi do najsmutniejszych tradycji kulturkampfu a Sowietami proklamującymi oficjalny ateizm, jest dziś jedynym mocarstwem w Euro-

pie, które może się stać w całej pełni podporą katolicyzmu. I tak bezwątpienia ocenia dziś sytuację Watykan.

Dlatego to tak bolesnym echem odbił się w całym kraju wawelski incydent, który siły wrogie katolicyzmowi usiłowały od pierwszej chwili wyzyskać do niecnej nagonki przeciw katolicyzmowi.

Nie mamy zamiaru wnikać w szczegóły tego ze wszechmiar bolesnego zafargu. Jedno jest nam jasne, iż najfatalniejszym zbiegiem okoliczności incydent, który powinien był znaleźć szybkie pokojowe załatwienie, stał się odskocznią do zjadłej nagonki nie tylko na osobę krakowskiego Arcypasterza, ale na cały kler, a nawet na Kościół. Wiemy zaś doskonale, komu na tej nagonce zależy i kto ją organizuje. Metoda tej kampanii, która stanowiła tak bolesny ugrzyt w przebiegu międzynarodowego kongresu w Poznaniu, przypomina w niejednym szczególnie metody, o których wspomnieliśmy w pierwszej części tego sprawozdania.

Byliśmy najpierw świadkami potwornej w swej treści i formie nagonki na osobę czcigodnego Jubilata i wielkiego obywatela, któremu nie oszczędzono żadnej obelgi. Fakt ten piętnujemy z jak największym oburzeniem, tym bardziej, że tę przewrotną metodę walki zastosowano rzekomo w obronie czci śp. Marszałka. Użyto bowiem tej właśnie metody, którą Piłsudski całą duszą gardził i której niejednokrotnie sam padał ofiarą.

Człowieka, złożonego ciężką chorobą, na którego piersi zawisło niedawno najwyższe odznaczenie odrodzonej Polski, którego zasługi uczcił niedawno cały kraj we wspaniałej manifestacji — usiłowano moralnie zniszczyć, zohydzić, zbezcześcić, kneblując równocześnie wszelkie odruchy uczciwej, rozsądnej obrony. Do załatwiania konfliktu zmobilizowano ulicę, zapominając, jak groźny to precedens i jak niebezpiecznym jest licytować uczucia i odruchy tłumu.

Te próby moralnego linczu okryją hańbą ich organizatorów, bo są niedopuszczalne w praworządnym państwie. Nawet zbrodniarze mają prawo do obrony sądu. Rząd polski, majestat Rzeczypospolitej, cześć śp. Marszałka nie potrzebują takich sprzymierzeńców!

Kto nie zapomniał o serdecznej a długiej rozmowie śp. Marszałka z Ks. Metropolitą w czasie ostatniej rewii kawalerii w Krakowie, kto pamięta, iż Ks. Metropolita, interpretując jak najszerzej Kanon 1205 § 2, przyjął w podziemia Wawelu zwłoki śp. Marszałka, przyznając mu tym samym przywileje królewskiej krwi, ten nigdy nie uwierzy, by Arcypasterz krakowski miał mieć jakieś zamiary nie uszanowania

spoczynku tych zwłok, nad którymi, jako gospodarz wawelskiej katedry, nie od dzisiaj swą pieczę sprawował.

Na inne zatem tory należało od pierwszej chwili skierować przebieg smutnego konfliktu. Tylko że załatwienie pokojowe incydentu nie leżało bynajmniej w interesach naszego rodzimego antyklerykalizmu. Antyklerykalizm ten scementował z piorunującą szybkością dwa przeciwne sobie dotychczas obozy: sanacyjną lewicę i opozycję lewicową. *Robotnik*, organ polskiego marksizmu, *Dziennik Poranny*, organ radykalizmu polskiego, *Państwo Pracy*, czołówka antyklerykalizmu... znalazły się natychmiast obok siebie na tej samej linii frontu.¹⁾ Znaleźli się wnet głośni patronowie, jak prezes PAL'u oraz kilku senatorów, posłów i działaczy, nie mających nic wspólnego z katolicyzmem, którzy podstawy konfliktu usiłowali za wszelką cenę rozszerzyć, osłaniając się troską o kult dla zmarłego Marszałka.

Czyż jednak ci mecenasi samozwańcy zdali sobie sprawę z tego, iż montując antyklerykalny front, odcinają się tym samym radykalnie od ideologii Marszałka? Wszak „od początku istnienia Państwa polskiego Piłsudski szedł stale po linii utrzymywania dobrych stosunków z Kościołem. Tradycja, jaką pozostawił w tym względzie Marszałek nie może podlegać żadnej dyskusji.” Ale w obozie rządzącym nie brakowało nigdy elementów wrogich religii i z tą religią skłóconych. Podniosły więc teraz głowę, lansując skrajnie antyklerykalne hasła. Z drugiej zaś strony żywiły lewicowe, bezbożnicze i masońskie, nie troszcząc się o żadne wskazania Marszałka, zrobiły duży wysiłek, by incydent wawelski wyzyskać dla rozpętania w Polsce kulturkampfu. W tym właśnie celu wysunięto hasła laicyzacji podziemi katedry, zerwania konkordatu i otwartej walki z Kościołem.

Dziś już jasną jest linia podziału, nieocenioną też jest lekcja, jaką nasz polski antyklerykalizm zademonstrował, zdejmując zbyt szybko maskę z bezbożniczego oblicza. Nie o cześć Marszałka mu chodzi, nie o autorytet państwa, ale o pełną nienawiści walkę z katolicyzmem. Wszak wybitny publicysta *Kurjera Warszawskiego* przygwoździł głównego wodza tej antykatolickiej krucjaty, b. posła Czapińskiego, podkreślając słusznie, że p. Czapiński gotów jest poprzeć nawet totalistyczną, hitlerowską ewolucję rządu, byleby ta omnipotencja państwa skierowała swe ostrze przeciw Kościołowi. Tak więc czołowy socjalista Czapiński, występujący stale w roli obrońcy wolności i demokracji, został zdemaskowany jako totalista w stosunku do religii oraz Kościoła.

¹⁾ Cfr. *Tygodnik Ilustrowany*, 4 lipca b. r. str. 528.

Przyczyną tej niepoczytalnej furii prasy socjalistyczno-bezbożniczej jest po prostu paniczny strach lewicy przed rosnącym odrodzeniem katolicyzmu w Polsce. Często-chowskie pielgrzymki, Katolicki dzień diecezjalny w Krakowie, międzynarodowy Kongres w Poznaniu... wszystkie te manifestacje wykazały dowodnie, że Kościół katolicki jest dzisiaj jedyną siłą moralną, która może przeciwstawić się bolszewickiemu barbarzyństwu i skutecznie je rozbroić. Nic dziwnego, iż cała ta służalcza sfera Moskwy ruszyła dziś do ataku, by pod osłoną szlachetnych pozorów przeprowadzić swe najpodlejsze zamiary.

To też wyrażamy pewność, iż posłowie i senatorowie, którzy zgłosili wniosek o nadzwyczajną sesję sejmową, nie zechcą stać się narzędziem antyklerykalnej oraz bezbożniczej klik. Katolicy dotychczas milczeli, ale na taki obrót sprawy odpowiedzą niewątpliwie zorganizowanym czynem. Nie wolno pamięci i czci Marszałka, wbrew jego wskazaniom, używać do niecnej antykatolickiej, tym samym i antypolskiej roboty.

Słowa p. min. Świątosławskiego, wygłoszone w czasie inauguracji poznańskiego kongresu, iż „Rząd Rzeczypospolitej... upatruje wspólność celów w dążeniu do usunięcia z umysłów ludzkich tego wszystkiego, co nie godzi się z nauką Chrystusa...” — są dla nas suwerennym zapewnieniem, iż scementowany wawelskim konfliktem antyreligijny front rychło się załamie. Przy tym oświadczeniu polskiego Rządu stajemy, dokoła tego hasła mobilizujemy polską, katolicką opinię. Wara polskim bezbożnikom od Wawelu, wara od trumny Marszałka!

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

3. VII. 1937.

Sprawy Państwa.

Wielka i mała ententa a oś berlińsko-rzymska. — Widmo bloku przeciwsowieckiego. — Rzeź biurokracji w Moskwie. — Dekompozycja wewnętrzna a konsolidacja Europy.

Referat położenia międzynarodowego zakończyliśmy ub. miesiąca w chwili gdy oś Berlin — Rzym rozpoczęła trzecią fazę swego istnienia i działalności pogrózką sojuszu wojskowego obu mocarstw centralnych. Sojusz ten miałby ułatwić podział obszaru naddunajskiego na sfery wpływu niemiecką i włoską, gdyż mógłby osłabić poważnie skuteczność przymierza z Francją dla państw tegoż obszaru i Polski.

Rachuba ta była trafną o tyle, o ile pozostawiała poza nawiasem Wielką Brytanię, o ile więc opierała się na przypuszczeniu, iż Wielka Brytania zachowa neutralność wobec kontynentalnej gry politycznej i ewentualnej rozgrywki orężnej. Ale przypuszczenie takie musiało się okazać bezpodstawnym wobec tego, że polityka włoska, opierając się na podziałowym porozumieniu naddunajskim z Niemcami, zmierzała najwidoczniej do opanowania Hiszpanii i Bałkanu, jako podstaw dalszej akcji śródziemnomorskiej przeciwko brytyjskiemu imperium.

Anglia przeto nie pozostała wobec tych poczynań osi berlińsko-rzymskiej bierną. Mogła zaś wystąpić przeciwko nim skutecznie, bo w zasadniczej rachubie sił na zachodzie potęga jej waży ciężko, prawie rozstrzygająco. Sojusz niemiecko-włoski byłby zapewne zdolny unieruchomić Francję na niekorzyść jej sprzymierzeńców środkowo-wschodnich, ale byłoby mu trudno ryzykować wojnę z ententą anglo-francuską, bo to grozi blokadą morską, która pognębiła Niemcy w latach 1914—18. Opierając się na tej możliwości na razie potencjalnej, Anglia podjęła na pozór skromne lecz dotkliwe posunięcia dyplomatyczne przeciwko pogrożce niemiecko-włoskiego sojuszu, oraz jego naddunajskim i bałkańskim dążeniom. Podczas „rozmów koronacyjnych” brytyjski min. spr. zagr. Eden wyjednał od swego tureckiego kolegi, zapewnienie, że jego rząd w razie potrzeby otworzy swoje porty anatolijskie jako podstawę operacyjną dla floty angielskiej. Potrzeba taka mogłaby zająć w tym wypadku, gdyby porty greckie zostały uzależnione od Italii, mocą jej przewagi na Bałkanie, opartej na współdziałaniu z Niemcami. Przewaga Włoch nad pozycją strategiczną helleńską zagrażałaby nie tylko Anglii lecz i Turcji, stąd więc powód solidarności i bardzo zřejna zasłona wobec zamierzonego zaszachowania ze strony Rzymu.

Drugie posunięcie angielskie dawało do zrozumienia, że Anglia uczyni wszystko co możliwe, by utrudnić mocarstwu centralnym dostawę surowców wojennych. Były one już i tak trudno dla nich dostępne z powodu drożyzny, tym bardziej więc musiałyby się jeszcze obniżyć szanse Niemiec i Włoch w wyścigu zbrojeń z mocarstwami zachodnimi. Te szanse są przy tym zasadniczo dla Niemiec i Włoch raczej niekorzystne, wobec mniejszej zasobności finansowej tych państw w porównaniu z Anglią i Francją.

Trzecie posunięcie Wielkiej Brytanii przeciwko osi Berlin—Rzym pokrzyżowało bezpośrednio jej plany naddunajskie. Anglia przyrzekła czeskosłowackiemu premierowi Hodży i austriackiemu min. Szmitowi, że udzieli poparcia ekonomicznego i politycznego idei „federacji gospodarczej naddunajskiej”. Nie nowa ta idea zmierza do rozwinięcia czesko-rumuńsko-jugosłowiańskiej „małej ententy” obejmującej w porozumieniu także Austrię, Węgry i Bułgarię, przede wszystkim na polu gospodarczym, ale w dalszej perspektywie także politycznym. Idea ta nie mogła być urzeczy-

wistniona dotąd głównie z powodu politycznego oporu Węgier i Bułgarii, popieranego przez Niemcy i Włochy. Obecnie jednak Węgry przystały do austriackiej polityki opozycyjnej wobec osi Berlin—Rzym. Otrzymałszy zatem obietnicę poparcia w Londynie i Paryżu, mógł premier Hodža zaproponować Węgom nie tylko zbliżenie ekonomiczne, ale i polityczne ofiarowując uznanie węgierskiej swobody zbrojeń, oraz autonomię dla mniejszości węgierskiej na Słowaczczyźnie.

W Berlinie i Rzymie powstał z tego powodu alarm, ponieważ „federacja naddunajska” zjednoczyłaby środkowy wschód europejski i przekreśliła raz na zawsze italo-niemieckie projekty rozbiorowe w stosunku do niego. Na gwałt przeto podążyła do Budapesztu z rewizytą włoska para królewska, oraz min. hr. Ciano. Nieco później wyruszył niemiecki min. Neurath w objazd Białogrodu, Sofii i Budapesztu. W Budapeszcie także bawił ostatnio szef Reichswehry, gen. Blomberg. Węgom i Bułgarii przyrzeczono, jak się zdaje, nie tylko uznanie, lecz i poparcie materialne dozbrojenia. O tyle więc przelicytowano Małą Ententę. Zdołano wywołać rezerwę w postawie węgierskiej wobec projektu federacji naddunajskiej, ale na ogół w chwili gdy piszę walka o Dunaj wre w całej pełni i przewaga osi Berlin—Rzym pozostaje nadal pod znakiem zapytania.

To też na skutek posunięć angielskich, polityka włosko-niemiecka odroczyła projekt sojuszu, względnie cofnęła na drugi plan jego pogroźkę, wznowiła zaś zabiegi o porozumienie z ententą anglo-francuską. Gen. Blomberg nie pojechał naprzód do Rzymu celem omówienia warunków przymierza, lecz do Londynu, by zapewnić min. Edena, że Niemcy nie zamierzają popierać włoskich dążeń przeciwbrytyjskich. Pokazano mu w Londynie arsenał najnowszych tanków i samochodów lecz przyjęto go z chłodną rezerwą. Do Paryża na otwarcie wystawy podążył min. Schacht, ale i temu się na razie nie powiodło, nawet w zakresie nowego traktatu handlowego niemiecko-francuskiego, który natrafił na trudności. Mussolini ze swej strony ogłosił dwa wywiady z dziennikarzami amerykańskimi, którym oświadczył, że wyścig zbrojeń nie ma sensu, że nadal Italia gotowa jest gwarantować nowy „pakt reński”, że równowagę polityczną w Europie należy przebudować i pokój zapewnić nie przez „zbiorowe bezpieczeństwo” (włączające Rosję sowiecką) lecz przez nowy zachodni „pakt czterech”, rozszerzony w „pakt pięciu”, włącznie z Polską. Odwdzięczyliśmy się za to oświadczeniem w Lidze Narodów, że Abisynia nie powinna być nadal zaliczana do Ligi.

Zabiegi te jak powiedziano, przyjęte zostały na zachodzie z rezerwą, ponieważ mocarstwa centralne wcale się nie zrzekały zamiaru podzielenia dorzecza Dunaju, owszem zamierzały wytaragować zgodę mocarstw zachodnich na ten podział. Ale był to wzgląd, który tym silniej musiał zaniepokoić Moskwę, by ugoda nie doszła

do skutku i by oszczędzając państwa naddunajskie, Niemcy nie zwróciły się ponownie przeciwko Rosji. W dodatku pewnego rodzaju „pakt czterech” już wszedł w życie w sprawie blokady dostaw wojennych i posiłków wojskowych do Hiszpanii, krępując mocno Moskwę w nacisku na Europę z tamtej strony. Nie chcąc od razu kapitulować wobec tego „hiszpańskiego czwórporozumienia” osi berlińsko-rzymskiej z ententą anglo-francuską Moskwa podjęła w Hiszpanii rozpaczliwy wysiłek ofensywny, tymi środkami jakimi dotąd jeszcze na miejscu rozporządzała. Dwa samoloty sowieckie w służbie Walencji zaskoczyły i zbombardowały krążownik niemiecki „Deutschland” uczestniczący w blokadzie, inne zaś samoloty czerwone napadły na krążownik włoski. Prawie równocześnie padł ofiarą skrytobójczego zamachu gen. Molla, dowódca powstańczej ofensywy przeciwko Baskom; Baskowie otrzymali jakieś posiłki i gwałtownie kontratakowali powstańców, chwilowo zmieszanych utratą naczelnego dowództwa. Kontratak ten dał nawet Baskom dość znaczny zysk na terenie.

Akcja moskiewsko-hiszpańska wywołała rozległe reperkusje polityczne i wojskowe. Doraźnie rozwinęła się na jej tle wyrafinowana gra taktyczna. Oś Berlin-Rzym zbombardowała w odwet Almerię, ale zarazem „obrazila się”, wystąpiła z londyńskiego komitetu nieinterwencji i wycofała swoje floty z blokady wybrzeży hiszpańskich. Mocarstwa centralne demonstrowały w ten sposób, jakoby były skłonne pozostawić Moskwie wolną rękę w Hiszpanii, mocarstwom zaś zachodnim — kłopot o to co Moskwa z Hiszpanii przeciwko nim uczynić może. Oznaczało to nacisk ze strony Niemiec i Włoch przeciwko Anglii i Francji, które nie okazywały dostatecznej uступliwości w sprawach, dotyczących paktu czterech, oraz wolnej ręki na wschodzie dla Rzymu i Berlina. Moskwa odparła ten nacisk ofiarowując londyńskiemu komitetowi swój udział w blokadzie na miejsce Niemiec i Włoch. Przeciwno temu Niemcy i Włochy zaprotestowały. Wszczęto więc nowe układy w gronie dotychczasowych uczestników blokadowego hiszpańskiego czwórporozumienia. W ich wyniku blokada została utrzymana. Co więcej, podejmując w Hiszpanii rękawicę sowiecką, tamtejsze siły pomocnicze, zwłaszcza niemieckie, wyszły z zachowywanej przez dłuższy czas bierności i poparły powstańców tak skutecznie, że główne centrum baskijskiego oporu, Bilbao, zostało zdobyte. Był to poważny sukces wojskowy powstańczy, wślad za którym, (przy blokadzie dotkliwszej dla czerwonych niżli dla białych) pójdą niezawodnie inne. W ten sposób zaś zarazem oś berlińsko-rzymska popierając sprawę powstańczą, zrekonstruowała w Hiszpanii pomyslną perspektywę dla swego stamtąd nacisku na ententę anglo-francuską.

Równocześnie zaś zademonstrowano wobec Zachodu nacisk od strony środkowo-europejskiej doprowadzając nareszcie do skutku tak długo odraczaną podróż gen. Blomberga do Rzymu.

Szef Reichswery miał tam omówić z Mussolinim warunki sojuszu wojskowego, który następnie mógłby zostać podpisanym, jeżeli ententa anglo-francuska nie przyjęła równoległych rzymsko-berlińskich propozycji w sprawie paktu reńskiego, paktu czterech, oraz wolnej ręki dla Niemiec i Włoch na Wschodzie środkowym, lub dalszym. Czy na środkowym lub dalszym — to właśnie stanowi naczelną kwestię dnia, a zależy w wielkiej mierze od postawy tych „obu wschodów”: polsko-dunajsko-bałkańskiego, oraz moskiewskiego. Jakże one zareagowały na niemiecko-włoskie plany?

Obszar naddunajski, którego ośrodkiem są Węgry, znajduje się, jak zaznaczono, w stanie ostrej walki pomiędzy ententą anglo-francuską, popierającą federalizm Hodży, oraz osią berlińsko-rzymską podlegającą przeciwko niemu opór Węgier a może i Bułgarii. Celem tej gry ze strony osi Berlin—Rzym jest rozbiór tego obszaru pomiędzy Niemcy i Włochy. Niewiadomo jednak jeszcze która z tych sił przeważa. Obu wszakże „ententom”, wielkiej i małej, anglo-francuskiej i naddunajskiej, spieszy z pomocą nowe zbliżenie polsko-rumuńskie. Król Karol II rewizytując naszego prezydenta przybył nie tylko do Warszawy, lecz i do Biedruska by przyjąć tam dowództwo honorowe jednego z pułków wielkopolskich. Demonstrowało to dość wyraziście, iż front polskorumuński zwraca się obecnie przeciw Niemcom; z natury zaś położenia wynika, że zwracać się musi głównie przeciwko ich dążeniom naddunajskim. W związku z tym niemniejszą posiada wymowę zjazd Małej Ententy zwołany do Bukaresztu, niemal nazajutrz po odwiedzinach Prezydenta Rzplitej Polskiej, a w przeddzień wyjazdu króla Karola do Polski. Mimochodem warto również wspomnieć o podróżach prezesa Banku polskiego p. Byrki do Bukaresztu i Białogrodu, oraz projektowanym zasileniu naszego korpusu dyplomatycznego na placówce przy Kwirynale rzymskim, oraz w Budapeszcie przez dwie wybitne głowy obozu rządzącego w Polsce, pp. Miedzińskiego i Matuszewskiego. Świadczy to, iż p. min. Beck zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji i pragnie zmobilizować najzdolniejsze siły dla współpracy przy jej rozwiązaniu.

Na skutek rumuńsko-polskiej interwencji przeciwko planom rozbiorowym Niemiec, zaostrzyła się sytuacja nad Dunajem i zwróciła bezpośrednio także przeciwko nam. Wobec manifestacji odwiedzin króla rumuńskiego w Wielkopolsce Niemcy zorganizowali drastyczną kontrdemonstrację. Przez Gdańsk do Królewca wyruszyła „stara gwardia” hitlerowska (której przewodniczącym jest sam kanclerz) na manewry wojskowe w Prusach Wschodnich. Zapowiadano przy tym w Gdańsku jakieś „fakty dokonane”: jeśli nie przyłączenie do Rzeszy, to hitlerowską totalizację ustrojową wolnego miasta.

Tak daleko Niemcy zapewne się nie posuną, gdyż pachniałoby to natychmiastową wojną Niemiec a może i Włoch, z Polską

i małą ententą naddunajską; przy braku wolnej ręki na wschodzie dla Berlina i Rzymu ze strony wielkiej ententy francusko-angielskiej. Innymi słowy zbyt gwałtowny nacisk niemiecki na Polskę mógłby rozpętać pożar powszechny z udziałem Anglii po stronie przeciwniemieckiej i przeciw włoskiej. Takiego ryzyka oś Berlin—Rzym nie ma chęci podejmować, dlatego też tak usilnie forsuje układy z zachodem o pakt czterech czy pięciu. Wnosząc jednak z dotychczasowej postawy mocarstw zachodnich, zarówno jak Polski i małej ententy, trudno będzie Berlinowi i Rzymowi rozdzielić od siebie teraz zachód i środkowy wschód europejski. Natura położenia zdaje się narzucać Niemcom i Włochom konieczność uzgodnienia swych dążeń z sąsiadami zarówno wschodnimi jak i zachodnimi.

Konieczność ta byłaby już bezpośrednio nie tylko najistotniejszą, lecz i najbardziej nagłą cechą sytuacji, gdyby nie to, że doraźnie największy na nią wpływ wywarła osobliwa postawa Moskwy. Osobliwą się ona okazała nie w polityce zagranicznej. Tutaj Moskwa nie przeszkadza w akcji polsko-niemieckiej, gdyż ona ją osłania przed Niemcami dopóty dopóki oś Berlin—Rzym nie osiągnie porozumienia zarówno z mocarstwami zachodnimi jak z środkowo-wschodnimi. Moskwa zdaje się żywić coraz większą obawę, by nie nastąpił taki właśnie zwrot, tym bardziej że atut hiszpański coraz bardziej wysuwa się Moskwie z rąk. Co najdziwniejsze, to że nie jest wyłączone, iż Moskwa może utracić nawet najwierniejszy dotąd, niezachwiany od czasu wielkiej wojny atut turecki; a to ze względu na zapoczątkowany kontakt Turcji z Anglią oraz antywłoski kierunek tureckiej racji stanu na Bałkanie. Być może jednak, że zamieszki, jakie według doniesień włoskich z Turcji miały wybuchnąć w Syrii francuskiej, na pograniczu tureckim, są jeszcze rosyjskiego pochodzenia i mają oddziaływać dwustronnie, zachęcająco na Turcję, a represyjnie na Francję.

Tak więc Moskwa znalazła się od zewnątrz pod strachem europejskiego bloku przeciwsowieckiego. Od wewnątrz zaś znajduje się pod strachem niedostatecznego obsiewu pól przez włóściaństwo, co może od przyszłego roku spowodować ogłodzenie miast, aparatu przemysłowego, administracyjnego oraz wojskowego. W tych warunkach Stalin zamierzył prawdopodobnie uprzedzić rozrost opozycji w państwie „pociągając do odpowiedzialności” za jego krytyczny stan rządzącą biurokrację cywilną i wojskową. Obławami krwawego terroru pośród dostojników pragnie wskazać koszty ofiarne, odwrócić przewidywany „ludu gniew” od samego siebie, a zarazem wytępić możliwych współzawodników i podejrzane o wątpliwą lojalność żywioły urzędnicze i oficerskie. Pragnie też dyktator sowiecki obsadzić kadry biurokracji oraz jej szczyty nowymi siłami, które by jemu wyłącznie zawdzięczały swą karierę,

na których przeto uległość mógłby liczyć nawet w przewidywanym okresie ciężkich prób. Być może wreszcie, że pragnie Stalin także pójść naprzeciw ludowemu i żołnierskiemu antysemityzmowi i nacjonalizmowi, okiełznać więc i podporządkować komunizm narodowy i państwowy rosyjskiej racji stanu. Zdaje się wreszcie, że Stalin chce się także pozbyć germanofilów z armii.

Wszystko to być może, ale zagrożonej rozkładem Rosji prawdopodobnie nie pomoże. Przeciwnie, rozstraja i osłabia do-raznie aparat państwowy. Ponadto barbarzyństwo takiej metody „konsolidacji” rosyjskiego totalizmu przypominające zarazem robespierowskie gilotynowanie „podejrzanych” i walkę opriczniny z bojarami za Iwana Groźnego, — wywołało żywą antypatię w całym świecie, szczególnie w mocarstwach zachodnich. Oś rzymsko-berlińska podwoiła wobec tego swoje zabiegi, by zachód wyrzekł się „paktów wzajemnej pomocy” z poczynającymi jawnie się rozkładać Sowietami, a zastąpił je nowym układem reńskim i paktem czterech czy pięciu, największych poza Rosją, państw europejskich. Zorganizowano więc nowe podróże niemieckie na wschód i zachód, jak gen. Blomberga do Węgier w sprawie ich uzbrojenia, szefa sztabu *Reichswehry* gen. Becka do Paryża w sprawie paktu reńskiego, oraz min. gospodarki narodowej Schachta również ponownie do Paryża.

Szczególnie silnie wysuwa się przy tym naprzód gospodarcza strona układów. Ponieważ jej uruchomić niepodobna bez przygotowania politycznego, więc Europa usiłuje się skonsolidować politycznie nie tylko dla samej polityki ale jeszcze bardziej dlatego, ażeby móc następnie z większymi widokami powodzenia zaprosić do współpracy gospodarczej Amerykę. Nie w innym celu wyjechał belgijski premier, van Zeeland do Waszyngtonu jako mandatariusz Anglii i Francji. Jest jednak rzeczą oczywistą, iż wydatność i powodzenie tej współpracy zależeć będzie w wysokim stopniu od wyjaśnienia się stosunków politycznych między wielką ententą zachodnią, osią rzymsko-berlińską oraz środkowym wschodem Europy.

Gdyby istotnie taka konsolidacja nastąpiła to stworzyłaby odpowiednie warunki dla podjęcia wspólnie z Ameryką nowej wielkiej międzynarodowej kontrofensywy przeciwko kryzysowi gospodarczemu za pomocą środków i metod dotąd wypróbowanych, a więc w granicach liberalizmu gospodarczego. Prawdopodobnie za hasło takiej akcji ogłoszonoaby wręcz „sanację” światowej i narodowej gospodarki liberalnej, czyli obronę dotychczasowego jej ustroju. Niejednokrotnie dowodziliśmy na tym miejscu, że taki cel byłby zasadniczo w szerszej perspektywie nie do osiągnięcia. Realnie natomiast mogłaby międzynarodowa akcja gospodarczo-sanacyjna podtrzymać gospodarkę Europy kontynentalnej na najbliższe lata, tym samym dając jej czas na głębszą przebudowę.

Zdaje się to być koniecznym, bo rozkład społeczno-gospodarczy, a w ślad za tym i państwowo-polityczny zagraża obecnie może najbardziej Rosji, ale zagraża bardzo poważnie także Niemcom i Francji.

Francja usiłuje się konsolidować w kierunku prawicowo-liberalnym. Jest to reakcja przeciwko wynikom polityki ekonomicznej rządu „frontu ludowego”, która wprowadziła zarówno gospodarkę narodową jak finanse państwa w stan niezmiernie krytyczny. Kraj dzieli się coraz wyraźniej na dwa obozy: pracy najemnej oraz drobnych posiadaczy. Z ramienia świata robotniczego marksiści narzucili krajowi dotychczasową politykę ekonomiczną gabinetu Bluma i domagają się jej dalszej, konsekwentnej radykalizacji, skoro dotychczasowe zarządzenia zawiodły. Z ramienia zaś rzeszy drobnych ciułaczy radykałowie francuscy przeciwstawiają się dalszym eksperymentom i walczą jak lwy w obrobie nawrotu do liberalizmu i kapitalizmu. Równocześnie zaś obecny rząd, zrażony trudnościami rozszerzenia obozów międzynarodowych, w szczególności oporem Niemiec przeciwko importowi z Francji galanterii, win, perfum itp., a zarazem przyciśnięty deficytem skarbowym, skłania się ku polityce autarkiczno-reglamentacyjnej i przykręceniu śruby fiskalnej. Całość tego położenia jest niesłychanie skłócona i mętna, najprostszym zaś doraźnym wyjściem, byłoby to o czym marzą radykałowie francuscy: jakaś akcja międzynarodowo-kredytowa, któraaby jeszcze podtrzymała konającą gospodarkę liberalną nie tylko Francji, lecz także Niemiec, „federacji naddunajskiej” i innych państw kontynentalnych.

W Polsce wewnętrzna sytuacja gospodarcza jest naprężona może mniej jaskrawo, ale niemniej poważnie. W wielki plan budowy kapitalizmu polskiego od podstaw uderzają raz wraz „nieuniknione niespodzianki”, organicznie wyrastające z braku podstawowych warunków do tej budowy. Pierwsze takie uderzenie przyniosła ze sobą fala drożyzny. Zahamowano ją półroczną zniżką cel przywozowych od wielu gatunków towarów. Wszystko zatem przemawia, że na jesieni utrwali się stąd i pogłębi bierny bilans handlowy. Na razie jednak jest to *cura posterior*. Wielki kłopot doraźny wynurzył się z kolei od strony klęsk żywiołowych groźnych dla przyszłorocznego urodzaju i rokujących drożyznę artykułów spożywczych. Tu znów działa *vis maior*. Niepokojący objaw stanowi dalej spadek zamówień w ciężkim przemyśle, spadek importu surowców i ogólnego obrotu z zagranicą. Najgłośniejszym jednak echem odbiła się w kraju¹ kolizja między sprawą robót inwestycyjnych miejskich a państwowych, czyli walką z bezrobociem prowadzoną przez samorządy oraz przez państwo. „Wybuchło” to zagadnienie na zjeździe związku miast i znalazło swój epilog w parlamentarnej komisji skarbowej, gdzie wicepremier Kwiatkowski musiał przeciwstawić się projektom zwyczajki podatków

samorządowych. W zająsci tym jaskrawo ujawnił się fakt, że kraj nie posiada dostatecznych środków do opanowania bezrobocia w wystarczającym zakresie, że więc jeśli to ma się dokonywać w drodze rozszerzonego planu inwestycji państwowych, to odpowiednio muszą być uszczuplone budżety inwestycyjne samorządów.

Konsolidacja polityczna pozostaje nadal w zawieszeniu pomiędzy dwu biegunami państwowym i społecznym, autorytatywnym i liberalnym. „Ozon“ usiłując monoideizować dotąd wielopartyjną opinię na rzecz państwa autorytatywnego ale gospodarki zarazem liberalnej. Jest to *contradictio in adiecto*, równie pozbawiona historycznego precedensu, jak planowe budownictwo polskiej gospodarki kapitalistycznej, wbrew niebywałej w historii kapitalizmu dysproporcji między rozrostem ludności a zasobami zaoszczędzonego kapitału.

Opinia nie ujawniła dotąd zbyt entuzjastycznego porywu dla tej ideologii, obstaje raczej przy swoich starych ideologiach partyjnych. W stosunku do „rzeczywistej rzeczywistości“ życiowej są one może mniej rażąco chybione, ale zato jeszcze doskonale przestarzałe i bezprzedmiotowe. Zagadnienie programu, zagadnienie co należy czynić, jak i dokąd kraj prowadzić, by go wyprowadzić z tragicznego impasu, nie znajduje się w ogóle na pierwszym planie zainteresowań publicznych i nie ono wytwarza najbardziej drażniącą „linię podziału“. Liniją taką wytwarza nadal przede wszystkim zagadnienie władzy. Nie oto chodzi, jak się ma kraj urządzić i jak nim rządzić, lecz oto kto rządzić będzie.

Koncentruje się ta postawa najwyraziściej w sprawie zmiany ordynacji wyborczej do sejmu i samorządów. Gdyby ją przeprowadzono, nie monoideizując uprzednio społeczeństwa na rzecz jakiegoś naprawdę nowego i dynamicznego programu, to reforma taka przesunęłaby władzę państwową z rąk rządzącej dotąd mniejszości do rąk rządzonej większości, czyli zasadę ustrojową monoideistyczną i autorytatywną zastąpiłaby powrotem do zasady wielopartyjnej i liberalnej. W obliczu tytanicznych zadań i niebezpieczeństw chwili, wielopartyjność dopuszczona do suwerennej władzy w Polsce reagowałaby najprawdopodobniej trybem prawicowo-lewicowym, na sposób hiszpański. Czy hiszpański system rozkładu dałby Polsce jakieś szanse w „dekompozycyjnym“ wyścigu z zagrożonymi również przez rozkład (choć jednostronnie terrorystyczny) sąsiednimi totalizmami? Chyba nie. W każdym razie impas ustrojowy w Polsce, gospodarczy i polityczny, pozostaje dotąd co najmniej równie szczelnie zamknięty, jak wszędzie.

Andrzej Prawdźic.

Sto lat walki o odrodzenie religijnej sztuki we Francji.

W ostatnich latach zauważyć można we Francji rozkwit wspaniałej sztuki religijnej i kościelnej, rosnący z każdym prawie miesiącem, rozszerzający się coraz dalej, ufny i radosny. Lecz trzeba było dużego przygotowania i wysiłków, zwycięstwo nie przyszło od razu. Zwycięstwo dobrego smaku nie tylko nad miernością sztuki, nad produkcją ubliżającą majestatowi Kościoła, było przygotowane od dawna odważnie, uparcie, pracą artystów nie podtrzymywanych wtedy jeszcze stałym nawoływaniem pisarzy katolickich. Artysci ci grupowali się w Towarzystwie św. Jana. Przed stu laty z inicjatywy ojca Lacordaire'a, powstało to bractwo, mając na celu, obok wspólnych praktyk religijnych, pracę nad podniesieniem poziomu artystycznego dewocjonaliów. Zrazu należeli do niego tylko artyści plastycy i muzycy, z biegiem czasu wstępują także pisarze, literaci i miłośnicy sztuki. Bractwo zamieniło się na Towarzystwo popierania sztuki religijnej i kościelnej.

Trzeba pamiętać, że od chwili powstania wspomnianej organizacji, tj. od roku 1839 aż do wielkiej wojny, panował we Francji pozytywizm idący w parze z zobojętnieniem a nawet nienawiścią religii, niekiedy wybuchały nawet sekciarskie prześladowania, stosowane wobec praktykujących katolików. Otóż przez swoją wytrwałą pracę, Tow. św. Jana stało się źródłem odrodzenia nie tylko sztuki kościelnej, ale i religijnego ducha. Dewizą członków tego stowarzyszenia jest propaganda religii przez sztukę a sztuki przez religię.

Jedną z pierwszych bolączek, do usunięcia której skierowały się wysiłki Bractwa, były dewocjonalia. Przede wszystkim wydano więc w druku drzeworyty ludowe jako obrazki do książeczek do nabożeństwa. Potem przyszły drzeworyty, sztychy, litografie oryginalne lub reprodukcje arcydzieł sztuki dawnych i współczesnych artystów.

Drugą troską były rzeźby, zaśmiecające kościoły swą ohydą formą i cukierkową polichromią. Odstraszają one jeszcze dziś inteligentnych wiernych od praktyk religijnych. Artysta czy nawet każdy człowiek o dobrym smaku, a głęboko religijny, wchodząc do kościoła, musi często zamykać o czy, żeby nie widzieć okropnych podobizn np. św. Antoniego czy innych Świętych a u nas musi nadto niestety uszy zatykać, żeby nie słyszeć tych jęczących, chrapliwych zawodzeń, które nawet z najpiękniejszych pieśni potrafią zrobić szarpiając nerwy kakofonię.

Otóż światli członkowie Tow. św. Jana rozumieli te braki i rozpoczęli z nimi walkę, zachęcając plastyków do tworzenia wyobrażeń Świętych, muzycy opracowali w źródłowych referatach historię muzyki kościelnej i otwierali oczy i uszy ludziom na

brzydotę i chaos obecny podnosząc piękno np. śpiewów gregoriańskich. Powoli powstały zespoły chóralne, uprawiające wyłącznie starą muzykę kościelną. Do dziś największą ucztą duchową w Paryżu są koncerty religijne chórów St. Gervais, gdzie najmłodszym autorem wykonywanym jest Palestrina.

Opracowane są też w traktatach źródłowych przedstawienia dramatyczno-religijne, do których zamiłowanie wzrasta. Dziś już stale odbywają się przedstawienia misterii, bądź w kościołach, bądź pod gołym niebem jak np. przed kościołem Notre Dame w Paryżu, lub przed katedrą w Chartres i Poitiers.

Tow. św. Jana opracowuje też w specjalnych traktatach sztukę ludową chrześcijańską i sztukę zdobnictwa kościelnego. Akcja ta stopniowo odnosi skutek. Duchowieństwo i świeccy zwracają się do Tow. o projekty czy to kościołów czy sprzętu kościelnego czy też chorągwi lub obrazów.

Zaczyna się organizować wystawy sztuki religijnej. W roku 1876 wystawa ikonografii Matki Boskiej skupiła 500 eksponatów od najdawniejszych zabytków aż do renensansu.

W r. 1878 Tow. zostało uznane za instytucję użyteczności publicznej, ustanowiło stypendia oraz otworzyło pierwszą szkołę sztuki religijnej w Lille.

Artyści zaczynają się łączyć w grupy, np. w r. 1884, uczniowie Szkoły Sztuk Pięknych w Paryżu, z inicjatywy o. jezuity Clair'a tworzą grupę: *les Catholiques des Beaux Arts*, istniejącą do dziś dnia. Mają oni swoją bibliotekę artystyczną, wspólne zebrańia liturgiczne, odczyty, wycieczki po kościołach Paryża i prowincji, wspólne rekolekcje, gdzie do Komunii św. przystępuje cały, przepełniony kościół St. Germain des Prés, a z młodocianymi uczniami sąsiadują sędziwe głowy dawnych uczniów Szkoły, są też obecni profesorowie i członkowie Akademii.

Bardzo piękny zwyczaj wprowadził artysta malarz Willette, humorysta, zwany uśmiechem Paryża, żeby w każdą środę popielcową odprawiana była msza św. za tych wszystkich artystów, którzy w następującym roku będą umierać! Dziwne to było natchnienie, gdyż Willette w parę miesięcy potem istotnie umarł, w pogrzebie jego wziął udział, obok świata artystycznego i oficjalnego, cały lud paryski a ową mszę popielcową nazywano od-tąd mszą Willette'a. Spotyka się na niej cały świat artystyczny, od wyżyn Montmartre'u aż do Monparnasse'u i dalekiego Mont-souris. Wszystkie gałęzie sztuki są licznie reprezentowane: malarze, rzeźbiarze, muzycy, aktorzy, poeci itd.

Z biegiem czasu i na skutek wytrwałej działalności Tow. św. Jana, liczba członków wzrosła znacznie, a są nimi wyłącznie artyści i miłośnicy sztuki. Nazwiska wielu z nich zna cały kulturalny świat: Puvis de Chavanes, Maurycy Denis, J. E. arcybiskup Baudrillart, Henryk Bordeaux, Paweł Bourget, ks. Branly, ks. de Broglie, gen. du Castelnau, Paweł Claudel, Jerzy Désval-

lières, gen. Gouraud, Franciszek James, Emil Mâle, Franciszek Mauriac, Edward Schneider, Paweł Jamot...

Pierwsza Międzynarodowa wystawa sztuki religijnej, zorganizowana przez Tow. św. Jana w Luwrze (Pavillon de Marsan) w roku 1911, odniosła wielki sukces i wykazała dorobek o wysokim poziomie artystycznym.

Majruchliwszym propagatorem odrodzenia sztuki religijnej jest uczeń Puvis de Chavannes'a, Maurycy Denis. Sam tworzy dzieła pierwszej klasy, zwłaszcza jego Zwiastowania, stanąć mogą śmiało obok Fra Angelica i prymitywów francuskich. Można go nazwać na dawny sposób: „Mistrzem Zwiastowania”. Zrazu nie uznawany przez duchowieństwo, jako zbyt nowoczesny, zyskał z czasem zrozumienie i poparcie sfer kościelnych. Dekoracje jego poszukiwane są do kościołów, a wprowadza on zarzucony przez tyle lat fresk i pokrywa nim wiele kościołów, kaplic i gmachów publicznych we Francji, Szwajcarii, Ameryce itd. Poza swoją pracą malarską, Maurycy Denis działa na korzyść sztuki religijnej, wygłaszając odczyty, pisząc rozprawy. W roku 1919 założył Szkołę Sztuki Religijnej (*l'Atelier d'Art Sacré*). Jest on niewątpliwie, zwiastunem a równocześnie pionierem dzisiejszego odrodzenia.

Jeszcze przed wojną przyłączył się do niego Jerzy Désvalières, uczeń Moreau. Z czasem artysta ten zarzucił całkowicie tematy świeckie i jak Maurycy Denis tworzył odtąd tylko dzieła treści religijnej. Jego znowu nazwać można: „Mistrzem Chrystusa cierpiącego”. We wszystkich jego obrazach, traktowanych diametralnie różnie pod względem techniki od Denisa, lecz równie doskonale skomponowanych, zwężonych, jest tyle miłości w cierpieniu, że nie sposób bez wzruszenia patrzeć na nie. Między innymi dekorował on w Alzacji przed kilku laty, kościół górników, a że byli to przeważnie Polacy, wymalował obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Désvalières jest najbardziej zbliżony w swej sztuce do artystów francuskich średniowiecza, jest ich kontynuatorem, dalszym jakby ciągiem tych często anonimowych autorów monumentalnych Chrystusów XII i XIII w., którego jeden egzemplarz mogliśmy podziwiać na zeszłorocznej wystawie sztuki gotyckiej w warszawskim IPSie.

Denis i Désvalières, złączeni węzłem przyjaźni rzadko spotykanej, diametralnie różni usposobieniem, techniką malowania i tematami, miłują się nawzajem tą niezwykłą miłością opartą na miłości chrześcijańskiej. Życie ich prywatne to życie Rodziny z Nazaretu. Pracują w ciszy, z dala od zgiełku Paryża. Dzieci ich, to też wybitni artyści: Ryszard Désvalières jest doskonałym kowalem-artystą, córka, Sabina malarka wstąpiła do klarysek w Alwernii (dało to jej ojcu impuls do namalowania wzruszającego obrazu „Ofiara klaryski”), umarła niestety przed rokiem. Córki Denisa są też malarkami, jedna z nich, Bernardetta, wstąpiła do klarysek w Asyżu. Dzieci mieszkają przy rodzicach, dla zameż-

nych dobudowuje się tylko nowe skrzydło domu, który jest dawnym opactwem, położonym wśród ogrodów. Kaplicę domową zdobią freski Maurycyego Denisa i jego uczniów. Obaj przyjaciele są od roku 1931 i 1932 członkami Francuskiej Akademii a w rok potem dopełnił ten rzadki triumwirat „nieśmiertelnych“ Paweł Jamot, obecny prezes Tow. św. Jana.

Wszyscy trzej, jak i większość artystów sztuki religijnej są oblatami dominikanów. Jak już wspomnieliśmy, inicjatorem tego ruchu był O. Lacordaire, wybitny promotor odrodzenia dominikanów we Francji. Ojciec Gillet, obecny generał dominikanów zorganizował artystów sceny w *l'Union des Catholiques du Théâtre* (przeszło 1000 członków), O. Janvier, znany kaznodzieja z Notre Dame, kierował stowarzyszeniem: *Les Catholiques des Beaux Arts*, a konferencje-pogadanki liturgiczne dla artystów prowadzi również dominikanin O. Avril.

Jak już wiadomo, Maurycy Denis otworzył w 1919 r. pracownię sztuki religijnej w lokalu Tow. św. Jana, w tym samym lokalu prowadzi swoją pracownię Jerzy Désvallières. Nauka w obu szkołach udzielana jest na wzór dawnych warsztatów cechowych. Uczniowie przechodzą różne stopnie wykształcenia, aż zostają „towarzyszami-czeladnikami“ (*compagnons*) malarskimi czy też w innej gałęzi sztuki, gdyż kształcą się w każdej technice. Mają wspólne nabożeństwo miesięczne, wspólne pogadanki z dziedziny liturgii w zastosowaniu do przedstawień plastycznych wykonują wspólnie zamówienia na budowę i dekorację kościołów itp. „Towarzysze“ po wyjściu ze szkoły pracują nadal razem, razem urządzają wystawy, tworzą jedną rozrastającą się lecz zjednoczoną rodzinę. Z biegiem czasu powstały nowe ugrupowania, oparte na podobnych podstawach, jak: „Arka“, „Ora et Labora“, „Artisans de l'Autel“, „Pracownia z Nazaretu“, „Tow. św. Benedykta“, „Pracownia Notre Dame“ a tworzą się coraz to nowe, co wszystko stanowi niewątpliwy dowód na zainteresowanie ogółu i zapotrzebowania na artystów, wyszkolonych w sztuce religijnej.

Jednym z bardzo ważnych poczynąń w propagowaniu idei odrodzenia sztuki religijnej we Francji, było w roku 1921 otwarcie sklepu z dewocjonaliami istotnie artystycznymi przez pioniera w tej dziedzinie Ludwika Rouart'a. Ludwik Rouart, ze starej francuskiej rodziny, spokrewniony z rodziną Manet'a i wychowany w otoczeniu Manet'a, Renoir'a, Degas'a, człowiek o wysokiej kulturze artystycznej, wzywał do walki o poziom artystyczny dewocjonałów cały ówczesny świat handlarzy. Było to naówczas wystąpienie nader odważne. Wszystkie podobne sklepy, skupione w dzielnicy St. Sulpice, sprzedawały same okropności, słodko-mdłe figury Świętych, obrazki do książeczek, obrazy lub sprzęt kościelny, urągające wszelkim zasadom estetyki i zrozumienia sztuki jak i czci należnej Świętym. Były to te same „bomazy“, które u nas dziś jeszcze zaśmiecają cały rynek dewo-

cjonaliów. Wystąpienie zatem Ludwika Rouart'a było czynem niezmiernie śmiałym. Wprowadzając na rynek dewocjonalia o wysokim poziomie artystycznym, zrobił wprost rewolucję wśród tych handlarzy i naraził się na ostre z ich strony napaści. Nie uląkł się jednak i po dziesięciu latach trudnej walki odniósł niemal zupełne nad nimi zwycięstwo: wszystkie sklepy na St. Sulpice sprzedają dziś dewocjonalia, których modele wykonane są przez dobrych artystów; poziom tego ważnego działu niesłychanie się podniósł, tak, że „l'Art Catholique“ (sklep L. Rouart'a) niewiele już dziś się różni od innych sklepów z nim sąsiadujących. Widocznie wymagania artystyczne poszły dalej, trzeba było dalszego rozwoju tej sztuki, nowych bardziej rewolucyjnych artystów.

Lucyna Krohg, artystka malarka, żona znanego malarza skandynawskiego, Peer Krohga, żyła wśród bohemii paryskiej, dzieląc czas między kawiarnię i pracownię a kołyskę synka. Po wojnie wrócił z Ameryki malarz Pascin, ożeniony z malarką, Herminą David. Sława talentu Pascin'a rozeszła się szeroko po świecie, znany handlarz obrazów, Bernheim Jeune, stał się jego nakładcą. Robił mu, a właściwie swoim interesom, niebywałą reklamę, jak to było modne przez dziesięć lat powojennych. Pascin pobierał 300.000 franków rocznie, wzamian za całkowitą swoją twórczość. Ta zależność od chciwego handlarza doprowadzała artystę do rozpacz. Dawał wyraz temu obrzydzeniu w swoich mistrzowskich rysunkach, wykpiwając w nich cały burżuazyjny świat. Były to dosłownie złote czasy artystów: Foujita lub Van Dongen i inni zarabiali miliony, ale też życie ich prywatne nużało się w bagnie, Orgie wszelkiego rodzaju następowały po orgiach w dzień i w nocy. w pracowniach lub kawiarniach do białego rana. Rzadko byli trzeźwi tak mężczyźni, jak kobiety.

Utrzymywali oni cynicznie, że ten stan podniecenia jest im potrzebny do artystycznej twórczości, a że byli to bardzo utalentowani artyści, więc i dzieła ich nawet po pijanemu tworzone nosiły mimo wszystko cechy geniuszu. Lucyna Krohg była kochanką Pascin'a, kochała go jako człowieka i artystę, wielokrotnie chciała definitywnie opuścić swojego męża, pakowała rzeczy, wyjeżdżała z Pascin'em, lecz w drodze myśl o pozostawionym w domu synku nie dawała jej spokoju i na pierwszej stacji kolejowej znowu wysiadała i, nic nie mówiąc towarzyszowi, wracała do Paryża. Ta rozterka między gorącą miłością uwielbianego mężczyzny a miłością macierzyńską była jej udręką przez te kilka lat znajomości z Pascin'em. Pascin, jak już wspomnieliśmy, coraz więcej obrzydzał sobie życie w otoczeniu wyuzdanych modelek, kolegów i koleżanek, zależność zaś od Bernheima wpędzała go w taką ohydę życia, że któregoś ranka 1930 roku nie wytrzymał i w pracowni swojej poderżnął sobie żyły, wypisując krwią ostatni swój list do Lucyny. Prosił w nim, żeby się zaopiekowała jego żoną, Herminą David; tym dwom kobietom

zapisał też w spuściźnie cały swój dorobek artystyczny, prawo reprodukcji itp.

Lucyna Krohg odczuła głęboko tragiczną śmierć przyjaciela. W zawodowej swej pracy stykała się obecnie z handlarzami obrazów, i widząc ich często niesumienne postępowanie, pewnego dnia wychodząc z takiego sklepu przy ulicy Bonaparte rozżalona i przybita podłością ludzką, skierowała bezwiednie swe kroki do kościoła, przybytku, o którego istnieniu zapomniała już od lat. Tutaj, w ciszy kościoła, zrozumiała tragedię Pascin'a, beznadziejność jego rozpacz, i po długim rozmyślaniu nad sensem życia wyszła artystka z kościoła odmieniona duchowo i uspokojona wewnątrz.

Nawrócona Lucyna zmienia teraz tryb życia; zaprzestaje swej włości po kawiarniach i oddaje się całkowicie wychowaniu swego syna. Hermina David prowadzi nadal wyuzdane życie nocne i po pijanemu pracuje. Jej drzeworyty, ilustracje książek luksusowo wydanych, mają duże wzięcie. Doskonałą operuje techniką a jej kompozycje, pełne stylu, wdzięku i dowcipu poszukiwane są przez najwybredniejszych wydawców. Pomimo namów Lucyny, nie chce zmienić swego trybu życia. Lucyna modli się za nią gorąco; nic to jednak nie pomaga. Tymczasem Hermina przepracowana i wyczerpana popada w ciężką chorobę. Lucyna pielęgnuje ją z poświęceniem a potem wysyła rekonwalescentkę na wieś, by tam odzyskała siły. Dopiero tutaj w ciszy i z dala od pokus Paryża, wraca Herminie zdrowie ciała a równocześnie i duszy. Odzyskuje dawno zarzuconą wiarę, nawiązuje żywy kontakt ze swym pierwszym życiem klasztornej pensjonarki. Powraca do Paryża ale już jako inna osoba. Modłity i praca Lucyny odniosły swój zbawienny skutek. Hermina, obdarzona temperamentem namiętnym, zdolnym do wielkich porywów pogrąża się teraz coraz głębiej w życiu religijnym. W sztuce, zarzuca tematy świeckie a natchnienia szuka w tematach religijnych z dużym powodzeniem. Obrazy jej zyskują coraz większe zrozumienie wśród duchowieństwa i osób świeckich. Hermina David jest obecnie jedną z czołowych artystek w dziedzinie sztuki religijnej.

Lucyna Krohg, przyjaciółka malarzy z t. zw. Szkoły Paryskiej, wyrażających się w sztuce najbardziej postępowo, poddaje w r. 1933 swym kolegom myśl urządzenia wystawy w małym sklepie na placu św. Augustyna w Paryżu, na temat: „Wielkanoc w sztuce”. Rezultat jest zdumiewający, mała na pozór inicjatywa kobiety wielkiego serca i głębokiej duszy wydo była na jaw z tych nieposkromionych artystów tak subtelne drgnienia i uczucia tak głęboko religijne, że wzbogaciła sztukę — religijną o całą skalę dzieł pierwszorzędnej wartości. Wystąpienie tej grupy przodowników, dowódców o nazwiskach jak Gomaire Goerg, Rouault, Derain, Andrzej Loth, Asselin, Hermina David, Dignimont, Piotr Dubreuil, Dufresne, Lanoa, Calléde Lebard,

Le Molt, ks. Morel, de Maistre, Paulina Peugniez, Zygmunt Olesiewicz, itd. wywołało znowu rewolucję w tej dziedzinie, był to jakby krok siedmiomilowy od wystąpienia Ludwika Rouart'a. Lucyna Krohg, cicha, skromna, niepokazna, wywiera przeemożny wpływ na kolegów. Założona przez nią maleńka galeria obrazów, jest odtąd stałą wystawą obrazów, rzeźb i drobnych dzieł sztuki o tematach religijnych a o tendencjach artystycznych najbardziej awangardowych. O udział w jej wystawach ubiegają się jak o wielki zaszczyt najślawniejsze nazwiska. Do grupy Lucyny Krohg, należy obok innych, Polak, Zygmunt Olesiewicz, artysta, bardzo utalentowany. Obrazy jego, o nader subtelnym kolorycie i oryginalnej kompozycji zakupywane są do kościołów, a jego projekty z dziedziny sztuki zdobniczej, poszukiwane są chciwie przez wydawców ceramiki, czy tkanin i dywanów, mebli lub haftów (Primavera). Cichy i skromny ten pracownik przyczynia się w najdoskonalszej formie do propagandy imienia polskiego.

Chwalebnym rezultatem tej stuletniej walki nazwać można opiekę oficjalnych kół jak i duchowieństwa, które z kardynałem Verdier na czele, powierza wykonanie kościołów i wszelkiego sprzętu kościelnego tylko artystom pierwszej klasy i z powższych ugrupowań. Powstają świątynie nowe, śpiewające hosanna wszystkimi szczegółami. A roi się od nowych kościołów we Francji. W samej diecezji Paryża zbudowano w okresie kilkunastu lat lub buduje się obecnie 75 kościołów, tzw. „Chantiers du Cardinal”. Całe zastępy artystów wszelkich działów sztuki pracują nad wykończeniem tych świątyń. Drugie tyle kościołów zbudowali w ostatnich sześciu latach we Francji, Belgii, Szwajcarii, Anglii lub Kanadzie architekci francuscy a dekorowali je francuscy artyści. Czterdziestu architektów z pionierem Perret na czele, osiemdziesięciu malarzy, (technika freskowa), czterdziestu rzeźbiarzy, piętnastu witrażowców, dwudziestu złotników lub kowali, tyluż mozaikarzy, kilkudziesięciu rytowników pracuje dziś nad wykończeniem i upiększeniem nowych świątyń Pańskich, lub dostarcza artystycznych dewocjonałów.

Artyści sztuki religijnej biorą także udział w ogólnych wystawach sztuki; w Salonach Paryskich powstają specjalne sekcje sztuki religijnej; na Międzynarodowej Wystawie Sztuki Dekoracyjnej w Paryżu w 1925 roku stanął kościół całkowicie wyposażony przez tych artystów. Na Wystawie Kolonialnej w 1931 r. znalazł się duży kościół poświęcony misjom przez tychże artystów. W 1932 zorganizowano w Rouen Wystawę Sztuki Religijnej Współczesnej. W 1934 r. na Międzynarodowej Wystawie Sztuki Religijnej w Rzymie, Francja jest reprezentowana wspaniale od Bourdella począwszy aż do Herminy David. Dział francuski zorganizowało Tow. św. Jana. W tymże roku na przepięknej Wystawie w Paryżu: „Męka Pańska w sztuce francuskiej”,

niemal wszyscy współcześni artyści wzięli udział. Patronują tej manifestacji zarówno władze cywilne jak kościelne. Część eksponatów znalazła pomieszczenie w przepięknych ramach słynnej kaplicy Ste Chapelle, tego bezcennego relikwiarza, zbudowanego z witraży przez wielkiego architekta XIII w. Piotra de Montereau, dla pomieszczenia relikwii drzewa Krzyża św. i Korony Cierniowej, przywiezionych z Ziemi Świętej przez króla Ludwika świętego z wyprawy krzyżowej. Druga część eksponatów wystawiona była w Trocadero. Tam też dzieła współczesnych artystów sąsiadowały z arcydziełami renesansu i średnio-wiecza, wykazując łączność duchową wielu pokoleń artystów Francji.

Stefania Łazarska.

NACZELNY REDAKTOR: *KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.*

Druk ukończono dnia 7 lipca 1937 r.

Szkoła wyznaniowa a narodowa jednolitość państwa.

Postulat szkoły powszechnej wyznaniowej został ze zrozumiałym wzburzeniem przyjęty przez lewicę tak „humanitarną” jak i marksistowską — godzi przecież w jej zasadnicze dążenia i w jej całą przyszłość. Mniej zrozumiałe jest milczenie z jakim został przyjęty w obozie narodowym. Milczenie to tłumaczy się dwiema przyczynami. Polityką szkolną w obozie narodowym interesowali się niemal wyłącznie nauczyciele i profesorowie starszej daty, wychowani w niedocenianiu zagadnień religijnych, zatem milczenie oznacza jeszcze poważne zastrzeżenie, czy szkoła wyznaniowa nie będzie rozbijała jedności narodu.

Nie chodzi tu o jedność tego, co już jest narodem polskim, gdyż, poza nielicznymi ewangelikami, wszyscy niemal Polacy są katolikami; chodzi o jedność przyszłą, jedność tego co może być w przyszłości narodem polskim. Konkretnie mówiąc istnieć może obawa, że wprowadzenie szkoły wyznaniowej stworzy od dziecka nieprzebrany mur między Polakami a niekatolicką ludnością kresową, że zwłaszcza na kresach północno-wschodnich, gdzie granice narodowościowe są całkowicie płynne, może szkoła wyznaniowa przekreślić ekspansję polskości. Zastrzeżenie to jest na tyle poważne, że należy się nim obszerniej zająć.

Czy szkoła wyznaniowa będzie dla narodowej jednolitości państwa pożyteczna czy szkodliwa i w jakim zakresie?

I.

Jednolitość narodu zasadza się nie tyle na jednolitości języka czy obyczaju ile na jednolitości psychiki, na jednolitości najgłębszych odczuwań, reakcyj i sposobu myślenia. Jednakowy język i jednakowy obyczaj są tu raczej tylko narzędziem do osiągnięcia istotnej jednolitości — a zarazem jej przejawem zewnętrznym.

Nie ma równie potężnego narzędzia dla wyrobienia głębszej jedności narodu jak szkoła, która kształtuje i systematyzuje pierwsze poglądy człowieka. Szkoła, która nie jest oparta na jednej wyraźnej etyce i jednym wyraźnym pojęciu o świecie, nie może wywrzeć większego i trwalszego wpływu na swych wychowanków. Nauczyciel, który nie stoi na pewnym i przemyślanym przez siebie gruncie religijnym, może dać uczniowi dużo cennych wiadomości i pewien uczuciowy raczej patriotyzm, nie może dać mu podstaw najgłębszego odczuwania, reakcyj i sposobu myślenia.

Cóż dopiero mówić, gdy nauczyciel reprezentuje światopogląd ateistyczny lub indyferentystyczny, a uczniowie należą do różnych wyznań i poza szkołą, a nawet w szkole na lekcjach religii, urabiani są przez różne religijne światopoglądy. Uczniowie w tych warunkach wyjdą ze szkoły powszechnej nie bardziej podobni do siebie duchowo niż do niej weszli.

We współczesnych warunkach polskich jest jeszcze gorzej, ponieważ znaczna część nauczycieli, jeżeli nie większość to w każdym razie część najbardziej aktywna, wyznaje światopogląd sprzeczny z tradycją narodową, charakterem polskim i światopoglądem ogromnej większości rodziców. Dochodzi do takiego paradoksu, że bliższy cywilizacji polskiej bywa językowo niepolski dom rodzinny kresowy niż państwową polską szkołą.

Z tego co powiedziałem o znaczeniu podstaw religijnych w szkole wynika, że szkoła wyznaniowa będzie wyciskała na swych wychowankach znacznie silniejsze piętno niż szkoła międzywyznaniowa (nie używałem określenia „bezwyznaniowa“, ponieważ w Polsce szkoła powszechna nie jest bezwyznaniowa, skoro dopuszcza wychowanie reli-

gijne uczniów w szkole, lecz nie jest ona także wyznaniowa, bo nie stoi na gruncie żadnego wyznania). Istnienie różnych szkół wyznaniowych spowoduje zatem pogłębienie różnic w państwie między wychowankami poszczególnych szkół. Jest to ujemna z punktu widzenia narodowo-państwowego strona szkoły wyznaniowej.

Idealnym rozwiązaniem jest tutaj tylko jedno, mianowicie jednolitość wyznaniowa tych wszystkich, których uważa się za członków narodu, lub których chce się asymilować. Jednakże osiągnięcie tego drogą przymusu szkolnego jest niemoralne i nieprawdopodobne. Pozostaje zatem tylko wybór między szkołą międzywyznaniową a szkołami wyznaniowymi.

Ujemna strona szkoły wyznaniowej, w postaci pogłębienia różnic w państwie, występować może z bardzo różnym nasileniem w różnych krajach. Niemcy np. pod względem wyznaniowym dzielą się na dwie niemal równe części. Protestanci są wprawdzie znacznie liczniejsi, lecz ich organizacja i dogmatyka znajdują się w stanie rozkładu; katolicy są znacznie mniej liczni lecz ich siła dogmatyczna i organizacyjna równoważą mniejszą liczebność. To też w Niemczech szkoła wyznaniowa oznacza pogłębienie podziału narodu w sposób groźny dla jego jednolitości. Wprawdzie szkoła bezwyznaniowa spłyca jednolitość narodu, ale nacjonałiści niemieccy wybierają jako mniejsze zło to spłylenie. Nie chcą oni zdobyć się na stwierdzenie tragizmu swego narodu w całej rozciągłości i na uznanie, że jedynym wyjściem skutecznym jest usunięcie złowrogiego dzieła reformacji i praca nad przywróceniem katolicyzmu w całych Niemczech. Przeciwnie jest np. we Włoszech. Tam nie ma żadnych większych skupień niekatolickich. To też szkoła wyznaniowa jest tam tylko kwestią stosunku Kościoła do państwa, nie jest połączona z żadnym problemem narodowościowym.

Polska, na szczęście, nie znajduje się w tragicznym położeniu Niemiec, ale niestety także nie w szczęśliwym położeniu Włoch. Według ostatnio ogłoszonych danych, katolicy obrządku łacińskiego stanowią u nas 64,8 procent ogółu ludności, katolicy obrządku greckiego 10,4 procent, a więc razem 75,2 procent czyli trzy czwarte ogółu ludności. Ludności prawosławnej jest 11,8 procent, ewangelickiej 2,6, moj-

żeszowej 9,8 (do czego prawdopodobnie należy doliczyć około 1 promille „nieokreślonych”).

Aby zorientować się, jakie skutki dla jednolitości narodowej państwa miałyby wprowadzenie szkoły wyznaniowej należy rozpatrzyć kolejno sprawy te na tle poszczególnych wyznań i narodowości.

II.

Poza katolikami obrządku łacińskiego, członkowie jednego tylko wyznania rozrzucają się w poważnych skupieniach na terenie całego państwa, a mianowicie żydzi. To też kwestia żydowska w szkolnictwie ma najpowszechniejsze znaczenie. Uczniowie wyznania mojżeszowego stanowią w szkołach powszechnych 9,1 procent ogółu uczniów, tj. mniej więcej tyle, ile wynosi procent ludności żydowskiej w stosunku do ogółu ludności w państwie. Natomiast w szkołach średnich procent młodzieży wyznania mojżeszowego wynosi blisko dwa razy tyle, bo 18% a w szkołach wyższych 14,7%.¹⁾ Rozłożenie tej grupy wyznaniowej w szkolnictwie powszechnym jest bardzo nierównomierne. Podczas gdy na wsi uczniowie żydzi stanowią bardzo minimalny odsetek, w mieście (z wyjątkiem trzech województw zachodnich) procent dzieci żydowskich w wieku szkolnym jest kilkakrotnie wyższy od owej przeciętnej 9,1, a nierzadko stanowi połowę i więcej ogółu dzieci szkolnych w danej miejscowości. Tymczasem liczba uczniów szkół powszechnych czysto żydowskich wynosi niecałe 40.000, czyli zaledwie 0,8% ogółu uczniów.

Nie trzeba uzasadniać, że różnica między światopoglądem i etyką talmudu a chrześcijaństwa jest nieskończenie

¹⁾ Dane z r. 1935. Charakterystyczne jest, że w r. 1929 procent uczniów szkół wyższych wyznania mojżeszowego wynosił 20,4, szkół średnich 21,6, a powszechnych tylko 8,8. Widoczny jest tu zatem rezultat wzrostu antysemityzmu w społeczeństwie polskim, a zwłaszcza wśród młodzieży akademickiej. Statystyki za rok 1935/6 w tym zakresie dotąd nie ogłoszono. Z fragmentarycznych danych można wnioskować, że procent młodzieży żydowskiej na wyższych uczelniach jeszcze się nieco obniżył i nie jest już zbyt odległy od tak zwalczanej przez władze zasady „*numerus clausus*“.

większa, niż różnica między wyznaniem chrześcijańskimi. Dołączają się do tego różnice językowe, obyczajowe i biologiczne, które wraz z zasadniczą różnicą religijną sprawiają, że współżycie młodzieży chrześcijańskiej i żydowskiej staje się niemożliwe, że rodzi tylko walkę lub demoralizację, a często jedno i drugie. Poglądy zresztą całego społeczeństwa polskiego na wyniki wspólnego wychowania dzieci chrześcijańskich i żydowskich są całkowicie ustalone — sprawy toczą się już tylko na temat asymilacji jednostkowej żydów, w masową bowiem nikt już nie wierzy. W tych warunkach rozdzielenie młodzieży według wyznania jest środkiem koniecznym i, dodajmy, najłagodniejszym, gdyż wysuwa kryterium wyznania, nie rasy.

Z punktu widzenia jednolitości narodowej państwa wydzielenie młodzieży żydowskiej w osobne szkoły przedstawia same strony dodatnie a żadnej ujemnej. Usuwa wszystkie złe strony oddziaływania młodzieży żydowskiej na polską (rozkład pojęć moralnych, przedwczesne rozbudzenie seksualne, szerzenie idei komunistycznych, ateizmu, atmosfera walki i nieufności w klasie itd.), natomiast nie pociąga żadnych strat za sobą, gdyż asymilacja mas żydowskich do polskośći nie jest ani możliwa, ani przez polskie społeczeństwo pożądana. Przeciwnie dla jednolitości narodowej państwa wydzielenie młodzieży żydowskiej będzie faktem dodatnim pierwszorzędnej wagi. Na tym więc odcinku szkoła wyznaniowa jest z punktu widzenia narodowego nie tylko pożyteczna ale i konieczna.

III.

Zagadnienie szkoły odrębnej protestanckiej nie jest decydujące dla naszego życia narodowego ze względu na niewielką stosunkowo ilość ewangelików (835.200 w całej Polsce), jest jednak najbardziej skomplikowane. Wyznanie ewangelickie nie pokrywa się u nas z żadną narodowością, jakkolwiek większość jego członków stanowią Niemcy (Niemców jest w Polsce 741.000, czyli 2,3% ogółu ludności). Wy różnić tu należy cztery obszary. W województwach południowych (dawna Galicja) pojęcie Niemca i ewangelika

na ogół się pokrywa.¹⁾ W województwach centralnych i wschodnich (b. zabór rosyjski) liczba ewangelików jest wyższa od liczby Niemców — np. w woj. łódzkim o blisko jedną czwartą. Tu występują jedyne liczniejsze skupienia Polaków-ewangelików, pochodzących w przygniatającej większości z zasymilowanych rodzin niemieckich. W województwach zachodnich (b. zabór pruski) ewangelików jest niemal tylu, co i Niemców, ale spotyka się pewne skupienia polsko-ewangelickie na wsi, a znajduje się tu również spora ilość *Deutsch-katolisch* — katolików-Niemców. Wreszcie mamy dwa niewielkie obszary, gdzie większość ludności stanowią ewangelicy — Polacy z narodowości i pochodzenia. Są to — Śląsk Cieszyński i pow. działdowski woj. pomorskiego, stanowiący część Mazurów pruskich.

Jak na obliczu narodowym tych różnorodnych grup odbije się wprowadzenie szkoły wyznaniowej?

Pisząc o wyznaniu protestanckim, nie należy zapominać, że opiera się ono na dużej autonomii gmin i zborów. Kościół katolicki, bez względu na to w jakim narodzie działa, jest w swoich zasadach taki sam. Gmina natomiast ewangelicka może być bardzo różna, zależnie od tego, czy składa się z Niemców, czy Polaków, z chłopów, czy z mieszczaństwa i inteligencji. Niewątpliwie np. bliższe katolicyści są parafie ewangelickie na Śląsku cieszyńskim od parafii ewangelickich na Pomorzu, gdzie już nawet zaczyna docierać *Deutsche Glaubensbewegung*. Dlatego też efekt wprowadzenia szkoły wyznaniowej będzie bardzo różny w każdym z tych środowisk.

Wprowadzenie szkoły powszechnej ewangelickiej w Cieszyńskim i Działdowskim, nie zmieni z punktu widzenia polskości nic na gorsze, przeciwnie raczej, patriotyczni pastorzy będą lepszymi wychowawcami od obecnych nauczycieli.

Jeżeli chodzi o ziemie zachodnie, to większość młodzieży protestanckiej (blisko 60.000) uczęszcza do szkół tzw.

¹⁾ Wprawdzie liczba osób podających język niemiecki jako ojczysty przewyższa w tych województwach znacznie liczbę ewangelików, ale przewyżkę taką wykazują tylko miasta. Analiza statystyczna wskazuje, że przewyżka ta jest spowodowana przyznawaniem się części ludności żydowskiej do niemieckiego języka ojczystego.

mniejszościowych niemieckich. Oddanie tych szkół pod kierownictwo pastorów da dla polskości wynik prawdopodobnie ujemny, gdyż szkoły te staną się jeszcze bardziej niezależne od władz państwowych, a pastory w województwach zachodnich są niemal wszyscy zdecydowanymi niemieckimi nacjonalistami. Wprowadzenie szkoły ewangelickiej na zachodzie będzie jednak miało również dość poważną stronę dodatnią. Na ziemiach zachodnich żyje w rozproszeniu spora ilość (jaka, tego na podstawie statystyk urzędowych nie da się obliczyć) Niemców-katolików. Wobec ich rozproszenia, młodzież katolicka niemiecka z konieczności znajdzie się w katolickich szkołach polskich. Tutaj więc bilans narodowy szkoły wyznaniowej zrównoważy się.

Najwięcej zastrzeżeń może budzić szkoła wyznaniowa ewangelicka na terenie miast środkowej, wschodniej i południowej Polski. Ilość ewangelików jest w nich niewielka, a odrębność ich wyznaniowa słaba. Pod względem obyczajowym ulegają oni wyraźnej asymilacji do społeczeństwa katolickiego, a w ostatnich latach mnożą się wypadki przechodzenia młodzieży ewangelickiej, pod wpływem kolegów a przy braku oporu w domu, na katolicyzm. Wprowadzenie więc szkoły wyznaniowej powszechnej ten proces nieco utrudni. Jednakże nie należy zapominać, że znaczna część tej młodzieży rekrutuje się ze sfer zamożniejszych i uczęszcza do prywatnych szkół powszechnych i że protestantyzm w Polsce posiada bardzo małą siłę dynamiczną.

IV.

Przejdźmy do zagadnienia najtrudniejszego i budzącego najwięcej zastrzeżeń a zarazem najpoważniejszego pod względem liczbowym — do zagadnienia szkoły wyznaniowej na ziemiach wschodnich. Ludność nie należąca do obrządku łacińskiego na całej przestrzeni od Karpat po Dźwinę (za wyłączeniem oczywiście żydów) składa się z dwóch niemal jednakowo licznych grup — unitów i prawosławnych.¹⁾ Uni-

¹⁾ Społeczeństwo nasze ulega łatwo zrozumiałej sugestii „geograficznej”, wyobrażając sobie na ogół, że prawosławnych jest bez porównania więcej niż unitów. Jest to oczywisty błąd.

tów jest 3,336.200, tj. 10·4% ogółu ludności Polski, prawosławnych 3,762.500, tj. 11·8% ogółu ludności. Granica między tymi dwoma wyznaniem pokrywa się z drobnymi wyjątkami, z granicą między województwem tarnopolskim a wołyńskim, dawną granicą austriacko-rosyjską.

Obawy ujemnych skutków wprowadzenia szkoły wyznaniowej dla jedności narodowej państwa odnoszą się przede wszystkim do tego całego terenu. Zapomina się wszakże o jednym: że unicy są katolikami. Przeciętny Polak z karygodną powierzchownością uważa unitów za coś w rodzaju odmiany prawosławnych, za coś gorszego od „prawdziwych” katolików. Tymczasem różnice liturgiczne między obrządkiem greckim a łacińskim nie zmieniają jedności dogmatycznej i co za tym idzie jedności całego światopoglądu religijnego. To też szkoła wyznaniowa katolicka może i musi objąć katolików obu obrządków. Jedynie sam wykład religii i praktyki religijne ze względu na różnice liturgiczne muszą odbywać się oddzielnie dla młodzieży każdego obrządku, szkoła natomiast powinna być wspólna. W praktyce z punktu widzenia politycznego oznacza to utrzymanie dotychczasowego stanu rzeczy, to jest wspólnej szkoły państwowej, uwzględniającej obok polskiego, w różnym zresztą stopniu, także język ukraiński.¹⁾

Na terenie zatem trzech województw południowo-wschodnich wprowadzenie szkoły wyznaniowej w żadnym razie nie pogorszy stanu narodowego, a nawet dać może duże korzyści, jeśli się zważy, że dopuszczenie duchowieństwa grecko-katolickiego do współodpowiedzialności za szkołę, wzmoże zaufanie do szkoły powszechnej wśród ludności, uważającej się za Ukraińców. Istotna jednolitość szkoły katolickiej wspólnej obu obrządkom zależy wszakże od czynników znajdujących się poza samą szkołą, a przede wszystkim od tego czy obrządek grecki przyjmie kalendarz

¹⁾ Obecnie na terenie ziem wschodnich istnieje niezwykła mieszanina typów szkół powszechnych. Mamy więc *a)* szkoły czysto polskie, *b)* szkoły polskie z językiem ukraińskim jako przedmiotem, *c)* szkoły dwujęzyczne polsko-ukraińskie, *d)* szkoły uczące w dwóch kompletach — polskim i ukraińskim, *e)* szkoły czysto ukraińskie państwowe i *f)* szkoły ukraińskie prywatne.

gregoriański i zgodzi się na stosowanie alfabetu łacińskiego, jak był on stosowany przez ten obrządek przed stu laty na ziemiach W. Ks. Litewskiego. Wspólny kalendarz i alfabet dałyby istotną wspólność szkoły katolickiej na terenie całego państwa. Ta sprawa jednak nie zależy już od wprowadzenia szkoły wyznaniowej.

Zgoła odmiennie przedstawia się sprawa szkoły wyznaniowej prawosławnej. Obecnie w województwach północno-wschodnich panuje typ szkoły jednolitej, polskiej. Szkół powszechnych białoruskich jest zaledwie kilkanaście, rosyjskich kilka. Granice narodowościowe, z wyjątkiem może województwa wołyńskiego, są płynne i niepewne, poczucie odrębności narodowej wśród ludności prawosławnej jest bardzo słabe. Spośród tej ludności w ostatnim spisie podało jako język macierzysty (a więc nawet nie narodowość), jak w przybliżeniu można obliczyć:

ukraiński	1,276.500
białoruski	989.900
„tutejszy“	707.100
polski	646.800
rosyjski	138.700
ruski	3.500

Kler prawosławny jest dotąd niemal wyłącznie rosyjski, z wyjątkiem Wołynia, gdzie rozpoczęła się walka o ukraińzację cerkwi. Kler ten, dopóki będzie trwał w schizmie, nie przestanie być wobec naszego narodu obcy cywilizacyjnie.

Poza tym poziom moralny kleru prawosławnego na Kresach nie predestynuje go do roli wychowawców — dość wspomnieć ostatni cykl afer obyczajowych w prawosławnej kurii grodzieńskiej. Cerkiew prawosławna cieszy się w dodatku bardzo małym szacunkiem i przywiązaniem swych wiernych na Kresach, a procent istotnie praktykującej młodzieży prawosławnej jest bez porównania niższy niż w Kościele katolickim.

Wprowadzenie już obecnie szkoły wyznaniowej na terenach mieszanych katolicko - prawosławnych oznaczałoby 1) wprowadzenie istotnego rozdziału młodzieży, który może się przekształcić w podział narodowościowy, dziś nieistnie-

jący i 2) oddanie mas młodzieży kresowej pod wpływ wychowawców moralnie nieprzygotowanych, a cywilizacyjnie obcych narodowi a także i ludności miejscowej (kler jest rosyjski).

Wprowadzenie więc szkoły wyznaniowej na ziemiach północno-wschodnich byłoby z punktu widzenia jedności narodu gorsze od stanu obecnego,¹⁾ a z punktu widzenia dobra Kościoła bardzo wątpliwe (popchnęłoby młodzież prawosławną nie ku prawosławiu, które pozbawione jest siły atrakcyjnej, ale najprawdopodobniej poprzez kulturę rosyjską ku komunizmowi). Nie oznacza to bynajmniej, by szkołę międzywyznaniową uznać na tym terenie na stałe za *malum necessarium*. Trwałe rozwiązanie zagadnienia cywilizacyjnego, a co za tym idzie i narodowego Kresów jest możliwe tylko w drodze przywrócenia tam Unii. Gdyby to nastąpiło, znikłaby i zasadnicza trudność wychowawcza, która sprawia, że obecne wprowadzenie szkoły wyznaniowej prawosławnej jest niepożądane.

V.

Jakżeż wygląda ogólny bilans wprowadzenia szkoły wyznaniowej w odniesieniu do jednolitości narodowej państwa?

Wprowadzenie jej dałoby:

- 1) mocny wspólny pion moralny i cywilizacyjny całemu narodowi;
- 2) usunęłoby wszelkie ujemne skutki współżycia młodzieży polskiej z żydowską;
- 3) ułatwiłoby współżycie z ludnością grecko-katolicką.

Natomiast mogłoby przynieść szkodę na ziemiach północno-wschodnich.

¹⁾ Zilustrować to może następująca obserwacja poczyniona przez Polaków na Wileńszczyźnie. W wielu miejscowościach mieszanych katolicko-prawosławnych istniały świeckie organizacje polskie (np. Strzelec a nawet Stronnictwo Narodowe); gdy wszakże księża katolicy w swych miejscowościach pozakładali Zw. Młodz. Pol., natychmiast powstały białoruskie organizacje w rodzaju „Hurtków”, a wspólne organizacje rozpadły się.

Gdyby zatem czasowo nie wprowadzać szkoły wyznaniowej w województwach wołyńskim, poleskim, nowogródzkim oraz wschodniej części województw wileńskiego i białostockiego, to pozostałyby same tylko strony dodatnie tak wielkiej wagi, że wprowadzenie szkoły wyznaniowej stałoby się mogło datą przełomową dla jedności narodowej naszego państwa.

Dr Wojciech Wasiutyński.

Perspektywy totalizmu.

Snucie perspektyw na temat rozwoju jakiegoś prądu dziejowego, zwłaszcza w pierwszej jego fazie, jest zawsze rzeczą ryzykowną. O ile się jednak wychwyta istotne momenty struktury wewnętrznej, wtedy można stwierdzić istnienie pewnych dążeń rozwojowych i pewnych alternatyw.

Pierwszym pytaniem, które sobie postawimy, będzie to, czy totalizm rozwiązuje problem ładu?

Pojęciem ład, które przeciwstawia się tradycyjnie tak trudnemu do uzgodnienia z nim ideałowi wolności, obejmujemy kwestię jedności politycznej i uzgodnienia sił narodowych, planowości gospodarki i życia kulturalnego, sprawiedliwości społecznej i równości praw do życia oraz trwałości rządu a zatem i długodystansowości działania państwowego.

Na tak postawione pytanie odpowiedź wypadnie na ogół pozytywnie. Totalizm, jak dotąd, istotnie dał zjednoczenie polityczne z wyłączeniem na ogół mało już żywotnych i dynamicznych grup emigracyjnych, skoordynował energię polityczną danych narodów w rozmiarach dotąd niewidzialnych i stworzył przez to siły groźne, upajające się swym samopoczuciem. Pojęcie gospodarki planowej stało się odpowiednikiem pewnej rzeczywistości, mniej lub więcej udanej, ale realnej dopiero z chwilą narodzin państwa totalnego. Planowa polityka kulturalna na wielką skalę otworzyła nowe perspektywy. Wyzyskiwaczy społecznych wzięto na krótką smycz albo zlikwidowano ich krwawo. Wprawdzie państwo kolektywistyczne stało się stokroć groźniejszym wy-

zyskiwaczem, lecz wyzyskowi temu nadano dekoracyjne szaty służby dla zbiorowości, a niesprawiedliwość w pewnej mierze znikła o tyle, że dola wszystkich zrównała się bardzo, wprawdzie... ku dołowi. Istotnie masom udostępniono niedostępne im dotąd przyjemności. Robotnik rosyjski jest nieraz głodny, ale chodzi do teatru, niemiecki wyjeżdża za granicę, a przy warsztacie zastępuje go student czy nawet — ostatnio — wyższy urzędnik. Szacunku dla pracy ręcznej uczy dziś tak chorego niegdyś na „Akademikerdünkel“ studenta niemieckiego — przymusowa służba w obozie pracy. Trwałość rządu, nie skazanego na oglądanie się za tanim efektem demagogicznym, umożliwiała politykę długodystansową. Reżim totalny operuje skalą stuleci. Oparcie całej nadziei na młodzieży jest najlepszym przykładem tej dalekodystansowości, o jakiej nie mógł marzyć żaden rząd demokratyczny. Są to korzyści niewątpliwe.

Lecz zapytamy się teraz o cenę, jaką zapłacono za tę realizację nową dawnego ideału ładu?

Pełniejsze niż dotąd kiedykolwiek urzeczywistnienie ideału ładu dało też większe niż kiedykolwiek poświęcenie wolności.

Wolność polityczna czyli samorządność stała się już nie fikcją, którą była do pewnego stopnia zawsze,¹⁾ ale cieniem fikcji, prawem do powiedzenia „tak“, a raczej — w rzeczywistości — obowiązkiem wyrażenia zgody pod grozą najstraszniejszych represyj. Jawne wybory nominowanych w rzeczywistości delegatów w Sowietach, alternatywne plebiscyty niemieckie, to już raczej środki „aktywizacji politycznej“, niż ustępstwa dla dawnych pojęć. Ideał wyboru programu i przywódcy według sumienia zastąpiony został obowiązkiem „ślepego“ posłuszeństwa dla raz przez naród uznanego „wodza“. Spontaniczność twórczości gospodarczej i kulturalnej została ujęta w żelazne karby planów różnych „cztero, pięciolatek“ czy dyrektyw policji ideologicznej, pilnującej przestrzegania nakazanej nawet literatom czy naukowcom „linii generalnej“. Trwałość władzy została okupiona

¹⁾ Na temat ten patrz szczególnie B. Michelsa: Zur Soziologie des Parteiwesens.

bezwzględnością teroru i „likwidowania” buntowników czy chociażby współpracowników zbyt samodzielnych. Najstraszliwszą jest jednak ofiara wolności sumienia i myśli. Poświęcono ideały prawdy, dobra i piękna. Prawdą jest to, co się zgadza z ideologią i interesami, dobrem co służy celom grupy, a piękno musi również służyć celom kolektywu, jako kult monumentalności, masowość widowisk, dostosowanych do gustu tłumu i zamiłowań kompetentnych funkcjonariuszy.

Czy więc narody pogodzą się z tak wysoką ceną?

Będzie to zależało od całego szeregu czynników. Najpierw od tego, na ile dany naród ceni te wartości, które stracił. Tu trzeba stwierdzić, że Rosjanin zawsze kochał najdroższych swych ciemieczów, jak Iwan Groźny. Bunt jednostek intelektualnych nie może stać się groźnym dla reżimu, dopóki go masy akceptują. Również Niemcy zawsze mieli wrodzony kult dla władzy i siły. Mają go i Włosi, zapatrzeni w wizję wielkości dawnego Rzymu.

Drugim ważnym momentem jest pytanie, czy uda się utrzymać na dłuższą metę to ciągle napięcie entuzjazmu, bez którego żaden naród nie wytrzymałby tak ciężkiego jarzma? Tu odpowiedź wydaje się trudniejsza. W Niemczech dziś już entuzjazm osłabł zupełnie, podobnie niewątpliwie w Rosji. Włochy przeżywają upojenie sukcesem abisyńskim i cel imperium afrykańskiego na długo ich pochłonie. Lecz i inne państwa totalne mogą jeszcze znaleźć cele, które porwą cały naród. O ile chodzi o Niemcy to takim obiektem dążeń, pożądanym przez wszystkie odłamy, jest wciąż jeszcze, mimo oficjalnych oświadczeń Hitlera, odzyskanie terytoriów w Europie oraz kolonii. Wogóle, gdy zawiodą cele wewnętrzne, można a nawet trzeba będzie energię skierować na zewnątrz. I na tym polega groza totalizmu dla pokoju powszechnego. Powodzenie Włoch stworzyło groźną zachętę dla innych. Właśnie dlatego, że nie oparta na motywach religijnych ofiarność, podtrzymywana sugestią i sztucznymi bodźcami jak system Stachanowa, musi się prędzej czy później załamać, jeśli się jej nie podtrzyma coraz to nowymi i — z powodu podnoszenia się progu wrażliwości — coraz silniejszymi dawkami bodźców. System ten, zresztą podobnie jak i dawniejsze rządy dyktatorskie, jest skazany

prędzej czy później na wyładowanie nagromadzonych sił w wojnie zewnętrznej.

Dwa są jeszcze niebezpieczeństwa, które grożą reżimom totalnym: bunt wewnętrzny, poprostu wybuch tych sił, których zgńębienie musiało pozostawić urazy narastające i sumujące się w nieopanowaną nienawiść i wreszcie kwestia następcy „wodza”. Trzeba jednak pamiętać, że bunt na większą skalę, nie licząc spontanicznych i lokalnych odruchów rozpaczki czy nienawiści, tylko wtedy może doprowadzić do celu, jeśli dostateczna ilość ludzi uwierzy w jego możliwość i znajdzie drogi do opanowania wojska i policji. W normalnych warunkach, zwłaszcza, dopóki na czele stoją ludzie, nie liczący się z niczym i dopóki żyją w pamięci świeże wspomnienia nieudanych buntów, widoki przewrotu są minimalne.

Również następcę zawsze można znaleźć. Do stworzenia państwa totalnego trzeba genialności, ale do jego utrzymania starczy bezwzględność i konsekwencja. Charyzmatyczność można też „montować” mając w swym ręku aparat propagandy i system uzależniania.

Istniejące już reżimy totalne rokują więc narazie widoki wielkiej trwałości. Chyba tylko przegrana wojna mogłaby je skutecznie obalić.

A teraz postawmy dalsze pytanie zasadnicze: jakie są perspektywy kulturalne totalizmu?

Chcąc odpowiedzieć sobie na to pytanie, musimy oprzeć się na pewnym założeniu — mianowicie, że rozwój kultury jest uwarunkowany istnieniem pewnych specyficznych warunków, wśród których decydującą rolę odgrywa wolność twórczości i konsumpcji kulturalnej. Jest to jedynie hipoteza, bo nie mamy dowodów, że nie jest np. możliwą twórczość kulturalna człowieka skrepowanego narzuconymi mu nakazami i zakazami. Że dotąd warunki te obowiązywały, nie jest dowodem, że zawsze tak być musi. Jest to jednak tak dalece prawdopodobne i zrozumiałe, że wolno nam przypuścić, iż istnieje tu jakieś konieczne prawo życia.

Otóż opierając się na doświadczeniu historii, dochodzimy do wniosku, że totalizm oznacza katastrofę kultury. Brak swobody myśli i sumienia, służalstwo, jako

czynnik decydujący o powodzeniu, a więc wyraźna przeciwselekcja charakterów, ciasne, tępe doktrynerstwo, nastrój ciągłej obawy przed „policją ideologiczną”, wreszcie czysto doczesne, hedonistyczne nastawienie i — kult ilości, gigantyczności masy, oraz dostosowanie produkcji kulturalnej do wymagań tłumu, tego „wyrównanego poziomu” kolektywnego konsumenta — to wszystko razem musi niesłuchanie obniżyć poziom kultury duchowej i zabić wszelką rzeczywistą twórczość. Nie zabije to jednak twórczości pozornej. Przeciwnie stwarza cudowną koniunkturę dla miernoty, dostosowującej się zawsze najłatwiej do warunków i „ducha czasu”. Prawo to nie dotyczy jednak wszystkich dziedzin. Tam gdzie nie sięga kontrola ideologiczna, czyli, gdzie nie stwarza ona norm ideologicznych, względnie stwarza je tylko w formie bardzo ogólnych i nieuchwytnych dyrektyw, tam twórczość może się rozwinąć nawet silniej niż gdzieindziej, bo właśnie siły żywotne, kulturalne danego narodu będą się koncentrować w tych dziedzinach, w których istnieje największy margines swobody. Może więc w państwach totalnych rozwijać się muzyka, śpiew, zwłaszcza regionalny i ludowy, malarstwo i zdobnictwo, choć tu już będzie działać konieczność dostosowania się do poziomu konsumenta, co zresztą wobec faktu zatracenia kontaktu z „szarym konsumentem kulturalnym” przez snobizm zamkniętych w sobie szkół i kierunków, może się okazać czynnikiem odradzającym. Świetne warunki ma architektura, bo totalizm jak każdy reżim absolutny lubuje się w budowlach monumentalnych, chociażby okupionych godną faraonów pracą niewolniczą i największym uciskiem fiskalnym. Również sport ma idealne warunki rozwoju dzięki rozpowszechnieniu boisk i rozwojowi celowo podsycanej ambicji narodowej. Z nauk mogą się rozwijać wyśmienicie nauki przyrodnicze. Mają dla nich równy kult zarówno marksizm jak rasizm. Są one potrzebne jako narzędzie ubóstwianego przez totalizmy postępu technicznego. Tu panować może największa swoboda, dopóki uczone nie spróbuje wchodzić na śliski teren filozofii.

W Niemczech czyta się dziś prawie wyłącznie książki techniczne i przyrodnicze. Postęp techniczny w tych warunkach może jeszcze zwiększyć tempo.

Wszystko to razem, nawet włącznie z muzyką, nie stworzy jednak ani głębszej kultury intelektu, nie stworzy też zupełnie kultury charakteru, którego żadna tresura zastąpić nie może. Nie stworzy też prawdziwego piękna. Teatr, zamieniający się w Niemczech w płytkie, na gust tłumów obliczone widowiska „tingu“, zamiera tam na brak tematu. Trudno nam ocenić walory teatru bolszewickiego. Zdaje się że tam wyjątkowo pozostawiono w tej dziedzinie szerszy margines swobody i dzięki temu teatr, dający obywatelowi „raju“ sowieckiego chwilową ucieczkę od rzeczywistości (zjawisko obserwowane i w Niemczech), może mieć takie powodzenie. „Wyrównana“ literatura przeżywa kryzys tym większy, im ostrzejszą jest kontrola ideologiczna i im większą planowość narzucająca tematy, które mogłyby może i pociągnąć — gdyby nie były narzucone.

Zupełną jest katastrofa nauk humanistycznych, historii, a szczególnie filozofii.

W pewnym uproszczeniu można więc powiedzieć, że totalizm podnosi cywilizację a zabija kulturę. Przede wszystkim jednak, zniekształca straszliwie typ moralny człowieka.

Wobec tego dochodzimy do pytania: czy jest możliwe pogodzenie totalizmu z katolicyzmem?

Wnioski z naszych wywodów zdają się narzucać zdecydowanie negatywną odpowiedź. Religia bowiem nie może istnieć bez wolności sumienia. Z drugiej strony fakt jak dotąd zupełnie znośnej symbiozy katolicyzmu z faszyzmem zdaje się obalać ten wniosek. Sprzeczność jednak tylko jest pozorna. Współżycie to bowiem jest możliwe tylko dzięki temu, że faszyzm zostawił Kościołowi wolność nauczania i dużą stosunkowo, jak na państwo totalne, swobodę ruchów. Uczynił to zaś dlatego, że widział w tym swój państwowy interes. Mussolini zrozumiał jedną rzecz zasadniczą, której inni twórcy totalizmu nie rozumieją: że jedynie religia może dać trwałe podstawy moralności i ofiarności, bez których na dłuższą metę żadne państwo utrzymać się nie może. Ambicjom narodowym Włochów schlebiał też fakt, że panowanie duchowe Kościoła, mającego siedzibę we Włoszech,

to jakby duchowa konstytucja imperium rzymskiego, to jakby misja specjalna Włochów. To są jednak sploty wyjątkowe. Konkordat nie oznacza też bynajmniej aprobaty Kościoła dla faszystowskiego systemu. Kościół stara się zawsze pogodzić z danymi mu warunkami politycznymi, co nie znaczy, by jakiś system aprobował. Nie była bez wad wielkich i demokracja, zwłaszcza taka, którą rządziły tajne organizacje. Totalizm ze stanowiska katolickiego jest jednak stanowczo groźniejszym niebezpieczeństwem, nawet wtedy, gdyby, jak to zamierzał niedoszły „Hitler belgijski“, Degrelle — chciał ogłaszać panowanie Chrystusa Króla. Katolicyzm wyrósł już z wiary w skuteczność *bracchium saeculare*. Nie wróci on też już do inkwizycji. Te nasze dawne błędy popełniać dzisiaj mogą nasi młodzi jeszcze przeciwnicy.

Totalizm więc jest nową próbą, którą musimy przetrzymać. Jakie będą jej wymiary czasowe i przestrzenne? Czy czeka nas zwycięstwo totalizmu na całym świecie? I jakie są wnioski trwałości istniejących ideologii totalnych?

Horoskopy na temat trwania ideologii totalnej są trudne. Żyjemy w epoce niesłychanie szybkich przemian. Z drugiej jednak strony, jak stwierdziliśmy, nie widać narazie szans załamania się bezpośredniego żadnego z istniejących ustrojów totalnych. Trzeba tu sobie postawić pytanie, czy totalizm jest jedynie reakcją na polityczną anarchię powojenną, czy też, jak twierdzą faszyci chodzi tu o antytezę do całej tej anorganicznej epoki, którą były tzw. czasy nowożytne w przeciwieństwie do „organicznego“ średniowiecza. Głębsza analiza musi nas doprowadzić do wniosku, że chodzi tu jednak o coś więcej, niż o zwykły porewolucyjny cezaryzm. Tęsknota za jednością rozstrojonej wewnętrznie kultury zachodniej zaznaczała się bynajmniej nie dopiero od czasów wielkiej wojny. Egałitaryzm rozwijał się już od czasów rewolucji francuskiej i przejawiał się na zewnątrz choćby w likwidacji stanowych strojów. Po wojnie wytworzył się wprost jakiś pęd do munduru, który przecież, jakby się spodziewać było można, powinien był raczej obrzydnąć jako symbol wojny i niewoli wojskowej. Lecz ludzie przyzwyczaili się do munduru i komendy. Zaznaczyło się ciekawe zjawisko

militaryzacji stronnictw politycznych.¹⁾ Masowość reprodukcji i standaryzacja produkcji wycisnęły też swoje piętno na nowoczesnym człowieku. Ale i to jeszcze nie jest dnem tego zjawiska. Nie możemy tu rozwijać całej filozofii dziejów. Możemy jedynie zaznaczyć, że najgłębszej przyczyny trzeba szukać w niedorozwoju moralnym nowożytnego człowieka. Rozbudzenie opartej na powierzchownym rozwoju umysłowym konsumpcji kulturalnej a raczej pseudokulturalnej (powieść sensacyjna, prasa, film, ilustracja) wytworzyło pewną bierność duchową łakomego, ale niezdolnego do samodzielności — chociażby w ocenie, amatora łakoci. Z drugiej strony chaotyczność doznań i ich dysharmonia, przy braku zdolności do hierarchizowania wartości, wytworzyć musi tęsknotę za jakimś choćby mechanicznym ładem. Standaryzacja kulturalna ma bynajmniej nie tylko techniczne przyczyny. Człowiek dzisiejszy nie ma czasu na pracę wewnętrzną ani nie rozumie jej potrzeby. Jego postawa jest hedonistyczna i zewnętrzna a jego przeżycia płytkie. I dlatego nie mógł on z fenomenalnymi postępami wiedzy i techniki, opartej na podziale pracy i specjalizacji, równocześnie podciągnąć swój poziom wewnętrzny. Indywidualność rozumiał jako nieskrępowane wyżycie się silniejszego kosztem słabszych. Do obłędnej ekstazy doszła ta postawa w nadczłowieczeństwie Nietzschego. Tak pojęty indywidualizm musiał zrodzić wyzysk kapitalistyczny i reakcję organizującej się słabości małego czy szarego człowieka, który tylko w masie poczuł się sobą i z masy zrobił, gdy mu religię zabrano, nowe swe bóstwo. Kolektywizm usiłuje ostatecznie wyzwolić się z kultury moralnej jednostki. Jest to finał tego wielkiego odwrótu od spraw Bożych do ziemskich, który zapoczątkowany został przez humanizm.

Totalizm jest naturalnym ogniwem w tym rozwoju. Z drugiej jednak strony realizacja jego tylko tam doszła do skutku, gdzie zaistniały warunki pomyślne dla cezaryzmu. Mimo to za wcześniej jeszcze na postawienie tezy, że pochod totalizmu jest już zatrzymany. Trzeba pamiętać, że totalizm

¹⁾ Patrz na ten temat studium A. Hertza w *Przeglądzie Socjologicznym* 1936.

grozi zarówno z prawej jak z lewej strony. Mamy go już zresztą dziś na terenie azjatyckim, w Turcji, a w Hiszpanii istnieje on po obu stronach frontu. Zastanawiający jest też fakt, że mógł on się pojawić jako ruch, choćby słaby nawet na gruncie konserwatywnej Anglii, gdzie przecież stosunki są względnie ustabilizowane.

Totalizm więc wisi nadal jako groźna możliwość nad całym światem.

Czy i jakie mogą istnieć środki zaradcze przeciw prądom totalizmu?

Ogólnie powiedzieć można, że chcąc zapobiec powstaniu czy zwycięstwu totalizmu, trzeba rozwiązać te problemy, które totalizm rozwiązuje: zapewnić ład, koncentrację sił, możliwą trwałość władzy i planowość gospodarki, sprawiedliwość socjalną i opanowanie sił destruktywnych w dziedzinie politycznej jak i moralno-kulturalnej.

Czy można to osiągnąć bez wpadnięcia w totalizm? Trzeba pamiętać, że totalizm jest odruchem i jako taki siłą faktu musi on iść dalej, niż tego wymaga rzeczowa konieczność. Otóż Polska ma wszystkie warunki do przeprowadzenia takiego eksperymentu, by osiągnąć pozytywne rezultaty, które przynosi totalizm, a uniknąć wszelkich jego smutnych następstw. Wiemy, iż marszałek Piłsudski nie chciał wejść na śliską drogę totalizmu, wiemy również, iż w tym duchu zrealizowano niespisany jego testament polityczny; symbolem tej tendencji było rozwiązanie BBWR.

Lecz w jakim kierunku winna iść ta „realizacja prewentywna” totalizmu?

Możemy tu oczywiście sformułować tylko pewne ogólne zasady. Przede wszystkim trzeba rozróżnić kwestię form i kwestię treści.

Formy ustrojowe trzeba oprzeć na zasadzie: tyle przymusu ile trzeba, tyle wolności ile można. Przymus nie może być zasadą, lecz jedynie koniecznością. Nie wolno go stosować w kwestiach sumienia i przekonań, ale trzeba użyć go tam, gdzie chodzi o złą wolę, czy to w dziedzinie politycznej (o działanie na szkodę państwa czy narodu, lub chociażby i ustroju — poza legalną i rzeczową krytyką, która jest konieczna) czy też w dzie-

dzinie kulturalnej, gdzie chodzi o skomercjalizowaną produkcję tandety czy pornografii.

Otóż pogodzenie planowości z wolnością gospodarczą może umożliwić jedynie ustrój korporacyjny.

Trzeba stworzyć pewne minimum wspólnych założeń, na których oprzeć się musi coś w rodzaju obowiązującej ideologii państwowej. Muszą to być jednak zasady ogólne, na które się cały prawie naród zgodzi. Należy musi do nich zasada, że Polska służy chrześcijaństwu i odrzuca materializm. Deklaracja Obozu Zjednoczenia Narodowego jest pod tym względem szczęśliwym prognozykiem, że wchodzimy właśnie na tę ideową drogę. Chodzi teraz o to, by pozostawić możliwie szeroki margines swobody i dać możliwość organizowania się wolnych sił narodu na tej już określonej płaszczyźnie, z tym jednak, że nie może to oznaczać powrotu do nieodpowiedzialnych rządów partyjnych. Konstytucja dzisiejsza, choć daleka jeszcze od doskonałości, stanowi jednak ważny etap na tej drodze do pogodzenia zasady silnych i trwałych rządów z możliwością swobodnego krążenia elit politycznych i selekcji sił rządzących, oraz zasady choć ograniczonej ale realnej samorządności.

Najistotniejszą jest jednak kwestia reformy treści kultury, reformy duszy ludzkiej. Chodzi tu o skierowanie największego wysiłku na pole najistotniejsze, budowy wartości kulturalnych, moralnych i intelektualnych. Otóż wydaje się nam, iż personalizm jest najszcześniejszym, nowym sformułowaniem starych prawd, na które czekała nasza wyjątkowa epoka.¹⁾

Łatwiej jest jednak rzucić hasła niż nadać im dynamikę. Personalizm jest niestety o tyle trudną ideologią, że jest on — można by powiedzieć — demagogicznie mało wydajny. Ludzie wolą takie ideologie, które obiecują a nie wymagają. Polska ma jednak możliwie najlepsze warunki, by z tej trudnej ale zgodnej z naszym wrodzonym indywidualizmem po-

¹⁾ Na temat personalizmu patrz: Docent Karol Górski: Wychowanie personalistyczne. Nakładem Nacz. Inst. Akcji Katolickiej. Poznań 1936, oraz wydaną tamże pracę autora: Wychowanie społeczne (wykład, wygłoszony na II Studium Katol. w Wilnie).

stawy zrobić ideę narodową, którą by można skutecznie przeciwstawić totalizmowi od wschodu i zachodu. Pewno, że przyjęcie ideologii, to jeszcze nie jej urzeczywistnienie. Na to trzeba więcej, niż pracy jednego pokolenia. Chodzi jednak narazie o to, by znaleźć swoją drogę, swoją ideę, która stanie się ośrodkiem moralnej koncentracji sił narodowych.

Polska przecież nie po raz pierwszy w ciągu swej historii musi wziąć na swe barki obronę wolności i chrześcijaństwa.

Dr Andrzej Niesiołowski.

Dziedzictwo twórcze Sienkiewicza w obliczu dnia dzisiejszego.

I.

Wszyscy doskonale wiemy o tym, iż jedną z naczelných i najbardziej charakterystycznych cech wszelkiej prawdziwie wielkiej sztuki pisarskiej — jest jej zdumiewająca żywotność, jej nieprzemijająca atrakcyjność — innymi słowy: fenomenalna zdolność stawiania zwycięskiego oporu działaniu czasu, które tak bezlitośnie i tak gruntownie demaskuje i niszczy wszelką mierność, choćby niewiedzieć jak ubóstwianą i rozreklamowaną przez współczesne autorowi pokolenie.

Nie wszyscy natomiast, względnie nie zawsze umiemy dostrzec drugą prawdę, niemniej oczywistą od poprzedniej, mianowicie fakt, iż żywotność i nieprzemijająca atrakcyjność jakiegoś prawdziwie wielkiego pisarza czy wielkiego dzieła nie oznaczają bynajmniej niezmienności reakcyj, jakie ów twórca czy owo dzieło wywoływać muszą u odbiorców. Wręcz przeciwnie: jedną z naczelných cech geniuszu jest zdolność budzenia coraz to innych reakcyj, aktualizowania się w coraz to innych warunkach, narzucania każdej epoce głębokiego przeświadczenia, iż tylko ona, ona jedna, a nie żadna z poprzednich czy następnych, posiada dojrzałość, niezbędną do najpewniejszego i najwłaściwszego obcowania z tym właśnie geniuszem i jego dziełem... Tak też jest w rzeczywistości. Każdy wielki pisarz inaczej jest czytany przez każdą epokę; każde pokolenie inaczej nań reaguje,

czego innego w nim szuka i co innego znajduje, niż wszystkie poprzednie i następne. Inaczej czytali Słowackiego współcześni mu, a inaczej ich synowie. Homer „hellenistów“ nowoczesnych, obcych i naszych, Homer Willamowitza, Zielińskiego i Sinki — jakże inny jest od Homera, takiego jakim go pojmowali filologowie sprzed stu i więcej laty z F. A. Wolffem na czele. Szekspir zaś „dzisiejszy“ równie daleki jest od Szekspira Schlegla i Tiecka, jak i od Szekspira wolterowskiego!

Nic więc dziwnego, że i najświetniejszy z powieściopisarzy polskich, twórca „Trylogii“ i *Quo vadis*, choć dwadzieścia i pół zaledwie lat temu zmarły, kim innym musi się wydawać nam, niż się wydawał swoim współczesnym.

Spółczeństwo polskie z tak ciężkich, tak bardzo ciężkich lat 1880—1905 widziało przede wszystkim w Sienkiewiczu „krzepiciela serc“, duchownego przewodnika narodu, dziedzica wielkiej poezji romantycznej, spełniającego tę samą zupełnie rolę, co inni, choć i w innej zupełnie formie, bo też inne nastąpiły czasy, inne zjawiły się zapotrzebowania i inne gusty. Żywa, barwna, niemal lekka powieść historyczno-awanturnicza pełniła ten sam trud, budziła te same reakcje, te same koła rozpacz i te same gasiła zwątpienia, co i walter-scottyczny a homerycki zarazem *Pan Tadeusz*, sakralne niemal *Księgi narodu*, mistyką najwspanialszą tchnące *Dziady*, ironiczny *Beniowski*, proroczy *Anhelli*, głęboki *Psalm dobrej woli*.

Dla nas natomiast dziś — gdy zbliża się dwudziestolecie niepodległości, gdy coraz mocniejsi i pewniejsi się czujemy w odrodzonym, własnym państwie, dla nas, rozpiepanych zrozumiałą i naturalną ambicją mocarstwowości — Sienkiewicz jest już czymś zupełnie innym, mianowicie w pierwszym rzędzie jest jednym z tej mocarstwowości współtwórców — jest twórcą Polski, jako mocarstwa literackiego.

Bo zważmy tylko. Raz po raz słyszymy rzucane z katedr uniwersyteckich — a więc dające gwarancję autorytatywności, a co najważniejsze: obiektywizmu — słowa o wielkości i wspaniałości naszej literatury; o tym, że *Pan Tadeusz* to największa, najwspanialsza epopea poetycka czasów nowo-

żytnych; że *Król Duch* to najbardziej romantyczny utwór całej poezji europejskiej; *Dziady* — to najwyższy wzlot romantyzmu światowego w zakresie mistycyzmu religijnego i patriotycznego; *Lilla Weneda* — najlepszy dramat romantyczny, Fredro — największy komediopisarz europejski, równy Molierowi... Jednym słowem, wedle opinii największych powag — tyle posiadamy arcydzieł, którymi literatura polska może zaimponować światu, ba, którymi wprost światu przoduje... „Jaka tylko szkoda, że świat nic o tym nie wie i nigdy się nie dowie“, z melancholijnym uśmiechem zreasumował wszystkie przytoczone powyżej rewelacje wybitny współczesny pisarz polski.

Czy istotnie świat nigdy się nie dowie? — to kwestia dyskusji. Ale że nie dowiedział się dotąd, nie ulega żadnej wątpliwości. Choć dowiedział się o bardziej jeszcze egzotycznych, niż polska, literaturach skandynawskich i rosyjskiej. I nie tylko je ocenił, ale czas jakiś snobował się nimi i to nieraz wybitnie ponad miarę. Nie będziemy tu wdawali się w analizę znanych zresztą powodów, dla których literatura polska nie mogła znaleźć sprzyjających warunków do pozyskania sobie na Zachodzie należytego uznania; stwierdzimy tylko, iż jeśli przecież na tym polu coś zostało odrobione, coś zdobyte... jeśli piśmiennictwo nasze przecież zostało przyjęte do rodziny czołowych literatur europejskich, ba, światowych... jeśli nazwa „literatura polska“ stała się nie obca przeciętnie inteligentnemu czytelnikowi nie tylko w Berlinie i Londynie, ale i w Buenos Ayres, w Sidney czy Tokio — to jest to zasługa Henryka Sienkiewicza, pierwszego Polaka, odznaczonego najwyższym odznaczeniem literackim świata: nagrodą Nobla... zasługa, szczególnie doniosła właśnie dziś, bo zaspokajająca w pewnej a ważnej dziedzinie tak właściwe dziś narodowi polskiemu, ambicje wielkomocarstwowe.

Jeśli zaś wspomnieliśmy już o nagrodzie Nobla, przyznanej Sienkiewiczowi i spełniającej w pewnym sensie *a priori* marzenia dzisiejszości polskiej o wielkomocarstwowej potędze, — nie można pominąć innego jeszcze szczegółu charakterystycznego tej nagrody, mającego ogromne znaczenie dla propagandy naszej kultury na szerokim świecie. Oto utarła się powszechnie opinia, że w dziełach laureatów Nobla

świat otrzymuje jakby kwintesencję kultury tych narodów, których reprezentantami są poszczególni laureaci. Czy zawsze rzecz tak się ma istotnie? Otóż wcale nie zawsze: czytelnik francuski, angielski czy niemiecki grubo się myli, gdy sądzi np., że książki Sinclair Lewis'a odzwierciedlają prawdziwą opinię Amerykanów o sobie samych i własnym kraju; przeciwnie U. S. A. bardzo niechętnie przyjęły wiadomość o nagrodzeniu autora „Babbita“, „Doktora Arrowsmith'a“, „Dodsworth'a“ i „Anny Vickers“. Również jeśli chodzi o Iwana Bunina, twórczość jego jest w bardzo małym stopniu rdzennie rosyjska, nie zawiera w sobie prawie nic z tych elementów kultury i psychiki rosyjskiej, które jakiś czas tak bardzo fascynowały i zdumiewały Zachód, a w każdym razie zawiera ich znacznie mniej, niż twórczość dawniejszych kandydatów rosyjskich do nagrody Nobla: Gorkiego i Mereżkowskiego. Ale idźmy jeszcze dalej: czyż głęboko przepojona tradycjami i duchem katolicyzmu i średniowiecznego rycerstwa *Krystyna, córka Lawransa* Sygrydy Undset nie jest raczej egzotycznym kwiatem na gruncie protestancko-pietystycznej czy sekciarsko-mistycznej atmosfery, przepajającej mieszczańską i ludową kulturę Skandynawii, — nie zaś w żadnym razie atmosfery tej reprezentantką?! Zupełnie inaczej rzecz się ma z Sienkiewiczem: w jego dziełach czytelnik cudzoziemski znajdzie pełne i niekłamane odbicie polskiego charakteru narodowego w całym bogactwie wszystkich jego zalet, świadomie przez artystę podkreślonych, równie jak wad i braków, ujawniających się wbrew woli, a zapewne i wbrew świadomości twórcy. A nie tylko dzieło, ale i sam twórca zaprezentuje sobą na kartach „Trylogii“, *Bez dogmatu*, *Rodziny Połanieckich* i *Quo vadis* całą prawdę o rasowo polskim typie twórczym, w którym czytelnik francuski, anglosaski, brazylijski czy japoński bez trudu odcyfruje bardzo wysoką kulturę, maestrię słowa, pierwszorzędne kwalifikacje narratorskie, niesłychanie lotną i plastyczną wyobraźnię, bujny, ba, hałaśliwy niekiedy temperament, wyrafinowaną wrażliwość estetyczną, szczerą i głęboką uczuciowość, powierzchowną znajomość prawdy o tajnikach duszy ludzkiej, dość zuchwałe beztroskie zbywanie dekoracyjnym efektem czy precudnie

wystylizowanym frazesem najbardziej dręczących inne społeczeństwa i inne literatury zagadnień, wreszcie wyraźną niechęć do filozofii — do filozofii historii w szczególności...

II.

Ponieważ jednak cechy ujemne polskiego charakteru narodowego i polskiego typu psychicznego oraz kulturalnego występują w dziełach Sienkiewicza raczej podświadomie i to sporadycznie, naprawdę zaś jego twórczość to jeden wielki pean ku czci własnego narodu, — nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w epoce wojującego i triumfującego nacjonalizmu dziedzictwo twórcze Sienkiewicza będzie mogło liczyć na entuzjazm i to entuzjazm prawdopodobnie jeszcze gorętszy, jeszcze mniej krytyczny, niż za jego życia. Na fakt ów nie pozostanie bez wpływu również i wspomniana już wyżej typowa, rasowa polskość jego artyzmu, jego umysłu, jego reakcyj na wszelkie zjawiska i zagadnienia... Z drugiej przecież strony nie należy spuszczać z oka odwrotnej strony medalu: w bojowo patriotycznej, najkonsekwentniej i najzupełniej narodowej postawie Sienkiewicza - twórcy tkwi dużo elementów, obcych duchowi nacjonalizmu współczesnego: prądom totalistycznym obcy będzie indywidualizm sienkiewiczowski, jego kult jednostkowego bohaterstwa, kult ściśle indywidualistycznego poczucia odpowiedzialności moralnej i politycznej. Wydaje się nam także, że sienkiewiczowskie ujęcie walk polsko-kozackich, jako wojny domowej, — jakkolwiek odpowiada pewnym aktualnym tendencjom politycznym, — w zasadzie przecież nie pokrywa się z ideowymi podstawami nowoczesnych nacjonalizmów.

Jeżeli jednak w świetle pewnych aktualnych prądów ideowych Sienkiewicz wydawać się może komuś pisarzem za mało nacjonalistycznym w sensie dzisiejszym, to z drugiej strony atakuje się go dziś nieraz, jako pisarza właśnie skrajnie nacjonalistycznego, jako typowego reprezentanta literackiego hurra-patriotyzmu. Ataki te kierowane są głównie przeciwko Sienkiewiczowi, jako pisarzowi-wychowawcy. Zarzuca mu się przesadną idealizację cech własnego narodu, dalej naginanie, ba nawet fałszowanie prawdy historycznej

dla celów dydaktycznych. Dydaktyce tej ze względu na jej przesadny optymizm zarzuca się z kolei nieprzydatność w dobie dzisiejszej, wychodząc z założenia, że we własnym państwie powinno nas stać na bardziej krytyczny, bardziej obiektywny stosunek do własnej przeszłości. Stąd określanie roli wychowawczej Sienkiewicza, jako anachronizmu — jako metody, właściwej w czasach niewoli, ale dziś już przestarzałej i całkowicie zawodnej.

Otóż, nie uważając się za kompetentnych do zabierania głosu w sprawie pedagogii i dydaktyki, zwrócimy jednak na tym miejscu uwagę na nieścisłość takiego historycznego umiejscowiania roli wychowawczej Sienkiewicza. Optymizm bowiem twórcy „Trylogii” i jego idealizowanie własnego narodu nie da się bynajmniej wyjaśnić wyłącznie faktem, iż twórczość sienkiewiczowska powstawała w okresie niewoli, „dla pokrzepienia serc”. Bo przecież i w czasach niewoli mieliśmy twórców-wychowawców, bynajmniej nie schlebających narodowi: pewne partie *Ksiąg pielgrzymstwa* i *Anhellego*, *Grób Agamemnona*, znaczna część zawartości *Lalki*, *Ludzie bezdomni* i *Wesele* najlepiej chyba o tym świadczą! Nie, wprost w literaturze polskiej na całej przestrzeni jej dziejów dadzą się wyodrębnić dwa równoległe prądy wychowawcze: optymistyczny (Orzechowski — Krasński — Sienkiewicz) i pesymistyczny (Skarga — Słowacki — Żeromski). Ewentualna wyższość jednego prądu nad drugim, to już kwestia fachowej dyskusji, względnie wprost indywidualnego gustu.

III.

Istnieje przecież punkt, w którym dziedzictwo twórcze Sienkiewicza — jeśli chodzi o jego ideowy podkład — zaatakowane być może dziś równocześnie z obu skrzydeł, tj. zarówno z prawa, jak i z lewa, że użyjemy popularnej nomenklatury. I co ważniejsze, chodzi tu o punkt, najwrażliwszy spomiędzy wszystkich zagadnień dzisiejszości. Jest nim kwestia społeczna.

W tej dziedzinie całkowita odmiennność podejścia dwu epok (współczesnej mu i dzisiejszej) do Sienkiewicza ma

charakter nieporównanie głębszy, niż efektowna, ale bądź co bądź czysto zewnętrzna linia podziału między „krzepicielem serc“, a „twórcą mocarstwowości literackiej“. Chodzi tu bowiem o rzecz zasadniczą. Powieści Sienkiewicza są niewątpliwie „biblią“ polskiej kultury szlacheckiej. Kultura ta zwalczana jest dziś nie tylko przez prądy demokratyczne, względnie socjalistyczne. Zwalczają ją także pewne wpływowawe odłamy nowoczesnego nacjonalizmu, podkreślające raz po raz ludowy (chłopski i robotniczy) charakter podstaw psychicznych i kulturalnych ruchu narodowego. — Charakter ten — jak twierdzą — nie ma nic wspólnego z psychicznymi i kulturalnymi tradycjami Polski szlacheckiej. Rzecz naturalna, że logicznym następstwem takiego stanowiska musiałaby chyba być negacja klasycznie szlacheckiego dziedzictwa twórczego Sienkiewicza; negacja, niemal identyczna z tą, jaka cechuje ruch ideowy, biegunowo przeciwny.

Abstrahując jednak od typowo szlacheckiej postawy Sienkiewicza, jako człowieka, wobec wszelkich zjawisk i zagadnień, zastanówmy się, czy Sienkiewicz-artysta nadał istotnie tak głębokie i jaskrawe piętno klasowe całemu swemu dziełu — tak, jak mu to zarzucają klasowi również wrogowie? Odpowiedź — naszym zdaniem — wypada tak, że całkowicie rehabilituje Sienkiewicza-artystę. Tak się bowiem składa, że niechęć klasowa występuje u niego w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do nasilenia artyzmu: najbardziej „szlachecki“ bowiem jego utwór jest zarazem jego utworem najsłabszym. Mamy na myśli dramat *Na jedną kartę*.

Powie ktoś: „Trylogia“. Czyż nie jest ona przepojona apoteozą szlachetczyzny? Owszem jest, ale ściśle z zachowaniem granic i proporcji. Bo zwróćmy uwagę: jedyną warstwą dynamiczną, historio-twórczą była w w. XVII szlachta, inaczej, niż — powiedzmy — w wieku XV, gdy było nią także mieszczaństwo. Z natury więc rzeczy, idealizując historię polską wieku XVII, musiał autor idealizować sferę, która sama jedna wówczas tę historię tworzyła: *toutes proportions gardées!* W każdym razie w artystycznej konstrukcji „Trylogii“ szlacheckość wcale nie uwydatnia się jaskrawiej, niż proletariackość w najwyższych choćby osiągnięciach artystycznych współczesnej literatury o ideologii socja-

listycznej (*Piotr I A. Tołstoja, Cichy Don Szołochowa, Dola człowieka A. Malraux*).

A *Quo vadis*? Jeszcze w epoce przedwojennej niektórzy krytycy lewicowo-radykalni zarzucali tej powieści „burżuazyjny sybarytyzm, obojętny na krzywdę klas upośledzonych“. Dowód? Oto on: sielanka przedostatniego rozdziału — Winicjusz i Ligia po szczęśliwym ominięciu wszystkich niebezpieczeństw rozkoszują się dostatkiem, spokojem i miłością w swych dobrach sycylijskich, a tam dalej na nich — chrześcijan, wyznawców miłości bliźniego — pracują ich niewolnicy...

Otóż do obrazka tego wrócimy jeszcze w niniejszym szkicu, obecnie tylko zaznaczymy, że pewien niewątpliwy zgrzyt społeczny, tkwiący w powyższej sielance, został w całej pełni zrównoważony przez inną sielankę, niemniej czarującą pod względem wykonania artystycznego. Mamy tu mianowicie na myśli zakończenie powieści głośnego sowieckiego pisarza, Awdiejenki pt. *Kocham*. Utwór ten, typowa „biblia“ i „złota księga“ zarazem nowej arystokracji rosyjskiej, elity robotniczej, kończy się następującym obrazkiem: bohater książki, Aleksander Głód, wraz z żoną beztrudno spędza rozkoszne chwile na plaży wykwinetnego uzdrowiska, gdzie dostęp mają tylko członkowie kom. partii i gdzie nie tylko inteligenta — „liszeńca“, ale i proletariusza bezpartyjnego, choć ciężko chorego, nie wpuszczają...

Wracając do *Quo vadis*, stwierdzić musimy, że przeciwnie w żadnym utworze nie objął Sienkiewicz tak zatroskanym spojrzeniem losu upośledzonych, jak właśnie tu... Czy uczynił to tylko, jako artysta, dbający o wierne oddanie ducha chrześcijaństwa, jako religii, niosącej pomoc i pociechę upośledzonym? Nie, sądzimy, że rzecz ma się raczej przeciwnie: dlatego m. in. wybrał taki temat, ponieważ — zdaje się — tylko w chrześcijaństwie widział drogę do usunięcia niesprawiedliwości społecznej. Dowodem, prócz *Quo vadis*, może być bynajmniej nie historyczna, ale wyraźnie z aktualną tendencją społeczną pomyślana druga opowieść z tomiku *Humoreski z teki Worszyłły*. Tendencją tą: propagowanie katolickiego ruchu społecznego, I tu właśnie dochodzimy do zagadnienia, czy Sienkiewicz był pisarzem

katolickim. Nie czy był wierzącym i praktykującym katolikiem, ani też nie czy głosił w swych utworach idee i hasła, którym bez reszty mógł przyklasnąć cały współczesny mu świat katolicki? Nie, tu chodzi nam o to, czy i o ile uznać możemy, wzgl. powinniśmy twórcę „Trylogii“ i *Quo vadis* za artystę i myśliciela katolickiego w świetle wymagań, stawianych pisarzowi katolickiemu przez dzień dzisiejszy... przez epokę wspaniałego rozkwitu historiozofii, apologetyki i psychologii w powieściopisarstwie katolickim... przez epokę, która wydała Chestertona, Mauriac'a, Maritain'a, Massis'a, Bernanosa, Bensona, Jørgensena, Undset, i Zofię Kossak-Szczucką... Bo nie zapominajmy, że interesuje nas tu tylko dziedzictwo Sienkiewicza w obliczu dnia dzisiejszego, a więc w obliczu problemów, nekających współczesność, i wymagań, przez nią stawianych?

IV.

Zacznijmy od zastrzeżeń.

„Trylogia“. Powie ktoś: nie może być żadnych zastrzeżeń! Czyż całe dzieło nie jest przepojone atmosferą gorącej i szczerej religijności? I czyż wszyscy bohaterowie od Skrzetuskiego i Longinusa do Rzędziana i konającego heretyka Radziwiłła nie są nabożnymi, gorliwymi katolikami?

I jedno i drugie jest zupełnie prawdziwe, ale to jeszcze niczego nie dowodzi. Wszak *Dziewica Orleańska* przepojona też jest atmosferą religijności, a czyż nazwie kto Fryderyka Schillera, twórcę *Zbójców* i *Don Carlosa*, pisarzem katolickim? Rosyjscy poeci: Briusow i Gumilow, oraz nowelista Bunin na niejednej karcie swych dzieł umieją wspaniale uczcić katolicyzm, ale znajdziemy też u nich utwory, świadczące o całkowicie akatolickiej czy nawet achryścijańskiej postawie duchowej. A religijność bohaterów „Trylogii“? Bohaterowie powieści historycznych: *Ivanhoe*, *Talizman* czy *Hrabia Robert Paryski* są niemniej gorąco nabożni od bohaterów sienkiewiczowskich, a przecież powieści te wyszły z pod pióra zdecydowanie protestanckiego pisarza, Walter-Scotta!

„Trylogia“ natomiast świadczy o czym innym: o niesłychanej umiejętności wczuwania się w klimat duchowy

epoki. Szlachta XVII wieku była głęboko i gorąco religijna — to fakt historyczny: w prawdę tego faktu Sienkiewicz wczuł się z fenomenalną wnikliwością i odtworzył go z nieporównaną plastyką.

W plastycznym odtwarzaniu objawów religijności Sienkiewicz nie ma sobie chyba równego w powieści europejskiej. Nikt też tak, jak on, nie potrafi odtwarzać oddziaływania religii na uczuciowość w człowieku: bohaterowie „Trylogii“, a dalej Winicjusz, przede wszystkim zaś Chilon — to najznakomitsze osiągnięcia jego sztuki na tym polu.

Ale wszyscy dobrze wiemy, że objawy zewnętrzne nie wyczerpują życia religijnego; wiemy też, że religia — chrześcijaństwo, katolicyzm w szczególności — bynajmniej nie ogranicza się do opanowania tylko uczuciowej strony psychiki ludzkiej. Sięga znacznie dalej, szerzej i głębiej: otóż tam dalej, szczególnie w te głębie duchowe talent i kunszt sienkiewiczowski za katolicyzmem nie podążają... „Nie mają nóg“, jakby powiedział Petroniusz.

Przykłady? *Bez dogmatu* mogłoby się stać programowym dziełem literackim myśli i psychologii katolickiej. Być może, tak też było pomyślane... W wykonaniu jednak stało się czym innym: świetnym co prawda studium, ale studium braku woli, nie braku wiary... „tragedią nie wiary, ale tragedią miłości“, jak określił to Piotr Chmielowski. Bo istotnie: już w połowie pierwszego tomu nie mamy wątpliwości, iż choćby Płoszowski dostąpił szczególnego nawet objawienia, jak sam św. Augustyn, niczego by to nie zmieniło: bo tego człowieka przynajmniej w ostatecznej artystycznej interpretacji Sienkiewicza, bolała i gnębiła jałowość własnego życia uczuciowego, nie duchowego...

Przeciwieństwem Płoszowskiego ma być Połaniecki. W czasach Sienkiewicza, gdy katolicyzm miał charakter statyczny i nie ruszał się z pozycji obronnych, gdy powieści katolickie pisane były dla samych katolików, — być może postać Połanieckiego mogła reprezentować literaturę katolicką... Ale dziś, gdy zadaniem naczelnym powieści katolickiej jest nie zdobywanie aprobaty wierzących, ale żywa propaganda ideałów u obojętnych, obcych, nawet wrogich... gdy każdą postać kreśli się z myślą, by za jej pomocą przy-

ciągnąć do katolicyzmu jakiegoś sceptyka czy wprost wroga, by go przekonać lub urzec jej ogólnoludzkimi (a przecież z gruntu katolickimi) zaletami charakteru czy intelektu — dziś postać pana Stanisława w żaden sposób nie może być nazwana reprezentacyjną dla literatury katolickiej. Uderza bowiem w niej ubóstwo przeżyć duchowych, ubóstwo, względnie płytkość reakcyj na tak doniosłe w życiu katolika zdarzenia, jak małżeństwo, śmierć bliskiej osoby, a przede wszystkim grzech... Odnosimy wrażenie, że we wszystkich tych sprawach katechizm Połanieckiego mieści się bez reszty w zasadach *savoir-vivre*'u, względnie w zasadach przyzwoitości, obowiązującej w jego sferze i epoce...

Właśnie jeśli chodzi o grzech, którego problematyka łącznie z problematyką pokuty tak doniosłą przecież dziś rolę odgrywa w literaturze katolickiej (Mauriac), otwierając przed powieścią psychologiczną nowe zawrotne głębie tajników duszy ludzkiej — właśnie w tej dziedzinie Sienkiewicz robi wrażenie zupełnej bezradności. Ale współczesna literatura katolicka zdumiewa ponadto szerokością swoich horyzontów intelektualnych, błyskotliwością reprezentujących ją talentów apologetyczno-dialektycznych, głębią i oryginalnością historiozoficznych koncepcyj. Jakże w obliczu tych wymagań i osiągnięć prezentuje się dziedzictwo Sienkiewicza?

Na pytanie to dość wyczerpującą odpowiedź dać może jedno z najbardziej plastycznych i sugestywnych opowiadań sienkiewiczowskich *Na Olimpie*. Oto apostołowie Piotr i Paweł przychodzą sądzić antycznych bogów... przychodzą, aby wydać na nich wyrok zagłady, względnie cudowną swą mocą pogańskie te bóstwa uchrześcijanić... I cóż się okazuje? Nie znalazł w oczach apostołów uznania Jowisz, pan i stróż wszechświatowego ładu... nie znalazła go też Minerva, bogini mądrości, patronka — jakbyśmy dziś powiedzieli — wszystkich intelektualistów... Nie, ocalała jedynie Venus — przecudna, promienna... i ocalał Apollo, który wnet nastroił chór Muz na nutę antyfony „Pod Twoją obronę”. A więc ani nie prawo, strzegące powszechnego ładu i powszechnej sprawiedliwości, ani nie mądrość, nie intelektualizm — nie wydały się twórcy ślicznego opowiadania godnymi uchrześcijanienia, — tylko sztuka i miłość...

I tu dochodzimy do sedna zasadniczej postawy duchowej Sienkiewicza: jest nią epikureizm, niewątpliwie epikureizm w najlepszym stylu i najlepszym smaku, ale tym niemniej epikureizm klasyczny. To też nic dziwnego, że najdoskonalszym tworem Sienkiewicza jest jego *alter ego*: czczący sztukę i miłość, epikurejczyk, esteta i sybaryta, zawsze leniwie, ironicznie, sceptycznie uśmiechnięty Petroniusz... W postaci tej geniusz twórczy Sienkiewicza osiągnął swe szczyty i te osiągnął głębie, które były mu dostępne... Ale czy są to głębie istotnie zawrotne? Bynajmniej, wszak żadna z filozofij świata antycznego nie jest mniej głęboka od epikureizmu, jak nie jest też wcale głęboka — choć bardzo wszechstronna i błyskotliwa — skala doznań i zainteresowań *arbitra elegantiarum*.

I jeszcze jedno. Ta dość nie głęboka skala doznań i zainteresowań, cechująca petroniuszowski epikureizm, nie pozwoliła mu na zbliżenie się do chrześcijaństwa. Ale czy chrześcijaństwo — w dziele Sienkiewicza — uczyniło coś, by zbliżyć do siebie, zainteresować sobą takiego człowieka, jak Petroniusz? Do Winicjusza Prawda szła drogą świata uczuć, do Petroniusza mogła trafić tylko przez intelekt. I wiemy, że już w owym okresie tą drogą do reprezentantów elity rzymskiej trafiała. Twórca jednak *Quo vadis* całkowicie w cieniu pozostawił intelektualną stronę chrześcijaństwa i jej czołowego reprezentanta apostoła Pawła. Że trzeba było zrobić inaczej, wspaniała intuicja artystyczna Sienkiewicza zdaje się to wyczuwała; stąd wzmianka o dyspucie między Petroniuszem i Pawłem. I znowuż, jakie to charakterystyczne! o dyspucie tej dowiaduje się czytelnik jedynie z listu Winicjusza do Ligii, przyczem Winicjusz już nie pamięta prawie argumentów, jakimi tam szermowano i zadowala się radosnym stwierdzeniem, iż Petroniusz uznał swą porażkę... Rozumiemy, że dla Winicjusza ciosy myśli i słowa, jakie wymieniali między sobą dwaj intelektualiści, były może za trudne, a może za nudne — dla nas jednak dziś, którzy nauczyliśmy się upajać logicznością i błyskotliwością katolickiej apologetyki Chestertona, ta stracona sposobność przysłuchiwania się dyspucie Pawła i Petroniusza — owej walce dwu światów duchowych i myślowych, dwu kul-

tur, dwu historiozofij — jest szkodą nie do powetowania... I znowuż musimy wyrazić żal, iż skala talentu sienkiewiczowskiego nie ogarnia problemów intelektualnych i historiozoficznych... iż w twórcy *Quo vadis* nie znajdujemy choćby trochę z autora *Kuli i krzyża* czy *Człowieka, który był czwartkiem*, tak jak poprzednio nie znaleźliśmy nic w nim z autora *Kłębowskiego* *żmij* czy *Czarnych aniołów*...

Nic jednak chyba nie charakteryzuje tak silnie niedoborów historiozoficznych i apologetyczno-dialektycznych w talencie, oraz w postawie duchowej Sienkiewicza, jak fakt odstąpienia przezeń od zamiaru napisania powieści o Julianie Apostacie. Mianowicie podczas zbierania materiałów o cesarzu-odstępcy czołowy katolicki powieściopisarz XIX stulecia wycofuje się z zamierzonego przedsięwzięcia, co dla historii literatury jest szkodą niepowetowaną już choćby dlatego, że powieść taka, skonfrontowana z *Julianem Apostatą* Dymitra Mereżkowskiego stanowiłaby bezcenny materiał do podkreślenia różnic w podejściu kultury oraz psychiki polskiej i rosyjskiej do świata antycznego, problemów religijnych, triumfu chrystianizmu etc.

Dlaczego Sienkiewicz nie napisał „Juliana”? Niektórzy skłonni są szukać wytłumaczenia w jego epikureizmie, w jego szczerym a głębokim kulcie dla antycznej kultury i sztuki. Oto w sferach literackich i polonistycznych przechowuje się tradycja, że zapoznawszy się bliżej z epoką Juliana Odstępcy, miał Sienkiewicz ze szczerym oburzeniem zawołać w rozmowie z pewnym wybitnym historykiem literatury: „Ależ ci chrześcijanie to byli barbarzyńcy! Niszczyli świątynie... niszczyli arcydzieła sztuki!” Na podstawie powyższej tradycji niektórzy skłonni są uważać, że w wyniku swych studiów przygotowawczych Sienkiewicz uświadomił sobie, iż całą swą sympatią stoi po stronie ginącego pogaństwa, a przeciw rewolucyjnemu chrześcijaństwu; z czego — jako osobiście wierzący katolik i jako pisarz, lojalny wobec ideologii chrystianizmu, wyciągnął tę konsekwencję, że w ogóle porzucił wybrany temat.

Jesteśmy nieco innego zdania w tej sprawie. Oto Sienkiewicz niekoniecznie musiał stanąć całą swą sympatią po stronie ginącego pogańskiego świata i Juliana, a przeciw

chrześcijaństwu. Nie, mogło być wręcz odwrotnie, tylko twórca czuł się bezradny, nie wiedząc jakimiby drogami miał iść, ażeby wzbudzić w czytelniku sympatię i entuzjazm dla ówczesnego chrześcijaństwa, a nie dla pełnej romantycznego uroku postaci Apostaty i melancholijnej atmosfery, urokiem również owiewającej umierający świat antyczny. Zadanie było istotnie trudne. Epoka Juliana to nie czasy Nerona: malarskie operowanie techniką kontrastów, techniką światła i cieni na nicby się tu nie przydało. Chrześcijaństwo pokonstantynowskie bardzo już się zeświecczyło, pogaństwo zaczynało uzyskiwać aureolę ofiary prześladowań, choć i bezkrwawych... Julian osobiście był postacią niewątpliwie sympatyczną... Bezsprzecznie więc moment uczuciowy, sentymentalny skłaniałby się ku pogaństwu, a moment ten odgrywał czołową rolę w postawie duchowej i artystycznej Sienkiewicza... Nie wiedział więc, co zrobić, aby zyskać w książce sympatię dla strony przeciwnej. Nie umiał operować momentem intelektualnym, który by roztoczył przed czytelnikiem całe bogactwo i całą głębię ówczesnej myśli i nauki chrześcijańskiej, szczególnie zawzięcie zwalczanej przez Juliana, bo słusznie uważanej przezeń za najgroźniejszą broń w ręku przeciwnika... Dalej nie umiał Sienkiewicz posługiwać się momentem społecznym (pokazał to już we wspomnianej przez nas uprzednio sielance końcowej *Quo vadis*), który by silniej, niż cokolwiek, przekonał czytelnika, że reakcja pogańska byłaby nie tylko wielkim nieszczęściem dla upośledzonych, ale takby zachwiała ratowaną przez Kościół równowagę socjalną, że spowodowałaby powszechną anarchię... Wreszcie nie umiał Sienkiewicz operować momentem historiozoficznym; gdyby umiał, nie miałby wielkiego trudu w wykazaniu, że triumf chrześcijaństwa był nie tylko koniecznością dziejową, ale był nieodpartą logiczną konsekwencją biegu dziejów; reakcja zaś Juliana była z góry skazaną na zagładę, bo nie mającą korzeni próbą realizacji indywidualnego marzenia, ściśle wiążącego się z czysto indywidualnym kompleksem niższości, cechującym przyszłego Apostatę od wczesnych lat...

Było więc to dla Sienkiewicza zadanie za trudne. Jest natomiast pewna dziedzina, w której twórca *Quo vadis* nie

ma sobie równych w powieściopisarstwie europejskim i wysuwa się na czoło całej nowoczesnej literatury katolickiej. Mamy tu na myśli jego fenomenalny talent i zdumiewający kunszt w odtwarzaniu chrześcijaństwa, jako religii miłości. Pod tym względem *Quo vadis* przoduje całej powieści światowej, a takie postacie, jak Piotr, jak Paweł, gdy w imię miłości karci surowego Kryspusa, jak Glaukos, przebaczący Chilonowi, mają chyba zapewnioną nieśmiertelność w galerii typów, stworzonych przez literaturę wszystkich wieków, a mających reprezentować różne odmiany kultury duchowej ludzkości. Szczytem przecież osiągnąć twórczych Sienkiewicza na tym polu jest Jurand z *Krzyżaków*, w którym autor dosłownie „przeszedł samego siebie”. Mówimy „dosłownie”, bo oto *alter ego* Sienkiewicza to najbardziej uroczy ze wszystkich jego bohaterów — Petroniusz; a czyż urok jego — urok wykwintnego, wykształconego „arbitra elegantiarum”, spokojnie zabijającego człowieka, który go zdenerwował („Cuchniesz, Mirmilonie”) — nie przyska w porównaniu z półbarbarzyńskim okrutnym rycerzem kresowym, który w imię miłości Chrystusowej przebacza człowiekowi, który go pozbawił żony, dziecka, wzroku, mowy, ramienia?! Kontrast Petroniusz - Jurand to najlepsza ilustracja roli cywilizacyjnej chrześcijaństwa, jako najpełniejszego wcielenia ideałów humanitaryzmu. I właśnie nieporównana umiejętność artystycznego odtwarzania tej roli czyni z dziedzictwa twórczego Sienkiewicza dzieło niesłychanie atrakcyjne w obliczu dnia dzisiejszego, tego dnia, w którym chrześcijaństwo i Kościół ponownie stają się ostatnią ucieczką i ostatnią szkołą humanitaryzmu — miłości człowieka... W tej dziedzinie twórczość Sienkiewicza nie tylko nie ustępuje pod względem aktualności całej współczesnej literaturze katolickiej, ale ją przewyższa skalą swego artyzmu.

V.

Powiedzieliśmy, że u podstaw dziedzictwa twórczego Sienkiewicza leży epikureizm, ściślej mówiąc epikureizm uchrześcijaniony. Czasy dzisiejsze całą swą atmosferą, całym swym stylem są najskrajniej antyepikurejskie.

A przecież w sienkiewiczowskim epikureizmie znajdziemy moment, niezmiernie atrakcyjny w dobie dzisiejszej. Momentem tym jest erotyzm. Erotyzm, który tak doniosłą rolę odgrywa w literaturze współczesnej. Sienkiewicz jest bezsprzecznie najbardziej erotycznym z europejskich pisarzy katolickich: nie w sensie odsłaniania nagiej prawdy erotyzmu czy klinicznej niemal analizy działania erotyki na psychikę, w szczególności na moralność; nie, pod tym względem jest on z jednej strony bardzo powściągliwy, z drugiej nieomal powierzchowny. Przewyższa natomiast wszystkich ogromną rolę, jakiej udziela Erosowi w swej twórczości, przewyższa wiarą w decydujące znaczenie miłości w życiu ludzkim. I tu musimy zwrócić uwagę na moment, szczególnie dla Sienkiewicza charakterystyczny: na jego idealizację i sublimację erotyzmu. Miłość, która prawie u wszystkich współczesnych pisarzy, nawet katolickich, jest niemal wyłącznie siłą biologiczną i to przeważnie siłą złowrogą, niszczycielską — w dziełach Sienkiewicza sublimuje się w potęgę dobroczynną, twórczą, prowadzącą do doskonalenia się, do prawdy, do Boga... Przez miłość odradzają się Winicjusz i Kmicic, brak miłości gubi Płoszowskiego... Nawet tam, gdzie miłość ma charakter nielegalny, otoczy ją autor aureolą poświęcenia, ofiarą życia okupującego swą winę: Eunice...

Czy jednak ten silny a tak wyidealizowany nurt erotyzmu, w najwyższym stopniu właściwy twórczości Sienkiewicza, jest tylko wynikiem jego epikureizmu? Nam się wydaje, że jest jeszcze inne jego źródło, może ważniejsze od poprzedniego, a jest nim klasyczna, rasowa epickość sienkiewiczowskiego talentu i całej konstrukcji jego artyzmu.

Od praprawieków — od Mahabharaty i Iliady, Ramajany i Odyssei — dwa naczelne motywy panują nad sztuką epicką: miłość i walka. Epos albo śławi ich urok i moc, albo też opiewa ich przewyciężanie przez sublimację, ascezę, humanitaryzm, pacyfizm... Tak czy inaczej, zajmuje się przecież tylko nimi dwiema. Otóż Sienkiewicz jest niewątpliwym, klasycznym epikiem: jego żywioł to walka i miłość. W odtwarzaniu ich jest mistrzem nieporównanym — on,

piewca miłości Winicjusza i Ligii, Petroniusza i Eunice, pana Michała i Baški... on, batalista najznakomitszy wśród powieściopisarzy europejskich, z którym twórca *Wojny i pokoju* zaledwie się równa...

Co więcej, Sienkiewicz — jako artysta — jest tak dalece klasycznym typem epika, że aż się staje anachronizmem. Epicka powieść nowoczesna — powieść XIX i XX wieku (Balzac, dwaj Tołstojowie, Tomasz Mann, Szołochow, Dąbrowska, Zofia Kossak) zainteresowaniami swymi daleko wyszła poza granice, zakreślone przez *la gloire militaire* i erotyzm. Sienkiewicz poza granice te nie wyszedł, to prawda; gdy próbował wyjść, chybiał, ale w ich ramach został — mówimy to z całym poczuciem odpowiedzialności — po dziś dzień nieprzewyższony: *Ogniem i mieczem* i *Krzyżacy* to wzór nieporównany kompozycji powieściowo-epickiej; walka Urzusa z turem to arcydzieło epickiej techniki narracyjnej i malarsko-rzeźbiarskiej. Oddech epicki zaś i zwarta, ruchem regularnie przyspieszonym narastająca kompozycja narracyjna, równie jak sugestywna plastyka obrazowania, cecha również przede wszystkim sztuki epickiej, stanowią niezbędną podbudowę powieściopisarstwa historycznego. Brak epickiego oddechu i narastającej w swym tempie narracji nie pozwoli uchwycić dynamizmu i rytmu stawiania się dziejów; brak plastyki uniemożliwia wizję epoki. Dlatego też — choć na pewnych polach powieść historyczna XX wieku zostawiła już za sobą w tyle Sienkiewicza,¹⁾ w punktach przecież zasadniczych, że tak powiemy — w dziele budowy szkieletu konstrukcji historyczno-powieściowej nie przewyższył Sienkiewicza ani Mereżkowski, ani Tomasz Mann, ani Ałdanow, ani Neuman, ani nawet Aleksy Tołstoj, ani u nas twórca *Popiołów* choć przecież ta ostatnia powieść reprezentuje beletrystykę historyczną bardzo wysokiej klasy.

A przecież, jak dotąd, twórca *Popiołów* pokonywał twórcę „Trylogii” i *Quo vadis*. Pokonywał go w pierwszym

¹⁾ Jak np. na polu pogłębienia lub poszerzenia obrazu ducha epoki i jej kultury, na polu intelektualistycznej interpretacji zjawisk przeszłości, na polu wzbogacenia wiedzy o duszy człowieka czasów minionych.

rzędzie w dziedzinie oddziaływania na późniejsze generacje pisarskie. Rzecz ciekawa, że wielka sztuka sienkiewiczowska nie zostawiła właściwie dziedzica, nie zapłodniła następnych generacji literackich. Zofia Kossak odrazu poszła w kierunku przewycięzania dziedzictwa sienkiewiczowskiego, a nie nawiązywania doń, choć dziwną ironią losów raz po raz nieświadomie odsłania w sobie jeszcze niezindywidualizowanego epigona sztuki sienkiewiczowskiej. Gąsiorowski — ten sam, którego jedyne Sienkiewicz cenił, nazywając całą „Młodą Polskę“ „rują i porubstwem“ — nie dorósł nawet do kolana mistrzowi. Jedyne zmarły niedawno Choynowski i Goetel mogliby uchodzić za prawych dziedziców, ale szlachecki gest, temperament i błyskotliwy talent pierwszego zadowalał się przeważnie „małymi tematami“, a gdy sięgał po wielkie (*Kuźnia*), oddech epicki zawodził; Goetlowi natomiast, zdaje się, wystarczyło objęcie spadku po Sienkiewiczu, jako twórcy *Listów*, *Orsa* i *Przez stępy* — temat historyczny nie nęci, niestety, tego wybitnego realisty-plastyka i narratora o niewątpliwie epickim oddechu.

Cała natomiast reszta powieści polskiej — dwie generacje — poszła za Żeromskim lub z niego wyszła. Obronił mu się tylko Parandowski; z trudem przewyciężyła go Dąbrowska. Ale ani pierwszy, ani druga nie zdają się widzieć w Sienkiewiczu przewodnika, jak go w nim nie widzi i najmłodsza generacja powieściopisarzy: Kurek, Uniłowski, Grabski, nawet Hanna Malewska, choć ta jeszcze — jako powieściopisarka historyczna — najbardziej się zbliża do sienkiewiczowskiego dziedzictwa, nęcąca jego plastyką obrazowania, nie oddechem epickim...

A rezultat? Już prawie od dwudziestu lat mamy za sobą jeden z najwspanialszych momentów w dziejach Polski: odzyskanie niepodległości. Moment ten jednak nie doczekał się swego eposu. Dlaczego? Czy może za wcześnie? Rewolucja rosyjska jednak ma już swój epos: *Cichy Don* Szołochowa. A więc istnieje już konieczna perspektywa czasowa... Ale, żeby stworzyć epos, trzeba przejść epicką szkołę — szkołę taką, jaką literaturze naszej pozazdrościć mogą wszystkie inne. Tą szkołą — dziedzictwo twórcze Sienkiewicza. Literatura jednak Polski Odrodzonej wywodzi się z dzie-

dzictwa Żeromskiego lub doń nawiązuje. Żeromski zaś artysta ogromnej miary, był wszystkim, tylko nie epikiem, nie mógł więc zapłodnić epickością. To też nie ma eposu odradzającej się Polski. I nie będzie, chyba, że choć „syn minął pismo, lecz ty wspomnisz, wnuku” — home-ryckie pismo twórcy *Ogniem i mieczem*.

Teodor Parnicki.

Wojna z Żydami.

Wybrani i odrzuceni.

Tułaczy los przeznaczył Stwórca ludowi Izraela od pierwszej chwili jego dziejowego poczęcia. Około roku 2000 przed Narodzeniem Pańskim przybywa ten lud, w swej embrionalnej grupie rodowej, z Azji do Egiptu, wślad za najazdem Hiksów, którzy krajem i tronem egipskim owładnęli. Dobrze się tam Żydom przez dłuższy czas powodzi, lecz gdy Egipcjanie Hiksów przepędzili, zdegradowali Żydów do roli helotów. Z tego domu niewoli, wyprowadza ich Mojżesz na wielki, historyczny *exodus*. Stają się ludem wybranym jedyne go Boga, otrzymują objawienie prawdy, zakon Praw i obietnicę ziemi, którą im na poganach zdobyć wolno. W tej ziemi obiecanej osiadają na długo, na tysiąc paręset lat. Jednak ziemia to szczególna, bo w dalszym ciągu kształtuje charakter Żydów jako „narodu międzynarodowego”. Chanaan—Palestyna jest urodzajna, ale niewielka, więc jako rolnicza podstawa narodowego gospodarstwa dłużej niż na kilkaset lat Żydom wystarczyć nie może. Z drugiej strony ten kraj to ważny węzeł dróg między dwiema wielkimi cywilizacjami Starożytnego Wschodu, Chaldeą i Egiptem. To jakby lądowe zaplecze komunikacyjne, dublujące szlaki morskie, z których wyrosła handlowa potęga Fenicji i Grecji.

Już więc dzieje biblijne urabiają gospodarstwo i charakter narodowy Żydów na modłę coraz wybitniej kupiecką. Wcześniej poczynają Żydzi nie tylko pośredniczyć w handlu międzynarodowym przechodzącym przez Palestynę, ale także

emigrować, zakładać swoje kolonie handlowe w stolicach i portach krajów ościennych. W znamiennym odróżnieniu od morskiej kolonizacji fenickiej i greckiej, która zakładała na wybrzeżach Morza Śródziemnego grody handlowe, suwerenna kolonizacja żydowska osiadała wewnątrz obcych organizmów państwowych, zwłaszcza Babilonu i Assyrii. Unifikacja całego Starożytnego Wschodu naprzód przez Aleksandra Macedońskiego, następnie przez Rzymian, tej nowej, handlowej emigracji Żydów sprzyja i bardzo ją potęguje. Za czasów Chrystusowych pomimo, że pod względem kultury rolnej Palestyna stała wyżej i bogatsza była niż obecnie, jednak nie żywiła już bardzo znacznej, może przeważającej części żydostwa. Rozproszyło się ono po większych miastach handlowych Egiptu, Chaldei, Syrii, Azji Mniejszej, Bałkanu i Grecji. Z tych kolonij, rokrocznie, na Paschę, do świątyni w Jeruzalem pielgrzymowały żywioły co zamożniejsze. I na odwrót tymi samymi szlakami, w tych samych poza krajowych gminach żydowskich szerzyły pierwotnie chrześcijaństwo podróże św. Pawła i innych apostołów.

Może dlatego właśnie Stwórca wybrał ten mały i słaby lud na nosiciela swej prawdy, że on jej musiał najwytrwalej bronić jako więzi duchowej, która go jednoczyła, która mu dawała siłę odporu wobec zagrożeń politycznych i kulturalnych z zewnątrz. A zarazem ten lud zmuszony rozpraszać się i przenikać między ludy sąsiednie, tym samym szczególnie się nadawał i rzeczywiście szerzył objawioną mu prawdę daleko poza granicami Palestyny.

Tylko że wcześniej lud ten zmaterializował się i znacjonalizował w pojmowaniu tej prawdy. Uważając się za wybrany, pretendował do przywileju pierworodztwa w stosunku do Jahwe. Upatrywał w Nim nie tylko Boga wszechstworzenia lecz także swego specjalnego opiekuna, sądził że Boża wszechmoc miała go nie tylko chronić od niebezpieczeństw lecz i zapewnić panowanie nad innymi narodami. Nie inaczej też rozumieli Żydzi prozelityzm wiary mojejzowej. Nawróconym przyznawali godność dzieci Bożych jakby drugorzędną, późniejszego gatunku, Żydom podporządkowaną. Gotowali się do objęcia hegemonii nad nawróconymi ludami, zapowiedź przyjścia Mesjasza interpre-

towali jako obietnicę wodza, który by ich z ciężkich dotychczasowych kolei losu poprowadził do materialnego triumfu.

Za czasów Chrystusowych rozwój dziejowy społeczności żydowskiej, jak zresztą i całego ówczesnego świata wszedł w okres decydującego przełomu. Żydzi w Palestynie łącznie ze swymi koloniami wyrosli na wielką potęgę handlową i finansową, ale zarazem podlegali politycznej przewadze Rzymu, a kulturalnej hellenizmu. Znaleźli się na rozstaju swoich historycznych dróg. Rozstrzygało się wówczas wielkie, nie tylko dla nich, pytanie, czy mają zakrzepnąć w poddaństwie, lub też porwać się na realizację snu o ziemskiej wielkości. Żydzi zamierzali to drugie, a co innego zamierzył, do czego innego Żydów powoływał Jahwe.

Politycznie zjednoczył On ówczesny świat przez Rzymian, kulturalnie przez Greków. Przez Żydów, swój „naród wybrany”, pragnął zjednoczyć i podnieść świat religijnie, rozszerzyć w nim pogłębione objawienie wiekuistej prawdy. W tym celu świat musiał przede wszystkim zostać odkupionym ze skażenia pierworodnego. Zstąpił przeto na ziemię Syn Boży przyjmując ciało i krew człowieczą od narodu wybranego, narodu izraelskiego. Wezwał go na nową drogę służby Bożej. Gdyby naród żydowski za tym wezwaniem poszedł, to pozostałby wybranym lewitą pośród narodów, przodownikiem Królestwa Bożego. Niezawodnie zwyciężyłby wówczas Rzym i odziedziczył po nim panowanie nad światem. Ale zwyciężyć by go musiał tą właśnie bronią, którą go zwyciężyło chrześcijaństwo, panowanie wzięłoby po Rzymie, również tak, jak to uczyniło chrześcijaństwo, ale panowanie w duchu. Przez setki lat musiałby wówczas lud Izraela w pierwszym męczeńskim szeregu przelewać swą krew na piaskach aren, nie zaś na polach bitew przeciwko Rzymianom. Jerozolima i jej świątynia ocalałyby zapewne wtedy, bo nie byłoby politycznego buntu przeciwko cesarowi. W Jerozolimie zapewne powstałoby „wieczne miasto“ stolica chrześcijaństwa, obejmując duchowe *imperium mundi*. Konieczne w zamiarach Bożych ukrzyżowanie Chrystusa Pana dla odkupienia świata wykonaliby zapewne Rzymianie, a krew Jego

spadłaby historycznym przekleństwem nie na głowy narodu żydowskiego lecz na głowy rzymskie. Wraz z Chrystusem jednak i za Chrystusa musiały się wtedy dać krzyżować cały naród wybrany, jeśli by chciał wybranym nadal pozostać.

Takie święte ale i straszliwe wezwanie przyniósł Żydom Syn Boży od Ojca swego, który jest w niebiesiech. Żydzi wezwaniu temu nie uwierzyli, przerazili się go i odrzucili je. Ewangelie przekazały nam cenne świadectwo historyczne, iż Sanhedryn postanowił śmierć Zbawiciela nie tylko ze względów religijnych, ponieważ Chrystusa uważał za uzurpatora Synostwa Bożego, lecz może jeszcze bardziej dla politycznej racji stanu: „Jeśli Go tak zaniechamy, wszyscy weń uwierzą i przyjdą Rzymianie i wezmą nasze miejsce i naród. Pożyteczne jest ażeby jeden człowiek umarł za lud, a nie wszystkich naród zginął”.¹⁾

Żydzi ulekli się wojny z Rzymem na piaskach aren, wojny „ubogimi środkami” miłości i męczeństwa, która oddała Rzym pod panowanie chrześcijaństwa. Żydom wydawała się racjonalniejszą konspiracja polityczna, pewniej wiodąca do celu wojna na polach bitew. Podobnego zdania byłby zapewne wszelki inny naród zagrożony w swym istnieniu, ale nie wolno było dzielić tego zdania narodowi wybranemu. To też gdy ukrzyżowali Syna Bożego, a chwycili przeciwko Rzymianom za miecz, od rzymskiego miecza zginęli. Jak dzisiejsi hitlerowcy, wierzyli w Boga, ale przede wszystkim swego, narodowego Boga, którego wszechludzką wszechmoc chcieli anektować dla siebie jako środek swego ziemskiego wywyższenia. Dlatego ponieśli klęskę i popadli w poniżenie.

Byli wprawdzie za czasów Chrystusowych potęgą tak znaczną, a wpływy poza swym małym krajem posiadali tak rozległe, iż Rzym musiał ich konspiracje i bunty uznać za poważne dla siebie niebezpieczeństwo. Chociaż więc przed Chrystusem zajęli Rzymianie Judeę niejako mimochodem, bez znaczniejszego wysiłku, to ażeby ją ostatecznie powalić, musiał stoczyć wojnę sam cesarz Tytus na czele zmobilizowanych sił światowego imperium. I później jeszcze Żydzi

¹⁾ Św. Jan XI, 48—50.

usiłowali politycznie walczyć w Azji i w Afryce w trudniejszych dla cesarstwa okresach. Ulegli jednak w końcu pod represjami. Jeruzalem i świątynia padły w gruzu. Naród przez Boga wybrany, który odrzucił objawienie Syna Bożego, sam został odrzucony i postradał ziemię obiecaną mu przez Boga.

Ahaswerowe plemię.

Odtąd przełamały się i poszły nowymi tory nie tylko losy Izraela, lecz i wiary i świata. Rozłupał się Stary Zakon. Wyszło zeń ziarno Boże już nie żydowską, ale „pogańską“ krwią podlane na arenach, rozrosło się i przeniknęło państwo rzymskie, przejęło od niego panowanie ducha nad światem. Rzym nie Jeruzalem stał się „miastem wiecznym“, stolicą chrześcijaństwa. Równoległe z triumfem Nowego Objawienia, cały obszar rzymskiego cesarstwa otwierał się na tułaczkę dla ludu ongiś wybranego, który nie wytrzymał próby, ukrzyżował Prawdę i przeklął sam siebie. Rozprzestrzeniał się ten lud równoległe z chrześcijaństwem, lecz w antytezie do niego. Odrzuciwszy Prawdę, która ze Starego Zakonu wyrosła, wydedukował sobie zeń przeciwny prawdzie, wyłączając na żydowski narodowy użytek przeznaczony zabobon — Talmud.

W obrębie cesarstwa Żydzi robią swoją karierę naprzód w bogatych miastach śródziemnomorskiego Wschodu. Pokonani tam politycznie, a więc i ekonomicznie, przesuwają się zwolna ku zachodowi. Na schyłku cesarstwa i we wczesnym średniowieczu skupiają się na przeciwległym krańcu Morza Śródziemnego, w Hiszpanii. Opanowują ją tak dalece, że się staje niemal *Judeo-Espanią*. Gdy wywołuje to reakcję, Żydzi maczają podobno palec w ściągnięciu na ten kraj najazdu Maurów. Wysoki stopień kultury, który osiąga Hiszpania pod tym najazdem nie dogadza jednak Żydom, bo zmusza ich do walki z konkurencją żywiołów ekonomicznie wszechstronniej niżli oni uzdolnionych. Emigrują więc do barbarzyńskiej Europy zachodniej. Gdy po paru set latach, w następstwie krucjat i tam również wszczyna się ożywiony rozwój ekonomiczny, Żydzi wraz z wypłoszonym z Niemiec

przez długotrwałe zamieszki mieszczaństwem wędrują dalej na północno-wschód, ku pierwotniejszej i spokojniejszej Polsce.

W wyniku wielowiekowej tułaczki ukształtowało się specyficzne oblicze duchowe tego ludu. Zapanował w nim prawie niepodzielnie typ zawodowy ekonomiczny ale nieprodukcyjny: handlarza-pośrednika. Panującą namiętnością stał się zysk pieniężny i bogactwo. Wtórował zaś fanatyzm religii zmaterializowanej w talmudzie zwyrodniałej w mistyczno-nacjonalistyczny kult samouwielbienia „ludu wybranego”. To oblicze duchowe kontrastowało na ogół z psychiką ludów chrześcijańskich pośród których rozpostarła się *diaspora*. Stosunek do chrześcijan był zasadniczo, talmudycznie wrogi. Odczuwały to ludy chrześcijańskie, którym Izrael ukazywał się w symbolu Shylocka. Stąd obopólna chrześcijańska i żydowska skłonność do wyodrębnienia Żydów spośród chrześcijan w *ghettach* średniowiecznych.

Mimo wszystko jednak duchowe oblicze Izraela nie było pozbawione punktów stycznych z ewolucją narodów chrześcijańskiej Europy. Te punkty rozwijały się zwolna w całą płaszczyznę w miarę jak postępowała materializacja społeczna i kulturalna, odrywająca narody chrześcijańskie od chrześcijaństwa. Sięgnęła ona szczytu po wielkiej rewolucji francuskiej, w epoce kapitalizmu i liberalizmu. Był to złoty wiek dla ludu Izraela, który od czasu jak rozstrzelił się w diasporze, służył kultowi złotego cielca o wiele realniej niżli teoretycznemu kultowi Jahwe. Epoka, która osobisty zysk pieniężny, wyniosła do znaczenia naczelnego bodźca gospodarki tak indywidualnej jak zbiorowej, pokrywała się w tym swoim ideale z ideałem Izraela niemal idealnie. To też lud, wieczny tułacz, śmiało teraz wynurzył się na czoło materialistycznego postępu. Hołdował mu nawet tak namiętnie, że nie zawahał się założyć min wybuchowych marksizmu pod kapitalizm, który był szczytem koniunktury korzystnej dla Żydów. W tej koniunkturze osiągnęli też oni szczyt dotychczasowego bogactwa, wpływów i liczebności. Stali się narodem o 15 milionach głów, pozostając jednak zarazem „narodem międzynarodowym”, narodem bez ziemi. W epoce liberalnej gospodarki światowej i udoskonalono-

nych komunikacji wydawało się to nawet mniej rażącym i anormalnym zjawiskiem.

Dla rozkwitu żydostwa tym groźniejszym jednak musiał się okazać ostatni wielki, światowy kryzys liberalizmu. Jeśli prawdą jest, że chodzi tym razem o kryzys strukturalny sięgający podstaw, jeśli istotnie nadciągnął już zmierzch dziejowy kapitalizmu, to w nieuchronnej konsekwencji fakt ten musiałby za sobą pociągnąć także dramatyczne przeobrażenia w dotychczasowym bytowaniu Żydów na *diasporze*. W szczególności jeżeli jest prawdą, że gospodarka indywidualistyczna, pędzona wyłącznie motorem osobistego zysku, musi być zastąpiona gospodarką wprawdzie nie komunistyczną, lecz jednak społecznie planową i dyrygowaną, to dla instynktów i uzdolnień żydowskich pole działalności może się zacieśnić poważnie. Jeśli prawdą jest, że kraje Europy są już to przeludnione, już też zdeorganizowane gospodarczo, tak że ludności swej utrzymać nie mogą, to zamieszkujący w tych krajach Żydzi stają się dla nich ciężarem, choćby nawet przedtem byli użyteczni. Ciężar żydostwa odczuwają autochtoni tych krajów tym dotkliwiej, że oprócz gospodarczych współdziałają też inne jeszcze względy. W liberalnej atmosferze indyferentyzmu religijnego, zatarł się wprawdzie dawny antagonizm wyznaniowy, ale zato we współczesnej atmosferze rozognionych nacjonalizmów zaostrzyć się musiał antagonizm rasowy, aryjsko-semicki.

Judeo-Polonia.

To też sprawa żydowska osiągnęła wysoki stopień zaognienia naprzód w hitlerowskich Niemczech, obecnie także i w Polsce. W Niemczech mniejszą przy tym rolę odegrał moment gospodarczy przeludnienia niżli względy duchowo-kulturalne. Żydzi w Niemczech stanowili niespełna 1% ludności, a należeli wyłącznie do warstw zamożnych i oświeconych. Ale w kulturze niemieckiej, w której byli czynni nawet twórczo, stanowili podporę liberalizmu. Z tego więc tytułu musiał im wypowiedzieć śmiertelną walkę totalny prąd rasi-stowski, zainteresowany zresztą także w tym, ażeby znaleźć dogodnego kozła ofiarnego dla „gniewu ludu“.

W Polsce jest inaczej. Żydzi u nas stanowią znaczny sięgający 10%, odsetek ogółu ludności, a jeszcze znaczniejszy, odsetek bo sięgający 25%, ludności miejskiej. Poza tym ważnym stosunkiem ilościowym, niemniej doniosłą jest ich pozycja w naszej budowie społeczno-gospodarczej. Żydzi okupują w niej szeroko handel drobny i hurtowy. W kapitalistycznym stanie posiadania kraju ważą bodaj do 40%. O miastach w Polsce mówią z dumą, że one stanowią własność żydowską, bo tylko kościoły i ulice należą do Polaków, domy zaś do żydów. Stąd pretensja do poczytywania kraju naszego za Judeo-Polonię, za drugą ojczyznę żydowską, w której Żydzi reprezentują żywioł miejski, Polacy zaś wiejski.

Ten stan rzeczy w Polsce jest tym poważniejszy, że wcale nie świeżej daty. Przeciwnie zakorzeniony głęboko, odwiecznie, stanowi zwyrodniały owoc wypaczonego rozwoju historycznego. Polska średniowieczna nie przyjęła udziału w zachodnio-europejskim procesie kształtowania się stanów, w szczególności stanu miejskiego, jaki tam został wdrożony w następstwie krucjat. Polska więc doganiała ten zachodni rozwój organiczny drogą mechaniczną, sprowadzając sobie z najbliższego zachodniego sąsiedztwa ludność przemysłowo-handlową w postaci niemieckiego mieszczaństwa oraz — żydostwa. Polska renesansowa jeszcze nie zdążyła tego napływowego żywiołu włączyć w prawidłowy, zrównoważony rozwój rolniczo-przemysłowej budowy swego gospodarstwa narodowego, gdy przedwcześnie wciągnięta została w orbitę zachodnio-europejskiego handlu międzynarodowego. Rzeczpospolita szlachecka oparła więc swój gospodarczy rozkwit na rozległości terytoriów, objętości urodzajnych ziem i ich produkcji rolnej, oraz jej wymianie na wysoko rozwiniętą produkcję przemysłu zachodniego, a także i wschodniego, zwłaszcza artystycznego. Miejskowa wytwórczość przemysłowa, stanowiąca główne powołanie stanu mieszczańskiego, okazała się w tych warunkach dla Rzplitej szlacheckiej zbędną. Zaklimatyzowane w średniowieczu na polskim gruncie mieszczaństwo utraciło znów na parę stuleci społeczną rację bytu, a wraz z nią należną mu w państwie stanowym pozycję polityczną. Jeżeli jednak zbędną się wówczas okazała wszelka rodzima produkcja przemysłowa, to tym

bardziej nabrał żywotności obrót handlowy tak z zagranicą, jak i wewnątrz ogromnego państwa. Szczególnie szerokie zatem otworzyło się pole dla pośrednictwa handlowego i finansowego. Była to wymarzona koniunktura dla Żydów i Ormian; tym bardziej, że równocześnie gnębiła ona miejscowe mieszczaństwo produkcyjną konkurencją zagranicy; oraz że Żydzi nie pretendowali do współzawodnictwa ze szlachtą w przywilejach stanowych, lecz pozostawali poza społeczeństwem, posługiwali pokornie, wyłącznie dla pieniężnego zysku. To też skupili się w Polsce tak licznie jak w żadnym innym kraju swej *diaspory*, od czasu wczesnośredniowiecznej Hiszpanii.

Polska w okresie niewoli przejęła ich jako historycznie wytworzony balast, na równi ze swym zacofaniem przemysłowym. Niewola utrzymała na ogół ten stan zacofania, włączyła bowiem poszczególne zabory w wielkie ościenne gospodarstwa narodowe, umożliwiając w ten sposób w tych zaborach znaczny wzrost ludności, pomimo niedostatecznego miejscowego rozwoju ekonomicznego. Tym samym niewola umożliwiła przetrwanie w Polsce nadmiernego zbiorowiska Żydów. Odbudowa polskiego państwa narodowego musiała z natury rzeczy także i sprawę żydowską postawić w obliczu nowych widnokręgów. Nie od razu co prawda, bo na długi szereg lat po wyzwoleniu Polskę owładnął chaos na tle wewnętrznych walk klasowych i partyjnych. Żydzi przyjęli w nich żywy udział po stronie zwłaszcza liberalizmu politycznego i radykalizmu społecznego, wzmagając tym samym przeciwko sobie animozję znacznej części społeczeństwa polskiego.

Nadciągnął wreszcie i do Polski wielki światowy kryzys, czy może jak chcą niektórzy, wielki przełom gospodarczy, społeczny, ustrojowy i międzynarodowy. W niebywale ostrym świetle postawił on kalectwo strukturalne polskiego narodowego gospodarstwa. Ponieważ jego ogólny rozwój i zdolność do funkcjonowania okazują się coraz bardziej niedostateczne by zapewnić społeczeństwu dalszą egzystencję, musiało się więc to niebezpieczeństwo ześrodkować w punktach największej i najgłębszej ułomności. Takie punkty to przeludnienie wsi i konieczność przesunięcia małorolnej lud-

ności wiejskiej do miast; w drugim rzędzie także zatłoczenie i bezrobocie w zawodach inteligentkich. Stąd wyłoniły się dwa żywiołowe prądy społeczne. Jeden to napór włościan do małych miasteczek w celu opanowania dotąd przezważnie przez Żydów uprawianego drobnego handlu. Drugi prąd to dążenie młodzieży akademickiej do *numerus clausus* na uniwersytetach, oraz wyłączanie Żydów ze zrzeszeń zawodowych na mocy tzw. „paragrafów aryjskich”. Obu tym prądom towarzyszy wzmagająca się w społeczeństwie polskim dążność ogólna do usunięcia Żydów z kraju, do przesiedlenia ich „na Madagaskar”, czy do Palestyny. Te prądy i ta dążność wysuwają się coraz silniej na czoło polskich spraw publicznych, stają się niemal osią praktycznej polityki polskiej, platformą zbliżeń między dotąd zawzięcie się zwalczającymi stronnictwami. Stały się też przedmiotem konkretnych trosk i zabiegów władzy państwowej, tak na gruncie wewnętrznym, jak międzynarodowym, o ile chodzi o emigrację żydowską.

Grunt dla takiego obrotu rzeczy od wielu lat przygotowywała zarówno propaganda antysemicka, jak działalność samego żydostwa w dziedzinie kulturalnej i politycznej, zawsze „postępowa”, nieraz destrukcyjna i wywrotowa. Nie te jednak przyczyny doprowadziły sprawę żydowską w Polsce do temperatury wrzenia. Stało się to wyłącznie na skutek wielkiej tragedii gospodarczej, którą kraj przeżywa. Węzłem tej tragedii jest brak kapitałów na industrializację, która jedynie mogłaby zrównoważyć stosunek gospodarczy miasta i wsi, oraz tak rozwinąć obrót wytwórczo-spożywczy, by wchłoniął on bezrobocie. Wyrasta stąd przed społecznością polską niebezpieczeństwo tak groźne i bezpośrednie, że musiano wobec niego reagować odruchowo. Logicznie i naturalnie odruch ten zmierza do usunięcia żydowskiego współzawodnictwa z krajowego rynku pracy. Zmierza również, mniej może świadomie, do redukcji ogółu ludności o parę milionów głów. Może się bowiem wydawać, że w ten sposób dałaby się na pewien czas zahamować coraz tragiczniej wzrastająca dysproporcja pomiędzy przyrostem ludności, a niedostatecznym dla jej zatrudnienia i utrzymania zasobem kapitału.

To są najrealniejsze i najgwałtowniejsze przyczyny obecnego zaognienia sprawy żydowskiej w Polsce. Przyznać trzeba, że dopóki walka z kryzysem czy niedorozwojem gospodarczym Polski prowadzona będzie dotychczasowymi metodami w ramach dotychczasowego ustroju, to znaczy dopóki będzie tak mało skuteczna, że nie może dotrzymać kroku coraz gwałtowniej narastającym koniecznościom życia — dopóty powyższe odruchowe reakcje wydają się nieuniknione. Nie tylko nie można i nie należy ich mechanicznie hamować, lecz raczej powinnyby ze strony państwa znaleźć więcej niż dotąd poparcia, tam zwłaszcza gdzie to państwo stosunkowo łatwo uczynić może, a więc np. wprowadzając *numerus clausus* na uniwersytetach. Nie można też odmówić słuszności dążeniom do redukcji liczebnej żydostwa w kraju, ze względów nie tylko i nie tyle ekonomicznych ile zwłaszcza kulturalnych i rasowo-biologicznych. Jednak zarazem nie należy sobie upraszczać poglądu na tę sprawę. Jeśli polska myśl polityczna, zarówno ta, która tylko oponuje i agituje, jak nawet ta, która wywiera wpływ na rządy, ujawnia obecnie skłonność do koncentracji w prymitywnym antysemityzmie, to fakt ten składa o niej bardzo niepokojące *testimonium paupertatis*. Schorzenia, które wyrosło organicznie z wiekowego niedorozwoju społecznego Polski, nie uleczy się doraźnie za pomocą rozpaczliwych odruchów samoobrony. Potrzeba na to środków tej samej natury i miary co w ogóle dla wyprowadzenia kraju z zaściołu. Jest więcej niż wątpliwym, czy takie środki w ogóle istnieją w obrębie obecnego liberalnego ustroju gospodarczego i politycznego.

Exodus czy ghetto?

W każdym razie wobec żywiołowej akcji bojkotowej i wypierającej, należy z całą rozważą zdać sobie sprawę nie tylko z tego czego się chce i do czego się dąży, lecz także z tego co na tej drodze, w obecnych warunkach jest do osiągnięcia, oraz jakie się na niej piętrzą przeszkody i niebezpieczeństwa. Bez wątpienia najpotężniejszym, wręcz nieodpartym argumentem akcji bojkotowej jest twierdzenie,

że lepiej aby z głodu umierał żyd niżli chłop polski. Niestety nie wydaje się prawdopodobnym tak proste wyjście z tragicznej sytuacji gospodarczej Polski, jakim by teoretycznie mógł być masowy pomór głodowy Żydów. Niewątpliwie bowiem przed śmiercią przedsięwzięli by oni energiczny zabieg, ażeby się od niej uchronić. Jakie by to być mogły zabiegi?

W naszym „pobożnym życzeniu” pragnęlibyśmy ujrzeć je w postaci masowej emigracji. Otuchy w tym względzie dodaje nam znany fakt, iż Żydzi naogół emigrują z krajów wzrastającego gospodarczego współzawodnictwa do krajów ekonomicznie pierwotniejszych, gdzie mogą utrzymywać się z niewyzyskaną przez miejscową ludność funkcję społeczno-ekonomicznych, zwłaszcza handlowych. Tak to prawda. Dodajmy zarazem, że te kraje pierwotniejsze, kraje żydowskiej emigracji, były też przeważnie dotąd o wiele słabiej zaludnione niż kraje gospodarki intensywnej, posiadały zatem również większe przyrodzone możliwości wyżywienia napływających Żydów. Nie zapominajmy jednak i o tym, że się te procesy odbywały powolnie i automatycznie, w okresach powolnego, automatycznego rozwoju gospodarki kapitalistycznej, przytem w rozmiarze dość umiarkowanym. W takim rozmiarze i takim tempie emigrację żydowską z Polski dałoby się zapewne i dziś jeszcze ożywić za pomocą naciśku gospodarczego. Zachodzi natomiast wielka kwestia czy tę emigrację dałoby się uruchomić w takich wyjątkowych rozmiarach i w takim gwałtownym tempie, jak to jest nieodzowne, ażeby mogła ona poważnie odciążyć polskie przesilenie społeczno-gospodarcze.

Kraj nasz zamieszkuje $3\frac{1}{2}$ milionowa masa żydowska. Roczna emigracja nawet 100 tysięcy, po pokryciu przyrostu naturalnego zmniejszałaby ją tylko bardzo powolnie i bardzo jeszcze niedostateczny luz wytwarzałaby w miastach dla napływającej tam ludności chłopskiej. Mimo to jednak, nawet w tym skromnym rozmiarze, emigracja taka nie doszłaby do skutku automatycznie, gdyż nie znalazłaby się co roku w Polsce nawet taka ilość Żydów dostatecznie zamownych, by mogli emigrować o własnych siłach. Emigracja, nawet tylko stutysięczna, musiałaby przeto być zorga-

nizowana planowo i celowo. Wymagałaby inwestycji odpowiedniego kapitału. Skąd go wziąć — oto pierwszy zasadniczy szkopuł.

Czy z Polski? Gdyby zlikwidować, a więc przeobrazić w kapitał płynny, cały majątkowy stan posiadania Żydów polskich, to być może, iż tego kapitału wystarczyło by na sfinansowanie nowego *exodus'u* jeśli nie całego „ludu wybranego“, to przynajmniej znacznej jego części. Tylko, że taka likwidacja jest najzupełniej niemożliwa dla dwóch zasadniczych przyczyn: 1^o Majątki i kapitały stanowią prywatną własność żydowskiej burżuazji, która z pewnością obawiałaby się zainwestować wszystko co posiada w przedsięwzięcie finansowo tak nieobliczalne i karkołomne jak emigracja wielkich mas ludu na nowe siedliska. Burżuazja żydowska musiałaby tedy zostać wywłaszczona z posiadanych dóbr, których wartość zostałaby obróconą na żydowski cel publiczny. Wymagałoby to przewrotu o charakterze komunistycznym w obrębie społeczności żydowskiej. 2^o Likwidacja żydowskiego stanu majątkowego w Polsce musiałaby być sfinansowana przez kogoś. Czy tym kimś mogłaby być sama Polska? Czy byłaby zdolną zainwestować w radykalne rozwiązanie swej kwestii żydowskiej tak ogromny kapitał, jaki byłby nieodzowny w celu wykupu wszystkich majątków żydowskich w Polsce? Rzecz jasna, że to jest wyłączone. Polska znajduje się w tragicznym deficycie kapitału płynnego i nie tylko doraźnie, lecz nawet w rozłożeniu na dłuższy okres czasu nie byłaby w stanie, przy metodach gospodarki liberalnej, uruchomić na wykup majątków żydowskich, dla celów żydowskiej emigracji, sum dostatecznie wielkich.

Od strony polskiej zatem sprawa organizacji usunięcia Żydów z kraju przedstawia się raczej beznadziejnie. Czy może jednak Polska liczyć w tym względzie na pomoc, choćby na pomoc międzynarodowego żydowskiego kapitału? Wprost lub pośrednio sporo się o tym obecnie pisze w kraju i zagranicą. Jednak na widowni międzynarodowej sprawa rozwija się w płaszczyźnie znacznie szerszej niżli sam tylko „eksport“ Żydów z Polski. Organizacja emigracji na wolne mienie zamorskie, zarówno jak samo ich uprzed-

nie polityczne opanowanie to naczelny, podstawowy problem wszystkich dramatycznych powikłań współczesnej polityki międzynarodowej. To kość niezgody między mocarstwami terytorialnie przesyconymi a mocarstwami przeludnionymi. To zasadnicza przyczyna groźnych napięć, zatargów i wstrząsów, które grzmiały nad Europą pomrukiem nadciągającej nowej wielkiej wojny. Problem kolonialny niemiecki, problem emigracyjny włoski do Abisynii, to są zagadnienia wchodzące w skład tego wielkiego międzynarodowego kryzysu, który wręcz jeszcze usiłuje się rozwiązać w ramach odbudowy liberalnego światowego gospodarstwa. Zarówno wielkie demokracje anglo-saskie, jak Francja i „oś” berlińsko-rzymska troszczą się, zabiegają, układają, spierają między sobą z tą myślą przewodnią, ażeby ponownie uruchomić międzynarodowy ruch towarów, kapitałów i ludności. Mimo to dotąd nie znaleziono na to środka. A tylko wtedy gdyby go znaleziono, stałoby się możliwe także międzynarodowe sfinansowanie emigracji żydowskiej z Polski, równoległe z włoską emigracją do Abisynii i niemiecką — niewiadomo dokąd... Ta bowiem nasza polsko-żydowska bolączka należy do kompleksu wielkich zagadnień strukturalnych, które poruszają współczesny świat. Czy są one rozwiązalne bez większego przełomu w dotychczasowych metodach gospodarczych, wewnętrznych i międzynarodowych? W Polsce jest dużo jeszcze optymistów, którzy w to wierzą, tak samo jak wierzą w budowę kapitalizmu polskiego. W każdym razie sprawa żydowska w Polsce ściśle się z tym zagadnieniem kojarzy i tylko w łączności z nim może być rozwiązana.

Wynika stąd, że możliwość tego rozwiązania stanowi zagadkę. Przezorność i dotychczasowe doświadczenie nakazuje raczej liczyć się z tym, że międzynarodowe sfinansowanie emigracji żydowskiej z Polski okaże się trudnym, niewystarczającym, lub wreszcie zawodnym. W takim jednak razie godzi się rozwiązać pytanie: do czego doprowadzić może akcja bojkotowa? Czy do masowego pomoru Żydów z nędzy i głodu? Częściowo może tak, ale nie w pierwszym rzędzie i nie to jest najważniejsze. Najważniejsze następstwo akcji bojkotowej już się zarysowuje

w postaci równoległej reakcji odosobnienia żydowskiego. Hasło „swój do swego po swoje“ poczynają oni stosować w swoim środowisku: kupować w żydowskich sklepach, leczyć się u żydowskich lekarzy, bronić u żydowskich adwokatów. Jest ich w Polsce $3\frac{1}{2}$ miliona. Strukturę społeczną mają wadliwą, bo jednostronnie handlową. Ale bojkot może ją poprawić. Jeśli zostaną wyparci z drobnego handlu, to poczną się kolonizować jako żydowscy właściciele na polskiej roli. Czynią to już nawet od dość dawna, obecnie zaś zaczynają sprawę tę forsować. Rozstrzelą się zawodowo stosownie do istniejących pośród nich zapotrzebowań na towary lub usługi. Wytworzą własne szkolnictwo ogólne i zawodowe, może nawet wyższe. W stosunku do liczebności swego środowiska są kapitalistycznie o wiele zasobniejsi od społeczeństwa polskiego. Mogą też w miarę swych potrzeb część swych kapitałów wycofywać z ogólnego polsko-żydowskiego obrotu, wprowadzać zaś w obrót wyodrębniony, wewnętrzno-żydowski. Zaostrzyło by to polską ciasnotę kapitalistyczną.

Powiedzmy wyraźnie, żywiłowy ruch antyżydowski wyrósł organicznie z naszego tragicznego gospodarczego zacoferania, mechanicznie więc powstrzymać się go nie da i powstrzymywany być nie powinien. Ale prędzej niżli do usunięcia Żydów z Polski, może on doprowadzić do utworzenia w Polsce zamkniętego, $3\frac{1}{2}$ milionowego żydowskiego *ghetta*. Mogłoby ono nawet ujawnić tendencję do skupienia terytorialnego w pewnej części naszego kraju, czemu zresztą państwo powinno zapobiec. *Ghetto* może być z łatwością pozbawione przez Polskę praw politycznych, jak się tego domaga stronnictwo narodowe. Ale to w niczym nie zmieni natury samego faktu, owszem podkreśli go jeszcze silniej.

Czy fakt ten byłby dla Polski korzystny lub niekorzystny? Bardzo trudno na to odpowiedzieć, gdyż miałby swoje strony dodatnie zarówno jak ujemne. Dodatnim mogłoby być odciążenie drobnego handlu w małych miastach. Ujemne byłoby skierowanie części żydowskiego kapitału z obrotu ogólnokrajowego w wewnętrzny obrót *ghetta*. Ujemnym też okazałby się prawdopodobnie moralny stosunek tego *ghetta* do narodu i państwa polskiego. Dotąd był on dwu-

znaczny, wówczas stałby się najpewniej niedwuznacznie wrogi. Na ogół, zamiast semickiej „krwi” krążącej wspólnie z polską w naszym organizmie społecznym powstałby ostro wyodrębniony semicki — nowotwór. Gdyby, jako bogatszy w kapitał, rozwijał się lepiej niżli organizm polski, który go wydzielił, mógłby się stać dla tego organizmu tak niebezpieczny, że trzeba by nowotwór ten operować represjami: zakazem nabywania ziemi lub wysokim opodatkowaniem. I to wszakże sprawy radykalnie by nie rozwiązało, owszem podtrzymywałoby jej stan chronicznie zapalny.

Na marginesie tej perspektywy godzi się zaznaczyć jeszcze jedno. Polska nie jest jeszcze dotąd absolutnie prze-ludniona tak jak Niemcy lub Włochy. Zmniejszenie zatem ogółu ludności o parę milionów przez emigrację żydowską nie stanowi dla Polski konieczności zasadniczej. Polska posiada jednak za mało kapitału ażeby mogła swą ludność zatrudnić i wyżywić. Niestety stosunek ten nie poprawiłby się przez usunięcie ludności żydowskiej, gdyż to by musiało wiele kapitału pochłonać, względnie usunąć z Polski kapitał żydowski.

Polska jest jednak ciężko chora także na punkcie stosunku miasta i wsi. Ludność miast (w $\frac{1}{4}$ żydowska) stanowi zaledwie 27% ogółu, gdy normalnie powinna obejmować 40%. Gdyby to ostatnie stało się rzeczywistością, to *eo ipso* znikłaby, a przynajmniej bardzo złagodniała gospodarcza strona kwestii żydowskiej. Miasta mogłyby łatwo wchłonać dobrych kilka milionów ludności wiejskiej, gdyby ją w tych miastach zatrudniono w należycie rozwiniętym przemyśle. Teza, iż w Polsce ludności żydowskiej jest absolutnie za wiele pozostałaby i wówczas słuszną, jednak już nie ze względów gospodarczych, lecz kulturalnych i rasowych. A względy te, choć bardzo ważne, nie mobilizowały dotąd polskiej opinii przeciwko Żydom tak potężnie jak to czyni obecnie — tragedia ekonomiczna.

Ta „wojna żydowska”, do której nawołują polską inteligencję, naród i państwo zrozpaczone masy chłopskie i młodzież uniwersytecka, nie może i nie powinna, jak już powiedziałem, być mechanicznie tłumiona. Ale kwestii żydowskiej w Polsce, w obrębie ustroju kapitalistycznego, ona nie roz-

strzygnie, może ją raczej skomplikować. Tylko bowiem pozornie ruch ten idzie po linii najmniejszego oporu. W rzeczywistości zaś powinien być rozumiany jako wielki dzwon alarmowy, że dotąd stosowane środki i sposoby gospodarczego dźwigania kraju są bezwzględnie niedostateczne. Podobnie jak przeludnienie wsi i bezrobocie, tak też sprawę żydowską, włącznie z inwestycją emigracyjną, rozwiązać można pozytywnie i radykalnie tylko poza obrębem kapitalizmu. Toż samo zresztą powiedzieć trzeba i o całokształcie położenia światowego. Tylko wówczas, gdy życie przestanie podlegać tyranii kapitału i pieniądza, a opanuje je i zapręgnie w swą służbę — wszystkie wielkie zatargi, społeczne i międzynarodowe, znajdą właściwe swe rozwiązanie.

Zanim ta chwila nadejdzie, trzeba oczywiście w rozwiązaniu palącego zagadnienia żydowskiego stosować i bojkot i *numerus clausus*, trzeba forsować tezę dobrowolnej czy nawet ograniczeniami prawnymi wymuszonej emigracji Żydów z Polski — tylko przy tym wszystkim nie wolno zapominać, iż są to właściwie półśrodki, jeśli nie paliatywy, które kwestii żydowskiej w Polsce radykalnie nie rozwiążą.

Ludwik Wilczkoski.

Sprawa Palestyny.

I.

Zagadnienie bezpieczeństwa „dróg do Indyj“, ostatnio bardzo poważnie zagrożone na ich śródziemnomorskim odcinku, powiększyło decydująco międzynarodowe kłopoty W. Brytanii i spowodowało szereg politycznych przemian w całym basenie tego morza. W łączności z tym faktem ostatnie brytyjskie posunięcia w Palestynie, poświęcone rzekomo wyłącznie poszukiwaniom odpowiedniego rozwiązania żydowsko-arabskiego problemu, zmierzają raczej w swej istocie do większego zabezpieczenia brytyjskich komunikacji przez kanał Suez i lądowo-powietrznych połączeń z zatoką Perską.

Jeżeli rozległość brytyjskich polityczno-strategicznych zainteresowań w Palestynie nadała tej sprawie całą jej międzynarodową wagę, to związane z nią społeczno-polityczne, gospodarcze i prestiżowe zainteresowania żydostwa walnie przyczyniły się do spotęgowania jej światowego rozgłosu. Możliwość utworzenia własnego państwa, schlebając niewątpliwie ambicjom rodzącego się nacjonalizmu Żydów, staje się jednak coraz bardziej konieczną ze względu na ich polityczną i gospodarczą sytuację w wielu państwach Europy. Sytuacja ta zmusza już obecnie Żydów do masowej emigracji a konieczność jej wzrastać będzie niewątpliwie w najbliższej nawet przyszłości.

Zespolenie szeregu brytyjskich i żydowskich spraw z problemem odpowiedniego rozwiązania statutu Palestyny nie wyklucza, a w wielu wypadkach zaostża nawet raczej zainteresowanie grona innych narodów i państw sprawą pa-

lestyńską. Z problematem tym wiążą się najściślej zagadnienia nurtujące świat arabski, na którego etnicznych i kulturalnych terytoriach tworzy się żydowską siedzibę narodową. Płynące stąd antagonizmy arabsko-żydowskie i obustronne zniechęcenie tych narodów do W. Brytanii zaostriżył szczególnie fakt, że tworzenie narodowej siedziby zbiegło się z momentem ideowej i nacjonalistycznej fermentacji w masach Arabów, formułującej teoretyczne podstawy przyszłych państw arabskich oraz ich politycznej jedności.

Podstawowe założenia mandatu palestyńskiego, kładąc podwaliny dla przyszłej politycznej i samodzielnej zbiorowości wychodźców światowego żydostwa, wiążą równocześnie z Palestyną interesy szeregu państw, grupujących w swych granicach liczne jego rzesze. Gatunkowy ciężar tych zainteresowań jest oczywiście proporcjonalny do wysokości procentowego udziału Żydów w stanie zaludnienia danych państwowych terytoriów, oraz ich gospodarczej i społecznej chłonności. Dlatego też o ile dla mocarstw o dużych przestrzeniach i potężnych populacyjnych i gospodarczych możliwościach, przy największej nawet liczbie ich żydowskich mieszkańców, zainteresowania Palestyną stać się mogą kwestią tylko prestiżu lub sentymentu wpływowych sfer ich żydostwa, o tyle dla państw, o własnym autochtonicznym przeludnieniu i niedożywieniu, żydowskie ich przeludnienie stać się może nadto zagadnieniem ich bytu oraz dalszego rozwoju.

Na terytoriach Palestyny koncentrują ponadto swą obostrzoną uwagę niektóre mocarstwa Morza Śródziemnego, słusznie czy nie słusznie obawiające się, że z morskich i lotniczych baz tego kraju zagrozić może ich imperialnym interesom W. Brytanii. Miejsca i pamiątki związane z religijnym kultem całości chrześcijańskich narodów, rozrzucone na obszarze Ziemi Świętej, wiążą znów z Palestyną zainteresowania obywateli tych państw i zmuszają ich rządy do rozciągania opieki nad całością fundowanych przez nich dzieł religijnych, kulturalnych i dobroczynnych. W tej dziedzinie szczególnie narody katolickie mogą się poszczycić nie tylko najdłuższą tradycją swej palestyńskiej pracy, lecz zarazem i największymi w niej osiągnięciami, pozostawiającymi daleko w tyle analogiczne zdobycze innych kościołów.

W świetle zespołu tych rozlicznych zainteresowań, zagadnienie palestyńskie, którego rozwiązanie proponuje ostatni raport komisji lorda Peel'a, musiało zwrócić na siebie uwagę wielu państw i narodów, a szczególnie wzbudzić czujność mocarstw przede wszystkim w nim zainteresowanych. Wśród tych ostatnich, z wielu powodów, Polska zajmuje pozycję wyjątkową. Dysponując bowiem w swych granicach drugą w świecie co do bezwzględnej liczebności masą Żydów, oraz wykazując ponadto najwyższy względny ich odsetek w zaludnieniu kraju, może ona z całkowitą słusznością upominać się o rolę pierwszej dostarczycielki żydowskich emigrantów do Palestyny. Zmuszona oprócz tego do poszukiwania emigracyjnych ujęć dla własnych autochtonicznych obywateli, zainteresowaną jest ona niewspółmiernie więcej od każdego innego państwa we właściwym rozwiązaniu zagadnienia palestyńskiego, by ono umożliwiło maksymalne natężenie żydowskiej emigracji. Będąc od tysiąclecia krajem tradycyjnie chrześcijańskim i katolickim, dobrze zasłużonym w walkach o te ideały, Polska może również nie z mniejszym uzasadnieniem niż inne kraje pretendować do zajęcia właściwego miejsca w komisji, przewidzianej już przez obecny mandat, lub mogącej być utworzoną w przyszłości, której zadaniem jest czuwać nad sprawami kultu w Palestynie.

II.

Sytuacja piętnastomilionowej masy żydostwa światowego, rozrzuconej po wszystkich krajach globu, przedstawia się oczywiście nie wszędzie jednakowo pod względem ostrości gospodarczych i politycznych ustosunkowań się Żydów do narodowych większości krajów ich zamieszkania. Nie zważając bowiem na wykazywaną przez żydostwo stałą tendencję opanowywania określonych tylko czynności życia, monopolizowania ich w miarę nadarzających się sposobności, oraz tworzenia w oparciu o to odrębnej niejako warstwy społecznej — już sam mniejszy lub większy udział Żydów w masie mieszkańców danego kraju, jego przestrzenna rozległość i jego gospodarcza chłonność, wszystkie te czynniki

zmniejszając lub zwiększając antagonizmy między Żydami i autochtonami w poszczególnych państwach.

Religijna i świadoma a przynajmniej podświadoma narodowa jedność żydowska, zamykająca się ongiś przed asymilacją w ekskluzywizmie ghetta, zmierza w wieku uprzemysłowienia i specjalizacji do tegoż ekskluzywizmu drogą wyłącznego opanowania poszczególnych zawodów. Tworząc bowiem z nich nowoczesne ghetta, Żydzi mogą łatwiej zdobyć się na zachowanie swych odrębnych rasowych cech obyczajowych. Wytrobiona tysiącletnią tradycją walk, nie spotykana gdzie indziej, solidarność religijno-narodowa, walczy przyczynia się również do osiągnięcia tych zamierzeń. Wyzyskując swe wpływy, pochodzące z całkowitego lub znacznego opanowania kierowniczych gałęzi nowoczesnego życia gospodarczego, a tym samym i politycznego, dawne władztwo żydostwa w dziedzinie finansjery i wymiany zdobywa coraz to nowe pozycje wśród wolnych zawodów, a szczególnie w tak wpływowych ich gałęziach, jak dziennikarstwo i adwokatura.

Ten, niezbędny dla zachowania religijnej i rasowej odrębności, ekskluzywizm żydowski i jego dążenia do zmonopolizowania głównych gałęzi gospodarczego i społecznego życia, z konieczności musiał zrodzić opór autochtonów i przyczynić się do szerzenia się antysemityzmu. Ustrój stanowy wieków dawnych, jak zresztą całkiem jeszcze świeże jego pozostałości, wyodrębniające polityczne uprawnienia poszczególnych warstw społecznych, neutralizowały tymi międzystanowymi i międzyspołecznymi antagonizmami wybuchy antysemityzmu. Coraz bardziej jednak cementująca się jedność społeczna państw nowoczesnych, zdążająca do zatarcia wszelkich śladów dawnych wewnętrznych podziałów, nie może już nadal tolerować w swym łonie ekskluzywizmu określonych ugrupowań. Stąd też sytuacja żydostwa, nie tworzącego w żadnym z krajów diaspory zwartych większości terytorialnych, dysponujących wszechstronnym układem społecznym, pozwalającym na samodzielne najpełniejsze gospodarcze i polityczne, kulturalne i społeczne bytowanie, staje się coraz trudniejszą w ramach współczesnego życia. Większościowe bowiem grupy terytorialne, nastrojając się coraz bardziej nacjonalistycznie, zmierzają, drogą

najwszechstronniejszego zacieśniania współpracy pomiędzy swymi obywatelami, do osiągnięcia ideału społecznej równości.

W tych nowych warunkach narodowej ewolucji państw nowoczesnych stają przed żydostwem światowym dwie alternatywy. Żydzi mogą albo dalej upierać się przy swym ekskluzywizmie dla zachowania swych odrębności rasowych i zdobytych pozycji, z ryzykiem wywołania podobnej jak w Niemczech reakcji — albo też muszą zdecydować się na konieczność emigracji do krajów, dających możliwości utworzenia zwartych i jednolitych żydowskich grup terytorialnych, otwierających drogi dla rozwoju wszechstronnego i samodzielnego, narodowego i państwowego życia. Pozostanie na dawnych, dotychczas zajmowanych miejscach w diasporze, uwarunkowane całkowitym wyrzeczeniem się dążeń do ekskluzywizmu, nie będzie najprawdopodobniej odpowiadać nacjonalistycznym aspiracjom żydostwa. W dzisiejszych bowiem warunkach życia społecznego musiałoby spowodować nieuniknione zlanie się Żydów z masą autochtonów i uniemożliwić dalszy rozwój odrębnych cech żydowskiej kultury i narodowego bytowania.

To też organizacyjny wysiłek syjonizmu, zrodzony w planach Herzl'a pod wrażeniem afery Dreyfusa i po dokładnym uświadomieniu sobie niegasnącego antysemityzmu świata, zmierza do utworzenia własnego państwa i przesiedlenia na jego terytoria maksymalnej ilości Żydów. Wszak antysemityzm nowożytny zrodził się właśnie ze zbyt jednostronnego gospodarczego i społecznego uwarstwienia mas żydowskich, które w przeszło 50 procentach swego światowego składu zaludniają kilkanaście zaledwie największych miast globu, oraz z ekskluzywizmu Żydów, uzasadnionego koniecznością zachowania odrębności religijnych i rasowych. Państwo żydowskie, będące marzeniem syjonistów jest równocześnie jedynym środkiem, mającym uratować żydostwo, tak przed jego wynarodowieniem, jak i przed gwałtownymi przeciwko niemu wybuchami. Nic też dziwnego, iż takie państwo nie może oczywiście stać się tylko prestiżowym sztandarem mas żydostwa, pozostających na miejscach dawnego zamieszkania, lecz powinno być zorganizowane na warunkach, umożliwiających szeroki odływ na jego terytoria

przynajmniej tych Żydów, którzy zamieszkując w granicach określonych państw, tworzą znaczny semicki procent w masie innorasowych jego autochtonów.

III.

Wielka wojna wywołała w świecie arabskim potężny ferment, przypominający nieco okres europejskiego romantyzmu, poprzedzający sformowanie się szeregu nowożytnych i narodowych państw Europy. Kształtowanie się nacjonalizmów arabskich, w granicach określonych jednościami geograficznymi lub politycznymi, oraz przebłyski idei panarabizmu, obejmującej całość nacjonalizujących się ugrupowań arabskich, napotkało jednak wśród Arabów na szereg przeszkód, które w okresie tworzenia się ideałów „młodej Europy” od dawna już były przewyciężone na kontynencie europejskim.

Najgłówniejszą z tych przeszkód jest koczowniczy jeszcze w znacznym stopniu tryb życia mas arabskich, oraz ich klanowe i feodalne ustosunkowanie się do formujących się określonych jednościami politycznymi. Zespolona jedność arabska, jak zresztą i jedność nacjonalna poszczególnych ich ugrupowań, opierała się dotychczas na więzi religijnej islamu, oraz jego obyczajowych i kulturalnych osiągnięciach, jak również na zasadniczych pierwiastkach wspólnego języka. Uświadomionego szerszego pojęcia wspólnoty i chęci ściślejszego związania się politycznego, podporządkowującego całość wspólnej władzy i instytucjom, nie można dziś jeszcze znaleźć bez licznych zastrzeżeń, i to ani wśród tworzącej się na modłę europejską rzeszy intelektualistów, ani tym bardziej w szerokich masach ludności. Masy te tkwią w pełni średniowiecznych religijnych i stanowych przesądów i obyczajów, bardzo jeszcze dalekich od stawiania jakichkolwiek bądź wymogów kulturalnych.

Klanowa i koczownicza mentalność mas arabskich grupuje jeszcze i dzisiaj poszczególne zespoły polityczne dookoła osób, które nie tyle formułują określone polityczne i ideowe programy działania, ile raczej dziedziczą rodowe tradycje wodzów. Dlatego to również wielkie partie polityczne, działające na terenach tejże Palestyny, utworzyły się

w cieniu potęgi dwu możliwych rodów, usiłujących dla zaspokojenia własnych ambicji wykorzystać pierwotne i fanatyczne instynkty koczowników, jak zresztą i osiadłych mas arabskich, ulegających w wyższym stopniu sprytniej konkurencji żydowskich przybyszów. Motywem, zespalającym wysiłki jednostek w dążeniach do osiągnięcia zbiorowego ideału, jest jeszcze i dzisiaj w masach arabskich nie jakiś określony program ideowy lub polityczny, lecz umiejętnie spreparowana i zabarwiona odpowiednio religijnym fanatyzmem obrona interesów poszczególnych grup feodalnych, działających na pierwotne instynkty mas, tradycyjnie przywiązanych do rodów, które ongiś wodziły ich na opiewane w legendach podboje.

Ta koczownicza mentalność szerokich mas arabskich, ułatwiająca dawniejsze zdobycze wojenne, w tymże samym stopniu utrudnia tworzenie podwalin państw nowoczesnych, zmierzających do osiągnięcia określonych zadań w zespalanii środków działania swych różnorodnych warstw społecznych. Dla całkowitego też jej zwalczenia konieczne jest terytorialne skupienie różnorodnych sił, dziś rozproszkowanych na olbrzymich a przeważnie pustynnych i nie objętych żadną kulturą, przestrzeniach, z rzadka tylko patrzących na szalase koczowników. Mentalność ta, nakazująca obronę do upadłego swych wierzeń i swych swobód, nie uznających innych skrępowań jak tylko te, które zostały wpojone tradycją ojców, trudna do przewyciężenia i nagięcia w konstruktywnych poczynaniach nowoczesnej państwowości, przyczyniła się również i to w wysokim stopniu do zrodzenia arabsko-żydowskich nienawiści.

Chcąc więc stworzyć istotną bazę dla rozwoju zdrowego nacjonalizmu arabskiego i oparcia o niego państwowości arabskiej należy przede wszystkim skupić te masy arabskie na ograniczonym terytorium i przewyciężyć ich koczownicze instynkta. Walka o to właśnie związanie koczowników z ziemią, tak krwawa w Iraku, jest niemniej trudną w całym świecie arabskim, nie wyłączając najbardziej w swej mentalności osiadłego Egiptu. Zmierzając do terytorialnego skupienia swych sił w celu utrwalenia samodzielnego istnienia politycznego, świat arabski nie może nawet

marzyć o zachowaniu dla swego wyłącznego użytku olbrzymich przestrzeni swych dawnych koczowisk. Znikome bowiem ludnościowe zagęszczenie tych rozległych przestrzeni łatwo umożliwi infiltrację na nie obcych a być może i wrogich elementów, a tym samym narazi znów polityczną jedność arabską. Stąd też, grupując swe siły w poszczególnych zsołach terytorialnych, winien świat arabski raczej poświęcić część swych terytoriów niż ryzykować utratę całości.

Dochodząc, w świetle tych rozważań, do wniosku, że żydowskie i arabskie państwowo-twórcze możliwości są w wielu wypadkach analogiczne, sądzimy, że przy zaistnieniu pewnych warunków psychologicznych łatwo będzie można pogodzić ich narodowe aspiracje. Z jednej bowiem strony jest niewątpliwym faktem, iż dotychczasowa więź, zespalająca te dwa światy, była bardziej religijna i duchowa niż polityczna, z drugiej zaś, iż wspólną bazą budowy ich politycznej jedności jest konieczność terytorialnego skupienia ich twórczych sił. Osiadła lecz rozproszkowana po całym globie masa Żydów, oraz koczujące lecz skupione w olbrzymim rejonie plemiona Arabów, muszą dla swego racjonalnego ugrupowania rozpocząć ostatnią koncentrującą ich siły wędrówkę. Olbrzymie gospodarcze zasoby światowego żydostwa winny w tej koniecznej wędrówce ułatwić Żydom odpowiednie zasiedlenie Palestyny, zaś skupiającym się po za jej obrębem wychodźczym masom Arabów palestyńskich właściwe zagospodarowanie na innych terytoriach arabskich.

IV.

Zbieżność stanu faktycznego, panującego obecnie w środowiskach Arabów i Żydów, oraz identyczność metod, umożliwiających utrwalenie ich samodzielnego narodowego i państwowego bytu, znalazły swój charakterystyczny i analogiczny wyraz w równoczesności aktów politycznych, mających stworzyć prawne podstawy dla zrealizowania ich ideałów. W rzeczy samej w okresie wielkiej wojny i Arabowie i Żydzi otrzymali identyczne prawie zapewnienia ziszczenia ich narodowych i państwowych aspiracji. Arabom przyznawał to rząd

W. Brytanii w roku 1915 w liście skierowanym do szeryfa Mekki a przyrzekającym niepodległość arabskich prowincyj, objętych panowaniem Turcji. Żydom natomiast poręczyła tzw. deklaracja Balfour'a (1917 r.), w imieniu tegoż rządu, utworzenie narodowej siedziby żydowskiej w Palestynie.

Mimo pozornej sprzeczności tych dwu równoczesnych prawie przyrzeczeń można uważać, że dyplomatyczny język noty Mac Mahon'a do szeryfa Mekki, nie wymieniający dokładnych nazw tych prowincyj, nie wykluczył późniejszego odstąpienia Palestyny Żydom. Tym samym należy przyznać całkowitą rację oświadczeniu min. Ormsby Gore, złożonemu przez niego w Izbie Gmin na jej posiedzeniu w dn. 21. VII. 1937 r., z którego wynika, że kraje na zachód od Jordanu nigdy nie były przyrzekane Arabom, oraz że oni dokładnie o tym byli uwiadomieni. Oświadczenie to posiada jeszcze tę szczególną wagę, że obecny minister kolonij był ówczesnym czynnym współtwórcą brytyjskiej bliskowschodniej polityki.

Opierając się też na deklaracji Balfour'a, uznanej przez całość państw koalicji, został utworzony w 1922 r. palestyński mandat Ligi Narodów, powierzony administracji W. Brytanii. Podstawowe założenia mandatów międzynarodowych, wyłuszczone jak wiadomo w art. 22 paktu Ligi, a szczególnie wyraźnie występujące w ich typie „A“, do którego zalicza się również i mandat Palestyny, mają na celu utworzenie z kraju mandatowego przyszłego samodzielnego państwa przez odpowiednie przygotowanie do tego faktu jego obywateli. Poza tą ogólną charakterystyką właściwą dla całości mandatów typu „A“, mandat palestyński różni się od nich specjalnym swym charakterem, wypływającym z tej okoliczności, że ludność tego przyszłego państwa niepodległego rekrutować się winna nie tylko z miejscowych obywateli, lecz przeważnie i prawie wyłącznie z elementu napływowego, dostarczanego przez żydostwo światowe.

Ten obowiązek mandatariusza nie tylko do tolerowania, ale i do wszechstronnego popierania imigracji żydowskiej wpływa z samej logiki istnienia mandatu, mającego stworzyć prawną i faktyczną bazę dla przyszłej narodowej siedziby Żydów w Palestynie, nie dającej się przecieć po-

myśleć bez masowego ich dopływu z zewnątrz. Niemniej wyraźnie jest co do tego również i samo brzmienie litery prawnej mandatu, nie pozostawiającej żadnej wątpliwości w postanowieniach artykułów 11 i 6. Wynika z nich bowiem zdecydowanie, że mandatariusz winien nie tylko ułatwić tę imigrację, lecz, współpracując z żydowską agencją, powinien nawet zachęcać do zwartego osadnictwa Żydów na ziemiach Palestyny, nie wyłączając jej domenów państwowych. Dla tym większego ułatwienia tego osadnictwa do tych przede wszystkim celów winna być dostosowana cała rolna organizacja kraju. W świetle tych artykułów można zgodzić się bez zastrzeżeń ze zdaniem ostatniego raportu Peel'a, mówiącego, że: „Prawdą jest, iż imigracja Żydów jest nie tylko usankcjonowana przez uroczyste międzynarodowe układy, ale, że układy imigracji tej się domagają. Prawdą jest, iż Żydzi wkraczają do Palestyny na mocy prawa a nie tolerancji”.¹⁾

Zgodnie ponadto z duchem całości mandatów Ligi, każdy z mandatariuszy winien uzgadniać swe działania przede wszystkim z interesami powszechności narodów. W mandacie palestyńskim interes tej powszechności szczególnie wyraźnie domagał się maksymalnych ułatwień dla żydowskiej imigracji na terytoria ich siedziby narodowej. Mandat bowiem ten w swych założeniach zmierzał tak do zmniejszenia populacyjnego ciśnienia Żydów w krajach ich masowego przeludnienia, jak i do zapobieżenia ich dalszej pauperyzacji, nieuniknionej w ciężkich gospodarczych warunkach tych przeważnie mało zasobnych krajów. Stąd też chcąc pozostawać w zgodzie z literą prawną mandatu, jak i z jego międzynarodowym duchem, mandatariusz nie może swych działań ograniczać do biernego tylko przyglądania się samorzutnie odbywającej się imigracji Żydów, lub co gorsza do jej tamowania, lecz winien dążyć do jej racjonalnego zorganizowania i w żadnym wypadku nie może ograniczać jej terytorialnej ekspansji uniemożliwiającej znaczny odpływ Żydów z krajów ich przeludnienia.

¹⁾ It is true that Jewish immigration is not merely sanctioned but required by solemn international agreements. It is true that the Jews enter Palestine as of right and not on sufferance.

Powierzając W. Brytanii terytoria Palestyny ze ścisłym zobowiązaniem do czynnego współdziałania w odciążeniu żydowskiego ciśnienia w krajach ich zamieszkania, społeczność narodów daleką była od chęci ułatwiania W. Brytanii posługiwania się strategicznymi i politycznymi walorami tych terytoriów dla prowadzenia jej własnej imperialnej polityki. Kategoryczne zakazy art. 17 tegoż aktu mandatowego wyraźnie na to wskazują. O ile bowiem artykuł ten upoważnia Anglię do użytkowania dróg i portów Palestyny dla przewozów jej oddziałów zbrojnych, to równocześnie niemniej wyraźnie zakazuje on stałego kwaterowania na terytoriach palestyńskich morskich, lądowych i powietrznych sił zbrojnych brytyjskiego mandatariusza.

V.

Piętnaście lat trwania mandatu W. Brytanii, poświęconych osiągnięciom wcale innych celów niż tego, którego domagały się duch i litera aktu mandatowego, zaostrzyły sprawę palestyńską do takiego stopnia, że komisja lorda Peel'a, powołana do poszukiwania nowego wyjścia, orzekła w swym raporcie z dn. 8/VII 1937, iż dalsze trwanie mandatu w jego niezmienionej formie uważa prawie za niemożliwe. Stąd też w konkluzji komisja sądzi że: *a)* mandat palestyński winien być zastąpiony systemem traktatów, podobnych do podpisanych przez mandatariusza z Irakiem i Syrią, *b)* że traktaty te, zawarte z Transjordanią i Arabami Palestyny, oraz z organizacją syjonistyczną winny utworzyć dwa suwerenne państwa, z jednej strony Transjordanię, zwiększoną o prowincje palestyńskie, leżące na wschód i południe od nowej granicy, a z drugiej strony państwo żydowskie, leżące na zachód i północ od niej.

Kreując w ten sposób państwo żydowskie i znacznie powiększając Transjordanię, tenże raport nie zapomina i o interesach mandatariusza, oddając w jego zarząd terytoria Jerozolimy i okolic, wraz z ich korytarzem do morza i szeregiem baz morskich, oraz zapewniając mu ponadto sporo przywilejów strategicznych na całości terytoriów tych dwóch nowych państw, ujętych w postanowieniu, a nulu-

jącym całkowicie zakazy obowiązującego obecnie mandatu. Postanowienie to głosi że: „do tych traktatów załączone zostaną konwencje wojskowe, umożliwiające obecnemu mandatariuszowi utrzymywanie jego morskich, powietrznych i lądowych sił wojennych, oraz swobodne użytkowanie dla tychże celów portów, dróg, kolei, rurociągu naftowego itp.”

Dzieląc Palestynę i oddając Żydom jej część najbardziej zaludnioną, obejmującą ponadto tylko $\frac{1}{5}$ jej dawnej całości, zalecenia raportu mijają się całkowicie z zadaniem, postawionym przez społeczność narodów palestyńskiemu mandatowi. Żeby bowiem terytoria Palestyny mogły stać się narodową siedzibą Żydów, winny one być tak rozległe, by mogły pomieścić znaczny chociażby procent, rozrzuconej po globie masy żydostwa. O ile więc dawne terytoria Palestyny, mogące zaabsorbować znacznie ponad trzy miliony osób, w przybliżeniu przynajmniej odpowiadały temu zadaniu, pozwalając na osiedlenie około trzech milionów żydowskich imigrantów i umożliwiając najbardziej przeludnionym krajom Europy odciążenie ich żydowskiego ciśnienia, o tyle nowe, tak okrojone terytoria tej siedziby zmuszają do zupełnego wyrzeczenia się tych nadziei.

Nowe to zalecenie nie jest ponadto zgodne z samą literą prawną mandatu, wiążącego z pojęciem żydowskiej siedziby narodowej całość terytoriów Palestyny, ustanowionych w jej obecnych granicach politycznych aktem międzynarodowym, obowiązującym w stosunku do całości państw i żydostwa. Ta międzynarodowa polityczna niepodzielność Palestyny w jej historycznych i geograficznych granicach, dzisiaj jeszcze bardziej została wzmożona węzłami gospodarczymi, zespalającymi poszczególne jej dzielnice.

Ale pomijając literę i samą istotę mandatu, trzeba podkreślić, iż nowe zalecenie brytyjskiej komisji podważa całkowicie cały kapitał zaufania, który świat żydowski, liczący się z lojalnym wykonaniem postanowień mandatu, włożył w swe palestyńskie poczynania kolonizacyjne. Zmierzając bowiem do zagospodarowania całej Palestyny, tak imigranci jak i kapitały żydowskie, mniej więcej równomiernie zasiedlały i inwestowały poszczególne jej prowincje. Obecnie

zaś Żydzi zmuszeni do odstąpienia $\frac{4}{5}$ całości swego terytorium, będą musieli utracić znaczną część swych palestyńskich inwestycji, sięgających prawie 80 milionów funtów. Biorąc jednak pod uwagę, że inwestycje te obliczane były na funkcjonowanie gospodarczego organizmu Palestyny, jako niepodzielnej całości, straty te będą niewątpliwie o wiele większe, tym bardziej, że w tejże, obecnie przydzielanej Arabom części, leżą największe przemysłowe przedsiębiorstwa Żydów, jak elektryfikacyjne koncesje na Jordanie i zakłady potasu nad morzem Martwym. Wyłania się nadto konieczność przeniesienia całego szeregu żydowskich osiedli, rozrzuconych po terytoriach, mających obecnie znaleźć się poza granicami ich państwa. Nie trudno więc uświadomić sobie całą tragedię tych ludzi, stojących wobec groźby nowej wędrówki w nieznane, jedynie tylko dlatego, że zbyt zaufali dokumentowi międzynarodowemu, zachęcającemu ich do osiedlania się w Palestynie, jak i lojalności brytyjskiego mandatariusza, który miał czuwać nad ścisłym przestrzeganiem i wykonaniem mandatu.

Polityka taka, zniechęcając Żydów do zasiedlania Palestyny z obawy, że nowe wymagania brytyjskiej polityki imperialnej zmuszą ich być może do coraz to nowych wędrówek — nie przyczyni się oczywiście do uzdrowienia społecznych i gospodarczych stosunków w wielu państwach. Jest ona tym bardziej szkodliwą, że jak to stwierdza raport lorda Peel'a, pod wpływem utworzenia mandatu palestyńskiego zrodziła się wśród Żydów wiara w osiągnięcie ich narodowych i państwowych ideałów i że dzięki temu: zaznaczyła się pewna ewolucja żydowskiej mentalności, tak iż, jak podkreśla lord Peel: „Mniej jest teraz Żydów dla których regułą życia jest biblia, a więcej takich, dla których biblia jest mandat”.¹⁾

Podział Palestyny nie jest więc zgodny, jak sądzimy, ani z duchem i literą prawną mandatu, ani z interesami gospodarczymi kraju i zwykłą normą zobowiązań moralnych w stosunku do osiadłych emigrantów i zainwestowanych

¹⁾ There are fewer Jews now whose mandate is the Bible and more whose bible is the Mandate.

kapitałów, nie jest on również koniecznym ze względu na rzekomą niemożliwość pogodzenia żydowsko-arabskiego współżycia. Wypowiadając się w Izbie Gmin przeciwko podziałowi Palestyny, poseł Morgan Jones stwierdził wyraźnie, że, jeżeli pewne postanowienia mandatu nie okazały się najlepszymi, nie wynika z tego bynajmniej, żeby sama idea mandatu była wadliwa. Najbardziej wadliwą, zdaniem Jones'a, była brytyjska administracja mandatowa; sądzi on przeto, że należy drogą zmiany odnośnych przepisów dążyć do unormowania stosunków w Palestynie, jeśliby natomiast administracja brytyjska okazała się nadal niezdolną do spełnienia tego zadania nie pozostanie jej nic innego jak po prostu zrzeczenie się przyjętego mandatu.

VI.

Nie mając powodu do odrzucenia opinii członka brytyjskiego parlamentu, stwierdzającej nie tyle potrzebę rewizji mandatu ile raczej postępowania brytyjskiej administracji mandatowej, sądzimy, że zmiany te zmierzać winny przede wszystkim w kierunku jak najszybszego wytworzenia, przez wzmożoną żydowską imigrację, określonej większości Żydów, umożliwiającej stopniowe przejmowanie we własne ich ręce rządów ich narodowej siedziby.

Zgadzając się ponadto z twierdzeniem raportu Peel'a, że obecnie po nieudanych poczynaniach Brytanii, trudnym, jeżeli nie zupełnie niemożliwym, będzie ułożenie zgodnego arabsko-żydowskiego współżycia w Palestynie, tym bardziej należy dążyć do nasycenia jej terytoriów elementem żydowskim, oraz odciążenia ich z elementu arabskiego, posiadającego dużo jeszcze przestrzeni dla swej emigracji. Wymiana populacyjna, dokonana po wojnie pomiędzy Grecją, Turcją i Bułgarią, dostarczyć może w tym względzie dobrych wzorów, ułatwiających tym bardziej nowe jej zastosowanie, że absorbować ona będzie znacznie mniejszą ilość jednostek, ponieważ, gdyby nawet objęła całą masę Arabów Palestyny, nie przekroczyłaby i wtedy dziewięciuset tysięcy osób. Dla tych osiągnięć nie jest jednak bynajmniej konieczne wprowadzanie wzorem powojennym przymusu, wy-

starczy tylko odpowiednie zorganizowanie kredytów i pomocy technicznych, a wymiana ludności odbywać się będzie samorzutnie, ponieważ w interesie samychże Arabów, jak wykazaliśmy wyżej, leży konieczność terytorialnego skupienia ich sił. Zalecając utworzenie żydowskich i brytyjskich subsydiów dla zagospodarowania Transjordanii, samże raport wskazał drogę dla takich właśnie rozwiązań. Rozszerzając tylko te kredyty i pomoce techniczne, będzie można zaludnić Transjordanie wychodźcami arabskimi z Palestyny, nie uciekając się nawet do powiększania jej terytoriów. Jak bowiem wyraża się tenże raport, Transjordania może pomieścić ilość ludności znacznie większą od tej, która obecnie zamieszkuje to terytorium.

Polityka ta, zdążająca do zachęcenia Arabów do emigracji z Palestyny, dla zwiększenia jej żydowskiej chłonności, nie będzie oczywiście zbyt zgodną z zasadą samostanowienia narodów; ułatwi jednak niewątpliwie osiągnięcie pozytywnych rezultatów, koniecznych dla utrwalenia społecznego pokoju w granicach niejednego państwa. W swym ostatecznym wyniku nie będzie ona również szkodliwa i dla świata arabskiego, gospodarcze bowiem środki, dostarczone mu przez najbardziej zainteresowanych, umożliwią Arabom ostateczne osadzenie koczujących dotychczas mas, wynoszących w samej Palestynie około 15% całej ludności, a tym samym i szybsze skonsolidowanie ich politycznego i społecznego organizmu. Zwiększona zaś dzięki temu populacyjna chłonność Palestyny pozwoli na zwiększenie kontyngentu żydowskich imigrantów. Słusznie bowiem zaznacza inny znów członek Izby Gmin, A. Sinclair, że: „polityka podziału, proponowana przez rząd brytyjski zamyka kłapę bezpieczeństwa dla kwestii żydowskiej w Europie. Zamykając bowiem to naturalne wyjście nie tylko znacznie pogorszy sytuację, lecz uczyni ją ponadto bardziej kłopotliwą dla rządów takich krajów jak Polska i Rumunia“.

Ponieważ zmiana mandatariusza nie jest możliwa ze względów politycznych, a również nie jest wskazana dla racij gospodarczych, przeto ewentualna rewizja tego mandatu powinna, naszym zdaniem, zmierzać do większego zacieśnienia współpracy obecnego mandatariusza z innymi państwami,

oraz do uniezależnienia jego palestyńskich poczynań od jego ogólnej polityki imperialnej. Ta bowiem właśnie polityka zmusza W. Brytanię, zależnie od koniunktur chwili, bądź do faworyzowania Żydów, bądź też do popierania Arabów. Równocześnie zaś konieczność wielkich zasobów finansowych dla racjonalnego skolonizowania Palestyny wymaga ścisłej współpracy W. Brytanii z państwami, skupiającymi najliczniejszą finansjerę żydowską, w pierwszym rzędzie powołaną do podjęcia tego trudu. Doniosłość właściwego doboru elementu imigracyjnego domaga się niemniej ścisłego udziału w administracji palestyńskiego mandatu tych państw, które ten element mogą dostarczyć. Harmonijne sprężgnięcie tych wszystkich niezbędnych dla każdej kolonizacji czynników i odpowiednie zapewnienie dostarczającym ich państwom właściwej kontroli nad gospodarką mandatariusza pozwoli na szybkie zaludnienie Palestyny, Polsce zaś w szczególności zapewni w okresie jakich dwu dziesiątków lat zmniejszenie jej żydowskiego ciśnienia o przeszło milion jednostek.

Wychodząc z założenia, że sprawa palestyńska i związane z nią zagadnienie emigracji żydowskiej jest kwestią wybitnie międzynarodową, obchodzącą przede wszystkim państwa dysponujące największymi masami żydowskich mieszkańców i największym ich procentem w zaludnieniu kraju, twierdzimy kategorycznie, że nie można tej sprawy rozstrzygać bez wyraźnej zgody tych właśnie państw. Sądzymy ponadto, że takie rozwiązanie palestyńskiego problemu może i powinno być narzucone całemu żydostwu, w razie gdyby jego przywódcy, powodując się oportunizmem, a nie chcąc opuszczać wygodnie zajmowanych dotychczas miejsc dla podjęcia ciężkiego niewątpliwie trudu kolonizacyjnego, chcieliby się zadowolić prestiżowym tylko dla nich rozwiązaniem, ustanawiającym państwo niezdolne do pochłonięcia znikomej nawet części zakwalifikowanych do wyemigrowania Żydów. Światowy charakter sprawy palestyńskiej w całej pełni upoważnia również państwa, najbardziej w niej zainteresowane, do żądania od społeczności narodów innych nadto terenów dla żydowskiej kolonizacji, w razie gdyby nowe rozwiązanie mandatu Palestyny uniemożliwiło

odpływ na jej terytoria ich żydowskiego potencjału emigracyjnego.

VII.

Arabsko-żydowska terytorialna rywalizacja o Palestynę, oraz brytyjsko strategiczno-komunikacyjne nią zainteresowania, uzupełnione nawet rozgałęzionymi związkami całej Europy w jej stosunkach ze Wschodem, utrzymywanymi za pośrednictwem kanału Suezkiego i lądowo-powietrznych połączeń przez Palestynę, nie wyczerpują jednak jeszcze całości palestyńskich zainteresowań świata. Gęsto bowiem rozsiane, na terytoriach tych pamiątki religijnego kultu wszystkich chrześcijańskich narodów, wiążą z nimi najmocniej sentymenty wyznawców tychże kościołów. Tysiąclecie już trwająca a w swych przejawach wszechstronna praca palestyńska świata katolickiego zadzierzgnęła najściślejsze więzy, łączące narody katolickie z Ziemią Świętą. Dziś, gdy długi okres materialistycznych doświadczeń i idących ich śladami rozczarowań zaczyna powoli nawracać ludzkość ku dawnym poszukiwaniom nieprzemijających ideałów i wartości duchowych, te węzły sentymentu i kultury nabierają szczególnych walorów.

Obecny już akt mandatowy, oceniając w całej pełni znaczenie Palestyny w duchowym życiu chrześcijaństwa oraz innych wierzeń zwłaszcza mahometan i Żydów, postanawiał w swym art. 14 że:

„Specjalna komisja zostanie wyznaczona dla przestudiowania, określenia i rozstrzygnięcia praw i sporów związanych z użytkowaniem miejsc świętych, jak również uprawnień i spraw rozmaitych religijnych społeczności w Palestynie. Sposób nominacji członków tej komisji, oraz jej skład i funkcjonowanie winny być potwierdzone przez Radę Ligi Narodów, bez którego to potwierdzenia nie może ona ani być utworzona, ani rozpocząć swych czynności“.

Bogata różnorodność palestyńskich i międzynarodowych kłopotów mandatariusza, wpłynęła na fakt, iż zapomniał on o tym swoim obowiązku, a też dlatego te postanowienia mandatu pozostawały dotychczas martwą literą.

Zalecenie raportu Peel'a, powołując się na powszechność religijnych węzłów, łączących Palestynę z całym światem,

przewiduje wprawdzie, że Jerozolima i Betleem zostaną wydzielone z granic dwu nowopowstających państw i oddane, jako nowy i specjalny mandat, W. Brytanii, nie precyzuje ono jednak uprawnień innych zainteresowanych w tym mandacie narodów. Biorąc natomiast cały szereg politycznych i strategicznych koncesyj, jak Haiffa, Akr, Lidda, Tulkaram i Akkabba, zarezerwowanych w wysokim stopniu dla tegoż mandatariusza, odnosi się wrażenie, że ten nowy mandat ma tylko uzupełniać użytkową wartość strategicznych przywilejów W. Brytanii na terytoriach Palestyny, tak znacznie rozszerzonych w porównaniu do postanowień dawnego mandatu.

Jeżeli w tym nowym mandacie chodzi o opiekę nad przedmiotami kultu kościołów chrześcijańskich, to W. Brytania jest niewątpliwie jak najmniej do tego powołana, bowiem jej zainteresowania w tej dziedzinie datują się zaledwie od końca ubiegłego stulecia, gdy natomiast Kościół rzymski i rządy państw katolickich od długich już setek lat rozwijają w Palestynie najbardziej różnorodną kulturalną i charytatywną działalność. Jeżeliby więc nowy mandat miał respektować prawa, nabyte tak uciążliwą i długą pracą, uwidoczniącą się w całym szeregu dzieł, jak kościoły, szkoły, biblioteki, szpitale, poradnie, apteki, przytułki i inne, nie powinien on przeoczać faktu, że dorobek samego świata katolickiego na ziemiach Palestyny znacznie przekracza wspólne osiągnięcia wszystkich innych razem wziętych kościołów. Stąd też, wykonując przyrzeczenie art. 14 obowiązującego dziś mandatu, oraz opierając się na stanie faktycznym palestyńskiej działalności poszczególnych kultów, należy udostępnić państwom katolickim jak największy wpływ w nadzorze funkcjonowania tego mandatu.

Wszechstronne przemiany, dojrzewające w granicach coraz bardziej nacjonalizujących się państw, czyniąc coraz trudniejszą sytuację żydostwa, oraz ostry kryzys w sprawie Palestyny, tak utrudniający pozytywne rozwiązanie zagadnienia żydowskiego, dostarczają dużo powodów do rewizji niektórych postanowień mandatu, a szczególnie sposobów ich wykonywania przez brytyjskiego mandatariusza. Rewizja ta winna stworzyć możliwości maksymalnego wzmożenia żydowskiego wychodźstwa do

Palestyny, które powinno tam budować swe państwo w ścisłej współpracy mandatariusza z mocarstwami, dysponującymi największym żydowskim emigracyjnym potencjałem, oraz najbogatszymi gospodarczymi zasobami ich żydowskich obywateli. Szczególny charakter Ziemi Świętej i węzły łączące ją ze światem katolickim uzasadniają w zupełności potrzebę zwiększenia uprawnień państw katolickich w opiece i użytkowaniu świętych miejsc. Wreszcie polityczne i strategiczne znaczenie Palestyny w śródziemnomorskiej i imperialnej polityce szeregu państw Europy nie pozwala oczywiście na pominięcie ich udziału w urządzaniu jej spraw, a tym samym nakazuje ich rozstrzygnięcie w tym kierunku, by uniemożliwić któremukolwiek z tych państw wyzyskanie Palestyny na odskocznę dla jego wyłącznie światoburczych czy egoistycznych planów.

Roman Piotrowicz.

O ofensywę chrześcijańskiej jedności.

Na froncie misyjnym w Japonii.

Stoję przed domkiem japońskim. Nie widać kołatki, ni zwykłych dzwoneczków, a już mowy nie ma o guziczku naszych dzwoneczków elektrycznych. Głośnym *konnichi wa* (dzień dobry) zgłaszam swoje przybycie.

Lekko odmykają się papierem oklejone drzwiczki — zasuwę. Jawi się mała dziewczynka, zapewne dzieć domy, dygnęła grzecznie i zapytuje:

— *Nani wo nozomimasu ka?* (Czy wolno zapytać, czego pan sobie życzy?)

— *O aruji ni au koto wo nozomimasu.* (Pozwalam sobie zapytać o pana domu).

— *Dozo o agari kudasai.* (Proszę nas zaszczyścić i udać się wyżej).

Przed domem leży olbrzymi kamień. Zapewne jeden z głazów narzutowych. Tylko górna jego część jest ociosana poziomo. Staję na kamieniu, zsuwam lekko pantofelki z nóg, jeden krok... i znajduję się na drewnianej posadzce domu. Zwyczajem tutejszym przykucam i dotykam czołem podłogi. Otwierają się drzwi do pokoju przyjęć. Wchodzę. Z drugiej strony wchodzi pan domu. Przyklekamy obaj i dotykamy siedem czy osiem razy czołem rozścielonych makat, wplatając za każdym pokłonem jakąś grzecznościową uwagę.

Po tych ceremoniach pan domu podsuwa mi wielką, płaską, jedwabną poduszkę pod kolana i zaprasza, bym się urządził „wygodnie“. Odmawiam grzecznie, bo to się nie

godzi z godnością osoby, którą przedstawiam. Na to pan domu bierze drugą poduszkę i przykucamy naprzeciw siebie. Wyciągam mapę i książki. Tymczasem czcigodny dyrektor największego z seminariów nauczycielskich prowincji ustawia mały i niski stoliczek między nami. A ja, bez większych skrupułów, rozkładam na nim Pismo święte, konkordancję biblijną, katechizm i objaśnienie do niego.

Rozpaczynam wykład ¹⁾ — pogadankę. Mówię najpierw o głosie sumienia i przedstawiam go jako prawo Boże zapisane w sercu każdego człowieka, równe dla wszystkich, obowiązujące w całym świecie. Prawodawcę tego prawa zwiemy Bogiem. Nie zna granic, nie ma imion. Jest duchem, który wszystko ożywia. Nie widział Go nikt, prócz tego, który odeń wyszedł, Chrystusa, Boga-człowieka. Jezus stał się człowiekiem, by ludziom objawić Boga, choćby tylko świętością życia i mocą swych cudów.

Zapowiedziany był od dawna ludzkości. Jak ziarno zapowiada żdźbło i złoty kłos, tak niejako pierwszy człowiek, tak Abraham, Izaak, Jakub, tak cały naród wybrany, wskazują i wieszczą Chrystusa.

Nieposłuszeństwo pierwszego człowieka oddziela ludzkość od Boga. Posłuszeństwo drugiego łączy z Bogiem wszystkich, którzy dobrej są woli. Grzech, wyniosłość pychy rodzą krzyż. Świadomość własnej winy jest kluczem do rozwiązania tajemnicy krzyża. Krzyż jest osią i ośrodkiem świata i jego dziejów. Kładzie kres przewinom i znaczy początek zbawienia.

Wszyscy wyglądali tego krzyża, jego treści nieogarnionej i wszyscy tęsknili za Chrystusem, jako za zbawcą i odkupicielem. A Chrystus, zjawiwszy się raz i raz umarłszy na krzyżu, już nie umiera. Żyje w Kościele swoim. Jego przykazaniem i jego duchem stoi Kościół i podąża z swą misją poprzez łany ziemi. Kto za nim idzie, idzie za Chrystusem, a kto za Chrystusem idzie, idzie za Bogiem.

Celem Kościoła Chrystusowego jest jednoczyć ludzi z Bogiem i pomiędzy sobą. Ośrodkiem widzialnym tej je-

¹⁾ Wiedziałem dobrze, że przy podobnych wizytach za drzwiczkami — zasuwami w sąsiednich pokojach wielu ludzi słów moich słucha.

dności i tego zjednoczenia jest namiestnik Chrystusowy na ziemi. W jego imieniu pracują misjonarze i w tej japońskiej prowincji. Nie przeraża mnie wielka liczba tych, których chcę pozyskać. Nie zniechęca nikły owoc dotychczasowej mej pracy. Nie jestem przecież sam. Przeszło 250 misjonarzy pracuje ze mną. Czemuż więc mielibyśmy rozpaczać. Przed dwoma tysiącami lat jeden tylko krzyż widniał na widnokręgach ziemi — a dzisiaj, któż je policzy? Oto znak hańby stał się znakiem zwycięstwa, które podbija świat.

Zamilkłem na chwilę. Tymczasem rozsunały się cichutko *fasuma* drzwiczki. Na mgnienie oka dostrzegłem „panią domu“. W postawie klęczącej i ze spuszczonymi oczyma wsunęła herbatę i zakąski i zniknęła za drzwiami. Dyrektor podał mi maleńką filiżankę i nalał gorącej herbaty. Przekąsiliśmy raz i drugi i nastąpiła chwila milczenia.

Nippon oskarża chrześcijański świat.

— „Głównym problemem ideowym w Japonii — rozpoczął dyrektor — jest dzisiaj bezwątpienia kwestia religii. Przed 30—40 laty przeciwstawialiśmy się — my, ludzie szkoły, wrogo każdej religii. Jedynym naszym usprawiedliwieniem za taką postawę wewnętrzną to wielkie „oskarżam“, wytoczone światu chrześcijańskiemu. Wysyłailiśmy delegację po delegacji do Europy i Ameryki, by zbadały religie Zachodu. We wszystkich dziedzinach kultury i przemysłu zdołaliśmy odszukać sobie i przyswoić to co Zachód miał najlepszego, czemużby więc nie można tego dokonać i w dziedzinie religii. Lecz wszystkie usiłowania w tym właśnie kierunku okazały się wkrótce zupełnie bezpłodne.

Delegacje nasze doszły do przekonania, że w każdym z państw zachodnich odmienne panuje wyznanie. Wprawdzie wszystkie kraje zwą się chrześcijańskimi, ale dla nas jest wprost niepojętym fakt, iż nazwa głosi jedność i zgodność wyznania, a rzeczywistość kłam temu zadaje.

Na zewnątrz podobał nam się najwięcej kościół wschodni — rosyjski. Zespolenie państwa i religii miało wiele podobieństwa z naszymi pojęciami i poglądami w tej dziedzinie. Ale w treści samej jakaż ogromna różnica! Brak tam bogów,

a nawet car, mimo niepodzielnej i najwyższej władzy, nigdy sobie nie rościł prawa do tytułu choćby syna lub potomka Boga.

Z niekłamany podziwem stanęliśmy przed potęgą i godnością papieża rzymskiego. Ale niezrozumiałym nam był fakt uwięzienia papieża w Watykanie przez wyznawcę religii, której papież jest głową.

Francja chełpiła się, że jest katolicką. A rząd jej równocześnie przygotowywał ustawodawstwo arcy-anty-kościelne.

W chrześcijańskiej Anglii¹⁾ dochodziło do tego, iż każdego katolika określano mianem zdrajcy ojczyzny.

A Niemcy? Co za chaos religijnych spraw i poglądów. Skłaniać się ku katolicyzmowi znaczy wyrzekać się zdrowego rozumu. Taka tam włądała powszechnie dewiza. Walka z katolicyzmem to walka o kulturę, *Kulturkampf* i to prowadzony przez męża tej miary, co Bismarck.

W Ameryce znowu, w tym kaju dobrobytu i pięknego rozwoju przemysłu oraz techniki, byliśmy świadkami najbardziej wyrafinowanego luksusu. Nie znaleźliśmy tam jednak ducha, nie znaleźliśmy duszy. Znaleźliśmy jedynie bajeczny i na zewnątrz świecący amalgamat ludów, który żadnym nie był ludem, który nigdy ludem stać się nie mógł, bo mu brak było duszy. Sekt „chrześcijańskich” poznaliśmy setki. Powstawały i ginęły jak powstają i giną przedsięwzięcia przemysłowe.

A wynik tych bolesnych poszukiwań? Można się go domyśleć i jest zrozumiałą sam w sobie. „Chrześcijańskie” kraje Europy i Ameryki w kwestii religii same jeszcze nie doszły do jasności i ostatecznej zgody i jedności. Konsekwentnie w tej dziedzinie nie mogą nas Japończyków niczego nauczyć“.

Z rosnącym napięciem i w głębokim zamyśleniu śledziłem wywody dyrektora. Cóż na nie można odpowiedzieć? Właściwie nic. Bo jego uwagi tak odpowiadały faktom i tak doniosłego dotyczyły problemu, że każde tłumaczenie z mej

¹⁾ Dopiero ustawą tzw. *Catholic Relief Bill*, z dnia 3. XII 1936, umożliwiono katolikom dostęp do godności i urzędów państwowych (z wyjątkiem godności królewskiej i kilku wyższych państwowych urzędów).

strony byłoby się rozpręgåło w wewnętrznej niemocy. Dyrektor przewracał kartki jakiejś książki. Sami chrześcijanie, utrudniają poganom poznanie Chrystusa, pomyślałem sobie. Z mego zakłopotania wyzwoliła mię poraż wtóry, z tym samym ceremoniałem, podana herbata. Tymczasem przyszła mi szczęśliwa myśl i opowiedziałem dyrektorowi jak to niedawno *kokoheika* („cesarz powszechnej nauki“ — imię japońskie papieża) konsekrował sześciu Chińczyków na biskupów. To początek obsługi Chin przez krajowców. To samo Ojciec św. myśli uczynić i w Japonii. My, misjonarze, jesteśmy tylko posłannikami, zwiastunami Dobrej Nowiny. Tak w Japonii jak i na całym świecie Kościół katolicki dąży do utworzenia rodzimego kleru. Żaden naród się nie cieszy w Kościele przywilejem pierwszeństwa. Wszystkie narody mają te same prawa. Kościół szanuje odrębność narodową i obyczajową poszczególnych krajów. Celem jego jest wspierać wszystko co dobre w danym narodzie, umacniać i uszlachetniać.

Dyrektor z widocznym zadowoleniem słuchoł tych uwag przytakując co chwila. Następnie podjął wątek przerwanych herbatką wywodów i rozpoczął szeroko rozwodzić się nad szintoizmem i buddyzmem.

— „Mógłby mi teraz ksiądz postawić pytanie czyż naprawdę wybór religii był kwestią tak bardzo palącą dla Japonii, iż nieodzownym był jakiś natychmiastowy wybór? Czyż nie można pozostać przy religiach krajowych dopóty, dopóki nie znalazłoby się rozwiązanie zadawalające? — Nie, to było niestety niemożliwym. Do kroku decydującego zmuszała nas szkoła.

Przed zetknięciem się z Zachodem i zalaniem nas jego kulturą nie znaliśmy prawie tzw. szkół. Dzieci odbierały swe wychowanie w domu. Wrosły więc siłą faktu i tradycji w prastare religijne pojęcia oraz poglądy. Istnieje co prawda różnica istotna między szintoizmem a wprowadzonym z Chin buddyzmem, lecz lud nasz nie zwracał na to prawie uwagi. Miya¹⁾ i Tera²⁾ stoją obok siebie pogodnie i współmodląc się. Można by utrzymać twierdzenie o japoń-

¹⁾ Nazwa świątyni szintoistycznej.

²⁾ Nazwa świątyni buddystycznej.

skim zabarwieniu buddyzmu.¹⁾ Nie odczuwaliśmy potrzeby wszczynania rozpraw ni rozpalania dysput religijnych. W zwyczajach i w codziennym trybie naszych zajęć żyła religia.

Dopiero szkoła postawiła nas przed zadaniem rozumowego ujęcia religii. Nasuwało się bezkompromisowe pytanie: czego właściwie uczyć — wiary w niezliczoną ilość bóstw, czy też wpajać fantazyjne ujęcia i myślowe dociekania Buddy? Odpowiedź była prosta: ani jednego, ani drugiego. Cóż zatem począć? Otwierała się ideowa pustka. A jaki wynik? Oto szkoła nasza z zasady jest i musi być areligijna. Do tego wniosku nie doszliśmy łatwo ani też lekkomyślnie. Nie chcieliśmy za żadną cenę błędu. Jakież jednak zostało nam inne rozwiązanie, kiedy Europa i Ameryka nie dopisały? Nie wyczuliśmy niestety i nie domyśliły się tego nasze delegacje, że Europa i Ameryka mimo swego religijnego rozdwojenia, opierają się przecież i stoją jakby podświadomie ale całkowicie siłami i prądami żywotnymi chrześcijaństwa. My zaś wykluczaliśmy te moralne siły, które mimo wszystko tkwiły w naszych wierzeniach, dopóki je nasz lud dziecięco i nie inaczej rozumiejąc obejmował i kochał. Nie przeczuwając wyhodowaliśmy gorzki owoc, tak sobie jak i ludowi całemu“.

W najwyższym napięciu słuchałem toku tych wywodów. Wewnętrznie byłem pełen wielkiego podziwu i głębokiej czci dla dyrektora, za ten zdrowy rozum, który przebijał z jego słów. Byłem po prostu zaskoczony tym, co słyszałem do tego stopnia, że uznałem za konieczne przekonać się raz jeszcze o prawdziwości tego com usłyszał. Zwłaszcza, że uprzednio z różnych stron przestrzegano mnie przed tym panem, jako przed gorliwym buddystą, bardzo obznajomionym ze swoim tematem i jak się to mówi, kutym na cztery nogi, który już niejednego interlokutora nabawił kłopotu. Pozwoliłem sobie przeto na uwagę: Czyżby istotnie pan dyrektor nie przypisywał już żadnego znaczenia szintoizmowi i buddyzmowi?

„Żadnego“ — brzmiała odpowiedź. „To są poglądy religijne, które się ostać mogą dopóty, dopóki naród umy-

¹⁾ Szintoizm i buddyzm spłoty się w jedno w umysłowości japońskiej. Japończycy są buddystami, nie przestając być szintoistami i naodwrot.

słowo tkwi w powijkach. Ale dzisiaj już nie. Zmysł historyczny i zmysł krytyczny już się obudził w naszym narodzie. Szinto i Bukkuyo spełnili swe zadanie. Odejdą i zaginą”.

Przepraszam najmocniej, wtrąciłem, że jeszcze o jedno zapytam. A czy ta głośna propaganda zagraniczna buddyzmu nic panu nie mówi? Przecież Berlin posiada już całą parafię wyznawców Buddy!

— „To tylko kwestia mody. Natura niemiecka zbyt jest trzeźwa, by mogła na serio wyznawać Buddę. Ale proszę posłuchać o naszych doświadczeniach ze szkołą areligijną.

Wiedza europejsko-amerykańska przeszła w posiadanie mas poprzez szkołę. Poziom umysłowy tej wiedzy wykazywał z dnia na dzień jak śmieszne, jak wprost dziecinne są nasze wierzenia i nasza wiara. Pewnego dnia dostrzegliśmy wewnętrzny związek, jaki zachodzi między obyczajami i moralnością a religią. Już było jednak za późno. Wraz z religią ojców młodzież nasza porzuciła i dobre obyczaje ojców. Staliśmy się świadkami rozprężenia i rozpущenia młodzieży szkolnej tak męskiej jak i żeńskiej dotąd niespotykanego w naszych dziejach. A winę za to ponosimy my. Wszak świętym naszym obowiązkiem było stanąć przy tamach i strzec ich. A oto teraz powódź rozlała się po naszych niwach a znikąd nie ma ratunku. Co nam przyniesie przyszłość? Wstrząsy życia państwowego w krajach powojennej Europy doleciały echem do nas i muszą zrobić swoje. Czemu nie wracamy do wiary starej i do dawnych czasów? Bo to niemożliwe. W kleszczach jakoby wielkiego zaklęcia trzyma nasz kraj technika europejsko-amerykańska. Za jej cenę utraciliśmy pion moralny.

W połowie gmach państowości naszej już się opiera na europejskich fundamentach.

Bogowie giną i przepadają. A wszystko co się na nich opierało i nimi stało z dniem każdym bliższe jest swego upadku. Jak najszybciej trzeba cały gmach przesunąć i postawić na podwalinach Zachodu. Ale proszę tylko być szczerym i przyznać, co za problemy otwierają się przed nami, i co za pytania! Podwalina Zachodu przecież do nas nie należy. Nie jest naszą. Świadomie czy nieświadomie Za-

chód buduje na Chrystusie!- Podwaliną Zachodu jest przecież Chrystus! A my? Dopiero nikła garstka naszych go wyznaje — a reszta?“...

Ku memu szczęściu zauważył zacny dyrektor, iż nogi moje, skrzyżowane na poduszkach, nie są tak wytrzymałe jak japońskie czy chińskie. Zaproponował mi tedy z wielką grzecznością, bym zechciał obejrzeć ogródek i odetchnąć świeżym powietrzem. Powoli i z wielką godnością stawiając me zdrętwiałe nogi krok za krokiem, doszedłem do swoich trepek. Znalazłem je pięknie oczyszczone.¹⁾ Wsunąłem stopy i poszliśmy do ogrodu.

Ogród sam był niewielki, ośm metrów na dwadzieścia. W ogóle wszystko w nim było małe. Drózkę okalały małe kamienie pospinane mchem oraz drobną paprocią jakby ozdobną wstążką. Po obydwóch stronach zdobne krzaczki i krzewy. A wszystko małe. Grządek uprawnych tu nie znajduje. W pejzażu malowniczym, a każdy ogródek japoński nim być musi, nie ma dla nich miejsca. Stróżem ogródka jest pan domu. Jego przywilejem jest chodzić koło drzewek i kwiatów i z nich tworzyć maleńkie cudo.

Pochodziliśmy tak chwilę po ścieżkach a ja odkrywając wciąż nowe piękno, nie mogłem się nadziwić zmysłowi artystycznemu swego gospodarza. Zatrzymałem się wkońcu przy starym zwałonym pniu. Znać było, że jeszcze usiłowano ratować to drzewo. Kilka pali i kamienie wspierały jeden jeszcze żywy konar. „Stary pień — tłumaczył się pocziwy dyrektor — ale jeszcze puszcza zieloną gałąź. Ta zakwitająca na wiosnę białym kwieciami gałąź starej i spróchniałej wiśni to najbardziej wzruszający szczegół mojego ogrodu, niejako symbol nadziei“.

Kiedyśmy powrócili do domu, „pani domu“ czekała już na nas. Miała przed sobą dwie miniaturowe czarki. Nad *libachi*²⁾ kipiała woda. Poznałem przygotowania do trzeciej herbaty i ucieszyłem się bardzo. Być uraczonym „trzecią herbatą“ to najwyższy zaszczyt, jaki może spotkać gościa

¹⁾ Jeżeli Japończykowi nie podobają się czyjeś odwiedziny, to mu tego nie wolno wyrazić słowami. Na znak jednak swego niezadowolenia zostawia treпки gości okurzone i nieoczyszczone.

²⁾ Rodzaj japońskiego samowaru.

w domu japońskim. Przykucnęliśmy w milczeniu. Pani domu podała czarki według przyjętego ceremoniału. Po głębokim ukłonie wypróżniły je uroczyście trzema haustami. I dalej potoczył się wątek naszych rozważań.

— „Jeżeli się odwracamy, rozpoczął dyrektor, od naszych starych wierzeń zmuszeni siłą konieczności, to uchowaj nas Boże, byśmy się mieli odwrócić od religii w ogóle. Czytanie Pisma św. i ta szalona zmiana jaką nauka Chrystusa wprowadziła na świat przekonały nas, że i my musimy pójść za Chrystusem.

Chrześcijanie, rzecz zrozumiała, winni nam w tym pomóc. Tymczasem dzieje się wprost odwrotnie. Podzielili się na nieprzejrzone mnóstwo sekt. Dobrze im w nich i z nimi, chcą się w nich rodzić i w nich umierać, a naszego bólu, krzyku naszej duszy i naszych pytań nie chcą znać ni słyszeć. Czyż rozwój światowej komunikacji, która ludy i narody ze sobą łączy i miesza, nie żąda, by chrześcijanie dążyli do zgody i jedności przynajmniej ze względu na pogan i dla zbawienia ich dusz? Niestety, przekonaliśmy się, że zbyt dużo chrześcijan myśli tylko o sobie i nie pojęli jeszcze tego wołania za jednością, do której sam Chrystus przecież nawoływał. Wszak choćby w naszym tu mieście, wiadoma to rzecz, krząta się pięć różnych chrześcijańskich wyznań. W Tokio liczba ich wzrasta z każdym dniem. Obecnie liczymy ich tylko 120! I stwierdzamy z przerażeniem, że i nasi ludzie wchodzą w te spory międzywyznaniowe i w nich się beznadziejnie gubią.

Na nas samych spadł cały ten ciężar i trud, którego się podjąć nie chcą chrześcijanie dla swej wygody i powierzchowności. My sami musimy poszukiwać tego, czego Chrystus właściwie chciał i nauczał, musimy mozolnie szukać Jego prawdziwej nauki. I nie spoczniemy, zapewniam księdza, dopóki jej nie znajdziemy. To jest zadanie nasze, to posłannictwo nasze. Może szukanie nasze stanie się zbawieniem narodów. Fakt, że stoimy przed zadaniem wszechświatowym i że mamy się przyczynić w wielkiej mierze do jego rozwiązania dodaje nam skrzydeł“.

Przyznawałem w duchu słuszność dyrektorowi. Wielkie zadanie i wielka przyszłość czeka kraj wschodzącego słońca.

Wspomniałem mimochodem o bohaterskich rysach japońskich wyznawców Chrystusa sprzed 300 laty. Wspomniałem o odnalezieniu starych chrześcijan (17. III. 1865) w maleńkim kościółku w Oura (Nagasaki). Tak, rzekłem, Japonię zawsze uznawaliśmy jako kraj twardej orki. Ale o Japończykach nigdy nie zwątpiliśmy. Tysiącami przecież poszli ziomkowie pańscy na śmierć dla Chrystusa, którego wczoraj dopiero poznali. Przeszło 250 lat umieli wiernie przy nim trwać, chociaż byli oderwani i odcięci od wszelkiej łączności z chrześcijaństwem Zachodu. Od Japonii czekamy w przyszłości rzeczy wielkich.

— „Jeszcze mam księdzu coś powiedzieć, przerwał mi dyrektor, o tzw. „chrześcijańskich uniwersytetach“. Siedm takich uniwersytetów „nowej religii“¹⁾ zyskało aprobatę naszego rządu. Dla nas i w oczach naszych te uczelnie są *mattaku dame* (zgola bez wartości). Uczą tam co prawda wybitne chrześcijańskie siły. To uznajemy. Ale nie tego szukamy. Wiedza sama nic nam nie pomaga. Zwłaszcza, że w tej dziedzinie już się umiemy obejść bez chrześcijan. My wyglądamy religii, któraby umiała narodowi naszemu dać moc i siłę i moralną ostoję. Otóż nie znajdujemy w tych uczelniach ani śladu takiej religii. *Abunai kangae*, „niebezpieczne myśli“, tak określił rząd nasz całą wiedzę tych uczelni.

Kościół katolicki znam dotychczas tylko poprzez Sheishin yakuin (Siostry de Sacré Coeur). Ich zakłady w Obayashi i Tokio już są głośne na cały kraj. Weszło już w zwyczaj, że pierwsze rodziny kraju posyłają swe dzieci do tych właśnie zakładów. Siostry uczą dzieci nasze czcić i poważać obyczaje święte ojców naszych i tym sobie zyskały pełne uznanie. Nawet ministerstwo oświaty, jak ksiądz dobrze wie, poleciło zakłady tych sióstr. Ponieważ poraz pierwszy mam zaszczyt rozmawiać z katolickim misjonarzem, tedy proszę, przyslijcie nam jak najwięcej takich sióstr z Europy. One dźwigną lud nasz i odnowią go we wszystkim co dobre. O tym jestem przekonany“.

¹⁾ Imię zbiorowe dla wszystkich prądów chrześcijańskich niekatolickich brzmi Shinkyōata-vashi-oshie = nowa nauka. Naukę katolicką określa się mianem Kynkyō = furni-oshi = stara nauka.

Głęboko wzruszony zamknąłem swoją rozmowę z dyrektorem następującymi słowami: panie dyrektorze, przynieść i głosić Japończykom „dobrą nowinę“ jest dla mnie szczęściem najwyższym. Wy naprawdę za nią tęsknicie i jej szukacie. To widzę. I wiem, że Kościół katolicki tę prawdę posiada. Od 2000 lat żadna wiara ani żadna moc nie wyrwała mu tego diademu. Aż do chwili obecnej wszystkie prześladowania i wszystkie burze złowrogie atakujące Kościół ten, tylko go wzmacniały i przyczyniały się do pełniejszego jego rozwoju. Jedną naukę głosi wszystkim narodom i jedną wszystkie obejmuje. Jak dusza łączy wszystkie członki ciała, tak Kościół zespala w harmonii jednej ideologii wszystkie narody i wszystkie ludy.

Naród japoński już nie wierzy bogom swoim — to rozumiem. A ze starą religią musi i upaść stary obyczaj. I dlatego słusznie wyglądacie religii, która by wam przywróciła dawną moc i siłę wewnętrzną. Że nią jest właśnie Kościół katolicki i jego religia to sam pan dyrektor tak pięknie rozwinął i wykazał na przykładzie sióstr katolickich.

Uważam, że pełni nadziei możemy spoglądać w przyszłość. Albowiem drogę Kościołowi katolickiemu już przygotowaliście sami, boście utworzyli szkoły. A nawrócenie gruntowne narodu tylko się dokonywuje przez szkoły.

W Japonii każda wioska ma już swoją szkołę. W umiejętności czytania i pisania Japonia stoi na trzecim miejscu na świecie. W naczynie tak przygotowane wlejcież wino prawdy, które wam Kościół podaje. Pozwólcie misjonarzom przemawiać w szkołach waszych, a w okresie lat kilkunastu posiadziecie to, za czym tęsknicie i czego wyczekujecie.

Zapakowałem placuszki¹⁾ i wstałem. Przekazny dyrektor odprowadził mnie do drzwi. Tu już czekali zgromadzeni wszyscy członkowie domu, ustawieni półkołem, przykucnięci. Kiedym już włożył treпки i nisko się pokłonił pochylili czoła i dotknęli ziemi. *Sayo nara*, do widzenia odpowiedzieli wszyscy chórem. *O karada wo o taisetsu ni sh'te kudasai*,²⁾ doleciało mnie jeszcze zdala serdecznie życzenie

¹⁾ Tego żąda zwyczaj tutejszy.

²⁾ Proszę się troszczyć łaskawie o swe dostojne ciało.

dyrektora. Z pakuneczkiem w ręku, głęboko zadumany, wracałem na swą misyjną placówkę.

Chrześcijanie niezgodą swoją i brakiem jedności zamazują postać prawdziwego Chrystusa przed oczyma pogan! A mogliby przecież... choćby ze względu na pogan, dla pogan przynajmniej..!

Ks. J. Keller T. J.

Chiny między ewolucją a rewolucją.

W bieżących tygodniach, w czasie w którym dochodzi do nas wzmożony szcęk armat i broni z dalekiego Wschodu, zapominają zbyt często gorliwi nasi reporterzy prasowi o tym, czego zapewne nigdy nie wiedzieli ani nie wyczuli, że w kraju wielkich Chin, w wschodnioazjatyckiej strefie kulturalnej, daleko ważniejsze zachodzą zmiany i większe się dokonywują sprawy, niżeli walka rywalizujących między sobą marszałków i generałów, poza którą kryją się niemniej rywalizujące ze sobą mocarstwa obce.

Wielkie walki polityczne, których terenem od początku XX w. stał się kraj wschodzącego słońca, a które w ciągu ostatnich 30 lat nigdy nie ustawały całkowicie, są tylko symptomem kryzysu duchowego, symptomem przewrotu w światopoglądach i formach życiowych, symptomem nowego stawania się rzeczywistości dziejowej. Dokonywujący się w Chinach ideowy przewrót można porównać z wdarcieciem się światopoglądu chrześcijańskiego i feudalnych pojęć społecznych w antyczny-kapitałistyczny świat, tylko że proces ów rozłożony był wówczas na długie szeregi stuleci, podczas gdy w Chinach wspomniany przewrót dokonał się w okresie niewielu lat.

Wszelako ani Europejczyk ani Amerykanin nie mają pojęcia o tym, co było, ani o tym co nastąpić musi; nie mają pojęcia i nie znają kraju wielkiego porządku, który na kształt olbrzymiej nieprzeliczonej rodziny zażywał pod patriarchatem cesarza dobrobytu przez tysiące i tysiące lat, przerywanego jedynie okresami wspólnych klęsk i zaburzeń wewnętrznych; nie znają zgoła tego pań-

stwa narodowego, kierującego się ogólnie zasadami *San Min*, a zwanego dziś powszechnie chińską republiką.

Innymi słowy: imiona wielkich dowódców, wypadły i natarcia Nipponu albo republiki sowieckiej na Chiny, endemiczne powstania komunistyczne zapełniają wprawdzie szpalty naszych gazet i światowidów, są jednak bagatelizowane lub komentowane z roztargnieniem przez czytelników Zachodu. Od czasu do czasu jawi się nawet krwawa łuna na horyzontach dalekiego Wschodu, ale na krótko tylko, wnet błednie a po tym zanika. Chiny zaś same są i pozostają dla nas krajem czarownej baśni, oddzielonym od nas wysokim murem przysłowiowo „chińskim“, za którym mieszkają księżniczki Turandot i mandaryni, komiczni kulisi i wachlarzujący się bonzowie.

A jednak z tego kraju, który jeden jedyny w dziejach ludzkości posiadał kulturę sięgającą nieprzerwanie czterech tysięcy lat i wznoszącą się na wyżyny w pełni zharmonizowanej cywilizacji, z tego kraju wzięliśmy — któżby to posłał — decydujące zdobycze techniczne naszych dni: papier i druk, kompas i prawzór płatowców, proch i broń palną i ogromny zapas twórczych bodźców w sztuce. By to wykazać nie potrzeba sięgać w zamierzchłe dni praepoki, której tajniki usiłują nam otworzyć badania Strzygowskiego i Steina, Sven Hedin'a albo Kolcova, a wykazujące niezbieżność kultur Mezopotamii i Śródziemnomorza z dalekim Wschodem. Impresjonizm jako prąd w sztuce ma swych przodków w Chinach a wpływ chińskiej muzyki na nowszą muzykę europejską jest znaczny. A że lak i jedwab są pochodzenia chińskiego, o tym nie trzeba nawet i wspominać.

Badania najnowsze coraz to bardziej nam uprzytomniają, w jak wielkim kontakcie znajdowaliśmy się zawsze — z wyjątkiem epoki upadku ogólnego naszej kultury w wczesnym średniowieczu — z kręgiem kulturalnym krajów żółtomorskich. Te badania wykazują również, że ten obcy nam kraj dokazał wielkiego dzieła społeczno-kulturalno-państwowego. I dlatego tym bardziej dzisiaj, kiedy się każdy europejski kraj i naród cofa i nawiązuje do początków swoich, kiedyśmy się już dawno zrzekli wszelkiej reformatorskiej manii nie liczącej się z historycznymi i geograficz-

nymi danymi, rozumiemy dobrze, jakim nieszczęściem było dla Chin, to gwałtowne cięcie, objawiające się wprawdzie początkowo w zewnętrznych tylko zmianach, a dokonane przez kilku dobrze myślących ale przegorliwych mężów stanu na krótko przed wybuchem wielkiej wojny. Cięcie to miało oddzielić świetlaną przyszłość nowych, nie-cesarskich już Chin, od przeszłości widzianej w czarnych kolorach.

Rewolucja z 1911 r. musiała w ostatnich swoich konsekwencjach chybić, ponieważ niezdolną była przemienić charakter szerokich mas ludowych. Jako owoc zasad wręcz przeciwnych narodowemu duchowi szerokich mas pozostała niezrozumiana przez te masy. Musiała zejść na manowce, ponieważ jej przywódcy użyli jej wkrótce jako szczebla do potęgi, sławy i majątku.

Dorobek pierwszego ćwierćwiecza republiki chińskiej rozpatrywany przedmiotowo streszcza się w następującym bilansie: utrata Mandżurii, obydwóch Mongolij, północno-zachodniej prowincji Dżeholu, zmniejszenie się wpływów chińskich w Turkiestanie i Tybecie, rozszczepienie się kraju na pięć większych i szereg mniejszych państw dzielnicowych, spośród których tylko jedno i to nie największe znajduje się pod rządami Nankinu. Co prócz tego wycierpiał ten naród najcierpliwszy ze wszystkich ludów świata, tego się nie da wyrazić w bezdusznych, zimnych liczbach i cyfrach. Miliony i miliony, których nie zdołały pochłonać sporadyczne i nieuniknione klęski i katastrofy elementarne jak powodzie, głód, zarazy..., padły ofiarą wojen bratobójczych różnych generałów i hersztów, a nieocenione skarby minionej świetnej kultury przepadły na zawsze.

Stwierdzili to ostatnio dwaj dobrze obeznani tak z kulturą własnego narodu jak i z kulturą Zachodu pisarze chińscy: Ku-Hung-Ming, autor niezapomnianego dzieła o duchu chińskiego narodu i Europy oraz Lin Jü-Tang, który w świeżo napisanym dziele: *My country and my people*, zestawia i przeciwstawia stare oraz nowe Chiny. W żadnym bodaj dziele, nawet we wspaniałej syntezie René Grousset'a, nie zapozna się człowiek Zachodu tak z istotą, z ciemnymi i świetlanymi stronami współczesnych Chin, jak w tym dziele. W prozie opowiadającej, przede wszystkim w po-

wieściach tak świetnej autorki jak Pearl Buck — która zresztą zaopatrzyła wstępem dzieło Lin Jü-Tang'a — i w niektórych także, z przekładów znanych, obyczajowych obrazkach chińskich autorów, poznajemy wycinki tragicznej rzeczywistości Chin. W dziele jednak Lin Jü-Tang'a mamy obraz całkowity, zaokrąglony a widziany i ujęty bezpośrednio, jak gdyby *in flagranti*, z zachowaniem równocześnie potrzebnego dystansu, nie tyle może patetycznego, ile ironicznie-irenicznego.

Naród i charakter, sposób myślenia i motywy życiowe, stanowisko społeczne kobiety i rodzina, piśmiennictwo i sztuka, obyczajowość i zwyczaje... wszystko to jest wstawione w ten niezmiernie ciekawy obraz. I po każdym rozdziale zostajemy pod wstrząsającym wrażeniem nagiej prawdy, że przewrót brutalny i nierozumny zaprzepaścił i zniszczył cenną prastarą spuściznę, którą należało wprzód ocenić i przewartościować i poprzez ewolucję roztropną doprowadzić do właściwego rozwoju i znaczenia, miast dać jej ginać pod obuchem ślepej rewolucji. Zawsze i wszędzie mści się pęd niszczenia, który nie przewidział i nie przygował planów nowej budowy. Słowa kardynała Pacelli'ego, wygłoszone w Notre Dame dziwnie się tu schodzą z mądrością dalekiego Wschodu, który przemawia tym razem nie w skargach i oskarżeniach, lecz nagimi faktami.

Lin Jü-Tang nie jest bynajmniej piewcą minionych czasów. Bacznie wystrzega się uwielbiania przeszłości jako „dawnych, dobrych dni”. Byстрыm okiem dostrzega błędy swojego narodu. Wyznaje, że cierpliwość i poddanie się Chińczyków prowadziły do kwietyzmu i karygodnej obojętności w dziedzinie społecznej; że zimny, skrajnie-logiczny racjonalizm podcinał i zubożał uczucie i działanie wyobraźni; że wygórowany zmysł hierarchicznego porządku prowadził do tyranii jednostki; że skłonność do kompromisu i lęk przed decyzją, pewna giętkość i przebiegłość znalazły swój odpowiednik historyczny w sprzedajności i chciwości samowładców, w braku odwagi cywilnej i w służalczości wszelkiego rodzaju. Cnoty rodzinne powinny cieszyć się najwyższym szacunkiem, ale biada narodowi, jeśli cnoty te zwyrodnieją w nepotyzmie — tak przestrzega autor. Jednym

słowem sławnej owej chińskiej trójcy: *face, fate, favour* nie otacza autor aureolą, która się jej zresztą żadną miarą nie należy.

Jednakże trzy zasady San Min Tszu I: nacjonalizm, demokracja i dobrobyt narodowy, na których zbudowana jest konstytucja z 9 VII 1934, muszą też dopiero wykazać, że czegoś lepszego dokonać potrafią aniżeli „rząd gentlemenów“, sprawowany w imię owej nieświętej trójcy. Lin Jü-Tang patrzy pogodnie w przyszłość swej ojczyzny. Nie ze względu na zasady, ale owszem na przekór zasadom, względnie bardziej po chińsku, „zostawiając zasady na boku“. Albowiem więcej niż kiedykolwiek w kraju „kwiatowego środka“ zyskuje sobie poklask to hasło, że ludzie tworzą historię, i że od nich zależy zużytkowanie i zastosowanie zasad i paragrafów, drukowanych na cierpliwym bo prawdziwym chińskim papierze.

O tych zaś ludziach dowiadujemy się z *My country and my people* bardzo a bardzo dużo nowego, doniosłego i niespodziewanego. Mniej może o wodzach od Cziang-Kai-Szeka począwszy do Feng Jü Hsianga i Jüan Szi-Kai — który jedyny nadawał się na zbawcę Chin, gdyby nie był zmarł zbyt nagle i do dziś jeszcze nie wytłumaczoną śmiercią — do Sun Jat-Sena, szlachetnego marzyciela, poprzez *Monsieur Chinois Moyen*, przeciętnego Chińczyka wszystkich klas i poprzez *Madame, Mademoiselle* i *Bebé*.

Znakomicie udało się autorowi ująć sztukę swych ziomków i historię ich dziejów w interesujące opowiadanka. Ma to tę dogodność, że pozwala nam subtelności chińskiej estetyki jeśli nie zgłębić to w każdym razie ich się domyśleć. Pod tak światłym kierownictwem czytelnik lepiej poznaje całe to mnóstwo i całą różnorodność przejawów życia naturalnego, prostego, owocnego, związanego tradycyjnymi, pełnymi grzeczności a ściśle przestrzegаныmi stosunkami. Człowiek gotów powiedzieć, że ten kraj, to państwo, było dla swoich mieszkańców, jeżeli nie „dobrą ziemią“, to przynajmniej *Ta Ti*, „ziemią po prostu“... jak brzmi piękny tytuł filmu o Chinach, zaczerpnięty przez Pearl Buck z nieprzebranego skarbcza przysłów i przypowieści chińskiego ludu.

Klasyści chińscy, mądrość tysiącletnia wykuta w stylistycznej formie geniuszem wieków, władająca zawsze jeszcze

umysłami Chin, chociaż cesarze dynastii Tszing musieli — przynajmniej na razie — porzucić tron syna niebios i chociaż Hsia'owie i Szang'owie, Czu'owie i Han'y, Czin'owie i Tang'owie, Sung'owie, Jüan'y i Ming'owie spoczywają w grobach. Pięć onych zasad, które mądry żółw objawił pracesarzowi, władają po dziś dzień. Cześć dla wieku i dla rodziców, wiara i harmonia oraz dążenie do złotej drogi środkowej, te ideały są w Chinach wiecznie żywą i wiecznie działającą sprężyną.

Albo mówiąc ściślej zyskują one na nowo znaczenie. Albowiem to jest i to było tragedią Chin w ostatnich dziesiątkach lat, to było i to jest przyczyną „cierpień Chińczyków w Chinach“, że jedno pokolenie chciało odejść i zboczyć z tej drogi, którą przekazywali od wieków ojcowie. Fakty dokonane prześcignęły zamierzenia tego pokolenia i o to wnukowie zaczepiają teraz i nawiązują dziś tam, gdzie niebaczni ojcowie porzucili wskazania dziadów. To oprzytomnienie i ten nacjonalny chiński rachunek sumienia biegną siłą rzeczy przeciw tradycji japońskiej. I w tym tkwi korzeń konfliktu chińsko-japońskiego, który środki dyplomatyczne mogą wprowadzić na pewien czas odsunąć, nie potrafią go jednak nigdy zlikwidować.

Chińczycy, wychodząc ze swej mądrości pokojowo-biernej dla nas niepojętej, spoglądają na ten konflikt z dziwnym optymizmem. Lin Jü Tang ujął to nastawienie chińskiej duszy w świetnym porównaniu: Nippon to złom skalny — dynamitem można go rozsadzić, Chiny to wydma ruchomego piasku — można ją rozrzucić, przesypać, ale nie można jej nigdy usunąć. Niechże sobie Japonia odłącza prowincję po prowincji od macierzystej ziemi chińskiej, niech przenika swymi synami jej polacie: w morzu narodu chińskiego — 400, 450, 500 milionów, nikt nie wie dokładnie ile ich jest — każdy czynnik obcy musi się rozplynać, tak jak się stało z Mandżu, z Tatarami i innymi przybyszami; — jeśli zaś temu procesowi zechce się opierać to zostanie wyrzucony przemocą natury.

Oto nauka i ostatni wniosek rozważań tego przewodnika w wędrówce poprzez „kraj złotego środka“; inteligentny

przewodnik dla obcych zasłużył w pełni na to, by się stać wodzem swojego narodu.

Jednej tylko rzeczy brak w tej książce; autor spogląda na problem religijny z wyniosłością dobrodusznego sceptyka, wyrosłą z uzasadnionej nieraz urazy dojrzałego konfucjonisty do metrykalnego chrześcijaństwa Zachodu. Że chłodny rozum Chińczyka stanowi poważną przeszkodę dla wszelkich gorących zbliżeń mistycznych do Boga, to jasne. Nie wolno jednakże zapominać o fakcie, że czynniki mistyczne występują także w taoizmie i w kulcie natury prostego ludu, a nawet w nauce Chińczyków o państwie; dalej uderzyć musi fakt, że głębsze zaznajomienie się z prawdami chrześcijaństwa doprowadziło już w nielicznej jeszcze co prawda elicie tego narodu do pełnego harmonii zespolenia ewangelii i kultury wschodniej. Właśnie w Szanghaju, w siedzibie autora, można zaobserwować podziwu godny rozkwit katolicyzmu. Wspomnijmy mimochodem, iż b. premier republiki jest dziś członkiem zakonu benedyktyńskiego w Belgii, a wielu chińskich dyplomatów należy do Kościoła. Sun Jat-Sen, Cziang Kai-Szek, Feng Jü-Hsiang są wyznawcami chrystianizmu. A Stolica Apostolska, skupiająca również doświadczenia wieków, stworzyła w Chinach nie tylko tubylczy kler i episkopat, ale nadto potwierdziła niedawno orędziem papieskim zasadę, że katolicka myśl i katolicki sposób życia dadzą się pogodzić z myślą i życiowymi formami Chińczyków. Tak rozstrzygnięto wielowiekowy „spór o ryf“ na korzyść chińskiej sztuki. W tym przeto punkcie, dotyczącym religii, nie możemy się zgodzić z Lin Jü-Tang'iem. Ewangelia dla żadnego narodu nie jest obcym towarem. Zwraca się do wszystkich narodów a więc i do narodu Konfucjusza i Meng-Tse. Tylko w przyjaznym spotkaniu się z jednej strony chińskiej filozofii tak płodnej jeszcze w swych rozważaniach na temat ziemskiego dobrobytu z drugiej zaś strony chrześcijaństwa może się zrodzić owa cnota cnót, podstawa odrodzenia wszystkich społeczności, to *fundamentum regnorum*, którego brak w swej ojczyźnie tak boleśnie odczuwa Lin Jü-Tang — sprawiedliwość społeczna.

Prof. dr Otto Forst Battaglia.

Przegląd piśmiennictwa.

Prof. dr Leop. Caro: *Kapitalismus und Solidarismus* 1937.
nakł.: Franz Leo u. C. Wiedeń, str. 320.

Autor, jak wiemy z jego wieloletniej a tak doniosłej pracy naukowej, należy do szkoły solidarystycznej, ostatnie zaś jego dzieło jest jakgdyby streszczeniem i usystematyzowaniem jego poglądów. Występują tu wszystkie cechy charakteru i umysłowości autora: żywe, głębokie odczucie krzywd, wyrządzonych przez kapitalizm warstwom pracowniczym, jasne i trafne ujęcie sprzeczności, rozstrząsających doktrynę liberalizmu ekonomicznego, rozległa erudycja historyczna, barwny i zajmujący sposób wykładu, nade wszystko zaś wielkie umiłowanie prawdy i dobra. Siłą pędową rozumowań i wywodów prof. Caro jest głębokie odczucie sprawiedliwości społecznej i niezachwiana wiara w możliwość realizacji ideałów, które przyświecały wszystkim wielkim postaciom dzisiejszym, a których najdoskonalszy wyraz daje nauka Chrystusa. Śladami też ewangelii idzie myśl czcigodnego profesora, za motto zaś tej książki posłużyć mogą słowa Zbawiciela: *Każde królestwo, rozdzielone samo przeciwko sobie, pustoszeje, i każde miasto albo dom, sam przeciwko sobie rozdzielony, nie ostoï się.* W tym mieści się całkowicie uzasadnienie doktryny solidaryzmu. Człowiek z natury swej żyje w społeczeństwie; jego interesy i pożytki mieszczą się w granicach dobra społecznego; na straży dobra tego stoi organizacja społeczna, której szczytem najdoskonalszym jest państwo, stąd płynie prawo i obowiązek państwa do koordynowania wszelkich działań człowieka w ten sposób, żeby zapobiegać krzywdzeniu jednostek i wzmacniać ich dobrobyt materialny i moralny. Nie dobro państwa jest celem jego działalności, takie bowiem jednostronne hasło prowadzi do koncepcji totalizmu państwowego, lecz dobro ludzi, zrzeszonych w państwie. To jest strona etyczna solidaryzmu i jego racja bytu, jako systemu wskazań ekonomicznych.

Spółeczności ludzkie, zorganizowane w państwa, kierują się świadomą wolą osiągnięcia pewnych celów odpowiadających ich pożytkowi materialnemu oraz ich poczuciu moralnemu. Wola ta zmie-

nia w każdej chwili mechaniczną zależność zjawisk i nadaje współżyciu społecznemu charakter nie łańcucha następstw przypadkowych, lecz systemu wyników celowych; naturalna przyczynowość ustępuje miejsca świadomej, rozumnej celowości. To jest strona metodologiczna solidaryzmu i jego uzasadnienie, jako odrębnej szkoły ekonomicznej.

Należy jednak od razu zaznaczyć, że zarówno kryteria etyczne jak i założenia metodologiczne, na które solidaryzm kładzie słusznie nacisk tak mocny, nie ograniczają się bynajmniej do sfery życia gospodarczego, lecz obejmują cały zasięg zjawisk społecznych, mają zatem charakter *par excellence* socjologiczny. Nie inaczej pojmuje to zagadnienie prof. Caro, podając w ostatnim rozdziale swej książki szereg praw, nazwanych wprost „socjologicznymi”; ważność ich stwierdza się w całym życiu społecznym.

Osobiście sędzę, że zagadnieniem centralnym w socjologii a, jednocześnie, *argumentum crucis* dla kierunku solidarystycznego, jest właściwe ujęcie kwestii wagi współzawodnictwa a współdziałania w rozwoju społecznym. Solidaryzm jest w ekonomii politycznej reakcją przeciw fałszywej doktrynie liberalistycznej, lecz rodowód jego jest głębszy, związek zaś z myślą ogólną rozleglejszy. Sięga on przecież do nauk ewangelicznych, wiąże się wprost z nieprzerwanym pasmem wskazań doktorów Kościoła i namiestników Piotrowych, a powołać się może na myśli nawet starożytnych mędrców. Bardzo też ciekawy i pouczający jest rozdział, poświęcony dziejom idei solidarystycznej. Wypada tylko żałować, iż prof. Caro nie uwzględnił wcale myślicieli, ekonomistów polskich; wszak zarówno w pismach Staszica, jak potem Skarbka i Supińskiego podstawą systemów jest pogląd, że społeczeństwo stanowi jedną moralną istotność, której obywatele są tak z sobą związani, że dobro jednostki wypływa z dobra społecznej całości. Podobnie niedoceniony dotychczas i prawie zapomniany J. K. Potocki (Marian Bohusz) wydał w r. 1900 tom szkiców pt.: „Współzawodnictwo a współdziałanie”, w którym w oparciu o poglądy Giddingsa, Ritchiego i Gronlunda wykazywał, że „rozwój indywidualności odbywa się nie za sprawą współzawodnictwa, lecz pomimo jego wpływów ujemnych”, a więc słusznie może być zaliczony do poprzedników solidaryzmu. Na koniec, skoro wskazania, zawarte w tak obszernie (i zresztą słusznie) uwzględnionych encyklikach papieskich, prowadzą wprost do przebudowy gospodarstwa społecznego w formach korporacyjnych, dla badacza dziejów solidaryzmu jest koniecznością włączyć się w ducha pierwszego i jedyne dotąd ustroju, jaki realizuje się w oparciu o chrześcijański korporacjonizm: ustroju współczesnej Portugalii. Tego w książce brak.

Prof. Caro z wielką bystrością wykazuje pochodzenie liberalizmu i socjalizmu z jednego źródła: z mechanicznego pojmowania życia gospodarczego; to też bardzo potrzebny był w tej

książce rozdział, poświęcony uwidocznieniu bezpodstawności materializmu historycznego. Ato! od mechanicznego pojmowania zjawisk gospodarczych, wydaje mi się być bardzo daleka droga do zaprzeczania istnienia wszelkich niemal praw gospodarczych, wykazywanych przez ekonomię klasyczną. Zapewne, nie można uważać ich za niezłomny wyraz współzależności zjawisk, stawiać na równi z prawem ciężenia lub bezwładności, ani pod żadnym pozorem nadawać im charakteru dyrektyw życia zbiorowego. Społeczeństwo nie może żyć w oparciu o prawa ekonomiczne, lecz tylko w oparciu o prawa moralne. Wielka część tzw. praw ekonomicznych okazała się subiektywnym złudzeniem, jeśli nie umyślnym fałszem, podyktowanym przez interesy egoistyczne. Ale stąd nie wynika jeszcze, żeby jakieś prawa ekonomiczne nie istniały w ogóle. Nie mówię tego bynajmniej pod adresem Sz. Autora; wszak on sam formułuje je w postaci przytoczonych wyżej praw „socjologicznych”, z których co najmniej jedno — prawo podziału pracy — uznawane jest przez całą ekonomię liberalną. Chcę tylko powiedzieć, że moim zdaniem cała waga solidaryzmu, cała jego — wierzę głęboko — ogromna przyszłość dziejowa, leży w dziedzinie polityki ekonomicznej, dla której nie ma innych dyrektyw, jak kryteria etyczne — innych momentów działania, jak świadoma celowość — ani innych „praw”, jak względny dobro społeczne. Dlatego właśnie solidaryzm jest doktryną przyszłości, jest prądem ożywczym, który chce i musi uratować ludzkość, jest nawrotem do zapomnianych i zlekceważonych prawd moralnych, tworzących rzeczywistą gwarancję pokojowego współżycia ludzi. Nie może też być dwóch zdań co do tego, że jak nie istniał nigdy *homo oeconomicus*, tak samo nie rozstrzyga o motywach postępowania gospodarczego egoizm jednostki, lecz ponieważ praca nad zaspokajaniem potrzeb własnych nie jest egoizmem, nie można wykluczać momentu korzyści z motywów postępowania gospodarczego. Samo nawet pojęcie dobra społecznego prowadzi do pojednania się z pojęciem pożytku jednostki, byle tylko jednostka ta kształtowała swe instynkty i pragnienia w sferze tych ideałów moralnych, jakie przyświecać winny rodzajowi ludzkiemu.

Jan Stecki.

Społeczne przyczyny powodzeń i niepowodzeń szkolnych. Prace wydane pod red. H. Radlińskiej. Nakł. Tow. Pedagogicznego, Warszawa 1937. str. IV + 504.

Książka podaje rezultaty badań z zakresu pedagogiki społecznej. Obejmuje dzieci nieprzyjęte do szkół warszawskich w r. 1933/34, omawia warunki bytu dzieci nieprzyjętych do szkoły z dzielnicy warszawskiej Powązki, charakteryzuje losy dziecka szkolnego dzielnicy Bałuty w Łodzi, na Woli w Warszawie, na Annopolu, i w kilku innych dzielnicach Warszawy.

Osobne studia poświęcone są dziewczętom w wieku szkolnym. Podają wyniki badań w kwestii zainteresowań, ujemnych stron charakteru, ustosunkowania się do szkoły i pracy poza szkolnej. Również osobne rozdziały omawiają stosunki, panujące po szkołach wiejskich; uwzględniono tutaj szczególnie powiat warszawski i okolice Podlasia (Siedleckie). Pokazuje się, iż ludność pragnie szkoły, odczuwa jej dobrodziejstwa, ale mimo to analfabetyzm istnieje jakby ustawowo, wprowadzony niejako przez sam system szkolny (przepisy niektórych opłat, sztywne stosowanie paragrafów, gdy chodzi o przepisy szkolne, czy praktyki, w zetknięciu z problemem nędzy rodziców). Z drugiej jednak strony widać z ogłoszonych tutaj ankiet, zbawienne działanie wszelkich „poradni” i „kolonij”, czy ubezpieczalni, które starają się zaradzić tej nędzy materialnej i moralnej, wyciągającej swe szpony po młodzież w wieku szkolnym. Sprawozdanie tych pedagogów, którzy opracowywali kwestionariusze, przedstawiają straszną gehennę, w jakiej żyje młode pokolenie, tak, że nie wiadomo co więcej podziwiać, czy te dantejskie obrazki, czy poświęcenie i heroizm, z jakim niektóre z pań, odważyły się wejść do tego piekła, by zebrać dokładne szczegóły potrzebne dla opracowania ankiety. Zastosowany sposób badań jest naukowo uznany. Zdaje się jednak, że przedwczesny jeszcze, aby na nim można oprzeć zasady wychowania przyszłego obywatela Polski. To dopiero początek badań. Czy przedłożone rezultaty i wnioski nie będą musiały w niektórych przynajmniej punktach ulec korekturze? Nie wydaje się nam również opartym na faktycznych wynikach przeprowadzonych badań wniosek o konieczności takiej właśnie rozbudowy szkół wiejskich, jaką lansuje teoria obecnego systemu szkolnego. Nie zgodzimy się na twierdzenie, że „wszelkie obliczenia kosztów szkolnictwa wymagają kryteriów innych niż kalkulacja pieniędzy” (str. 435). Wszak ta właśnie teoria nie wytrzymała krytyki codziennego życia.

Ks. K. Konopka T. J.

Bar Adam: Słownik pseudonimów i kryptonimów pisarzy polskich oraz Polski dotyczących. Tom I, str. 230. Tom II, str. 240. Kraków 1936.

Tego rodzaju słownik jest bardzo potrzebny przede wszystkim dla bibliotekarzy i literatów, by mogli ustalić właściwe nazwisko autora, który kryje się nieraz pod pseudonimem, lub po prostu pod jakąś dowolnie obraną literą. Dla zwyczajnego śmiertelnika jest to oczywiście kwestią mniej ważną, chociaż nieraz może interesować nawet zwykłego czytelnika codziennej gazety, kto to pisze jakieś cięte artykuły — podpisane tylko literą czy jakąś gwiazdką.

Otóż słowniki pseudonimów ułatwiają rozwiązanie tej kwestii. I dlatego to, już od dawnych lat, odkąd tylko wzmógł się

ruh wydawniczy, nie brakło uczonych, którzy starali się zebrać wiadomości, jakie jest właściwe nazwisko autora, ukrywającego się pod obcym nazwiskiem, czy podpisującego się jakimś skrótem lub literą. Naturalnie, że nie zawsze się to udawało. Także i p. Bar nie rozwiązuje kwestii całkowicie, jak to zresztą sam przyznaje we wstępie. Ale jak skrzętnie badał te sekrety literackie, świadczy najlepiej fakt, że już dwa tomy pseudonimów wydał, a zapowiada trzeci.

Zdaje się jednak, że dla dokładności, ew. dla uniknięcia nieporozumień, trzeba by pod danym pseudonimem podawać albo wszystkie dzieła, czy w ogóle wszystkie druki, jakie wyszły z pod pióra danego autora, a były podpisane tym samym pseudonimem, ew. skrótem, albo też nie podawać żadnych. Nie rozumiemy dlaczego p. Bar stosuje metodę odmienną, cytując np. przy pseudonimie Kraszewskiego, Bolesławita, tytuł jednego tylko dzieła „Nad modrym Dunajem, Lwów 1876“, gdy tymczasem znamy wiele innych dzieł J. Kraszewskiego, pod tymże pseudonimem wydanych. Prawda, że cytowanie wszystkich druków danego autora, a podpisanych pseudonimem czy skrótem, powiększyłoby „Słownik“ dziesięciokrotnie, ale logicznym wydaje nam się jedynie albo nie podawać żadnego druku, albo wszystkie. Również przy recenzjach po czasopismach, podpisanych zwykle skrótami, może by można z większą korzyścią albo przytoczyć lata, w których dany autor pisał pod pseudonimem, albo z jakiego zakresu recenzje umieszczał w danym piśmie. Niektóre bowiem skróty są tak pospolite, że trudno rozróżnić, jakie np. recenzje podpisane znakami J. R. należą do ks. Jana Rostworowskiego, a jakie do księży J. Rotha albo J. Rejowicza, w tym samym miesięczniku *Przegląd Powszechny*. Uwaga ta, odnosi się oczywiście nie tylko do skrótu J. R. Jeśli chodzi o *Przegląd Powszechny* to brak ten łatwo uzupełnić na podstawie specjalnych spisów, które *Przegląd Powszechny* co pewien czas wydaje, ale nie wszystkie wydawnictwa periodyczne polskie to czynią, dlatego tym bardziej słownik pseudonimów powinienby brak ten uzupełnić.

Ks. K. Konopka T. J.

Quintus Horatius Flacens: Pieśni Ksiąg Czworo przełożył Tadeusz Feliks Hahn, Lublin 1936. Druk. „Narodowa“ Lublin, str. 143 + 5 nlb.

Dwutysięczną rocznicę urodzin Horacjusza, obchodzoną w Polsce w ramach uniwersyteckich i gimnazjalnych, zamyka tłumaczenie ód Horacjusza dokonane przez śp. T. Feliksa Hahna. Tłumacz przez wnikliwe spojrzenie w treść pieśni poety wenuzyjskiego wykonał pracę niemal współtwórczą. Oddał bowiem w języku polskim nadzwyczaj wiernie całe bogactwo liryki Horacjusza. Zależało mu, aby żadnego szczegółu nie pominąć a pie-

śni uczynić zrozumiałe nawet bez specjalnego komentarza. Jest to, można powiedzieć, częściowe „sprzęgnięcie energetycznej treści tworu psychicznego z językowym materiałem stawania się”. (por. M. Popławski: O przekładaniu i przekładach. Kw. klas. 1927, str. 207 nn.). Tłumaczenie Hahn'a poniekąd przewyższa inne z ostatnich czasów np. Zawirońskiego i Czubka pod względem estetycznym i formalnym. Hahn usiłował rytmicznie naśladować metrykę łacińską (grecką) por. np. III, 12. Nie pominął również obrazowego naśladownictwa. Taka np. ostatnia strofka 34 pieśni z I ks. żywszym odznacza się kolorem niż u poprzednich tłumaczy.

„Umie bóg niskich wywyższać nad tłumem
i na dno nędzy zwałąć złote trony;
jednym — los z głośnym skrzydeł swych poszumem
zrywa, a drugim nakłada korony”.

Język tłumaczenia zlekka staropolskimi zabarwiony wyrazami sprawia wrażenie powagi rzymskiej, która przebija z ód Horacjusza mimo różnej treści o diametralnym rozpięciu. Można powiedzieć bez przesady, że polskiego Horacjusza czyta się jak sam oryginał.

Ks. Wł. Ziolkowski T J.

Breza Tadeusz: *Adam Grywałd*. Powieść. Str. 328. Warszawa. T. Ho-
esick.

Wśród bardzo licznej produkcji literackiej ostatniego „sezonu wydawniczego” pierwsza powieść młodego pisarza *Tadeusza Brezy* „*Adam Grywałd*” należy do pozycji najciekawszych. Uderza w niej przede wszystkim duża inteligencja autora, duża literacka kultura, urobiona najwidoczniej na modłę zachodnią, uderza znakomita i dojrzała, a bardzo sztuczna technika. Technika „*Adama Grywałda*” możnaby nazwać techniką „kotarową”. Teatry, nie posiadające sceny obrotowej a wystawiające sztukę o ciągle się zmieniającym polu akcji, używają właśnie takiej techniki kurtyn i kotar, aby kolejno ukazywać i zakrywać przed oczyma widza ciągle się zmieniające dekoracje i punkty patrzenia. Ma się wrażenie, że młody autor tak właśnie ogląda przedmiot swego powieściowego widowiska: życie i człowieka. Problemy życia i zagadki ludzkich uczuć skupia w osobie tajemniczego Grywałda i w sprawie jego miłości do Izy, przeradzającej się z czasem w zboczoną miłość do jej brata, dalej w sprawie jego przerwanej twórczości literackiej. Problemy te bada w rodzinie Hozjuszów, w miłości Zosi i Hinczki, w typach starych Mossów, starego żyda Hinczki. Prowadząc jeden z kilku wątków tej powieści nagle, w momencie najciekawszym, zapuszcza kurtynę: ciąg dalszy ujrzymy z innej strony, z innego punktu nagle odsłoniętej sceny. Tą magiczną a bardzo sugestywną kurtyną autora jest jak najczęściej w tego rodzaju technice bywa: czas,

a raczej jego usunięcie. Breza żongluje nim po mistrzowsku, nie wspina się mozolnie na jego ciągle przed oczyma rosnącą górę, lecz spaceruje po jego nieograniczonych obszarach jak po szerokiej łące. Na opisanych ludzi i ich sprawy rzuca reflektory przeszłości i teraźniejszości, z szybkością zdumiewającą i bez żadnych przejść. Takie usunięcie chronologiczności opowiadania zmusza go do przeróżnych „chwytów”. Opowiadanie toczy się w osobie pierwszej, ale osoba ta, jako taka, nie istnieje: jest tylko i wyłącznie świadkiem. Ten świadek spotyka znajomych, bywa w świecie, rozmawia z ludźmi, wysłuchuje plotek, odbiera konfidencje, dostaje listy, znajduje notatki, czyta rękopisy, kombinuje, wysnuwa wnioski. Czasami, gdy czytamy tę dziwną książkę, przychodzi nam na myśl dowcipne powiedzenie Brezy o jednym ze swych bohaterów, Żeniu, że nie miał on żadnego zajęcia a posiadał wyłącznie zainteresowania. Bo czytelnik ma także czasem wrażenie, że autor nie posiada żadnej powieściowej wizji, lecz tylko zainteresowania: zainteresowania bardzo szerokie, a co ważniejsze głębokie; że życie które bada jest dla niego polem analizy i introspekcji, a nie konstrukcji, czy nawet deformacji. Nie znaczy to bynajmniej, że powieści brak jest konstrukcji; przeciwnie, tkwi ona silna i jednolita u samego dna książki, ale na pierwszy rzut oka dostrzegamy w niej tylko... szczegół. I ta właśnie dbałość o szczegół, jego wypracowanie i ważność czynią książkę Brezy tak bardzo książką „Zachodu”. Szczegół i dygresja nie jest przypadkiem, przeciwnie, jest jakby motorem i osią książki. Książka musiała być napisana, aby autor mógł wypowiedzieć ten cały szereg świetnych, trafnych, oryginalnych, ciekawych i dowcipnych uwag na wszystkie tematy i na wiele innych. Nie jest to bynajmniej krytyka, lecz skonstatowaniem rodzaju. Ta ilość poruszanych spraw, czy to będą sprawy stosunku rodziców i dzieci, czy sprawy tzw. kryzysów, czy zagadnienie życiowotwórczych wpływów literatury, czy zagadnienia postępu i nauki, sprawia że książka robi wrażenie ogromnego bogactwa, wielkiej żywotności. A forma powieści użyta do tych wypowiedzi jest w tym wypadku zrozumiała, celowa i słuszną. Autor przez usta któregoś z bohaterów doskonale ją tłumaczy; mówiąc że papierowy bohater, lepiej niż człowiek, wprost od siebie może się wypowiedzieć, lepiej zbadać rzeczywistość, lepiej nasycić ją treścią własną, treścią własnych przeżyć i uczuć. Że tą treścią własną, przesycił Breza swoją powieść, nie ulega wątpliwości, ona to daje jej pulsowanie życia, ona wywołuje rezonans myślowy (raczej niż uczuciowy) u czytelnika. Wnikliwa introspekcja psychologiczna, dążenie nieraz mozolne do zgłębienia istoty człowieka i jego własnych przeżyć i odruchów, dyskretny dowcip, pełna filozoficznych zadumań naracja, to cenne zalety tego powieściowego debiutu. Z poza tajemniczych welonów tonujących umiejętnie opowiadanie, wychylają się ku nam ludzie żywi, ale jakby

niepewni w zarysie, jakby przymgleni, wychyla się także bardzo inteligentne, bardzo kulturalne i pełne obietnic i możliwości oblicze młodego pisarza. Pierwsza jego powieść nie będzie na pewno książką dla tłumów, ale w rozwoju naszej powieści będzie i jest pozycją ważną i wartościową.

Zofia Morstinowa

Ks. dr Andrij Iščak: *Dogmatyka nezjedyneno ho Schodu* — czastyna zahalna, t. I. Str. 283. Lwów 1936.

Piękny rozwój ukraińskiej akademii teologicznej we Lwowie zaznaczył się już całym szeregiem prac. Niepoślednie miejsce zajmuje w nim dzieło zakrojone na szerszą miarę, porównawcza teologia Wschodu. Za wzorem Jugie poświęca autor pierwszy tom wiadomościom informacyjnym o początkach rozdarcia kościelnego oraz literaturze u niezjednoczonych, a więc: wstępne uwagi i pytania, — przygotowanie i początki rozdarcia, — schizma za Focjusza, — jej ustalenie za Kerulariusza, — od Kerulariusza do upadku Bizancjum, — teologia po upadku Bizancjum, — teologia ukraińska, — teologia rosyjska, — teologia innych narodów wschodnich. Całość opracowana sumiennie, w duchu pokojowym, odznacza się wielką jasnością wykładu. Język i styl czysty i potoczny. Możemy szczerze pogratulować szanownemu autorowi oraz życzyć, by szczęśliwie doprowadził do końca rozpoczęte dzieło.

Ks. Bronisław Bojułka T. J.

Notatki bibliograficzne.

Józef Skoczek: *Stosunki kulturalne Śląska ze Lwowem w wiekach średnich*. Katowice 1937. Stron 40. Cena zł 1.80.

Praca dra Skoczka, archiwariusza miejskiego ze Lwowa, nawiązuje szeroko związki istniejące w średniowieczu między Lwowem a Śląskiem.

Autor opisuje więc potężny strumień migracyjny, jaki kierował się ze Śląska do Lwowa, podaje dane o narodowości kolonistów śląskich osiadłych we Lwowie i rozważa konsekwencje napływu Polaków ze Śląska do Lwowa.

W dalszym ciągu znajdujemy szkice wybitniejszych postaci śląskich w średniowiecznym Lwowie, a wreszcie rozważania na temat znaczenia imigracji śląskiej dla podniesienia kultury materialnej i duchowej Lwowa.

Bronisław Giziński: *Postępy przemysłu chemicznego na Śląsku za czasów polskich*. Katowice 1937. Stron 31. Cena zł 1.20.

Ważnym działem przemysłu, posiadającym na Śląsku doskonałe możliwości rozwoju, a rozwiniętym do niedawna bardzo słabo,

jest przemysł chemiczny. Za czasów niemieckich ta gałąź przemysłu była na Śląsku bardzo zaniedbana i dopiero okres polski przyniósł bardzo silny jej rozwój. Broszura inż. Gizińskiego podaje mało znane szerszemu ogółowi szczegóły postępu różnych działów przemysłu chemicznego, jak nawozów sztucznych, kwasów, zasad, soli, tlenków, gazów, metali, cementów, środków wybuchowych oraz różnych produktów organicznych. Przekonujemy się na tej podstawie, że Śląsk stał się w ostatnich latach bardzo poważnym ośrodkiem przemysłu chemicznego. Fakt ten usuwa potrzebę sprowadzania wielu produktów z zagranicy.

Aleksander Szczepański: Kierunki eksportu wytworów przemysłu górnośląskiego. Katowice 1937. Stron 27. Cena zł 1.20.

Ostatnia pośmiertna praca śp. dra Aleksandra Szczepańskiego zawiera krótkie, ale pełne głębokich myśli rozważania nad problemami, związanymi z eksportem wytworów przemysłu górnośląskiego.

Autor kreśli naprzód charakterystyczne rysy struktury handlu międzynarodowego w ostatnich fazach jej ewolucji przed wojną i obecnie, a następnie przechodzi do omówienia kierunków i dziejów rozwoju eksportu ze Śląska przed wojną oraz za czasów polskich. W zakończeniu charakteryzuje autor dodatnie i ujemne strony dzisiejszej fazy ewolucyjnej eksportu, odznaczającej się przewagą odległych rynków zbytu.

Stanisław Komar: Górnośląska Konwencja Genewska pomiędzy Polską a Niemcami (1922—1937). Katowice 1937 r. Stron 24. Cena 1.— zł. Do nabycia w większych księgarniach na Śląsku i w Polsce. Skład główny: „Nasza Księgarnia” w Warszawie.

Wielkie znaczenie aktualne posiada ta praca. W kilku rozdziałach autor przedstawia warunki polityczne, w jakich konwencja genewska doszła do skutku, omawia szczegółowo treść konwencji, oraz poddaje ocenie wyniki piętnastoletniego okresu jej trwania. Autor dochodzi do wniosku, że zniknięcie z powierzchni życia politycznego sztucznego tworu jakim jest konwencja genewska nie tylko nie doprowadzi do żadnych komplikacji, ale przeciwnie wydatnie przyczyni się do uzdrowienia stosunków polsko-niemieckich.

Stanisław Bąk: O zbieraniu materiałów gwarowych na Śląsku. Z przedmową prof. dra K. Nitscha. — Katowice 1937 r. Stron 36. Cena 1.20 zł. Wydawnictwa Instytutu Śląskiego. Seria „Polski Śląsk” nr 31.

Praca dra Bąka, pierwszorzędnego dialektologa — jak stwierdza w przedmowie prof. Kazimierz Nitsch — wypełnia dotkliwą lukę naszego piśmiennictwa regionalno-lingwistycznego. Praca ta zawiera wskazówki w jaki sposób należy zbierać i notować mate-

riały gwarowe ludu śląskiego. Poza tym jednak praca ta charakteryzuje właściwości gwary śląskiej i należyce ocenia różne pseudonaukowe twierdzenia niemieckie o języku polskim na Śląsku. Praca ta posiada specjalne znaczenie dla tych wszystkich, których interesują właściwości językowe naszego ludu i którzy chcieliby nauczyć się metody ich zbierania.

Turystyczno-krajoznawczy przewodnik po województwie śląskim. Opracował Stanisław Berezowski. Katowice 1937. Stron 447. Z 144 ilustracjami, 29 mapami i planami miast oraz z mapą podręczną województwa śląskiego i ziem sąsiednich. Format kieszeniowy w oprawie cena 6.— zł.

Autor i wydawcy starali się dołożyć wszelkich sił, ażeby dać pracę odpowiadającą najnowocześniejszym wymaganiom, jakie się stawia tego rodzaju przewodnikom. Starania te zostały uwieńczone pomyślnym wynikiem i przewodnik niniejszy potrafi zadowolić wymagania turystów o różnych kierunkach zainteresowań. Książeczka posiada dogodny format kieszeniowy i solidną oprawę, drukowana jest czcionkami niezbyt drobnymi i na dobrym papierze, na którym ilustracje doskonale wypadają. Treść ujęta jest w sposób przejrzysty w dwadzieścia kilka wycieczek po terenie województwa, które obejmują wszystkie obiekty, mogące wzbudzić turystyczne zainteresowanie. Dołączone plany miast i mapki dają w sumie kompletny orientacyjny materiał kartograficzny.

Stanisław Leszczycki: Znaczenie gospodarczego ruchu uzdrowiskowo-turystycznego na Śląsku. Z 13 mapami. Katowice 1937. Stron 81. Cena zł 2.50. („Zagadnienie gospodarcze Śląska“ nr 10.)

Autor, kierujący pierwszą w Polsce placówką naukowych badań turystyki przy Uniwersytecie Jagiellońskim, daje w swych rozważaniach dowód wielkiego praktycznego znaczenia ruchu turystycznego na Śląsku we wszystkich jego odmianach. Dowiadujemy się między innymi, skąd czerpią klienci poszczególnie leśniska, zdrojowiska i schroniska na Śląsku, jakie sumy wydaje Śląsk na turystykę, ile z tego wywozi po granicze województwa, a ile przywożą na Śląsk turyści zagraniczni oraz z innych województw Polski. Stwierdzamy naocznie, do jak ciekawych wyników można dojść, stosując do zagadnień z dziedziny turystyki metody naukowe nader proste, ale nie używane dotychczas w tych celach.

„Zaranie Śląskie“, rok XIII, zeszyt 2. Kwartalnik regionalny, organ Instytutu Śląskiego w Katowicach i Towarzystwa Ludoznawczego w Cieszyńcu. Ogólnego zbioru nr 50.

Świeżo wydany „jubileuszowy“ numer Zarania Śląskiego nawiązuje do programu wydawniczego, postawionego w pierwszym numerze pisma przed laty trzydziestu. Jest to coś w rodzaju antologii literatury współczesnego Śląska polskiego, a więc wybór

utworów autorów śląskich zarówno z terenu województwa, jak też ze Śląska Opolskiego i z za Olzy. Treść obejmuje 29 utworów literackich, napisanych prozą i wierszem, poprzedzonych krótką charakterystyką współczesnej twórczości literackiej Śląska, pióra dra Stefana Papée. Na końcu zamieszczono trzy artykuły z dziedziny krytyki literackiej. Na okładce trójbarwny rysunek „żywotka cieszyńskiego” z linorytu Karola Franka.

Stefan Kaufman i Roman Maryniarczyk: Roboty publiczne w województwie śląskim. Z 24 rycinami i 2 napisami. 1937. str. 69.

Szósty tom serii „Śląsk, ziemia i ludzie” pod tytułem „Roboty publiczne w województwie śląskim” opisuje w zwięzły i przystępny sposób najważniejsze roboty publiczne, wykonane w okresie władania rządów polskich w województwie śląskim. Działy komunikacji, budownictwa i urbanistyki, opracowane przez dra inż. St. Kaufmana, obejmują wszystkie ciekawsze wiadomości o budowie kolei, dróg i mostów, inwestycjach w zakresie gmachów publicznych, szkół, domów mieszkalnych i urządzeń sportowych, wreszcie przedstawiają wykonane i zamierzone prace z dziedziny planów regionalnych.

Dział wodny, opracowany przez inż. R. Maryniarczyka, zawiera ważniejsze wiadomości z zakresu regulacji rzek, budowy wodociągów i urządzeń kanalizacyjnych. Liczne ilustracje obrazują ciekawsze obiekty i urządzenia, stworzone na Śląsku za czasów polskich. Przystępna cena 1.50 zł umożliwia nabycie tego wydawnictwa nawet osobom, rozporządzającym skromnymi środkami materialnymi.

Druga książka jako szósty tom „Biblioteki Pisarzy śląskich” obejmuje poemat Krzysztofa Wintera pt.: „Kuznic śląskich i kopalń opis i oznaczenie krótkie”. Nieznany prawie ten utwór, pochodzący z połowy XVI wieku, ciekawi czytelnika swoją świeżością i stanowi w literaturze ogniwo poprzedzające traktat Rożdzieńskiego, *Officina Ferraria*, wydany jako IV tom „Biblioteki pisarzy śląskich”. Oprócz tekstu Wintera mieści się w książce wiersz pochwalny, jakim poprzedził poemat wydawca drugiego wydania, Melchior Severut, w roku 1582.

W. Hulewicz: Gniazdo żelaznego wilka. (Bibl. Dookoła Polski. Tom 2.) Książnica-Atlas. Lwów—Warszawa. Str. 72. Zł 1.50.

Książeczka „Gniazdo żelaznego wilka” już samym tytułem zapowiada, że będzie w niej mowa o czymś nieznanym, egzotycznym. Dla iluż jeszcze Polaków Wilno jest miastem tajemnic, znany co najwyżej powierzchownie. Autor wprowadza czytelnika w te czarowne tajemnice przy pomocy swobodnej gawędy, budząc jego zaciekawienie i wzmagając podziw. Przechadza się z nim po

uroczych zaułkach, wśród starych pałaców i kościołów, między drzewami i dworakami, po pagórkach i nad rzeką. Opowiada o dramatycznych, pełnych chwały dziejach tego miasta. Wywołuje z mroków dziwne legendy. Na tym tle maluje obraz życia dzisiejszego Wilna, miasta nauki i sztuki, miasta turystyki i sportów. Książeczkę czyta się jak barwną korespondencję z fascynującej podróży. Wiele znajdujemy w niej osobliwości; po takiej lekturze lepiej rozumiemy ducha Wileńszczyzny, odczuwamy głębiej rytm poezji mickiewiczowskiej.

Książeczkę zdoła 15 pięknych zdjęć Jana Bułhaka.

Franciszek Galiński: *Gawędy o Warszawie*. Instytut Wydawniczy Biblioteka Polska, Warszawa 1937. 80 duża. Str. 316. Cena zł 8'—.

Autor, dawno zamilkły poeta, jeden z ostatnich w szeregu wymarłych i wymierających badaczy dziejów i obyczajowości Warszawy oraz jej kronikarzy, jak K. Wł. Wóycicki, Weinert, Sobieszczański, Gomulicki, Korotyński, Or-Ot i inni — w grubym, bogato ilustrowanym (187 ilustracji) tomie dał kilkadziesiąt barwnych opowiadań i opisów, więcej lub mniej ściśle związanych z życiem naszej stolicy, rozpoczynając od końca XVII a poprzez ciąg XVIII i XIX stulecia. Całość, poprzedzoną zamiast wstępu danymi o początku i rozwoju wielkiego miasta w miejscu, gdzie przed 700 laty rozciągała się pełna moczarów i dzikiego zwierzcha puszczę, charakteryzuje urozmaicony układ rozdziałów, stanowiący zupełną nowość w dziełach tego rodzaju niespotykaną. Szczegół ten, jak również liczne impresje na tle rozgrywających się ongiś w stolicy wypadków dziejowych, sprawia, że przeszło 300 stronicowy tom czyta się nie tylko bez znużenia, lecz z wciąż wzrastającym zainteresowaniem, znajdując wciąż nowe, nieznane a ciekawe szczegóły.

Dr Feliks Burdecki: *Telewizja*, czyli jak człowiek nauczył się widzieć na odległość. 61 stron, 20 ilustracji na 12 tablicach. Dwubarwna okładka J. Szancera. M. Arct, Warszawa, 1936. Cena zł 1'80.

W tych dniach w wydawnictwie M. Arcta ukazała się nowa książeczka dra F. Burdeckiego — „Telewizja”. Książka nosi podtytuł — „Jak człowiek nauczył się widzieć na odległość”. Rzeczywiście, czytelnik dowiaduje się z tego dziełka w formie bardzo przystępnej, jak rozwijała się myśl telewizyjna, jak poprzez setki doświadczeń, prób i usiłowań wynalazków kształtowały się pomysły widzenia na odległość, aż przyjęły w naszych czasach kształt całkiem konkretnych precyzyjnych aparatów, dających się z powodzeniem, no i z przyjemnością stosować. W laboratoriach techników zrodziła się nowa sztuka techniczna.

Warto zaznaczyć, że przy omawianiu rozmaitych pomysłów telewizyjnych dr Burdecki uwzględnił również polską twórczość techniczną. Wspomniał o pracach Szczepnika i Wolfkego i omó-

wił doświadczenia, przeprowadzane obecnie w Warszawie w Państwowym Instytucie Telekomunikacyjnym. Książka bardzo interesująca i wyjątkowo aktualna.

Marian Jurecki, mjr dypl.: Podręcznik obrony przeciwlotniczej. Warszawa, W. I. N. O. 1936 r., stron 340 i 143 ryc., cena 8 zł.

Dokładny obraz niebezpieczeństwa napadów lotniczych jak również sposobów walki i obrony daje nam praca wybitnego fachowca mjra dypl. M. Jureckiego. Stanowi ona syntetyczne ujęcie całokształtu wiedzy z zakresu obrony przeciwlotniczej, przy tym jest to jedna z pierwszych prac z tej dziedziny w naszej literaturze. Autor wykorzystał swą gruntowną wiedzę i obfitą literaturę krajową i zagraniczną.

Praca podzielona została na cztery części. Omawia ona napady lotnicze i środki obrony, przeciwlotniczą służbę informacyjną, oraz obronę przeciwlotniczą czynną i bierną. Książkę cechuje jasny i przejrzysty układ. Wartość jej podnoszą liczne (143) ryciny.

Ludwik Eimannsberger: Wojna pancerna. Tłumaczyli mjr dypl. Stachowicz i mjr W. Kotarski. W. I. N. O. Warszawa 1937. Str. 326

Studium to daje zarówno obraz historyczny walk czołgów podczas wojny światowej, taktykę broni pancernej oraz ogólny opis technicznego rozwoju i stanu tej broni. Materiał pracy został podzielony w ten sposób, że po omówieniu walk czołgów w wojnie światowej, a następnie zestawieniu wniosków z nich płynących, porównaniu tych walk z działaniami bojowymi, w których czołgi nie brały udziału, np. Chemin des Dames, autor podaje dzisiejsze poglądy na użycie czołgów oraz przedstawia techniczny rozwój tej broni do chwili bieżącej. W dalszych rozważaniach wypowiada się autor w kwestii jaka broń przeciwczołgowa jest niezbędna, jak ma być ona zorganizowana i jakie w związku z tym konieczne są zmiany w zasadach obrony. W końcu autor analizuje i stawia horoskopy jak wyglądałoby natarcie w wielkim stylu w ewentualnej przyszłej wojnie przy użyciu czołgów nowoczesnych, rozwijając pod tym kątem widzenia plan bitwy pod Amiens (8. VIII. 1918). Książkę zamyka krótka ocena ogólna. W załączniku do pracy podano szereg map terenu omawianych walk. Tło historyczne pracy zostało odtworzone na podstawie wydawnictwa niemieckiego Reichsarchiv'u pt. *Schlachten des Weltkrieges* oraz szeregu innych źródeł niemieckich, francuskich i angielskich.

Replika w: Kwestii prymasostwa polskiego.

W odpowiedzi na uwagi ks. dra H. Rybusa o mojej pracy „Kwestia prymasostwa polskiego pod koniec XVIII w.”, za-

mieszczone w *Przeglądzie Powszechnym* z czerwca br., podają następujące wyjaśnienie:

To zdanie, które ma streszczać myśl moją, jakoby „Po drugim rozbiорze Polski stolica prymasów (Gniezno) znalazła się pod panowaniem pruskim” — nie odpowiada treści mej rozprawy o prymasostwie, gdyż w niej nie uważam Gniezna za stolicę prymasów.

Następnie nie twierdziłem, jak mi się to w uwagach przypisuje, o prymasie Poniatowskim, iż ten wziął w „dzierżawę” archidiakonat warszawski. Wziął on bowiem za zgodą Rzymu, jak to podałem na str. 14 mej rozprawy, „w administrację Warszawę z jej archidiakonatem”. Jest przecież duża różnica między administracją a dzierżawą.

Inne znowuż zdanie podane w uwagach, jako streszczenie mej rozprawy: „To też w nieureczywistnionym projekcie utworzenia biskupstwa warszawskiego w r. 1797, mówi się nawet o jego wyjęciu z pod jurydykcji arcybiskupstwa gnieźnieńskiego a bezpośrednim uzależnieniu od Rzymu” — nie jest również moim twierdzeniem, bo wyraźnie o tym mówię na str. 25 i 26 mej rozprawy, kończąc syntezą „Warszawa bowiem, jako biskupstwo podlegała bezpośrednio Rzymowi”. Podałem więc wyjęcie Warszawy z pod jurydykcji metropolitalnej Gniezna za fakt dokonany, a nie za „projekt nieureczywistniony”.

Nie jest prawdą, jakoby twierdził, że „arcybiskup Raczyński podobnych starań zupełnie już nie podejmuje”, jeśli chodziło o jego chęć rozciągnięcia jurydykcji metropolitalnej nad Warszawą. Z akt archiwalnych przecież wiadomo mi było, że arcybiskup Raczyński właśnie czynił podobne starania.

Nie jest również prawdą i to zdanie podane w uwagach: „W końcu swego dziełka, w bardzo krótkich słowach dowodzi autor, jak po utworzeniu Królestwa Kongresowego papież Pius VII „wskrzesił historyczny tytuł prymasa Królestwa Polskiego, nadając tę godność arcybiskupom Warszawy”. Wcale bowiem tego nie ja dowodzę, ale zwracam uwagę tylko na fakt dokonany w 1818 r. Brevem Apostolskim *Romani Pontifices*, w którym kwestia prymasostwa polskiego, znana już w XVIII w., znalazła swoje rozwiązanie. Fakt ten niezależnie od nas istnieje i musimy go bezstronnie uznać za dokonany na podstawie brewiów papieskich.”

Nie jest także zgodne z prawdą i to twierdzenie zawarte w uwagach: „Nawiasem mówiąc, biskupie akta Łaskiego znajdują się w archiwum konsystorza warszawskiego”. Po zorganizowaniu Archiwum Prymasowskiego Archidiecezji Warszawskiej mogę i mam obowiązek oświadczyć, że takich akt w archiwum konsystorza warsz. nie ma, bo są tylko arcybiskupie akta Łaskiego, gdyż ten, jako prymas, był arcybiskupem a nie biskupem.

Poza tym na inne uwagi odpowiadam swoją uwagą ogólną, że do omawiania rozwiązania kwestii prymasostwa polskiego nie

wystarcza już dzisiaj sama znajomość prac ks. Korytkowskiego bez znajomości odnośnych aktów i dokumentów Archiwum Prymasowskiego Archidiecezji Warszawskiej i Archiwum Sekretne go Watykańskiego. Z tych zaś 3 źródeł ks. Korytkowski wcale nie korzystał.

Ks. Władysław Kwiatkowski.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej w Poznaniu:

- August Kardynał Hlond, Prymas Polski: Listy pasterskie. Poznań 1936, str. 203.
 Katolicka myśl wychowawcza. Pamiętnik II. Katolickiego Studium o wychowaniu w Wilnie 1936. Poznań 1937, str. 536.
 Jenerałowa Jadwiga Zamoyska: O wychowaniu. Nowe wydanie. 1937, str. 488.
 Ks. Jan Stepa: Kuszenie nowoczesnego człowieka. 1937, str. 95.
 Ks. Dr Aleksander Wóycicki: Praca społeczna w parafii. 1936, str. 199.
 Zofia Starowieyska-Morstinowa: Kamień i woda. 1937, str. 166.
 Ks. Dr Franciszek Sawicki: Filozofia miłości. Wyd. II. 1937, str. 126.
 Dr Mieczysław Skrudlik: Maria z Magdali w Ewangelii, legendzie i sztuce. 1937, str. 140.
 Stanisław Adamski, Biskup Katowicki: Podstawy pracy Stowarzyszeń Akcji Katolickiej. 1937, str. 59.
 Kardynał Faulhaber, Arcybiskup Monachium: Żydostwo i Chryścianizm. Kazania adwentowe. 1937, str. 91.
 Dr Eugeniusz Piasecki: Wychowanie fizyczne. (Właściwa troska o ciało). 1937, str. 16.
 Adam Gocławski: Katolicy i radio. Str. 20. Biblioteczka Akcji Katolickiej.
 Edward Jamrozik: Na bezdrożach. O nielegalnej działalności Z. N. P. str. 19.

Nakładem Wydawnictwa Instytutu Bałtyckiego (Gdynia—Toruń):

- Dr Antoni Wrzosek i Stanisław Zwierz: Stosunki Narodowościowe w rolnictwie pomorskim. 1937, str. 21.
 Ci sami: Żywioł obcy w życiu gospodarczym Pomorza. 1937, str. 34.
 Władysław Pocięcha: Geneza Hołdu Pruskiego. 1467—1525. Gdynia 1937, str. 142.
 Adam Fischer: Etnografia dawnych Prusów. Gdynia 1937, str. 49.
 Karol Buczek: Geograficzno-historyczne podstawy Prus Wschodnich. Toruń 1936, str. 73.
 Stefan Werner: Przemyśl rolny na Pomorzu. Gdynia 1937, str. 110.
 Baltic and Scandinavian Countries. Published by The Baltic Institute, Gdynia-Poland. Vol. II. No. 2 (4). September 1936, str. 328. Vol. III. No. 1. (5). January 1937, str. 196. Vol. III. No. 2 (6). May 1937, str. 398.

Nakładem Wydawnictwa Instytutu Śląskiego, Katowice:

- Ludwik Musioł: Materiały do dziejów Wielkich Katowic (1299—1799). Katowice 1936, str. 204.

- Jerzy Bock: Nauka domowa i wyjątki z agend. Opracował Wincenty Ogrodziński. 1936, str. 54.
- Jan Czekanowski: Struktura rasowa Śląska w świetle badań polskich i niemieckich. 1936, str. 32.
- Karol Piotrowicz: Plany rewindykacji Śląska przez Polskę pod koniec średniowiecza. 1936, str. 53.
- Stanisław Komar: Górnośląska Konwencja Genewska pomiędzy Polską i Niemcami. 1937, str. 23.
- Stanisław Leszczycki: Znaczenie gospodarcze ruchu uzdrowiskowo-turystycznego na Śląsku. 1937, 79.
- Stanisław Bąk: O zbieraniu materiałów gwarowych na Śląsku. 1937, str. 31.
- Stanisław Berezowski: Turystyczno-krajoznawczy Przewodnik po województwie Śląskim. Z 144 ilustracjami i 29 mapami i planami miast oraz z mapą podręczną województwa Śląskiego i ziem sąsiednich. 1937, str. 436.

Nakładem Towarzystwa Naukowego w Toruniu:

- Ks. Paweł Czaplewski: Korespondencja Hieronima Rozrażewskiego. Tom I. 1567. 2 VII 1582. Toruń 1937, str. 479.
- Leon Koczy: Księga Theudenkusa. 1937, str. 398.
- Zapiski Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Tom X. zes. 7, 8. III i IV kwartał 1926.

Nakładem Komitetu Międzynarodowego Kongresu Chrystusa-Króla w Poznaniu:

- Jan Kałan: Zdobyć świat dla Chrystusa. 1937. str. 157.
- Bernard Pawlak: Czerwone niebezpieczeństwo. Prawda o komunizmie. 1937, str. 56.
- Ks. Jan Stepa: Komunizm a światopogląd katolicki. 1937, str. 76.

Nakładem Wojskowego Instytutu Naukowo-Oświatowego w Warszawie:

- Ludwik v. Eimannsberger, Gen. art. wojsk austr.: Wojna pancerna. Tłumaczyli Mjr. dypl. Fr. Stachowicz i Mjr. Wł. Kotarski. 1937, str. 326.
- Marian Jurecki, Major dypl.: Podręcznik obrony przeciwlotniczej. 1936, str. 340.

Nakładem różnych:

- P. Hippolyte J. — L. Legowicz, O. F. M.: Essai sur la philosophie sociale du Docteur Séraphique. Galley & Cie, Fribourg (Suisse). str. 284.
- Maria Szurek-Wisti: Miriam — Tłumacz. Kraków, Z zasiłku FKN. 1937. str. 182.
- Tadeusz Lechnicki: O jasny program i zwarte działanie. I. Rolnictwo. Nakładem autora. Warszawa 1937, str. 144.
- Jan Kilarski: Kolegiata w Środzie. Nakładem Ks. Dr. St. Janickiego, Prepozyta kol. w Środzie. 1937. Skład główny: Księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu.
- Alina Świdarska: Królowie. Powieść z życia i epoki Ryszarda Wagnera. Część I. Król bez Ziemi. Kraków 1937. Skład główny Biblioteka Polska w Warszawie, str. 540.
- Stanislaus Hlek: Oratio secundum diarium Joannis de Cronstadt: „Mea vita in Christo”. Vilnae 1937, str. 44.
- Zygmunt Chojecki: Społeczeństwo polskie na Rusi. Nakładem Wydawnictwa „Pamiętnik Kresowy”. Warszawa 1937, str. 56. Skład główny: Księg. św. Wojciecha, Warszawa.

- Franciszek Galiński: *Gawędy o Warszawie*. Biblioteka Polska. Warszawa 1937, str. 314.
- Ks. Julian Ataman: *W. H. Sierakowski i jego rządy w diecezji przemyskiej*. *Studia Historico-ecclesiastica* III. Varsoviae 1936, str. 320.
- Ks. dr Jan Bochenek: *Pójdź za Mną. Życie w seminarium duchownym*. Nakładem autora. Kraków 1937, str. 233.
- Ks. Leonard Puklaniec: *Sobieski a Stolica Apostolska na tle wojny z Turcją (1683—1684)*. Z zasiłku F. K. N. Wilno 1937, str. 144.
- Bronislaus Biliński: *De Catone Silii in Italiae Descriptione (Pun. VIII 356—616) uno solo fonte*. Leopoli Polonorum. Apud Bibliopolam Gubrynowicz i Syn, 1937, str. 57.
- Janusz Libicki: *Granice opodatkowania*. Nakładem T-wa Ekonomicznego w Krakowie. 1936, str. 49.
- Adrian Divéky: *Jan Tomcsányi*. Warszawa 1937, str. 9.
- Rocznik Gdański. *Organ T-wa Przyjaciół Nauki i sztuki w Gdańsku*. T. IX. i X. 1935 i 1936. Gdańsk 1937. str. 594.
- Rocznik Krakowski. Tom XXVIII. Wydawnictwo T-wa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa. Kraków 1936, str. 189. Redaktorowie: J. Muczkowski i A. Bochenek.
- Witold Hulewicz: *Gniazdo Żelaznego Wilka*. Z 15 rycinami. Nakładem Książnicy-Atlas. Lwów-Warszawa 1936, str. 70.
- Dr Feliks Burdecki: *Telewizja*. Nakładem M. Arcta. Warszawa 1936, str. 57.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Dramatyczna walka o konkordat w Jugosławii.

Fanatyczna walka prawosławia i serbskiego nacjonalizmu, zorganizowana przeciw rządowi i katolikom, doprowadziła w lipcu br. w Jugosławii do tragicznych powikłań. W burzliwej atmosferze, wśród namiętnych wybuchów politycznych partij, przegłosowała skupszczyna rządowy projekt o ratyfikacji zawartego 25 lipca 1935 r. konkordatu między Stolicą św. a królestwem Jugosławii. Projekt został uchwalony większością 166 głosów przeciw 128, przy wstrzymaniu się od głosowania znacznej liczby posłów. Opozycji poselskiej sekundowała opozycja ulicy, przygotowana i wyreżyserowana przez nacjonalistów serbskich. Belgrad stał się areną gwałtownych manifestacyj a nawet krwawych incydentów, które głośnym echem odbiły się w całym kraju, mobilizując tym gwałtowniejsze protesty nacjonalizmu serbskiego oraz prawosławia.

Takim protestem ze strony najwyższych władz schizmatycznego kościoła było wyklęcie całego rządu oraz posłów, którzy głosowali za ratyfikacją konkordatu. Protestem żywiołowym, który na ulicach stolicy zgromadził dziesiątki, a jak niektórzy twierdzą nawet setki tysięcy ludu, stał się przede wszystkim dn. 29 lipca uroczysty pogrzeb patriarchy Barnaby, głowy prawosławnego kościoła w Jugosławii. Wśród głośnień lamentów kobiet, a przy groźnym pomruku serbskich wieśniaków, posuwał się wspaniały orszak, którego czoło otwierał duchowny z poszarpanym, w czasie uprzednich starć ulicznych, sztandarem. Przyozdobiony ze wschodnim przepychem karawan ciągnęli duchowni, sokoli oraz

wieśniacy. Episkopat wystąpił w komplecie, zjawił się korpus dyplomatyczny i delegacje armii, uderzała natomiast nieobecność najwyższych dostojników państwa. Nie było regenta księcia Pawła, nie było ministrów, senatorów i posłów rządowej większości. W orszaku pogrzebowym kroczył jedynie za trumną minister dworu Antić, reprezentant małoletniego króla. Wśród delegatów różnych wyznań, protestantów, muzułmanów, żydów... uderzała znów nieobecność delegata Kościoła katolickiego.

Wraz ze zwłokami patriarchy złożono, zdaje się, przynajmniej na pewien czas, do grobu konkordat i daleko posunięte układy porozumienia z Chorwatami oraz Słoweńcami. — Posiedzenie senatu odroczone, a wynik obrad w terminie jesiennym uchodzi za bardzo wątpliwy. Z wynikiem tych obrad związany jest również los gabinetu Stojadinović'a.

W opinii olbrzymiej większości prawosławnych Serbów układ ze znienawidzonymi łacinnikami niemniej jak usiłowania politycznej reorganizacji ustroju na zasadzie federacji — uchodzą za podwójną zdradę, zdradę religii oraz narodu. Dla ogółu serbskich wieśniaków i drobnego mieszczaństwa, któremu przewodzi autorytatywnie niezbyt wykształcone duchowieństwo, Serbia i prawosławie stanowi jedną i nierozzerwalną całość. Pogląd ten zresztą podziela znaczna większość serbskiej inteligencji oraz nadających ton oficerów. Suwerenność Serbów w Jugosławii wydaje się im rzeczą na wskrós oczywistą a Chorwatom i Słoweńcom nie pozostaje, zdaniem ich, nic innego, jak wyrzec się definitywnie rzymsko-austriacko-madziarskich sympatyj i rozplynać się w serbsko-prawosławnym morzu.

Wszak dzieje Serbii związane są od zarania z religią prawosławną. W tej religii szukał serbski lud ostoi w długim okresie tureckiej niewoli. W oparciu o tę religię wywalczył sobie bohatersko wolność, tworząc w początkach XIX wieku samodzielne księstwo serbskie, jako narodowy Piemont, spadkobiercę rozbitego przez Turków na Polu Kosowym (r. 1389) staroserbskiego królestwa. W walce i cierpieniu dorobiło się to księstwo królewskiej purpury. W obronie swej suwerenności przepędził serbski naród zbyt powolną dla Habsburgów dynastję Obrenowiczów¹⁾, powierzając królewski tron i honor narodu Karadziordżewiczom. Wojna z Turcją w r. 1912, z Bułgarią w r. 1913, wreszcie światowa wojna ze wszystkimi jej dramatycznymi fazami postawiła Serbów, za cenę krwawego okupu spłaconego bohatersko na różnych polach bitew, na czele nowego królestwa Jugosławii. Chorwaccy i słoweńscy parlamen-

¹⁾ Zamordowanie króla Aleksandra w r. 1903 przez oficerską klikę.

farzyści, głosując w jesieni r. 1918 za zjednoczeniem południowych Słowian, uznali właściwie tylko dokonany fakt, któremu sprzeciwić się żadną miarą nie mogli, gdyż aprobować go ludowe masy Kroacji i Słowenii, w gruncie rzeczy myśłące oraz czujące po serbsku.

Jeśli zatem w Zagrzebiu czy w Lublanie powstały ośrodki separatystycznych ruchów, protestujące przeciw jednolitości serbsko-jugosłowiańskiego królestwa, to winę za to ponoszą wyłącznie niegodziwi wrogowie i zdrajcy, którzy bałamuca i podżegają lud. Wrogiem tym jest przede wszystkim katolicki kler oraz arystokracja; jedni ciążą na ślepo do „włoskiego Watykanu“, drudzy nie mogą przeboleć swych „czarno-żółtych“ czy madziarskich przywilejów.

Tak myślą i tak rozumują rdzenni Serbowie w olbrzymiej większości.

Dla prawomyślnego Serba jest więc włościańsko-demokratyczne, a nie mające nic wspólnego z klerykalizmem, stronnictwo ludowe Radič'a i dra Maček'a tylko powolnym narzędziem watykańskiej Kurii; podobnie też wszystkie nawet najdrobniejsze odruchy Słoweńców, akcentujących swą narodową odrębność tłumaczyć się będzie bez reszty intrygami Habsburgów. Naród serbski, nawet w swych szczytowych warstwach inteligencji, jest niezdolny do zrozumienia odmiennej, bo w ramach kultury grecko-rzymskiej i cywilizacji Zachodu wychowanej, mentalności Chorwatów i Słoweńców. Nigdzie więc nie występuje tak jasno jak w Jugosławii, na terytorium jednego państwa i wśród bardzo zbliżonych do siebie plemion, ta ślepa nienawiść do łacinników, jaka od wieków dzieli Wschód od Zachodu, a która już w czasie wypraw krzyżowych znalazła swój znamieny wyraz w tajemnym przymierzu bizantyjskich Greków z muzułmanami, skierowanym przeciw krzyżowcom-Latynom¹⁾. Ten prastary antagonizm powoduje jednak w Jugosławii specjalnie smutne następstwa, gdyż uniemożliwia wszelkie wysiłki przebudowy tego państwa na podstawach rozumnej i nowoczesnej federacji tych bratnich narodów. Tego rodzaju przebudowa jest bowiem niemożliwą do zrealizowania z pomocą Serbów, którzy stanowią przecież element i najliczniejszy i najbardziej przywiązany do niepodległości państwowej. Realizowanie zaś projektu bez Serbów jest z góry skazane na niepowodzenie. Być może, iż elicie patriotów serbskich o szerszych, europejskich horyzontach, w guście Stojadinović'a i jego przyjaciół, udałoby się wyrównać z czasem, w powolnej a pracowitej ewolucji, nagromadzone przez wieki

¹⁾ Podkreśliła to dobitnie a zgodnie z historią Z. Kossak-Szczucka w swych „Krzyżowcach“.

zatargi i uprzedzenia, ale oto wysiłki tych ludzi rozbijają się o wpływy innych potęg, którym bardzo zależy na wyzyskaniu serbskiego narodowo-prawosławnego fanatyzmu dla swoich własnych interesów. Nie wolno bowiem zapominać, iż jugosłowiański spór między centralizmem a federalną autonomią plemion, między jedynowładztwem prawosławia a równouprawnieniem wyznań — ma swoje szersze podłoże w międzypaństwowych aliansach i rywalizacjach.

W przedwojennej Europie usiłowania prawosławnych Serbów, dążących do zjednoczenia południowych Słowian w jednym scentralizowanym pod ich hegemonią państwie, opierały się na aprobacie i poparciu francusko-rosyjskiej polityki zagranicznej. Przeciwnie monarchia Austro-węgierska reprezentowała raczej ideę federacji pod berłem Habsburgów. Niemcy i Włochy odgrywały w tej sprawie rolę sekundantów, a przy ówczesnym układzie sił politycznych, Niemcy skłaniały się do koncepcji austriackiej, Włosi zaś przytakiwali projektom francuskim. Nieudolność polityki austriackiej stała jednak na martwym punkcie układu węgiersko-kroackiego z r. 1868 i nie mogła się zdecydować na realizację śmiałego projektu o trializmie austriacko-jugosłowiańsko-węgierskim. Dopiero Franciszek Ferdynand podjął śmiało i uparcie tę właśnie ideę, dążąc konsekwentnie do jej urzeczywistnienia, ale też odwagę swą przypłacił życiem. Zginął z rąk serbskich spiskowców jako nienawidzony wróg wielko-serbskiej myśli politycznej.

Spiskowcy ci, nie posiadając pewności, iż mocarstwa Francji i Rosji poprą efektywnie realizację państwa wielkiej Serbii, pracowali przez szereg lat w ukryciu. W Belgradzie ogniskowała się akcja zakonspirowanej organizacji wojskowej, tak zwanej „Czarnej Ręki“, działającej w porozumieniu z serbską radykalną partią znanego konspiratora Paśić'a. W robocie tej nie gardzono bombą czy sztyletem, byle by tylko cele narodowej ambicji mogły się urzeczywistnić. Na religii konspiratorom tym bynajmniej nie zależało, wszak wszyscy bez wyjątku byli wychowankami francuskiego pozytywizmu, a wielu z nich przyjmowało społeczną ideologię Marksa. Przytem „Czarną Ręką“ i spokrewnionymi z nią organizacjami kierowała skutecznie wielka loża, której też chyba na interesach prawosławia zbyt nie zależało. W ten sposób pobożny i do prawosławia gorąco przywiązany lud serbski wraz ze sfanatyzowanym klerem stał się, nieświadomie i pod pozorem obrony cerkwi, faktycznym narzędziem walki z rzymskim Kościołem oraz bratnimi narodami, w myśl wielko-serbskiej racji stanu.

Tymczasem od dwóch lat wytworzyła się w Jugosławii nowa sytuacja. Po raz pierwszy zarysowały się rzetelne

wysiłki, zdążające do gruntownej przemiany społeczno-politycznej, która w obrębie federalnego państwa miała zapewnić polityczną równość i swobodę religijną wszystkim obywatelom. Regent książę Paweł oraz premier Stojadinović skierowali politykę wewnętrzną na nowe tory przez pokojowe pertraktacje z Chorwatami oraz sfinalizowanie konkordatu ze Stolicą św. I oto w tym właśnie momencie ciemne i ukryte siły wielko-serbskiej ideologii ruszyły do zawziętego ataku, wysuwając na czoło hasła obrony prawosławia i suwerenności serbskiego nacjonalizmu. Za narzędzie użyto i tym razem ciemny lud i sfanatyzowany kler. Za jego plecami działa jednak konspiratorska mafia gen. Živković'a, Davidović'a, Jeftić'a... którzy pragną stanąć przy państwowym sterze i zawrócić na dawne wielko-serbskie szlaki. Grupę tę popierają niedwuznacznie zagraniczni partnerzy, którym bardzo zależy na zsabotowaniu pokojowej misji Stojadinović'a. Wszak obecny premier jest nie tylko zwolennikiem porozumienia z Chorwatami, nie tylko zdążył do ratyfikacji konkordatu z Watykanem, ale jemu przypisuje się nadto przyjazny zwrot w kierunku faszystowskich Włoch, zbliżenie się do Austrii i Węgier, w nim widzi się zwolennika polityki min. Becka wbrew knowaniom i intrygom zdebronizowanego Titulescu. I tutaj zazębiają się tryby polityki wielko-serbskiej z kołami i kółkami polityki europejskiej.

Podobnie jak w Polsce, w Rumunii czy Czechosłowacji, usiłują i w Jugosławii zwolennicy francuskiego frontu ludowego sparaliżować wszelkie wpływy włoskiego faszyzmu czy niemieckiego nacjonalizmu, by przywrócić erę rozkwitu Małej Ententy w oparciu o francusko-sowieckie porozumienie.

Nie ulega dziś najmniejszej wątpliwości, iż usiłowania serbskich menerów i europejskiej lewicy popiera na swój sposób i w swoich celach potężna akcja sowieckiego Kominternu.

Na zewnątrz jednak wysunięto sprytnie hasło walki z łaćcińskim klerykalizmem, z papieżem, który dla prostego ludu serbskiego, a w wyższym jeszcze stopniu dla duchowieństwa prawosławnego jest, jak niegdyś dla angielskich purytanów i północno-niemieckich luteranów, synonimem zła i ciemnych wrogich mocy. Choroba, a potem śmierć patriarchy Barnaby, wzbudziły sympatie w sercach nawet religijnie obojętnych; reszty dokonały niewątpliwe nietakty państwowych organów bezpieczeństwa, które nawet za granicą nie spotkały się bynajmniej z aprobatą.

Przy sprawiedliwej jednak i rzeczowej ocenie wypadków podkreślić należy, iż brutalne występy policji na ulicach Belgradu, zwłaszcza w czasie pamiętnej procesji, które muszą się spotkać z potępieniem ze strony wszystkich cywilizowa-

nych ludzi, — były tylko wierną kopią tych metod, jakie ta sama policja, ku radości prawowiernych Serbów, szczerze stosowała od dziesiątek lat w stosunku do Chorwatów, Słowenów i bośniackich muzułmanów. Przeciwwagą do jednego prawosławnego biskupa, którego poraniono w ulicznej potyczce, stanowią dziesiątki katolickich kapłanów, których bito, dręczono, deptano bezkarnie, oraz setki katowanych inteligentów i chłopów, z których wielu zapłaciło śmiercią za swą opozycję wobec serbskiego imperializmu. O tych wszystkich ofiarach terroru nie dowiedziała się nic Europa, a gdy za granicę Jugosławii przedostał się np. głos protestu kroackiego episkopatu, to międzynarodowa lewica zdusiła go sprzyśnieniem milczenia.

Przed wszystkim jednak podkreślić musimy fakt, iż konkordat, który posłużył prawosławiu za odskocznię do fanatycznej reakcji, nie zawiera ani jednego punktu, który możnaby z punktu widzenia państwowej racji stanu zaatakować z pozorami jakiegokolwiek słuszności.

Początki dyplomatycznych rokowań z Watykanem sięgają r. 1884. W tym właśnie roku minister pełnomocny Francji w Belgradzie, markiz de Reverseaux, na życzenie papieża Leona XIII, przedstawił królowi Milanowi Obrenowićowi projekt układu, który miał zapewnić legalne stanowisko dla katolicyzmu w Serbii.¹⁾ Chodziło wówczas przede wszystkim o usunięcie drażniącej opieki ze strony Austrii nad katolikami serbskimi. Subwencje austriackie, które były przedmiotem ataków ze strony nacjonalistów serbskich, zniknęłyby automatycznie, gdyby król zapewnił dotacje niezbędne dla instytucyj katolickich. Król Milan odniósł się życzliwie do wspomnianego projektu ale jego realizacja rozbiła się o zdecydowaną opozycję kół parlamentarnych, wrogo usposobionych dla Rzymu, nie mniej jak o zabiegi dyplomacji austriackiej, która nie zamierzała rezygnować z wygodnego i korzystnego wglądu w pewne sprawy serbskie.

Dopiero znacznie później, bo po zakończeniu wojny bałkańskiej (r. 1912—13), za panowania króla Piotra Karađiordżewicza wznowiono pertraktacje z Watykanem. Serbia powiększyła, po zwycięskiej wojnie, swe terytorium, a mniejszość katolicka wzmogła się o prawie dwie trzecie uprzedniego stanu posiadania. W Vardarze, w Macedonii przybyło 15 tysięcy katolików, pozostających, jak ich współwyznawcy z właściwej Serbii, pod protektorem polityczno-religijnym Austrii. By usunąć ten drażniący i niebezpieczny stan rzeczy, rząd belgradzki zdecydował się na pertraktacje z Watykanem i przyznanie nieodzownych dotacyj, których domagał

¹⁾ Cfr. *Études*, 5—20 Aout 1937, str. 389 i nast.

się Pius X. Negocjacje w imieniu Serbii prowadził w Rzymie Vesnić; w imieniu papieża występował kardynał Merry del Val. Wstępne umowy zostały paraflowane w Watykanie 8 maja r. 1914, a tekst definitywny podpisano 24 czerwca, na kilka dni przed wybuchem wielkiej wojny. Serbska skupszczyzna przegłosowała odnośny projekt prawa we wrześniu tegoż roku. Wymiana dokumentów ratyfikacyjnych odbyła się w Watykanie 20 marca r. 1915.

Tymczasem traktat wersalski stworzył z małej Serbii potężne królestwo Jugosławii, w którego granicach znalazło się nagle około 6 milionów katolików, stanowiących prawie 43.8% ludności całego królestwa. Sytuacja ta wymagała tym bardziej szybkiego uregulowania prawnej sytuacji katolików. Konieczność tę uznawał i tragicznie zmarły król Aleksander i kolejni szefowie rządu jak Paśić, gen. Živković, Jeftić czy Stojadinović.

I oto właśnie stajemy wobec zdumiewającej zagadki. Przeciw konkordatowi, zawartemu w r. 1914, przyjętemu przez serbską skupszczyznę, organizuje się teraz gwałtowną kampanię w imię wielko-serbskich postulatów! Wszak obecny konkordat przedłożony skupszczyźnie przez Stojadinović'a nie odstępuje w niczym od redakcji b. premiera, a serbskiego wieśniaka, Jeftić'a! Wprowadza jedynie dwie innowacje, którym mógłby tylko przyklasnąć nacjonalizm serbski, z jednej bowiem strony usuwa konkurencję jaką stanowiła katolicka sportowa organizacja oreńska dla narodowej organizacji sokołów, z drugiej zaś wprowadza starostwiański język w liturgię katolicką, dotychczas łacińską.

Jest więc rzeczą wprost niepojętą, jak można atakować ten tak rozumny a w skutkach swych dobroczynny układ?!

Otóż pomijając zakulisowe intrygi polityków krajowych i zagranicznych, o których wspomnieliśmy wyżej, jedynym wytłumaczeniem obecnej tak zacieklej kampanii może być paniczny lęk prawosławia przed wzrostem wpływów katolicyzmu w Jugosławii. Obecna bowiem Jugosławia to już nie dawna Serbia, która zawarła konkordat. Dziś katolicy nie stanowią jak wówczas znikomej mniejszości. Co więcej, w prowincjach zamieszkałych przez Chorwatów i Słoweńców religia katolicka jest dominująca. Poziom kulturalny katolików, zwłaszcza Słoweńców góruje nad zacofaniem ludności starej Serbii. Kler katolicki, tak świecki jak i zakonny, rozwija ożywioną działalność społeczną, oświatową i charytatywną, której żadną miarą nie może nadążyć duchowieństwo prawosławne. Nadto, przynajmniej pośród Słoweńców, kler posiada znaczny wpływ polityczny, a jeden z jego reprezentantów, mgr Korošec, sprawuje w obecnym gabinecie doniosłe funkcje ministra spraw wewnętrznych.

Nie trudno jednak zrozumieć, iż ta polityka lęku i nienawiści, jaką usiłuje zainaugurować mafia nacjonalistów serbskich, wspomagana przez prawosławną hierarchię, jak z jednej strony jest na wskrós niesprawiedliwą w stosunku do jednej trzeciej ludności, tak z drugiej strony jest bardzo krótkowzroczną a dla całości i potęgi państwa ze wszech miar szkodliwą.

Posunięciami tego typu, jak uliczne manifestacje, jak wyklęcie rządu i faktyczne uniemożliwienie mu prawnego udziału w wyborze nowego patriarchy... można wprowadzić obalić rząd, można na razie pogrzebać konkordat, ale nie można rozwiązać doniosłego problemu pacyfikacji narodowościowej i religijnej całego kraju.

Na razie Moskwa, kryjąca się za kulisami, może zapisać w swoim koncie przejściowe *plus* — w ostatecznym jednak rozrachunku zwycięstwo odniesie Watykan, bo po jego stronie znajduje się sprawiedliwość i on a nie serbskim nacjonalizmem zaślepione prawosławie ma na oku prawdziwe dobro całego kraju.

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Sprawy Państwa.

Zagrożony pokój. — Moskwa, Niemcy, Daleki Wschód. — Między Rapallo a paktem czterech. — Fortyfikacje. — Zagrożona Rzeczpospolita.

W ciągu lata położenie w Europie zaostrzyło się tak groźnie, jak nigdy dotąd od czasu poprzedniej wielkiej wojny. Najwidoczniej dojrzewa ono do powtórnego światowego wybuchu.

Dojrzewa organicznie, z nieubłaganą konsekwencją. Dojrzewa dlatego, że oba główne mocarstwa totalne, Niemcy, a zwłaszcza Rosja, w podjętym przez nie wyścigu zbrojeń, zbliżają się do kresu swoich sił. Osiągnęły stopień wojennego pogotowia znacznie wyższy niżli większość ich sąsiadów, ale nie na długo już będą zdolne utrzymywać go na tej wyżyźnie. Jeżeli nie otrzymają jakiejś potężnej gospodarczej pomocy z zewnątrz, to będą musiały załamać się wewnętrznie, zanarchizować i osłabnąć. Albo też mają do wyboru ryzyko sprowokowania wojny, w nadziei, że zwycięstwo mogłoby je umocnić. Nadzieja ta zapewne złudna, ale tym bardziej kusząca, że równocześnie dwa główne na kontynencie mocarstwa nietotalne, Francja i Polska, znajdują się w stanie osłabionej odporności. Pod względem militarystyki nienajgorzej jeszcze stoi Francja, jednak raczej biernie niż czynnie, dzięki fortyfikacyjnej linii Maginota. Pod względem gospodarczym sy-

tuacja Francji nie jest tak beznadziejna jak Niemiec, z powodu większej samowystarczalności, za to ciężko zawichrzona społecznie, ponieważ państwo liberalne nie koncentruje swych sił w walce z kryzysem, jak państwa totalne, lecz zużywa je na walki wewnętrzne. Toż samo da się powiedzieć o Polsce. Ponadto Polskę obciąża tragiczne dziedzictwo niedorozwoju społeczno-gospodarczego, oraz rutynizm liberalnej polityki gospodarczej, niezdolny do wyrównania tego niedorozwoju w nagłym tempie, jakiego wymagają okoliczności. To też udział Polski w wyścigu zbrojeń, zarówno jak jej gospodarcza odporność na wypadek wojny, znalazłyby się w rażącej dysproporcji z wyczynami sąsiadów, wytwarzając bardzo niebezpieczne dla pokoju „pole depresji”. Równowagę podtrzymały i pokój na ten rok, jak się zdaje, uratowały głównie zbrojenia Anglii.

Chwiała się jednak i chwieje jeszcze, w chwili gdy piszę, ta równowaga w sposób niezmiernie niepokojący. W stadium poprzednim, które już było na tym miejscu referowane, Polska podparła tę chwiejną równowagę, akcentując swój sojusz z Rumunią. Z natury rzeczy zwraca się on obronnie przede wszystkim przeciwko Rosji. Tym razem jednak orientowaliśmy go raczej przeciw Niemcom, ażeby udzielić poparcia, zagrożonym przez Niemcy, w porozumieniu z Włochami, Czechosłowacji, Austrii i po części Węgrom. Ta tendencja znalazła swój wyraz manifestacyjny w przyjęciu króla Karola II na ziemi wielkopolskiej i uroczystym nadaniu mu szefostwa jednego z pułków wielkopolskich. Podjęły ją kontrofensywnie Sowiety, jako nową okazję do zabiegów o sojusz z Niemcami.

Inicjatywa sowiecka wysunęła się w ogóle na pierwszy plan gry dyplomatycznej w miesiącach letnich. Już poprzednia wielka wojna wykazała, iż Moskwa jest społecznie i gospodarczo mniej od innych mocarstw odporna i szybciej popada w rozkład. Obecnie zagrożeni są rozkładem, mniej lub więcej wszyscy, ale Moskwa w pierwszym rzędzie, o czym pisaliśmy już parokrotnie. Moskwa obawia się najwidoczniej, iż nawet najbliższej zimy może nie przetrzymać bez ciężkich zamieszek wewnętrznych oraz osłabienia zdolności bojowej państwa na zewnątrz. Mogłaby wtedy zostać poczytaną za łatwy łup i stać się przedmiotem międzynarodowego porozumienia przeciwko niej. Stalin stara się więc uprzedzić niebezpieczeństwo rewolucji wewnętrznej terrorem zaspokajającym z góry „ludu gniew” oraz umacniającym posłuch. Równocześnie dyplomacja sowiecka rozwinęła gorączkową działalność celem sprowokowania wojny powszechnej w takim układzie sił, który by był dla Moskwy możliwie najmniej niebezpieczny. Takim układem wydaje się Moskwie sojusz z Niemcami, ponieważ wyłączałby on dojście do skutku bloku przeciwsowieckiego z Niemcami na czele. Rząd sowiecki zdaje sobie jednak sprawę, że aby się stać czynnym sojusznikiem Niemiec w Europie, a za-

razem nie zostać wydanym na ich łaskę i niełaskę, winien wszystkie swe siły skupić na swym zachodnim europejskim froncie. W tym celu musi najprzód oswobodzić się na dłuższy czas od niebezpieczeństwa japońskiego na Dalekim Wschodzie.

Na takim tle rozwój wydarzeń ujawnił z dużą dokładnością następujący sowiecki plan działania: 1^o Moskwa zachęciła Chiny do wojny z Japonią, z tym, że je wspomóże dostawami materiału wojennego. Gdy zaś Japonia dostatecznie się wyczerpie niewdzięczną wojną chińską, w której nie wiele ma do zdobycia ponad to co już posiada, wówczas włączają się czynnie Sowiety i Japonię wykończą. Odtąd na długo, zwłaszcza przy dalszym wzmocnieniu Chin, Sowiety byłyby w Azji zabezpieczone, mogłyby wszystkimi siłami zwrócić się do Europy. 2^o Z taką perspektywą w tece pojechał nowy rosyjski ambasador Jureniew do kanclerza Hitlera do Berchtesgaden. Hitler współ z Mussolinim uwikłani byli z mocarstwami zachodnimi w zaciekły spór o hiszpańską nieinterwencję, oraz o zabezpieczenie prawa strony wojującej dla gen. Franco, czyli o jego przewagę nad czerwonymi. Hitler ponad to był skrępowany nad Dunajem przez sojusz polsko-rumuński tym silniej, o ile by Sowiety nie przeszkadzały naddunajskim dążeniom ochronnym tego sojuszu. W tych okolicznościach mógł Jureniew złożyć Hitlerowi nową, ponętniejszą i konkretniejszą od poprzednich, ofertę rosyjską. Mógł ponownie zaproponować, że Rosja się wycofa z Hiszpanii, tym chętniej, iż teraz chce swoje dostawy kierować przede wszystkim do Chin. Gdyby się Moskwa wycofała z Hiszpanii, to wkrótce zwyciężyliby tam powstańcy, których oś berlińsko-rzymska uważa za swoich sprzymierzeńców. A więc „oś” osiągnęłaby swój cel, zaszachowałaby od strony Hiszpanii Anglię i Francję, zwiększając o tyleż swoją swobodę ruchów w Europie środkowo-wschodniej.

Nie dość na tym. Gdyby na Dalekim Wschodzie udało się Moskwie rozpętać poważniejszą wojnę, to odwróciłaby ona ku sobie w znacznej mierze uwagę i siły obu mocarstw anglo-saskich, osłabiłaby zatem na jakiś czas „sojusz trzech demokracji”: francuskiej, angielskiej i amerykańskiej, i o tyle znowu rozszerzyłaby swobodę działań Niemiec nad Dunajem. Wreszcie po trzecie, o ile chodzi o sojusz polsko-rumuński, jako punkt oparcia dla Austrii i Czechosłowacji przeciwko Niemcom, to Moskwa mogła zaferować Niemcom współdziałanie bezpośrednie. W ten sposób, gdyby wojna na Dalekim Wschodzie należycie się rozwinęła, to Niemcy mogłyby uzyskać koniunkturę pozwalającą im oparować Austrię i Czechosłowację.

Jeżeli wojna na Dalekim Wschodzie wypadnie po myśli Moskwy i zakończy się klęską Japonii, wówczas Moskwa projektowałaby zapewne skoncentrowanie się w Europie środkowej i podział jej na sfery wpływu z Niemcami. Ażeby zabezpieczyć się przed niemiecką agresją na Ukrainę, Moskwa mogłaby wtedy

ofiarować Niemcom wspólny front przeciwingielski, bo w kierunku bałkańskim i zachodnio-azjatyckim otworzyłyby się dla współdziałania obu mocarstw rozległe widoki. Uprzednio tylko musiałyby Sowiety i Niemcy wzmocnić się gospodarczo, co też Jureniw Hitlerowi ofiarował w postaci dostaw surowców wżmian za maszyny.

Wreszcie ideologicznym uwieńczeniem planu sowieckiego miało być, jak słyhać, zawieszenie czy nawet skasowanie kominternu, oraz nacjonalizacja rosyjskiego komunizmu.

Wiele za tym przemawia, iż Niemcy ten ponętny plan przyjęły, przynajmniej w zasadzie i z zastrzeżeniem jego pomyślnego rozwoju w Azji i nad Dunajem. Przemawiają za tym po części gospodarczo-wojenne przygotowania Niemiec, przede wszystkim zaś niesamowite wyczyny, które koncentrycznie poczęto rozwijać dokoła naszego kraju z widoczną tendencją ażeby nas zmieszać i onieśmielić. Zaczęło się od osadzenia w Kownie płk. Konowalca, osławionego przywódcy germanofilskich irredentystów ukraińskich w Polsce. Nie mogło się to stać bez zgody Moskwy. Wkrótce potem w znamienny sposób podniósł głowę w Małopolsce Wschodniej separatystyczny ruch ukraiński. Z Białorusi nadeszły wieści o agitacji quasi-religijnej, sekciarsko-prawosławnej, niejakię Muraszki i jego żony, którzy na naszych Kresach zakładają kołchozy pod nazwą „nowych Jerozolim“. Według informacji prasowych komintern przeznaczył duże sumy pieniężne na wzmocnienie agitacji w Polsce i powołał do niej najzdolniejszych agentów. Równocześnie od strony Niemiec wzmogło się prowokacyjne uprowadzanie przez granicę naszej młodzieży poborowej, o polskim obywatelstwie, lecz niemieckiej narodowości.

W ten „sympatyczny“ sposób dawano nam do zrozumienia, że Polska znajduje się w bliskim niebezpieczeństwie wojny i że Niemcy pragną uchronić młodzież niemiecką od udziału w niej pod polskimi sztandarami. W samych Niemczech poczęły się mnożyć manifestacyjne rewizje i szykany wobec mniejszości polskiej. Naodwrot, mniejszość niemiecka w Polsce przybierała postawę coraz bardziej wyzywającą, w pogranicznych zaś miejscowościach, tu i ówdzie, dała się zauważyć bezpośrednia agitacja hitlerowska, nawet wśród ludności polskiej. Wszystkie te objawy, wschodnie i zachodnie, aczkolwiek na razie łagodniejsze, zasadniczo jednak dosyć są pokrewne pamiętnej „akcji dywersyjnej“ prowadzonej na naszych Kresach przez Sowiety za dobrych czasów Rapallo. W takich okolicznościach nawet rozgłośnia bomba w Małych Świdrach zdaje się być dziełem, starannie zamaskowanej, tej samej „obcej agentury“, która w 1923 r. (gdy w Niemczech Reichswera walczyła z komuną w Saksonii) spowodowała wybuch prochowni w Warszawie i przysuwała wojska do naszej ściany wschodniej.

Teraz, gdy na Dalekim Wschodzie wzmagają się niebezpieczeństwo wojny, dokoła Polski zaś snuć się poczęło ponownie widmo niemiecko-rosyjskiego współdziałania, Niemcy zamierzyły się do stanowczego ciosu przeciwko Austrii. Jednak w europejskim laboratorium dyplomatycznym znalazło się na to niebezpieczeństwo pewne doraźne *antidotum*.

Sowiecki plan był groźny nie tylko dla Polski i państw naddunajskich. W dalszej perspektywie zagrażał on również W. Brytanii oraz — Włochom. Oś berlińsko-rzymska opierała się na takim podziale sfer wpływu w Europie środkowo-wschodniej, który Bałkan przyznawał Italii, Austro-Węgry zaś i Czechosłowację — Niemcom. Środkowo-europejski kompromis między Niemcami a Rosją wiódłby raczej do przyznania Niemcom całego Bałkanu, albo do jego podziału na rosyjską część wschodnią i niemiecką zachodnią. W obu wypadkach kompromis ten jest niebezpieczny dla Włoch na Bałkanie, tym bardziej że zasadniczo pozwalałby Niemcom na szerszy niżli porozumienie z Włochami rozmach ekspansji. Nie policzono się z tym dostatecznie w Berlinie i w Moskwie, nie nawiązano w tej sprawie bezpośredniego kontaktu z Rzymem, nie zabezpieczono jego interesów, co zresztą w tej kombinacji nie należy do zadań łatwych. Przeciwnie, projektowany zamach na Austrię próbowali sobie Niemcy ułatwić przez wichrzenia hitlerowskie w Jugosławii, a więc w sferze wpływu włoskiego; przyczem szły te wichrzenia w kierunku zarazem antykatolickim i separującym od Jugosławii Chorwację.

Było to ostrzeżenie dla Włoch. To też przychylnie przyjęły one list angielskiego premiera Chamberlaina do Mussoliniego, proponujący układy i zgodę. Przyjęły ten list tym przychylniej, że równocześnie Anglia zajęła rozsądne stanowisko w Hiszpanii, wchodząc w układy z gen. Franco, który ze swej strony począł manifestować samodzielność, ogłaszając noty dość impertynenckie zarówno wobec Angli, jak wobec Włoch. Gdyby również Francja okazała się zdolną do poparcia gen. Franco, to wojnę hiszpańską możnaby niedługo zlikwidować na niekorzyść czerwonych i w taki sposób, że nie byłoby obaw o uzależnienie Franca od Niemiec i Włoch. Niestety Francja dotąd do tego nie jest zdolna, bo rządzi nią „front ludowy”, przyjazny czerwonym, i niechęć posuwać się w Hiszpanii dalej, niż do zasady nieinterwencji.

W miarę rozwoju rozmów włosko-angielskich próbowały się do nich przyłączyć również Niemcy. Prasa niemiecka polemizowała z prasą angielską na temat realizacji hiszpańskiego czwórporozumienia, oraz rozwinięcia go w nowy pakt gwarancyjny reński, a nawet nowy „pakt czterech” mocarstw zachodnich. Łaskawie przyznawała przytem prasa niemiecka prawo do bezpieczeństwa na wschodzie Polsce i Jugosławii, jako posiadającym pakt pokojowy z Niemcami oraz Italią; dawała zaś do zrozumienia, że

obszar naddunajski powinien być przyznany Niemcom. W tym okresie gry międzynarodowej na rękę były Niemcom polskie wizyty półurzędowe, zwłaszcza *FiDaCu* w Berlinie, bo osłaniały im ewentualnie odwrót od nowego „Rapallo” do nowego „paktu czterech”.

Z drugiej strony swe zainteresowanie dla wschodnich sąsiadów Niemiec zmanifestowała także Anglia odwiedzinami księstwa Kentu w Polsce i Jugosławii. Sytuacja pogorszyła się dla Niemiec, gdyż porozumienie angielsko-włoskie mogłoby rozbić oś berlińsko-rzymską i zamknąć Niemcom ponownie drogę do Austrii postawą Włoch. Na tę pogroźkę zechcą może Niemcy odpowiedzieć, wzmagając swą agresywność wobec Polski tym więcej, im uprzejmiejszą jest dla nas, a mniej uprzejmą dla Niemiec (wydalenie niemieckich dziennikarzy z Londynu) — Wielka Brytania. Czy ta postawa Niemiec wobec nas okaże się przemijającą, lub też przeciwnie, pocnie się utrwać i coraz niebezpieczniej zaostrzać, to zależy przede wszystkim od rozwoju wypadków na Dalekim Wschodzie; od stopnia w jakim one mogą krępować Amerykę i Anglię, Moskwie zaś przeciwnie, przynieść upragnioną swobodę koncentracji w Europie. Ważnym też jest, że Daleki Wschód na razie musi przykuwać do siebie uwagę i siły Rosji jeszcze bardziej, niż mocarstw anglo-saskich. W dalszej perspektywie rachuba Sowietów również przedstawia się problematycznie, gdyż wojna z Japonią nawet zwycięska, może Moskwę wyczerpać, załamując jej nadwątlone dotychczasowym naprężeniem siły. Sowiety grają *va banque*. Od tego czy na Dalekim Wschodzie im się powiedzie, lub noga pośliznie, zależeć będzie w wielkiej mierze czy polityka międzynarodowa Europy albo skupi się dokoła paktu czterech w blok przeciwsowiecki, albo też przeciwnie rozstrzeli się dokoła nowego Rapallo. Na razie oscyluje między jednym a drugim, przy czym układy anglo-włoskie podtrzymują równowagę ze współdziałaniem niemieckorosyjskim.

Jaki stąd powstaje ogólny horoskop dla pokoju? Zdaje się, że ocalenia na rok bieżący, ale najwyższej problematyczności pokoju na rok przyszedł. Gra międzynarodowa toczy się obecnie już nie tyle o bezpieczeństwo i pokój, ile o to w jakim szyku zespoły państw mają stanąć do ponownych zapasów o przebudowę mapy politycznej świata. Zarysowują się przy tym trzy ewentualności zależne głównie od losów i postawy Moskwy. Pierwsza, najgroźniejsza, choć niekoniecznie najbardziej prawdopodobna, wynikłaby wówczas gdyby Moskwa odniosła łatwy tryumf na Dalekim Wschodzie, a w Europie, wspólnie z Niemcami, okazała się dość pomyślną i przezorną w planach rozbiorowych na obszarze bałtycko-adriatycko-czarnomorskim, ażeby utrzymać w sojuszu Włochy. W takim razie zanosiłoby się na wybuch nowej wojny powszechnej w potrójnych sztykach bojowych trzech

totalizmów przeciwko trzem wielkim demokracjom zachodnim, włącznie z Ameryką. W Europie środkowo-wschodniej liczyłoby się wtedy należało z koncentryczną ofensywą „nowego Rapallo” przeciwko Polsce, Rumunii i państwom naddunajskim.

Druga ewentualność to łatwy tryumf Moskwy na Dalekim Wschodzie, przy równoczesnym przejściu Włoch do obozu mocarstw zachodnich. W tym wypadku Moskwa miałaby zapewnione tylko w ograniczonym stopniu współdziałanie Niemiec, mogłaby się więc nawet zawahać się przed uderzeniem na Polskę i Rumunię, o ile nie poniósłby jej rozpęd bojowy nabyty nad Pacyfikiem, a zwłaszcza gdyby nie zmuszała jej do tego groza wewnętrznego rozkładu. Gdyby Moskwa uderzyła na Polskę i Rumunię to postawa Niemiec wobec nas zależałaby od tego jak zachowałyby się Anglia i w ogóle Zachód, oraz od przebiegu samej kampanii. Nie jest jednak prawdopodobne ażeby się nie okazała więcej czynną niżli w r. 1920. Przewidywać raczej trzeba, że Niemcy zachowałyby się „uzupełniająco” tj. tak jak wobec decydującego militarnego natarcia Moskwy w r. 1792.

Trzecia ewentualność przedstawia się na pozór najbardziej „pacyfistycznie”. Tak byłoby wtedy, gdyby Moskwa na Dalekim Wschodzie skrzyła kark, albo gdyby tamtejsza wojna została jeszcze udaremniona przez mocarstwa anglo-saskie; Moskwa zaś poczęłaby się rozkładać od wewnątrz. Wtedy zachodziłoby prawdopodobieństwo ocalenia pokoju nawet jeszcze i na rok przyszły. Wtedy bowiem punkt ciężkości dramatu przeniósłby się do Europy środkowej i zachodniej na linię frontu osi Berlin—Rzym z ententą anglo-francuską, oraz na linię frontu osi Berlin—Rzym z jej sąsiadami wschodnimi. Rozpoczęłaby się walka o wewnętrzną organizację paktu czterech i zmontowanie bloku przeciwsowieckiego. Ponieważ jednak Europie kontynentalnej, z Niemcami na czele, również zagraża rozkład gospodarczy przeto i ta walka także nie mogłaby się przewlekać zbyt długo. W razie niezdolności do rozwikłania impasu i zablokowania Europy groziłby i tutaj automatyczny wybuch wojny celem uprzedzenia rozkładu. Na bliższym zaś jeszcze planie groziłby nacisk na Polskę i Francję celem przyjęcia warunków „paktu czterech” niemniej karkołomnych dla tych państw, jak warunki poprzedniego jego projektu z r. 1933. Chodzi o warunki wolnej ręki dla Niemiec nie tylko wobec Moskwy, lecz wobec wschodnich sąsiadów Niemiec. Z powodu tych warunków stoczyliśmy skuteczną walkę z paktem czterech w r. 1933. Tylko że wtedy Hitler nie miał jeszcze za sobą zbrojeń i Nadrenii, i zrywał Rapallo, a my zawieraliśmy pakt z Rosją. Dziś rzeczy stoją odwrotnie.

Tak się przedstawia schemat prawdopodobnego rozwoju wypadków z tym zastrzeżeniem, że możliwe są doniosłe komplikacje. Jedną z nich byłoby np. przeciwjapońskie zbliżenie Ameryki z Rosją, nie wyłączone w razie gdyby wojna na Dalekim Wscho-

dzie przybrała wielkie rozmiary. Zbliżenie takie oznaczałoby najwyższy stopień dywersji jaką zatarg chińsko-japoński wytwarza dla solidarnego frontu trzech demokracji amerykańskiej, angielskiej i francuskiej przeciwko mocarstwom totalnym. Mogłoby to nawet wyłączyć faktycznie z tego frontu Amerykę, wzmacniając równocześnie Moskwę i rozszerzając do *maximum* niemiecką swobodę ruchów w Europie. Inna znów komplikacja zarysowuje się już aktualnie w chwili gdy piszę: to poczucie niedostatecznej zdolności do oporu ze strony państw naddunajskich i stąd skłonność do „dobrowolnego” podporządkowania się polityce niemieckiej. Niemcy są przy tym tak zręczni, że ujęli sobie Węgrów pomocą w ich uzbrojeniu i to samo obiecują Austrii; w tej grze ministrowie węgierscy podjęli się pośrednictwa między rządem austriackim a niemieckim min. spr. zagr. Neurathem.

Objawy te nie pozostają bez związku z postawą jaką na tle całokształtu obecnego położenia międzynarodowego zajęła wobec Niemiec Polska. Zanim je szcharakteryzujemy należy jednak jeszcze wspomnieć o czynniku bardzo ważnym i znamienym nie tylko w stosunkach polsko-niemieckich, lecz także w sytuacji ogólnoświatowej. To niemieckie fortyfikacje na wschodzie. Prace nad nimi forsowane są spieszniej od nadreńskich i podobno są już bliskie ukończenia. Jest to strategiczny mur obronny osłaniający Niemcy przed inwazją od strony wschodu. Oczywiście Niemcy bynajmniej się nie obawiają ażebyśmy z własnej inicjatywy wyruszyli na podbój Berlina. Fortyfikacje nad Renem potrzebne są im dlatego, ażeby się mogli na zachodzie bronić stosunkowo niewielkimi siłami, gdyby chcieli swe siły zwrócić głównie np. przeciwko Polsce i Czechosłowacji, lub nawet Rosji. Fortyfikacje zaś nad Odrą potrzebne są Niemcom dlatego, ażeby w razie potrzeby mogli się tu bronić niewielkimi siłami przeciw Polsce, lub nawet Rosji, gdyby chcieli lub mieli główne swe siły zwrócić przeciwko Czechosłowacji, Austrii, Jugosławii może nawet Włochom lub zachodowi. Takie jest bierne, obronne znaczenie tych umocnień, w którym szczególnie uderza głębokość oceny niebezpieczeństw związanych z nową wielką wojną, w perspektywę której Niemcy wciągają nawet tę ewentualność, że Moskwa może do nich podejść bezpośrednio.

Najbliższa jednak, najaktualniejsza celowość tych fortyfikacji jest przede wszystkim miejscowa i — ofensywna. Służyć mają one w swej części południowej do tego ażeby przeszkodzić polskoczeskiemu natarciu na niemiecki Śląsk, przeciwnie zaś umożliwić niemieckie natarcie z dolnego Śląska na Wielkopolskę. W części północnej fortyfikacje stawiają zaporę wszelkiemu głębszemu strategicznemu kontratakowi wojsk polskich. Plany strategiczne niemieckie względem Polski przewidują prawdopodobnie, oprócz natarcia na Wielkopolskę od strony Śląska, błyskawiczną okupację polskiego Pomorza i stamtąd dalej, koncentryczny ze ślą-

skim od południa, północny atak na ujętą wówczas w strategiczne kleszcze Wielkopolskę. Z fachowych rozważań drukowanych w jednym z dzienników warszawskich ub. zimy zdaje się też wynikać, iż nasze plany wojenne nie przewidują zbyt uporczywej obrony północno-zachodniej części kraju, lecz zmierzają raczej do koncentracji dokoła przyszłego sandomierskiego „centralnego okręgu przemysłowego”, oraz stolicy. Byłoby to racjonalne, logiczne i zrozumiałe, zwłaszcza, że zdolność obronną Pomorza kwestionuje także Gdańsk, prawie już niemiecki, a klinem wdierający się z boku w wąski „korytarz” pomorski.

Strategiczne położenie zachodnich dzielnic Polski jest zasadniczo o tyle niekorzystne, że, aby mu zapewnić poważną zdolność obronną, należałoby, zwłaszcza Pomorze, przekształcić w jedną olbrzymią twierdzę. Skoro tego nie ma, to raczej dziwić się tylko można lekkomyślności, z jaką wydajemy pieniądze na budowę floty wojennej, skoro od strony lądu grozi jej tak mocno wpadnięcie w ręce niemieckie.

Wschodnie fortyfikacje Niemiec podniosły do *maximum* ich militarną nad nami przewagę. Niemniejszą jest przewaga dynamiki gospodarczej i psychicznej. Dynamice gospodarczej zagraża wprowadzie załamanie, ale stąd właśnie powstaje niebezpieczeństwo, że Niemcy mogą się zdecydować na wojnę wcześniej, nim się poczną staczać z kulminacyjnego napięcia swej dynamiki. Jeśli przy tym uwzględnić specjalny stosunek, w jakim Niemcy i my znaleźliśmy się obecnie wobec Rosji, to jasno się zarysuje niesłychanie trudna sytuacja Polski. W tej sytuacji jakżeż się zachowała nasza polityka zagraniczna?

Zachowała się logicznie i konsekwentnie. Ponieważ sojusz Niemiec z Moskwą znajduje się dopiero w stadium wstępnego współdziałania i nie jest jeszcze przesądzony, przeto postanowiliśmy za wszelką cenę utrzymać dobre stosunki z Niemcami, oraz ułatwić im pogodzenie się z zachodem. W tym celu nastąpiły dwie dość manifestacyjne wizyty polskich organizacji w Niemczech, oraz mowa berlińska prezesa Góreckiego. Niemcy przyjęli uprzejmie te kroki, ponieważ ułatwiały im one zarówno dyplomatyzowanie z zachodem dokoła paktu czterech, jak z Austrią oraz ewentualnie z Czechosłowacją. Państwa te odniosły wrażenie, iż w zmienionym na skutek postawy Moskwy położeniu nie mogą już liczyć na poparcie przeciwko Niemcom ze strony sojuszu polsko-rumuńskiego. Wrażenie musiało być tym silniejsze, iż sam Karol II podczas swej podróży na zachód próbował porozumieć się z Hitlerem, co wprawdzie nie doszło do skutku, ale niemniej wznieciło pogłoski o zmianie rządu i nowym, dotąd jeszcze niewyjaśnionym, kursie polityki rumuńskiej.

Chwieje się również, w chwili gdy piszę, polityka włoska między układami z Anglią, do których się przyłącza Francja, a które mogą Włochy kosztować Hiszpanię, oraz lojalnością wo-

bec „osi“ rzymsko-berlińskiej; może ona bowiem Włochy kosztować na początek Austrię, potem Bałkan, i w końcu doprowadzić do wasalizacji wobec Niemiec, opartych o Moskwę, lub nawet Niemiec w ramach paktu czterech.

Możnaby to wszystko nazwać ogólną skłonnością wschodnich sąsiadów Niemiec do uległości wobec nich. Jeśli nie potrwa ona zbyt długo i nie sięgnie zbyt głęboko, to może minąć bez szkód, owszem pojednawczym nastrojem ułatwić nawet przyszłe układy. Ale gdyby miała doprowadzić do mocnej i trwałej przewagi Niemiec nad Austrią i Czechosłowacją, czy to w oparciu o Moskwę czy w zgodzie z mocarstwami zachodnimi, to nieuchronnie wprowadziłaby w stan trwałej zależności wobec Niemiec także Włochy i — Polskę. *Mitteleuropa* w duchu niemieckich dążeń odwetowych byłaby gotowa.

Dlatego niebezpieczną i śliską jest ta polityka uległości wobec Niemiec. To nie są pertraktacje równego z równym, lecz podporządkowywanie się słabszego silniejszemu. W Polsce ponadto ogół odczuwa ją jako przykrą dla narodowej ambicji, wobec wyzywającej postawy Niemiec. Poczęto znów wyrzekać na p. min. Becka. Niesłusznie. Prowadzi on politykę taką jaką mu narzuca natura położenia. Jeśli to położenie jest dla nas tak niekorzystne, to p. min. Beck równie mało jest temu winien jak p. min. gen. Kasprzycki temu, że Pomorze i Poznańskie nie są ufortyfikowane.

Gdybyśmy zamiast poddawać się grozie położenia pragnęli zapanować nad nim, musielibyśmy wykazać odpowiednią siłę militarną, musielibyśmy usunąć tę tragiczną dysproporcję, jaka w tej dziedzinie zapanowała między nami i naszymi wielkimi sąsiadami. Ażeby usunąć dysproporcję militarną należałoby przedtem usunąć podobną dysproporcję, jaka zachodzi między nami i Niemcami w dziedzinie gospodarczej. Zdynamizować zaś nasze gospodarstwo w takim tempie, jakiego wymagają groźne okoliczności, nie zdoła konserwatywna, rutynistyczna polityka gospodarcza obecna. Jeśli się stoi na stanowisku, iż żadna inna nie jest możliwa, bo kapitalizm jest alfą i omegą ustroju wiecznotrwałą po wszystkie czasy, to tym samym się stwierdza, że nic nie jest w stanie uchronić świata od zagłady w nowej wielkiej wojnie. Zacoфанą kapitalistycznie Polskę wysuwa się na pierwszy plan kandydatur do zagłady, wyznacza się jej najgorsze widoki w nadciągającej straszliwej próbie sił między narodami.

To wszystko jednak nie jest prawdą. Kapitalizm na zachodzie spełnił swoje zadania i musi być zastąpiony ustrojem odmiennym. W Polsce swych zadań nie wypełnił, dlatego wypełnić już ich nie zdąży i również wymaga zastąpienia przez ustrój nowy. Kto tego nie chce widzieć i nie umie wprowadzić w czyn, ten nieznacznie wycofuje kraj z niepodległości. Bo w Polsce można hodować kapitalizm tylko sztucznie, w oparciu o wielką

kapitalistyczną potęgę obcą. Do takiej wobec nas woli dążą Niemcy. Za jaką cenę — wiadomo. Nasza polityka systematycznej hodowli kapitalizmu według reguł kapitalistycznej ekonomiki wychodzi tym dążeniom niemieckim naprzeciw, podaje im dłoń. Ministrowie spr. zagr. i wojskowych mogą być tylko wykonawcami jej zaślepionych, lecz suwerennych wskazań.

Andrzej Prawdźic.

Międzynarodowa wystawa „sztuki i techniki“ w Paryżu.

Zdawać by się mogło, że pisać we wrześniu o Wystawie Międzynarodowej w Paryżu jest zbyt grubym spóźnieniem, nawet jeśli się przyjmie tę okoliczność łagodzącą, że dzieje się to w miesięczniku.

Lecz nie! Kiedy w poniedziałek, dn. 24 maja b. r. prezydent Francji, Lebrun, w obecności członków rządu, korpusu dyplomatycznego i kilku tysięcy zaproszonych gości, zakończył swe przemówienie inauguracyjne w *Grand Palais* słowami: „W imieniu Republiki Francuskiej ogłaszam międzynarodową wystawę sztuki i techniki 1937 r. za otwartą“ — zaledwie niewielka część z zapowiedzianych 300 pawilonów, między nimi tylko pięć zagranicznych, była wykończona. Otwarcie pozostałych przeniesiono na dalszy okres czasu aż do końca czerwca, a faktycznie sprawa przeciągnęła się znacznie dłużej.

Kiedy dn. 10 sierpnia byłem ostatni raz na wystawie, spora stosunkowo liczba pawilonów była jeszcze zatknęta dla publiczności, w jednych kończono dopiero konstrukcję budynku, w innych przygotowywano lub urządzano wnętrze. Owszem praca trwała nawet w wielu z tych pawilonów, które już były otwarte dla zwiedzających. Tu przesuwali się szeregi gości, tam, za rozciągniętym sznurem lub zasłoną płócienną, uwijali się rzemieślnicy i dekoratorzy. Może ci, którzy przybędą za miesiąc do Paryża, zobaczą wreszcie całość.

Opóźnienie takie, poza milionowymi stratami, sprawiło oczywiście gorzki zawód wielu gościom zagranicznym i było właściwie niemałą kompromitacją. Wystawa miała przecieżyć być otwarta dn. 2-o maja, tymczasem mimo miesięcznego blisko przesunięcia tej daty potrzebowano jeszcze tygodni wyężonej pracy do jej wykończenia. Spodziewano się więc, że pewne zażenowanie przejawia się z tego powodu w prasie i postawie miejscowego społeczeństwa. — Wbrew tym przypuszczeniom Francuzi triumfowali.

Ta pozorna sprzeczność była jednak zrozumiałą. Triumf ów był poniekąd naturalną reakcją psychiczną po obawach, jakie przeżywano w ciągu ostatnich miesięcy. Były przecież chwile,

w których los całej wystawy stał pod znakiem zapytania. A jednak udało się zapobiec temu niebezpieczeństwu. To też uczucie radości i dumy przepełniało serca, a rozentuzjasmowane tłumy zalegały popołudniu dn. 24 maja wszystkie sąsiednie ulice i parukilometry odcinek wybrzeża Sekwany, dopóki salwa 101 strzałów armatnich nie obwieściła zamknięcia uroczystości inauguracyjnych. Nie czekano również na wykończenie znaczniejszej liczby pawilonów. Już w czwartek dn. 27 maja zwiedziło podobno wystawę 75.000, a w niedzielę następną 105.000 osób.

Nie wiem, czy organizatorzy którejkolwiek z dotychczasowych wystaw międzynarodowych mieli do przezwyciężenia tyle przeszkód, co obecni. Wprawdzie na urządzenie wystawy zdecydowała się Francja jeszcze w r. 1925, a wstępne przygotowania trwały już od kilku lat; jednakże do końca 1935 r. zgłosiło swój udział zaledwie trzynaście państw, a następne zgłoszenia przychodziły później, ostatecznie (uwzględnione, bo parę przyszło jeszcze w początku b. r., lecz nie zostały przyjęte) niemal na pół roku przed otwarciem wystawy.

Już same te opóźnienia wprowadziły duże zamieszanie i postawiły Generalny Komisarjat wystawy w niesłychanie trudnym położeniu. Napływające po opracowaniu całokształtu planów coraz nowe zgłoszenia pociągnęły za sobą nie tylko znaczne rozszerzenie powierzchni terenów wystawowych — z projektowanych pierwotnie 30 ha do przeszło 100 ha — ale pomnożyły także wybitnie rozmiary prac organizacyjnych i przygotowawczych. Nie zapominajmy bowiem, że w pracach tych brało udział przeszło sto różnych komitetów i „biur“, a wszędzie ostateczna decyzja należała do Gen. Komisarjatu. Każda bowiem „klasa“ (dział szczegółowy) — było ich podług prospektu 75, ujętych w 14 ogólnych grup — była zarządzana przez osobne biuro, każdy z czterdziestu kilku krajów zagranicznych miał własny komisarjat, a ponadto funkcjonowała jeszcze pewna ilość komitetów regionalnych. W rezultacie trzeba było zmieniać parokrotnie gotowy już ogólny plan wystawy, a niektóre jego działy ustalono dopiero w kwietniu b. r. Mimo powiększenia liczby robotników do 20.000 i przesunięcia terminu, pracowano do ostatniej chwili w takim napięciu, że zapomniano czy nie zdołano wydrukować na czas biletów wstępu i w pierwszy dzień wystawy musiano puścić publiczność bez biletów.

Sytuację, już i tak ciężką, skomplikowały nadto inne nieprzewidziane trudności, związane z rządami „Frontu ludowego“, wyzyskiwanymi skutecznie przez pewne organizacje robotnicze, oraz odpowiedzialnych i nieodpowiedzialnych agitatorów skrajnej lewicy.¹⁾ Praca rwała się co pewien czas, ponieważ robotnicy

¹⁾ To wyjaśnienie dawano mi prawie stale w Paryżu na pytanie, dlaczego tak bardzo spóźniono się z wykończeniem wystawy. Trochę na

porzucali ją i szli na zebrania swych organizacji, jednego tygodnia pracowano zaledwie przez cztery dni; w niektórych okresach lękano się nawet strajków okupacyjnych na terenie wystawy. I jeśli do tego dodamy wiszącą ciągle groźbę międzynarodowych konfliktów z powodu wypadków hiszpańskich, musimy przyznać, że Komisariat Generalny, z p. Edmond Labbé na czele, działając w atmosferze, która przybierała chwilami charakter paniki, dokonał jednak rzeczy wielkiej i „złożył dowód zimnej krwi“.

Przesunięcie terminu otwarcia wystawy było naturalnie w tych warunkach nieuniknionym. W połowie kwietnia b. r. doniesiono, że dn. 2 maja z pewnością nie nastąpi otwarcie. a pod koniec kwietnia Ministerstwo Handlu zakomunikowało urzędowo, że uroczystość inauguracji odbędzie się dn. 24 maja, a od następnego dnia wystawa będzie dostępna dla publiczności.

Obecna wystawa światowa, mimo swej powszechności nie nazywa się „Powszechną“, lecz jest wystawą „Sztuki i Techniki“ — *l' Exposition internationale des Arts et Techniques dans la vie moderne*. Posiada więc pewne określone „oblicze“.

Okoliczność ta nie jest bez znaczenia. Wystawa międzynarodowa o nieokreślonym bliżej charakterze przerodzić się może łatwo w jakieś „Międzynarodowe targi“, zwłaszcza że interes gospodarczy góruje przecież u ogółu wystawców. Jeśli więc impreza ma nie tylko służyć tym celom, ale stać się także reprezentacją i propagandą urządzającego ją kraju, powinna posiadać jakiś specjalny wyraz, jakiś kąć widzenia, pod którym rozwijałby się zarówno ogólny jej plan, jak szczegółowy układ pojedynczych części. Nie przestając być uniwersalną, wystawa przybiera wówczas charakter jakby pewnej organicznej całości, nad którą unosi się jedna idea przewodnia, rozprowadzona we wszystkich szczegółach i nadająca całości znamię czegoś przemyślanego, wyższego. Rzecz zrozumiała, że ułożenie takiego jednolitego planu i zamienienie go w rzeczywistość jest przedsięwzięciem trudnym, które stawia organizatorom niezwykle wysokie wymagania.

W przewycięzeniu tej trudności dużym ułatwieniem dla Francji było jej własne bogate doświadczenie. Jeśli bowiem pierwsza właściwa wystawa międzynarodowa z r. 1851 należała do Anglii, to druga godna tego imienia, z r. 1855, i kilka dalszych odbyło się na terenie Francji. Spośród nich zwłaszcza światowa wystawa w Paryżu w r. 1900 stała się cenną lekcją pogładową na przyszłość, ponieważ wykazała, że nie wystarczy jakakolwiek idea przewodnia, ale że musi ona być realną i łączyć się z ży-

ironię zakrawa dlatego stanowisko naszego *Robotnika i Naprzodu*, podług których obecna wystawa międzynarodowa jest dziełem i zasługą „Frontu ludowego“.

ciem. Wystawa z r. 1900, która miała dać *bilan d'un siècle*, nie tylko grzeszyła zbytnią „uniwersalnością”, ale chciała się stać wyrazem utopijnych marzeń o szczęściu, powszechnym pokoju i braterstwie ludów w 20-ym wieku. Po gorzkich rozczarowaniach, zwłaszcza wojny światowej, przekonano się, jak złudne to były nadzieje i nierealnym sam pomysł. Wystawa z r. 1900 — pisał jeszcze niedawno z ironią Raymond Isay w *Revue de Deux Mondes* z dn. 1 maja b. r. (str. 202) — choć największa i najpiękniejsza z dotychczasowych, była jednak *la plus folle* i nie darmo jedną z głównych jej osobliwości był *Château des Illusions*.

Od tej próby idea wystaw, obracających się koło pewnego konkretnego zagadnienia, zwyciężyła ostatecznie we Francji, jak wykazały dwie następne wystawy w Paryżu: *des Arts décoratifs et industriels modernes* w roku 1925 i wystawa kolonialna w roku 1931.

Obecna wystawa międzynarodowa jest dalszym ciągiem tego kursu. Obejmuje wprawdzie wszystko — „żaden postęp myśli i nauki nie jest jej obcy, uwzględnia wszelkie formy działalności w przemyśle i handlu, kładzie specjalny nacisk na dział artystyczny i techniczny” — ale nie traci przy tym nigdy z oka właściwej idei przewodniej i z jej punktu widzenia stara się wszystko przedstawić. Chce pokazać naocznie, co sztuka i technika, jako źródła natchnienia w pomysłach i energii w wykonaniu, zdziałały dla ludzkości. Ma się stać „syntezą postępu”, dokonanego na wszystkich polach przez obecne pokolenie, ma zestawzić „ogólny bilans cywilizacji współczesnej” i udostępnić zapoznanie się z nim każdemu z widzów.

Dzięki zaś temu, że w tym wielkim dziele udało się skupić 44 różnych państw, pragnie wystawa paryska stać się zarazem „manifestacją zgody i pokoju, przyczynić się nie tylko do wymiany gospodarczej między narodami, ale także do wymiany idei i sympatii”.

Określając bliżej cel i charakter wystawy światowej w Paryżu, oświadczył Komisarz Gen. E. Labbé, iż „będzie się ona starała wykazać, że sztuka potrafi ułatwić życie codzienne każdemu, bez względu na jego sytuację społeczną; że pomiędzy pięknym i użytecznym nie zachodzi żadna sprzeczność; że sztuka i technika powinny być z sobą nierozzerwalnie związane”.

Jak przeprowadzono tę ideę konkretnie, a przede wszystkim, czy i w jakim stopniu zdołała ona nadać obecnej wystawie ów odrębny, „specjalny” charakter, jakiego się domagano? — Oto najważniejsze może pytanie. Mimo woli bowiem nasuwa się trudność, że przecież każda wystawa powszechna, nawet najbardziej „uniwersalna”, jest wyrazem tego, co „sztuka i technika” dokonały dla człowieka.

Dwa żądania wysunął Nacz. Komitet Organizacyjny w celu urzeczywistnienia powziętej myśli.

Pod względem architektonicznym miano zerwać z dotychczasowym szablonem nieokreślonych formą hal, które różniły się najczęściej tylko wielkością i wewnętrzną zawartością. Miejsce ich miały zająć pawilony, których kształt i dekoracyjna szata byłaby dostosowane do pomieszczonego w nich działu. Nad wykonaniem odpowiednich planów czuwał naczelny architekt, Jacques Greber, pod którego kierunkiem pracowało około 100 grup architektów. I trzeba przyznać, że ten punkt zrealizowano z powodzeniem. Każdy pawilon ma odrębny wygląd, niektóre są bardzo oryginalne i estetycznie wykonane, pełno jest rzeźb i malowideł ściennych.

Po wtóre, postanowiono w doborze i rozłożeniu materiału wystawowego działać więcej na rozum, niż na wyobraźnię, podać go w ten sposób, aby mógł zainteresować zarówno specjalistę jak ogół, i udostępnić możliwie wszystkim jego zrozumienie. Stąd podzielono całość wystawy na pewne ośrodki — kolonij, rzemiosł, regionalne, wiejskie, zagraniczne itd. — a w poszczególnych działach starano się ułatwić widzom oglądnięcie nie tylko samych przedmiotów, ale także ich funkcjonowania lub sposobu użycia. Dzięki temu wystawa miała się stać „równocześnie dziełem przemijającym i trwałym“, które, choć minie, pozostawi w umysłach widzów trwałą korzyść.

Program to był piękny, ale trudny, w warunkach konkretnych może za trudny do wykonania. I zdaje się, że mają słuszność ci Francuzi, którzy przyczynę opóźnień i braków obecnej wystawy upatrują nie tylko w przeszkodach, płynących z „frontu ludowego“, oraz z niepewności europejskiej sytuacji politycznej, ale także w zbyt szeroko zakreślonych ramach. Program taki byłby zupełnie wykonalny, gdyby miano objąć jedynie pewien specjalny dział nauki, sztuki czy techniki; ale okazał się za rozległy dla wystawy, która miała rozciągnąć się na wszystkie te dziedziny. Jeżeli przypuszczenie to jest prawdziwe, byłoby ono nowym „doświadczeniem“ na przyszłość. Wskazywałoby, że idea przewodnia wystawy międzynarodowej powinna nie tylko być realna, ale również nie przerastać możliwości wykonawczych.

Za prawdziwością tego przypuszczenia w odniesieniu do obecnej wystawy światowej zdaje się przemawiać silnie jej stan faktyczny. Jeżeli wyłączymy pawilony zagraniczne, mające na celu interesy poszczególnych krajów, oraz pawilony kupieckie, obliczone na zysk i reklamę, to pozostała ich część można by śmiało nazwać „wystawą obrazów“. Jest ich bowiem mnóstwo. Nie tylko rozłożone są po różnego rodzaju stoiskach i rozwieszone w ramach, ale pokryte są nimi całe nierzaz ściany wewnętrzne i zewnętrzne budynków. Widać stąd wprawdzie, że Komitet organizacyjny, poświęcił rzeczywiście dużo uwagi i rzetelnej pracy

tej stronie wystawy, ale zdaje się wynikać również, że nie mógł, czy nie zdążył uzupełnić obrazów odpowiednią ilością i doborem przedmiotów.

Ten ostatni punkt wykazuje bowiem miejscami spore luki. Jeśli pawilony kolei żelaznej, lotnictwa, yachting'u i niektóre dekoracyjne przedstawiają rzeczywiście bogactwo materiału, są równocześnie interesujące i pouczające, to już w znacznie mniejszym stopniu można to powiedzieć o pawilonie elektryczności i światła, bezpieczeństwa i publicystyki, gdzie starano się wprowadzić wykazać związek między sztuką i techniką a życiem, ale musiano wskutek tego ograniczyć się do pewnych tylko rzeczy, a pominięto szereg innych zastosowań i w ogóle zamieszczono za mało eksponatów.

Podobne uwagi można by poczynić odnośnie do wielu innych pawilonów. Jakże słabo wygląda go porównaniu z międzynarodową wystawą w Brukseli (w r. 1935) pałac radia. Pawilon higieny daleki jest również od wyzyskania tak obszernego działu. Olbrzymi pawilon turystyki jest właściwie tylko zbiorem widoków różnych stron Francji i jej kolonij, oraz służy za pomieszczenie biur turystycznym. Jeszcze mniej zastajemy w okazałym pawilonie kąpielowym i klimatycznym, który jest właściwie tylko zestawieniem wielkich barwnych reklam miejsc kąpielowych. Mnóstwo ciekawych okazów, lekarstw, modeli i innych rzeczowych danych, jakie można było zamieścić przy tej sposobności, pominięto zupełnie, a rozległe, niczym nie wypełnione przestrzenie zioną wprost pustką. Także w centrum regionalnym niektóre pawilony poszczególnych okręgów Francji, poza skąpym stoiskiem swych produktów i zawsze bufetem, nie zawierają prawie nic, tylko obrazy malowane na ścianach, mające przedstawiać osobliwości regionalne środowiska.

Z tego niedostosowania proporcji między rozmiarami pawilonu a możliwością wypełnienia go odpowiednimi eksponatami, wynikają niekiedy miłe niespodzianki. W pięknym np. i oryginalnym „pałacu zimna” można się raczej rozgrzać niż ochłodzić. Obok zajmujących bowiem niewielką stosunkowo przestrzeń przyrządów chłodzących i bryły suchego lodu o temperaturze -80° , rozłożyło się tam więcej jeszcze, nie mających nic wspólnego z „zimnem”, stoisk z pamiątkami wystawy i przede wszystkim sporo bufetów z napojami rozgrzewającymi.

Braki te, występujące w mniejszym lub większym stopniu w wielu pawilonach, zostały na szczęście sownie wynagrodzone w innych, przy czym na pierwszym miejscu musimy wymienić „pałac odkryć”, zajmujący znaczną część potężnego *Grand Palais*. Inicjatorem jego jest Jean Perrin, prezes Akademii Nauk, a poszczególne sekcje zostały rozplanowane i urządzone pod kierunkiem wybitnych uczonych francuskich. Myśl organizatorów Wystawy Międzynarodowej, żeby uczynić ją interesującą i pouczającą

zarazem, a przystępną dla wszystkich, została tu rzeczywiście w ramach możliwości zrealizowana. Młodzi i starsi, przygodni widzowie i specjaliści z zajęciem przechodzą sale, poświęcone kolejno biologii, medycynie, matematyce, fizyce, chemii i astronomii, pełne umiejętnie rozłożonych i dobrze objaśnionych okazów i przyrządów, co łącznie z częstymi odczytami i doświadczeniami, pozwala zapoznać się z dzisiejszym stanem wiedzy na tych polach. Przybysza z Polski mile uderza tu zbiór licznych pamiątek po wielkiej uczonej Marii Curie-Skłodowskiej. Jako pewnego rodzaju uzupełnienie skarbów, zawartych w „pałacu odkryć”, można by dołączyć mieszczące się gdzie indziej Zeiss'owskie planetarium oraz akwarium ze szkołą nurków.

Cenne zbiory muzealne mieliśmy również oglądać w *Nouveau Palais*, który stanął na placu Trocadero i ma pozostać jako trwała pamiątka Wystawy. Dwa harmonijne, łukowo biegnące, olbrzymie jego skrzydła, pokrywające przestrzeń 17.000 m², miały objąć: muzeum sztuki, etnograficzne i marynarki. Niestety wątpliwym jest, czy ktokolwiek z gości zdoła zobaczyć to wszystko. Z powodu opóźnienia prac budowlanych — dopiero z początkiem sierpnia znikły rusztowania — wykończenie strony wewnętrznej i zewnętrznej postępuje bardzo powoli i zaledwie część zapowiadanej wystawy została dotychczas otwarta dla publiczności.

Nie wspominamy tu różnego rodzaju zbiorów sztuki, rozrzuconych w różnych stronach terenu, gdyż nikną one wobec skarbów, nagromadzonych w muzeach Paryża. Na wyróżnienie zasługuje wszakże „wystawa arcydzieł sztuki francuskiej”, podająca doskonały, chronologicznie zestawiony ich wybór.

Interesująco i barwnie przedstawia się dział pawilonów zagranicznych, któremu oddano do dyspozycji honorowe miejsca na skrzyżowaniu dwóch głównych osi terenu wystawowego. Na tej ogromnej przestrzeni rozłożyło swe pawilony czterdzieści przeszło krajów, między nimi wszystkie kraje europejskie, oraz liczne zamorskie, spośród których szczególniejszy podziw budziły egzotyczne pawilony Egiptu, Japonii, Syjamu i kolonij francuskich, przy czym te ostatnie skupione zostały oddzielnie, na powiększonej w tym celu sztucznie, Wyspie Łabędziej.

Polska występuje na Wystawie w kilku miejscach. Okazuje przedstawia się jej udział w pawilonie kolei żelaznych, gdzie ogólną uwagę zwracają trzy wagony turystyczne i zwłaszcza wspinała lokomotywa opływowa, wykonana przez fabrykę w Chrzanowie, mogąca rozwijać szybkość do 140 km. Stosunkowo wcale dobrze urządzono stoisko w pawilonie prasy; daje ono pogląd na historyczny rozwój i obecny stan naszej prasy, zawiera niektóre okazy jej i innych wydawnictw. Szkoda tylko, że nie pomyślano o dostarczaniu codziennie choćby paru publikacji, jak

to uczynili Niemcy, którzy w swym dziale posiadają kilkadziesiąt regularnie dostarczanych dzienników i tygodników. Poza tym wzięła Polska udział w zbiorowych wystawach radia, reklamy, nauczania i w tzw. „pawilonie międzynarodowym”; w tych dwóch ostatnich miejscach wystawiono głównie dzieła sztuki, zwłaszcza grafiki.

Właściwą jednak reprezentacją, punktem, który stanowi oś zainteresowań zarówno obcych, jak naszego społeczeństwa, jest „pawilon polski”.

Mieści on się przy *Place de Varsovie*, tuż obok pawilonu niemieckiego i zajmuje około 1.500 m² powierzchni. Przez niewielki portyk, którego sklepienie zdobią freski B. Cybisa i przerzucony przez wodę most, wchodzimy do wysokiej rotundy z białego kamienia, przypominającej trochę średniowieczne baszty, lecz rozciętej z boku. Wewnątrz jej stoi w półkolu wzdłuż ściany siedem 2½-metrowych posągów, przedstawiających: Bolesława Chrobrego, Wład. Jagiełłę, Mikołaja Kopernika, Tad. Kościuszkę, Ad. Mickiewicza, Fryd. Chopina i Józ. Piłsudskiego. Od plafonu rotundy, malowanego przez prof. Kowalskiego, spuszcza się 30-metrowa, złotem haftowana makata, przedstawiająca sceny z życia Jana Sobieskiego. Stąd wchodzi się przez ogród do właściwego pawilonu, który zawiera eksponaty, biura informacyjne i restaurację.

Uroczysta inauguracja polskiego pawilonu odbyła się dnia 17 czerwca, przy udziale ambasadora R. P., J. Łukasiewicza, francuskiego ministra handlu, Bastide, Komisarza Gen. wystawy, E. Labbé, i znacznej liczby gości. Po przemówieniu p. min., W. Jędrzejewicza, który w imieniu komitetu organizacyjnego powitał zebranych, amb. Łukasiewicz ogłosił pawilon polski za otwarty, po czym obecny właśnie w Paryżu poznański chór archikatedralny, pod dyрекcją ks. dra Gieburowskiego, zaśpiewał „Jeszcze Polska nie zginęła”, „Marsylianke” i „Bogarodzicę”. Hejnał z krakowskiej wieży mariackiej zakończył uroczystość.

Jak przedstawia się Polski Pawilon? — Organizatorzy i niektórzy przedstawiciele świata sztuki bronią go. W przeddzień otwarcia, na konferencji prasowej w Warszawie, informowano podobno obecnych, że „pawilon polski będzie należał do najpiękniejszych na wystawie i zadziwi świat”. Na uroczystej zaś inauguracji, dn. 17 czerwca, p. W. Jędrzejewicz przedstawił go jako „wynik wielkiego wysiłku twórczego około pięćdziesięciu polskich artystów i techników”. Prof. Tadeusz Pruszkowski (Warszawa), po zbadaniu pawilonu ze stanowiska sztuki, przyznaje wprawdzie różne niedociągnięcia, ale na ogół sądzi, że „pawilon polski jest świetny” i że opinię tę podzielają „najlepsi fachowcy” swoi i obcy. Społeczeństwo polskie może, jego zdaniem, być „najzupełniej spokojne”; pawilon nasz jest mały, ale „kulturą

i smakiem przewyższa mnóstwo pawilonów różnych potęg" (*Gazeta Polska*, nr. 178).

Ogół jednak społeczeństwa polskiego, w kraju i w Paryżu, jest odmiennego zdania.

Przedmiotem surowej krytyki stała się przede wszystkim rotunda. Zwrócono uwagę, także ze strony niektórych zagranicznych obserwatorów, że ten symbol „wspaniałej przeszłości historycznej Polski i jej długiej tradycji artystycznej” zanadto przypomina „grobowiec”, w którym zamknięto siedlisku, wielkich wprowadzić ludzi, ale samych nieboszczyków. Kształtem swym oraz rozmieszczeniem posągów dała ona nadto początek różnym złośliwym, czasem wprost niecenzuralnym dowcipom, zrozumiałym dopiero na gruncie paryskim.

Również właściwy pawilon spotkał się ogólnie z ujemną oceną, zarówno z powodu doboru eksponatów, jak ich rozmieszczenia oraz strony dekoracyjnej. W publicystyce polskiej i w prywatnych rozmowach słyszy się zazwyczaj, że pawilon ten jest słaby, niektórzy uważają go za najbrzydszy ze wszystkich pawilonów zagranicznych, ośmieszenie i kompromitację naszego kraju.

Nie mam zamiaru prowadzić dyskusji z prof. T. Pruszkowskim w dziedzinie, w której jest on bez wątpienia bardziej kompetentny. Lecz zdaje mi się, że nie jest to również potrzebne. Można spokojnie przyznać, że pawilon nasz jest oryginalny i jako taki odbija od innych; że w rotundzie i jej najbliższym otoczeniu znajdują się także rzeczy artystycznej wartości. — Lecz nie o to chodzi.

Obecna wystawa międzynarodowa nie jest wystawą „sztuk pięknych”, lecz pokazem tego, co „sztuka i technika” zdziałały w służbie ludzkości, w zastosowaniu do jej potrzeb życiowych. Nie oderwane idee ani oryginalne pomysły, ale konkretny stan rzeczy i praktyczne cele przyświecały jej zatem w pierwszym rzędzie. O tym należało więc pamiętać przy robieniu projektów i urządzaniu naszego pawilonu w Paryżu.

Po wtóre, i to jest punkt najważniejszy, pawilony „zagraniczne” mają w tych wypadkach jasno określone a niezmienne doniosłe zadanie — reklamę własnego kraju i propagandę jego wpływów, przez możliwie wszechstronne wykazanie jego dorobku kulturalnego, oraz znaczenia gospodarczego i politycznego w wielkiej rodzinie narodów. Wszystkie tablice, wykazy, eksponaty i objaśnienia mają służyć temu celowi, by cudzoziemcy wyrobili sobie jak najwyższe pojęcie o znaczeniu danego kraju, nauczyli się go poważać i zachęcili do nawiązania bliższych z nim stosunków.

Czy Pawilon Polski spełnił to zadanie? — Że twórcy jego mieli w tej mierze najlepsze chęci, w to nie wątpimy. Ale, że Pawilon nie reprezentuje kraju, który ma 33 miliony ludności

i spodziewa się niedługo dogonić Francję — który posiada bogate zasoby materialne i stąd wielkie widoki na przyszłość, który ma uzasadnione prefensje do stanowiska mocarstwa i w tym kierunku zdąża — to również rzecz pewna i na to się wszyscy chyba dziś godzą.

Jakże mizernie wygląda ta, jak ją nazwano w prasie, „przybówka“ kolosu niemieckiego! Nie widać jej prawie. Czy stanie się u stóp „nowego pałacu“, czy na schodach, stojącego naprzeciw pawilonu sowieckiego, i szuka polskiego pawilonu, zaledwie ujrzy się szczyt rotundy, i to pod warunkiem, że się wie, iż to ona jest właśnie. Jakże nikłym jest nasz pawilon w porównaniu z budowlami innych krajów, już nie tylko o kilkunastu, ale o kilku albo i parumilionowej ludności! Pawilon Rumunii i Norwegii to niemal olbrzymy wobec naszego.

Jeszcze bardziej uderza ta różnica w wewnętrznym urządzeniu, doborze i ilości eksponatów. Pod tym względem przedstawiamy się na Wystawie jak mały i ubogi kraj, na poziomie Grecji i Bułgarii, nie wiele wyższym od Litwy, Łotwy i Estonii, przy czym nie umieliśmy produkcji naszej przedstawić tak umiejętnie i plastycznie, jak to uczyniły Węgry lub Portugalia w swych obrazowych statystykach porównawczych. Jak bogato reprezentuje się w porównaniu z nami pawilon Austrii, Holandii lub szklano-koronkowy pawilon Czechosłowacji, którego wystawa i oświetlenie budzą podziw u zwiedzających. A już wprost po „królewsku“ przedstawia się wyniosły pawilon rumuński, z jego marmurowymi, od wewnątrz oświetlonymi ścianami, efektownie urządzonym dolnym i górnym hall'em, oraz barwnym pokazem bogactw kraju.

Wejdzmy jeszcze w niektóre szczegóły. Posiadamy tak bogaty przemysł ludowy, dlaczego nie umieściliśmy go w ten sposób co najmniej tak przemawiający do widzów, jak to uczyniła Austria, Czechosłowacja i Rumunia? Mamy tyle drzewa w kraju, a jak wygląda pokaz tej gałęzi przemysłu i eksportu naszego w porównaniu z Jugosławią? Jak zostały przedstawione skarby naszych kopalni i tylu wysoko stojących gałęzi przemysłu? A natomiast o ileż byłoby korzystniej nie wstawiać szafy z „czystą“, tym bardziej że wyraz „wódka“ znany jest w całej Francji i nie przynosi nam bynajmniej chluby.

Rozwijamy dziś w kraju szeroką propagandę turystyczną, a dlaczego zaniedbaliśmy ją na wystawie, w przeciwstawieniu do Austrii i Jugosławii, zapraszającej zagranicznych gości do „swych plaż słonecznych, lasów dziewiczych, dumnych gór, pomników sztuki i tradycyjnej gościnności“? Zamiast tego umieściliśmy kilka zaledwie mało mówiących widoków, o których sam prof. T. Pruszkowski pisze we wspomnianym artykule, że „przedstawiają nasz kraj jako dzikie ustronie, pokryte wiecznym śniegiem, przekłete przez Boga i ludzi“. Nie rzuciliśmy przed oczy widzów obrazów piękna tak cudownych zakątków naszej ziemi, nie daliśmy w ogóle

poznać ani jej samej, ani jej mieszkańców. Kto przejdzie przez pawilon Finlandii, ma pojęcie o ludziach i kraju, kto zwiedzi pawilon Polski, niewiele się o niej dowie.

W przeciwstawieniu do innych krajów pominęliśmy na wystawie tak ważne działy, jak sprawy młodzieży, harcerstwa, wychowania fizycznego i sportu, opieki społecznej. Nie zamieściliśmy nic godniejszego z dziejów naszej przeszłości, ani niczego, co pokazałoby dzisiejszą naszą potęgę. A nasz handel morski obecny i Gdynia? Bo przecież ta wielka miednica, wmurowana w posadzkę i mająca wyobrażać to miasto, z napisem niewyraźnym i najczęściej odwróconym od przechodzącej publiczności, bez żadnych objaśnień na małej, czerwono i zielono zamalowanej płaszczyźnie, nie daje żadnego pojęcia o Gdyni i może raczej zaszkodzić jej sławie!

Na tle tego nadzwyczajnego niekiedy wysiłku, jaki w celach propagandowych włożyły inne państwa, wyglądamy na Wystawie mizernie i blade. A szkoda! Zmarnowaliśmy najlepszą sposobność, bo żadne chyba miasto na świecie nie jest tak odpowiednim terenem dla reklamy międzynarodowej, jak Paryż. Drugiej zaś podobnej okazji nieprędko się doczekamy.

W obecnym wypadku, zdaje się, wszyscy interesowani będą mogli umyć ręce: na urządzenie wystawy wyasygnowano, dla względów oszczędnościowych, mało pieniędzy, więc Komitet nie był w stanie dokonać czegoś większego; w ogóle zdecydowano się późno na wzięcie udziału w wystawie, nie było więc czasu na wciągnięcie w przygotowania szerszych sfer społeczeństwa i dlatego załatwiono wszystko prywatnie w domowym podwórku. Słowem: „nikt nie jest winien”. Ale, że Polska na tym nie zyskała, to zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości.

Kwestia reklamy i propagandy jest u nas ciągle jeszcze niedoceniana, pomimo iż wiemy dobrze, że na Zachodzie nie znają nas dostatecznie, że powinniśmy zainteresować innych naszym krajem.

Obecna wystawa międzynarodowa jest pod tym względem pouczającą lekcją. O ile Stany Zjednoczone Am. Pn. robią do pewnego stopnia wrażenie, jakby lekcewały „stary świat”, gdyż pawilon ich został otwarty dopiero z początkiem sierpnia i nie przedstawia nic szczególniejszego, to spośród państw europejskich jedna tylko W. Brytania nie wysiliła się również nadzwyczajnie. Wszystkie pozostałe starały się jednak wystąpić okazale i zrobić wrażenie krajów, które warto poznać i z którymi warto nawiązać stosunki. Z prawdziwą rozrzutnością niemal zorganizowały dlatego swój udział w wystawie zarówno Belgia jak małe Monaco, zarówno Niemcy jak Włochy.

Że reklama ma w tym wypadku wysokie znaczenie nie tylko gospodarcze, ale także polityczne, zrozumiały to dobrze i umiały wyzyskać niektóre państwa. Olbrzymi, pełen okazów sztuki i bo-

gaty zawartością pawilon włoski z 42-metrową wieżą, ma głosić światu potęgę nowego „Imperium”. Wspaniały, o 54-metrowej wieży, z kosztowną dekoracją ścienną i mnóstwem przedmiotów, pawilon niemiecki staje się świadectwem rozmachu narodu niemieckiego i jego siły wewnętrznej. Mała Ententa reklamuje się w „pawilonie międzynarodowym” jako „istotny czynnik pokoju, oraz współdziałania gospodarczego i umysłowego”. W tymże pawilonie i przede wszystkim we własnym *Pavillon d' Israël en Palestine* manifestują Żydzi światu wysiłek w celu stworzenia swego państwa i odniesione już wyniki, przy czym nie omieszkali wytknąć publicznie Niemcom ich wrogiego do siebie stosunku.

Mistrzem reklamy okazała się Rosja sowiecka, której ogromny pawilon uwieńczony przeszło 20-metrowymi figurami robotnika z młotem i robotnicy z sierpem, zawiera stosunkowo niewiele przedmiotów (wprost widać że nie mają co pokazać), ale jest za to bez końca obrazów, statystyk, wykresów, haseł, zdań i portretów Stalina, mających świadczyć o nadzwyczajnym rozkwicie gospodarczym i kulturalnym tego kraju. Widz, nie obznajmiony skądinąd dostatecznie z zagadnieniem i biorący naiwnie to, co obiecywano, za rzeczywistość, musi tu nabrać przekonania, że w żadnym kraju postęp ekonomiczny i cywilizacyjny nie idzie naprzód z taką szybkością jak w Rosji i że komunizm jest jednak najbardziej zbawczym systemem dla szerokich sfer. Do wzmocnienia tej propagandy służy nadto kino, czynne do godziny 23 w nocy, oraz kiosk z czasopismami i literaturą bolszewicką. Dodajmy, że główny pawilon jest otwarty celowo do godz. 21 wieczorem, podczas, gdy ogół pozostałych zamyka się o godz. 19; tłumy, nie mające co zwiedzać, cisną się wówczas do pawilonu sowieckiego i mogą się nasycić jego atmosferą.

Podobnie stara się wykorzystać swój pawilon Hiszpania czerwona (gen. Franco nie pozwolonoaby zapewne wziąć udziału). Pełno tu napisów agitacyjnych, że walczy ona za wolność i demokrację, liczne obrazy mają wykazać okrucieństwo narodowców, z najzupełniejszym oczywiście przemilczeniem przykładów własnego barbarzyństwa. Wszystko to jest tak wyreżyserowane, że robi jednak wrażenie i może służyć za jeden więcej dowód, że umiejętna propaganda jest czynnikiem niezmierniej wagi i działa zawsze na tłumy — nawet, gdy nie jest poparta prawdą.

Mimo wszystkie swe niedociągnięcia Wystawa Międzynarodowa w Paryżu jest piękna. Przyczynia się do tego jej położenie i nacisk, jaki położono na stronę dekoracyjną. Wystawa podobna się.

Imponujący zwłaszcza widok przedstawia się z górującego ponad całym terenem wystawowym placu Trocadero, z okazałego i otoczonego piękną balustradą kamienną tarasu, rozciągającego

się u stóp *Nouveau Palais*. Rozległa, przerywana wodą i zieleńcami, aleja środkowa, ciągnąca się dalej poprzez Pole Marsowe, ginie częściowo w koronkowej konstrukcji 300-metrowej wieży Eiffel'a, podczas gdy dwa olbrzymie jej skrzydła układają się majestatycznie wzdłuż obu brzegów Sekwany. Poza nimi, na tle zamglonego najczęściej nieba, widnieją bez końca szarzące ulice i domy czteromilionowej stolicy Francji.

Czy nie było raczej wskazane, żeby wystawę obecną urządzić poza miastem, jak to uczyniono z światową wystawą w Londynie i ostatnio w Brukseli? — Teza ta miała wśród Francuzów wielu zwolenników, którzy rozwiązanie obecne uważali za mniej szczęśliwe i pocieszali się tym jedynie, że „ten błąd ma już we Francji swą tradycję”. Doświadczenie pokazuje, że słuszność była raczej po ich stronie. Jeżeli w wystawę obecną włożono około miliarda franków, to nie mało kosztów przysporzyła konieczność budowania licznych i długich nadziemnych przejść i mostów, w celu połączenia poszczególnych odcinków wystawy bez tamowania ruchu na ożywionych w tej części miasta arteriach komunikacyjnych; a nie zapominajmy, że wzdłuż samej Sekwany tereny wystawowe rozciągają się na przestrzeni $3\frac{1}{2}$ km. Okoliczność ta stała się nadto istną plagą dla gości, którym nie tylko utrudniono zwiedzenie całości wystawy, ale których zmusza się co pewien czas to piąć się po wysokich schodach i schodzić na dół, to znowu iść beznadziejnie długo wąskimi przejściami, wśród kurzu i natłoku. Umieszczenie terenu wystawowego poza miastem usunęłoby wszystkie te niedogodności.

Co pozostanie po Międzynarodowej Wystawie z r. 1937?

Minał już czas, kiedy z olbrzymim nakładem pieniędzy i pracy wznoszono las pawilonów, by po upływie kilku miesięcy zburzyć je doszczętnie i wkładać dalszy trud i koszty w uprzątnięcie tego cmentarzyska. Uznano słusznie, że jeśli na ogół jest to nieuniknione, niemniej każda wystawa powinna zostawić po sobie także coś trwałego. To też kiedy pierwsze wystawy międzynarodowe we Francji, z lat 1855 i 1867, były zjawiskami efektownymi ale przelotnymi, *cifés éphémères* — to *Exposition du Centenaire* z r. 1889 (stulecie Rewolucji) dało wieżę Eiffel'a, po wystawie z r. 1900 pozostał *Grand Palais* i *Petit Palais*, a po Wystawie Kolonialnej w r. 1931 *Palais Colonial*. Pamiątką trwałą obecnej wystawy światowej będą: nowo uporządkowany plac Trocadero z *Nouveau Palais*, dwa muzea sztuki nowoczesnej na *quai de Tokio* i rozszerzony znacznie most Jenajski. Tym sposobem Paryż zyska, obok odnowionej części miasta, parę monumentalnych budowli, co razem przedstawia wartość około 200 milionów franków.

Wystawa obecna ma jednak inne jeszcze, szersze, prawdziwie międzynarodowe znaczenie. Wskazuje na to niedwuznacznie jej myśl przewodnia, w której tkwi idea solidaryzmu sił mate-

rialnych i duchowych, z przewagą tych ostatnich. To, co błyszczy i uderza na Wystawie, co sztuka i technika nowoczesna oddaje na służbę ludzkości, to są przede wszystkim dobra materialne. Ale źródłem, z którego one się rodzą, jest duch; bez jego geniuszu twórczego dobra powyższe nie powstaną i od jego światomego kierownictwa zawisło, czy staną się one dobrodziejstwem czy zgubą ludzkości.

To podkreślenie prymatu ducha we wszystkich dziedzinach życia: gospodarczego, społecznego i politycznego, a tym samym uznanie konieczności walki z wszelkimi czynnikami destrukcyjnymi — jest nieodzownym warunkiem, by ludzkość mogła dojść do jaśniejszej przyszłości, która by zjednoczyła narody w tym solidarnym wysiłku, jakiego przejściowym wyrazem stała się obecna Wystawa, a którego symbolem jest olbrzymia, jakby girlandą liści oliwkowych spowita, „kolumna pokoju“, wznosząca się dumnie na placu Trocadero.

Ks. Stanisław Podoleński T. J.

Alkoholizm a przestępczość.

Od najdawniejszych czasów zwracała się przeciwko alkoholizmowi opinia publiczna z duchowieństwem i moralistami na czele. Materialna i moralna ruina pijaka i jego rodziny zbyt namacalnym była faktem, zbyt widoczną w dalszych swych ogniwach groźbą dla całego społeczeństwa, by nie wywołała od razu protestu i prób poprawy. Dopiero jednak w drugiej połowie ubiegłego wieku rozwój wiedzy przyrodniczej przygotował nową fazę walki z alkoholizmem, walki opartej już na naukowych, nie czysto etycznych czy utylitarnych podstawach. Stwierdzenie licznych patologicznych zmian w organizmie alkoholików, powiązanie opilstwa z delirium tremens i szeregiem najrozmaitszych psychoz przez kliniki chorób umysłowych, udowodnienie wielkiej śmiertelności pijaków przez statystyki porównawcze, a wreszcie przeróżne antysocjalne czyny gwałtu i zbrodni, popełniane pod wpływem odurzenia lub też dzięki powolnemu zanikowi wyższych ośrodków nerwowych — oto przyczyny pogłębienia walki z alkoholizmem, która do dni dzisiejszych nie dała pożądaných rezultatów.

Jeden z najbardziej rozpowszechnionych dzienników paryskich *Figaro*, zastanawiał się niedawno nad niesłychanym obecnie rozwojem zbrodniczości we Francji. W kraju dawniej spokojnym, są obecnie na porządku dziennym przestępstwa przeciwko zdrowiu i mieniu obywateli. Redakcja rozesłała odezwy do duchowieństwa, najwybitniejszych prawników, lekarzy i profesorów

z prośbą, o wyrażenie poglądów, co właściwie jest przyczyną tak strasznego objawu załamania się moralności. Odpowiedzi zawierały rozmaite zapatrywania, ale największa liczba autorów udowodniała, że stan ten przypisać należy rozwieleniu i nie dość energicznie tępiącemu pijaństwu. Dopóki we Francji lud pijał wyłącznie napoje o słabej zawartości alkoholu, jak wino krajowe, jabłecznik i wina owocowe, nie słyszano tam o przestępstwach w tym stopniu, jak obecnie. Kilku specjalistów przytacza statystykę zbrodniczości w stosunku do skali nadużywania mocnych wódek, likierów zagranicznych, a nawet wysoko spirytusowego piwa. Z tych zestawień widać, iż rozwój zbrodniczości podnosi się jednocześnie z rozwojem przyrostu szynkowni, traktierni, barów i innych handlów napojami alkoholicznymi.

Szynkownie są „akademiami zbrodni” — wypowiada się jeden znawca kryminalistyki. „Wódka jest trucizną, działającą na opony mózgowe. Ludzie zatruci alkoholem, często zupełnie szaleni, jednoczą się w szynkowniach, układają i wykonywują plany zbrodnicze.”

Podobno rząd francuski nosi się z zamiarem wydania dekretu, który karczmarzy, restauratorów i ludność doprowadzi do otrzeźwienia. Francja jest krajem ludzi praktycznych i zdrowo myślących. Nie ulega więc wątpliwości, że cały naród weźmie udział w powszechnym otrzeźwieniu, a wtedy i podwyższony stan przestępstw w najkrótszym czasie należeć będzie do przeszłości.

Rządy innych państw zrozumiały również, iż „wódka jest rodzoną siostrzycą występku” i stosują rozmaite próby w zwalczaniu klęski alkoholizmu, która, zdaniem znakomitego ministra Anglii Gladstona jest „większą ruiną, niż trzy klęski historyczne: głód, dżuma i wojna”. Wyniki tej walki są jednak albo żadne, albo wprost przeciwne zamierzonym. Wszyscy przecież mamy w pamięci niebываłe fiasco, jakie spotkało osławioną prohibicję alkoholową w Stanach Zjednoczonych A. P. pomimo olbrzymiego nakładu sił, środków materialnych, propagandy i surowych kar. Zamiast zmniejszenia się przestępczości i demoralizacji, czego się spodziewano, osiągnięto powstanie nowych typów zbrodniarzy, tworzących potężne organizacje, które zatrwały atmosferę wielkiej republiki amerykańskiej, a zbrodniarze ci zuchwałością swoją przewyższali wszystko, co zdolali wyimaginować najbardziej pomysłowi autorzy romansów kryminalnych.

Stara Europa, jako bardziej doświadczona, potraktowała od razu sceptycznie eksperyment swej młodszej siostry. Jedynie w Finlandii stosowano przez dość długi czas system prohibicyjny względem napojów alkoholowych. W kilku krajach wprowadzono dla wyszynku szereg ograniczeń prawnych, nie mających jednak w praktyce znaczenia istotnego. Lwia część państw europejskich natomiast hołduje systemowi reglamentacyjnemu, który przy-

biernia urozmaicone formy i stosowany bywa z różnym powodzeniem.

Jedna Szwecja zdołała opanować opilstwo. Wypadki zachorowania na tle alkoholizmu, wedle statystyki szpitalnej, zdarzają się tam coraz rzadziej, ostre zaś pomieszania zmysłów wskutek nadużycia alkoholu znikły prawie całkowicie. Uważa się tam pijaka nie za człowieka wyłącznie chorego, którego należy tylko leczyć, lecz za człowieka słabego charakteru, nie zrównoważonego, wadliwie chowanego, który wymaga gruntownego przeszkolenia moralnego i postawienia w takie warunki, ażeby można było przekształcić go na jednostkę wstrzemięźliwą, uczciwą i zdolną do pracy. Ustawa antyalkoholowa szwedzka przewiduje dwa typy zabiegów stosowanych względem alkoholików. Pierwszy polega na udzieleniu pomocy i opieki celem moralnego przekształcenia alkoholika z pozostawieniem go na wolności, drugi na umieszczeniu go w specjalnym zakładzie dla alkoholików. Dzięki powyższym zakładom, oraz surowym przepisom kodeksu karnego, które stanu opilstwa podczas dokonania przestępstwa nie uznają za powód do złagodzenia kary, zmniejszyła się w Szwecji również wydatnie ilość przestępstw.

Wpływ alkoholu na przestępczość wyraźnie się uwypukla, jeśli uzmysłowimy sobie, że wśród przestępców znajdujemy 90⁰/₀ takich, którzy spożywają alkohol, a tylko 10⁰/₀ abstynentów. Nie znaczy to wszakże, by wszyscy z owych 90⁰/₀ byli notorycznymi pijakami. Jeśli chodzi o stosunek procentowy zdecydowanych alkoholików wśród przestępców, to statystyka więźniów wykazuje na 100 więźniów 45 alkoholików. Statystyka szwajcarska podaje, że motywem przestępstw jest w 40% alkohol. Dalszymi dowodami są cyfry statystyki niemieckiej, podającej natężenie przestępczości poszczególnych dni tygodnia. I tak dokonuje się przeciętnie: w niedzielę — 43⁰/₀ przestępstw całego tygodnia, w poniedziałek — 18⁰/₀ przestępstw całego tygodnia, w sobotę — 13⁰/₀ przestępstw całego tygodnia. Wynika z powyższego, że dni, w których spożycie alkoholu po wypłacie zarobków tygodniowych jest największe, a więc sobota, niedziela i poniedziałek, są tymi dniami tygodnia, w których dokonuje się 74⁰/₀ przestępstw całego tygodnia.

Inna statystyka podaje nam, że w miesiącu sierpniu, kiedy konstatujemy maksymalne napięcie przestępczości przeciwko bezpieczeństwu jednostki, że w tymże miesiącu statystyki szpitalne wykazują jednocześnie największą w roku frekwencję chorych na ostre zatrucie alkoholem i cierpiących na psychozę pijacką. Jeszcze innym dowodem niechaj będzie okoliczność, że Żydzi, którzy w minimalnym stopniu spożywają alkohol, w małym tylko procencie figurują, jako biorący udział w przestępstwach przeciw bezpieczeństwu jednostki. Podobnie u kobiet, które po większej części są abstynentkami, nie spotykamy przestępstw na

tle alkoholycznym. Statystyka polska z r. 1936 podaje, że wśród przestępców, którzy dokonali czynu w stanie nietrzeźwym, znajdowało się tylko około 10% kobiet. Ogólnie biorąc, możemy bez przesady i jakiegokolwiek przejawienia powiedzieć, że 50 do 70% przestępców działa pod wpływem czy to bezpośrednim, czy pośrednim alkoholu.

Jeżeli chodzi o Polskę, to sprawę walki z najbardziej rozpowszechnionymi nałogami: piciem alkoholu, paleniem tytoniu, pociągami do hazardu — ujęło w swe ręce całkowicie państwo, stwarzając monopole: spirytusowy, tytoniowy i loteryjny. Skoro bowiem doświadczenie uczy, że całkowite wykorzenienie nałogów ludzkich jest moralnym niepodobieństwem, należy przynajmniej możliwie stępić ostrze ich szkodliwości.

Najbardziej skutecznym hamulcem w walce z nadużywaniem alkoholu jest religia. Należy jednak stwierdzić, że mimo energicznego zwalczania alkoholizmu przez Kościół katolicki, oraz liczne stowarzyszenia i związki abstynenckie — choroba ta obejmuje coraz to szersze warstwy społeczeństwa. „Nowoczesna żądza używania przejawia się najsilniej w pijaństwie i niemoralności” — stwierdziła odezwa Polskiej Ligi Antyalkoholowej z okazji dorocznego Tygodnia Propagandy Trzeźwości. „A hołdują jej wykształceni i niewykształceni, mężczyźni i kobiety. Młodzież patrzy na to samolubstwo starszych i nieraz naśladuje je. Alkoholizm mimo kryzysu nie maleje, lecz wzrasta. Niszczy tężyzną fizyczną i moralną narodu. W tysiącach ognisk rodzinnych ginie spokój i szczęście. Żałamują się egzystencje. Z dnia na dzień przybywa wykolejenców, których utrzymanie spada na barki pracujących”. Oto smutny obraz naszych miast i miasteczek.

Nie lepiej jest po wsiach. Na Kresach wschodnich stanowi obecnie tajne gorzelnictwo prawdziwą plagę, z którą z trudem walczą władze skarbowe i policja. Wykrywanie producentów i gorzelń w zapadłych wsiach jest z natury rzeczy niesłychanie uciążliwe. Coroczny bilans w dziedzinie walki z tajnym gorzelnictwem daje obraz, na jakie trudności napotyka policja kresowa i jak nie ustaje fala przestępczości mimo bezwzględного jej zwalczania. Chłop wołyński czy polski pije dużo, a że nie stać go na wyroby wódczane, pije ordynarny, trujący płyn, zwany samogonem. Działa tu także chęć zysku, gdyż samogon przynosi niezłe dochody. Największe zapotrzebowanie na samogon przejawia się w miesiącach grudniu i kwietniu, to znaczy przed świętami, najwięcej też wówczas wykrywa się gorzelń. Również jesienią chłop pędzi potajemnie wódkę, gdy zaczynają się wesela. Osobno czerwiec ma doskonałe warunki do pędzenia samogonu, gdy chłop jest wolny przed żniwami. To też zbójce napady na furmanki, krwawe bójkі na jarmarkach, weselach, zabójstwa na podłożu majątkowym, są tam na porządku dziennym. Widły, nóż, siekiera i pistolet odgrywają tam nie byle jaką rolę. Gdy w mózgu tam-

tejszego osobnika zrodzi się myśl, że go ktoś skrzywdził, poniżył, lub że mu zawadza — zabija bez litości i zastanowienia.

Również na zachodniej naszej granicy rozwieliło się pijaństwo i potajemny handel spirytusu. Jest to spirytus denaturowany i odkażony, tak zwana „brendka“, która działa zabójczo, powodując w organizmie ludzkim poważne schorzenia i porażenia nerwów wzrokowych, słuchowych, oraz zmiany w śledzionie, wątrobie i nerkach. Fabrykanci „brendki“ odbarwiają bowiem jedynie kolor; skład chemiczny jednak wraz ze wszystkimi trującymi własnościami pozostaje ten sam. Konsumpcja owych strasznych napojów jest tak wielka, iż według obliczeń statystycznych sprzedaż monopolu państwowego zmalała w ostatnich latach o 40 do 50 %. Handlarzom tej trucizny wypowiedziały władze zaciętą walkę — ci jednak zmobilizowali ze swej strony cały przemysłnie wykombinowany aparat samoobrony. Ustawy naznaczyły surowe kary na wyrabiających, czy handlujących nielegalnie wyrabianym alkoholem — od 10 do 500 tysięcy zł., względnie karę więzienia od 6 mies. do 2 lat. Pomimo to procederem tym zajmują się tam masowo zarówno wieśniacy, jak bezrobotni małorolnicy, czy fabrycznicy, a nocami schodzą się do źródeł tej „ognistej wody“ długie sznury alkoholików, aby za ciężko zapracowany grosz nąlogowo zatruwać swój organizm.

Pije również młodzież szkolna. *Kurier Polski* pisał:... „Władze szkolne skarżą się obecnie na niesłychany wzrost pijaństwa wśród naszej młodzieży szkolnej. W szkołach zdarzają się wypadki, że uczniowie przychodzą pijani do klasy. Podobno burdy z pijanymi dziećmi, czy młodymi ludźmi w wieku szkolnym są po prostu na porządku dziennym“. Uważając, że policja nie jest od tego, żeby pilnować młodzieży, pismo apeluje do szkoły i domu, by „jak najprędzej mądrze a ostrożnie zabrały się do tej, dziś chyba najważniejszej i najbardziej palącej sprawy, istotniejszej od niejednego problemu pedagogicznego, licealnego, czy gimnazjalnego“.

Dlatego ostatnią wystawę przeciwalkoholową urządzoną w Warszawie w ramach „Tygodnia propagandy trzeźwości“ przez Tow. Trzeźwość, przeznaczono przede wszystkim dla młodzieży szkolnej. Odwiedziły ją liczne wycieczki szkolne. Częścią najbardziej interesującą tej pożytecznej wystawy było przedstawienie wpływu alkoholu na przestępczość. Z niezwykle zajmujących zestawień wynika, że $\frac{3}{4}$ przestępstw wszelkiego rodzaju dokonanych bywa w sobotę, niedzielę i poniedziałek, tj. w dzień wypłaty i po nim następujące dni silnego upajania się alkoholem. Na pewnej tablicy było uwidocznione, że w okresie wojny, gdy wyszynk alkoholu był wzbroniony, awantury uliczne, rozprawy nożowe, oraz wiele innych przestępstw, spadło do minimum. Po wojnie przestępstwa te wzrosły silnie w porównaniu z okresem przedwojennym.

Rok bieżący jest szczególnie doniosły dla polskich organizacji walczących z alkoholizmem. Przygotowują one bowiem międzynarodowy zjazd działaczy na tym polu, który odbędzie się w Warszawie w dniach między 12—17 września. Kongres zeszłoroczny, zorganizowany w Londynie, zgromadził bardzo licznych przedstawicieli z 40 państw.

Jan Wierzbówka
Nadkom. Policji P.

NACZELNY REDAKTOR: *KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.*

Druk ukończono dnia 2 września 1937 r.

Spis rzeczy tomu 215.

Artykuły:

	Str.
Konstanty Turowski: Renesans katolicyzmu młodego pokolenia polskiego	3
St. Szczutowski: Demokracja autorytatywna	17
Prof. dr Otto Forst Battaglia: Roczny bilans rządów Frontu Ludowego	35
Teodor Parnicki: Problem władczy we współczesnej powieści historycznej i biograficznej	52
Dr Marian Pelczar: Czy szlachcic polski gardził handlem?	63
Dr Andrzej Niesiołowski: Czy totalizm jest koniecznością historyczną?	82
J. Skaliński: O należytej postawę wobec komunizmu	96
Ks. Edward Kosibowicz T. J.: Ideowe źródła współczesnego bezbożnictwa	111
Jan Reychman: Znajomość języków wschodnich w Polsce w drugiej połowie XVIII w.	126
Dr Wojciech Wasiutyński: Szkoła wyznaniowa a narodowa jednolitość państwa	193
Dr Andrzej Niesiołowski: Perspektywy totalizmu	204
Teodor Parnicki: Dziedzictwo twórcze Sienkiewicza w obliczu dnia dzisiejszego	215
Ludwik Wilczkoski: Wojna z Żydami	234
Roman Piotrowicz: Sprawa Palestyny	251
Ks. J. Keller T. J.: O ofensywę chrześcijańskiej jedności	270
Prof. dr Otto Forst Battaglia: Chiny między ewolucją a rewolucją	282

Przegląd piśmiennictwa:

Ks. dr Michał Klepacz: Kierunki organizacyjne oraz ideały wychowawcze we współczesnym szkolnictwie polskim (Ks. Władysław Rejowicz T. J.)	138

Księga pamiątkowa ku czci Leopolda Caro (St. Szczu- towski)	142
Ks. dr W. Padacz: Podstawy prawne istnienia i działalności Zrzeszeń Katolików Świeckich (Ks. Wł. Rejowicz T. J.)	144
Ks. Bensch Teodor: Wpływ chorób umysłowych na ważność umowy małżeńskiej w prawie kanonicznym. — Ks. Bober Piotr: Po- jęcie tajnej przeszkody małżeńskiej. — Ks. Olszewski Franciszek: Głoszenie zapowiedzi małżeńskich. — Ks. Myrcha Marian: Dowód ze świadków w procesie kanonicznym. — Ks. Pałka Paweł: Uzupeł- nienie jurysdykcji w prawie kanonicznym. — Ks. Pawlina Leon: Dym- isorie w rozwoju historycznym (Ks. Wł. Rejowicz T. J.) . . .	146
A. G. Michel: Państwo w okowach masonerii (Ks. A. Ki- siel T. J.)	149
Dr R. W. Hynek S. M.: Święty całun (Ks. I. Turek T. J.)	150
Świat i Życie. Zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury (Ks. Wł. Rejowicz T. J.)	150
Ks. dr Z. Baranowski: Zagadki życia (Ks. Br. Bojułka T. J.)	151
André Gide: Powrót z Z. S. R. R. (Ks. Br. Wójcik T. J.)	152
M. H. Lelong O. P.: Dookoła zła. — Ks. dr Wiktor Niem- czyk: Zagadnienie cierpienia w religii i filozofii (Ks. Br. Bo- jułka T. J.)	153
Ks. dr Fr. Seppelt i dr Klemens Löffler: Dzieje papieży od początków Kościoła do czasów niniejszych (Ks. Jan Urban T. J.)	153
Walenty Majdański: Giganci (Ks. E. Elter T. J.)	154
Mgr Lucius: Gospodarka eugeniczna człowiekiem w Polsce (Ks. S. Podoleński T. J.)	155
Gonzague de Reynold: Portugal (Ks. Br. Wójcik T. J.) .	155
Dr Alois Nikolussi: Das Leuchten Christi (Ks. J. Mo- krzycki T. J.)	156
Dr Georg Feuerer: Ordnung zum Ewigen (Ks. J. Mo- krzycki T. J.)	156
Ks. prałat dr Jan Bączek: Podstawy wiary (Br. W.)	157
Prof. dr Leop. Caro: Kapitalismus und Solidarismus (Jan Stecki)	289
Społeczne przyczyny powodzeń i niepowodzeń szkolnych (Ks. K. Konopka T. J.)	291
Bar Adam: Słownik pseudonimów i kryptonimów pisarzy pol- skich oraz Polski dotyczących (Ks. K. Konopka T. J.)	292
Quintus Horatius Flaccus: Pieśni ksiąg czworo (Ks. Wł. Ziomkowski T. J.)	293
Breza Tadeusz: Adam Grywałd (Zofia Morstinowa) . .	294
Ks. dr Andrij Iščak: Dogmatyka nejjedynenoho Schodu (Ks. Bronisław Bojułka T. J.)	296
Notatki bibliograficzne	158, 296
Replika w: Kwestii prymasostwa polskiego (Ks. Włady- sław Kwiatkowski)	301

Str.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego:

Sprawy Kościoła:

Lipiec-sierpień: Dalszy rozwój kulturkampfu w Niemczech. — Oszczyrcza kampania procesów o niemoralność. — Manifestacje religijne w Polsce: częstochowskie pielgrzymki, międzynarodowy kongres w Poznaniu. — Próby antykatolickiej kampanii (Ks. Edward Kosibowicz T. J.)	164
Wrzesień: Dramatyczna walka o konkordat w Jugosławii (Ks. Edward Kosibowicz T. J.)	306

Sprawy Państwa:

Lipiec-sierpień: Wielka i mała ententa a oś berlińsko-rzymska. — Widmo bloku przeciwsowieckiego. — Rzeź biurokracji w Moskwie. — Dekompozycja wewnętrzna a konsolidacja Europy (Andrzej Prawdzic)	176
Wrzesień: Zagrożony pokój. — Moskwa, Niemcy, Daleki Wschód. — Między Rapallo a paktem czterech. — Fortyfikacje. — Zagrożona Rzeczpospolita (Andrzej Prawdzic)	313
Sto lat walki o odrodzenie religijnej sztuki we Francji (Stefania Łazarska)	185
Międzynarodowa wystawa „sztuk i techniki“ w Paryżu (Ks. Stanisław Podoleński T. J.)	323
Alkoholizm a przestępczość (Jan Wierzbówka)	336